Rywalizować ze Scarrowem to dla mnie prawdziwe wyzwanie. BERNARD CORNWELL

SIMON SCARROW

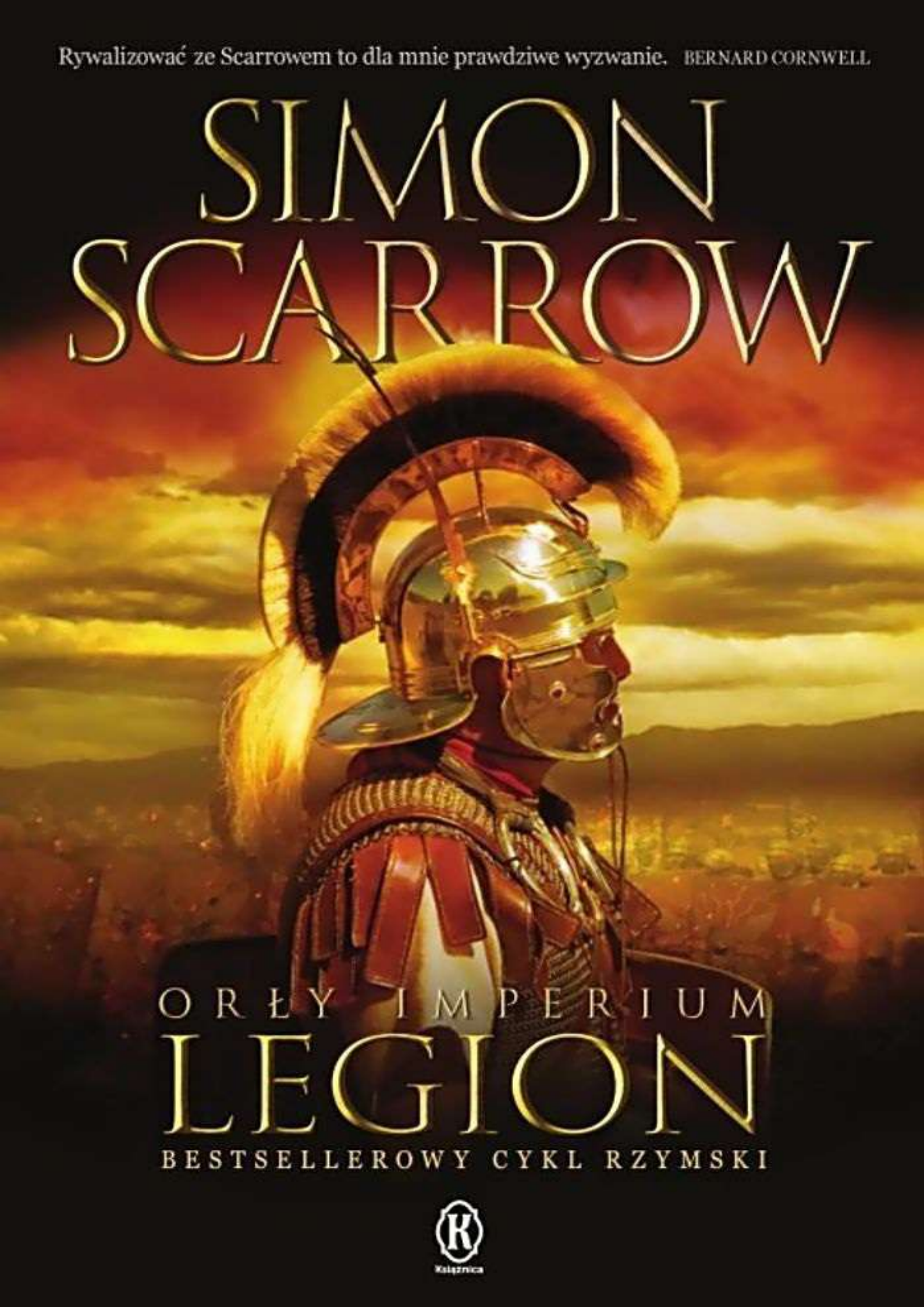

ORŁY IMPERIUM

LEGION

BESTSELLEROWY CYKL RZYMSKI

Książnica

O książce

Tytuł oryginału: *THE LEGION*

Autor: Simon Scarrow, 2010

Cykl: Orły Imperium #10

Tłumaczenie: Robert J. Szmidt

Wydanie polskie: Publicat S.A. 2015

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Gatunek: Powieść historyczno-przygodowa

Ocena „Lubimy czytać”: ★★★★★★★★☆☆ (7,57)

Zbuntowany gladiator Ajaks, który stanął na czele niewolników zbiegłych z Krety, sieje zniszczenie u wybrzeży Egiptu, próbując podsycić antyrzymskie nastroje. Wschodnia prowincja imperium, zagrożona dodatkowo inwazją ze strony Nubii, zaczyna chwiać się w posadach.

Namiestnik wydaje rozkaz schwytania groźnych buntowników, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Prefekt Katon i centurion Macro, wspólnie z centuriami XXII Legionu, muszą powstrzymać wroga.

Czy ich niezłomność i upór wystarczą, by pokonać gladiatora, który zyskał w Nubijczykach potężnych sprzymierzeńców?…

Opracowanie wersji elektronicznej:

spectator_zm

created by:

SIGIL

2017

SIMON SCARROW

ORŁY IMPERIUM

LEGION

Przełożył z angielskiego
Robert J. Szmidt

Książnica

Ahmedowi (przywódcy Aniołów)
i Mustafie (Wybrańcowi)

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle przekazuję wyrazy wdzięczności mojej żonie Carolyn za to, że pilnie studiowała tekst, gdy pracowałem nad tą powieścią, i cierpliwie znosiła moje zatracenie w pisaniu. Dziękuję też mojemu ojcu Tony'emu za dodatkową ocenę gotowej pracy. Większość szczegółów tła tej opowieści znalazłem podczas wypraw do Egiptu i podróży Nilem. Dziękuję Ahmedowi i Mustafie za podzielenie się wiedzą o ich fascynującym kraju. Tylko nieliczne kraje tego świata mają równie bogate dziedzictwo i historię, nic więc dziwnego, że mieszkańcy Egiptu są tak dumni ze swojej ojczyzny.

STRUKTURA DOWODZENIA RZYMSKIEJ ARMII

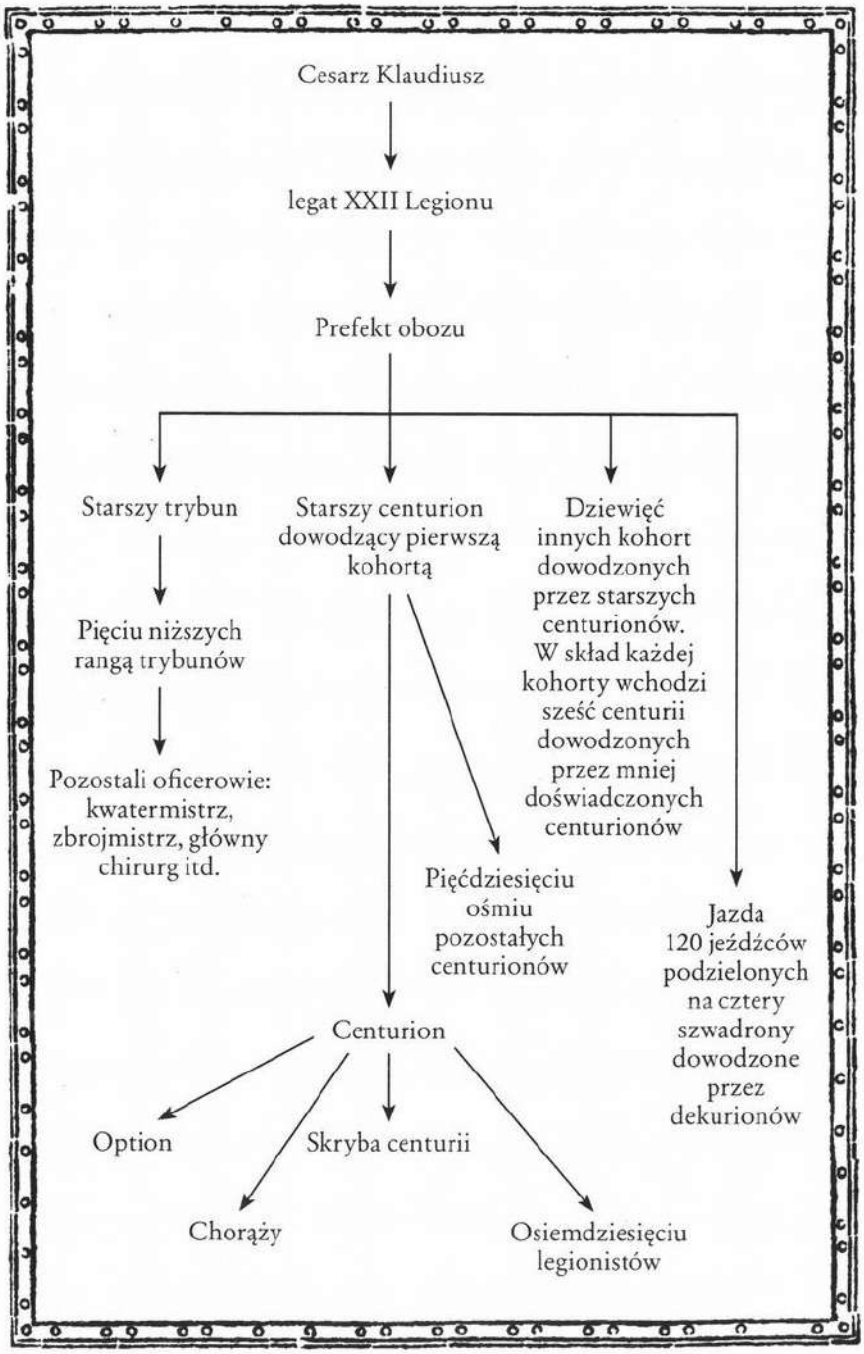

STRUKTURA RZYMSKIEGO LEGIONU

W XXII Legionie – podobnie jak we wszystkich innych w tym czasie – służyło około pięciu i pół tysiąca ludzi. Centurią, podstawową jednostką taktyczną liczącą osiemdziesięciu żołnierzy, dowodził podoficer zwany centurionem *(centurio)*, jego zastępcą był option *(optio)*. Centuria dzieliła się na ośmioosobowe drużyny – każda zajmowała jedno pomieszczenie w koszarach albo jeden namiot podczas kampanii. Sześć centurii tworzyło kohortę, a dziesięć kohort legion, z tym że stan osobowy pierwszej kohorty był dwukrotnie większy niż pozostałych. Każdemu legionowi towarzyszyła jazda składająca się ze stu dwudziestu ludzi podzielonych na cztery szwadrony. Pełnili oni rolę kurierów i zwiadowców. Hierarchia wojskowa przedstawiała się następująco:

Legionem dowodził legat *(legatus legionis)*. Mógł nim zostać jedynie ekwita, czyli przedstawiciel ówczesnej arystokracji, rzadziej ktoś z senatorskiego rodu, jak to miało miejsce w jednostkach stacjonujących poza Egiptem. Pełnił swą funkcję nie dłużej niż pięć lat – w tym czasie starał się odnieść znaczące sukcesy militarne, które stanowiłyby solidne podwaliny pod przyszłą karierę polityczną.

Prefektem obozu *(praefectus castorium)* zostawał zwykle jeden z doświadczonych legionistów, wcześniej będący dowódcą pierwszej kohorty legionu. Awans był ukoronowaniem kariery zwykłego zawodowego żołnierza.

Starszych oficerów legionu nazywano trybunami wojskowymi *(tribuni militi)*. Zazwyczaj byli to ludzie dwudziestokilkuletni, dopiero rozpoczynający służbę w szeregach armii – zdobywali doświadczenie potrzebne do objęcia niższych stanowisk w administracji cywilnej. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja starszego trybuna *(tribunus laticlavius)* – w przyszłości miał on objąć ważny urząd państwowy lub dowodzić własnym legionem.

Trzon legionu stanowiło sześćdziesięciu niezwykle zdyscyplinowanych i znakomicie wyszkolonych centurionów (setników). Na ten stopień awansowano wybranych żołnierzy, którzy wykazali się talentami organizacyjnymi i wielką odwagą na polu walki. Pierwszą centurią pierwszej kohorty dowodził najstarszy i najbardziej doświadczony centurion *(primus pilus)*.

Na czele każdego z czterech szwadronów jazdy *(ala)* stał dekurion *(decurio)* – miał on szansę na osiągnięcie stopnia dowódcy jazdy jednostki pomocniczej *(magister equitum)*.

Option, zastępca centuriona, odpowiadał za sprawy administracyjne i wykonywał niektóre obowiązki dowódcy. Zwykle awansował dopiero wtedy, gdy ginął jego przełożony.

Prości legioniści zaciągali się do wojska na dwadzieścia pięć lat. Teoretycznie w armii mogli służyć jedynie obywatele Rzymu, ale wstępowali do niej także mieszkańcy podbitych ziem – podpisując kontrakt, otrzymywali rzymskie obywatelstwo.

Na samym dole hierarchii wojskowej znajdowali się żołnierze kohort pomocniczych rekrutowani zazwyczaj w najodleglejszych prowincjach Rzymu. Walczyli w szeregach jazdy i lekkiej piechoty, a także wykonywali wszelkiego typu prace specjalistyczne. Obywatelstwo rzymskie dostawali dopiero po dwudziestu pięciu latach służby.

KRÓTKA NOTKA O RZYMSKIEJ FLOCIE

Rzymianie podchodzili do wojowania na morzach z dużą nieufnością, więc dopiero za panowania Augusta (27 r. p.n.e.-14 r. n.e.) doszło do stworzenia pierwszych zalążków marynarki wojennej. Jej siły podzielono na dwie floty stacjonujące w Misenum i Rawennie. Mniejsze eskadry stacjonowały także w Aleksandrii i innych ważniejszych portach basenu Morza Śródziemnego. Ponadto okręty floty patrolowały największe rzeki imperium, takie jak Dunaj, Ren i co chyba zrozumiale, Nil.

Każdą flotą dowodził prefekt. Od ludzi piastujących te stanowiska nie wymagano żadnego doświadczenia żeglarskiego ani bojowego, ponieważ pełnili role administratorów.

W przypadku pozostałych oficerów daje się zauważyć ogromny wpływ greckich tradycji żeglarskich. Dowódców eskadr nazywano nawarchami, każdy z nich miał pod rozkazami dziesięć okrętów. Na stopień nawarchy, podobnie jak centuriona w legionach, można było awansować. Jeśli któryś z nawarchów zapragnął przenieść się do legionów, automatycznie zostawał centurionem. Najstarszego nazywano *navarchus princeps* i był odpowiednikiem starszego centuriona w legionach. Do jego zadań należało także służenie radą prefektowi, gdy zachodziła taka potrzeba.

Poszczególnymi okrętami dowodzili trierarchowie. Podobnie jak nawarchowie byli to awansowani marynarze, a do ich zadań należało dbanie o to, by okręty zachowywały ciągłą sprawność

bojową. Mimo to trudno porównywać ich do dzisiejszych kapitanów. Trierarchowie zajmowali się kwestiami żeglarskimi, ale gdy dochodziło do walki, dowodzenie jednostką przejmował centurion odpowiedzialny za legionistów stacjonujących na pokładzie. Z tego też powodu używam w książce greckiego nazewnictwa zamiast angielskich odpowiedników, które mogłyby być bardzo mylące.

Najpopularniejszymi jednostkami floty były w opisywanym okresie niewielkie okręty patrolowe zwane liburnami. Pływały one pod żaglami albo były napędzane wiosłami. Na pokładzie każdej z nich stacjonował niewielki kontyngent piechoty morskiej. Jednostkami podobnej klasy były biremy – nieco tylko większe i lepiej przystosowane do udziału w bitwach morskich. Największe okręty, czyli tak zwane trzy-, cztero- i pięciorzędowce, były rzadziej spotykane w opisywanych przeze mnie czasach i stanowiły relikty rzymskiej floty w czasach świetności.

ŚRÓDZIEMNOMORSKA CZĘŚĆ CESARSTWA RZYMSKIEGO

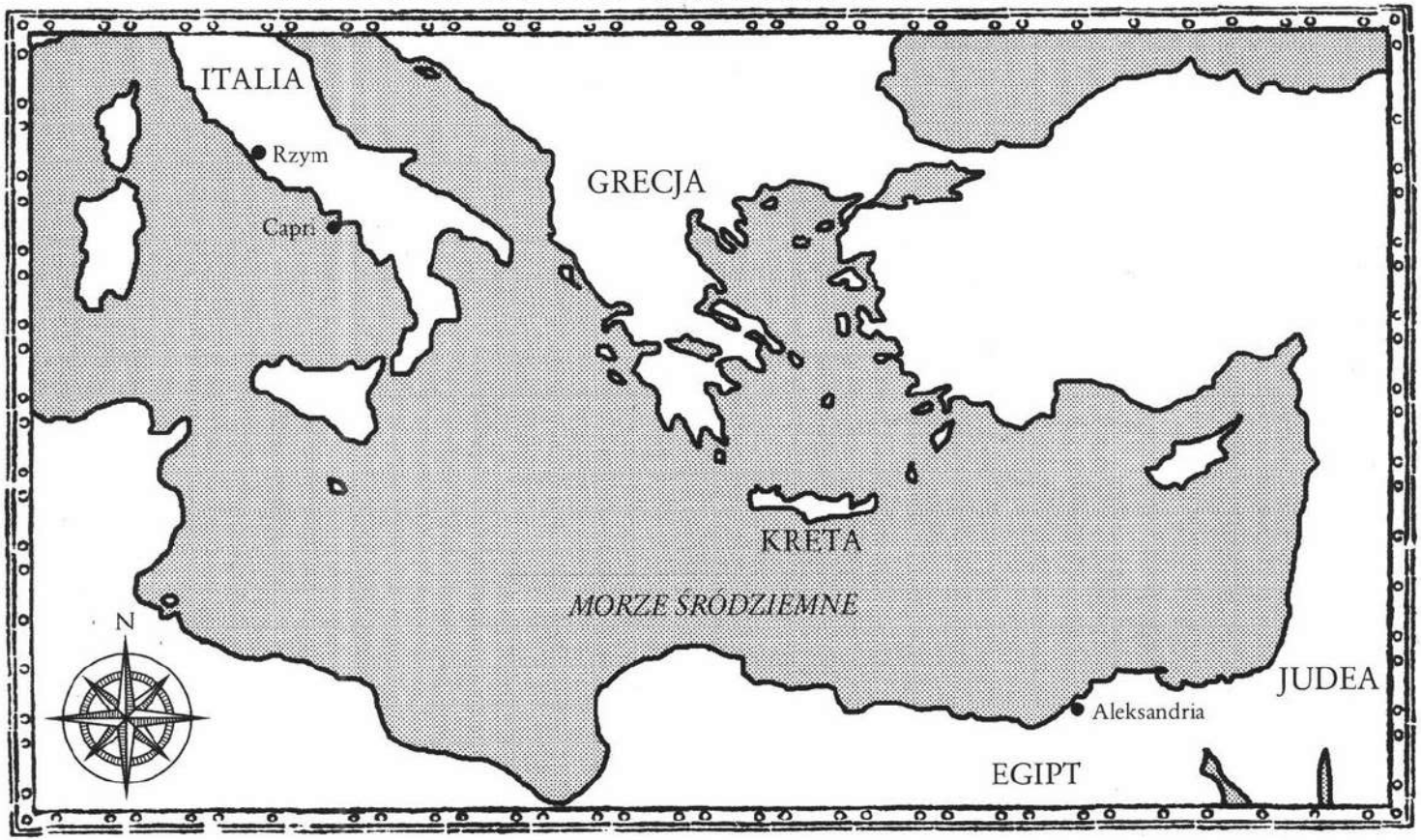

RZYMSKA PROWINCJA EGIPT W I W. N.E.

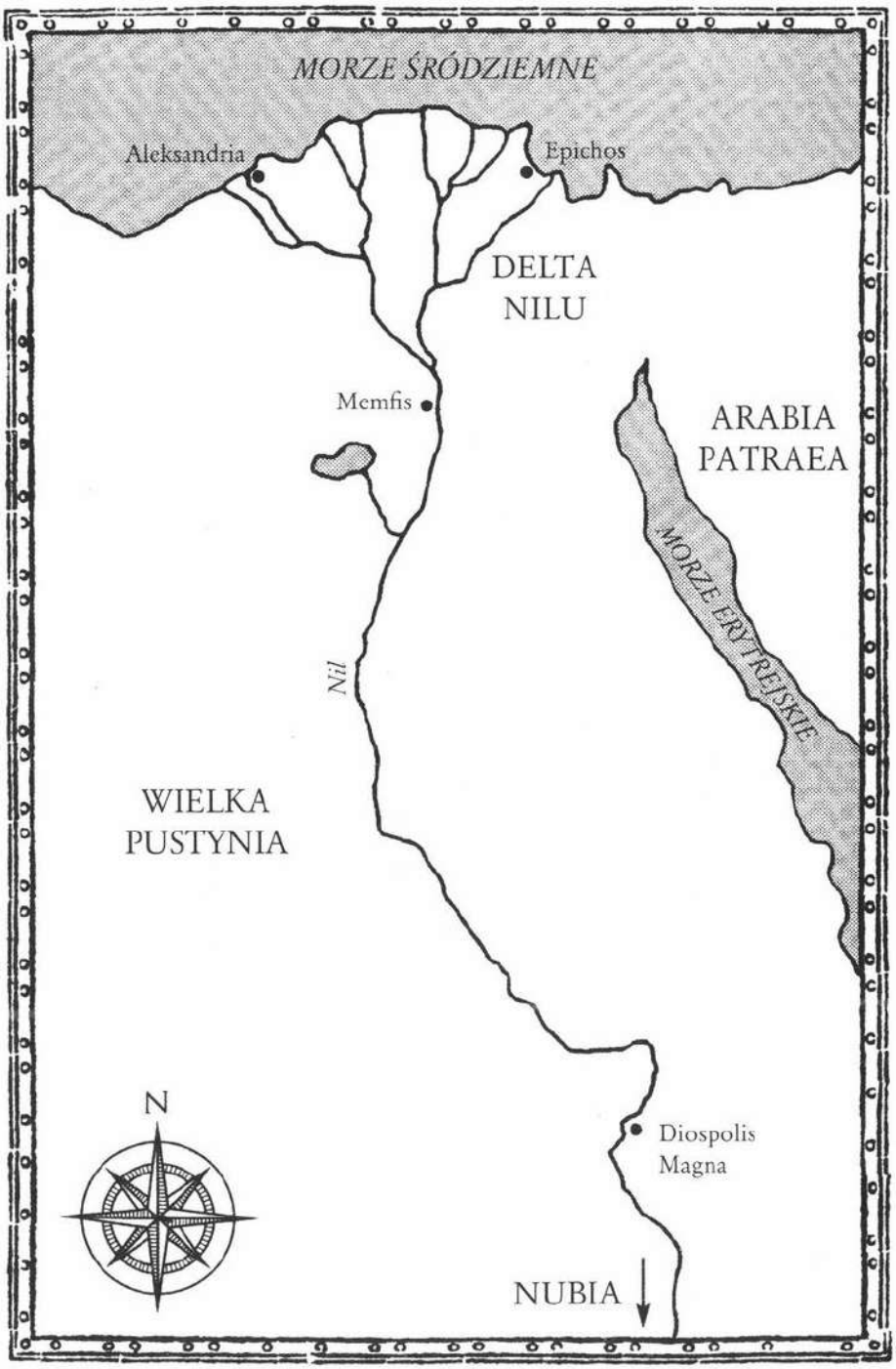

GÓRNY NIL W REJONIE DIOSPOLIS MAGNA

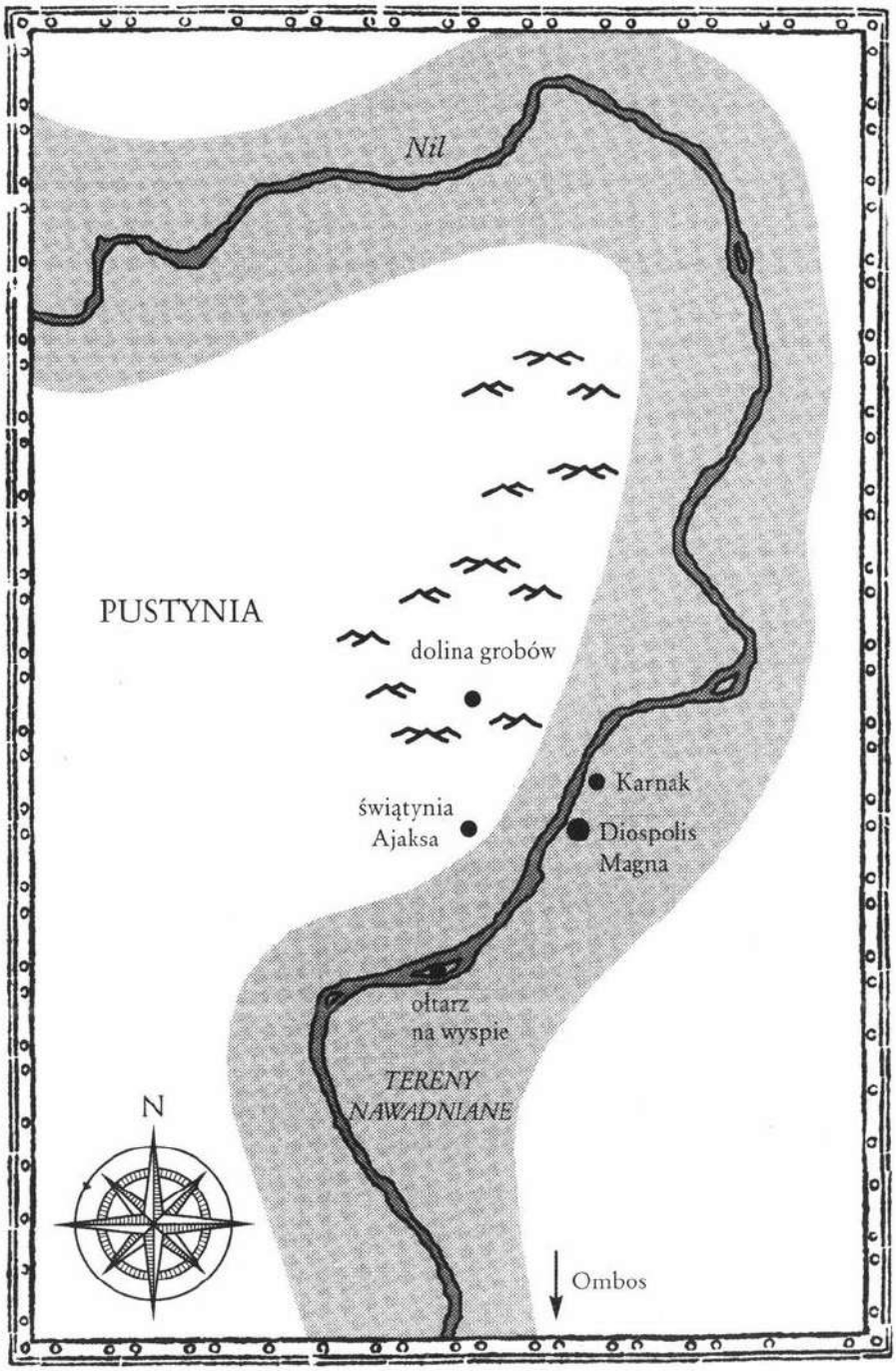

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dowódca bazy zaopatrzeniowej floty w Epichos przerwał śniadanie, by spojrzeć na optiona dowodzącego poranną zmianą wart. Od świtu mżyło – był to pierwszy deszczyk od wielu miesięcy – więc opończa stojącego w progu podoficera lśniła od niewielkich kropelek, jakby wyszyto ją miniaturowymi klejnocikami.

– O co chodzi, Septimusie? – zapytał oschle trierarcha Filipus, maczając kęs chleba w stojącej przed nim misie wypełnionej sosem garum.

Przywykł do tego, że po porannym obchodzie posterunków niewielkiego fortu wracał do swojej kwatery, by spożyć tam w spokoju pierwszy posiłek.

– Melduję posłusznie, panie, że zauważono jakiś okręt. Płynie wzdłuż wybrzeża, prosto na nas.

Filipus musiał zaczerpnąć tchu, by ukryć rosnącą irytację.

– Okręt, powiadasz? Mam rozumieć, że wartownik zobaczył jakąś jednostkę płynącą jednym z najbardziej uczęszczanych szlaków morskich naszego imperium i uznał, że to tak nietypowe zdarzenie, iż warto przerwać mi śniadanie?

– To okręt wojenny, panie. Kieruje się prosto na wyjście z zatoki. – Option meldował dalej tym samym obojętnym tonem, ignorując sarkazm przełożonego. W ciągu dwóch lat wspólnej służby przywykł już do przycinków trierarchy.

Z początku Filipus wydawał się wniebowzięty

niespodziewanym awansem. Wcześniej dowodził smukłą liburną należącą do flotylli stacjonującej w Aleksandrii. Popadał tam w zgorzknienie, zdając sobie sprawę, że młody oficer może tylko pomarzyć o promocjach, skoro jego okręt rzadko kiedy opuszcza port. Przejęcie niewielkiej bazy zaopatrzeniowej w Epichos wydawało mu się więc wybiciem na niezależność, dlatego w pierwszym odruchu zaplanował, że zaprowadzi tutaj idealny porządek. Miesiąc mijał za miesiącem, lecz nikt nie doceniał jego wysiłków, a ludzie, którymi dowodził, nie mieli wiele do roboty – od czasu do czasu zaopatrywali przepływające okręty wojenne albo przyjmowali jednostki kurierskie, które zawijały do tej niewielkiej zatoczki w drodze do Egiptu. Jedynym stałym zajęciem było wysyłanie patroli w górę delty Nilu, aby przypominać tubylcom, że żyją pod czujnym okiem rzymskich panów.

I tak Filipus spędzał czas, dowodząc półcenturią marynarzy i tak samo licznym oddziałem żeglarzy, mając do dyspozycji jedną starą biremę o wdzięcznej nazwie Anubis, dawniej należącą do floty, którą Kleopatra wsparła swojego kochanka Marka Antoniusza w jego wojnie z Oktawianem. Po porażce pod Akcjum okręt ten został przejęty przez rzymską flotę i stacjonował w Aleksandrii do chwili, gdy oddelegowano go do Epichos, by tu dokonał żywota wciągnięty na plażę zatoczki, opodal niewielkiego fortu zbudowanego z cegieł z mułu.

Co za okropne miejsce, pomyślał Filipus. Okolice delty Nilu były płaskie jak stół i nijakie, a sporą część brzegu zatoczki porastały mangrowce, wśród których widać było czasem krokodyle, choć przeważnie leżały na wodzie sztywne jak palmowe pnie, czekając cierpliwie, aż potencjalna ofiara podejdzie na tyle blisko, by mogły ją schwytać. Trierarcha, który tak rozpaczliwie pragnął akcji, musiał się zadowolić nadzorem załadunku sucharów, wody,

olinowania i płótna żaglowego za każdym razem, gdy zawijał tutaj jakiś okręt. Nie były to czynności, dla których warto przerywać posiłek.

– Okręt wojenny, powiadasz? – Filipus odgryzł kęs chleba i przeżuł go dokładnie. – Cóż, to pewnie jakiś patrol.

– Nie sądzę, panie – zaprzeczył option Septimus. – Sprawdziłem rejestry. Wynika z nich, że przez najbliższy miesiąc nie powinno tutaj być żadnych naszych jednostek.

– Widocznie wysłano go z nieplanowaną misją – zbył go Filipus. – A kapitan chce uzupełnić zapasy przed wyruszeniem w morze.

– Mam postawić ludzi pod broń?

Trierarcha spojrzał ostro na podwładnego.

– Dlaczego miałbyś to robić?

– Tak mówi regulamin. Jeśli w polu widzenia pojawi się niezidentyfikowana jednostka, należy podnieść alarm w całym garnizonie.

– Ale to nie jest niezidentyfikowana jednostka, nieprawdaż? To okręt wojenny, a tylko my nimi dysponujemy w tym rejonie Morza Śródziemnego. Nie ma więc mowy o tym, by był niezidentyfikowany, zatem nie widzę potrzeby niepokojenia ludzi, optionie.

Septimus wszakże nie odpuszczał.

– Dopóki nie mamy oficjalnego potwierdzenia, każda jednostka powinna być traktowana jako niezidentyfikowana, tak mówi regulamin, panie.

– Regulamin? – Filipus wydął wargi. – Posłuchaj mnie, optionie, jeśli dostrzeżesz jakieś oznaki wrogości, możesz ogłosić alarm, ale na pewno nie wcześniej. Pójdziesz teraz i powiadomisz

kwatermistrza o nowym gościu, przekażesz, że personel magazynu ma być gotowy na jak najszybsze zaprowiantowanie tej jednostki. A ja dokończę w spokoju śniadanie. Odmaszerować.

– Tak, panie. – Option stanął na baczność, zasalutował, odwrócił się przepisowo i odmaszerował wzdłuż krótkiej kolumnady w kierunku wyjścia z kwatery dowódcy.

Filipus westchnął ciężko. Czuł się nieswojo, że tak naskoczył na tego żołnierza. Septimus był dobrym podoficerem, bardzo sumiennym, choć czasami brakowało mu rozumu. Miał też rację w kwestii regulaminu, tego samego, którego trierarcha trzymał się kurczowo zaraz po przybyciu do fortu, zanim nie opadła fala entuzjazmu, z jakim przyjął możliwość dowodzenia bazą.

Przełknął ostatni kęs chleba, osuszył do końca pucharek rozwodnionego wina, a potem przeszedł do sypialni. Zatrzymał się tam przy kołkach wbitych w ścianę, by sięgnąć po napierśnik i hełm. Trzeba będzie powitać dowódcę nadpływającej jednostki, potem sprawdzić, czy zostanie należycie obsłużony, aby powiedział co trzeba po powrocie do Aleksandrii. Dopóki trierarcha ma czystą kartotekę, dopóty istnieją szanse na kolejny awans i zostawienie za sobą niechlubnego epizodu w Epichos.

Filipus dopiął pasek pod brodą i poprawił hełm. Następnie przełożył przez ramię pas z mieczem i wymaszerował z kwatery. Fort był niewielki, każdy z jego murów liczył niespełna pięćdziesiąt kroków. Wysokie na dziesięć stóp mury z mułowej cegły nie stanowiłyby wszakże zbyt wielkiej przeszkody dla ludzi, którzy zdecydowaliby się na zaatakowanie bazy. Rozeschnięte ściany ledwie się trzymały, więc rozbicie ich nie zabrałoby wiele czasu. Tyle dobrego, że nie grozi nam żaden atak, pocieszył się w myślach Filipus. Rzymska flota rządziła na morzach, a najbliższy wróg lądowy, królestwo Nubii, znajdował się o setki mil na południe. Jedynym realnym zagrożeniem wydawali się

więc arabscy bandyci, którzy od czasu do czasu atakowali odizolowane przyczółki w dolnym biegu Nilu.

Kwatera trierarchy znajdowała się na samym końcu fortu, pomiędzy spichlerzem a magazynami. Sześć baraków koszarowych otaczało uliczkę biegnącą ku bramie środkiem umocnionego czworokąta. Dwaj wartownicy stanęli na baczność, widząc nadchodzącego dowódcę. Wysunęli przepisowo włócznie, gdy mijał ich posterunek, udając się za mury. Mimo że niebo było czyściuteńkie, nad wodami zatoki snuły się pasemka mgły gęstniejące przy linii mangrowców na tyle, że gąszcz zarośli i palm wydawał się z tej perspektywy widmowy. Podobne widoki bardzo niepokoiły trierarchę, gdy przybył do fortu. Potem jednak, w miarę upływu czasu, przywykł do porannych zamgleń, tak częstych dla delty Nilu.

Pomiędzy fortem a mangrowcami ciągnęła się szeroka plaża, z drugiej strony umocnień piaszczysta łacha przechodziła stopniowo w skalisty półwysep, który długim łukiem wrzynał się w morze, tworząc na wodach zatoczki naturalny falochron i dogodne kotwicowisko. Na wprost fortu spoczywała na piasku birema. Główny szkutnik spędził wiele miesięcy na remontowaniu starego okrętu, teraz wraz ze swoimi czeladnikami wymieniał zbutwiałe deski poszycia, smołował dno kadłuba i zakładał nowe olinowanie na maszt. Na obu burtach przy dziobie odnowiono wymalowane oczy. Wydawać się mogło, że weteran bitwy pod Akcjum gotów jest w każdej chwili wyruszyć w morze, ale Filipus wątpił, by dane mu było wziąć jeszcze udział w walce. W pobliżu burty Anubisa zaczynał się liczący kilkadziesiąt kroków surowy pomost, przy którym mogły zacumować wpływające do portu jednostki.

Było już gorąco, mimo że słońce nie zdołało się jeszcze wznieść ponad poziom mgły, trierarcha liczył więc, że formalne powitanie

będzie krótkie i już za kilka chwil pozbędzie się niewygodnego pancerza. Ruszył żwawo pokrytym kurzem traktem, który prowadził do wieży obserwacyjnej. Budowlę tę wzniesiono na skalistym naturalnym falochronie. Druga wieża, nieco większa, znajdowała się na końcu półwyspu. Jej załoga strzegła wejścia do zatoczki. Na jej murach zamontowano cztery skorpiony, a przy każdym umieszczono spory żarnik, aby każda wroga jednostka, która spróbuje pokonać wąski kanał, naraziła się na nieunikniony pożar.

Gdy Filipus dotarł do wieży obserwacyjnej i zanurzył się w półmrok strażnicy, zobaczył na ławach trzech marynarzy. Siedzieli spokojnie, rozmawiając półgłosem. Zajadali przy tym chleb, przegryzając go suszonymi rybami. Zerwali się z miejsc i zasalutowali, gdy tylko zauważyli, kto stoi w wejściu.

– Spokojnie, chłopcy – rzucił Filipus z uśmiechem na ustach. – Który z was meldował o nadpływającym okręcie wojennym?

– Ja, panie – odezwał się jeden z marynarzy.

– Świetnie, Horionie, prowadź zatem.

Marynarz odłożył chleb do cynowej menażki, potem przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, by wspiąć się po stojącej w kącie drabinie. Trierarcha podążył za nim na platformę. Stanął obok żarnika sygnalizacyjnego gotowego do podpalenia w razie potrzeby. Nad głową miał spadzistą strzechę z palmowych liści. Wartownik, który zastąpił jakiś czas temu Horiona, spoglądał w morze znad podniszczonej balustrady. Filipus dołączył do niego, by przyjrzeć się uważniej jednostce sunącej ku wejściu do portu. Załoga właśnie zaczynała luzować żagiel. Na czerwonej jak wino płachcie koźlej skóry rozpościerały się skrzydła złotego orła. Jeszcze chwila i za burty wysunęły się rzędy wioseł, których pióra natychmiast zniknęły pod powierzchnią falującej spokojnie

wody. Kilka uderzeń serca później wydano rozkaz i długie drzewca uniosły się, przesunęły łagodnym tukiem do przodu i tam opadły, by popchnąć dziób okrętu ku portowi.

Filipus odwrócił się do Horiona.

– Z której strony przypłynęli, zanim skręcili w kierunku lądu?

– Z zachodu, panie.

Trierarcha skinął głową do swoich myśli. Zatem płyną z Aleksandrii. To wydało mu się dziwne, ponieważ najbliższa wizyta okrętu floty przypadała dopiero na przyszły miesiąc, kiedy to miały nadejść nowe polecenia i rzecz jasna, skrzynia z żołdem. Filipus przyglądał się jednostce, gdy mijała wieżę strzegącą wejścia do portu i płynęła przez spokojne wody prosto na przystań. Widział wyraźnie szeregi żeglarzy i marynarzy stojących przy burtach, kiedy okręt dociera do środka zatoczki. Na kasztelu dziobowym zauważył oficera w hełmie zwieńczonym pióropuszem. Człek ten stał nieruchomo, z rękami opartymi o reling, i spoglądał na pomost oraz wznoszące się za nim fortyfikacje.

W tym właśnie momencie w bramie fortu zrobiło się lekkie zamieszanie. Trierarcha zauważył Septimusa, kwatermistrza i kilku pomniejszych urzędników, którzy maszerowali żwawo w kierunku przystani.

– Lepiej będzie, jeśli dołączę do tego komitetu powitalnego – mruknął.

Zerknął po raz ostatni na przepływający opodal okręt, z podziwem omiatając wzrokiem smukły kadłub sunący na tle gęstych mangrowców, a potem obrócił się na pięcie, by zejść po drabinie.

Zanim dotarł na kraniec pomostu, jednostka zbliżyła się już do

przystani. Trzej oficerowie i towarzyszący im żeglarze, idący na spotkanie gości, usłyszeli wyraźnie kolejny rozkaz, po którym wszystkie wiosła znalazły się w wodzie, by zwiększonym oporem zatrzymać okręt.

– Wciągnąć wiosła!

Drewno załomotało głośno, gdy wioślarze wykonali polecenie. Liburna płynęła nadal, choć wolno, a ludzie stojący przy sterze ustawili ją równolegle do pomostu. Filipus widział już wyraźnie oficera stojącego na kasztelu dziobowym. Był wysoki, barczysty, ale o wiele młodszy, niż sądził. Obserwował ze spokojem trierarchę, gdy ten zaczął wydawać rozkazy żeglarzom przygotowującym cumy. Kiedy okręt zrównał się z pomostem, ludzie ustawieni na dziobie rzucili liny, by pomocnicy Filipusa mogli je umocować i przyciągnąć smukły kadłub do uplecionych z trzciny odbijaczy, którymi chroniono pomost przystani. Wtedy rzucono kolejną linę, tym razem z rufy liburny, i moment później okręt został solidnie zacumowany.

Oficer zszedł wtedy z kasztelu i pomaszerował przez pokład w kierunku trapu opuszczanego właśnie przez członków załogi. Obok furty ustawiła się już drużyna żołnierzy, drągal machnął do nich ręką, gdy opuszczał okręt. Filipus wyszedł mu naprzeciw, wyciągając przyjaźnie rękę.

– Jestem dowódcą tej bazy zaopatrzeniowej – dodał, gdy się przedstawił ze stopnia i imienia.

Oficer uścisnął mu przedramię, zadziwiająco mocno, a potem skłonił uprzejmie głowę.

– Centurion Macro przydzielony do aleksandryjskiej flotylli. Musimy porozmawiać. Najlepiej w twoich kwaterach.

– Porozmawiać? Czy coś się stało?

– Kazano mi rozmówić się z tobą na osobności. – Oficer wskazał głową ludzi tłoczących się na pomoście. – Nie przy wszystkich. Prowadź, proszę.

Filipus skrzywił się, widząc taki brak manier u oficera. Człowiek ten musiał niedawno przybyć z Rzymu i dlatego wciąż jeszcze spoglądał z góry na miejscowych żołnierzy, co było powszechną praktyką w takich przypadkach.

– Dobrze, centurionie. Chodź za mną.

Trierarcha odwrócił się, by poprowadzić gościa w stronę lądu.

– Chwileczkę – poprosił centurion Macro, a potem spojrzał na marynarzy czekających przy trapie. – Wy tam! Do mnie!

Zbiegli po trapie i uformowali szyk za swoim dowódcą. Było ich dwudziestu, same chłopy na schwał, a każdy doskonale uzbrojony. Filipus zmarszczył brwi. Spodziewał się wymiany kilku uprzejmości, a może i plotek, zanim poleci kwatermistrzowi wydać wszystko, czego załoga tej jednostki może potrzebować. A tu proszę, taki afront na samym wstępie. Co takiego ma mu do powiedzenia ten oficer, że muszą rozmawiać w zaciszu kwatery? Zastanawiając się nad tym, trierarcha poczuł niepokój. Czyżby został omyłkowo wmieszany w jakąś aferę albo spisek? Skinął ręką oficerowi, nakazując mu iść za sobą, i poprowadził cały oddział w stronę brzegu. Potem zwolnił kroku, dopóki nie zrównał się z centurionem, by wyszeptać pytanie:

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Tak. Zaraz. – Oficer obrzucił go wzrokiem i uśmiechnął się pod nosem. – Nie przejmuj się, trierarcho, to nic takiego. Muszę ci zadać kilka pytań.

Ta odpowiedź nie uspokoiła Filipusa. Milczał, dopóki nie zeszli na ląd i nie dotarli do bramy fortu. Wartownicy wyprężyli się

dumnie, gdy mijali ich oficerowie i idąca za nimi eskorta.

– Domyślam się, że nie obsługujecie zbyt wielu jednostek – rzucił centurion Macro.

– To prawda – odparł Filipus, mając nadzieję, że gburowaty gość okaże się bardziej rozmowny, niż sądził. – Od czasu do czasu pojawia się tu rutynowy patrol albo cesarski kurier. Poza tym zawijają tutaj tylko statki uszkodzone przez zimowe sztormy. Epichos to typowe zadupie. Nie zdziwiłbym się, gdyby namiestnik Aleksandrii kazał zlikwidować tę bazę.

Oficer zerknął na niego.

– Ciekaw jesteś, co mnie tu sprowadza?

Trierarcha wzruszył ramionami.

– To chyba oczywiste.

Gdy znaleźli się za murami, centurion Macro przystanął i rozejrzał się ciekawie. Wokół panował idealny spokój. Większość żołnierzy była w koszarach. Wartownicy z nocnej zmiany kończyli posiłek bądź szykowali się już do snu. Tylko kilku marynarzy siedziało na zydlach przed barakami, grając w kości albo rozmawiając półgłosem. Gość chłonął te widoki z niekłamanym zainteresowaniem.

– Masz tu ciepłą posadkę, trieracho. Siedzisz sobie na uboczu, przez nikogo nie niepokojony, ale mniemam, że nie brakuje ci zaopatrzenia.

Filipus przytaknął.

– Mamy wystarczająco dużo ziarna i części zamiennych. Ostatnimi czasy mało kto ich potrzebuje.

– Znakomicie – mruknął centurion Macro, po czym odwrócił się do optiona dowodzącego sprowadzonym oddziałem. – Zaczynaj,

Karimie.

Tamten skinął głową, rzucając przez ramię:

– Brać ich!

Czterej ostatni marynarze dobyli mieczy i ruszyli w kierunku wartowników pilnujących bramy, którzy zaskoczeni nagłym obrotem sprawy, zdążyli się tylko odwrócić, zanim zostali poszatkowani dziesiątkami szybkich cięć. Żaden nawet nie zdołał nawet pisnąć. Przerażony Filipus przeniósł wzrok na centuriona Macro, gdy ostatni z wartowników zwalił się na ziemię.

Gość zaśmiał mu się w twarz. Moment później trierarcha zauważył nagły ruch i poczuł ból w trzewiach, jakby ktoś walnął go w brzuch z całej siły. Po drugim uderzeniu zabrakło mu tchu. Spojrzał w dół i zobaczył dłoń tamtego zaciskającą się na rękojeści noża. Tylko cal klingi wystawał spomiędzy fałd tuniki, tuż poniżej napierśnika. Tkanina barwiła się na jego oczach soczystym szkarłatem. Centurion przekręcił broń w ranie, rozrywając jeszcze bardziej przekłute organy. Filipus zaczerpnął w końcu tchu, potem chwycił obiema rękami dłoń wrażającą mu w bebechy żelazo.

– Co?… Co ty robisz?…

Gdy oficer wyszarpnął ostrze, trierarcha poczuł, że krew wycieka z rany szerokim strumieniem. Nogi ugięły się pod nim, padł na kolana, spoglądając na centuriona w niemym przerażeniu. Później przeniósł wzrok za bramę, na leżących tam wartowników i jednego z napastników, który stanąwszy na trakcie, trzykrotnie uniósł miecz w górę. To musi być umówiony sygnał, pomyślał Filipus. Moment później od strony liburny dobiegł dziki wrzask. Ludzie ukryci za nadburciem zeskakiwali na pomost. Trierarcha zauważył, że kwatermistrz próbował dobyć broni, zanim zarąbano go, podobnie jak zaskoczonego

optiona i towarzyszących im żeglarzy. Wszyscy zginęli, zanim sięgnęli po miecze. Napastnicy ruszyli tymczasem biegiem w kierunku brzegu i otwartych na całą szerokość bram fortu.

Filipus oparł się plecami o ścianę strażnicy, gmerając przy paskach, zdołał zdjąć napierśnik. Pozwolił pancerzowi opaść na piach, skupiając się na zaciskaniu rany. Oficer, który go dźgnął, stał opodal. Schował już sztylet, poganiał właśnie ludzi wbiegających do fortu i zabijających każdego, kto stanął na ich drodze. Trierarcha przyglądał się temu, konając. Ci ludzie wyrzynali jego podwładnych. Tych, którzy grali przed chwilą w kości, tych, którzy wychodzili z baraków wywabieni odgłosami walki, wszystkich jak leci. Zduszone wrzaski dobiegające z zabudowań uświadomiły Filipusowi, że tam także trwa rzeź. W końcu w alejce została tylko garstka obrońców, którzy zdołali chwycić w porę za broń i walczyli, choć nie mogli dorównać wrogowi umiejętnościami ani zawziętością. Oni także polegli po krótkiej chwili.

Centurion powiódł wzrokiem po forcie, potem skinął głową, nie kryjąc satysfakcji. Na koniec spuścił wzrok na rannego trierarchę.

– Ktoś ty?… – wycharczał Filipus.

– A jakie to ma znaczenie? – Oficer wzruszył ramionami. – Za chwilę umrzesz. Tylko to powinno cię teraz interesować.

Filipus pokręcił głową, zaczynał już zauważać, że traci ostrość wzroku, złowrogie cienie zawężały mu pole widzenia. Zawróciło mu się w głowie, krew buchała na palce, w których tracił czucie. Oblizał wargi po raz ostatni.

– Kim?…

Stojący nad nim człowiek rozpiął paski, by zdjąć hełm, i przykucnął obok dogorywającego trierarchy. Miał czarne

kręcone włosy, policzek i czoło zdobiła mu długa blizna. Był masywnie zbudowany, ale bardzo sprawny. Bez wysiłku utrzymywał tę trudną pozycję. Spoglądał spokojnie w oczy Filipusa.

– Jeśli pocieszy cię świadomość, czyja ręka zadała ten cios, wiedz, że jestem Ajaks, syn Telemacha.

– Ajaks… – powtórzył trierarcha, a potem przełknąwszy ślinę: dodał: – Dlaczego?

– Dlatego, że jesteś moim wrogiem. Rzym jest moim wrogiem. Będę zabijał Rzymian, dopóki sam nie polegnę. Tak to wygląda. Gotuj się na śmierć.

Wstał, by dobyć miecza. Filipus wybałuszył oczy ze strachu.

– Nie! – wycharczał, unosząc zakrwawioną dłoń.

– Przecież i tak już nie żyjesz. Umrzyj chociaż godnie.

Trierarcha zamarł na moment, po czym opuścił dłoń i odchylił głowę, odsłaniając gardło. Zacisnął dłonie w pięści, zamknął powieki. Ajaks cofnął rękę, wymierzył w punkt znajdujący się tuż nad obojczykiem ofiary i wbił w niego miecz z całych sił. Gdy wyszarpnął ostrze, trysnęła świeża krew. Filipus otworzył oczy, dolna szczęka opadła mu mocno, zacharczał, zanim wykrwawił się na śmierć. Nogi jeszcze zadrżały mu spazmatycznie, potem znieruchomiał. Gladiator wytarł broń w rękaw tuniki martwego trierarchy i wsunął ją do pochwy z metalicznym zgrzytem.

– Karim!

Jeden z jego ludzi, człek o ciemnych rysach południowca, przytruchtał na wezwanie.

– Tak, panie?

– Weź pięciu ludzi i przeszukaj te budynki. Dobij rannych

i pozbądź się tych, których przeoczyliśmy. Ciała wywieziemy na środek zatoki i porzucimy w pobliżu mangrowców. Krokodyle zajmą się resztą.

Karim skinął głową, spojrzał gdzieś za plecy dowódcy i wyciągnąwszy dłoń, zawołał:

– Spójrz!

Ajaks odwrócił się natychmiast. Gdzieś za murem fortu w bezchmurne niebo unosiła się smuga dymu.

– To załoga wieży obserwacyjnej. Dają sygnały. – Gladiator rozejrzał się pospiesznie, po czym wskazał dwóch przybocznych. Najpierw przemówił do muskularnego Nubijczyka: – Hepitusie, weź swój oddział i biegnijcie do wieży. Zabijcie załogę i ugaście jak najprędzej ogień. Ty, Kantusie, zajmij się drugim posterunkiem, tym na końcu cypla.

Czarnoskóry potaknął, po czym odwrócił się, rycząc na swoich ludzi, by poszli za nim. Razem wybiegli za bramę. Drugi z wywołanych miał ciemną karnację, był aktorem w Rzymie, zanim trafił na arenę za uwiedzenie żony prominentnego i mściwego senatora. Uśmiechnął się do Ajaksa i wybył z fortu na czele drugiego oddziału. Gladiator przepuścił biegnących, a potem sam ruszył szybkim krokiem w kierunku drewnianych stopni wiodących na szczyt muru. Tam zniknął w strażnicy i moment później pojawił się na jej dachu. Przyjrzał się z góry fortowi i otaczającemu go terenowi, zwracając baczniejszą uwagę na rzeczkę uchodzącą opodal mangrowców do zatoki, jej koryto wiło się, znikając w głębi lądu. Następnie przeniósł wzrok na półwysep, gdzie ludzie Hepitusa szturmowali posterunek i gasili rozpalony przy nim ogień. Smuga szarego dymu zaczynała się z wolna rozpływać.

Ajaks rozmyślał o sytuacji, drapiąc się po zarośniętym policzku.

On i jego ludzie uciekali przed rzymską pogonią od kilku miesięcy. Zaszywali się w odizolowanych zatoczkach, wpatrując się z obawą w horyzont i szukając na nim śladów wroga. Gdy kończyły im się zapasy, wracali na szlaki żeglugowe, by złupić kolejny frachtowiec, albo najeżdżali jakąś nadbrzeżną wioskę. Dwa razy natknęli się na rzymskie okręty wojenne. Za pierwszym razem wróg ruszył w pościg i nie odpuścił Ajaksowi i jego ludziom aż do zmroku. Dopiero pod przykrywką ciemności udało im się zmienić kurs i zgubić prześladowców. Za drugim razem gladiator obserwował ze skalistej wysepki dwa przepływające opodal okręty, które minęły niewielką zatoczkę i liburnę zamaskowaną w niej liśćmi palmowymi.

Napięcie wywołane tak długą ucieczką zaczynało dawać się we znaki jego wyznawcom. Nadal byli lojalni i wykonywali każdy rozkaz bez szemrania, ale był świadom, że zaczynają tracić nadzieję. Człowiek nie wytrzyma zbyt długo, żyjąc w nieustannej obawie przed schwytaniem i ukrzyżowaniem. Musiał dać im nowy cel, jak wtedy, gdy walczyli podczas buntu niewolników na Krecie. Przyjrzał się raz jeszcze bazie zaopatrzeniowej i kiwnął głową z satysfakcją. Właśnie zdobył drugi okręt, a do tego całe góry sprzętu i jedzenia, którego wystarczy na wiele miesięcy. Ten fort będzie idealną kryjówką, z której będzie mógł kontynuować walkę ze znienawidzonym imperium.

Ajaks spochmurniał, gdy przypomniał sobie rozmiary szkód poczynionych przez Rzym jemu i ludziom, którzy za nim podążali. Lata poniewierki w niewoli i niebezpieczeństwa areny. Rzym musi za to wszystko zapłacić, uznał. Dopóki ci ludzie nie wypowiedzą mu posłuszeństwa, będzie prowadził ich do walki ze wspólnym wrogiem.

– To na razie wystarczy – wymamrotał pod nosem, oceniając stan zdobytego fortu. – Tak, jest lepiej, niż myślałem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Centurion Macro opuścił nogi z pryczy i przeciągnął się z głośnym jękiem, zanim wstał. Mimo niewysokiego wzrostu i masywnej budowy i tak musiał pochylać głowę, by nie uderzyć w deski powały. Jego kajuta, upchnięta w narożniku rufy okrętu wojennego, była bardzo ciasna. Mieściła się w niej jedynie koją, niewielki stolik i umieszczony pod nim kufer. Poza tym były tu jeszcze tylko kołki do zawieszenia tuniki, pancerza, hełmu i broni.

Macro podrapał się po tyłku przez przepaskę biodrową i znów ziewnął.

– Pieprzone okręty wojenne – mruknął. – Kto przy zdrowych zmysłach zapisuje się do floty?

Przebywał na pokładzie od ponad dwóch miesięcy i zaczynał powoli wątpić, czy niewielkie siły wysłane w pościg za gladiatorem i jego ludźmi zdołają dopaść zbiegów. Okręt Ajaksa widziano ostatni raz ponad miesiąc temu u wybrzeży Egiptu. Rzymianie podążali za nim, odkąd dostrzegli żagiel na horyzoncie, ale stracili kontakt wzrokowy, gdy zapadły ciemności. Od tamtej pory przeciwnik jakby pod ziemię się zapadł. Dwie jednostki patrolowały nieustannie wybrzeża Afryki aż po Lepcis Magna, gdzie zawracały na wschód, by przeczesywać wybrzeża w poszukiwaniu gladiatora i jego pomagierów. Dwa dni temu ponownie minęły Aleksandrię i choć kończyła im się żywność, dowodzący tą misją prefekt Katon nie zgodził się na zawinięcie do portu. Zamierzał zrobić co w jego mocy, zanim

przerwie rejs na czas potrzebny do odnowienia zapasów. Dlatego Macro był nie tylko głodny, lecz i wściekły, nie mówiąc już o tym, że dość miał wiecznych poszukiwań.

Naciągnął tunikę przez głowę, potem wspiął się po wąskich schodkach na pokład. Chodził boso, dość szybko bowiem odkrył minusy noszenia ciężkiego wojskowego obuwia. Wypolerowane na gładko deski pokładu były bardzo śliskie, jeśli tylko zmoczyła je woda, więc Macro, podobnie jak reszta żołnierzy, miał problem z utrzymaniem równowagi. Ćwieki, którymi nabito podeszwy sandałów, ślizgały się po pokładzie jak po lodzie.

Na okręty grupy pościgowej trafiły dwie centurie legionistów, którymi wzmocniono załogi. Było to konieczne, ponieważ Ajaksowi towarzyszyło wielu dawnych gladiatorów, a ci przewyższali wyszkoleniem nawet najlepszych żołnierzy imperium.

Trierarcha podszedł do Macro, ledwie pojawił się na pokładzie.

– Piękny poranek, panie.

– Doprawdy? – skrzywił się centurion. – Obudziłem się na niewielkiej zatłoczonej krypie, otoczony słoną wodą, a nie mam nawet jednej amfory wina do towarzystwa. Słowo „piękny” nijak nie pasuje do tego obrazu.

Trierarcha, człek imieniem Polemos, wydął wargi, rozglądając się wokół. Niebo było niemal czyste, tylko kilka białych chmurek dryfowało nad jego głową. Lekka bryza wydymała żagiel do pożądanego kształtu przypominającego kałdun epikurejczyka. Fala też nie była za wysoka, więc liburna chwiała się rytmicznie i niedokuczliwie. Po prawej na horyzoncie ciemniał pas lądu. Horyzont po lewej był czysty. Ćwierć mili przed dziobem znajdował się drugi okręt zespołu, zostawiający za sobą spieniony kilwater. Dla mnie to wymarzony dzień, pomyślał trierarcha.

– Jakieś raporty? – zapytał Macro.

– Tak, panie. Dzisiaj rano odpieczętowaliśmy ostatnią baryłkę solonej baraniny. Suchary skończą nam się już jutro, zmniejszyliśmy też o połowę dzienne racje wody.

Trierarcha nie podpowiedział jednak, co zrobić, by wybrnąć z tej niewesołej sytuacji. Decyzja w tej sprawie nie należała do niego ani też do Macro. Tylko prefekt mógł wydać rozkaz zmiany kursu i wpłynięcia do najbliższego portu po uzupełnienie zapasów.

– Hm – zafrasował się Macro.

Obaj spojrzeli na płynący przed nimi okręt, jakby próbowali odgadnąć myśli Katona. Prefekt nie odpuszczał, polował na zbiegów z ogromną zaciętością. Jego starszy przyjaciel doskonale rozumiał przyczyny tej zawziętości. Służyli razem od kilku lat, a on do niedawna był bezpośrednim przełożonym tego młodzika. Katon w pełni jednak zasłużył na ostatni awans, Macro nie miał problemu, by to przyznać, choć czuł się dziwnie jako podwładny wychowanka. A ten miał dopiero dwadzieścia kilka lat, był wysoki, ale wyjątkowo żylasty, przez co zupełnie nie wyglądał na twardziela, a tym bardziej na bohatera. Miał też nielichy umysł, dzięki któremu przebrnął szczęśliwie przez wszystkie niebezpieczeństwa i pułapki. Gdyby Macro miał wybierać, pod kim służyć, bez wahania poszedłby właśnie za kimś takim jak Katon. Odsłużyłem piętnaście lat w legionach, zanim doczekałem się awansu do centurionatu, co znaczy, że miałem wystarczające doświadczenie, by dostrzec w kimś potencjał, a mimo to mylnie oceniałem tego chłopaka, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Gdy Katon wkraczał do fortecy II Legionu, hen, daleko nad Renem, Macro uznał, że ten patykowaty dzieciak będzie miał ogromne szczęście, jeśli przetrwa początkowe szkolenie. Chłopak tymczasem zrobił wszystko, by udowodnić starszemu koledze, że

to nieprawda. Wykazał się wielką determinacją i nieprzeciętną inteligencją, a nade wszystko ogromną odwagą, nie mówiąc już o tym, że uratował swojemu przełożonemu życie już podczas pierwszej bitwy, gdy Germanie szykowali się do wypadu za wielką rzekę stanowiącą granicę imperium. Od tamtej pory Katon niejednokrotnie udowodnił, że jest pierwszorzędnym żołnierzem i najlepszym przyjacielem, jakiego Macro kiedykolwiek miał. Ostatnio dochrapał się stopnia prefekta i po raz pierwszy stał się przełożonym starszego kolegi. Obaj mieli wciąż problem z zaakceptowaniem tego faktu.

Determinacja prefekta w ściganiu zbiegów wynikała pospołu z wielkiej żądzy zemsty, jak i z chęci wykonania pierwszej samodzielnej misji. Mimo że kazano mu zrobić wszystko, by Ajaks przeżył pojmanie i trafił zakuty w łańcuchy do stolicy, młody oficer miał własne plany. W czasie buntu niewolników na Krecie gladiator pojmał i więził kobietę przyrzeczoną Katonowi. Trzymał ją w klatce jak zwierzę, by nurzała się w brudzie i ekskrementach, torturowana psychicznie nieustannymi zapewnieniami o mękach i rychłej śmierci. Macro został schwytany w tym samym czasie i trafił do tej samej klatki, więc jego gniew i pragnienie zemsty dorównywały uczuciom prefekta.

Trierarcha oczyścił krtań.

– Myślisz, panie, że dzisiaj wyda rozkaz powrotu?

– Kto wie? – Macro wzruszył ramionami. – Po wczorajszym incydenciku wydaje mi się to mało prawdopodobne.

Żeglarz przytaknął. Minionego wieczora oba okręty skierowały się do niewielkiej nadbrzeżnej wioski, by przeczekać na lądzie noc. Gdy jednak zbliżyli się do brzegu, mieszkańcy sioła uciekli w popłochu, zabierając nie tylko dobytek, ale też tyle jadła, ile zdołali unieść. Oddział legionistów wysłany na przeszukanie

chałup wrócił z pustymi rękami. Nie trafiono na żywą duszę, a pozostawioną w domach żywność przemyślnie ukryto. Zauważono tylko jedną niezwykłą rzecz – w polu za spalonymi zabudowaniami żołnierze odkryli szereg świeżo wykopanych grobów. Nie mając kogo przesłuchać na tę okoliczność, patrole wróciły na okręty, które w nocy wielokrotnie ostrzelano z proc. Macro, wypatrując napastników, dostrzegł tylko kilka ciemniejszych kształtów odcinających się od bieli piasku na plaży. Słyszał za to stukot kamieni odbijających się od burt i pokładu, a także plusk tych, które nie dolatywały do celu. Te sporadyczne ataki skończyły się dopiero przed świtem. Oba okręty odpłynęły niedługo później, o pierwszym brzasku, by kontynuować poszukiwania Ajaksa.

– Hej tam, na pokładzie! – zawołał obserwator z masztu. – Sobek zwalnia!

Trierarcha i Macro spojrzeli za dziób. Żagiel płynącej na czele jednostki łopotał swobodniej, gdy żeglarze poluzowali szoty.

– Wygląda na to, że prefekt chce pogadać – zasugerował trierarcha.

– Zaraz się przekonamy, co mu chodzi po głowie. Podpłyń do nich – rozkazał Macro, a potem obrócił się na pięcie i poszedł do kajuty po miecz, laskę z winorośli, a także buty, by wyglądać bardziej reprezentacyjnie przed obliczem przełożonego. Zanim wrócił na pokład, jego okręt, Ibis, podchodził już do bliźniaczej jednostki. Na rufie stał prefekt i wołał, przyłożywszy dłonie do ust:

– Centurionie Macro! Zapraszam na nasz pokład!

– Dobrze, panie! – odkrzyknął jego przyjaciel i skinął głową trierarsze. – Będę potrzebował łodzi.

– Tak, panie.

Oficer odwrócił się, by wydać rozkaz podwładnym, którzy zaraz zajęli się spuszczeniem na wodę łódki spoczywającej w środkowej części pokładu. Większość pociągnęła za liny, pozostali wypchnęli bosakami podniesioną łódkę za burtę. Moment później łupinka znalazła się na wodzie. Sześciu żeglarzy zasiadło do wioseł, zaraz dołączył do nich centurion, który zszedł po szczeblach drabinki linowej i ostrożnie zajął miejsce na rufie. Chwilę później łódź zdryfowała na tyle daleko od kadłuba, że można było naprzeć na wiosła i popchnąć ją w stronę Sobka. Gdy dotarli pod burtę siostrzanej jednostki, któryś z żeglarzy odłożył wiosło, by chwycić za bosak i zaczepić jego hak o linę zapętloną na relingu okrętu. Wtedy Macro wstał, z trudem zachowując równowagę, poczekał, aż łódź przestanie się kołysać po przejściu fali, i zaraz uczepił się drabinki zwisającej z wysokiej burty. Wspinał się po niej szybko, by kolejna fala nie zrzuciła go w odmęty. Katon już na niego czekał na śródokręciu.

– Przejdźmy się.

Ruszyli w kierunku dziobu, skąd prefekt przegonił wszystkich marynarzy, aby nikt ich nie podsłuchiwał. Macro poczuł ukłucie niepokoju, gdy zauważył wymizerowane oblicze przyjaciela. Od czasu ich ostatniej rozmowy twarzą w twarz minęło kilka dni, a cienie pod oczami młodego oficera powiększyły się w tym czasie znacznie. Katon pochylił się, by oprzeć łokcie o szczyt nadburcia, później spojrzał na przyjaciela.

– Jak tam u was z zaopatrzeniem?

– Przetrzymamy jeszcze dwa dni, jeśli obetnę przydział wody do jednej czwartej. Potem nie nadamy się do niczego, nawet jeśli trafimy na Ajaksa, panie.

Przez twarz Katona przemknął cień irytacji, gdy Macro zakończył zdanie zwyczajową formułką, odnosząc się do niego

jak do przełożonego. Zakaszlał też zaraz, by ukryć rozdrażnienie.

– Posłuchaj, nie musisz mnie tytułować, gdy rozmawiamy w cztery oczy. Zachowujmy się jak dawniej.

Centurion zerknął przez ramię na ludzi stojących za nimi.

– Jesteś teraz prefektem, mój chłopcze, więc ludzie muszą widzieć, że traktuję cię z należnym szacunkiem.

– Niech ci będzie. Ale kiedy rozmawiamy na osobności, w zaufaniu, traktuj mnie jak przyjaciela, nie przełożonego.

– Czy to rozkaz? – zapytał z powagą Macro, lecz kącik ust zadrgał mu natychmiast, zdradzając rozbawienie. Katon wzniósł oczy ku niebu.

– Oszczędź mi tych żalów dawnego centuriona, proszę.

– Dobrze. Jaki masz plan?

Prefekt próbował się skoncentrować.

– Gubimy trop Ajaksa. Ludzie potrzebują odpoczynku.

– Ty także.

Katon zignorował tę uwagę.

– Na obu okrętach kończą się zapasy. Musimy zawrócić, by dopłynąć do Aleksandrii. Dzielą nas od niej trzy dni drogi, trzeba więc znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie trochę wody i jedzenia. Mam jedynie nadzieję, że nie spotkamy się z podobnym przyjęciem jak minionej nocy. – Zachmurzył się, a potem potrząsnął głową. – Dziwne to było.

– Może wzięli nas za poborców podatkowych? – Macro wzruszył ramionami. – Słyszałem od ludzi, że tubylcy nigdy nie byli specjalnie gościnni. Liczę tylko, że w Aleksandrii spotkamy się z cieplejszym przyjęciem. Jeśli tamtejsi rybacy są równie mili jak tutejsi, z najwyższą przyjemnością zakończę ten pościg

i wrócę do Rzymu.

– To raczej nieprędko nastąpi, przyjacielu. Mamy jasne rozkazy. Musimy wytropić Ajaksa za każdą cenę i choćby nie wiadomo jak długo to trwało. I będziemy go szukać, dopóki nie nadejdą kolejne rozkazy. Żadna prowincja, a nawet sam cesarz Klaudiusz nie zazna spokoju, dopóki ten gladiator i jego poplecznicy pozostaną na wolności. Sam widziałeś, jak on potrafi zagrzewać swoich ludzi do boju. Z takimi umiejętnościami może wznieść sztandar buntu, gdziekolwiek trafi, a niewolnicy pójdą za nim jak owce za pasterzem. Dopóki Ajaks żyje, będzie zagrożeniem dla imperium. Jeśli Rzym upadnie, zabraknie ochrony legionów i wszyscy, zarówno ludzie wolni, jak i niewolnicy, staną się ofiarami hord barbarzyńców. Dlatego musimy go znaleźć i zgładzić. Poza tym obaj mamy z nim rachunki do wyrównania.

– Racja. Pomyśl jednak, co będzie, jeśli zdołał nam się wyślizgnąć? Może być teraz wszędzie. Na drugim końcu Morza Śródziemnego albo nawet na Morzu Czarnym. Kto wie, czy nie porzucił okrętu i nie poszedł w głąb lądu? W takim przypadku prędzej znajdziemy uczciwego prawnika w rzymskiej Suburze niż jego na tych pustkowiach. A skoro o stolicy mowa, masz całkiem dobry powód, by chcieć tam szybko wrócić. – Macro zniżył głos. – Po tym, co się wydarzyło, powinieneś być u boku Julii.

Katon spuścił głowę, wbił wzrok w lazurowe wody.

– Codziennie o niej rozmyślam, przyjacielu. Ale zawsze widzę ją taką, jaką była, gdy Ajaks trzymał was oboje w klatce. Ciężko mi się pohamować, gdy dociera do mnie, przez co musiała przejść.

– Oboje przeżyliśmy to samo – stwierdził Macro. – A mimo to jestem tutaj z tobą. Ten sam centurion co kiedyś.

Katon obrzucił go ostrym spojrzeniem.

– Naprawdę? Jakoś w to wątpię.

– Nie rozumiem.

– Zbyt dobrze cię znam, by nie zauważyć, że stałeś się zgorzkniały.

– Zgorzkniały? A czemu nie? Trochę się namęczyłem przez tego drania.

– A cóż takiego ci zrobił? Tak konkretnie? Niewiele o tym mówisz. Tak samo jak Julia, zanim opuściliśmy Kretę.

Centurion spojrzał uważniej na przyjaciela.

– Pytałeś ją o to?

– Nie… Nie chciałem jej przypominać tego koszmaru.

– A może sam nie chciałeś tego wiedzieć? – Macro pokręcił głową ze smutkiem. – Nie zapytałeś, więc teraz toniesz w domysłach. Dobrze trafiłem?

Katon nie spuszczał z niego wzroku przez dłuższą chwilę, a potem przytaknął.

– Coś w tym stylu, nie mówiąc o tym, że nie zrobiłem nic, by ci pomóc.

– Nie mogłeś nic zrobić. Nic. – Macro oparł się łokciami o nadburcie. – Nie bierz tego do siebie, Katonie. Tak niczego nie osiągniesz. To nie pomoże ci w schwytaniu Ajaksa. Poza tym musisz wiedzieć, że Julia jest silną kobietą. Poradzi sobie ze wszystkim, co ją spotkało, jeśli dasz jej wystarczająco dużo czasu.

– Tak sobie poradzi jak ty?

– Ja radzę sobie z problemami na swój sposób – oświadczył stanowczo centurion. – Jeśli los postawi na mojej drodze Ajaksa, urżnę mu te pieprzone jajca i wcisnę głęboko w gardło, zanim zdąży zdechnąć. Przysięgam na wszystkich bogów, jakich znam.

Katon uniósł brew, potem zaśmiał się oschle.

– Widzę, że poradziłeś sobie z tymi wspomnieniami.

– Poradzę sobie, gdy go załatwimy – odparł centurion.

– A do tej pory?

– Nie spoczniemy, dopóki nie wykonamy rozkazu.

– Świetnie. Tego się trzymajmy. – Katon rozprostował plecy. – Czas wydać rozkaz powrotu do Aleksandrii.

Macro stanął na baczność i zasalutował.

– Tak, panie.

Młody oficer z nieukrywanym żalem zakończył tę osobistą rozmowę. Znów stał się prefektem, a jego druh centurionem. Skinął głową i podniósł głos jak aktor deklamujący swoją kwestię na scenie.

– Świetnie, centurionie. Wracaj na swój okręt i płyńcie śladem Sobka.

Wrócili na śródokręcie, ale zanim dotarli do podstawy masztu, z góry rozległo się wołanie:

– Żagiel na horyzoncie!

Katon zatrzymał się w pół kroku, zadzierając głowę.

– Jak daleko?

Obserwator wskazał ręką gdzieś za bakburtę.

– Tam, panie. Jakieś osiem do dziesięciu mil od nas.

Prefekt spojrzał na przyjaciela z błyskiem w oku.

– Miejmy nadzieję, że to on.

– Wątpię – burknął Macro. – Ale kto wie, czy ci ludzie nie widzieli Ajaksa albo nie słyszeli czegoś o nim.

– To by mi wystarczyło. Wracaj na swój okręt i jak najszybciej podnoście żagiel. Ja podpłynę do tej jednostki od strony morza, ty od wybrzeża. Nie będzie miał gdzie uciec, kimkolwiek się okaże.

ROZDZIAŁ TRZECI

Statek nie próbował uciekać, gdy oba okręty zaczęły go osaczać na otwartym morzu. Kiedy liburna zbliżyła się w końcu na wiosłach do dościgniętej jednostki, Katon zauważył, że jej żagiel łopocze swobodnie. Ktoś poluzował szoty albo je poprzecinał, pomyślał zdziwiony. Poczuł też zawód, widząc szeroką dziobnicę i wysoką rufę, które sugerowały niedwuznacznie, że trafił na zwykły frachtowiec, a nie na zbiegów. Na pokładzie nie dostrzegł żadnych oznak życia, ramię steru kołysało się swobodnie przy każdym uderzeniu fali.

Znajdujący się od strony lądu okręt Macro wykorzystywał do ostatniej chwili każdy powiew słabej bryzy, ale i tak dotarł na miejsce chwilę po Sobku.

– Mam zwołać swoich chłopców, panie? – zapytał centurion Prokulus dowodzący legionistami stacjonującymi na pokładzie jednostki prefekta.

– Nie. Zostawmy tę robotę marynarzom. Oni byli szkoleni do akcji abordażowych.

Prokulus zatchnął się, gdy usłyszał, że ma ustąpić ludziom, których uważał za gorszych od swoich żołnierzy. Katon zignorował go, wiedząc dobrze o napięciach panujących pomiędzy obiema formacjami. Poza tym decyzja należała do niego. Odwrócił się do dekuriona dowodzącego trzydziestoosobowym kontyngentem marynarzy.

– Przygotuj swoich ludzi do abordażu, Diodorusie.

– Tak, panie. Zastosujemy kruka? – Wskazał głową urządzenie zajmujące pokład dziobowy.

Był to trap, który dało się podnieść i opuścić za pomocą kołowrotów. Dzięki drewnianemu trzpieniowi na jego końcu, który dało się wpasować w otwór pokładu, konstrukcję można było odwracać i wysuwać za burty. Drugi kraniec pomostu wieńczył żelazny kolec przypominający nieco kształtem dziób kruka. Gdy urządzenie zostało odpowiednio ustawione, luzowano liny i trap opadał na pokład wrogiej jednostki, łącząc trwale walczące okręty, aby oddziały marynarzy mogły dokonać szybkiego abordażu. Mimo że na frachtowcu wciąż nie zauważono śladów życia, Katon postanowił trzymać się ściśle tej procedury, na wypadek gdyby to była pułapka.

– Tak. Zastosujcie kruka. Gdybyście potrzebowali wsparcia, poślę za wami legionistów.

Prokulus wypiął dumnie pierś.

– Ocalimy marynarzy przed każdym zagrożeniem, panie. Możesz na nas liczyć.

– Miło mi to słyszeć – mruknął z rozgoryczeniem Diodorus, zanim odszedł, by wydać rozkazy.

Gdy Sobek zbliżał się do frachtowca, marynarze utworzyli zwartą kolumnę przy obrotowej podstawie kruka. Uzbrojeni i zdeterminowani czekali na wkroczenie do akcji. Trierarcha dowodzący załogą okrętu wojennego kazał wioślarzom zmniejszyć tempo, by jak najwolniej podpłynąć do rufy opuszczonego frachtowca. Gdy uznał, że tempo jego okrętu jest wystarczające, wydał rozkaz wciągnięcia wioseł.

Katon nałożył pełny rynsztunek, a potem wspiął się na wieżę forkasztelu, by obserwować doganianą jednostkę podczas ostatnich manewrów Sobka. Pod lukami odpływowymi

w nadburciach zauważył ciemniejsze nacieki, które bladły i znikały w pobliżu linii wody. To krew, pomyślał. Chwilę później dostrzegł pierwsze zwłoki – zwisały bezwładnie na relingu. Na pokładzie rufowym leżało jeszcze kilka ciał.

– Przygotować kruka! – zagrzmiał Diodorus i długi trap wysunął się za burtę przy wtórze przeraźliwego skrzypienia, zawisając nad frachtowcem. – Puść!

Pomost opadał, nabierając z każdą chwilą prędkości. Jego żelazny kolec wbił się z hukiem w deski pokładu.

– Naprzód, marynarze! – zawołał dekurion, unosząc miecz, po czym wspiął się na trap i ruszył biegiem na zatrzymaną jednostkę.

Jego ludzie pospieszyli za nim, ich ciężkie podkute buty łomotały o deski pomostu. W okamgnieniu rozproszyli się po pokładzie frachtowca.

Katon opuścił posterunek na forkasztelu, po czym zawołał do Prokulusa:

– Zbierz ludzi i czekaj na rozkaz. Macie ruszać, jak tylko zawołam.

– Tak, panie.

Od strony frachtowca nie dobiegały odgłosy walki, nie było też słychać żadnych alarmujących okrzyków. Katon przeszedł więc trapem, nie dobywając miecza, raz czy dwa zerkając na wodę dzielącą kadłuby złączonych jednostek. Mimo że prawie dwa miesiące spędził na liburnie, wciąż bał się morza i nienawidził go – to był kolejny argument przemawiający za tym, by jak najszybciej wykonać powierzone zadanie i wrócić na ląd. Gdy dotarł na koniec pomostu, zeskoczył zwinnie na pokład i rozejrzał się wolno. Wszędzie wokół leżały ciała zabitych. Widać

było także czarne plamy zaschniętej krwi. Osłony luków pootwierano, zawartość ładowni przetrząśnięto dokładnie. W dole leżały skorupy potłuczonych amfor, porozwijane bele tkanin, porozpruwane worki z ryżem i przyprawami.

Prefekt dołączył do dekuriona klęczącego przy jednym z ciał.

– Nie ma zbyt wielu śladów rozkładu. – Diodorus pociągnął kilka razy nosem, potem musnął palcami kałużę krwi otaczającą zabitego. – Wciąż jest lepka. Zginęli wczoraj, najdalej dwa dni temu.

– Jeśli to dzieło Ajaksa, jesteśmy bliżej, niż sądziłem – mruknął Katon, wstając.

– Możliwe, panie. Ale to mogli zrobić zwykli piraci.

– Naprawdę? Dlaczego więc nie zrabowali prawie nic z ładowni? Na samych przyprawach zarobiliby fortunę. Piraci nie zrezygnowaliby z tak cennego łupu.

– Panie! – rozległ się okrzyk. – Tu jest ktoś żywy!

Prefekt i dekurion pospieszyli w kierunku marynarza stojącego obok masztu. Kiedy się odsunął, zobaczyli wychudzonego, spalonego słońcem mężczyznę w brudnej przepasce biodrowej. W pierwszej chwili Katon odniósł wrażenie, że ranny sam uniósł ręce, lecz po chwili dostrzegł na jego dłoni czarną główkę żelaznego ćwieka, którym przybito nieszczęśnika do drewna. Zrobiono to tak, by człowiek ten nie mógł ani stać, ani uklęknąć. Torturowany dychał jeszcze, płytko i ciężko. Gdy padł na niego cień, jęknął niezrozumiale.

– Zdejmijcie go! – rozkazał prefekt, obracając się twarzą do Sobka, by zawołać: – Dawać tu medyka!

Dwaj marynarze podtrzymali chudzielca, trzeci w tym czasie zajął się podważaniem i wyciąganiem ćwieka. Umęczony

nieszczęśnik jęczał i wył z bólu przy każdym ruchu. Otworzył też przekrwione oczy. Oswobadzanie go trwało całą wieczność, ale w końcu spoczął w ramionach podtrzymujących go ludzi.

– Połóżcie go. Daj mi manierkę – polecił Katon stojącemu najbliżej marynarzowi. – Przeszukać cały statek. Może ktoś jeszcze przeżył tę rzeź.

Pochylił się nad torturowanym, wyciągając korek z manierki. Skrzywił się na widok zakrwawionych i mocno popękanych warg. Wsunąwszy dłoń rannemu pod głowę, podniósł go nieco, by polać mu twarz odrobiną wody. Tamten oblizał usta, gdy poczuł na nich coś mokrego, mruknął też coś radośniejszym tonem, kiedy strumyczek cieczy spłynął mu do suchego jak pieprz gardła. Prefekt pozwolił mu przełknąć jeszcze kilka łyków, ale gdy ranny zaczął się krztusić, natychmiast cofnął manierkę.

– Dzięki… – wycharczał ocalony.

– Co tu się wydarzyło? – zapyta! Katon. – Kto na was napadł?

Mężczyzna, krzywiąc się z bólu, oblizał spierzchnięte wargi. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– Rzymianie…

Prefekt i dekurion wymienili zdziwione spojrzenia.

– Rzymianie? Jesteś pewien?

Moment później po pokładzie przemknął jakiś cień. Gdy Katon podniósł wzrok, dostrzegł za burtą frachtowca maszt Ibisa. Po chwili obie jednostki otarły się o siebie z głośnym zgrzytem. Zaraz potem o pokład załomotały znowu podkute buty. Prefekt machnął ręką do przyjaciela.

– Tu jestem, Macro!

Centurion podbiegł, rozglądając się po pokładzie.

– Wygląda na to, że doszło tu do całkiem sporej bitwy.

– Raczej masakry. Ale znaleźliśmy kogoś, kto ją przeżył. – Katon wskazał okaleczone dłonie leżącego obok mężczyzny. – Przybito go do masztu.

Macro gwizdnął pod nosem.

– Paskudna sprawa. Dlaczego to zrobili?

– Mogę się tylko domyślać. Pewnie chcieli zostawić świadka. Kogoś, kto przeżyje wystarczająco długo, by opowiedzieć o wszystkim.

Przywołany medyk przytruchtał do nich, niosąc chlebak wyładowany opatrunkami i balsamami. Przyklęknął obok ocalonego, zbadał go pospiesznie i sprawdził mu puls.

– Źle z nim, panie. Nie wiem, czy będę mógł pomóc.

– Rozumiem. Skoro tak, musimy go wypytać, zanim będzie za późno. – Katon pochylił się i wyszeptał do ucha mężczyzny: – Jak cię zwą?

– Mene… Menelaos – wycharczał ocalony.

– Posłuchaj mnie, Menelaosie. Odniosłeś bardzo poważne rany. Możesz tego nie przeżyć. A skoro masz umrzeć, zapewne pragniesz, by ktoś mógł cię pomścić. Powiedz nam zatem, kto to zrobił. Wyznałeś, że Rzymianie. Ale kogo konkretnie miałeś na myśli? Rzymskich piratów?

– Nie… – wyszeptał mężczyzna i dodał coś, czego nie zrozumieli.

– Słucham?

– Chyba powiedział „skręt” – podpowiedział Macro. – Ale to nie ma sensu.

Prefekt poczuł mrowienie na karku, gdy dotarło do niego, co

naprawdę chciał powiedzieć ranny żeglarz.

– Okręt. Powiedziałeś, że zaatakował was okręt wojenny?

Mężczyzna przytaknął, oblizał wargi.

– Weszli na pokład… Powiedział, że to kontrola… Potem jednak… kazał zabić… bez cienia litości. – Ocalony wzdrygnął się na samo wspomnienie rzezi. – Mnie oszczędził… Kazał zapamiętać swoje imię… Zawlekli mnie do masztu… Przytrzymali ręce… – W kąciku oka zalśniła mu łza, która po chwili spłynęła po skórze i skapnęła z ucha.

– Jakie to imię? – ponaglił go delikatnie Katon. – Jak się nazywał?

Żeglarz milczał jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu znów poruszył ustami.

– Cen… centurion Macro.

Katon się wyprostował, spojrzał na przyjaciela, który pokręcił tylko głową z niedowierzaniem.

– O czym on mówi, u licha?

Prefekt wzruszył ramionami i znów skupił całą uwagę na konającym żeglarzu.

– Jesteś pewien? Ten człowiek na pewno powiedział, że nazywa się Macro?

Ocalony przytaknął.

– Macro… tak zwali tego drania… Kazał mi to powtarzać w kółko, żebym zapamiętał… Centurion Macro – wymamrotał i skrzywił się z bólu.

– Panie – wtrącił medyk. – Musimy zabrać go ze słońca. Najlepiej pod pokład Sobka. Tam opatrzę mu rany.

– Dobrze. Zrób dla niego, co możesz. – Katon wysunął dłoń spod głowy rannego i wstał.

Chirurg przywołał czterech marynarzy. Kazał im przenieść ocalonego jak najostrożniej. Prefekt obserwował oddalających się ludzi, a gdy weszli na pomost, spojrzał na przyjaciela.

– Dziwna sprawa, nie sądzisz?

– Mam alibi – zażartował centurion. – Ganiałem z tobą za zbiegłymi niewolnikami. – Wskazał kciukiem niesionego po trapie żeglarza. – O co mogło chodzić z tym centurionem Macro?

– Ajaks. To musi być on.

– Dlaczego?

– Kto inny używałby twojego imienia?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego uważasz, że on by to zrobił?

– Może wydaje mu się to zabawne? A może chodzi o coś innego.

– O co?

Katon pokręcił głową w zamyśleniu.

– Nie jestem pewien, ale za tym kryje się na pewno coś więcej.

– Cóż, jeśli to naprawdę Ajaks i jego banda, to znowu mamy świeży trop.

– Tak. Mamy. – Prefekt wydął policzki. – Niezłe wyczucie czasu, nieprawdaż?

– O czym mówisz?

– Właśnie kończy nam się jedzenie. Wody też niewiele zostało. Zabierzemy wszystko, co znajdziemy na tym frachtowcu, i wracamy do Aleksandrii.

Macro wytrzeszczył oczy.

– Nie mówisz poważnie… panie.

– Sam pomyśl, Macro. Jeśli ma nad nami dzień lub więcej przewagi, może być już sto mil stąd. Ile czasu będziemy potrzebowali, by go znaleźć? Ile dni? A co będzie, jeśli wpadniemy na niego tak wycieńczeni, że nie zdołamy podjąć walki? Albo ścigając go, stracimy resztę zapasów i nie będziemy mieli jak wrócić do portu? Nie mamy wyboru. Płyniemy do Aleksandrii. Tam uzupełnimy zapasy i spróbujemy ściągnąć posiłki, by przeczesać dokładnie cały ten rejon.

Macro miał szczery zamiar zaprotestować, ale w tym właśnie momencie podszedł do nich dekurion, by złożyć raport.

– Panie, moi ludzie przeszukali cały statek. Nie znaleźli nikogo żywego.

– Świetnie. Każ im zabrać z ładowni wszystko, co nadaje się do jedzenia, i całą wodę. Podzielmy zdobycz po równo między oba nasze okręty.

– Tak, panie. – Diodorus zasalutował, po czym wrócił do marynarzy czekających przy luku ładowni. – Ruszać się, lenie! Schowajcie miecze i odłóżcie tarcze. Mam dla was robotę.

Macro nie spuszczał wzroku z Katona.

– O co ci chodzi? – zapytał poirytowany prefekt.

– Zastanawiam się. Obyś miał rację. Jeśli Ajaks wymknie nam się ponownie, gdy będziemy w Aleksandrii, możemy go już nigdy nie znaleźć. Ostatni raz słyszeliśmy o nim ponad miesiąc temu.

– Wiem. – Katon machnął bezradnie rękami. – Ale nie mamy wyboru. Musimy wracać.

Macro wydął wargi.

– To twoja decyzja, panie. Ty tu rozkazujesz.

– Tak. To prawda.

Trzy dni później, gdy Sobek wpływał jako pierwszy do wielkiego portu Aleksandrii, nad oboma okrętami górowała monumentalna, wzniesiona przez Ptolemeusza II latarnia morska. Wszyscy żołnierze na pokładach zostali oddelegowani z tutejszych garnizonów, więc gigantyczna wieża nie robiła na nich wrażenia. Katon także miał już okazję ją widzieć, ale to nie przeszkadzało mu w częstym zerkaniu na wyspę Faros i rozmyślaniu o ambicjach faraona. Oprócz latarni w pobliskim mieście znajdowała się także słynna biblioteka, grobowiec Aleksandra Wielkiego i Droga Kanopijska – szeroka aleja biegnąca przez całą metropolię. Wszystko, co wzniesiono w tym mieście, miało służyć onieśmieleniu przybyszów i umocnieniu wiary w wyższość tutejszej kultury.

Zbliżało się południe, więc prefekt musiał mrużyć oczy, gdy unosił wzrok ku górnym piętrom latarni. Z jej szczytu unosił się równy słup dymu wydobywającego się z nigdy nie gasnącego ognia. Właśnie on wskazywał statkom najkrótszą drogę do miasta i służył za punkt orientacyjny dla karawan przemierzających wybrzeża Egiptu.

Katon opuścił ponownie wzrok, złożył ręce za plecami i wrócił do nerwowego przemierzania pokładu. Takie przechadzki stały się jego obyczajem, od czasu gdy wyruszył w pościg za Ajaksem. Uwięzienie na niewielkiej jednostce było prawdziwą męczarnią dla człowieka o tak niespokojnej duszy. Dzięki tym spacerom zyskał sposobność do rozruszania mięśni i okazję do przemyśleń.

Konieczność przerwania pościgu za Ajaksem irytowała go niepomiernie. Nie było wszakże innego wyjścia. Nawet jeśli liczyć zabrane z frachtowca zapasy, jego ludzie wkrótce zaczęliby głodować i usychać z pragnienia. A w takim stanie nie daliby rady pokonać bandy Ajaksa, w której roiło się od zbiegłych

gladiatorów. Ludzi, którzy całymi latami byli szkoleni do walk i zabijania na arenie.

Ciała znalezione na frachtowcu obciążono i wrzucono do wody – również żeglarza, którego bandyci przybili do masztu. Nieszczęśnik zmarł jakiś czas później. Na pokładzie splądrowanej jednostki prefekt zostawił nieliczną załogę pryzową i rozkazał jej doprowadzić statek do Aleksandrii. Okręty wojenne popłynęły przodem, ponieważ obaj dowódcy pałali chęcią jak najszybszego powrotu na te wody.

– Refować żagiel! – zawołał z rufy Fermon, trierarcha Sobka. – Przygotować wiosła!

Chwilę później liburna skręciła w stronę portu wojennego położonego przy pałacu królewskim, dawniej domu faraonów, dzisiaj siedzibie rzymskiego namiestnika i jego sztabu. Wiosła unosiły się, sunęły tukiem do przodu i opadały równomiernym rytmem, popychając okręt ku masywnym pirsom, przy których cumowały jednostki flotylli aleksandryjskiej. Katon widział już wartownika, który wybiegł z wieży sygnałowej, by poinformować dowództwo o przybyciu dwóch liburn.

Moment później prefekt skierował się ku rufie, by zejść do swojej kajuty. Był o głowę wyższy od Macro, miał więc o wiele więcej problemów z nałożeniem czystszej z dwóch tunik, które zdążył zabrać z Krety. Potem wcisnął się niezdarnie w pancerz i nałożył nań resztę rynsztunku. Na paskach wciąż błyszczały dumnie dyski odznaczeń zdobytych podczas służby w II Legionie, części armii, która dokonała przed kilkoma laty inwazji na Brytanię. To podczas tamtej kampanii Katon udowodnił, że jest dobrym żołnierzem, i uzyskał awans na centuriona. Dzisiaj pełnił funkcję prefekta, czyli wyższego oficera, który mógł samodzielnie dowodzić kilkoma jednostkami.

Będę prefektem, dopiero gdy cesarz zatwierdzi ten awans, poprawił się w myślach. A do tego może nie dojść, jeśli zawiodę i nie pokonam Ajaksa, krwiożerczego buntownika, który robił co mógł, by doprowadzić do upadku prowincję kreteńską. Zdołał także przechwycić flotę zbożową, gdy zawinęła na wyspę w drodze do Rzymu, co groziło zagłodzeniem ludności stolicy. Przez krótki moment Katon czuł podziw dla osiągnięć swojego wroga. Ajaks wiedział doskonale, jak wykorzystywać ludzi, i planował wszystko bezbłędnie. Szczerze powiedziawszy, był najniebezpieczniejszym z wrogów, jakich młody prefekt napotkał w swojej karierze, i stanowił największe zagrożenie dla imperium. Było ono tak wielkie, że cesarz nigdy by nie wybaczy! Katonowi porażki. Odmowa podpisania awansu byłaby w takim wypadku najmniejszym z jego problemów. Bardziej prawdopodobna wydawała się degradacja i dożywotne zesłanie na jakieś zadupie. A to zakończyłoby nie tylko karierę w armii, ale i jego znajomość z Julią.

Córka senatora nie przetrwałaby surowego życia gdzieś na granicy imperium. Zostałaby więc w Rzymie i tam znalazłaby sobie z czasem bardziej obiecującego kandydata na męża. Ta myśl zabolała prefekta najmocniej, choć wcale nie winiłby Julii, gdyby doszło do najgorszego. Pomimo żywionych uczuć był realistą i wiedział, że nawet miłość ma określone granice. Pomysł, że Julia podąża za nim na wygnanie, na którym zaczyna go z czasem nienawidzić, wydał mu się jeszcze gorszy. Lepiej będzie, jeśli wyjedzie sam, zachowując o niej tylko dobre wspomnienia, niż gdyby miał dożyć starości, wściekając się na rozpad związku. Katon poprawił paski rynsztunku, potem sięgnął po pas z mieczem i przełożył go przez ramię. Na koniec otworzył mały kuferek stojący u stóp koi i wyjął z niego skórzane etui zawierające rozkazy wydane przez ojca Julii, senatora Semproniusza. Drugi ze znajdujących się tam dokumentów głosił,

że Katon otrzymał nominację na prefekta i czeka na jej zatwierdzenie przez cesarza. Młody oficer miał nadzieję, że oba te pisma zapewnią mu przychylność i pomoc tutejszego namiestnika.

Nie wyczekiwał jednak z utęsknieniem ponownego z nim spotkania. Poprzednim razem widział namiestnika, gdy przybył do Aleksandrii z Krety, przynosząc prośbę Semproniusza o wysłanie wojsk mających zdławić bunt niewolników. Targowanie się z tym człowiekiem było trudne. Katon uzyskał obietnicę wysłania ludzi i statków, dopiero gdy uzmysłowił namiestnikowi, że pałac cesarski będzie szukał kozłów ofiarnych, i to na najwyższych stanowiskach, jeśli straci panowanie nad Krętą.

Prefekt podniósł hełm, zaczerpnął głęboko tchu, a potem zrobił długi wydech. Mógł wrócić na pokład, gdzie będzie mógł nałożyć osłonę głowy, nie narażając się na zniszczenie pióropusza. Dopinając paski pod brodą, obserwował trierarchę i ludzi przygotowujących się do ostatniej fazy cumowania. Liny zostały już rzucone czekającym na pomoście żołnierzom i oni właśnie ustawiali teraz Sobka w odpowiedniej pozycji.

Katon odwrócił się do trierarchy.

– Zejdziesz na ląd i odszukasz kwatermistrza flotylli. Chcę, by oba nasze okręty otrzymały pełne zaopatrzenie. Nie ma czasu na przepustki dla twoich ludzi. Wracamy na morze, jak tylko złożę raport namiestnikowi i zapasy znajdą się w ładowniach.

Trierarcha wydął policzki, po czym odpowiedział, zniżając głos:

– Panie, ludzie są wycieńczeni. Nie widzieli swoich rodzin od miesięcy. Dzień wolnego albo dwa odbudują w nich ducha walki.

– Mają zostać na pokładzie – powtórzył zdecydowanym tonem Katon. – Każdy, kto spróbuje zejść na ląd, będzie potraktowany

jak dezerter. Zrozumiano?

– Tak, panie.

– Świetnie. – Prefekt odwrócił się i zobaczył, że Ibis zacumował już dokładnie za rufą Sobka. Macro zszedł po trapie i czekał na nabrzeżu.

– Pamiętaj, co powiedziałem – ostrzegł Katon trierarchę przed zejściem na ląd.

Gdy tylko postawił stopy na brukowanym pomoście, odniósł wrażenie, że ziemia lekko się zakołysała. Ruszył przed siebie, z trudem utrzymując równowagę, czym rozbawił przyjaciela.

– To ci dopiero dziwne uczucie.

– Owszem – przyznał. – Chodźmy.

Przemierzyli pirs, radując się gorącem bijącym od rozgrzanych kamieni. Przed sobą mieli wrota prowadzące do wnętrza pałacu, czekał przy nich oddział legionistów z centurionem na czele. Oficer stał na szeroko rozstawionych nogach, laskę z winorośli trzymał w obu rękach na wysokości ud.

– Nie wyglądają mi na komitet powitalny – mruknął Macro. – Ktoś musiał wyrwać się przed szereg i wezwać eskortę honorową.

– Niewykluczone – nachmurzył się Katon – choć mało prawdopodobne.

– Nie tylko ty masz sokoli wzrok – zasugerował centurion. – Aczkolwiek trzeba przyznać, ze oficer dyżurny ma głowę na karku.

Szli dalej spokojnie prosto na czekających żołnierzy, zachowując tyle godności, na ile pozwalał im chwiejny krok. Gdy dotarli do bramy, centurion zrobił krok do przodu i pozdrowił ich przepisowym salutem.

– Ty jesteś prefekt Kwintus Licyniusz Katon, panie?

– Tak.

– A ty, centurionie, zwiesz się Lucjusz Korneliusz Macro?

Odpowiedzią było szybkie przytaknięcie.

– Zakładam, że masz nas odprowadzić do swojego dowódcy?

Centurion wyglądał na lekko zaskoczonego.

Katon pokręcił głową.

– Nie mamy czasu na zwykłe formalności. Muszę natychmiast widzieć się z namiestnikiem.

– Formalności? – Centurion wskazał na czekających za nim ludzi. – To chyba jakieś nieporozumienie, panie. Nie wysiano nas tutaj na powitanie. Otrzymałem rozkaz aresztowania was obu.

– Aresztowania? – Macro zrobił wielkie oczy. – O czym ty u licha gadasz? Jakiego znowu aresztowania?

– Czekaj! – Katon uniósł dłoń. – Z czyjego rozkazu?

– Samego namiestnika, panie. Wydal go, gdy tylko dotarła do niego wieść, że wpływacie do portu. Mamy was odprowadzić na strażnicę i czekać na dalsze polecenia. Pójdziecie za mną dobrowolnie, panie?

– Dlaczego? – Prefekt nie ruszył się z miejsca. – Co nam zarzucono?

Centurion gapił się na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Myślałem, że to oczywiste. Morderstwo i uprawianie piractwa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zaprowadzono ich do wartowni. Drzwi zostawiono otwarte, za nimi stało czterech strażników. Komnata była bardzo przestronna i dobrze wentylowana dzięki wąskim oknom umieszczonym prawie pod stropem. Słyszeli przez nie cichy gwar dobiegający z ulic miasta i pobliskiego pałacu.

Katon siedział przy stole, popijał wodę z kubka, radując się, że w końcu nie musi jej sobie oszczędzać.

Macro przyjrzał się pilnującym ich żołnierzom, potem przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i usiadł na zydelku naprzeciw przyjaciela.

– Co tu się wyrabia, u licha? Dlaczego nas aresztowano?

– Słyszałeś, co powiedział ten centurion. Zostaliśmy oskarżeni o morderstwo i piractwo.

– To jakieś brednie – prychnął Macro. – Jesteśmy oficerami rzymskiej armii. A ty nawet prefektem.

– Cieszę się, że to zauważyłeś.

– Jak oni śmią tak nas traktować? Na bogów, któryś z tych durni zapłaci mi za to!

– To przecież oczywista pomyłka, przyjacielu. Zaraz wszystko się wyjaśni. Nie unoś się tak, niepotrzebnie marnujesz energię. – Katon nalał wody do drugiego kubka i pchnął go w stronę przyjaciela. – Masz. Napij się.

Macro zazgrzytał zębami, próbując pohamować gniew, lecz

zaraz pochwycił naczynie i opróżnił je jednym haustem.

– Dawaj jeszcze. – Tym razem wypił wolniej, a potem odsunął od siebie pusty kubek. – Teraz mi lepiej. Czułem się, jakbym miał język zrobiony z podeszwy znoszonego buta.

– Wiem, o czym mówisz – przyznał prefekt. – Mam tylko nadzieję, że nie zapomniano dostarczyć wody na nasze okręty. Chłopcy siedzą na takiej spiekocie.

Macro spojrzał na niego groźnie.

– Wydawało mi się, że powinieneś myśleć o naszych problemach, nie o czyichś.

– Naprawdę? Czy nie ty powtarzałeś mi do znudzenia, że dobry oficer myśli najpierw o podwładnych, a dopiero później o sobie? Strasznie się przy tym upierałeś, gdy byłem twoim optionem.

– Poważnie? – burknął centurion. – Co dobrego przyjdzie nam teraz z przestrzegania tej zasady?

– Choćby to, że nie muszę bez przerwy myśleć o szaleńcu, który miota się po tej izbie jak rozwścieczony byk.

Macro odetchnął, potem nawet zdobył się na uśmiech.

– Wybacz. Po prostu nie lubię, gdy nazywają mnie mordercą i piratem. Mogę być co najwyżej zabójcą i łupieżcą. Tym się w końcu zajmujemy.

– Dla niektórych ludzi to może być naprawdę niewielka różnica – odparł oschle prefekt.

– Naprawdę? – Macro uniósł brwi. – Pieprzyć takich ludzi. Nie jestem mordercą.

Katon przywykł już do specyficznego mędrkowania przyjaciela, więc zbył tę uwagę zwykłym wzruszeniem ramion.

Przerwali rozmowę, gdy usłyszeli tupot podkutych butów

w korytarzu wartowni. Moment później strażnicy rozstąpili się przed centurionem, który kierował aresztowaniem, namiestnikiem prowincji i jego skrybą. Oficer stanął przy drzwiach, skinął głową i zaanonsował przybycie przełożonego.

– Jego ekscelencja Gajusz Petroniusz, namiestnik Aleksandrii, całego Egiptu i cesarski legat.

Katon i Macro zerwali się z miejsc, by pokłonić się Petroniuszowi, gdy wkroczył dumnie do komnaty. Namiestnik zatrzymał się na samym środku pomieszczenia, opierając dłonie na biodrach i robiąc groźną minę. Potem pstryknął palcami, wskazując jeden z kątów. Skryba potruchtał we wskazane miejsce, usiadł tam ze skrzyżowanymi nogami, po czym wyjął z torby tabliczki i rysik.

Petroniusz spojrzał na Katona.

– Powierzyłem ci swoje oddziały, byś zdławił bunt niewolników na Krecie, a nie roznosił go po sąsiednich prowincjach. Wy dwaj macie mi wiele do wyjaśnienia. – Zmierzył ich groźnym wzrokiem. – Przez was cala Delta chwyciła za broń. Gildie handlowe wielu miast żądają waszych głów. Nie ukrywam, że czuję nieodpartą pokusę zrezygnowania z procesu i rzucenia was tłuszczy na pożarcie, żeby nie doszło do otwartego buntu. – Złożył ręce na piersi. – Proszę więc, wyjaśnijcie mi na wszystkich bogów, czemuście to wszystko zrobili?

– Ale co? – zdziwił się prefekt. – Nie rozumiem.

– Pieprzenie! Od miesiąca dostaję raporty mówiące o tym, że terroryzujecie nabrzeżne wioski. Schodzicie na ląd, żądacie wydania zapasów i mordujecie każdego, kto się nie podporządkuje. Doszły mnie nawet słuchy, że zaczęliście zatrzymywać statki kupieckie, by torturować ich załogi w poszukiwaniu informacji i zabijać niemal wszystkich na

pokładzie, zanim odpłyniecie.

Macro i Katon wymienili szybkie spojrzenia.

– Tylko nie zaprzeczajcie! – wrzasnął namiestnik. – Te raporty wymieniają was z imienia. To samo mówią ci nieliczni, których raczyliście oszczędzić. Mam więcej dowodów, niż trzeba, by ukrzyżować was, zanim nadejdzie zmierzch. – Opanował się z trudem i dodał jeszcze:

– Zapytam ostatni raz: dlaczego bawiliście się w ten sposób? Jeśli wierzyć listom, które otrzymałem z Krety, wysłano was w pościg za jakimiś zbiegłymi niewolnikami. Nikt wam nie kazał siać fermentu w Egipcie. Sam już nie wiem, kto stanowi większe zagrożenie dla imperium, zbiegły gladiator czy oprychy wysłane, by go schwytać. Jakby jeszcze tego było mało, wykorzystaliście do odwalenia brudnej roboty moje okręty i moich żołnierzy. Nie myślcie, że to uszło uwagi rozwścieczonych tubylców. Jeden z moich patroli został obrzucony kamieniami, gdy wkroczył do miasta. Straciłem optiona i żołnierza. A wszystko to dzięki wam i terrorowi, który sialiście, goniąc za tym… jak mu tam… Ajaksem.

– Myśmy nic takiego nie zrobili, panie – zaprotestował Macro.

– To wszystko nieprawda.

– Powiedz to w oczy świadkom.

– Ci ludzie kłamią. Ktoś ich przekupił.

– Zobaczymy. Moi oskarżyciele zbierają już zeznania, gromadzą też dowody. A ja zrobię co w mojej mocy, by jak najszybciej doszło do procesu i publicznej egzekucji. To powinno uspokoić nastroje tubylców.

Macro prychnął z odrazą.

– Nic na mnie nie macie. Nic nam nie zrobicie.

– Zaufaj mi, centurionie, że zrobimy. Co więcej, sam cesarz i ten jego jadowity wąż Narcyz przyklepią wyrok bez mrugnięcia okiem.

Katon przysłuchiwał się tej wymianie zdań. A gdy w końcu pojął, o co chodzi, uśmiechnął się pod nosem.

– Co cię tak bawi, na Hadesa? – zapytał namiestnik. – Nie widzę tutaj nic śmiesznego.

– To wszystko robota Ajaksa, panie. To on stoi za tymi atakami.

– Ajaks?

– To oczywiste. Zaciera za sobą ślady. A przy okazji podburza przeciw nam miejscową ludność.

– O czym ty mówisz?

– Trafiliśmy ostatnio na dryfujący frachtowiec. Zabito całą jego załogę prócz jednego człowieka. Od niego dowiedzieliśmy się, że za tą rzezią stał centurion Macro.

Jego przyjaciel znów prychnął.

– Trochę się zdziwiłem, panie, gdy to usłyszałem.

– To także wyjaśnia, dlaczego wieśniacy uciekli przed nami, kiedy dobiliśmy do brzegu dzień wcześniej – kontynuował Katon. – Nasz gladiator sporo się napracował ostatnimi czasy.

– Zakładam, że możecie dowieść prawdziwości tych słów? – zapytał namiestnik. – Czy ten ocalony żeglarz może potwierdzić, że nie Macro zaatakował jego statek?

– Niestety nie, panie. Zmarł wkrótce potem.

– Dobrze się złożyło, nieprawdaż?

– Nie dla nas. Ale nie szkodzi. Sprowadź, panie, pozostałych świadków, a przekonasz się, że żaden nas nie rozpozna. To

dowiedzie naszej niewinności.

Namiestnik milczał przez dłuższą chwilę, w końcu skinął głową.

– Dobrze. Masz rację. – Podszedł do drzwi i pstryknął palcami na jednego ze strażników. – Sprowadź mi tutaj kapłana Hamedesa. Trzymają go w pałacowych koszarach. Tylko nic mu nie mów o tych dwóch oficerach. Zrozumiano?

Żołnierz zasalutował, obrócił się na pięcie i pobiegł w głąb korytarza. Petroniusz natomiast wrócił do Macro i Katona.

– Zaraz się przekonamy, czy mnie nie okłamujecie. Dziesięć dni temu napadnięto na świątynię w Delcie. Kapłanów wyrżnięto, ogołocono tamtejszy skarbiec. Tylko jedna osoba ocalała z rzezi, kapłan. Pojawił się wczoraj u bram miasta, bełkocząc o rzymskich żołnierzach, którzy zaatakowali świątynię. Zabrano go do koszar, by został należycie opatrzony i odpoczął przed złożeniem zeznań. Zobaczymy, co powie, gdy was tu zobaczy… – Zamilkł, wbijając wzrok w twarze Macro i Katona, a potem dodał jeszcze: – Ale jeśli potwierdzi waszą wersję zdarzeń, to mamy do czynienia z bardziej podstępnym i groźnym przeciwnikiem, niż do tej pory sądziłem.

Prefekt przytaknął jego słowom.

– On jest naprawdę przebiegły. I totalnie bezwzględny. Mniemam, że chce wywołać niepokoje i nowy bunt w Egipcie. Tylko tak można wytłumaczyć jego zachowanie.

– Ale dlaczego? – zapytał Macro. – Mógłby przecież uciec i schronić się gdzieś na lądzie. Przeczekałby tam spokojnie nasze poszukiwania, żyjąc jak wolny człowiek.

– Nie, gdziekolwiek by się udał, zawsze będzie uciekinierem. On o tym doskonale wie. I dlatego nie zazna spokoju. Bez

względu na to, gdzie się schroni, Rzym zawsze będzie na niego polował. Dlatego pozostała mu jedynie walka z nami do samego końca. Tylko na tym się zna. Tak czy inaczej, zawsze będzie naszym wrogiem. A przynajmniej do chwili, gdy go znajdziemy i zabijemy.

– A to musi nastąpić jak najszybciej – wtrącił żywo Petroniusz. – Dość mam problemów w górze Nilu, by dodawać do nich jeszcze niepokoje na wybrzeżu… – Zamilkł, po czym podszedł do stołu, przysunął sobie zydel i usiadł, nakazując obu oficerom, by uczynili to samo. Skryba pozostał w kącie, dyskretnie notując każde wypowiedziane słowo. Katon zerkał na niego świadom, że musi zachować ostrożność, skoro treść tej rozmowy jest notowana.

Namiestnik nalał sobie wody, zanim znów zaczął mówić.

– W prowincji nie było spokojnie nawet przed przybyciem tego gladiatora, o ile, rzecz jasna, nie wy jesteście odpowiedzialni za nękanie miejscowej ludności.

Macro poczerwieniał na twarzy, dlatego Katon dał mu ukradkiem znak, by zmilczał tym razem. Petroniusz nie zauważył tego gestu, trzymał kubek obiema rękami, wpatrując się w błyszczącą kojąco powierzchnię wody.

– Nubijczycy od trzech miesięcy robią wypady na naszą stronę granicy – powiedział w końcu. – Za każdym razem docierają dalej, ale zawsze się wycofują, zanim zdołamy zgromadzić odpowiednie siły. Moim zdaniem testują naszą zdolność do obrony i dokonują rozpoznania przed poważniejszym atakiem. Kilka dni temu pewien strategos z przygranicznego nomu potwierdził moje podejrzenia.

Macro spojrzał na Katona, unosząc pytająco brwi. Potem odchrząknął.

– Wybacz, panie, co to jest ten nom?

Petroniusz spojrzał na niego poirytowany.

– No tak, przecież wy nic nie wiecie o naszych porządkach administracyjnych. To taka pozostałość po czasach, gdy Rzym dopiero podporządkowywał sobie Egipt. Nomy to jednostki administracyjne. Każdym z nich zarządza cywilna rada i strategos. Dobrze się spisują, zbierając lokalne podatki i dbając o porządek, więc uznaliśmy, że nie będziemy zmieniać tego układu.

– Miło słyszeć, że Grecy w końcu zrobili coś z głową – burknął Macro.

– Szczerze powiedziawszy, przejęli ten system od miejscowych.

– Co takiego? Od tych kmiotów?

Petroniusz się uśmiechnął.

– Ty naprawdę nic nie wiesz.

– O czym?

– O tej prowincji. Egipt był kiedyś potęgą. Na długo przed tym, nim nad Tybrem osiedlili się pierwsi wieśniacy.

– Gówno prawda. – Macro wskazał kciukiem na miasto. – Ten motłoch?

– Daję ci słowo, że to czysta prawda, ale nie próbuj wypytywać miejscowych o ich historię, chyba że masz kilka lat na zbyciu.

Katon odchrząknął znacząco.

– A co z tymi Nubijczykami, panie?

– A tak… – Namiestnik skupił się ponownie na temacie. – Strategos z Syene wysłał szpiegów na drugą stronę granicy, by dowiedzieć się czegoś więcej. Większość nigdy nie wróciła, ale

jeden się odezwał. Człowiek ten twierdził, że widział kolumny nubijskich wojowników gromadzące się jakieś sto mil za kataraktami. Wojskami tymi dowodził książę Talmis. To najstarszy z synów króla Nubii. Do tej pory zdążył podbić Etiopię i dał się poznać jako utalentowany wódz. A teraz zamierza ugruntować sławę, atakując naszą prowincję. Jestem tego pewien.

– Dlaczego? – dziwił się Katon. – Sprowokowaliśmy czymś Nubijczyków?

– Skoro o tym mowa… Jakiś rok temu cesarz nakazał mi stworzyć mapę Nilu aż do jego źródeł – wyjaśnił Petroniusz. – Argumentowałem, że tego typu wyprawa spowoduje nieuniknione tarcia. Nubijczycy to lud bardzo czuły na swoim punkcie.

– Nie wątpię. Nietrudno sobie wyobrazić, że uznali to za przygotowanie do inwazji. Po cóż innego Klaudiusz by potrzebował mapy ich krainy?

– Cesarski sekretarz zapewniał mnie gorliwie, że nie ma planów takiej inwazji. Cele wyprawy miały być ściśle naukowe.

Macro podrapał się po policzku.

– A ty mu oczywiście uwierzyłeś, panie?

– To, czy ktoś wierzy Narcyzowi, nie ma większego znaczenia. Gdy cesarz wydaje rozkaz, musimy go wykonać. Wysłałem więc w górę rzeki kartografów, dając im skromną eskortę i przesłanie dobrej woli… – Petroniusz zamilkł.

– Jak miejscowi zareagowali? – zapytał centurion.

– Książę Talmis odesłał mi ich głowy z uprzejmą prośbą, abyśmy trzymali się z dala od jego granic.

Katon pochylił się mocniej.

– A ty, rzecz jasna, wysłałeś wojsko, by ukarać winnych tej zbrodni.

– To chyba zrozumiałe. Co innego miałem zrobić? Rzym nie może puszczać płazem podobnych zniewag. Nasi chłopcy spalili doszczętnie kilka ich wiosek, wzięli do niewoli ponad tysiąc ludzi i zniszczyli każde urządzenie do nawadniania, na jakie się natknęli. Potem zaczęły się podjazdy z ich strony, przez co musieliśmy wysłać wiele nowych jednostek na południe, by uszczelnić granicę. W normalnej sytuacji moje garnizony mogą bez problemu bronić tych ziem i strzec porządku w całej prowincji. Mam do dyspozycji dwa legiony, Trzeci stacjonujący tutaj, w Aleksandrii, i Dwudziesty Drugi w Heliopolis. Do tego dochodzi dziewięć kohort jednostek pomocniczych rozmieszczonych w fortach wzdłuż Nilu. Ale jak doskonale wiecie, musiałem wypożyczyć swojemu dobremu przyjacielowi Semproniuszowi niemal połowę stanu osobowego Trzeciego i dwie kohorty pomocnicze, by zdławić rebelię niewolników na Krecie. Większość tych ludzi nadal nie wróciła pod moje rozkazy. Wychodzi więc na to, że mam w Aleksandrii tylko dwie kohorty legionistów. Tysiąc ludzi ma kontrolować półmilionową metropolię. Niełatwa robota, nawet w spokojnych czasach. A od kiedy zaczęły się problemy z Ajaksem, o ile mówicie prawdę, żeglarze i kupcy bez przerwy domagają się zwiększenia ochrony. Nie mówiąc już o tym, że ich problemy nakładają się na powszechne tarcia pomiędzy Grekami i Żydami. Do tego dochodzą jeszcze fellachowie, czyli zamieszkująca wybrzeże biedota, która zaczyna się już burzyć przez te ataki na wsie i świątynie. Ale to nie wszystko – dodał z goryczą w głosie. – Ostatnie odczyty nilometrów mówią, że musimy się spodziewać skromniejszych plonów.

– Stan wody jest za niski? – zainteresował się Katon.

Petroniusz pokręcił głową.

– Za wysoki. Nil zaleje znacznie wyżej położone tereny niż zwykle, a to znaczy, że opadanie jego wód potrwa tego lata dłużej, przez co opóźnią się zasiewy. Fellachowie zaczną głodować, a my nie zbierzemy tylu podatków co wcześniej. Moi ludzie poradzą sobie z pierwszym problemem, ale drugiego mogę nie przetrzymać, gdy w skarbcu cesarskim zauważą, że wpływy z prowincji są mniejsze, niż oczekiwano. – Petroniusz rozłożył ręce w geście bezradności. – Zatem jak sami widzicie, wasz przyjaciel Ajaks pojawił się na scenie w jak najgorszym momencie.

Macro zmrużył oczy.

– Ten gad nie jest moim przyjacielem.

– To taka figura retoryczna – zbył go namiestnik.

Rozmowę przerwało mocne pukanie we framugę. Cała trójka spojrzała w kierunku wejścia.

– Panie, sprowadziłem brudasa ze świątyni, po którego posłałeś.

Petroniusz się skrzywił.

– Żołnierzu, wolałbym, abyś ty i twoi kompani nie wyzywali miejscowej ludności od brudasów.

Skarcony strażnik spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Słucham, panie?

– Egipcjanie nie są brudasami, zrozumiano?

– Tak, panie.

– Świetnie. Wprowadź go.

Katon zerknął na przyjaciela, wciągając powietrze głęboko do

płuc. Z niecierpliwością czekał na pojawienie się ocalałego kapłana, aby opowiedział, co naprawdę zaszło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Hamedes był wysokim, postawnym mężczyzną. Do niedawna golił dokładnie głowę, ale kilka dni poniewierki zostawiło na niej ślad w postaci ciemnego meszku. Był nieco młodszy od Katona, miał wąskie głęboko osadzone oczy i wydatny orli nos, tak charakterystyczny dla jego ludu. Odziano go w prostą wojskową tunikę, zapewne wypożyczoną z magazynów garnizonu. Stanął przed nimi boso, wyprostowany, jakby połknął kij. Mówił płynną greką.

– Posłałeś po mnie, panie – rzucił takim tonem, że ostatnie słowo zabrzmiało niemal protekcjonalnie.

– Zgadza się – przytaknął namiestnik. – Chciałbym, abyś opowiedział o wszystkim tym oto oficerom.

– Dlaczego? Złożyłem już zeznania, twój skryba spisał je dokładnie. Nie muszę więc powtarzać w kółko tego, co powiedziałem. To zwykłe marnowanie czasu.

– Nie unoś się tak – zganił go Macro, robiąc minę, którą zdeprymowałby większość swoich podwładnych, Hamedesa to jednak nie ruszyło. – Bądź tak miły i opowiedz nam wszystko ze szczegółami.

Kapłan zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– A przed kim mam się wypowiadać, jeśli wolno zapytać?

Macro dumnie wypiął pierś.

– Jestem centurion…

– Dość! – przerwał mu Katon. – Przyprowadzono cię tutaj, abyś odpowiadał, a nie zadawał pytania.

– Doprawdy? A ja myślałem, że przyszedłem tu jako świadek rzymskiej napaści na świątynię Izydy w Keirkucie. Nasze święte miejsce zostało obrócone w ruinę, a moi współbracia stali się karmą dla sępów. Przybyłem do was, aby sprawiedliwości stało się zadość, panie… – Zamilkł na moment. – O ile wy, przybysze z Rzymu, rozumiecie, czym jest koncept sprawiedliwości. Z waszych reakcji wnoszę, że traktujecie mnie jak pospolitego więźnia.

Macro zerknął na przyjaciela, zanim odezwał się ponownie, tym razem o wiele łagodniejszym tonem:

– Strasznie nadęty gówniarz, nie sądzisz? Jeśli chce się pobawić w ten sposób, chętnie przyjmę na siebie rolę przesłuchującego.

– Spokojnie – odparł Katon. – Sprawdźmy najpierw, co nam powie po dobroci. – Zwrócił się do Hamedesa: – Namiestnik poprosił nas, abyśmy dołączyli do grona oficerów zajmujących się tym incydentem. Moglibyśmy przeczytać twoje zeznania, ale wolimy wysłuchać relacji z pierwszej ręki. To byłaby nieoceniona pomoc z twojej strony, skoro tak bardzo zależy ci na wymierzeniu sprawiedliwości.

Młody kapłan spoglądał na niego przez chwilę, potem skinął głową.

– Dobrze. Jestem gotów do współpracy, skoro tak przedstawiacie sprawę.

– To miłe z twojej strony – burknął Macro, ale zaraz umilkł zgromiony wzrokiem przyjaciela.

– Powiedz im to, co mówiłeś mnie, Hamedesie – odezwał się Petroniusz. – Proszę.

– Dobrze. – Kapłan przymknął na moment powieki, by zebrać myśli. – Pojawili się tuż przed zmierzchem, kiedy najwyższy kapłan rozpoczynał ceremonię żegnania Ra zstępującego w podziemia. Starsi kapłani znajdowali się przy ołtarzu, reszta z nas klęczała na brzegu rzeki, przy świętej barce. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem żagiel. Rzymski okręt wojenny nadpływał od strony morza, kierując się na wschodnie koryto. Najwyższy kapłan nie zwracał na to uwagi i kontynuował ceremonię, przygotowując korzec mąki na spalenie w ofierze Ra, najmądrzejszemu i najlitościwszemu. – Hamedes złożył na chwilę ręce, skłaniając głowę. – Okręt popłynął wszakże prosto na naszą przystań. W ostatniej chwili jego załoga podciągnęła żagiel i wykonała zwrot, by przybić do szerokich stopni wychodzących z Nilu. Potem Rzymianie opuścili trap i zeszli na ląd.

– Mieli na sobie mundury? – zapytał Katon. – Takie jak mój?

– Mieli takie tuniki jak twoja, tylko białe. Poza tym miecze, tarcze i hełmy przypominające te, które noszą żołnierze jednostek pomocniczych.

– Zatem to marynarze – podsumował Macro. – Zgodnie z naszymi przewidywaniami.

Jego przyjaciel przytaknął.

– Kontynuuj. Co było dalej?

– Otoczyli nas i zagnali w pobliże barki Ra, najmądrzejszego i najlitościwszego. – Hamedes powtórzył wcześniejszy gest. – Wszystkich prócz najwyższego kapłana. Jego postawili z dala od nas i tam został przesłuchany przez rzymskiego dowódcę, który zszedł na brzeg ostatni.

– Możesz go nam opisać? – poprosił obojętnym tonem prefekt, ignorując nerwowe zerkanie Petroniusza.

Hamedes się zamyślił.

– Wysoki, dobrze umięśniony. Miał ciemne oczy, szczerze powiedziawszy, wyglądał bardziej na Greka niż Rzymianina, ale przywykliśmy już do tego tutaj, w Egipcie. Nosił pancerz łuskowy, miał na głowie hełm z pióropuszem i niebieski płaszcz. Przy jego boku widziałem jeden z tych waszych krótkich mieczy.

– Widziałeś go z bliska, powiadasz?

– Tak. Stałem opodal, gdy przesłuchiwał najwyższego kapłana.

– Rozpoznałbyś go, gdyby stanął ponownie przed tobą?

– Jestem tego pewien.

– Świetnie – ucieszył się Katon. – Mów dalej, proszę.

Hamedes skinął głową.

– Powiedział najwyższemu kapłanowi, że działa z polecenia namiestnika Aleksandrii. Oświadczył też, że wydano nowy edykt nakazujący konfiskatę całego złota i srebra przechowywanego w świątyniach. Zażądał, by najwyższy kapłan wskazał mu drogę do naszego skarbca. Kapłan stanowczo odmówił. Wpadł w szał. Wykrzyczał oficerowi w twarz, że Rzymianie samą swoją obecnością kalają święte dla nas miejsce. Kazał im się wynosić, ale nie zrobili tego. Wybrali spośród nas jednego z młodych adeptów. Został ścięty na oczach najwyższego kapłana. Oficer ponownie zażądał wskazania skarbca, a gdy padła odmowa, zabił kolejnego z nas. Ścinał nowicjuszy jednego po drugim, dopóki najwyższy kapłan nie przemówił. Przeklął Rzymianina, ale zaprowadził go do skarbca. Potem wybrano czterech z nas, byśmy przenieśli na pokład okrętu szkatułki wyładowane złotem i srebrem. Gdy to uczyniliśmy, oficer kazał zabić pozostałych, poczynając od najwyższego kapłana… – Hamedes przerwał, a gdy odezwał się ponownie, głos łamał mu się przy każdym stówie. –

Widziałem krew ściekającą po stopniach, barwiącą wody Nilu.

– Próbowałeś uciec? – dociekał prefekt. – Czy może się ukryłeś?

– Nie. Byłem zbyt przerażony, by się ruszyć. Jak chyba wszyscy. Zanim zrozumiałem, co się święci, tylko ja pozostałem przy życiu. Wtedy oficer podszedł do mnie, stanął nie dalej niż wy teraz i spoglądał na mnie przez chwilę w milczeniu. Byłem pewien, że zaraz zginę, więc zwróciłem się twarzą ku zachodowi, by zmówić ostatnią modlitwę do Ra, najmądrzejszego i najlitościwszego…

– Tak, wiemy – przerwał mu Macro. – Możesz pomijać takie szczegóły. Kontynuuj.

Hamedes zerknął na centuriona.

– Pomodliłem się, a potem chwyciwszy się za ramiona, spojrzałem oprawcy w twarz. Powiedział mi, że Rzym ma już dość zuchwalstwa naszych kapłanów. Stwierdził, że cesarz wydał edykt, na mocy którego wszystkie dawne wierzenia mają być starte z powierzchni ziemi. I dodał, że zostanę oszczędzony, abym przekazał te wieści innym. Kazał mi zapamiętać jego imię i nie zapominać, że działa w imieniu waszego władcy Klaudiusza.

– Najmądrzejszego i najlitościwszego – mruknął Macro, lecz umilkł zaraz skarcony ostrym spojrzeniem przyjaciela.

Katon przeniósł szybko wzrok na kapłana.

– Jak nazywał się ten oficer?

– Powtórzyłem jego nazwisko skrybie – rzucił Hamedes pod adresem Petroniusza, a pochyliwszy głowę, dodał: – Twierdził, że jest prefektem i nazywa się Kwintus Licyniusz Katon.

– Jesteś pewien?

– Tak. Musiałem to powtórzyć wiele razy.

– I co dalej?

– Walnął mnie w skroń głowicą miecza. Straciłem przytomność. Gdy ocknąłem się w końcu, leżałem na stosie pomordowanych towarzyszy, moje szaty przesiąkły ich krwią. Rzymian już nie było, zanim odpłynęli, podpalili komnaty kapłanów, do świątyni naznosili też drewna, liści palmowych i amfor z oliwą i puścili wszystko z dymem. Pożar trawił to miejsce przez całą noc, aż do świtu. Nic nie ocalało z pożogi. Ani drogocenne malowidła zdobiące ściany, ani święte księgi. – Hamedes skrzywił się na to wspomnienie. – Byłem tam sam jak palec. Świątynia przestała istnieć. Uznałem więc, że nie pozostaje mi nic innego, jak szukać sprawiedliwości. Albo zemsty. Poprzysiągłem na wszystkich bogów mojego ludu, że odnajdę i zabiję prefekta Katona.

– Człowiek, który zaatakował waszą świątynię, nie jest Rzymianinem – oświadczył Katon zdecydowanym tonem. – To zbiegły niewolnik, który podszywa się pod jednego z nas. Morduje Egipcjan mieszkających na wybrzeżu od niemal miesiąca.

– To był Rzymianin – upierał się Hamedes. – Naprawdę uważasz, że dam się nabrać na takie gadki? Jego ludzie też byli przebierańcami? Zbudowali sobie wasz okręt wojenny? Macie mnie za durnia?

– Okręt, którym przypłynęli, był prawdziwy. Tak samo jak ich mundury i reszta rynsztunku. Tego człowieka zwą wszakże Ajaksem. Porwał naszą jednostkę i wyrżnął jej załogę. Ścigamy go już od kilku miesięcy.

Kapłan spojrzał podejrzliwie na Katona.

– Nie wierzę wam.

Petroniusz wskazał ręką prefekta.

– Widziałeś kiedyś tego człowieka?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Pierwszy raz go widzę.

– Zdziwisz się zatem, jeśli ci powiem, że stoisz przed prefektem Katonem i centurionem Macro?

Hamedes potrząsnął głową.

– Co wy kombinujecie?

– Nic nie kombinujemy – zapewnił go namiestnik. – A w każdym razie nikt z tu obecnych nie chce cię oszukać. Ten oto człowiek to prefekt Katon, a każde słowo, które od niego usłyszałeś, jest najczystszą prawdą. Człowiek, który zaatakował świątynię i wybił kapłanów, to zwykły oszust. Chce was podjudzić do wszczęcia rewolty. Chce rozniecić w waszych sercach płomień zemsty. I jak na razie całkiem nieźle mu to wychodzi. Teraz znasz całą prawdę. Musisz nam pomóc, Hamedesie. – Egipcjanin spoglądał na niego z ogromnym niedowierzaniem, więc namiestnik złagodził nieco ton. – Jesteś kapłanem. Cieszysz się szacunkiem tutejszej ludności, więc twoje słowo wiele znaczy. Chcę, abyś powiedział im całą prawdę. Nie tylko mieszkańcom wybrzeża, ale także aleksandryjczykom.

– Co proponujesz, panie?

– Zwołam spotkanie cechów kupców i armatorów. Udzielę im audiencji w pałacu, a ty opowiesz im o tym, czego się dzisiaj dowiedziałeś.

– Myślisz, że mi uwierzą? Powinieneś wiedzieć, że aleksandryjczycy spoglądają na takich jak ja z góry. Dlaczego mieliby zaufać słowu prostego Egipcjanina?

– Może dlatego, że prości Egipcjanie nienawidzą Rzymian bardziej niż Grecy ich. Jeśli weźmiesz naszą stronę, dasz Grekom

sporo do myślenia. Poza tym lepiej, by dowiedzieli się prawdy o Ajaksie od kogoś takiego jak ty niż ja.

Hamedes skiną! głową.

– Rozumiem. Oby mi uwierzyli.

Po zmierzchu tego samego dnia namiestnik Petroniusz zasiadł na bogato zdobionym tronie, który ustawiono na podwyższeniu w samym końcu sali audiencyjnej. Po jednej stronie miał Katona i Macro, po drugiej parę siedzących na matach skrybów. Jeden z nich miał zapisywać stówa swojego pana, drugi odpowiedzi gości. Petroniusz jak zwykle dbał, by każde jego spotkanie było dokumentowane, aby mieć dowody na swoją obronę, gdyby Rzym oskarżył go kiedyś o niekompetencję albo korupcję.

Salę audiencyjną otaczały rzędy kolumn zwieńczonych kapitelami, na których wyryto charakterystyczne miejscowe wzory, czyli kwiaty lotosu. W tej samej komnacie Ptolemeusze ogłaszali poddanym kolejne dekrety. Kleopatra, ostatnia przedstawicielka dynastii faraonów, przyjmowała w tych murach najpierw Juliusza Cezara, a potem Marka Antoniusza, zasiadając na tym samym podwyższeniu i tym samym tronie. Dzisiaj jednak nikt już nie wygłaszał płomienistych zapewnień o wielkiej przyjaźni łączącej obie znamienite potęgi. Skończył się także ceremonialny przepych. W sali stali naprzeciw siebie rozgniewani aleksandryjczycy i pilnujący ich ponurzy jak noc legioniści.

Hamedes kończył właśnie opowiadać o swoich doświadczeniach i potwierdził wszem wobec, że stojący u boku namiestnika Rzymu prefekt Katon nie jest człowiekiem odpowiedzialnym za spalenie świątyni. Pozostali świadkowie, ludzie oszczędzeni przez Ajaksa, potwierdzali zgodnie tezę Petroniusza, że napastnicy udają Rzymian.

Z początku tylko nieliczni mieszkańcy miasta krzyczeli, że namiestnik próbuje zatuszować sprawę i chroni renegatów wywodzących się z jednostek okupujących terytorium Egiptu. Petroniusz wysłuchiwał cierpliwie krzyków, ale po chwili zrobiła się taka wrzawa, że próby przemówienia tym ludziom do rozsądku spełzłyby na niczym. Pochylił się więc do Macro.

– Centurionie, bądź tak dobry i ucisz tych ludzi, abym mógł odpowiedzieć.

– Tak, panie. – Macro zaczerpnął tchu, przyłożył dłonie do ust i ryknął: – Cisza!

Budowniczowie pałacu zadbali, by głos człowieka zasiadającego na tronie był doskonale słyszalny w całej komnacie, a każdy centurion musiał umieć osadzić wrzaskiem rekruta znajdującego się czasem w odległości stu kroków. Nic więc dziwnego, że aleksandryjczycy zostali uciszeni w jednej chwili, a gdy zamilkli, Petroniusz obwieścił:

– Zapewniam was, że ludzie, którzy dokonują napadów na nadbrzeżne miejscowości i wasze statki, nie są Rzymianami. Możecie także sprawdzić, że wszystkie jednostki naszej flotylli stoją w porcie. Mówimy więc o zupełnie obcych mi ludziach, których przywódcą, jak dowiedziono, jest człowiek zwany Ajaksem… – Namiestnik zamilkł na moment. – Ufam więc, że wrócicie do swoich cechów i pomożecie uciszyć krążące po wszystkich dzielnicach plotki. To jedyna rozsądna rzecz, jaką można w tej sytuacji zrobić. Jeśli się dowiem, że ktoś z was nadal rozpowszechnia kłamstwa o Rzymianach dokonujących napadów, nie będę miał wyjścia i oskarżę go o wichrzycielstwo. A wyrokiem za takie przewiny jest konfiskata mienia i wygnanie albo śmierć.

Nieliczni tylko zaczęli szemrać, po chwili jeden z obecnych

wystąpił z tłumu, unosząc rękę.

– Czy mogę coś powiedzieć, panie? – Petroniusz przytaknął. – Odkrycie prawdy o napastnikach to jedno, a ukrócenie ich to zupełnie inna sprawa. Ten zbieg i jego banda wciąż przebywają na wolności. Co zamierzacie zrobić, by zapewnić ochronę naszym kupcom? Zapewniam cię, panie, że wieści o naszych problemach dotarły do sąsiednich prowincji. Tamtejsi armatorzy nie chcą już wysyłać statków do Aleksandrii, a ci, którzy wyrażają zgodę, żądają za ich wynajem bajońskich sum. Sądzę, że przemówię w imieniu wszystkich kupców Egiptu, jeśli powiem, że skoro płacę tak wysokie podatki, oczekuję od władz pełnej ochrony prowadzonych przeze mnie interesów.

– I masz rację! – odparł Petroniusz, podnosząc głos. – Domyślam się, że zależy ci także na życiu żeglarzy przewożących twoje towary.

Kupiec poruszył się niespokojnie, potem skinął głową.

– Oczywiście. Nie muszę wspominać, jak bliskie mojemu sercu jest dobro załóg tych statków.

– O ile masz serce – mruknął pod nosem Macro.

– Celna uwaga – poparł go półgłosem Katon.

Petroniusz zerknął na obu oficerów, po czym skupił ponownie uwagę na przedstawicielu miejscowych cechów, który nie skończył jeszcze mówić.

– Panie, pozostawiłeś bez odpowiedzi zadane ci pytanie. Co zamierzasz zrobić z tym renegatem?

– Zajmujemy się już tą sprawą. Prefekt Katon dowodzi okrętami, które odnajdą i wybiją zbiegłych niewolników.

– Jak do tej pory niewiele udało mu się osiągnąć! – zawołał ktoś z tłumu.

Zawtórował mu chór zagniewanych głosów, które umilkły, dopiero gdy Petroniusz uniósł rękę, dając znak, że zamierza odpowiedzieć.

– Jestem pewien, że prefekt Katon wykona już wkrótce swoje zadanie. Ufam mu bezgranicznie.

– Wkrótce, czyli kiedy? – zapytał inny kupiec. – Bandyci nękają nas już od ponad miesiąca. Jeszcze miesiąc i będę musiał zwinąć interes.

Poparło go wiele rozgoryczonych pomruków.

– Zamilczcie! – zawołał namiestnik mniej pewnym tonem. – Zamilczcie, mówię! Prefekt Katon otrzyma ode mnie wszelką pomoc w ludziach i sprzęcie, aby osaczyć i zlikwidować Ajaksa.

Macro trącił łokciem przyjaciela.

– A to ci nowina.

– Dla mnie też. – Katon uśmiechnął się pod nosem. – Ale przynajmniej miła.

– A co innego mogłem im powiedzieć? – obruszył się Petroniusz, gdy dotarł z oboma oficerami do swoich apartamentów. – Sami słyszeliście, co wygadywali. Byli w bardzo buntowniczych nastrojach. A wielu z nich ma znaczące koneksje w Rzymie. Co gorsza, ostatni dwaj cesarze rozdawali ziemię w Egipcie swoim protegowanym, jakby to były łakocie, nie majątki. Nawet Narcyz ma kilka posiadłości w delcie Nilu. Działania Ajaksa stanowią zagrożenie dla dochodów, które ci ludzie osiągali z tutejszych pól. Sami powiedzcie, czy chcielibyście mieć przeciw sobie kogoś takiego jak sekretarz cesarza? Muszę więc dbać, by Narcyz i jego poplecznicy wiedzieli, że zrobiłem co w mojej mocy, by zapobiec najgorszemu.

– Ale nie zamierzasz udostępnić nam środków i ludzi

potrzebnych do wytropienia zbiegów?

– Nie. Nie mogę. Mówiłem wam, jak bardzo musiałem rozśrodkować posiadane siły. Skąd mam wziąć ludzi, którzy będą się uganiali za piratami?

– Nie musielibyśmy się za nimi uganiać, gdybyśmy dysponowali większą ilością ludzi i sprzętu – przypomniał mu Macro. – Mając kilka okrętów, przeczesywalibyśmy morze znacznie szybciej, nie mówiąc już o tym, że w razie spotkania z Ajaksem posiadalibyśmy znaczącą przewagę liczebną.

– O ile go dopadniecie.

– Dopadniemy, panie – zapewnił go Katon. – Masz na to moje słowo.

– A jeśli opuści Deltę? – zapytał Petroniusz. – Co będzie, jeśli pożegluje na północ? Co zrobicie? Będziecie nadal marnowali czas na uganianie się za własnym cieniem?

– On stąd nie odpłynie. Dlaczego miałby uciekać? Dotąd udawało mu się skutecznie podburzać miejscowych przeciw Rzymowi. Zostanie tu tak długo, jak długo będzie mógł nam szkodzić. Daj nam flotyllę, a przygwoździmy go w kilka dni.

– Mam dać wam flotyllę? – zakpił namiestnik. – Marynarze z moich jednostek dopiero co uzupełnili braki w garnizonach miasta. Poza tym potrzebuję każdego żołnierza do walki z Nubijczykami.

– A my potrzebujemy okrętów – upierał się Katon.

Petroniusz zaczerpnął głęboko tchu, rozważając przedstawione mu żądanie.

– Dam wam sześć dodatkowych okrętów. Ale tylko na miesiąc. Potem będą mi potrzebne.

Prefekt przemyślał tę ofertę. Osiem okrętów powinno wystarczyć do osaczenia i pokonania Ajaksa, pozostawała jednak kwestia czasu.

– Miesiąc może nie wystarczyć.

– Na dłużej ich nie dostaniecie. Po miesiącu okręty i ich załogi przejdą pod rozkazy legata Dwudziestego Drugiego Legionu z Diopolis Magna. Radzę więc, abyś nie marnował czasu, prefekcie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– To jak szukanie ziarenka piasku w worku soli – narzekał Macro, idąc plażą za Katonem i Hamedesem. Zmierzali ku wyciągniętym na brzeg łodziom rybackim. – Pieprzony Ajaks stał się niewidzialny.

– Znajdziemy drania, żeby nie wiem co – rzucił obojętnym tonem prefekt.

– Czasu nam braknie, przyjacielu. Wyznaczony miesiąc dobiega już końca. Jeśli nie trafimy na zbiegów w ciągu kilku najbliższych dni, będziemy musieli zawiesić poszukiwania.

– Wiem, centurionie.

Macro zacisnął mocno usta. Brak sukcesów w poszukiwaniach Ajaksa przytłaczał młodego prefekta do tego stopnia, że ostatnimi czasy zwracał się do przyjaciela po stopniu, jak do podwładnego, zwłaszcza gdy jego irytacja sięgała zenitu albo gdy wolał uciąć rozmowę. Dalej szli więc w milczeniu, zbliżając się wolno do grupki Egipcjan, którzy wybierali z sieci połyskujące srebrzyście ryby i wrzucali je do koszy. Hamedes prowadził obu Rzymian, aby przemówić do miejscowych w ich języku i zapewnić, że nie mają się czego obawiać. Kapłan z ochotą przystał na propozycję udziału w pościgu, gdy Katon zaproponował mu rolę przewodnika i tłumacza. Świątynia w Keirkucie była wszystkim, co znał. Nowicjuszem został, będąc jeszcze dzieckiem, więc kapłani byli jedyną rodziną, jaką pamiętał. Nic więc dziwnego, że pałał żądzą pomszczenia ich.

Katon i Macro mieli na sobie tylko tuniki, pochwy sztyletów wiszących u pasów przesunęli na plecy, aby nie denerwować rybaków. Hamedes przywdział szatę typową dla fellachów.

Wyciągnięte na brzeg łodzie zauważył patrol wysłany przez prefekta do patrolowania mendezyjskiej odnogi ujścia Nilu. Katon, jego przyjaciel i kapłan zostawili flotyllę w jednej z pobliskich zatoczek, podpłynęli do brzegu i wysiedli z dala od miejsca obozowania rybaków. Tam też pozbyli się pancerzy.

Pomimo licznych ataków ze strony Ajaksa podwładni prefekta mieli problemy ze zdobyciem dokładniejszych informacji. Mieszkańcy nadbrzeżnych miejscowości czmychali na widok rzymskich mundurów, a nawet charakterystycznych łacińskich żagli. Jedyne wieści, jakie Katon zdobył w ostatnim czasie, pochodziły od załóg nielicznych frachtowców, które odważały się wypuszczać na morze. Tylko kilka razy udało mu się podejść spokojnie do mieszkańców wybrzeża.

– Zauważyli nas – mruknął Macro, gdy jeden z rybaków podniósł głowę.

Trójka przybyszów znajdowała się jakieś sto kroków od grupki pracujących mężczyzn, gdy spostrzegawczy Egipcjanin podniósł głos. Pozostali natychmiast rzucili sieci, chwytając za pałki i noże do patroszenia ryb. Widać było, że są rozdarci pomiędzy chęcią porzucenia zdobyczy i stawienia czoła zbliżającej się trójce. A było ich tuzin, jak szybko obliczył Macro, co znaczyło, że wypadnie czterech na jednego, jeśli dojdzie do walki. Na jego szczęście rybacy byli mikrzy i chudzi, żaden nie umiał władać bronią. Mimo to zachęceni przewagą liczebną nabrali wystarczająco odwagi, by nie ustąpić przeciwnikowi pola, i obserwowali z niepokojem podchodzących do nich ludzi.

– Powiedz im, że nie stanowimy zagrożenia. – Katon spojrzał na

Hamedesa. – Chcemy kupić od nich ryby i porozmawiać.

Kaplan skinął głową, po czym odezwał się przyjaznym tonem. Najbliższy z rybaków odpowiedział pospiesznie, wyciągając rękę, jakby chciał ich zatrzymać. Po wymianie kilku równie urywanych zdań Hamedes odwrócił się do Katona.

– Powiedziałem im, kim jesteśmy. Ten, z którym rozmawiam, jest naczelnikiem wioski. Zapytał, czy przyszliśmy sami. Odparłem, że jest nas tylko trzech.

Prefekt skinął głową, mając nadzieję, że marynarze wykonali wydany im rozkaz i zostali przy łodzi, aby nikt ich nie zauważył.

– Zapytaj go, czy ostatnio widział w tej okolicy jakichś Rzymian.

Tym razem kapłan rozmawiał dłużej, a naczelnik wioski wskazał kilkakrotnie palcem w dół rzeki.

– Kilka dni temu okręt wojenny wpłyną! w tę odnogę delty. Zatrzymał się tutaj na noc, a potem wrócił na morze.

– Jaki kierunek obrał?

– Zachodni.

– Popłynął prosto na nas? – zdziwił się Macro. – Nie widzieliśmy ostatnio żadnej jednostki.

– Musieli przemknąć się, korzystając z ciemności – wyjaśnił Katon. – Albo zauważyli nas pierwsi i zawrócili, by ukryć się na wybrzeżu. Zakładając, że mamy do czynienia z Ajaksem. – Zastanawiał się przez chwilę. – To musiał być on. Tylko nasza eskadra operuje teraz w delcie Nilu. – Wskazał ręką na prymitywne łodzie zbudowane ze snopków trzciny powiązanych sznurkami. – Zapytaj, czy sprzeda nam część połowu.

Gdy Hamedes powtórzył jego słowa, naczelnik przywołał ich bliżej. Katon wyciągnął przed siebie ręce, by tamci mogli je

widzieć, po czym ruszył wolnym krokiem. Rybacy nie spuszczali go z czarnych jak węgle oczu, a gdy prefekt i jego kompani podeszli bliżej koszy, utworzyli luźny półokrąg. W plecionych pojemnikach ryby podrygiwały albo leżały, otwierając i zamykając rytmicznie pyszczki. Zostało ich jeszcze wiele w sieciach, które wskazał Katon.

– Powiedz im, że nie chcemy przeszkadzać w pracy. Niech wybierają ryby, gdy będziemy się targować.

Miejscowi wrócili do przerwanych zajęć. Łypiąc podejrzliwie na przybyszów, z wielką wprawą wyłuskiwali kolejne ryby. Ich naczelnik w tym czasie kontynuował rozmowę z Hamedesem.

– Pyta, ile ryb chcemy kupić.

– Jeden kosz wystarczy. – Katon odpiął sakiewkę od pasa i wysupłał z niej kilka srebrnych monet, którymi Petroniusz kazał mu płacić za zaopatrzenie dla flotylli. – Daję dziesięć oboli.

Oczy naczelnika rozbłysły, ale na ustach pojawił się zaraz lekceważący uśmieszek.

– Mówi, że chce dwadzieścia. Ma we wsi wiele gąb do wykarmienia. Jeśli sprzeda dzisiejszy połów, część jego ludzi będzie głodować.

– Przeklęty sknerus – burknął Macro.

– Dwanaście – rzucił Katon do kapłana. – Powiedz mu, że to uczciwa cena.

Naczelnik pokręcił głową.

– Piętnaście. Mówi, że sam siebie okrada, ale widzi, że jesteś dobrym człowiekiem, więc zejdzie dla ciebie z ceny.

– Piętnaście oboli? – jęknął centurion. – Czy on ma nas za głupców?

– Cicho – zganił go Katon. – Niech będzie piętnaście.

Odliczył monety i przekazał je rybakowi. Naczelnik ukrył zapłatę w brudnej lnianej torbie leżącej w najbliższej łodzi.

– Przekaż mu, że dostanie jeszcze pięć oboli, jeśli przekaże nam plotki o tym, gdzie mogą ukrywać się ludzie napadający na okoliczne wioski. Zapytaj go, czy nie zna takich miejsc.

Naczelnik zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Twierdzi, że powie wszystko, co wie, jeśli dasz mu dziesięć oboli.

– Co za pijawka! – zaśmiał się Macro. – Jeśli chcesz, wytarguję z nim solidną zniżkę.

– Nie. Musimy im okazać jak najwięcej dobrej woli. Nie możemy pozwolić, by Ajaks go przekabacił, dobrze mówię, centurionie?

– Tak, panie.

Katon podał rybakowi kolejne monety, potem poczekał, aż Hamedes przetłumaczy jego słowa.

– Mówi, że dwa dni temu zaatakowano wioskę w sąsiedniej odnodze, zachodniej. Większość mieszkańców zdołała uciec i schronić się w jego osadzie. Dlatego ma tyle dodatkowych gąb do wyżywienia.

– Musieliśmy to przeoczyć – wymamrotał Macro. – Być może Ajaks nie prześlizgnął się w ciemnościach. Powinniśmy zawrócić i poszukać go na zachodzie.

Katon milczał przez dłuższą chwilę. Jego okręty przeszukały całe wybrzeże, począwszy od Aleksandrii aż po mendezyjską odnogę ujścia Nilu. Przetrząśnięto każdą zatoczkę i wysepkę. Nigdzie nie znaleziono śladu uciekinierów, jeśli nie liczyć

dowodów ich wcześniejszych podjazdów. Prefekt zastanawiał się nawet, czy nie zatopili zdobytego okrętu i nie udali się w głąb lądu, ale odrzucił tę myśl – wróg nie pozbyłby się liburny będącej jego jedyną szansą na ucieczkę morzem. Jeśli naczelnik nie kłamał, pozostawały dwie możliwości. Albo Ajaks opuścił Deltę, ruszając ku północnym wybrzeżom Morza Śródziemnego, albo zamaskował miejsce pobytu tak doskonale, że flotylla Katona nie mogła go wypatrzeć.

– Lepiej wracajmy na pokład. Hamedesie, podziękuj mu i zapewnij, że nie spoczniemy, dopóki nie pokonamy Ajaksa, aby miejscowi wieśniacy mogli żyć w spokoju.

Naczelnik zbył te słowa wzruszeniem ramion.

– Mówi, że pomiędzy zagrożeniem ze strony Ajaksa a rzymskimi podatkami nie ma większej różnicy, więc tutejszym w żaden sposób się nie polepszy. Tu nigdy nie będzie spokoju. Przynajmniej dla fellachów.

– Temu nijak nie możemy zaradzić – burknął Macro. – Kończ gadać i pomóż mi z tym ciężarem.

Kapłan pożegnał rybaka, po czym chwycił wyplataną rączkę po drugiej stronie kosza. Razem dźwignęli wypełniony rybami pojemnik i ruszyli, idąc kilka kroków przed Katonem w kierunku wąskiej plaży, ku miejscu, w którym czekała ukryta łódź.

– Tyle dobrego, że będziemy mieli coś świeżego na dzisiejszą wieczerzę – rzucił w pewnym momencie ukontentowany centurion, zerkając na połyskujące ryby.

– Wyglądają smakowicie – przyznał Hamedes, poprawiając chwyt.

– Nie tylko. To chyba najdroższe ryby rzeczne w całym Egipcie – dodał Macro, poważniejąc.

Tej nocy załoga Sobka zajadała się pieczonym okoniem nilowym, podczas gdy ludzie z pozostałych jednostek przeżuwali na pobliskich plażach suszone mięsiwo. Katon i Macro posilali się z cynowych manierek w blasku płonących polan z pnia ściętej palmy. Hamedes siedział ze skrzyżowanymi nogami po przeciwnej stronie płomieni, czytając modlitewny zwój wypożyczony z aleksandryjskiej świątyni. Pieczone nad huczącym ogniem ryby smakowały nadzwyczajnie, o czym Macro nie omieszkał wspomnieć, gdy już odłożył manierkę i oblizał wszystkie palce. Potem zerknął na prefekta i dostrzegł na jego oświetlonej ciepłym krwistym blaskiem twarzy wyraz głębokiej koncentracji. Walnął się mocno dłonią w pierś, po czym beknął donośnie.

– Wybaczcie.

– Słucham? – Katon rozejrzał się nieprzytomnie.

– Widzę, że wróciłeś między żywych.

– Tak. Oczywiście. – Prefekt odstawił menażkę z ponad połową porcji ryby.

Macro wskazał palcem naczynie.

– Nie będziesz już jadł? – Jego przyjaciel pokręcił głową. – Pozwolisz zatem, że ja, no…

– Częstuj się.

Centurion podziękował skinieniem głowy i zabrał się do pałaszowania.

– Coś mi nie gra w tej opowieści rybaka – mruknął prefekt. – Jestem pewien, że przeszukaliśmy dokładnie tamten odcinek wybrzeża, ale nie trafiliśmy na żaden ślad Ajaksa ani jego okrętu.

– Wygląda na to, że nie sprawdziliśmy wystarczająco dokładnie – odparł Macro pomiędzy kolejnymi kęsami.

– Możliwe. Gdybym ja byt na miejscu Ajaksa, ulokowałbym bazę wypadową na wschodzie, jak najdalej od Aleksandrii i stacjonującej tam floty.

– Gdybyś był Ajaksem, z pewnością chciałbyś być jak najbliżej głównych szlaków handlowych.

– Ale zarazem jak najdalej od Aleksandrii. Wybrałbym miejsce z dala od szlaków żeglugowych i większych osad, takie, z którego da się zbiec szybko na morze, jeśli zajdzie potrzeba. Gdzieś na wschód od Aleksandrii. Jutro rano nie zawrócimy. Popłyniemy dalej na wschód.

Macro przełknął pospiesznie i odstawił manierkę.

– Dlaczego? Słyszałeś, co ten rybak powiedział. Ostatni atak miał miejsce na zachód stąd. Napastnicy odpłynęli w tym samym kierunku.

– Owszem. Wierzę, że uciekinierzy mówili o tym, co naprawdę widzieli, ale jakoś wątpię, by kryjówka Ajaksa znajdowała się na zachodzie. To by nie miało sensu. Sam pomyśl, Macro, znasz tego człowieka lepiej niż ja.

– Dzięki za przypomnienie.

– Ajaks jest szczwany jak lis. Chce nadto namieszać, ile tylko się da. Zwłaszcza nam osobiście, ponieważ wini nas za śmierć ojca. Używanie naszych imion było sprytnym posunięciem.

– Znacie tego człowieka? – zainteresował się Hamedes, odkładając zwój. – Znaliście jego ojca? Skąd?

Macro uśmiechnął się pod nosem.

– Nasz Ajaks był gladiatorem od niedawna. Wcześniej trudnił się piractwem, jak jego ojciec Telemach. Prefekt i ja zostaliśmy wysłani, by ukrócić te praktyki. Zrobiliśmy co należy. Herszta ukrzyżowano, a jego syn i wszyscy jeńcy trafili w niewolę.

Okazało się jednak, że Ajaksa wybrano do szkoły gladiatorów, a potem jakiś dureń kupił go, by pełnił funkcję jego ochroniarza. Tak trafił na Kretę. Dzisiaj żałuję, że nie ukrzyżowaliśmy go razem z ojcem. Oszczędzilibyśmy sobie masę zachodu i już dawno bylibyśmy w Rzymie.

– Ale nie jesteśmy – uciął Katon. – I musimy dokończyć robotę, której podjęliśmy się dawno temu. Jak już wspomniałem, Ajaks jest bardzo inteligentny, tyle że trawi go pragnienie zemsty. Raczej jednak nie jest aż tak zaślepiony, by niepotrzebnie ryzykować. Przypuszczam, że ma plan ucieczki z delty Nilu, jeśli zrobi się tutaj za gorąco. Dlatego powinniśmy płynąć dalej na wschód. – Prefekt rozwinął trzcinową matę i położył się, okrywając ramiona opończą. – Rankiem pożeglujemy do Casium, tam zawrócimy i ruszymy w kierunku Aleksandrii.

Zaraz po świcie okręty podniosły kotwice i wyruszyły na wschód pod pełnymi żaglami. Wiatr wzmagał się z każdą chwilą, więc trierarcha poradził Katonowi, by rozkazał zrefować żagle, zmniejszając w ten sposób obciążenie masztów i olinowania. Zbliżał się jednak termin przerwania poszukiwań i zwrotu eskadry, dlatego młody prefekt robił co mógł, by wykorzystać w pełni pozostały mu czas. Nie zgodził się na propozycję żeglarza. Okręty wyruszyły na wschód pod pełnymi żaglami.

Flotylla dotarła do niewielkiego portu Casium, zanim słońce zniknęło ponownie za horyzontem. Tam też spędziła najbliższą noc, przy okazji uzupełniając zapasy żywności i wody, aby rankiem wyruszyć w drogę powrotną do Aleksandrii. Wracając do Petroniusza, Katon zamierzał przeszukać uważnie każdy odcinek wybrzeża. Jeśli Ajaks ukrywał się w Delcie, to na pewno gdzieś tutaj. Prefekt był tego pewien.

Sobek minął kraniec mola, gdy pierwszy rąbek słońca wychynął znad horyzontu. Hamedes padł wtedy na kolana

i uniósł ręce wysoko. Przymknąwszy oczy, zmawiał pospiesznie modlitwę. Nie był jedyny. Ci z członków załogi, którzy podzielali jego wiarę, robili to samo, starając się jak najszybciej zakończyć poranne rytuały, by wrócić do przerwanych zajęć. Postawiono żagiel, umocowano wszystkie szoty. Kapłan, którego obowiązywała znacznie ściślejsza reguła, modlił się dłużej. Wstał jednak w końcu i przeciągnął się jak po śnie. Zauważył, że jest obserwowany przez Katona. Uśmiechnął się i pozdrowił dowódcę Rzymian po krótkiej chwili wahania.

– Modliłem się do Izydy, aby pomogła wam dzisiaj znaleźć to, czego szukacie.

– Dziękuję. – Katon skłonił lekko głowę. – Przyda nam się każda pomoc.

– Żagiel na horyzoncie! – dobiegł z góry krzyk obserwatora.

– Gdzie? – zapytał trierarcha.

– Przed dziobem, panie!

Katon pospieszył na dziób, gdzie dołączyli do niego po chwili Macro, trierarcha i Hamedes. Horyzont na zachodzie był czysty. Wpatrywali się w niego długo, wreszcie prefekt wyciągnął rękę.

– Tam jest!

Pozostali spojrzeli we wskazanym kierunku, a gdy Sobek uniósł się na kolejnej fali, dostrzegli w oddali jaśniejszą plamkę, która niemal natychmiast zniknęła. Trierarcha odwrócił się i zawołał do obserwatora:

– Poznasz, co to za jednostka? Okręt wojenny?

Po dłuższej chwili nadeszła odpowiedź:.

– Nie, panie. Za mały. To chyba jakaś szybka łódź. Tak, panie. Jestem pewien. Właśnie zmieniła kurs i kieruje się prosto na nas.

– Łódź? – Macro podrapał się po zarośniętym policzku. – Ciekawe, komu tak pilno spotkać nas?

– Bardziej mnie interesuje dlaczego – rzucił Katon. – Trierarcho, płyniemy prosto na tę jednostkę.

– Tak, panie.

Okręt wojenny wykonał zwrot, ustawiając się dziobem do łodzi. Niewiele czasu trzeba było, by obie jednostki zbliżyły się do siebie. Niespełna godzinę później na pokładzie Sobka pojawił się młody oficer, w którym Katon rozpoznał jednego z trybunów Petroniusza. Od razu skierował się do prefekta.

– Ważna wiadomość od namiestnika, panie. – Wyciągnął skórzaną tubę opieczętowaną charakterystycznym odciskiem pierścienia.

Katon przyjął ją, złamał pieczęć i wyjął z niej niewielki skrawek papirusu. Podchodząc do burty, rozwinął go i przebiegł szybko wzrokiem raz, a potem drugi, by zyskać pewność, że niczego nie przeoczył. Chwilę później wskazał zwojem przyjaciela.

– Pozwól ze mną, proszę.

– O co chodzi, panie? – zapytał centurion, zniżając głos, gdy tylko znaleźli się na osobności.

– Nubijczycy przekroczyli granicę. Najechali Egipt. Petroniusz wydał Dwudziestemu Drugiemu rozkaz wymarszu w górę Nilu, do Diopolis Magna. Zamierza tam zgromadzić wszystkie swoje oddziały, zanim ruszy na wroga.

– Co znaczy, że mamy natychmiast wracać do Aleksandrii.

– Tak. – Katon zacisnął dłoń na papirusie, zgniatając go całkowicie. – Wygląda na to, że musimy przerwać pościg za Ajaksem.

Macro był bliski załamania, a gdy przeniósł wzrok na przełożonego, zauważył, że i on jest mocno rozgoryczony.

– To tylko chwilowe, panie. Dokończymy dzieła, gdy Nubijczycy zostaną pokonani. Dopadniemy tego drania, bez obaw. Zapłaci za to, co zrobił mnie i Julii. Przysięgam na własne życie.

Katon spojrzał mu w oczy.

– Ja także.

Potem zaczerpnął tchu i przeszedł na drugą stronę pokładu, do trybuna.

– Przekaż namiestnikowi, że stawiamy żagle i niezwłocznie wyruszamy do Aleksandrii.

– Tak, panie. – Trybun zasalutował, lecz zawahał się na moment.

– Czy mam mu o czymś zameldować? Udało wam się namierzyć tego renegata?

– Nie. Nie znaleźliśmy go – przyznał Katon. – Ruszaj.

Trybun przeszedł za nadburcie, by wrócić na pokład smukłej łodzi kurierskiej. Załoga natychmiast odepchnęła ją od kadłuba okrętu wojennego i postawiła trójkątny żagiel. Wiatr wypełnił płótno z głośnym łopotem i niewielka jednostka zaczęła nabierać prędkości, sunąc przez fale prosto na zachód.

Prefekt odwrócił się do trierarchy.

– Obierz kurs na Aleksandrię. Daj znak pozostałym, by ruszali za nami.

– Dobrze, panie.

Gdy eskadra zmieniała kurs, Katon stał przy relingu, spoglądając na odległe wybrzeża. Ajaks gdzieś tam był i znów będzie mógł grabić i mordować do woli. Trudno mu było oswoić

się z tą myślą, ale nie mógł przecież odmówić namiestnikowi.

Tego dnia powiał o wiele silniejszy wiatr, więc liburny musiały zmagać się ze znacznie wyższą falą. Ich lśniące tarany uderzały raz po raz w ściany słonej wody, posyłając w niebo spienione rozbryzgi. Wiatr świszczał w napiętym olinowaniu, wiszący nad pokładem bom wibrował pod naporem żywiołu. Trierarcha nie spuszczał go z oczu, podobnie jak wydętego mocno żagla.

Późnym popołudniem do uszu wszystkich dobiegł głośny trzask – gdy prefekt spojrzał w kierunku źródła hałasu, zobaczył, że jeden z okrętów eskadry, Thot, przechyla się mocno na burtę. Jego maszt złamał się jak słomka, żagiel zwisał z niego smętnie niczym rzucona na pokład szmata.

– Refować żagiel! – zawołał trierarcha. – Dajcie taki sygnał pozostałym jednostkom.

Katon musiał hamować narastający gniew, gdy eskadra zwolniła. Trierarcha zbiegł pod pokład, by sprawdzić obecne położenie na mapach, zaraz wszakże pojawił się ponownie i złożył raport prefektowi.

– Tutaj niedaleko, u ujścia odnogi tanickiej, znajduje się niewielka baza floty. Thot może tam popłynąć na wiosłach po zapasowy maszt i dogoni nas jeszcze tej nocy. To najszybsza jednostka w naszej eskadrze, panie, a naprawa nie potrwa długo.

– Dobrze, przekaż trierarsze Thota, że ma jak najszybciej ruszać dalej.

Żeglarz skinął głową i pospieszył na rufę, gdzie leżała skórzana tuba, i przez nią przekazał rozkazy na pokład Ibisa, a stamtąd trafiły one na Thota. Chwilę później z otworów w kadłubie uszkodzonej jednostki wysunęły się wiosła, popychając ją w kierunku nie tak odległego brzegu. Reszta załogi uprzątała w tym czasie pokład, wyrzucając za burtę kawałki drewna

i zerwane liny. Inne okręty flotylli rozwinęły żagle, by ruszyć ponownie na zachód.

Przybiły do brzegu na długo przed zachodem słońca, by Thot miał większe szanse na doścignięcie pozostałych jednostek, zanim ciemności zapadną na dobre. Załogi rozpalały na plaży ogniska, by ugotować część żywności zabranej z Casium. Słońce opadało wolno ku horyzontowi, a gdy jego tarcza dotknęła szczytów palm, Katon podszedł do wpatrującego się w morze Hamedesa.

– Nie powinieneś się teraz modlić? – zapytał, wskazując krwistą tarczę.

Na twarzy kapłana pojawił się wyraz zakłopotania.

– Martwię się o tamten okręt. Nie dogonił nas do tej pory. Nie zauważono go nawet na morzu.

– Może uszkodzenia okazały się poważniejsze, niż sądziliśmy. Wątpię, aby do tak malej bazy często zaglądali goście… – Prefekt zamilkł. Poczuł znajomy ucisk na dnie żołądka. Obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku okrętów, szukając wzrokiem trierarchy.

– Opowiedz mi o tej bazie, do której posłaliśmy Thota.

– Zawijałem do niej kilka razy w ciągu minionych lat. Niewiele więc wiem. – Żeglarz wydął wargi. – Mają tam kilka magazynów i trochę części zapasowych. No i brygadę cieśli, którzy mogą dokonać każdej naprawy. Tamtejszy garnizon patroluje ujście odnogi tanickiej Nilu i tę część Delty. Ostatnimi czasy porobiło się tam sporo mielizn, a brzegi porosły mangrowcami, więc mało kto zapuszcza się w te okolice.

– Pokaż mi to miejsce na mapie – zażądał Katon.

Macro pojawił się obok przyjaciela, gdy trierarcha pobiegł po

trapie na pokład.

– Wyglądasz, jakbyś połknął właśnie krowi placek. Co się dzieje?

– Nie jestem pewien – odparł prefekt, próbując zapanować nad strachem. – To tylko przeczucie.

Trierarcha wrócił, niosąc pod pachą zwiniętą mapę. Uklęknął w pobliżu najbliższego ogniska, by rozwinąć wielką płachtę. Przesunął palcem po linii brzegowej.

– Proszę, panie. Tutaj znajduje się ta baza. W Epichos.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zwinięto żagle, maszty złożono na pokładach, by zminimalizować szansę zbyt wczesnego dostrzeżenia z brzegu. Okręty wojenne podchodziły wolno do półwyspu popychane jedynie wiosłami. Katon stał na forkasztelu, wpatrując się uważnie w zarys odległej wieży obserwacyjnej, ledwie widocznej na tle nocnego nieba. Macro wylądował przy niej z garstką legionistów przed niecałymi dwiema godzinami. Chwilę później odesłał na Sobka łódź z wiadomością, że na plażę opodal bazy wyciągnięto trzy okręty. Jednym z nich był Thot. Na jego pokładzie nie zauważono żadnej aktywności. To był wystarczający dowód na to, że rozpoczęcie zaplanowanego wcześniej ataku ma sens. Uderzenie miało nastąpić o pierwszym brzasku.

Macro uderzy pierwszy. Zajmie wieżę obserwacyjną i znajdujący się w niej posterunek, zanim zbiegowie zauważą nadpływające okręty i podniosą alarm. Centurion zabrał ze sobą Hamedesa. Kapłan miał twierdzić, że jest rybakiem, którego przeciekająca łódź zmusiła do przybicia do brzegu. Jeśli uda mu się odwrócić uwagę zbiegów, oddział Macro zdobędzie posterunek z zaskoczenia. Gdy wieża znajdzie się w rękach Rzymian, centurion każe wysłać sygnał czekającym w mroku okrętom, które odetną Ajaksowi drogę ucieczki na morze i przygwożdżą go za murami fortu. Niewolnicy będą musieli się poddać albo walczyć do ostatniego, co wydawało się bardziej prawdopodobne. Tak czy inaczej, ich koniec jest przypieczętowany, pomyślał Katon.

Usłyszał za plecami skrzypienie drabiny. Moment później dołączył do niego trierarcha.

– Za wcześnie jeszcze na zdobycie wieży, panie.

– Tak. Ale atak może się rozpocząć lada moment. – Prefekt, zerkając na wschodni horyzont, zauważył nieco jaśniejszą plamkę w miejscu, gdzie nieboskłon łączył się z morzem. – Gdy otrzymamy wiadomość, musisz jak najszybciej wprowadzić okręty do zatoki. Ajaks nie może nam uciec.

– Zablokujemy ją na czas, panie. Sobek minie kraniec półwyspu, zanim oni zdołają wyjść z zatoki. Masz na to moje słowo.

– Będę cię za nie trzymał.

Milczeli, póki trierarcha nie stracił cierpliwości i zapytał:

– Sądzisz, panie, że choć część załogi Thota dostała się do niewoli?

– Wątpię. To, co wiem o Ajaksie, każe mi przypuszczać, że nie oszczędził nikogo. Zresztą może to i dobrze.

– Słucham?

– Jeńcy, których brał podczas buntu na Krecie, cierpieli niewysłowione katusze i modlili się o szybką śmierć. – Głos prefekta stwardniał. – Twoi ludzie nie żyją. Myśl teraz tylko o tym, jak ich pomścić.

– Dobrze, panie.

Katon odwrócił się, by spojrzeć na majaczące w ciemnościach okręty eskadry. Nie słyszał jednego nawet dźwięku, choć na ich pokładach czekały setki legionistów i marynarzy, a drugie tyle ludzi siedziało przy wiosłach. Jeśli nie liczyć chlupotu fal rozbijających się o burty i plusku wioseł, rzymska flotylla sunęła

w kierunku lądu niczym zjawa albo cień.

– Spójrz, panie – odezwał się nagle trierarcha. – Pierwszy brzask.

Katon zwrócił wzrok ku wschodowi. Tak, tam nad horyzontem jaśniała jutrzenka. Rzucił okiem na wieżę. Nadal nic.

– Dalej, Macro – wyszeptał. – Wszystko zależy od ciebie.

Macro leżał na ziemi obok stosu kamieni. Dwadzieścia kroków przed nim wznosiły się w niebo czarne jak smoła mury wieży obserwacyjnej. Przedświt rozjaśnił okolicę na tyle, że centurion mógł dostrzec nieco więcej szczegółów. Jego oddział zlikwidował strażników mniejszego posterunku i już miał zająć się drugą częścią zadania, gdy od strony fortu nadeszło kilku mężczyzn. Rzymianie mieli tylko tyle czasu, by ukryć się pomiędzy głazami. Przybysze minęli ich, chwilę później zaczęli rozmawiać z załogą wieży, ale szum przyboju uniemożliwił zrozumienie słów.

Jeśli ci ludzie nie oddalą się wkrótce, Macro będzie musiał zaryzykować frontalny atak przy bardzo niesprzyjającym układzie sil. Oprócz Hamedesa miał przy sobie tylko dziesięciu legionistów. Do walki z dziesięcioma Rzymianami stanie sześciu tych, którzy przyszli z fortu, i czterech albo pięciu strażników. Z dziesięcioma Rzymianami i jednym kaptanem, poprawił się w myślach. Hamedes był na tyle silny i sprawny, że powinien liczyć się w tym starciu. W pobliskiej zatoczce od strony morza czekały dwie łodzie z pełnymi obsadami, gotowe ewakuować żołnierzy, jeśli będzie trzeba.

Macro przesunął rękę w dół ciała, by dobyć miecza. Skrzywił się, gdy sztych klingi zazgrzytał o metalowe zdobienie pochwy. Zacisnął palce na rękojeści gladiusa i podniósł głowę na tyle, na ile się odważył, by zlustrować wzrokiem podstawę wieży. Leżący obok niego Hamedes westchnął ciężko, a potem powiedział:

– Lepiej się wycofajmy, centurionie. Jest ich zbyt wielu. Wyrżną nas bez trudu.

– Milcz – ofuknął go Macro. – Drgnij tylko, a sam cię zabiję.

Skupił ponownie uwagę na wieży, teraz już mocno odcinającej się od jaśniejącego nieba. Zdał sobie sprawę, że strażnicy zauważą za chwilę nadpływające okręty i natychmiast podniosą alarm. W tej samej chwili przybysze ruszyli w drogę powrotną do fortu. Gdy mijali kryjówkę centuriona, Macro poczuł, jak serce zaczyna mu przyspieszać. Rozpoznał człowieka idącego na czele oddziału.

– Ajaks – wycedził przez zęby.

Poczuł, że mięśnie tężeją mu jak naprężone liny, przepełniła go furia tak ogromna, że mało brakowało, a wyskoczyłby zza tych głazów i zasiekł gladiatora na śmierć. Leżał wszakże dalej, trzęsąc się pod naporem wspomnień: obrazów, zapachów, doznań, wszystkiego, co wiązało się z zadawanymi mu mękami. Tortur, o których tak desperacko pragnął zapomnieć. Cierpień, o których nie wspomniał jedynemu przyjacielowi i nigdy tego nie uczyni. Macro zacisnął powieki, by stracić z pola widzenia ledwie już widoczną sylwetkę Ajaksa. Oddychał ciężko, walcząc z natłokiem myśli, odpychając je, zanim zdążą nad nim zapanować. Gdy otworzył ponownie oczy, gladiator i jego kompani zniknęli za zakrętem szlaku prowadzącego w głąb lądu.

Centurion podniósł się i wciąż mocno pochylony spojrzał na ukrytych za jego plecami żołnierzy.

– Za mną – wyszeptał chrapliwie.

Ruszył ku wieży, nie prostując pleców. Za sobą słyszał tylko szelest trawy deptanej butami podwładnych. Trzymając się cienia rzucanego przez skały, dotarł w pobliże muru. Zauważył, że masywne drzwi prowadzące do wnętrza budowli pozostały

otwarte. Z góry, od strony platformy, dobiegały szmery rozmów i szelest poruszanych wiatrem liści palmowych, którymi zadaszono wieżę.

Macro przebiegł przez otwarty teren, kierując się prosto na wejście. Wtem w drzwiach pojawił się jakiś człowiek i zamarł. Centurion przyspieszył, opuszczając miecz. W ostatnim momencie wykonał szybkie pchnięcie w górę, wbijając klingę na wysokości przepony mgnienie oka przed tym, nim walnął barkiem w klatkę piersiową zaskoczonego wroga. Odepchnął tamtego od drzwi, zatrzymali się dopiero przy jednym z filarów podtrzymujących strop. Strażnik jęknął, a Macro poczuł na twarzy jego ciepłą ślinę zmieszaną z krwią. Przesłonił lewą dłonią usta ofiary i wbił ostrze głębiej, tnąc najważniejsze organy. Ranny walczył rozpaczliwie, po czym nagle zwiotczał i zwalił się na centuriona. Macro cofnął się, wyrywając miecz z rany, i złożył ciało na ziemi. Wokół niego zaroiło się od legionistów.

– Co ty tam tak hałasujesz, Porcjuszu? – zawołał ktoś ze szczytu drewnianych schodów prowadzących na platformę.

Najwyższe stopnie oświetlił pomarańczowy blask.

– Idziemy – warknął Macro, wbiegając na pierwsze piętro wieży.

Gdy pokonał schody, zobaczył komnatę, w której wzdłuż ścian rozłożono posłania. Był tam też prosty stół i stojak na broń. Oraz dwóch ludzi. Jeden, obudzony, opierał się na łokciu. Drugi stał tuż przy schodach, opodal złożonej broni. Miał lepszy refleks niż jego kompan z dołu. Błyskawicznie sięgnął po włócznię i wymierzył nią w atakujących Rzymian. Centurion uskoczył przed mknącym w jego kierunku grotem, ale potknął się o zydel i wyłożył jak długi. Kiedy biegnący za nim legionista zauważył zagrożenie, było za późno. Włócznia weszła głęboko w jego prawy bark. Siła

uderzenia była tak wielka, że poleciał w tył jak szmaciana lalka. Kolejny z atakujących przeskoczył nad rannym, wyprowadzając szerokie cięcie na wysokości karku obrońcy. Miecz wszedł głęboko. Zbieg padł, rycząc z bólu, drzewce broni załomotało o deski tuż obok. Obudzony niewolnik zdążył się podnieść, ale zginął, zanim wyprostował plecy.

– Na górę! – zawołał Macro, gramoląc się z podłogi. – Szybko!

Kilku legionistów minęło go, by wbiec na ostatni ciąg schodów. Centurion pognał za nimi. Z góry dobiegi kolejny szybko urwany okrzyk. Macro wpadł na platformę, rozejrzał się pospiesznie. Zadaszenie opierało się na drewnianej balustradzie, którą ustawiono na średnio wysokiej podmurówce. W jednym kącie leżał stos palmowych liści, w drugim stał gotowy do użycia żarnik. Oprócz tego na wieży znajdowały się cztery skorpiony. W niszy w ścianie dostrzegł palącą się spokojnie lampką oliwną.

– Wy dwaj! – wskazał stojących najbliżej legionistów. – Lećcie na dół i zamknijcie wejście. Zabarykadujcie je czym się da.

Sam podbiegi do balustrady, by spojrzeć na fort. Przy jego bramie płonęło kilka pochodni. W ich blasku dostrzegł dwóch strażników, lecz nie wyglądali na zaniepokojonych. Nieco dalej, na plaży, majaczyły podłużne kształty wyciągniętych na brzeg okrętów. Nic nie wskazywało na to, by przeciwnik podniósł alarm.

– Świetnie – mruknął pod nosem Macro.

Podszedł do żarnika, wyjął z niego garść chrustu. Potem zszedł spokojnie na dół i stanął przy jednym z okien wychodzących na morze. Tam odstawił lampę, usypał z chrustu niewielki stosik i podpalił go. Bladożółte języki ognia polizały łapczywie uschnięte gałązki i włókna liści. W niebo uniósł się kłąb dymu, gdy stosik zapłonął żywiej. Ściany wokół rozjaśniły się od blasku ognia.

Macro przeszedł do sąsiedniego okna i dopóty wpatrywał się w morze, dopóki nie dostrzegł na nim smukłych okrętów.

W tej samej chwili piętro wyżej rozległ się wrzask. Dostrzegł też migotliwą pomarańczową poświatę, która szybko narastała. Moment później usłyszał trzask płomieni.

– Co jest? – mruknął, gdy pierwsi z jego ludzi zbiegali na dół. Chwycił jednego z nich za ramię. – Co tam się dzieje?

– Kwatera strażników stanęła w ogniu, panie! Pewnie któraś z lampek oliwnych spadła na posłanie.

– Szlag. – Centurion zazgrzytał zębami. – Musimy ugasić pożar, i to szybko.

Wbiegł na wyższe piętro. Powietrze było tu aż gęste od dymu, a płomienie wspinały się po ścianach, rozświetlając wnętrze upiornym krwistym blaskiem. Gdy ogień sięgnął schodów, z pomostu dobiegły krzyki. Macro rozejrzał się w desperacji. W samym rogu komnaty dostrzegł sporą amforę. Podbiegł do niej, wyjął korek. Poczuł kwaśną woń taniego wina. Chwycił naczynie i krzywiąc się od ukąszeń żaru, zaczął polewać zawartością najbliższe płomienie. Rozwodnione wino dławiło ogień, lecz niewystarczająco szybko.

– Pieprzyć to – warknął w końcu, cofając się o kilka kroków.

Uniósł amforę, wymierzył w ścianę, po której pełgało najwięcej płomieni, i cisnął nią z całych sił. Ciężkie gliniane naczynie rozprysło się na setki kawałków, a strumienie cieczy zmoczyły nie tylko tynk, ale i znajdujące się poniżej posłanie. Macro nie czekał, chwycił leżącą na stole opończę i zaczął nią smagać ogień.

Zerknąwszy przez ramię, dostrzegł przy schodach Hamedesa.

– Pomógłbyś, u licha!

Kapłan wahał się tylko przez moment, w jego oczach widać

było ogromny strach. Zaraz jednak ściągnął z kołka na ścianie drugą opończę i dołączył do centuriona. Gdy zadeptali wspólnie ostatnie płomienie, Macro skinął głową, dziękując za pomoc, potem rozejrzał się po zadymionej wciąż komnacie. Kwaśny odór był tak odrażający, że musiał go wykaszleć. Odrzucił więc opończę i wbiegł na schody, popychając przed sobą oszołomionego Hamedesa. Razem wydostali się na platformę. Tam, oparłszy się o balustradę, odetchnęli głęboko, by oczyścić płuca.

Świt nadchodził milowymi krokami, niebo nad horyzontem mocno już pojaśniało. W świetle poranka centurion widział całą zatokę, od pogrążonych w półmroku mangrowców po fort. Z jego bram wyłoniło się kilka postaci, które spoglądały w kierunku przylądka. Kolejni ludzie pojawiali się na murach, a chwilę później z oddali dobiegł ryk rogu.

– A niech to, musieli zauważyć ogień. – Centurion zacisnął dłonie na poręczy. Zaraz też zauważył, że z fortu wymaszerowuje spory oddział zbrojnych. Mieli tarcze i całą gamę rozmaitej broni, od mieczy przez włócznie, topory po kilka łuków. Paru niosło także pochodnie, które oświetlały drogę biegnącym. Ci ludzie kierowali się na przylądek. Macro zaczerpnął głębiej tchu. – Teraz się zacznie.

Gdy Katon wydał rozkaz, by Sobek jak najprędzej wpłynął do zatoki, ukryte pod pokładem bębny zaczęły podawać żywszy rytm. Długie wiosła podnosiły się i opadały miarowo, popychając ciężki okręt wojenny w stronę lądu. Sygnał nadany przez Macro był jasny i czytelny pomimo szybko rozjaśniającego się nieba. Chwilę później jednak na wieży pojawiły się kolejne płomienie, tym razem tak wielkie, że oświetliły nie tylko wieżę, ale i okoliczne skały.

– Co on wyprawia? – jęknął trierarcha. – Zdradzi nas, jak tak

dalej pójdzie.

– Coś musiało się stać – odparł zaniepokojony Katon. – Ile czasu potrzebujemy na wpłynięcie do zatoki?

Trierarcha przyjrzał się brzegowi, oceniając odległość.

– Przy obecnej prędkości jakieś pół godziny.

– Tak długo? – Katon wbił spojrzenie w przylądek. Oddalenie obaw o przyjaciela wiele go kosztowało, lecz musiał się skupić na planowaniu. Z doświadczenia ostatnich miesięcy wiedział, że sprawna załoga może ściągnąć swoją jednostkę na wodę w o wiele krótszym czasie. Jeśli Ajaks zadziała natychmiast, zdąży zaokrętować swoich ludzi i wypłynąć w morze, zanim pułapka zostanie zamknięta. A na to nie mogę pozwolić, pomyślał Katon, odwracając się do trierarchy. – Czy możemy przyspieszyć?

– Tak, panie. Ćwiczyliśmy wielokrotnie prędkość taranowania, ale utrzymamy ją tylko przez krótki czas.

– Wydaj więc odpowiednie rozkazy.

– Panie, wykończymy tym wioślarzy, a będą potrzebowali sił podczas bitwy.

– Nie będzie żadnej bitwy, jeśli nie zdążymy na czas. Twoi ludzie muszą wiosłować do utraty tchu. Zrozumiano?

– Tak, panie.

– Zatem wydaj im rozkazy. I przekaż je na pozostałe jednostki. Ruszaj!

Trierarcha zsunął się po drabinie i pognał do luku na śródokręciu, by poinstruować ludzi przy bębnach. Katon usłyszał szybszy rytm, pokład zadrżał pod jego stopami, gdy Sobek ponownie przyspieszył. Na wschodzie niebo poróżowiało, oblewając kilka niewielkich obłoków ciepłą barwą. Katon

poganiał w myślach wioślarzy. Płomienie na wieży wygasły już, ale nie wiedział wciąż, co się stało z jego przyjacielem i towarzyszącymi mu legionistami. Jeśli żyją, będą zdani na siebie, póki okręty nie dotrą w głąb zatoki. Myśląc o Macro, prefekt zauważył ogniki pełgające po skałach w oddali, z każdą chwilą było ich coraz więcej. Szybko zrozumiał, że to Ajaks i jego ludzie ścigają niewielki oddział centuriona.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Panie! – zawołał któryś z żołnierzy. – Nadchodzą.

Centurion podbiegł do sąsiedniej balustrady i ujrzał postacie wyłaniające się spomiędzy głazów, nie dalej niż ćwierć mili od wieży. Tamci biegli, a nawet pobieżne przeliczenie wskazywało, że mają co najmniej trzykrotną przewagę liczebną nad Rzymianami.

– Co zamierzasz zrobić? – dopytywał się Hamedes. – Jest ich zbyt wielu. Powinniśmy uciekać, póki jeszcze czas, albo poddać się bez walki.

– Poddać się? Temu bękartowi? Nigdy! – warknął Macro.

– Zatem uciekajmy.

– Uciekać? Dokąd? Jesteśmy na krańcu pieprzonego półwyspu. Stąd nie ma gdzie uciec, durniu. Zamknij się więc i pomóż mi. – Macro podbiegł do pierwszego skorpiona i odwrócił go w stronę nadbiegających. – Otwórz skrzynię z bełtami! – zawołał, wskazując wielki kufer ustawiony przy podmurówce.

Gdy Hamedes taszczył naręcze ciężkich bełtów składających się z szerokich grotów wbitych w długie na dwie stopy drzewca, Macro zakręcił kołowrotem, naciągając grubą nasmołowaną linę łączącą oba ramiona. Skończywszy, odebrał od kapłana pierwszy bełt i ułożył go w wyżłobieniu. Najbliższy z renegatów znajdował się już około dwustu kroków od wieży, więc centurion, wyjąwszy trzpień, chwycił ramę broni i podniósł ją z głośnym jękiem. Kiedy zobaczył sylwetki ludzi, zablokował skorpiona w nowym

położeniu.

– Odsuń się! – zawołał, prostując plecy.

Rozejrzał się, potem chwycił pasek odblokowujący mechanizm spustowy. Szarpnął mocno, oba ramiona rozprostowały się, uderzając z trzaskiem w skórzane ograniczniki. Centurion natychmiast wyjrzał za balustradę. Smukły cień mknął prosto na nadbiegających ludzi. Przeleciał nad głową pierwszego, zanim tamten coś zauważył, minął drugiego i walnął pod kątem w kamieniste podłoże, krzesząc iskry i wyrzucając w powietrze sporo odłamków. Sam zawirował, trafiając w nogi kolejnego zbiega. Zmiótł go z traktu, posyłając prosto w grupkę zbrojnych. Ciało rannego powaliło ich wszystkich.

– Ha! – mruknął Macro z satysfakcją, pospiesznie przygotowując skorpiona do oddania kolejnego strzału. – Bełt! – wyciągnął rękę, lecz Hamedes był tak zdenerwowany, że upuścił pocisk. Przyklęknął zaraz, by go podnieść, ale to nie powstrzymało steku przekleństw centuriona. Zerknąwszy w dół, Macro zauważył, że przeciwnik rozproszył się i podchodzi teraz znacznie wolniej. O to mu właśnie chodziło. Musiał kupić Katonowi czas potrzebny na zablokowanie zatoki. Trzej ludzie Ajaksa czaili się przy skałach, między którymi leżeli wcześniej Rzymianie. Macro przekręcił skorpiona i wymierzył w nich. Kolejny bełt zniknął przy wtórze głośnego trzasku. Tym razem pocisk trafił bezpośrednio w jednego z przeciwników, przebijając go na wysokości piersi. Zmiecione uderzeniem ciało wpadło między kamienie i spoczęło tam jak kupa szmat, z której sterczało grube drzewce.

Gdy centurion zaczął naciągać cięciwę, renegaci ruszyli przed siebie z głośnym wrzaskiem, chcąc wykorzystać do maksimum przerwę pomiędzy strzałami. Macro miał czas, by wystrzelić jeszcze raz, ale ostatni bełt przeleciał wysoko nad głowami

zbiegłych niewolników.

– Dość tego dobrego – mruknął, odstępując od machiny. – Czas na walkę wręcz.

Pierwsi z atakujących dotarli już do drzwi i zaczęli w nie łomotać. Nie na wiele się to zdało. Grube skrzydło zostało zabezpieczone belką mocującą, a potem podparte znalezionymi w wieży workami ziarna. Zanim centurion zdążył zbiec do swoich ludzi, którzy odebrali tarcze zabitym wrogom, drzwi drżały już pod ciosami siekier. Chwilę później nad głowami legionistów przemknęła drzazga odłupana z wewnętrznej strony skrzydła. Za nią pojawiły się następne. Nie trzeba było długo czekać, gdy na ziemię spadł większy kawał drewna, a w otworze utknął ciężki topór. Kiedy go wyrwano, w drzwiach pozostała szeroka na palec szpara. Widać było przez nią ludzi kłębiących się na zewnątrz. Kolejne uderzenia spadały na osłabioną konstrukcję, zbiegowie gołymi rękami wyrywali ułomki rozrąbanych desek.

– Spokojnie, chłopcy – powiedział obojętnym tonem Macro. – Do wieży można wejść tylko tymi drzwiami, wystarczy więc, że powstrzymamy ich do chwili przybycia prefekta.

Rozejrzał się wokół, sprawdzając, jakie miny mają ukryci w półmroku legioniści. Część była ponura, ale wystarczająco zdeterminowana, za to najmłodsi wyglądali na wystraszonych. Obowiązkiem centuriona była walka w pierwszym szeregu i inspirowanie podwładnych, więc Macro przepchnął się w pobliże drzwi, zaciskając palce na rękojeści miecza. Wyjął też sztylet i trzymał go w drugiej dłoni.

Rozległ się kolejny trzask, po którym przeciwnik wyrwał długi kawał jednej z desek. Po nim zniknęły następne i wkrótce z drzwi została tylko potrzaskana rama. Napastnicy podeszli bliżej.

Pierwszy kopnął w blokujące przejście worki ziarna, zrzucając kilka, potem opuścił szybko włócznię i pchnął nią w centuriona. Szeroki grot zmierzał prosto ku przeponie Rzymianina. Macro sparował uderzenie bez trudu, uchylając się w lewo. Gdy tylko odzyskał równowagę, natarł na napastnika, odpychając go od drzwi.

– Utworzyć szyk przy wejściu! – rozkazał. – Uderzać ze wszystkich stron w tych, którzy próbują wejść.

Gdy legioniści pospiesznie zajmowali wskazane pozycje, napastnik z włócznią zaatakował po raz drugi, zaciskając mocno dłonie na drzewcu i szerzej rozstawiając nogi. Tym razem skupiał całą uwagę na centurionie, jakby toczył z nim pojedynek. Zmierzył Macro uważnym spojrzeniem, potem zamarkował pchnięcie. Rzymianin drgnął i wyszczerzył zęby.

– Tak łatwo mnie nie oszukasz. Musisz się wysilić.

Tym razem zbieg nie udawał. Grot miał pomknąć w kierunku piersi centuriona niczym taran, lecz Macro ciął, mierząc w nadgarstek atakującego, i broń opadła ku ziemi. Wtedy centurion dźgnął sztyletem w odsłonięte przedramię wroga, który jęknął głośno, puszczając drzewce, a gdy grot zetknął się z gruntem, Rzymianin stanął na nim, wytrącając przeciwnika z równowagi. Zaskoczony zbieg poleciał bezwładnie do przodu, mijając wyważone drzwi. Wtedy któryś z legionistów doskoczył do niego i dźgnął mieczem w odsłonięte plecy. Raniony padł na kolana, a kiedy żołnierz wyszarpnął klingę, zwalił się na ziemię, wyjąc jak potępieniec.

– Pierwsza krew za nami, chłopcy! – zawołał Macro i wskazał bronią czekających na zewnątrz. – Który chce być następny?

Po naprawdę krótkiej chwili wahania przysadzisty mężczyzna z mieczem przełkną! nerwowo ślinę, ruszając ku wejściu. Zanim

dotarł do drzwi, osadziło go w miejscu donośne zawołanie:

– Z drogi! Przepuśćcie mnie!

Macro poczuł zimny dreszcz w krzyżu, gdy rozpoznał ten głos. Napastnicy rozstąpili się, zostawiając więcej miejsca przed drzwiami. Zajął je potężnie zbudowany mężczyzna po dwudziestce, długie ciemne włosy opadały mu na ramiona. W prawej ręce trzymał krótki miecz, w lewej okrągłą tarczę. Tors osłaniał mu kirys z czarnej wyprawionej skóry, który ozdobiono srebrnymi spiralami. Usta przybysza wygięły się wolno w złośliwym uśmiechu.

– Centurion Macro. Cóż za niespodzianka. Powinienem był się spodziewać, że nie ustaniesz w poszukiwaniach mojej skromnej osoby.

– Nie tylko cię znalazłem, ale też zabiję – zapewnił Ajaksa Rzymianin, cedząc słowa przez zęby.

– Naprawdę? – Gladiator podszedł bliżej, nie spuszczając wzroku z przeciwnika. – Wyjdź zatem. Załatwmy to jak prawdziwi mężczyźni.

Macro poczuł ogromną chęć, by stawić czoło temu potworowi. Była tak silna, że mogła zaćmić mu osąd. Zacisnął więc jeszcze mocniej szczęki i wbił spojrzenie w człowieka, który znęcał się nad nim niespełna trzy miesiące wcześniej.

– O co ci chodzi? – zakpił Ajaks. – Masz za mało odwagi, by walczyć jeden na jednego?

Macro wysunął nogę do przodu, jakby zamierzał zrobić krok, znalazł się w progu wieży, zanim zapanował ponownie nad nerwami.

– A może zrobimy inaczej? – rzucił, siląc się na obojętność. – Ty wejdziesz do wieży i załatwimy to jak na mężczyzn przystało.

Ajaks zarechotał chłodno.

– Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia. A szkoda, bo spodobała mi się myśl o upokorzeniu cię na oczach moich ludzi. – Gladiator opuścił miecz. – Zrobimy to więc w mniej zabawny sposób. – Cofnął się, wołając do swoich: – Kto ma tarczę, do pierwszego szeregu!

Z tłumu wystąpiło pół tuzina renegatów. Trzej stanęli w centrum, sczepiając tarcze, pozostali ustawili się po bokach, by chronić flanki. Na koniec Ajaks przywołał resztę i pod osłoną poprowadził ich ku wejściu.

Macro natychmiast zdał sobie sprawę, że to koniec zabawy i popisów bronią. Od tej chwili będzie się liczyła tylko brutalna siła, której nie zabraknie zdesperowanym ludziom Ajaksa.

– Legioniści, do mnie! – zawołał centurion, chwytając tarczę. – Szybciej, u licha! – Żołnierze zebrali się wokół niego tarcza w tarczę, unosząc do boku miecze, jak ich uczono. – Naprzód! – rozkazał Macro i ruszył w stronę drzwi, podając tempo. – Lewa… lewa…

Oba oddziały starły się w progu wieży. Rzymianie naparli na tarcze, wykorzystując leżące na ziemi worki jako dodatkowe punkty oparcia dla stóp. Macro słyszał stękanie dobiegające zza tarcz. Jego ludzie i renegaci nie szczędzili sił, by pokonać przeciwnika. Ludzie stojący w pierwszych szeregach znaleźli się w potrzasku. Przed sobą mieli tarcze, za plecami natomiast napierających towarzyszy broni. Centurion zdawał sobie sprawę, że ma przed oczami zmagania czystej siły zbiegłych niewolników i techniki legionistów. Wszyscy wytężali się od pierwszej chwili, by jak najszybciej zepchnąć wroga. W pewnym momencie Macro poczuł, że worek za jego piętą zaczyna się rozstępować, próbował przesunąć stopę, ale nie na wiele to się zdało. Płótno pękło i luźne

ziarno nie dawało już takiej przyczepności. Z wolna zaczęto go odpychać od drzwi, jeszcze chwila i pomiędzy nim a stojącym po lewej legionistą powstał całkiem spory wyłom, w który ktoś natychmiast wraził miecz, na całe szczęście chybiając.

– Uwaga! – wrzasnął Macro. – Zewrzeć szyk.

Żołnierze za jego plecami zdwoili wysiłki i wspólnie udało im się przywrócić porządek.

– Napierać! – wołał Ajaks. – Mocniej! Odepchnąć ich od drzwi i wyrżnąć do ostatniego!

Raz jeszcze oba oddziały zwarły się w wąskim prześwicie wejścia. Gdy nacisk zelżał nieco. Macro odwrócił się do stojącego obok żołnierza:

– Ty! Spróbuj ciąć ich po nogach! Żywo!

Legionista skinął głową, przecisnął się na skraj oddziału, potem przykucnął i wyczekawszy moment, dźgnął mieczem w łydkę jednego z napastników. Renegat zawył z bólu i cofnął się instynktownie, tworząc wyłom w ścianie tarcz skierowanych w stronę Rzymian. Macro wykorzystał tę okazję, wcisnął się pomiędzy dwóch przeciwników, wyprowadził szybkie pchnięcie pod kątem i wraził gladiusa w bok mężczyzny po prawej. Nie był to zabójczy cios, sztych bowiem przeciął tylko skórę i oparł się o żebra, ale i to wystarczyło, by trafiony odskoczył z wrzaskiem.

W chwili gdy legioniści wyparli pozostałych napastników za wejście, z oddali dobiegi krzyk:

– Ajaksie! Wodzu!

Stojący w trzecim szeregu gladiator zerknął przez ramię i dostrzegł biegnącego traktem człowieka.

– Tutaj! – zawołał, wypychając się z ciżby na otwartą przestrzeń. – Co się dzieje?

– Zauważono okręty wojenne, panie. Co najmniej kilka. Płyną prosto na wejście do portu.

– Jak daleko są?

– O milę, może nieco dalej.

Ajaks odwrócił się na pięcie, nie kryjąc frustracji.

– A niech to! Nie mamy na to czasu – warknął, zerkając z nienawiścią na centuriona. Zaraz jednak wziął się w garść. – Wycofujemy się! Wracamy na okręty. Na jednej nodze! Musimy uciekać!

Renegaci odskoczyli od Rzymian. Macro poczuł, że napór na jego tarczę maleje, musiał zrobić krok do przodu, by nie stracić równowagi. Przykucnął zaraz, osłaniając się tarczą, z mieczem gotowym do zadania kolejnego pchnięcia. Dysząc ciężko, patrzył na znajdującego kilka kroków od niego gladiatora, który wskazał go mieczem.

– To jeszcze nie koniec! Biorę Zeusa na świadka; że własnoręcznie obetnę ci głowę!

Po tych słowach obrócił się i dołączył do podwładnych, którzy wycofawszy się na pewną odległość, zaczynali uciekać traktem. Macro przyglądał się temu z ciężkim sercem. Jeśli Katonowi uda się zablokować wejście do portu, na kolejne starcie nie trzeba będzie długo czekać, pomyślał.

Opuścił tarczę i wyprostował nogi, dopiero gdy ostatni renegaci znaleźli się w bezpiecznej odległości od wieży. Spojrzał na morze, na sunące równym tempem okręty aleksandryjskiej flotylli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słońce wspięło się nad horyzont, zanim Sobek minął kraniec przylądka. Wybrzeże tonęło w ciepłym żółtawym blasku, który podkreślał czerwień rzymskich żagli. Stojący na dziobie trierarcha wychylał się mocno, próbując wypatrzeć grożące jego jednostce skały i mielizny. Morze było tego dnia wyjątkowo spokojne, fale przyboju lizały zaledwie piasek plaży i skały.

Katon przywdział z okazji nadciągającej bitwy pełny pancerz, czerwony płaszcz i zwieńczony pióropuszem hełm. Wspiął się na szczyt forkasztelu, skąd spoglądał uważnie na linię brzegową. Półwysep na ostatnim odcinku był dość płaski, więc z tak wysoka można było zobaczyć szczyty palm rosnących po drugiej stronie zatoki. Wcześniej zauważył odwrót wroga spod wieży, co mogło sugerować, że renegaci pokonali Macro i jego ludzi. Zaraz jednak dostrzegł na szczycie budowli charakterystyczną sylwetkę w hełmie centuriona i zrozumiał, że jego przyjaciel wyszedł cało z ostatniego starcia.

– Panie! – zawołał siedzący na szczycie masztu obserwator. – Odbijają od brzegu!

Katon spojrzał w kierunku fortu. Nie dostrzegłby uciekinierów, gdyby nie wiedział, czego wypatrywać. Na mgiełkę snującą się pomiędzy zaroślami padał smukły cień. Masztu okrętu. Chwilę później nieco dalej dostrzegł drugi. Ajaks próbował uciec. Prefekt przeniósł wzrok za kraniec przylądka i nagle dotarło do niego, że gladiator może wyjść z zatoki, zanim ją rzymskie okręty zdołają zablokować.

– Zwiększyć tempo! – zawołał do stojącego poniżej trierarchy.

Fermon spojrzał na niego i pokręcił głową.

– Panie, moi ludzie wiosłują z całych sił od niemal godziny. Nie zdołają przyspieszyć.

– Nic mnie to nie obchodzi. Każ im zwiększyć tempo.

– Nie da rady – zapewnił go stanowczo żeglarz. – Ludzie są wyczerpani, panie.

Katon zacisnął zęby w bezsilnej złości. Trierarcha miał rację. Robił co mógł, by dotrzeć jak najszybciej do portu, więc załoga nie dysponowała rezerwami sił na szybki finisz. Za to ludzie Ajaksa byli wypoczęci, gdy więc prefekt spojrzał po raz drugi na maszty, zobaczył, że są już znacznie dalej niż przed chwilą. Zyskiwały coraz większą przewagę w wyścigu do wyjścia z zatoki. Katon walnął pięścią w balustradę forkasztelu, potem odezwał się ponownie, siląc się na spokojny ton:

– Niech twoi ludzie zrobią co w ich mocy. To ostatnie, o co ich proszę.

– Dobrze, panie. – Trierarcha zasalutował, po czym pobiegł na śródokręcie i zniknął w głównym luku, by pogonić wioślarzy.

Prefekt skupił ponownie uwagę na obu masztach, które wysuwały się już przed Sobka. Jeszcze chwila i okręty renegatów miną wieżę obserwacyjną, a później wymkną się na otwarte morze. Flotylla rozpocznie pościg, to oczywiste, ale tylko cud może sprawić, że uda się dogonić zbiegów, pomyślał rozgoryczony prefekt.

W tym momencie wychwycił wzrokiem jakiś ruch, coś smukłego oderwało się od szczytu wieży. Smużka dymu unoszącego się w bezchmurne niebo gęstniała z każdą chwilą. Katon zmrużył oczy, wypatrując, co tam się dzieje. Przecież

Macro i jego ludzie powinni być bezpieczni, skoro przeciwnik zbiegł na okręty. Nie musieli siedzieć w tej budowli, mogli pozwolić jej spłonąć. Wtedy dotarło do niego, że dym wydobywa się z jednego miejsca. Mgnienie oka później coś błysnęło i ognisty pocisk poszybował w kierunku uciekających jednostek. Zanim prefekt zrozumiał, na co patrzy, druga kula ognia przemknęła po niebie.

– Skorpiony – ucieszył się Katon. – Macro strzela pociskami zapalającymi. Sprytny gnojek.

Centurion zasypywał wroga gradem płonących bełtów, a gdy za przylądkiem pojawił się nagle słup ognia, prefekt zauważył, że jeden z renegackich okrętów zmienia kurs, próbując minąć wieżę szerszym łukiem. Drugi płonął już w najlepsze. Katon ścisnął poręcz, skupiając się na obserwacji. Pod stopami poczuł nieznacznie mocniejsze drżenie, gdy wioślarze zmusili się do ostatniego wysiłku. Zanim trierarcha wrócił na swój posterunek, Sobek miną! kraniec półwyspu. Ten etap starcia wygrali Rzymianie. Zmuszone do ominięcia wieży okręty gladiatora nie zdążą wyjść w morze i uciec.

– Dopadniemy ich, panie – ucieszył się żeglarz.

– Na to wygląda – odparł Katon tak spokojnie, jak umiał. – Przygotuj marynarzy do walki.

Przylądek kończył się piaszczystą lachą otoczoną turkusowymi wodami. Sobek płynął jeszcze przez chwilę tym samym kursem, po czym trierarcha rozkazał wykonać zwrot i sternicy wprowadzili okręt do zatoki. Stojący na forkasztelu prefekt miał teraz doskonały widok na oba płynące ku flotylli okręty. Dzieliło je od niego nie więcej niż ćwierć mili. Po prawej płynęła jednostka porwana przez Ajaksa z Krety. Drugą był Thot, to z jego śródokręcia unosił się dym. Kilku ludzi z jego załogi czerpało

wiadrami wodę z morza, próbując ugasić pożar. Reszta wiosłowała nadal zacięcie, więc okręt pruł fale niewiele wolniej niż przedtem. Katon wytężył wzrok, próbując dostrzec Ajaksa na którymś z pokładów. Ale na Thocie było zbyt wielu ludzi i dymu, by dostrzec pojedynczą sylwetkę, dlatego prefekt skupił się na drugiej liburnie. Na jej forkasztelu dostrzegł kilku łuczników, reszta zbrojnych została rozlokowana na śródokręciu. Chwilę później, gdy okręty zbliżyły się jeszcze bardziej, Katon zauważył człowieka przepychającego się w kierunku dziobu. Był to wysoki barczysty mężczyzna w czarnym zdobnym kirysie i wypolerowanym na błysk hełmie, który wieńczył imponujący pióropusz.

– Ajaks – mruknął pod nosem prefekt.

Serce stwardniało mu na widok zbuntowanego niewolnika, który przysporzył ludziom tak wielu cierpień. Pomyślał także o Julii i upokorzeniu, jakiego doznała z rąk tego niegodziwca. Zacisnął dłonie w pięści, gdy wydawał Fermonowi kolejny rozkaz:

– Atakujemy ten okręt z prawej. Drugi zostawmy na pastwę płomieni.

– Dobrze, panie. – Trierarcha przyłożył dłonie do ust, by przekazać polecenie sternikom. – Zwrot na sterburtę! Kurs na pierwszy okręt!

Żeglarze naparli na rumpel i Sobek zaczął po chwili skręcać, ustawiając się dziobem ku jednostce przeciwnika. Katon odszukał raz jeszcze wzrokiem Ajaksa, potem opuścił dłoń na głowicę miecza. Żałował, że Macro nie może stać teraz u jego boku, by radować się z szansy na dokonanie zemsty. Przypuszczał, że gladiator i jego przyboczni będą woleli śmierć w walce niż powolne i poniżające konanie na krzyżu.

– Wybacz, panie – zawołał ktoś.

Katon obejrzał się przez ramię. Na forkasztel wspinał się właśnie marynarz z łukiem w ręku i kołczanem pełnym strzał na plecach. Za nim pojawili się dwaj następni. Prefekt musiał ustąpić im miejsca. Zauważył przy tym, że łucznicy na jednostce Ajaksa nakładają już strzały na cięciwy. Jeszcze chwila i oba okręty znajdą się w polu wzajemnego rażenia. Wróg wypuścił właśnie pierwszą salwę. Katon przyglądał się wzlatującym wysoko w niebo smukłym kreskom, które zawisły na moment, osiągnąwszy szczyt tuku, a potem zaczęły opadać ku pokładowi Sobka. Większość wylądowała w wodzie, około dwudziestu kroków przed dziobem, znikając w niej niemal bez śladu. Jedna wbiła się z trzaskiem w poszycie na dziobie, jej brzechwa trzepotała przez moment jak szalona i znieruchomiała. Następna trafi prosto w cel, pomyślał prefekt.

– Mamy odpowiedzieć, panie? – zapytał któryś z marynarzy.

– Nie. Zaczniecie strzelać, dopiero gdy będziecie pewni trafień. – Katon wychylił się, by wydać rozkaz oddziałom zgromadzonym na pokładzie. – Tarcze w górę!

Zerknął przez ramię. Kolejna z rzymskich jednostek mijała właśnie koniec przylądka, reszta eskadry była tuż za nią. Załogi wszystkich dawały z siebie wszystko, by doścignąć flagowiec. Renegaci z płonącego Thota zrozumieli już, że ucieczka jest niemożliwa, i zawracali właśnie, by oddalić się jak najprędzej od rzymskiej flotylli, choć to niewiele mogło im dać.

Seria ostrych trzasków kazała Katonowi zwrócić uwagę na okręt Ajaksa. Druga salwa rzeczywiście była celniejsza. Większość strzał wbiła się w dziobnicę Sobka, dwie sięgnęły uniesionych tarcz legionistów. Na szczęście nikt nie został ranny ani nie zginął. Obie jednostki dzieliło niespełna sto kroków, więc Katon widział wyraźnie, że Ajaks i jego ludzie sięgają po broń, gotując się do starcia wręcz.

– Atakujemy od sterburty! – zawołał trierarcha, informując sterników, którzy dokonali stosownej, acz niewielkiej poprawki kursu, by Sobek zszedł z linii wrogiego tarana. – Przygotować się do zderzenia!

Katon chwycił za poręcz relingu, rozstawiając szerzej nogi. Wszyscy wokół zajmowali pospiesznie podobne pozycje. Od strony wroga nadleciała ostatnia salwa i rozległ się wrzask jednego z rzymskich łuczników, któremu zakończona ząbkowanym grotem strzała przebiła szyję, przechodząc na wylot. Prefekt zerknął na rannego, gdy padał na pokład, krew tryskała strumieniami z przeciętej tętnicy. Temu człowiekowi nic już nie mogło pomóc, dlatego prefekt skupił uwagę na wrogu.

– Wciągnąć wiosła! – zawołał Fermon.

Z dołu kadłuba dobiegł głośny hurkot, z jakim załoga wykonała rozkaz trierarchy.

Błyszcząca głowica tarana trafiła w dziobową część atakowanej liburny. Okręt zadrżał jak ranione zwierzę, wszyscy polecieli do przodu. Tarany otarły się o siebie, moment później obie jednostki stanęły burta w burtę. Dowódca renegackiego okrętu spóźnił się z wydaniem rozkazu wciągnięcia wioseł, więc na sterburcie zostały połamane przez masę Sobka jak suche patyczki.

– Opuszczaj kruka! – rozkazał Katon dekurionowi marynarzy. – Szybciej, człowieku!

Obsada machiny wstawała z pokładu i pospiesznie wracała na stanowiska, aby przesunąć ciężki pomost za burtę, nad pokład wroga. Łucznicy z dziobu jednostki Ajaksa, kierowani przez dowódcę, natychmiast zasypali strzałami ludzi mocujących się z krukiem. Rzymianie nie mogąc się osłaniać i równocześnie wykonywać rozkazu, byli narażeni na takie właśnie ataki. Nic więc dziwnego, że dwóch padło trupem już po pierwszej salwie.

Chwilę później Katon usłyszał wrzask trzeciego, któremu strzała przeszyła rękę.

– Puść! – zawołał dekurion, gdy tylko żelazny koniec kruka znalazł się nad renegacką liburną.

Jego podwładni puścili linę, która pomknęła w górę, ku bloczkowi, równie szybko, jak opadał trap. Zbiegowie rozpierzchli się, próbując uniknąć zmiażdżenia bądź nabicia. Mgnienie oka później długi żelazny szpikulec wbił się głęboko w deski pokładu. Drewno zaskrzypiało przeraźliwie, trzpień podtrzymujący podstawę trapu zajęczał, przyjmując na siebie cały impet, z jakim poruszały się wciąż oba okręty.

– Oddziały abordażowe naprzód! – wrzasnął dekurion, dobywając miecza i gnając po pomoście na zaatakowaną jednostkę.

Podwładni ruszyli za nim z uniesionymi wysoko tarczami i bronią. Łucznicy wroga strzelali nadal, lecz większość strzał trafiała w drewniane osłony trapu, po którym maszerowali na nich Rzymianie.

Katon spojrzał na łuczników stojących wokół niego.

– Wystrzelać mi tych drani! – rzucił.

Marynarze naciągnęli pospiesznie cięciwy, wymierzyli, zamierając na okamgnienie, i wyprostowali palce, posyłając strzały w kierunku ludzi Ajaksa. Prefekt pokiwał głową z uznaniem, widząc, że dwie trafiły w cel, kładąc jednego z wrogów.

– Dobra robota. – Walnął pięścią w poręcz. – Róbcie tak dalej.

Zostawił strzelcom dokończenie roboty, sam zaś zeskoczył na pokład, ściskając mocniej uchwyt tarczy pobranej wcześniej z magazynu Sobka. Spojrzał na legionistów czekających przy

maszcie.

– Za mną! Bierzcie jeńców, jeśli tylko zdołacie.

Wszedł na trap i ruszył przed siebie raźnym krokiem. Na drugim końcu widział kilku ostatnich marynarzy czekających, aż zrobi się tyle miejsca, by mogli zeskoczyć na pokład wrogiej jednostki. Powietrze wypełniał klang krzyżowanej broni i łomot, z jakim brano na tarcze mocniejsze uderzenia. Kilku walczących, mocno rozochoconych przelaną krwią, przyzywało przeciwników. Katon wzdrygnął się, gdy strzała przebiła tuż przed nim osłonę, ale nie zwolnił kroku. Szedł przed siebie lekko pochylony, by stanowić jak najmniejszy cel dla stojących na dziobie tuczników. Dotarłszy do pleców ostatniego marynarza, zobaczył, że przed nim nie ma już nikogo, za to w dole, na pokładzie, kłębił się tłum walczących.

– Ruszaj! – rozkazał. – Włącz się do walki!

Marynarz zerknął na niego trwożliwie przez ramię, skinął głową, po czym zeskoczył na okręt wroga i zniknął w ciżbie. Katon zatrzymał się na moment, by ogarnąć sytuację. Przesunął wzrokiem po masie ludzi, połyskujących hełmach, mieczach i tryskającej krwi. Potem dostrzegł czarny pióropusz hen, przy maszcie. Ajaks siekł właśnie wściekle tarczę jednego z marynarzy. Ciosy powaliły jego przeciwnika, a gdy to się stało, gladiator odkopnął tarczę i dźgnął leżącego mieczem w twarz.

Katon poczuł zimny dreszcz, gdy to zobaczył, ale zmusił się, by ruszyć w tamtym kierunku.

– Za mną, legioniści!

Gdy przestępował nad ciałem zabitego, dołączyli do niego przysadziści żołnierze, chwilę później zrobiło się przed nimi puściej. Na ich drodze pojawił się smagły mieszkaniec wschodnich krain, w jednej ręce trzymał zakrwawiony topór,

w drugiej zakrzywiony sztylet. Spojrzał Katonowi w oczy i natychmiast zaatakował, szczerząc zęby i unosząc cięższą broń. Prefekt osłonił się tarczą, przyjmując uderzenie na górne obramowanie. Ostrze topora przecięto metal i weszło głęboko w drewno. Wstrząs był tak silny, że Rzymianinowi zdrętwiało całe ramię. Zanim zdążył odpowiedzieć, renegat wyszarpnął broń, w tym samym czasie wykonując lewą ręką szeroki zamach, by trafić w odsłonięty bok Katona. Klinga odbiła się od zbroi łuskowej i ześlizgnęła w dół, rozcinając jedynie tunikę zaatakowanego.

– Teraz moja kolej – wysyczał prefekt przez zęby, wyrzucając tarczę do przodu.

Trafił guzem w żebra napastnika, pozbawiając go tchu. Mgnienie oka później wykonał prawidłowe pchnięcie gradusem. Renegat, choć wciąż oszołomiony, zdołał wykonać unik. Zatrzymał się szybko, unosząc broń, mimo że wciąż nie umiał zaczerpnąć tchu. Ale wtem potrącił go jeden z kamratów, aż stracił równowagę. Katon zaatakował, zanim przeciwnik zdążył się pozbierać. Napierając na tarczę, zmusił smagłego do cofnięcia, a gdy tamten potknął się o ciało zabitego i wywrócił, wbił sztych miecza w jego nagi brzuch, a potem walnął dolnym obramowaniem tarczy w krtań konającego, miażdżąc ją całkowicie.

Wyrwał zaraz miecz z rany i ruszył dalej, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Legioniści szli tuż za nim, osłaniając flanki. Większość ludzi Ajaksa była twarda, ale brakowało im wyszkolenia, nie mogli więc równać się z zawodowymi żołnierzami. Atakujący Rzymianie oczyścili zatem dość szybko rufę i utworzyli linię frontu przecinającą pokład śródokręcia. Gladiator i jego ludzie byli spychani krok po kroku ku dziobowi. Żaden jednak nie rzucił broni i nie błagał o litość, co nie uszło

uwagi Katona.

Prefekt znów dostrzegł czarny pióropusz, tym razem oddalony zaledwie o trzy kroki od miejsca, gdzie się znajdował. Zablokował tarczą kolejne pchnięcie i ruszył w tamtym kierunku. Napastnik cofnął miecz i spróbował ponownie, ale tym razem legionista po lewej zbił ostrze w dół, jednym płynnym ruchem uniósł gladiusa i wbił go w sam środek brzucha zaskoczonego renegata.

Katon nie miał czasu na prawienie komplementów, skinął więc tylko głową, przewrócił konającego pchnięciem tarczy i stanął twarzą w twarz z Ajaksem. Gladiator nosił rzymski hełm z dużymi osłonami bocznymi, które przesłaniały większą część twarzy. Jego brodę pokrywał czarny zarost, a równie ciemne oczy rozszerzyły się, gdy ruszył na rzymskiego oficera. Miecz zaczął opadać na głowę prefekta, który nie namyślając się wiele, uniósł tarczę, by sparować atak. Na to właśnie liczył jego przeciwnik. Klinga zmieniła błyskawicznie kierunek – trafiła w ramię Rzymianina i odbiła się. Konieczność wykonania dodatkowego ruchu zmniejszyła siłę uderzenia, ale i tak było wystarczająco mocne, by wytrącić szczupłego młodzieńca z równowagi i pozbawić go czucia w palcach na tyle, że puścił uchwyty tarczy.

– Szlag… – Katon skulił się i naparłszy bolącym ramieniem na wewnętrzną stronę tarczy, pchnął ją w kierunku Ajaksa. Przeciwnik był jednak o wiele masywniejszy, wytrzymał więc to zderzenie. Zaraz też odtrącił tarczę na bok. Ale ta krótka chwila wystarczyła, by Katon odskoczył i wziął się w garść. Drugie cięcie minęło jego głowę o włos. Gladiator, włożywszy w ten zamach wszystkie siły, odsłonił się na moment. Prefekt skorzystał z okazji, wyprowadzając klasyczne pchnięcie. Trafił w ramię przeciwnika, rozcinając je płytko, za to na długość łokcia. Ajaks zawył z bólu i wściekłości, wyprowadzając natychmiast cięcie. Rzymianin miał tylko czas na wykonanie uniku. Tym razem przykucnął i dźgnął

gladiatora w okolicę kolana, rozłupując kość i tnąc ścięgna. Ajaks zatoczył się i zaraz padł na bok, prosto pod nogi legionisty, który nie namyślając się wiele, uniósł gladiusa, by wrazić go pod pachę leżącego renegata. Rozległ się trzask pękających żeber, Ajaks stęknął głośno, gdy sztych miecza wbił się w płuca, sięgając serca. Jego ciało zesztywniało na moment, potem opadło bezwładnie twarzą do desek pokładu. Legionista postawił nogę na plecach zabitego, wyszarpnął gladiusa z rany i natychmiast zaatakował kolejnego przeciwnika.

Katon stał nad zwłokami Ajaksa, przyglądając im się z głębokim niedowierzaniem. Jego największy wróg był martwy. Pościg dobiegł końca. Czy na pewno? Prefekt otrząsnął się z zamyślenia. Potoczył wzrokiem po pokładzie liburny. Wszędzie wokół leżały ciała poległych, sosnowe deski pokrywała gruba warstwa przelanej krwi. Tylko kilku renegatów dotrwało do tej chwili, spychano ich właśnie na wąski dziób, ale wciąż walczyli jak natchnieni, śmiejąc się w twarz marynarzom i legionistom.

Katon otworzył usta, by przemówić, lecz miał zbyt sucho w ustach, więc głos mu się załamał. Przełknął ślinę, oblizał wargi i spróbował po raz drugi:

– Cofnąć się! Rzymianie, cofnąć się!

Większość jego podkomendnych usłyszała rozkaz i odstąpiła posłusznie od wroga. Tylko garstka zaślepionych żądzą krwi napierała dalej, ale i oni zostali zaraz odciągnięci przez przytomniejszych towarzyszy broni. Dekurion musiał spłazować ostatniego po hełmie, by zwrócił na niego uwagę. Rozległ się jeszcze jeden huk, kiedy klinga miecza wylądowała na tarczy, później słychać było już tylko urywane ciężkie dyszenie i jęki rannych.

– Zejdźcie mi z drogi! – zawołał prefekt i ludzie stojący

pomiędzy nim a renegatami rozstąpili się karnie. Wtedy wskazał mieczem zwłoki Ajaksa. – Wasz wódz nie żyje. Rzućcie broń i poddajcie się!

Po chwili nerwowej ciszy jeden z byłych niewolników zaśmiał się i wzniósł miecz ku niebu.

– Niech żyje Ajaks! Śmierć Rzymianom!

Jego kompani podjęli ten okrzyk. Katon przyglądał im się chłodno, czekając, aż umilkną. Gdy czas mijał, a renegaci nie cichli, zwrócił się do dekuriona:

– Wykończcie ich!

Oficer skinął głową, poprawił tarczę, ścisnął mocniej rękojeść miecza, a potem splunął na pokład.

– Marynarze! Naprzód marsz!

Rzymianie zwarli szeregi, tym razem jeszcze bardziej zacięci i bezlitośni. Miarowym krokiem pomaszerowali ku resztkom buntowników. Ci zaś przestali w końcu wiwatować i szykowali się do ostatniej walki, pragnąc zabrać ze sobą w zaświaty jak najwięcej wrogów.

Wyrżnięto ich jednak bez problemu. Marynarze natarli w zwartym szyku, tarcza przy tarczy, z mieczami przygotowanymi do zadawania celnych pchnięć. Znów rozległ się głośny łomot, klang krzyżowanej broni, później pojedynczy głos zawołał: „Niech żyje Ajaks!” i znów zapadła cisza. Zakrwawieni żołnierze stanęli przed stosem stygnących ciał. Katon westchnął ciężko, gdy ściągnął hełm i ruszył w tamtym kierunku. Bunt niewolników z Krety został definitywnie zakończony. Pozbyto się wszystkich poza grupką znajdującą się na drugim okręcie, który płonął po przeciwległej stronie zatoki w pobliżu mangrowców. Rzymska flotylla zablokowała im jedyną drogę ucieczki na morze,

więc nie umkną spod rzymskiego miecza.

Teraz, gdy odrętwienie w lewym ramieniu minęło, Katon poczuł potworny ból ręki. Mimo to poruszył palcami, by jak najszybciej odzyskać w nich czucie. Schował już miecz do pochwy i przestępując nad ciałami poległych, podszedł do martwego Ajaksa. Przyklęknął obok gladiatora, chwycił go za ramię i odwrócił na plecy. Głowa, osłonięta wciąż hełmem, przetoczyła się bezwładnie, martwe spojrzenie padło na Rzymianina. Katon odpiął palcami prawej dłoni paski pod brodą martwego i chwyciwszy za czarny pióropusz, ściągnął hełm zamaszystym ruchem.

– Nie… – jęknął, spojrzawszy w szkliste oczy trupa i na wpół otwarte usta. – Nie… nie!

Patrzył jeszcze przez moment na ciało, potem odrzucił hełm i zerwał się na równe nogi. Stojący w pobliżu marynarze i legioniści zerkali na niego zdziwieni. Katon potarł dłonią czoło, nie spuszczając wzroku z zabitego renegata. Ten człowiek był podobnie zbudowany jak gladiator, miał włosy tego samego koloru, ale na tym ich podobieństwo się kończyło. Prefekt zaczerpnął głęboko tchu i przeniósł wzrok na drugą liburnę, sunącą pod kłębami gęstego dymu ku przeciwległemu krańcowi zatoki. Poczuł się oszukany. Ajaks wciąż żył.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na rozkaz Katona dekurion pozostawił na pokładzie zdobytej jednostki niewielki oddział marynarzy, reszta Rzymian wróciła pospiesznie na pokład Sobka. Gdy tylko podniesiono kruka, trierarcha kazał odbić i wysunąć wiosła. Okręt ruszył w pościg za Thotem. Ajaks docierał już na przeciwległy skraj zatoki, ale stamtąd nie mógł wydostać się na otwarte morze. Dwie inne rzymskie jednostki blokowały wyjście. Trzy kolejne – oraz Sobek – kontynuowały pościg, a ostatni przybijał do przylądka od strony morza, by podjąć Macro i jego ludzi. Gladiator wpadł w pułapkę. Tą ucieczką opóźnia tylko nieuniknione, czyli pojmanie albo śmierć, pomyślał Katon, wracając na forkasztel. Moment później pojawił się obok niego Fermon.

– Nie ucieknie nam, panie.

– Obyś miał rację – odparł prefekt beznamiętnym tonem. – Nie przełknąłbym kolejnej porażki.

Trierarcha zerknął pod słońce, mrużąc powieki.

– Nadal płoną. Dlaczego nie ugasili jeszcze tego pożaru?

– Może potrzebowali wszystkich przy wiosłach – zasugerował Katon.

– Hm.

Przyglądali się uciekającej jednostce jeszcze przez chwilę, potem Fermon pokręcił głową.

– Co ten szaleniec robi, na wszystkich bogów? Płynie prosto na

mangrowce i nie próbuje zwolnić. Osadzi okręt na mieliźnie, to pewne.

Prefekt pokiwał głową.

– Zatem tak wygląda jego plan.

– Chce uciekać w te zarośla? – Żeglarz zrobił wielkie oczy. – To mu się nie uda.

– Dlaczego? – zapyta! Katon, odwracając się do niego.

– Panie, patrolowałem Deltę od chwili wstąpienia do floty. Stąd wiem, że nie ma trudniejszego terenu do przebycia jak podmokle mangrowce. Jeśli nawet uda ci się pokonać trzcinowiska i plątaniny zdradliwych korzeni, i tak utkniesz w mule, nie mówiąc już o tym, że powietrze tam wiecznie cuchnie rozkładem. W dodatku to wylęgarnia wszelkiej maści owadów, pijawek, a nawet krokodyli. Próba ucieczki przez mangrowce to czyste samobójstwo.

– Jeśli tego nie zrobi, i tak czeka go pewna śmierć. – Prefekt przeniósł wzrok na znajdujący się niespełna pół mili dalej okręt. – Podjąłbym takie ryzyko na miejscu Ajaksa. Nie miałbym nic do stracenia. Gdybym zdołał uciec, szkodziłbym dalej Rzymowi. Tą myślą żywi się teraz nasz gladiator.

Sobek sunął po wodach zatoki popychany siłą mięśni ludzi ukrytych pod pokładem, a stojący na forkasztelu Katon z coraz większym niepokojem przyglądał się uciekającym renegatom. Wbrew temu, co mówił Fermon, Ajaks był na tyle zdesperowany i przebiegły, że zaryzykowałby wyprawę w głąb bagien kryjących się pod kobiercem gęstej roślinności.

– Spójrz! – Trierarcha wskazał palcem.

Maszt ściganej jednostki zachwiał się i zaraz runął w kierunku bakburtowej części dziobu, pociągając za sobą całe olinowanie

i bom. Część wioseł została połamana, inne uniosły się w górę – z tej odległości uszkodzony okręt wyglądał jak konający owad. Chwilę później liburna zatrzymała się tuż przed ścianą zarośli i okalających je trzcinowisk.

W powietrze wzbiły się stada wystraszonego ptactwa, chwiejące się leniwie listowie spryskały kaskady wody i piachu. Ogień buchnął raźniej, ale zaraz znów przygasł, tyle że nad wrakiem unosiło się teraz znacznie więcej dymu. Katon dostrzegł na odległym pokładzie miniaturowe sylwetki ludzi. Renegaci opuścili trap prosto w największą gęstwinę, po czym zaczęli po nim zbiegać z obnażonymi mieczami w dłoni, tuląc pod pachą luźne zawiniątka.

– A jednak – mruknął prefekt. Gdy zobaczył opuszczających płonący okręt renegatów, poczuł ogromny zawód. – Nie mogą nam uciec, zrozumiano?

– Tak, panie – odparł Fermon, wskazując na pokład Sobka. – Chłopcy dadzą z siebie wszystko.

Katon spojrzał na wiosła, które miarowo popychały jego okręt w kierunku wroga, i po krótkim namyśle zszedł z forkasztelu, by przemówić do legionistów.

– Posłuchajcie mnie uważnie! – Odczekał chwilę, by wszyscy ucichli i skupili na nim uwagę. – Potrzebuję pięćdziesięciu ochotników, którzy pójdą za zbiegami w ten gąszcz. – Wskazał palcem na okręt wroga. – Byliście ze mną na Krecie. Widzieliście na własne oczy, jakich niegodziwości dopuszczał się Ajaks i jego ludzie. Musimy go schwytać albo zabić, żeby zakończyć tę sprawę raz na zawsze. – Spojrzał na dowódcę oddziału, centuriona Rufusa. – Pójdą tylko ochotnicy. Sprawdź, czy żaden nie jest ranny. Nie wątpię w odwagę twoich podwładnych, ale wejdziemy w bagna, tam każda rana może ulec zakażeniu. Ci, którzy

wyruszą ze mną, mają zdjąć pancerze. Zabieramy tylko miecze, tarcze, hełmy i trzydniowy przydział wody. – Powiódł wzrokiem po twarzach żołnierzy. – To wszystko. Ochotnicy mają być gotowi, jak tylko dotrzemy do brzegu. Rozejść się!

Sam ruszył na dziób, by obserwować podejście Sobka do płonącego wraku. Gdy okręt znalazł się wystarczająco blisko brzegu, trierarcha wydał rozkaz zanurzenia wioseł, a potem naparcia na nie w przeciwną stronę, aby jak najszybciej zmniejszyć prędkość. Inne jednostki zostały z tyłu, więc tylko flagowiec przybił do gęstwiny tuż obok porzuconego Thota. Powietrze wypełniał tam ryk płomieni i trzask palącego się drewna. Żar był prawie nie do wytrzymania. Katon pomyślał więc, że gladiator tuż przed zejściem z pokładu kazał podsycić płomienie.

– Fermonie! – zawołał, wskazując zajętą ogniem liburnę. – Wyślij ludzi na Thota, niech sprawdzą, czy nie uda się ugasić tego pożaru.

– Tak, panie.

Lekkie drżenie pokładu uświadomiło prefektowi, że Sobek przybił do brzegu. Marynarze natychmiast opuścili trap, którego kraniec zniknął w zmąconej taranem wodzie.

– Ty tam! – Katon wskazał stojącego najbliżej legionistę. – Pomóż mi zdjąć kolczugę.

Stanął pochylony z wyciągniętymi rękami, by żołnierz mógł ściągnąć z niego obcisły pancerz. Gdy ciężka kolczuga spoczęła na pokładzie, skinął głową w podzięce, potem przewiesił przez ramię manierkę, bukłak z wodą i chlebak wypełniony sucharami i plastrami suszonej wołowiny. Na koniec przypasał miecz i podniósł tarczę. Tak przygotowany stanął przed centurionem Rufusem.

– Hu się zgłosiło? – zapytał.

– Pięćdziesięciu, zgodnie z rozkazem.

– To na pewno sami ochotnicy? – upewnił się z lekkim przekąsem prefekt.

– Wiesz, jak jest, panie – odparł Rufus, szczerząc zęby. – Oficer mówi, że chce ochotników, i zaczyna się biadolenie, dlaczego bierzecie jego, a nie mnie. Jak słusznie zauważyłeś, panie, to doskonali żołnierze. Dlatego wybrałem dla ciebie najlepszych.

– Zatem możemy ruszać.

Gdy przysadzisty centurion poprowadził pierwszą drużynę w dół trapu, prefekt odwrócił się do trierarchy.

– Powiedz Macro, by ruszył za nami. Myślę, że bez trudu znajdzie trop moich ludzi.

– Dobrze, panie.

Katon odczekał chwilę i dodał:

– Potem zabierz resztę eskadry do Aleksandrii i złóż raport namiestnikowi. Przekaż mu, że będę ścigał Ajaksa, dopóki go nie dopadnę albo nie wykończę. Dopiero wtedy wrócę do miasta. Zapamiętałeś?

Fermon potaknął.

– Tak. Oby bogowie mieli cię w swojej opiece, panie. Będę się modlił o przychylność Fortuny.

– Przyda mi się. Od początku tej misji miała mnie gdzieś… – Katon zamilkł i spojrzał przyjaźniej na trierarchę. – Szczęśliwego powrotu do domu.

Odwrócił się i stanął w kolejce żołnierzy oczekujących na zejście z pokładu. Deski trapu uginały się ze skrzypieniem pod ciężarem maszerujących ludzi, więc prefekt musiał uważać, gdy

przyszła jego kolej. Po chwili brodził już w sięgającej mu do połowy uda mulistej brei. Wokół rosły niewysokie drzewka, ich pnie wspierały się na plątaninie niknących pod wodą grubych korzeni. Rozgrzane powietrze było gęste od słodkawego odoru. Legioniści idący przed Katonem kierowali się na fragment suchego lądu porośnięty wyższą od człowieka trzciną. Jeden wylądował właśnie w wodzie, zawadziwszy butem o niewidoczne korzenie. Podniósł się szybko, cały mokry i wściekły, zebrał wyposażenie i ruszył dalej. Prefekt poruszał się ostrożniej, wymacując przy każdym kroku dno, i w końcu dotarł na suchy ląd. Centurion Rufus powitał go skinieniem głowy i zaraz wrzasnął na swoich ludzi:

– Ruszać się, leniwe bękarty! Żywo! – Znów spojrzał na Katona.

– Wysiałem przodem pierwszą drużynę, panie. Kazałem chłopcom trzymać się ludzi Ajaksa, ale nie atakować.

– Świetnie – pochwalił go prefekt. – Zadbaj też, by straż tylna zostawiała wyraźne znaki. Centurion Macro pójdzie naszym śladem….

– przerwał, by przyjrzeć się otaczającej ich gęstej roślinności i płytkiej wodzie. – Poza tym będziemy wracali tą samą trasą.

– Racja. Wolałbym nie zgubić się w tym gąszczu.

– Nie wiemy, jak daleko ciągną się mokradła. Musimy dogonić Ajaksa, zanim wydostanie się na otwartą przestrzeń. – Katon przesunął bukłak i chlebak na plecy, potem podniósł tarczę. Robiło się nieznośnie gorąco, w kolumnach blasku słonecznego przesączającego się tu i ówdzie przez listowie wirowały chmary owadów. – Zbierajmy się stąd.

Przywołał ręką Rufusa i przeszedł razem z nim na początek długiej linii legionistów okupujących niewielką wysepkę. Wysoka trawa była zdeptana, w oddali widniały wyrąbane mieczami

trzciny. Tamtędy uciekali ludzie Ajaksa.

Prefekt zaczerpnął tchu, wciągając do płuc powietrze przesiąknięte odorem gnijącej roślinności i zastałej wody.

– Kolumna, naprzód marsz!

Zeskoczył do płytkiej wody, w wąskie przejście pomiędzy trzcinami. Ci, którzy szli tędy przed nim, zdeptali część roślin, a inne wycięli, zostawiając pościgowi bardzo wyraźne ślady. Miał nadzieję, że ciężka praca przy wycinaniu sobie drogi opóźni i dodatkowo osłabi zbiegłych niewolników, ułatwiając mu zadanie. Z drugiej jednak strony istniało całkiem spore ryzyko, że wróg zaczai się gdzieś na legionistów. Tyle dobrego, że idący przodem ludzie centuriona Rufusa będą w stanie wykryć każdą próbę zaskoczenia głównych sił.

To nie była jednak łatwa przeprawa, zwłaszcza gdy słońce wspięło się wyżej i zaczęło przypiekać przedzierających się przez trzcinowisko żołnierzy. Nieruchome powietrze też nie pomagało, szybko więc Katonowi czoło i skronie zrosił gruby pot. Musiał go obcierać co rusz, by widzieć drogę przed sobą. W końcu zaś nie wytrzymał i zdjął hełm, przytraczając go do pasa. Przekazał Rufusowi, że pozwala ludziom na to samo. Jego słowa powtarzano w marszu z ust do ust. Idący za Katonem oficer oganiał się bez przerwy od krążących nad ludźmi chmar owadów, złorzecząc ile wlezie.

– Nie wydzieraj się tak – zganił go prefekt.

– Wybacz, panie, ale te małe dranie pożerają mnie żywcem. Ciekaw jestem, co żrą, kiedy nie mają pod ręką Rzymian. – Zamachnął się ręką na wielkiego komara, który zawisł mu przed twarzą. – Spieprzaj, krwiopijcza pizdo!

Katon zamarł nagle, wpatrzony w coś po prawej.

– Oto odpowiedź na twoje pytanie, centurionie.

Rufus podszedł do niego, by zobaczyć, o czym mówi. W wodzie leżało ciało, na tle jasnych trzcin wydawało się niemal czarne. Oczy martwego wpatrywały się ślepo w słońce, strużki zastygłej krwi wyciekającej z otwartych ust zostawiły wyraźne ślady na brodzie. Nad nim krążyły roje owadów raczących się potem i krwią zabitego.

– To jeden z nich, jak sądzę – rzucił Katon, przyjrzawszy się rysom i budowie trupa.

– I dobrze. To może znaczyć, że chłopcy z pierwszej drużyny doganiają już maruderów.

Prefekt skrzywił się, gdy wielki komar przysiadł na jednym z oczu zabitego.

– Potrzymaj.

Gdy centurion chwycił wyciągniętą w jego kierunku tarczę, Katon pochylił się, by uważniej obejrzeć ciało. Woda była ciemna i bardzo mętna, więc wszystko, co się w niej kryło, było słabo widoczne. Wsunąwszy w nią dłoń, wymacał klingę i przesuwając po niej palcami, dotarł do rękojeści. Pociągnął, poruszając przy okazji ciałem. Zwłoki wypłynęły na powierzchnię przy wtórze głośnego bulgotu.

Miecz tkwił w trzewiach zabitego, wbito go pod kątem, od góry.

Rufus wydął znacząco wargi.

– Samobójstwo?

– Tak. Albo kamraci oszczędzili mu wpadnięcia w nasze ręce.

– Ale dlaczego, panie?

– Spójrz tutaj. – Katon wskazał palcem lewej ręki, obracając lekko ciało.

Bok mężczyzny zdobiło długie rozcięcie wyglądające teraz jak lekko rozwarte usta. Woda wypłukała z niego większość krwi, więc Rzymianie widzieli dokładnie porozrywane tkanki. – Był ranny. Mógł ich opóźniać.

Prefekt puścił miecz, pozwalając ciału zatonąć. Rufus zwrócił mu tarczę i razem wrócili na wąski szlak. Reszta legionistów czekała tam na nich, stojąc po kolana w cuchnącej wodzie. Centurion wyciągnął rękę, widząc, że jeden z jego ludzi sięga po manierkę i próbuje ją odkorkować.

– A ty co, kurwa, robisz, legionisto Poloniuszu? Czy dałem pozwolenie na picie?

– Nie, panie.

– Odłóż więc manierkę i nie śmiej jej tknąć palcem, dopóki nie usłyszysz takiego rozkazu. Jeśli ją opróżnisz, sięgniesz do bukłaka. A potem ani się obejrzysz, jak zdechniesz z pragnienia. – Legionista natychmiast przełożył pasek manierki przez ramię. – Tak lepiej – mruknął Rufus, mierząc pozostałych ostrym spojrzeniem. – Nie wiemy, jak długo będziemy ścigali wroga. Macie tylko tyle wody, ile mieści się w tych manierkach i bukłakach. Jeśli spróbujecie choć kropli tego syfu, w którym brodzicie, będziecie srać po nogach przez najbliższy miesiąc. O ile pożyjecie tak długo. Dlatego pijecie wyłącznie wodę z manierek i tylko wtedy, gdy ja na to pozwolę. – Pokiwali głowami.

– Skoro doszliśmy do porozumienia, chwytajcie za tarcze i ruszajcie za nami.

Katon przyglądał się centurionowi z rosnącym podziwem. Rufus był żołnierzem starej szkoły i nie stracił ostrości pomimo wielu lat spędzonych na dalekiej prowincji, gdzie stacjonowali ludzie nie pamiętający udziału w porządnej kampanii. Jego głos, zachowanie i liczne blizny zdobiące zarówno twarz, jak i ręce

świadczyły o profesjonalizmie. To był człowiek pokroju Macro, uznał prefekt po chwili zastanowienia.

W pobliskich zaroślach coś zaszeleściło, potem rozległ się plusk, gdy coś wielkiego ruszyło w kierunku Katona, który obrócił się automatycznie, przykląkł i uniósł tarczę, wyszarpując miecz z pochwy. Spośród trzcin wynurzył się odrażający stwór, jego guzowata skóra lśniła od wody, gdy rozwierał długą paszczę, by wgryźć się w ciało. Młody Rzymianin zamarł na ten widok. Zanim odzyskał władzę w członkach, bestia zniknęła na powrót w sitowiu razem z martwą ofiarą. Prefekt dostrzegł tylko sztywne kończyny znikające pod wodą. Mgnienie oka później widział jedynie fale na wodzie i kołyszące się trzciny. W oddali cichł złowieszczy chlupot.

Katon przełknął ślinę i przeniósł wzrok na Rufusa.

– Co to było, u licha? – wymamrotał.

– Krokodyl – odparł centurion, spoglądając z bojaźnią w miejsce, gdzie zniknął potwór, jakby spodziewał się jego powrotu.

– Krokodyl? – Ostrzegano prefekta przed tymi zwierzętami, ale teraz ujrzał jedno z nich po raz pierwszy.

Rufus przytaknął.

– Żyją w Nilu i tutaj, w Delcie.

– Tak słyszałem. – Katon wyprostował się powoli. – Ale na lądzie nie ma ich zbyt wiele?

– Na pewno mniej niż komarów… Choć i te, co są, dają się czasem we znaki. Miejscowi wolą się trzymać z dala od miejsc zamieszkiwanych przez te bestie.

– Nie dziwi mnie to.

– Mimo to krokodyle dopadają czasem wędrowców albo ich muły.

– Nie poluje się na nie?

Centurion uśmiechnął się pod nosem.

– Kto by miał śmiałość? Poza tym dla tutejszych są święte.

– Święte?

Rufus wyglądał na zaskoczonego.

– Przebywasz na pokładzie Sobka od dwóch miesięcy, panie, i jeszcze do tego nie doszedłeś?

– Do czego? – zapytał poirytowany Katon.

– Bóg krokodyli nazywa się Sobek, panie.

Prefekt skrzywił się, nie skojarzył tego faktu, to prawda.

– Jeśli kolejny podejdzie zbyt blisko, chyba złożę z niego ofiarę – rzucił.

– Wątpię, aby to ci się udało, panie. Może i krokodyle wyglądają pokracznie, ale prześcigną każdego człowieka na lądzie i pływają szybciej niż inne zwierzęta wodne. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Tak samo jak od węży.

– Chciałeś powiedzieć, że są tu jadowite węże?

– Śmiertelnie niebezpieczne. A zwłaszcza kobry, panie. Aczkolwiek one wolą bardziej suche tereny.

– Niewielkie to pocieszenie. Ruszajmy dalej. – Prefekt spojrzał na żołnierzy i zauważył, że część z nich nadal spogląda z lękiem na miejsce, skąd dobiegały ciche chlupoty. – Kolumna, naprzód marsz!

Odwrócił się, podniósł tarczę, wydając cichy jęk, i ruszył wyciętym szlakiem, zerkając co rusz na boki. Myśl o tym, że może

trafić na kolejnego krokodyla, nie dawała mu spokoju, ale z drugiej strony chciał jak najszybciej dopaść Ajaksa. Gladiator musi zostać pokonany, bez względu na cenę. Katon skupił się na tym wyzwaniu. Tylko to się teraz liczyło. A jego zadaniem jest dać przykład żołnierzom, więc pomimo lęku brnął coraz głębiej w sitowie, nie bacząc na czyhające w nim zagrożenia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Słońce wspinało się coraz wyżej na bezchmurne niebo, zalewając brodzących przez mokradła żołnierzy falami coraz większego żaru. Powietrze, cuchnące i nieruchome, rozgrzewało się z każdą chwilą. Katon już niedługo po wymarszu poczuł w ustach suchość, która stopniowo ustępowała pieczeniu, a potem paleniu w gardle. Miał ochotę sięgnąć po manierkę i pociągnąć spory łyk wody, ale czekał, aż Rufus pozwoli na to swoim podwładnym. Nie chciał być postrzegany jako ktoś słabszy od dowodzącego oddziałem oficera. Wytrzymał więc długo, choć z czasem zaczął się zastanawiać, czy centurion nie przeciąga momentu ogłoszenia postoju z tego samego powodu. Zerknął szybko przez ramię. Rufus szedł dziesięć stóp za nim, wyglądał na zmęczonego, twarz lśniła mu od potu, lecz minę miał wciąż nieodgadnioną.

Około południa spomiędzy trzcin wyłoniła się niewielka pokryta trawą wysepka. Tam, zdaniem Katona, legioniści mogliby odpocząć. Po wspięciu się na skrawek suchego lądu prefekt zrobił jeszcze kilka kroków, po czym opuścił tarczę i oparł się o nią, dysząc ciężko. Żołnierze wynurzali się z mokradeł jeden za drugim i padali na ziemię jak kłody.

– Proszę o pozwolenie wydania wody moim ludziom, panie – wychrypiał Rufus, gdy już otarł dłonią czoło z potu. – Najwyższa na to pora moim zdaniem.

– Dobrze – zgodził się Katon. – Pozwól im się napić, ale pamiętaj, nie więcej niż porządny łyk.

– Tak, panie.

Gdy pilnowani przez centuriona ludzie raczyli się oszczędnie wodą, prefekt także uniósł manierkę do ust. Pił maleńkimi łyczkami, długo spłukując usta, zanim przełknął rozgrzaną ciecz. Potem zakorkował naczynie i wszedł na najwyższy punkt wysepki, by sprawdzić, czy nie widać czegoś dalej na południu. Tam właśnie kierował się Ajaks od świtu.

Katon dotarł do kępy daktylowców, między którymi leżały zwalone pnie niknące w plątaninie wyschniętych liści. Prefekt wspiął się na jeden z nich. Z wysokości miał lepszy widok na rozległe gęste trzcinowiska, z których tu i ówdzie sterczały samotne drzewa albo wyższe krzewy. Ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Posmutniał na ten widok. Miał nadzieję, że maszerując tak szybko, dogoni ludzi Ajaksa. Był też zmartwiony. Nadal nie otrzymali choćby jednego meldunku od drużyny, którą Rufus wysłał przodem, by nie tracić kontaktu z przeciwnikiem. Albo ci żołnierze byli daleko w przodzie, albo zgubili się na tych moczarach. Katon odwrócił się, by spojrzeć na szlak, którym tutaj dotarli. Tam także, choć przebyli niespełna pięć mil, nie dostrzegł nawet śladu życia. Horyzont był czysty, a wśród przebytych do tej pory trzcinowisk nic się nie poruszało.

Rzuciwszy raz jeszcze okiem na południe, wrócił do żołnierzy i podniósł ciężką tarczę.

– Koniec odpoczynku, centurionie. Postaw swoich ludzi na nogi.

Na twarzy Rufusa pojawił się cień zaskoczenia, zaraz jednak wykonał rozkaz przełożonego. Stanął twarzą do legionistów, opierając dłonie na biodrach.

– Podnosimy dupki, moje panienki! – Odpowiedział mu chór jęków i narzekań, dlatego odchrząknął szybko i wydarł się jeszcze głośniej: – Cisza! Wydałem pieprzony rozkaz czy nie? Wstawać!

Czas zarobić na żołd. Za co cesarz podsypuje wam tak szczodrze srebrem? Za to właśnie! Więc zamykamy mordy i sięgamy po ekwipunek, do kurwy nędzy!

Legioniści podnosili się ociężale gotowi do podjęcia marszu. Rufus odwrócił się twarzą do prefekta.

– Jesteśmy gotowi, panie.

– Dziękuję. Naprzód marsz!

Centurion uniósł rękę, by wskazać wydeptany w trzcinach szlak.

– Kolumna! Naprzód marsz!

Rzymianie prowadzeni przez Katona ruszyli przez wysoką trawę ku przeciwległemu krańcowi wyspy, gdzie znów weszli w zastałą mulistą wodę okalającą wielkie trzcinowiska. Popołudnie było najgorętszą porą dnia, więc żar lał się strumieniami na głowy rozciągniętych w długą linię żołnierzy. Wielu moczyło filcowe czepce wkładane pod hełmy, by ochłodzić się choć trochę.

Trochę przed zmierzchem grupa pościgowa natknęła się na drugie ciało, spoczywające tym razem w plątaninie korzeni powalonego drzewa. Ten nieszczęśnik, jak jego poprzednik, także miał rany po porannej walce i też został dobity przez swoich. Prefekt przyjrzał mu się uważnie, zanim dał rozkaz podjęcia marszu.

Nadal nie otrzymał żadnego meldunku od idącej przodem drużyny, więc zyskał pewność, że jego ludzie wpadli w tarapaty albo pobłądzili na bagnach. Jakiś czas później dał sygnał do odpoczynku, podczas którego legioniści mogli wypić kolejny łyk wody. Dysząc ciężko, wspierali się na tarczach, gdy prefekt rozmawiał z ich centurionem.

– Coś jest nie tak. Twoi ludzie powinni zameldować się już dawno temu.

– Wiem, panie. – Rufus rozwiązał chustę i otarł nią twarz. – Mam wysłać kogoś przodem, by to sprawdził?

Katon rozważał przez moment tę propozycję.

– Nie. Ryzykowanie życia kolejnych ludzi nie ma większego sensu. Jeśli nadal ścigają Ajaksa, zatrzymają się na noc tak jak i on. Wtedy się zgłoszą. Tak sądzę.

– A jeśli tego nie zrobią?

– Wtedy będziemy tak długo podążać tym tropem, aż wpadniemy na nich albo na Ajaksa. Tak to widzę.

– A co z centurionem Macro, panie?

– Dogoni nas. Na to możemy liczyć. – Prefekt się uśmiechnął.

– Nie przeoczyłby okazji do tak zaciętej walki. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – On pragnie go zabić bardziej niż inni. Z wyjątkiem mnie.

Rufus przytaknął. Walczył na Krecie, gdzie słyszał na pewno o pojmaniu Macro i Julii, kobiety przyrzeczonej prefektowi.

– Może zatrzymamy się wcześniej, dając mu większe szanse na dogonienie?

Katon przemyślał i tę propozycję, ale zaraz pokręcił głową.

– Po każdym postoju ludzie poruszają się wolniej. Lepiej poczekajmy do zmierzchu z kolejnym popasem. – Zwilżył wargi językiem.

– Ruszajmy.

Mimo że słońce opadało już powoli ku horyzontowi, upał wcale nie wydawał się mniejszy. Kolumna maszerowała wciąż przez

mokradła, umęczeni ludzi garbili się pod ciężarem tarcz, usychając przy tym z pragnienia. Chłodniej zrobiło się, dopiero gdy słońce zaczęło znikać w mgiełce, która zasnuła horyzont. Wysokie trzciny rzucały cień na brnących przez nie spoconych i zdyszanych Rzymian. Katon nigdy wcześniej nie odczuwał aż takiego zmęczenia. Nawet gdy zaczynał służbę w legionach i zmuszano go do całodziennych ćwiczeń rozpoczynających się tuż po świcie. Maszerował wtedy w pełnym oporządzeniu, pokonując każdego dnia nie mniej niż szesnaście mil tylko po to, by później budować obóz, rozstawiać namioty, rozpalać ogniska i odpoczywać do objęcia warty. To była wycieńczająca rutyna, doskonale to pamiętał, ale stacjonując w Germanii, nie musiał robić tego w tak potwornym upale. Dzisiaj natomiast miał przeciw sobie wszystko, od żaru lejącego się z bezchmurnego nieba przez odór, chmary owadów aż po ukryte w mule korzenie, o które mógł się w każdej chwili potknąć. Tylko dzięki motywacji i silnej woli zdołał dojść tak daleko.

Gdy kolumna wkraczała na kolejną wysepkę, cienie rzucane przez legionistów zrobiły się naprawdę długie. W tym miejscu wydeptany trop łączył się ze szlakiem, który rozwidlał się kilkadziesiąt kroków dalej. Katon zatrzymał się na rozdrożu, sprawdzając uważnie oba kierunki.

– Co o tym myślisz, panie? – zapytał zdyszany mocno Rufus. – Idziemy w lewo czy w prawo?

Prefekt otarł pot z czoła, zanim rozważył oba rozwiązania.

– Po lewej szlak biegnie ku północy, z powrotem ku wybrzeżu. Na miejscu Ajaksa wybrałbym przeciwną stronę, by jak najszybciej oddalić się od morza i naszych okrętów. Pójdziemy zatem w prawo.

Odłożył tarczę, podszedł do kępy palm i wyciągnął spomiędzy

pni kilka uschniętych liści. Wyjąwszy sztylet, poobcinał łodygi, które ułożył na ścieżce w kształcie strzałki wskazującej kierunek ich marszu.

– To dla Macro – wyjaśnił, potem podniósł tarczę i poprowadził żołnierzy w prawo, ku sercu Delty.

Mimo że ścieżka była wąska i od czasu do czasu przebiegała przez kępy palm, wydawała się wszystkim dobrą odmianą po godzinach spędzonych na brodzeniu w cuchnących mokradłach. Przeszli nią milę z okładem, zanim Katon dostrzegł wyłaniające się z trzcinowiska zabudowania. Odwrócił się do Rufusa i wskazując je, powiedział półgłosem:

– Pierwszy ślad życia od rana.

– Może miejscowi coś widzieli, panie.

– Miejmy nadzieję.

Katon wciąż niepokoił się o losy zaginionej drużyny. Jeśli ci chłopcy nie zgubili się na bagnach, to jedynym wytłumaczeniem ich milczenia musiało być to, że wpadli na ludzi Ajaksa. A jeżeli faktycznie tak się stało, nie mieli wielkich szans.

Podchodząc do zabudowań, prefekt zauważył, że jest ich niewiele. Stały w pewnym oddaleniu od siebie po obu stronach szerokiego traktu. Był już tak blisko, że powinien słyszeć gwar typowy dla tego rodzaju miejsc, lecz do jego uszu dobiegało tylko ciche meczenie kóz. Nie dostrzegł też żadnego ruchu. Poczuł niepewność, gdy minął ostatni zakręt i zobaczył przed sobą najbliższe zabudowania. Zatrzymał kolumnę. Domy były typowe dla tej okolicy – wzniesiono je z cegieł robionych z suszonego na słońcu mułu i pokryto strzechą z palmowych liści, która dawała cień, a jednocześnie zapewniała dobrą wentylację wnętrza. Przyjrzał się niewielkiej wiosce, po czym zaczerpnął tchu.

– Nałożyć hełmy, miecze w dłoń – rozkazał. – Każ ludziom zacieśnić szyk. Tylko bez hałasów.

– Tak, panie. – Rufus skinął głową i ruszył wzdłuż linii, by przekazać wszystkim rozkazy.

Zmęczeni legioniści pospiesznie nakładali hełmy i dopinali paski, aby jak najszybciej sięgnąć po broń i osłonić się tarczami. Centurion przytruchtał po chwili i znów ustawił się u boku Katona.

– Jesteśmy gotowi, panie.

– Świetnie. – Katon także wsunął hełm na głowę i znów zaczerpnął tchu. – Naprzód marsz!

Ruszyli mierzonym krokiem ku zabudowaniom, wypatrując oczy i nastawiając uszu. Nadal nie widzieli śladu życia prócz leżącego w cieniu, wymizerowanego kundla, który podniósł łeb, popatrzył na nich, podrapał się za uchem i na powrót znieruchomiał. Katon zatrzymał się, by zajrzeć do najbliższej chaty. Była pusta, tak samo jak następna i kolejne, które mijali po drodze do centralnego placu wsi.

W pewnym momencie Rufus wychrypiał:

– Tam, panie. Spójrz na tę ścianę po lewej, tuż przy wejściu.

Prefekt popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył ciemną plamę zdobiącą cegły. Krew.

– Wygląda na to, że Ajaks też tędy przechodził.

Centurion podszedł do chaty, przełożywszy miecz do lewej ręki, zbadał plamę.

– Jeśli tak, to całkiem niedawno. Krew jeszcze nie zaschła. Pytanie tylko, gdzie są ciała?

– Może większość miejscowych uciekła na widok renegatów.

– Mam nadzieję, że tak właśnie było, panie. – Rufus przełożył ponownie broń do prawej ręki i rozejrzał się uważnie.

We wsi panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć natrętnego brzęczenia much. Katon po chwili nasłuchiwania zrozumiał, że dobiega ono zza niskiego muru otaczającego zagrodę, w której miejscowi trzymali inwentarz. Prefekt przełknął ślinę, ruszając w tamtym kierunku, by zajrzeć za ogrodzenie. Teraz, gdy słońce dotykało już horyzontu, wewnątrz panował półmrok. Światła wystarczyło jednak, by dostrzec stosy ciał. Młodzi, starzy, kobiety i dzieci, nikogo nie oszczędzono.

– Dlaczego to zrobili? – zapytał Rufus, dołączając do Katona.

– Jeśli potrzebowali żywności, mogli ją sobie zabrać i zostawić tych ludzi przy życiu.

– Ajaks chce tym coś udowodnić – odparł ponuro Katon. – Chce, aby mieszkańcy tej prowincji wiedzieli, że nie jesteśmy w stanie ich obronić. Gdy rozejdą się wieści o tej masakrze, namiestnik otrzyma dziesiątki żądań wysłania wojska do obrony każdej wioski.

Rufus zastanawiał się przez dłuższą chwilę, potem pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, panie, czy o to mu chodziło. Coś mi tu nie gra. To miejsce leży zbyt daleko od cywilizacji, by mogło posłużyć za przykład dla innych.

– Dlaczego więc to zrobił?

– By ich uciszyć. By nie mogli nam powiedzieć, jak dużo ludzi mu zostało, w jakim są stanie i gdzie poszli po opuszczeniu wioski.

Katon pokiwał głową.

– Tak, tym też mógłby się kierować.

– Panie! – Prefekt i centurion odwrócili się równocześnie. Po drugiej stronie drogi stał legionista, wskazując na zagrody dla mułów.

– Tutaj!

Potruchtali między obory, w których kilka zwierząt stało przy pustych żłobach, i wyszli na niewielki, pokryty warstwą łajna placyk. Zobaczyli ciała żołnierzy z drużyny, która poszła przodem. Zaciągnięto je tam i porzucono w gnoju.

– A niech mnie!… – wymamrotał Rufus. – To wyjaśnia ich milczenie.

Katon przyklęknął, by przyjrzeć się dokładniej zabitym.

– Rany po strzałach. Wygląda na to, że wpadli w pułapkę. – Wypowiadając te słowa, poczuł chłód pnący się po krzyżu. – To dlatego wymordowano wieśniaków.

Zanim centurion zdążył odpowiedzieć, od strony ulicy biegnącej przez wieś dobiegł znajomy świst, a zaraz po nim zduszony okrzyk. Obaj oficerowie pobiegli między obory, unosząc tarcze i rozglądając się czujnie wokół. Jeden z legionistów leżał na ziemi, wsparty na łokciu spoglądał ze zdziwieniem na strzałę wystającą z jego piersi. Drugi kręcił się, próbując sięgnąć wbitej w łopatkę brzechwy. Kolejne strzały nadleciały bez ostrzeżenia. Trzeci legionista został trafiony na oczach Katona. Grot przeszedł przez jego prawą rękę, przyszpilając ją do korpusu.

Prefekt nabrał powietrza do płuc i wrzasnął:

– To pułapka! Tarcze w górę! Legioniści! Do mnie!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy Rufus i jego ludzie zwarli szeregi, tworząc ścianę z tarcz w kształcie spłaszczonej mocno elipsy, Katon dostrzegł wroga. Kilku ludzi wybiegło z kryjówek i stanęło po drugiej stronie wioski, mierząc z łuków do Rzymian. Oglądając się przez ramię, prefekt zauważył kolejną grupę napastników blokujących drogę, którą kolumna wkroczyła do wsi. Ajaks wziął ich w dwa ognie, ale Katon zauważył natychmiast, że on i jego ludzie bez trudu przedrą się przez każdą z tych blokad. Zaraz wszakże dostrzegł renegatów przemykających pomiędzy chatami. Chwilę później strzecha jednego z budynków stanęła w płomieniach. Kolejne ogniska pożarów pojawiały się na skraju wioski, oświetlając Rzymian stojących w samym środku osady. Znów śmignęły strzały i jeszcze jeden legionista, stojący obok prefekta, jęknął trafiony w ramię. Mgnienie oka później młody oficer poczuł szarpnięcie przebitej grotem tarczy. Ostra drzazga musnęła jego szyję.

– Musimy się wycofać! – zawołał Rufus, wskazując drogę, którą tutaj przyszli.

– Nie. Mamy to, czegośmy chcieli. To szansa na pokonanie Ajaksa. – Katon ocenił pospiesznie sytuację. – Weź połowę ludzi i idź w kierunku wejścia do wioski. Wyrżnijcie łuczników, a potem zawróćcie i zacznijcie przeczesywać zabudowania.

– A co z tobą, panie?

– Ja zabiorę resztę ludzi i zajmę się przeciwległa stroną. – Zanim Rufus zdążył zaprotestować przeciw podziałowi sił,

prefekt popchnął go tarczą, warcząc: – Ruszaj!

– Ostatnie trzy drużyny za mną! – zawołał centurion, przekrzykując trzask płomieni.

Wycofał się pospiesznie, zabierając przydzielonych legionistów. Kolumna podzieliła się na dwie połowy i jedna, osłaniając się tarczami, pomaszerowała pospiesznie ku wejściu do wsi. Katon, widząc to, zacisnął dłoń na rękojeści gladiusa i zawołał do reszty żołnierzy:

– Za mną!

Poszli prosto na grad strzał, formując wokół niego ciasny szyk. Pociski bębniły nieprzerwanie o grube osłony, ale tylko jeden Rzymianin został trafiony podczas tego ataku: gdy oddział dotarł w pobliże stanowisk łuczników, wypuszczona pospiesznie strzała przebiła odsłoniętą łydkę żołnierza idącego na lewej flance pierwszego szeregu. Legionista zatrzymał się w pół kroku i z sykiem przysiadł za tarczą. Kiedy któryś z towarzyszy broni pochylił się, by mu pomóc, Katon zawołał:

– Zostaw go! Nie opuszczaj miejsca w szyku!

Byli już niespełna dwadzieścia kroków od łuczników, dzięki blaskowi pożarów dobrze widocznych na tle palm i wysokiej trawy.

– Na nich! – wrzasnął prefekt. – Do ataku!

Skuleni za tarczami legioniści przyspieszyli, drąc się ochryple. Przeciwnicy wypuścili ostatnie strzały i zaczęli uciekać.

– Wieją! – zawołał któryś z żołnierzy. – Za nimi! Wyrżnąć drani!

Gdy Rzymianie ruszyli, łucznicy natychmiast skręcili i pognali traktem. Moment później Katon dostrzegł kątem oka ruch między chatami. Po drugiej stronie drogi też zauważył ludzi – ludzi Ajaksa, tym razem uzbrojonych we włócznie i tarcze. Nie było

czasu na wydanie ostrzeżenia. Renegaci wypadli na otwartą przestrzeń, biorąc przeciwnika w dwa ognie. Zaatakowali z dzikim wrzaskiem, ciskając włóczniami w korpusy odsłoniętych żołnierzy. Trzej Rzymianie padli od razu przebici szerokimi grotami. Polecieli aż na drugą stronę drogi pchnięci impetem trafień. Zbiegowie zwarli się z pozostałymi, którzy jednak stawili im zaciekły opór. Żołnierze nie mieli czasu ustawić się w przepisowym szyku. To było chaotyczne starcie, ludzie zabijali się w blasku buzującego ognia.

Katon usłyszał za plecami głośne prychnięcie. Obrócił się szybko, przyjmując pchnięcie włóczni na tarczę. Grot odbił się od guza z głośnym hukiem i zaraz napastnik wpadł z impetem na rzymskiego oficera. Katon zachwiał się, cofnął, ale ustał na nogach. Nie namyślając się wiele, odpowiedział szybkim pchnięciem zza tarczy i poczuł, że sztych gladiusa trafia w cel. Przeciwnik zadrżał i jęknął głośno. Prefekt wyszarpnął miecz z rany, przykucnął za osłoną i rozejrzał się po polu chaotycznej bitwy. Jego ludzie i wojownicy Ajaksa zmieszali się w jeden tłum, wokół słychać było tylko klang krzyżujących się ostrzy i łomot grotów uderzających w drewno. Włócznicy szli w pierwszej linii, lecz teraz dołączyli do nich także ludzie uzbrojeni w miecze, doskonale zbudowani, zapewne gladiatorzy szkoleni latami do takiej właśnie walki. Na tej wąskiej uliczce nie mieli jednak zbyt wielu okazji do wykorzystania nabytych umiejętności. W ścisku musieli robić to co inni, czyli młócić na ślepo.

Katon sparował wyprowadzone skądś z boku cięcie, sam zadał kilka ciosów przeciwnikowi, potem cofnął się pod ścianę najbliższej chaty, wypatrując uważnie Ajaksa. Ale w migotliwym blasku płomieni trudno było rozróżnić walczących. Legioniści wiedzieli, kto swój, a kto wróg, tylko dlatego, że mieli inne wyposażenie niż renegaci.

– Ajaksie! – zawołał Katon ile sił w płucach. – Ajaksie! Zmierz się ze mną! Walcz, jeśli masz odwagę stawić mi czoło!

Usłyszał śmiech gdzieś po lewej, spojrzał w tamtym kierunku z uniesionym mieczem gotowym do zadania ciosu, lecz nie dostrzegł nigdzie przywódcy zbiegłych niewolników. W zamian musiał się zmierzyć z przysadzistym mężczyzną w skórzanym napierśniku. Miał ciemną skórę, niemal czarną. W półmroku błyszczały mu tylko oczy i zęby, gdy ruszył na prefekta, dzierżąc długi miecz jazdy i niewielką okrągłą tarczę.

– Jeśli chcesz mierzyć się z Ajaksem, najpierw musisz zabić mnie, Rzymianinie – warknął pogardliwie, rozkładając szeroko ręce, jakby zapraszał Katona do zadania pierwszego ciosu.

– Skoro nalegasz… – mruknął prefekt.

Zamarkował atak na brzuch przeciwnika, zmuszając go do obrony. Gladiator nie był wszakże głupcem, zablokował pchnięcie puklerzem, w tej samej chwili kontrując szybkim cięciem na wysokości oczu młodego oficera. Katon zareagował instynktownie, pochylił głowę, unosząc jednocześnie tarczę, i przez to stracił przeciwnika z oczu. Na mgnienie tylko, ale i to wystarczyło. Popełniłem błąd, pomyślał, gdy rozum znów wziął górę nad odruchami. Gladiator wsunął puklerz za tarczę Rzymianina i odciągnąwszy ją na bok, pchnął mieczem prosto w jego pierś. Katon, cofając się pospiesznie, walnął plecami w ścianę chaty. W tym samym momencie jego przeciwnik wyprostował rękę do końca. Sztych miecza przeszył koszulę i drasnął skórę, wchodząc płytko w mięsień. Zatrzymał się jednak, natrafiwszy na żebro. Siła uderzenia i ból zmusiły młodego oficera do krzyku.

– Ha! – Gladiator wyszczerzył zęby w tryumfalnym uśmiechu, robiąc krok do przodu.

Cofnął rękę, szykując się do zadania drugiego pchnięcia, tym razem zabójczego. Gdy wypolerowana, odbijająca płomienie klinga śmignęła ponownie, Katon zrobił unik. Usłyszał chrobot, z jakim miecz zagłębił się w cegłach z suszonego mułu. Nie zatrzymując się, wykonał pełen obrót, opuszczając miecz na przedramię czarnoskórego przeciwnika. Rozciął je aż do kości. Gladiator syknął, lecz nie zrezygnował z kolejnego ataku, tyle że był o wiele wolniejszy i słabszy, więc prefekt zbił go bez trudu tarczą, a potem pochylił się, by z powodzeniem ciąć wroga w udo. Zbieg zrozumiał, że kontynuowanie tej walki nie ma wielkiego sensu, wycofał się więc, krwawiąc obficie. Katon nie spuszczał go z oka, dopóki nie upewnił się, że nie może mu zagrozić, i wtedy znów przeczesał wzrokiem pole bitwy. Dwóch jego ludzi leżało na ubitej ziemi, jeden nieruchomo, drugi wił się, ściskając kikut obciętej ręki i wrzeszcząc wniebogłosy. Przeciwnik także stracił jednego ze swoich, wielu renegatów odniosło rany i wycofało się między dalsze zabudowania, które jeszcze nie stały w ogniu.

– Uciekają! – wrzasnął jeden z legionistów, unosząc tryumfalnie miecz.

– Zamknij mordę i bij wroga! – ryknął Katon, wchodząc pomiędzy wciąż walczących ludzi.

Dostrzegł żylastego mężczyznę z długimi gładkimi włosami stojącego nad powalonym na kolana żołnierzem. Widząc, że miecz tamtego opada już na ofiarę, wyciągnął broń przed siebie, przyjął cios na klingę i zbił cios w bok. Sztych miecza przesunął się po ramieniu klęczącego, grzęznąc w tunice. Gdy gladiator próbował uwolnić ostrze, Katon walnął go tarczą w bok, pozbawiając tchu i powalając na ziemię. Legionista rzucił się na oszołomionego wroga i zacisnąwszy palce na jego szyi, zmiażdżył mu kciukami tchawicę.

– Wycofać się! – zawołał ktoś ze skraju wsi. Katon rozpoznał ten

głos. – Gladiatorzy do mnie!

Renegaci posłuchali swojego wodza i natychmiast odstąpili, wychodząc z zasięgu rzymskiej broni. Na moment zapadła cisza, w której było słychać wyłącznie dyszenie zmęczonych żołnierzy. Ledwie jednak ostatni z przeciwników zniknął za chałupami, w powietrzu znów zaświstały strzały. Tym razem łucznicy szyli od strony palm. Nie było ich widać w zapadających ciemnościach. Dwóch ludzi zostało trafionych ich salwą, jeden w nogę, drugi w szyję.

– Tarcze w górę! – rozkazał Katon, gdy jego podwładni ścieśnili znów szyk. – Pilnować obu flank!

Zerknął pospiesznie przez ramię. Wyglądało na to, że Rufus i jego ludzie oczyścili przeciwległy skraj wioski i polowali teraz na rozproszonych łuczników. Przez chwilę młody prefekt czuł ogromną chęć, by poprowadzić swoich ludzi do kolejnego ataku i zmusić Ajaksa do dalszego odwrotu, ale zrozumiał niemal natychmiast, że ruszając w mrok, straci kontrolę nad żołnierzami, a kto wie, jakie sztuczki miał w zanadrzu gladiator i jakie piekło mógł rozpętać pod osłoną mroku. Już raz wprowadził ich w błąd, wykorzystując łuczników do zwabienia przeciwnika w pułapkę i przeprowadzenia szybkiego kontrataku. Jest więc tylko jeden sensowny sposób na wygranie tego starcia, uznał z goryczą Katon. Muszę wycofać ludzi i zaplanować nowy atak.

– Wycofać się! – rozkazał. – Utrzymujcie szyk i idźcie za mną. Lewa… lewa…

Niewielka grupka legionistów ruszyła mierzonym krokiem. Strzały bez przerwy odbijały się od zaoblonych tarcz. Niektóre rykoszetowały, wpadając w środek ciasnej formacji, i trafiały w podwładnych Katona, nie czyniąc im jednak zbyt wiele szkody.

Ranni w sercu szyku wspierali się na ramionach idących obok towarzyszy broni. Na ulicy pozostawiono wyłącznie poległych.

Czas mijał. Wycofujący się oddział wciąż zmierzał ku przeciwległemu krańcowi wsi. Pożary szalejące po obu stronach ulicy pożerały z hukiem kolejne strzechy z przeschniętych palmowych liści, wspierające je belki i wszystko, co było łatwopalnego w izbach. Miejscami żar był nie do wytrzymania. Katon czuł ukąszenia gorąca na odsłoniętej skórze rąk i karku. Brzechwy strzał sterczące gęsto z tarcz jego żołnierzy upodabniały oddział do gigantycznego rzepa. Łucznicy wroga przestawali z wolna szyć do wycofującego się przeciwnika – chyba kończyły im się strzały. Chwilę później Katon dotarł do pozycji zajmowanych przez ludzi Rufusa. Tam wycofano rannych na tyły, gdzie mogli zostać w końcu opatrzeni szmatami znalezionymi w niespalonych jeszcze chatach. Cięcie na piersi Katona nie było głębokie, więc wystarczyło je tylko przewiązać prostym opatrunkiem. A gdy zmierzch przeszedł niezauważalnie w noc, prefekt i centurion przykucnęli pod jednym z zabudowań, by omówić nowy plan.

– Nie możemy uderzyć na nich frontalnie, od ulicy – zdecydował Katon. – Stanowilibyśmy idealne cele dla łuczników. Poza tym mogliby nas zajść od flanki, gdy ruszymy do ataku.

Rufus pokiwał głową i zasugerował:

– Mógłbym obejść wioskę i uderzyć na nich z boku albo z tyłu, gdyby udało ci się, panie, odwrócić uwagę wroga.

Prefekt przemyślał tę propozycję, potem pokiwał głową.

– Chyba nie ma innego wyjścia. Problem w tym, że Ajaks będzie gotowy na nasz atak.

– O ile pozostanie na zajmowanych pozycjach. Na jego miejscu ogłosiłbym odwrót. Zyskał tyle, ile mógł, zastawiając tę pułapkę.

Wie, że będziemy musieli odpowiedzieć niestandardowo. Po co więc miałby siedzieć i czekać, aż po niego przyjdziemy? Najrozsądniej byłoby pozostawić niewielką ariergardę, która zamarkuje obecność całych sił, a reszta powinna jak najszybciej uciekać, by maksymalnie oddalić się od nas, zanim nadejdzie świt i podejmiemy pościg.

– Masz rację – przyznał Katon. Nie mogli pozwolić, by Ajaks wyślizgnął im się z rąk, skoro mieli go tak blisko, jak jeszcze nigdy dotąd. Skinął głową. – Na wschodzie jest zbyt wielka gęstwina. Z dala usłyszą, że idziecie. Weź połowę oddziału i obejdź wioskę od zachodu. Jak wchodziliśmy do wsi, zauważyłem od tamtej strony groblę jakieś sto kroków od ostatnich zabudowań, więc nie pobłądzicie ani nie odejdziecie zbyt daleko. Poczekajmy tylko, aż wygasną pożary. W ciemnościach trudniej będzie was zauważyć.

– Dobrze, panie. A co ty zrobisz, gdy nadejdzie pora?

– Poprowadzę ludzi do kolejnego szturmu ulicą. – Prefekt uśmiechnął się blado. – Narobimy takiego rabanu, że pomyślą, iż prowadzę na nich całą armię. Dobrze, idź powiadom swoich ludzi o ustaleniach. Pozwól im też napić się do woli. Po bitwie uzupełnimy zapasy z tutejszej studni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Ilu ludzi straciliśmy? – zapytał Ajaks, spoglądając w kierunku Rzymian obozujących na drugim krańcu wioski.

Karim, jego najwierniejszy przyboczny, oderwał wzrok od opatrywanego ramienia Hepitusa.

– Dwóch zabito. Trzeci kona, a czterej kolejni odnieśli rany, ale będą mogli dalej walczyć.

Ajaks obliczył w myślach rezultaty starcia. Stracił dwóch ludzi, lecz zabił bądź ranił co najmniej dziesięciu Rzymian. Opłacalna wymiana, tak czy owak, choć miał nadzieję na kompletne wybicie wroga, a przynajmniej na takie rozproszenie legionistów, by nie mogli kontynuować pościgu. Część jego ludzi była mocno wyczerpana, gdy wkraczali minionego popołudnia do tej wioski. Musiał odwoływać się do swojego autorytetu, by zmusić ich do przygotowania zasadzki. Pozostali, głównie jego towarzysze z areny, byli radzi, że mogą postawić się wrogowi, woleli walkę od dalszej ucieczki przez mangrowce. To niewielkie zwycięstwo powinno podbudować morale wątpiących. Na to właśnie liczył.

Ajaks rozumiał doskonale gladiatorów, którzy poszli za nim. Żył pomiędzy nimi od wielu lat, musiał z nimi walczyć. Ci ludzie żyli dla chwili tryumfu. Zmuszani do ryzykowania życia ku uciesze dawnych panów, wiedzieli doskonale, czym jest wolność, nic więc dziwnego, że woleli zginąć, niż dać się zakuć ponownie w kajdany albo skonać na krzyżu. Oni też szanowali hierarchię, w której najlepszy wojownik był najważniejszy. Gdyby nie to, już dawno doszłoby do buntu i próby przejęcia władzy. Dopóki jednak on

był najwaleczniejszym wojownikiem, dopóty ci ludzie byli mu wierni. I to mimo popełnianych często błędów. Po raz kolejny Ajaks sklął się za zbytnią pewność siebie. Baza zaopatrzeniowa wydała mu się idealnym siedliskiem, z którego mógł niepokoić Rzymian. Przez dwa miesiące jego ludzie mieszkali tam, jedząc i pijąc do woli, ale wiedzieli też, że przyjdzie taki dzień, gdy znów będą musieli uciekać.

Powinni byli opuścić tamto miejsce już dawno temu. Teraz gladiator rozumiał tę gorzką prawdę. Stali się zbyt leniwi. Zrobili to, za co ganiono największych żółtodziobów areny – opuścili gardę. Obserwatorzy zawiedli na całej linii. Myśląc o tym, momentalnie poczuł gniew. Przez tych durni zginęło tylu dobrych ludzi. Te dwa miesiące wystarczyły, by zdobył wielu nowych zwolenników, rekrutujących się głównie spośród niewolników znajdowanych na pokładach łupionych statków. Zanim w zatoce pojawili się Rzymianie, oddział trzydziestu najwierniejszych przybocznych rozrósł się do sił liczących niemal trzystu ludzi. To wystarczało już do obsadzenia dwóch posiadanych okrętów, a nawet trzeciego, który wpadł mu w ręce tuż przed niespodziewanym najazdem wroga.

Ajaks skrzywił się i znów zbeształ w myślach. Wiedział, że zniknięcie tej jednostki zostanie zauważone, nie spodziewał się tylko, iż stanie się to tak szybko. Gdy zrozumiał, że Rzymianie odkryli jego kryjówkę, nie mógł się nadziwić, skąd mogli wiedzieć, że właśnie on stoi za przejęciem Thota. Stracił w tamtej bitwie bazę, wszystkie okręty i dwustu pięćdziesięciu ludzi.

Przeciwnikiem dowodził zdolny oficer, to nie ulegało wątpliwości. Teraz już wiedział, kto nim jest. Rozpoznał głos nawołujący go z ulicy. Prefekt Katon. Człowiek, który doprowadził do zdławienia buntu na Krecie, i to gdy Ajaks myślał, że pociąga za wszystkie sznurki. Tamto powstanie upadło, ale

będzie kolejne, tego gladiator był pewien. Pewnego dnia on i jego przyboczni utworzą kadrę przyszłej armii niewolników, która powstanie, by obalić rzymskich panów. Egipscy wieśniacy dość się wycierpieli pod butem okupanta. Ataki przebierańców podsyciły wrogie nastroje. Już dzisiaj wielu miejscowych było gotowych chwycić za broń. Wielu, choć jeszcze nie wszyscy, pomyślał, wodząc wzrokiem po spalonej wsi.

Gdy wyprowadził swoich wycieńczonych ludzi z mokradeł prosto na tę sadybę, jej naczelnik powitał ich przyjaźnie, choć nie krył zdenerwowania. Przezornie zaoferował uzbrojonym przybyszom strawę i wodę. Spragnieni uciekinierzy pałaszowali łapczywie podawany im poczęstunek, a ich dowódca lustrował wzrokiem zabudowania, zastanawiając się, czy nie będzie to idealne miejsce na zastawienie pułapki. Wieś, z jednej strony okolona groblą i trzcinowiskami, a z drugiej mangrowcami, stanowiła naturalny przyczółek. Ajaks zdawał sobie sprawę, że idzie za nim kilku lekkozbrojnych Rzymian, i właśnie dostrzegł możliwość pozbycia się ich raz na zawsze. Zostawił w ukryciu dwudziestu ludzi, reszta natomiast udała, że opuszcza sadybę i rusza dalej. Rzymianie połknęli haczyk, weszli między zabudowania i wpadli w zastawioną pułapkę. Schwytani pomiędzy ukryty oddział a główne siły gladiatora, które zawróciły, by uderzyć na wieś, zostali szybko wybici.

Sukces tego starcia zachęcił Ajaksa, by rozważyć zastosowanie tego fortelu raz jeszcze, ale na znacznie większą skalę: przeciw głównym siłom nieprzyjaciela, które niechybnie maszerowały w pewnym oddaleniu od zwiadowców. Tyle że naczelnik kazał im się wynieść ze wsi – bał się odwetu ze strony Rzymian, jeśli ktoś odkryje, że doszło tutaj do wybicia patrolu. Wtedy gladiator kazał spędzić wszystkich mieszkańców i umieścić ich w zagrodzie, aby nikt nie uciekł i nie ostrzegł jego wrogów. Wieśniacy zaczęli

jednak lamentować i nie dało się ich uciszyć ani prośbą, ani groźbą.

Nie było więc innego wyjścia, tak to sobie w każdym razie tłumaczył Ajaks. Nie chciał mieć krwi tych ludzi na rękach, ale bardziej liczyło się bezpieczeństwo jego podkomendnych. Rzymianie nie mogli dowiedzieć się o zagrożeniu. Wydał więc rozkaz najbardziej zaufanym przybocznym, którzy weszli do zagrody i wyrżnęli miejscowych. Lata szkoleń w szkołach gladiatorów wpoiły im konieczność wykonywania każdego rozkazu, i to bez wahania, tak samo jak uodporniły ich na krzywdę innych. Rzeź nie trwała długo, a gdy dobiegła końca, nad wioską zapanowała kompletna cisza, w której ukryci renegaci czekali na pojawienie się Rzymian.

Karim zawiązał opatrunek na ramieniu Nubijczyka, skinął głową i pozwolił odejść rannemu. Wytarł zakrwawione palce o połę brudnej tuniki, cuchnącej potem i odorem bagien.

– Co teraz, wodzu?

Ajaks zerknął na medyka groźnie, jakby się zastanawiał, czy Karim nie kpi z niego. Ludzie od samego początku nazywali go wodzem, później tak przywykł do tego tytułu, że nalegał, aby nikt nie nazywał go inaczej. Karim używał go, gdy nie byli sami, ale na osobności zachowywał się zazwyczaj bardziej swobodnie.

– Zaczekamy, aż zaatakują ponownie.

– Dlaczego uważasz, że to zrobią?

– A mają inny wybór? – odparł zwięźle Ajaks. – Przyszli tutaj, by nas dopaść. Muszą zaatakować, i to wkrótce.

– Dlaczego?

– Ponieważ boją się, że znowu im uciekniemy.

Karim upił łyk wody z manierki i przepłukał nią gardło.

– Dlaczego więc nie uciekamy? Teraz, kiedy jeszcze się wahają?

– Dlatego, że dysponujemy porównywalnymi siłami. Jest ich mniej więcej tylu co nas. Możemy wyrżnąć tych Rzymian i porzucić ich zwłoki na bagnach. Czy przygotowania zostały już zakończone?

Karim skinął głową.

– Kanthus ukrył paliki w trawie, a jego ludzie czekają na rozkazy.

– Zatem pozwólmy Rzymianom atakować. – Ajaks uśmiechnął się groźnie, spoglądając w stronę wroga.

Karim przyjrzał mu się uważnie, zanim odezwał się ponownie:

– Nie tylko z tego powodu chciałeś tu zostać i walczyć.

Gladiator przytaknął.

– Ty też go słyszałeś?

– Tak.

– Więc wiesz, dlaczego nie mogę się wycofać i dlaczego pragnę go zabić. Szkoda tylko, że nie ma z nim tego drugiego drania.

– Centuriona Macro?

Ajaks znów przytaknął, zaciskając dłonie w pięści.

– Pomyśleć, że miałem go przez tyle dni na swojej łasce tam, na Krecie. Mogłem go zabić, kiedy chciałem. Byłem głupcem, Karimie. Powinienem był wymierzyć sprawiedliwość przy pierwszej nadarzającej się okazji, zamiast napawać się dręczeniem znienawidzonego wroga.

Medyk wzruszył ramionami.

– Mądry człowiek po szkodzie, powiadają.

Gladiator się skrzywił.

– Prawda… To kolejny powód, dla którego nie mogę znieść myśli o kolejnej okazji do zemsty. Za sprzedanie mnie w niewolę, za ukrzyżowanie ojca. – Mówił teraz lodowatym tonem. – Dopóki prefekt Katon i centurion Macro żyją, nie zaznam spokoju duszy.

– Nie zaznasz go, dopóki istnieje Rzym – stwierdził Karim, zniżając głos. – I co z tym zrobisz, przyjacielu? Chcesz wybić wszystkich Rzymian, jakich nosi ziemia?

– Gdybym miał taką możliwość, tak.

– Ale jej nie masz.

Gladiator zerknął na niego, uśmiechając się pod nosem.

– Daj mi wystarczająco czasu, a zobaczysz. Poza tym myślisz, że tylko my nienawidzimy Rzymu? Pamiętasz, co powiedział nam spasiony kapitan ostatniego frachtowca? O tym, że Nubijczycy zamierzają najechać południe prowincji?

– Pamiętam.

– Może powinniśmy połączyć siły z nimi.

– Niewykluczone. Ale niewiele o nich wiemy – zauważył Karim. – Przyłączenie się do nich może nie być najrozsądniejszym rozwiązaniem, mimo że także nienawidzą Rzymu. Ja bym się nad tym jeszcze zastanowił.

– Ja także mam taki zamiar.

Medyk pokręcił głową z ubolewaniem.

– Pragnienie zemsty zaślepia cię, wodzu. Zapominasz o obowiązkach, jakie masz wobec nas. Wobec mnie i pozostałych. Nie mówiąc o tych, którzy mogą za tobą pójść w przyszłości, jeśli odłożysz na bok osobiste urazy. Musisz postawić rozsądek nad uczuciami. Tak by postąpił prawdziwy przywódca.

Ajaks wzruszył ramionami.

– Jestem tak samo człowiekiem, jak wodzem. Nie mogę udawać, że nie słyszę, co podpowiada mi serce. Tak jak nie mogę ignorować ciebie ani nikogo, kto za mną podąża. Muszę się zemścić. I jeśli bogowie mi sprzyjają, dokonam pomsty tutaj, tej nocy. Wyrżnę Rzymian. Odetnę głowę ich prefektowi, temu Katonowi. A jeśli dostanę go w ręce żywego, sczeźnie na krzyżu jak mój ojciec. A ja będę siedział i patrzył, jak kona całymi dniami, palony słońcem, żebrzący o wodę albo szybką śmierć. Nie dam mu wszakże ani jednego, ani drugiego – zakończył twardo.

Stali jeszcze przez chwilę milcząc, potem Ajaks poruszył się i spojrzał na drugi kraniec wsi i kręcących się tam legionistów. Na jego oczach formowali szyk. W metalu zdobiącym ich tarcze odbijały się płomienie dogasających pożarów. W samym środku szyku dostrzegł wysokiego człowieka w hełmie zwieńczonym pióropuszem. Gdy żołnierze zajęli miejsca, oficer uniósł miecz, wydając im rozkaz wymarszu.

Wtedy Ajaks przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Nadchodzą! Przygotować łuki! Gladiatorzy do mnie!

Cienie jego podwładnych wynurzały się kolejno z mroku, a on uśmiechał się ponuro do Karima.

– Módl się do swoich bogów, aby okazali nam łaskę, a zakończymy waśń jeszcze tej nocy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Centurion Rufus i jego oddział oddalili się jakiś czas temu w kierunku grobli. Katon, zerkając w przerwę pomiędzy dwiema chatami po lewej, obliczał, że lada chwila mogą wejść w kontakt z wrogiem. Teraz jednak nic tam nie widział, tylko mrok nocy. Płomienie szybko pożarły wszystko, co było łatwopalne, więc teraz na wypalonych murach tliły się pełgające ogniki, a żar oświetlał jedynie ulicę i teren wokół podpalonych chałup. Centurion i jego ludzie powinni przedostać się przez wieś niezauważeni.

Na wprost swojej formacji prefekt widział ludzi gromadzących się u wylotu ulicy. Zmówił więc krótką modlitwę do Fortuny, prosząc, by Ajaks był wśród nich. Dostrzegał niewyraźne postacie renegatów stojących na flankach, a moment później usłyszał trudny do pomylenia świst nadlatujących strzał.

– Uwaga! – ostrzegł swoich ludzi. – Tarcze w górę, chłopcy!

Legioniści z tylnych szeregów unieśli tarcze nad głowy, by chronić siebie i towarzyszy broni przed opadającymi strzałami. A spadało ich z rozgwieżdżonego nieba coraz więcej. Jedne łamały się na tarczach, inne wbijały w ziemię, gdy formacja, na sześciu ludzi szeroka i czterech głęboka, maszerowała miarowym krokiem, kryjąc się za grubym drewnem i mosiężnymi okuciami. Łucznicy nawet na chwilę nie przerywali ostrzału, mierząc do nadchodzących ulicą legionistów. Stojący obok strzelców oddział gladiatorów nie ruszał się z miejsca, czekając na rozkaz ataku.

– Uwaga na flanki! – zawołał Katon, obawiając się rozbicia

szyku przez kolejne zaskakujące uderzenie włóczników.

Strzały przestały spadać, gdy Rzymianie zbliżyli się do gladiatorów. Katon zacisnął palce na rękojeści miecza, chwycił też mocniej uchwyty tarczy. Gdy oba oddziały dzieliło nie więcej niż dziesięć kroków, gdzieś po lewej rozległ się głośny wrzask i zaraz prefekt usłyszał głos Rufusa:

– Dwudziesty Drugi! Naprzód! Na nich!

Jego ludzie podchwycili zawołanie, ale moment później ich krzyki utonęły w przeraźliwym skowycie i jękach.

– Co tam się wyrabia, u licha? – zapytał legionista idący obok Katona.

– Cisza! – warknął prefekt. – Nie zwalniać!

Ajaks uśmiechnął się, słysząc wrzaski bólu dobiegające od strony grobli. Miał rację, podejrzewając, że Rzymianie mogą próbować oskrzydlić jego pozycje. Dlatego właśnie kazał swoim ludziom powbijać na łące naostrzone paliki zaraz po tym, jak wykończył pierwszy patrol. Teraz dotarło do niego, że szturm z tamtego kierunku zakończył się bolesną porażką wroga. Spojrzał na Karima.

– Weź swoich łuczników na flankę i wykończ resztę. – Dobył miecz. – Ja zajmę się głównymi siłami.

Medyk potaknął, skinął na stojących obok ludzi i potruchtał w mrok. Gladiator wyobraził sobie, co też zastanie jego przyboczny po dotarciu na miejsce. Rzymianie nadziali się na zaostrzone paliki, sądząc po wrzaskach, kilku odniosło poważniejsze rany. Pozostałych naszpikuje się strzałami, a jeśli któryś spanikuje, może się nadziać na kolejne pułapki. Jeśli utrzymają nerwy na wodzy i pójdą dalej, i tak staną się łatwym celem dla łuczników. Tak czy inaczej, drogo zapłacą. Uśmiechnął

się z satysfakcją, ruszając ku ludziom przygotowującym się do starcia z nadchodzącymi ulicą legionistami.

– Twoja tarcza, wodzu. – Jeden z przybocznych podał gladiatorowi puklerz.

Ajaks wsunął rękę w uchwyty, wyważył osłonę, a potem przepchnął się do pierwszego szeregu.

– Dajmy tym rzymskim bękartom nauczkę! – Uniósł miecz ku niebu w salucie, którego nauczył się podczas pobytu w Kapui, gdzie szkolono go na arenę przez ładnych kilka lat. – Zwycięstwo albo śmierć!

– Zwycięstwo albo śmierć! – odpowiedzieli chórem wybrańcy i przyjęli postawę bojową, skupiając wzrok na maszerujących ku nim miarowym krokiem legionistach.

Ajaks poczuł przypływ znajomego podniecenia, ale jego umysł wciąż kalkulował na zimno, pozwalając mu skupić uwagę na dowódcy wrogiej formacji, na człowieku, który przysporzył mu tak wiele cierpienia od czasu pamiętnego spotkania na morzu u wybrzeży Ilirii.

– Prefekcie Katonie! – zawołał z całych sił. – Tej nocy skonasz!

Ruszył przed siebie, gladiatorzy szli po jego bokach, wykrzykując własne zawołania wojenne. Na ich wykrzywionych twarzach widać było wyłącznie pogardę i wściekłość. Lata wyczerpujących ćwiczeń zmieniły ciało Ajaksa w potężną maszynę do zabijania, która właśnie rzucała się z impetem na tarczę rzymskiego oficera. Zobaczył, że zwieńczony pióropuszem hełm popchniętego Katona odskakuje do tyłu. Naparł po raz kolejny, by pozostać w kontakcie z wrogiem, zaraz jednak poczuł narastający opór. Rzymianin zdołał zaprzeć się nogami. Słyszał jęk, z jakim młodzieniec próbował go powstrzymać. Popchnął więc jeszcze raz, wkładając w to wszystkie siły, a potem cofnął się

nieco, by podnieść miecz, wymierzając jego sztych w przeciwnika. Dogasające pożary dawały wciąż wystarczająco dużo blasku, by oświetlić pole bitwy. Ajaks widział więc wychudłą twarz prefekta, wykrzywione usta i szeroko otwarte oczy.

Gladiator wykonał szybkie pchnięcie, które Rzymianin sparował, odpowiadając podobnie. Ajaks zablokował go bez trudu tarczą. Odgłosy toczonych wokół pojedynków były ogłuszające, ale nie dekoncentrowały go. Skupiał wszystkie myśli i siły na pokonaniu Katona. Znów naparł na niego tarczą, guzy zderzyły się z głośnym klangiem. Tym razem nie nastąpiło pchnięcie, tylko zamach od góry kierujący klingę w stronę ramienia Rzymianina. Katon zareagował instynktownie, obracając się na prawej nodze, aby miecz wymierzony w jego obojczyk przeciął tylko powietrze. W tym samym czasie próbował trafić w przedramię atakującego go gladiatora. Ten jednak zdążył przekręcić w porę nadgarstek i przyjąć impet uderzenia na klingę. Gdy skrzyżowane miecze skrzesały iskry, Ajaks cofnął się, kiwając głową z uznaniem.

– Szybki jesteś, Rzymianinie, ale na arenie padłbyś w okamgnieniu.

– A ty za dużo gadasz! – odwarknął Katon, uderzając gladiusem w tarczę gladiatora, by opadła nieco, odsłaniając gardło przeciwnika, które natychmiast zaatakował szybkim pchnięciem.

To był dość desperacki atak, zauważył chłodnym okiem Ajaks, radząc z nim sobie bez trudu. Wystarczyło podnieść tarczę i sztych został podbity w górę. W tym samym momencie dostrzegł rodzącą się szansę i wraziwszy krawędź puklerza za jelec rzymskiego miecza, pociągnął go ku sobie. Przeciwnik próbował utrzymać broń, lecz wystarczyła chwila, by rękojeść wyślizgnęła mu się z palców. Gladius poleciał w mrok, upadając z głośnym hukiem gdzieś za plecami Ajaksa.

Gladiator zaśmiał się okrutnie, napierając raz po raz na tarczę i spychając prefekta do tylu. Zaraz wszakże zmienił kierunek uderzeń, tak puklerza, jak i miecza, łomocząc nimi bez przerwy o tarczę chwiejącego się coraz mocniej Katona. Nagle pojawił się między nimi jeden z renegatów. Wrzeszczał jak opętany, krwawiąc obficie z rany na głowie. Długi miecz wyślizgnął się z jego drętwiejących palców i wbił się w ziemię. Katon pochwycił jego rękojeść i szybko cofnął rękę, chowając ją za tarczą.

– Zejdź mi z drogi! – wrzasnął Ajaks, odpychając go puklerzem. Znów zaczął okładać mieczem tarczę młodego Rzymianina. Prefekt cofał się, dopóki jego przeciwnik nie opuścił broni, wołając: – Na bogów, mógłbym to robić całą noc.

Gdy podnosił miecz, by ponownie zaatakować. Katon rzucił się ku niemu. Zderzyli się tarczami, broń Rzymianina zatoczyła płaski łuk. Sztych sięgnął kolczugi gladiatora, ześlizgnął się po niej i znalazł jakimś cudem drogę do szczeliny pomiędzy częściami pancerza. Nie był to zbyt silny cios, ale ostre żelazo zdołało rozciąć skórę i zagłębić się w ciało. Ten atak zaskoczył Ajaksa – krzyknął z bólu i zaraz ogarnęła go wściekłość, którą musiał wyryczeć do utraty tchu.

– Wódz jest ranny! – zawołał ktoś z mroku. – Ranili Ajaksa!

Jeden z renegatów natychmiast wskoczył pomiędzy swojego dowódcę a Rzymianina, zmuszając Katona do cofnięcia się o krok.

– Zabierzcie stąd wodza!

– Nie… – protestował skrzywiony gladiator. – Nie!

Pochwycili go jednak i odciągnęli z pola walki aż na koniec ulicy.

Chciał protestować, ale ból w boku był tak przejmujący, że musiał zacisnąć zęby. Widział, że jego ludzie zaczynają zyskiwać

przewagę nad Rzymianami. Na ziemi leżało wielu legionistów i tylko dwóch zbiegłych niewolników. Mimo to renegaci wycofali się na oczach osłupiałych wrogów, zabierając w pośpiechu swojego wodza.

– Co wy wyprawiacie?! – wysyczał w końcu Ajaks. – Wykończcie ich.

Wtedy zobaczył przed sobą wystraszoną twarz Karima.

– Wodzu, jeden z naszych obserwatorów dostrzegł na szlaku kolejny oddział Rzymian. Musimy się wycofać. Jest ich zbyt wielu.

– Nie. – Gladiator pokręcił głową. – Miałem już tego bękarta. Mogłem z nim zrobić, co chciałem. – Poczuł rosnącą wściekłość na myśl, że zemsta znów wyślizguje mu się z rąk. Potem dopadł go kolejny spazm bólu, ale wiedział, że dałby sobie z nim radę. Nauczono go tego podczas szkolenia. – Pozwólcie mi wrócić. Dajcie mi go załatwić – warczał.

Karim się sprzeciwił.

– Nie. Nie pozwolę ci zginąć tej nocy, wodzu. – Odwrócił się, by dać znak ludziom otaczającym Ajaksa. – Zabierzcie go stąd. Idźcie ścieżką do rzeki. Wiecie gdzie. Ruszajcie.

Dwaj mężczyźni chwycili gladiatora za ręce, podparli go z obu stron i wynieśli ze wsi zwisającego bezsilnie i zagryzającego z bólu zęby. Gdy wódz zniknął z pola widzenia, Karim nakazał odwrót łucznikom. Wyłaniali się z mroku kolejno, tworząc luźny szyk na szlaku, wypuszczając od czasu do czasu strzały w kierunku wroga, by nie wychylał nosa zza zwęglonych ruin. Na przeciwległym krańcu wsi pojawiały się właśnie pierwsze szeregi oddziału idącego Rzymianom z odsieczą.

– Dość! – zawołał medyk, gdy ich zobaczył. – Przestańcie! Musimy uciekać!

Ostatni renegaci pobiegli ścieżką wychodzącą ze wsi i zniknęli w ciemnościach rozświetlanych jedynie łuną dopalających się chałup. Na polu bitwy słychać było tylko trzaski płomieni, brzęczenie owadów i jęki konających.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Co tu się działo, na bogów? – zapytał Macro, spoglądając na spalone zabudowania i leżące wokół ciała. – Wygląda na to, że stoczyliście nielichą bitwę.

Katon odszukał już własny miecz, unosząc go do pochwy, skinął głową, witając przyjaciela. Zauważył, że ręce mu drżą, skupił się więc na tym, by uspokoić nerwy. Z trudem zdołał schować broń, nie upuszczając jej na ziemię. Bał się, taka była wstydliwa prawda. Gdy Ajaks wytrącił mu miecz z ręki i zaczął go spychać gradem potężnych uderzeń, młody prefekt był pewien, że za chwilę skona. Nic już nie stało pomiędzy nim a pragnieniem zemsty gladiatora. Jego przeciwnik był niepowstrzymany i groźny niczym siły natury. Katon godził się już z myślą o nieuniknionej śmierci, gdy stanął między nimi ranny renegat. Tak niewiele brakowało, pomyślał ze zgrozą, spoglądając na nieświadomego niczego przyjaciela. Zaraz też przytaknął jego słowom.

– Tak, to była nielicha walka.

– Co się stało? Zauważyłem uciekających ludzi, gdy wkraczaliśmy do wsi. Czy to były przydupasy Ajaksa?

Katon potwierdził.

– On nadal żyje. Raniłem go. Został odciągnięty przez przybocznych, gdy pojawiłeś się w polu widzenia.

Macro spojrzał na wylot ulicy.

– Na co więc czekamy? Ruszajmy za nimi, póki nie odeszli zbyt daleko.

– Nie – odpowiedział stanowczo prefekt. – Nie teraz.

– Dlaczego? – Centurion nastroszył brwi. – Jesteśmy tak blisko drania jak jeszcze nigdy.

– Zaczekamy do świtu – upierał się Katon.

– Co?

– To rozkaz! Straciłem wystarczająco wielu ludzi w tej pułapce, by nie mieć ochoty na ganianie w ciemnościach. Nie pozwolę, by Ajaks odebrał życie większej liczbie Rzymian, niż trzeba. Odpoczniemy dzisiaj w tej wsi. Opatrzymy rannych i pozwolimy ludziom ugasić pragnienie. Ajaks i jego banda są równie wycieńczeni jak my i też muszą zająć się swoimi rannymi. Nie oddalą się zbytnio w tym mroku. Zaczniemy ich ścigać o świcie.

– To niedorzeczne – mruknął Macro.

Katon zjeżył się, potem zaczerpnął głęboko tchu.

– Zapominasz się, centurionie.

– Wybacz, panie – wysyczał Macro przez zęby. – Uważam jednak, że powinniśmy iść za nimi.

– Nie. Podjąłem już decyzję. Najpierw zajmiemy się naszymi ludźmi. Niech twoi żołnierze opatrzą rannych. Znajdą ich tam i za zabudowaniami po wschodniej stronie. – Katon wskazał na groblę, którą Rufus i jego ludzie próbowali oskrzydlić renegatów. Cokolwiek tam się wydarzyło, prefekt nadal nie widział nikogo z oddziału centuriona. Słyszał za to aż za dobrze jęki rannych. Skrzywił się, gdy któryś z nich krzyknął głośniej. – Sprawdźcie to, już!

– Tak, panie. Wydaje mi się, że nasz kapłan, Hamedes, zna się trochę na leczeniu. Zaraz go tam poślę. – Macro przyjrzał się uważniej przyjacielowi. – A co z tobą, panie? Wszystko w porządku?

– Tak. Nic mi nie jest. – Prefekt przełknął ślinę. – Potrzebuję jedynie odrobiny wody. Zajmij się innymi, proszę.

Centurion skinął głową, po czym odwrócił się, by wydać rozkazy mieszanemu oddziałowi marynarzy i legionistów. Jego ludzie także nie nosili pancerzy, jak podwładni Katona, i byli umordowani całodziennym marszem. Musieli wszakże poczekać na odpoczynek i posiłek, co oznajmił im rozwścieczony dowódca, wysyłając dwie drużyny na drugi koniec wsi, by utworzyć posterunek, na wypadek gdyby renegaci zawrócili, chcąc dokończyć robotę. Nie sądził, by Ajaks tego próbował. Jest za sprytny i podstępny, a ponadto sam ustala, kiedy i gdzie będzie walczył, pomyślał Macro. Uderza jedynie wtedy, gdy może łatwo wygrać, wycofuje się, kiedy tylko układ sił staje się niekorzystny. Ale gdy już dochodzi do starcia, jest zacięte. Gdyby nie okrucieństwo, z jakim został potraktowany, Macro mógłby nawet czuć podziw dla tego wroga. W innym życiu zrobiłby z Ajaksa wzorowego legionistę.

– Szkoda, że ma tylko jeden żywot – mruknął pod nosem – ale i tak mu go odbiorę.

– Panie? – zapytał zdziwiony tym mamrotaniem żołnierz.

– Czego?

– Nie dosłyszałem ostatniego rozkazu, panie.

Centurion odchrząknął, by przeczyścić krtań.

– Powiedziałem, żebyście mieli oczy i uszy otwarte, w przeciwnym razie tę bękarty popodrzynają wam gardła, zanim się obejrzycie.

Po tych słowach Macro obrócił się na pięcie i pomaszerował do wsi.

Katon przycupnął na skraju kamiennego koryta i stamtąd

przyglądał się znoszonym z grobli ofiarom. Większość rannych wbiegła na zaostrzone paliki, gdy centurion wydał rozkaz ataku. Sporo ludzi zostało też trafionych strzałami. Widząc to, prefekt zrozumiał, że wpadnięcie w tę pułapkę drogo go będzie kosztowało. Rufus dokuśtykał do niego, trzymając się za udo. Krew sączyła się spomiędzy jego palców. Sprawdził, czy jego podwładni mają należytą opiekę, potem skierował się prosto na prefekta, by złożyć mu raport.

Katon odsunął się na bok, pozwalając, by Hamedes najpierw opatrzył rany oficera. Kapłan obmył rozcięcie wodą z manierki, następnie obwiązał nogę pasem czystej tkaniny.

– Co tam się stało? – zapytał prefekt, gdy Egipcjanin skończył.

– Te bękarty naszpikowały zaostrzonymi palikami cały teren pomiędzy groblą i wsią – wyjaśnił przełożonemu centurion. – Ukryli je w najwyższej trawie. Zauważyliśmy, że coś jest nie tak, gdy któryś z moich chłopców nastąpił na takie draństwo. Głupek nie umiał zawrzeć jadaczki, a ja byłem za daleko, by zobaczyć, co go spotkało, więc dałem rozkaz ataku, ponieważ mieliśmy jeszcze szanse na zaskoczenie wroga. – Skrzywił się. – I tak wleźliśmy prosto na kołki. Ja nadziałem się na jedną z pierwszych przeszkód. Zanim ludzie się zatrzymali, większość odniosła jakieś obrażenia. A wtedy zasypali nas strzałami. – Rufus zamilkł na moment i potrząsnął głową. – Nic nie mogłem zrobić, panie. Kto próbował uciekać przed strzałami, nadziewał się na paliki. Wydałem więc rozkaz, by leżeć, gdzie kto padł, i osłaniać się tarczami. Pomyślałem, że naszą największą szansą jest przeczekanie ostrzału, a potem wycofanie się z terenu naszpikowanego pułapkami.

– A niech to. – Katon nachmurzył się, był wściekły, że nie docenił Ajaksa. Rufus mylnie zinterpretował jego gniew.

– Naprawdę nic nie mogłem na to poradzić, panie. Przysięgam.

– Rozumiem. – Prefekt przeczesał nerwowo przepocone włosy. – Jakie straty ponieśliście?

– Ośmiu zabitych i szesnastu rannych. Z tego trzech nie dociągnie do rana. Ośmiu może chodzić. Pozostałych trzeba będzie nieść.

Katon wbił wzrok w ziemię, by centurion nie widział jego miny. Posłał tych ludzi prosto w zasadzkę. Tak bardzo chciał dopaść wroga, że przestał trzeźwo myśleć. Poczuł ogromny wstyd, ponieważ ci ludzie zginęli przez niego.

– Rozumiem – powiedział, gdy wziął się znowu w garść i podniósł głowę. – Idź, niech ciebie także dobrze opatrzą. Potem przeszukajcie tę wieś i przynieście wszystko, co nadaje się do jedzenia i picia. Niech ludzie napełnią bukłaki świeżą wodą i odpoczną. O świcie podejmiemy pościg za wrogiem.

– Tak, panie. A co z rannymi? Nie możemy ich tutaj zostawić.

– Wyznaczę ludzi do niesienia tych, którzy nie mogą chodzić. Hamedes będzie ich doglądał. To wszystko, Rufusie.

To było dość ostre pożegnanie, więc prefekt wyczuł wyraźny żal, gdy centurion salutował i kulejąc, odchodził do swoich ludzi. Katon przeniósł po chwili wzrok na kapłana.

– Ajaks wymordował mieszkańców tej wioski. Znasz jakieś rytuały odprawiane za zmarłych?

Hamedes spojrzał na niego zdumiony.

– Słucham?

– Jesteś kapłanem. Zrób dla nich, co trzeba. Gdy skończysz, zajmij się rannymi.

– Dobrze, panie. – Hamedes pokłonił się prefektowi. – Zmówię

modły. Ale na uroczystości pogrzebowe nie mamy czasu. Musimy wszakże spalić ciała.

– Wydawało mi się, że wy, Egipcjanie, grzebiecie swoich zmarłych.

Kapłan uśmiechnął się niepewnie, po czym odpowiedział:

– To zależy wyłącznie od tego, ile czasu mamy.

– Dobrze. Poproszę Macro, by przydzielił ci kilku ludzi do pomocy.

Hamedes przytaknął, a potem oddalił się w tym samym kierunku co Rufus, ku leżącym na ulicy rannym.

Katon przyglądał się legionistom, zastanawiając się cały czas, ilu z nich zrozumiało już, że to wszystko jego wina. Ilu będzie go za to nienawidzić i czy zechcą wykonywać bez wahania wydawane im rozkazy, gdy dojdzie do kolejnego starcia.

Odwrócił się, słysząc za plecami stukot podkutych sandałów, i dostrzegł wyłaniającą się z mroku znajomą postać.

– Straże rozstawione, panie. Kazałem ludziom mieć się na baczności. Nie chcę, by ktoś nas zaskoczył. Chłopcy są zmęczeni, więc będę ich często zmieniał.

Katon zmusił się do uśmiechu.

– Więc sam niewiele odpoczniesz.

– Chyba tak. – Centurion wzruszył ramionami. – Przyzwyczaiłem się już do tego.

– Zeszłej nocy także nie spałeś.

– To prawda, ale przeżyłem już znacznie gorsze chwile. I to nieraz. – Wskazał palcem przyjaciela. – Ty także.

– Nie sądzę, żebym dobrze spał tej nocy.

– Musisz odpocząć – powiedział Macro. – Będę czuł się lepiej, wiedząc, że jesteś wyspany i podejmujesz przemyślane decyzje.

– Tak? – mruknął rozgoryczony prefekt. – Żebym wprowadził ludzi w kolejną zasadzkę?

– A to co znowu? – Centurion zmarszczył brwi, a potem oparł dłonie na biodrach. – Znowu obwiniasz się o wszystko?

Katon spojrzał mu w oczy.

– To była moja wina, przyjacielu. Powinienem był wiedzieć, że Ajaks przewidzi próbę oskrzydlenia jego sił… Ja jestem sprawcą tej masakry. Za bardzo chciałem go dopaść. – Prefekt pokręcił głową z rezygnacją. – Ajaks tylko na to czekał. Wszystko przewidział.

– A czego się po nim spodziewałeś? To nie byle głupiec. – Macro spojrzał ostro na przyjaciela, po czym spróbował podać mu pomocną dłoń. – Pewnie postąpiłbym tak samo, gdybym był na twoim miejscu.

– Wątpię.

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Macro odpiął paski hełmu i z westchnieniem ulgi ściągnął ciężką osłonę głowy. Zaraz też przysiadł na skraju koryta obok Katona i pochylił się lekko, opierając masywne przedramiona na udach. Milczał przez dłuższą chwilę, potem odezwał się półgłosem, by nikt nie mógł podsłuchać, co mówi:

– Przyjmiesz radę od przyjaciela?

Prefekt obrzucił go wzrokiem.

– Od przyjaciela przyjmę.

– Dobrze… Posłuchaj, Katonie, jesteś teraz pieprzonym

prefektem. Nie możesz użalać się nad sobą.

– Użalać? Chyba źle mnie zrozumiałeś. Ja nie użalam się nad sobą. Chodzi o podjęcie błędnej decyzji. To ja posłałem tych ludzi na pewną śmierć.

– I co z tego? Chcesz ponieść za to karę?

– Powinienem ją ponieść – przyznał Katon.

– Pieprzenie. Uważasz, że jesteś pierwszym dowódcą, który się pomylił?

– Trudno nazwać taki błąd pomyłką. – Prefekt wskazał palcem rannych i poległych. – To była rzeź.

– Przelewanie krwi to nasz obowiązek – odparł Macro. – Gdy dochodzi do bitwy, żołnierze odnoszą rany albo są zabijani. Tak to działa.

– Jeśli jednak giną niepotrzebnie, ich dowódca powinien za to odpowiedzieć.

Centurion prychnął z frustracji.

– Do kurwy nędzy, Katonie. Widziałem gorsze wpadki. Ty także. Czasami bitwa układa się po twojej myśli, czasami nie. Nadchodzi taki moment, gdy wróg okazuje się sprytniejszy od naszego najlepszego wodza. Musisz przyjąć to do wiadomości.

– Zatem przyznajesz, że zawiodłem moich ludzi?

– Tak, spieprzyłeś sprawę – odparł szczerze Macro.

– Dzięki…

– Mówię ci prawdę oczy, ponieważ cię szanuję. Jeśli jednak chcesz słuchać pochlebstw…

– Wybacz. Kontynuuj.

– Dobrze. – Centurion zebrał myśli. – Jesteś świetnym oficerem,

bez dwóch zdań. Lepszym od tych, których do tej pory znałem. Obserwowałem twoją karierę od czasu, gdy byłeś optionem. Awansowałeś szybko na centuriona, a teraz nawet na prefekta. I założę się, że to jeszcze nie koniec awansów. Masz do tego łeb i jaja i choć wyglądasz jak zabiedzony kundel, jesteś twardszy od podeszew naszych sandałów. Brakuje ci jednak czegoś… – Macro zamilkł na moment, szukając odpowiednich słów. – Nie chodzi o doświadczenie, tego zyskałeś w nadmiarze. Nie, to coś innego… Może idzie tutaj o perspektywę. Coś, co żołnierz zyskuje, gdy wystarczająco długo służy w armii i napatrzy się na przychodzących i odchodzących dowódców. Może za szybko awansowałeś? Stałeś się oficerem, zanim zdołałeś wyrobić sobie odpowiedni temperament do tej roboty, jeśli mogę tak powiedzieć. Musisz nauczyć się jednego: od czasu do czasu trzeba pogodzić się z błędami. Popełnianie ich to także część naszego zawodu. To, jak żołnierz radzi sobie z pomyłkami, jest równie ważne jak przeżywanie sukcesów. – Macro uśmiechnął się pod nosem. – Pamiętasz jeszcze Bestię?

Katon przytaknął, wspominając wiarusa, który niemal siedem lat temu kierował szkoleniem rekrutów w II Legionie. Bestia zginął podczas walk w Brytanii śmiertelnie raniony w zasadzce.

– Był twardy jak skała, służył w każdym zakątku cesarstwa. Po tym, jak awansowano mnie do centurionatu, upiłem się z nim w naszej kantynie. Miał twardą głowę i jak większość żołnierzy starej daty, lubił sobie powspominać. Pamiętam do dzisiaj jedną z jego opowieści o ogromnej wpadce w Panonii. Część górskich plemion tej prowincji zbuntowała się, poszło jak zwykle o zbyt wysokie podatki. Drugi wysłano do zdławienia rodzącej się rebelii. Namiestnik nie miał jednak pojęcia, jak liczny jest wróg, nie wiedział też nic o słanie górskich szlaków, a działo się to zimą. I tak dowódca wprowadził legion prosto w zasadzkę. Stracił

w niej co czwartego żołnierza, a potem musiał się wycofać do najbliższego foru, od którego dzieliło go prawie dwieście mil. Zajęło to dziesięć dni i kosztowało utratę połowy uszczuplonego stanu osobowego. Bestia mino to twierdził uparcie, że to było wspaniałe osiągnięcie legata. Doprowadził ocalałych w bezpieczne miejsce. I tak na to trzeba patrzeć, Katonie. Prawdziwego dowódcę poznaje się po tym, jak radzi sobie z przeciwnościami losu. – Macro spojrzał na przyjaciela i pokiwał głową z powagą. – Tak wygląda prawda. Lepiej więc wziąć się w garść.

– Tak. Rozumiem. – Na twarzy Katona pojawił się wymuszony uśmiech. – Dzięki.

– Przestań się tym zadręczać. – Macro trącił go delikatnie w ramię. – Lepiej, że to ty dowodziłeś i spieprzyłeś, a nie ja.

– No pięknie…

Centurion przechylił manierkę i pociągnął z niej kilka długich łyków, zatkał ją z powrotem.

– Ach, tak lepiej! – Zdecydował, że pora zmienić temat, więc rozejrzał się po zrujnowanej wiosce. – Co tu się wydarzyło? Gdzie są miejscowi?

– Nie żyją. – Katon wskazał na znajdującą się opodal zagrodę. – Ajaks kazał ich wymordować.

– Dlaczego? Co mu z tego przyszło?

– Może ci ludzie nie chcieli mu pomóc? A może chciał jeszcze bardziej zdestabilizować sytuację w prowincji? Nie wiem, czym się kierował. – Katon podniósł kamyczek, zaczął obracać go w palcach, potem cisnął w mrok. – Tak czy inaczej, nie żyją. Wszyscy jak jeden. To kolejny powód, by doścignąć i zlikwidować tego drania.

– No proszę. To mi się podoba. Zapomnij o wydarzeniach tego dnia i skoncentruj się na tym, co musisz zrobić jutro. – Centurion wstał ociężale, gdy jego przyjaciel skinął wolno głową. – Muszę porozmawiać z Rufusem o harmonogramie wart. Odpocznij trochę, panie.

– Spróbuję.

Macro walnął się dłonią w policzek, gdy koło ucha rozległo się znajome bzyczenie.

– Jeśli radzisz sobie z tymi małymi bękartami, to jesteś lepszym żołnierzem niż ja.

Pochylił się, by podnieść hełm, a potem odmaszerował dziarsko w kierunku drugiego centuriona siedzącego pod jedną z ceglanych ścian. Katon obserwował przyjaciela przez chwilę, po czym sam udał się do pobliskiej chaty. Szukając pomieszczeń, których nie strawił ogień, znalazł w końcu nienaruszone posłanie. Wyciągnął je na zewnątrz, gdzie nie cuchnęło tak spalenizną. Rozłożył siennik i położył się na boku, próbując ignorować owady brzęczące nawet po zmroku. Na krótko wrócił wspomnieniami do momentu, gdy śmierć wydawała mu się pewna. Szybko jednak uległ ogromnemu zmęczeniu, które niemal natychmiast wepchnęło go w objęcia snu.

Katon obudził się tuż przed świtem. Zaraz też poczuł się winny temu, że zasnął, gdy Macro i inni czuwali całą noc. Miesiące spędzone na okręcie odzwyczaiły go od wyczerpujących marszów, więc wciąż czuł potworny ból w mięśniach nóg. Wstał z głośnym jękiem, przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu wszystkie stawy.

– A niech to… – mruknął, przecierając oczy.

Część jego ludzi kręciła się już po wsi, inni mozolili się przy montowaniu z nadpalonych belek nosideł dla rannych. Powietrze

było przyjemnie rześkie, a ziemię wokół wsi pokrywała cieniutka warstwa zwiewnej mgiełki. Na jej widok prefekt poczuł się nieswojo. Zawiesina dawała dodatkową osłonę bandzie Ajaksa, więc legioniści i marynarze nie będą bezpieczni, dopóki słońce nie usunie tych oparów. Katon przeszedł pomiędzy rannymi i stanął przy Rufusie, wskazując na jego zabandażowaną nogę.

– Doskwiera?

– Boli. Ale dam radę maszerować z innymi.

– Chcę, byś objął dowodzenie nad rannymi – oświadczył stanowczym głosem prefekt. – Potrzebuję kogoś zaufanego na tym stanowisku.

Rufus wyglądał na niezadowolonego, lecz w końcu skinął głową.

– Jak sobie życzysz, panie.

– Dołączysz do nas, jak tylko ranni znajdą się w bezpiecznym miejscu. – Katon rozejrzał się wokół. – Gdzie Macro?

– Przed chwilą poszedł sprawdzić warty, panie.

Przyjąwszy to wytłumaczenie, prefekt ruszył ulicą na przeciwległy kraniec wioski. Mijając zagrodę, zauważył, że minionej nocy została spalona do gołej ziemi. Pomiędzy okopconymi murami wciąż jednak widać było ludzkie szczątki, a powietrze wokół cuchnęło odorem zwęglonych ciał. Katon przyspieszył kroku, by jak najszybciej wydostać się spomiędzy zabudowań. W oddali widział już pierwszego z wartowników. Żołnierz, słysząc zbliżające się kroki, zrobił w tył zwrot i zawołał:

– Kto idzie?

– Prefekt Katon. Gdzie centurion Macro?

– Robi obchód, panie. Poszedł w prawo, powinien wrócić lada

moment.

– Dostrzegłeś jakieś ślady wroga na swojej warcie?

– Nie, panie. Nic. Wszędzie panuje grobowa cisza.

Katon przyjrzał się palmom rosnącym nieco dalej wzdłuż szlaku. Długie zwisające liście wyglądały jak wyciągające się ku ziemi ręce tytanów. Zaraz też wychwycił charakterystyczny chrzęst deptanej trawy, a gdy odwrócił głowę, zauważył wyłaniającego się z mroku przyjaciela.

– Witaj, panie. Wypocząłeś?

– Tak, dziękuję. Masz coś do zaraportowania?

Centurion pokręcił głową.

– Nic. Ani śladu renegatów. Albo umieją być nieludzko cisi, albo zatrzymali się na nocleg dopiero po odejściu na bezpieczną odległość. Kazałem optionom obudzić ludzi o pierwszym brzasku. Czyli już za chwilę.

– Świetnie.

– Powiem ci tylko, że Hamedes wziął amforę wypełnioną prochami zabitych i poszedł z nią na groblę. Wygląda na to, że wysypuje prochy do rowów irygacyjnych, by mogły spłynąć do Nilu. Twierdzi, że mu na to pozwoliłeś.

– Zgadza się, ale nie wspominałem nic o wychodzeniu ze wsi.

– Obiecał, że zachowa czujność, panie.

– To jego pogrzeb. – Prefekt pokręcił głową. – Nie to chciałem powiedzieć.

Macro zaśmiał się, zanim odpowiedział:

– Nie musisz się nim przejmować. Dobrze się spisał podczas porannej bitwy i dotrzymał nam kroku w marszu przez bagna.

Całkiem nieźle jak na kapłana. Różni się od tych spasionych leni z Rzymu, nie mówiąc już o naszych sztabowcach. Da sobie radę. Jeszcze zrobię z niego żołnierza.

– Wątpię, aby mu na tym zależało.

– I tu się mylisz, panie. Po tym, co Ajaks zrobił w świątyni, ten człowiek nie spocznie, dopóki nie dokona zemsty.

– Zemsty? – Katon westchnął ciężko. – Wygląda na to, że tylko ona motywuje nas wszystkich do działania. Hamedesa, Ajaksa, ciebie i mnie.

Macro zmrużył oczy.

– Jeśli myślisz, że wszyscy jesteśmy tacy sami, to grubo się mylisz. Naprawdę grubo. Ukrzyżowaliśmy ojca Ajaksa, ponieważ był pieprzonym piratem. Jego sprzedano w niewolę z tego samego powodu. Powiadam ci, że drań zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało. Pytanie tylko, który z nas będzie miał to szczęście i zabije go. Ty, ja czy Hamedes?

Usłyszeli ciche kaszlnięcie, a gdy odwrócili głowy, dostrzegli kapłana, który stał opodal, obserwując ich uważnie. Prefekt nie wiedział, czy mógł ich podsłuchać, zaczął więc niezręcznie.

– Dopełniłeś wszystkich rytuałów? – zapytał.

– Tak. Zważywszy na okoliczności, mogłem jedynie prosić bogów, aby wpuścili pomordowanych w zaświaty.

– Tak, rozumiem, dobrze. Jestem pewien, że uczyniłeś co w twojej mocy. – Katon uniósł wzrok i zauważył nad horyzontem lekką poświatę. – Zaraz zacznie świtać. Lepiej przygotujmy ludzi do wymarszu.

Bladym świtem kolumna wyruszyła na szlak. Katon i Macro maszerowali na jej czele razem z Hamedesem i dwiema drużynami legionistów. Trzymali się jednak blisko czoła

głównych sił, na wypadek gdyby nagle potrzebowali wsparcia. Pochód zamykał centurion Rufus doglądający marynarzy niosących najciężej rannych.

Łagodna bryza poruszała liśćmi palm rosnących kępami na poboczach traktu. Mangrowce szybko ustąpiły miejsca ciągnącym się po horyzont trzcinowiskom i choć nigdzie nie było śladu świadczącego o tym, że Ajaks i jego ludzie zeszli z drogi, Katon kazał żołnierzom zachować najwyższą czujność i powiadamiać go o każdym niepokojącym szczególe. Mgiełka zniknęła, gdy słońce wspięło się wyżej na niebo, niebawem też trzcinowiska ustąpiły miejsca polom nawadnianym dzięki skomplikowanemu systemowi rowów. W oddali prefekt dostrzegł błyszczące rozlewisko.

– To jedna z odnóg Nilu – wyjaśnił Hamedes. – Lada moment dotrzemy do wioski leżącej na jego brzegu.

– Takiej jak tamta? – Macro wskazał palcem, a prefekt i kapłan spojrzeli w kierunku smugi dymu unoszącej się wysoko w niebo. Centurion zmrużył oczy. – To nie dym z paleniska, tylko regularny pożar.

Katon poczuł ukłucie żalu na myśl, że kolejna miejscowość zostanie zniszczona przez Ajaksa i jego ludzi.

– Przyśpieszmy – rozkazał.

Żołnierze straży przedniej wydłużyli krok. Chwilę później szlak skręcił i prowadził teraz prosto na kłęby dymu. Kiedy minęli kilka kolejnych pól, zobaczyli w oddali dachy domostw i usłyszeli ryk płomieni oraz krzyki ludzi. Nienawiść prefekta do gladiatora sięgnęła w tym momencie zenitu.

Ścieżka rozszerzała się stopniowo, teraz mogłyby nią przejechać nawet wozy. Rzymianie dotarli szybko do samej miejscowości, na którą składały się liczne chałupy i leżące

pomiędzy nimi zagrody pełne osiołków, kóz, bydła i drobiu. Nieliczni mieszkańcy stojący na krętych uliczkach odwracali się pospiesznie, słysząc miarowy łomot wielu podkutych butów. Gdy tylko ujrzeli Rzymian, natychmiast zaszywali się w swoich domostwach.

– Dobre miejsce na kolejną pułapkę – ocenił Macro, przyjrzawszy się wąskim przejściom między domami i licznym alejkom odchodzącym w obie strony.

– Gdyby Ajaks był tu nadal, nie spotkalibyśmy żywej duszy – uspokoił go Katon.

Wyszli na placyk, pośrodku którego stało kilka kramów. Za nim widać było gołą ziemię łagodnie opadającego brzegu rzeki. Dopalały się na niej resztki kilku łódek z trzciny, przy których zawodziły grupki miejscowych. Katon doprowadził swoich ludzi do miejsca, gdzie zaczynało się zbocze, i tam kazał im się zatrzymać. Dalej poszedł tylko w towarzystwie Macro i Hamedesa. Gdy tłum rozstępował się nerwowo przed nimi, prefekt dostrzegł ciała leżące w kałużach krwi. Przy zabitych klęczały lamentujące wniebogłosy kobiety.

– To mi wygląda na robotę Ajaksa – mruknął Macro.

– Hamedesie… – Katon przywołał do siebie kapłana. – Zapytaj ich, co tu się wydarzyło.

Egipcjanin podszedł wieśniaków z szeroko rozłożonymi rękami i po krótkiej wymianie zdań odwrócił się do prefekta.

– Twierdzą, że do wsi weszła o świcie kolumna zbrojnych. Zabrali tyle łodzi, ile potrzebowali, a resztę spalili. Ci ludzie próbowali ich powstrzymać, ale zostali zabici.

– To musiał być Ajaks – uznał Katon. – Zapytaj, w którą stronę się udali.

Kapłan porozmawiał z wieśniakami, a potem wskazał w górę koryta rzeki.

– Tam, panie. Jeszcze ich widać.

Prefekt spojrzał pospiesznie we wskazywanym kierunku. Ujście płynęło przez równiny leniwym meandrem, więc bez trudu dostrzegł maleńkie kształty łodzi oddalonych o jakieś dwie mile od wioski. Właśnie znikały za kolejnym zakolem.

– Zapytaj, czy gdzieś w pobliżu znajdziemy inne łodzie.

– Nie, panie – przetłumaczył Hamedes.

– Nie ma tu innych wsi?

– Jest jedna. Pół dnia marszu w dół rzeki.

– To na nic – warknął Macro. – Drań znów nam się wyślizgnął.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– To niezbyt zadowalający stan rzeczy, nieprawdaż, prefekcie? – Namiestnik Petroniusz postukał palcem w raport, którego zażądał od Katona, gdy niewielki konwój dotarł do Aleksandrii. Mimo że Katon zdołał dość szybko zorganizować łodzie dla swoich ludzi i popłynął w górę odnogi Nilu, i tak nie dogonił Ajaksa. Zatrzymywał się w każdej wsi po drodze, przepytywał każdego rybaka, na jakiego trafił, ale choć natknął się na porzucone trzcinowe łódki około trzydziestu mil na północ od Memfis, tam po raz ostatni trafił na ślad zbiegów. Kontynuując podróż, dopłynął do miasta, którego mieszkańcy obawiali się najazdu Nubijczyków posuwających się szybko z biegiem Nilu. Nie mogąc zrobić nic innego, prefekt zajął tam jedną z popularnych w tych okolicach płaskodennych barek i wyruszył nią do portu w Aleksandrii, by zdać raport namiestnikowi.

Stał teraz przed pulpitem Petroniusza, zastanawiając się, jak najlepiej odpowiedzieć na retoryczne w gruncie rzeczy pytanie.

– Panie, udało nam się odkryć bazę operacyjną Ajaksa i skutecznie ją wyeliminować. Zdobyliśmy posiadane przez niego okręty, zabijając przy tym ponad dwustu renegatów. Zostało mu już tylko czterdziestu, co najwyżej pięćdziesięciu ludzi, aczkolwiek nadal może stanowić spore zagrożenie dla cesarstwa. Chciałbym kontynuować pościg, ale do tego potrzebowałbym listów uwierzytelniających, aby urzędnicy znad Nilu współpracowali ze mną bez szemrania. Co więcej, potrzebowałbym też ludzi do wykonania takiej misji. Wydaje mi

się, że kohorta jazdy wystarczyłaby w zupełności.

Petroniusz zaśmiał się gorzko.

– Kohorta jazdy, powiadasz? Tobie się wydaje, jak widzę, że to skromne żądanie. Odpowiedz mi jednak na proste pytanie: dlaczego miałbym ci powierzyć takie siły, skoro doprowadziłeś już do tego, że straciłem okręt wraz z załogą i trzydziestu dobrych legionistów? No, słucham.

– Nie możesz sobie pozwolić na zlekceważenie tego zagrożenia, panie.

– Mam inne zdanie na ten temat. Zwłaszcza że moje siły są teraz bardzo rozśrodkowane. Nubijczycy dotarli już do pierwszych katarakt. Ten dureń, legat Kandyd, wysłał trzy kohorty jednostek pomocniczych na spotkanie straży przedniej Nubijczyków. Zostały rozgromione. Dobrze będzie, jeśli połowa ludzi zdołała zbiec z pola bitwy.

– Słyszałem o tym w Memfis, panie.

– Zatem nie weźmiesz mi za złe, jeśli odmówię ci przydzielenia kolejnego oddziału. Pościg za tym gladiatorem przestał być moim priorytetem. Muszę skoncentrować wszystkie posiadane siły na powstrzymaniu Nubijczyków i zmuszeniu ich do odwrotu.

– Rozumiem, panie, ale jeśli nie zabijemy tego złoczyńcy, z pewnością będzie kontynuował osobistą wojnę z Rzymem. Mało brakowało, by kosztowało to cesarza utratę całej Krety, nie mówiąc już o potencjalnym zagrożeniu dla szlaków handlowych na wschodnich akwenach Morza Śródziemnego. Nie możemy pozwolić, by nadal nam szkodził.

– Nie pozwolimy na to, jak tylko uporamy się z Nubijczykami. Wtedy i tylko wtedy rozważę przydzielenie ci nowych ludzi do ścigania tego złoczyńcy. Zrozumiano?

– Tak, panie. Aczkolwiek nie zgadzam się z twoją opinią.

– Niezgadzanie się nie wchodzi w zakres obowiązków podwładnego, prefekcie – ofuknął go Petroniusz. – Ja rządzę w Egipcie. Ja działam w imieniu cesarza, więc dopóki przebywasz na podległym mi terytorium, będziesz słuchał moich rozkazów. Koniec dyskusji… – Zamilkł na moment i uśmiechnął się lodowato. – Choć może niezupełnie.

Katon stał spokojnie, czekając, aż namiestnik rozwinie myśl.

Petroniusz wstał zza pulpitu i przeszedł na drugi kraniec gabinetu, pod wielka mapę z wyrysowanym biegiem Nilu, od delty aż po południowe granice prowincji. Dalej nie było zbyt wielu szczegółów. Podniósł rękę i postukał palcem w ten rejon mapy.

– Kandyd koncentruje siły w Diospolis Magna. Poza Dwudziestym Drugim Legionem ma dwie kohorty pomocnicze piechoty i tyle samo jazdy. Tyle tylko mogłem mu dać. Wysiałem mu każdego żołnierza, jakiego mogłem poświęcić. Ale wygląda na to, że mojemu przyjacielowi legatowi brakuje oficerów. Jego starszy trybun dowodził jednostkami rozgromionymi przez Nubijczyków. Zginął w tej bitwie. Kandyd ma także kilka wakatów w centurionacie. Kilku centurionów jakiś czas temu odkomenderowano do granicznych miejscowości, gdzie pełnili funkcje administracyjne. Ich także straciliśmy, gdy Nubijczycy przekroczyli granicę. – Petroniusz odwrócił się, by spojrzeć na Katona. – Dlatego zdecydowałem, że przydzielam ciebie i centuriona Macro do Dwudziestego Drugiego Legionu. Będziecie w nim służyć do czasu zażegnania obecnego kryzysu.

Katon spodziewał się takiego obrotu sprawy, miał więc w zanadrzu gotową odpowiedź.

– Wybacz, panie, ale otrzymałem wyraźne rozkazy od

namiestnika Semproniusza. Zostałem wysłany, by wytropić i unieszkodliwić ludzi Ajaksa. Dopóki nie wykonam tego zadania, nie wolno mi przyjmować innych rozkazów.

Twarz Petroniusza stężała.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób, ty zarozumialcze? Za kogo ty się masz? Jesteś zbyt szybko awansowanym gołowąsem, nikim więcej. W twoich żyłach nie płynie nawet jedna kropla szlachetnej krwi. Nie masz w Rzymie rodziny, a twoje koneksje nie są warte złamanej sestercji. Jesteś psem na posyłki Semproniusza, ot co. Radziłbym ci o tym nie zapominać.

– Pełnię obowiązki prefekta, panie.

– Tak, chwilowo. Twój patron nie obroni ci jednak dupy, kiedy się wpakujesz w kłopoty. A wtedy zostaniesz zdegradowany do bardziej odpowiedniego stopnia.

– Niech i tak będzie, ale na razie jestem podwładnym namiestnika Semproniusza.

– Zapominasz się* prefekcie. – Petroniusz się uśmiechnął. – W Egipcie ja reprezentuję cesarza. Nikt nie ma nade mną zwierzchności. Jeśli wydam ci rozkaz, to jakbyś usłyszał go z ust samego Klaudiusza. Czy nie mam racji?

Katon przygryzł wargę. Namiestnik mówił prawdę. Miał prawo wydać każdy rozkaz, który mógł odwołać tylko Rzym. Jeśli zechce, może nawet unieważnić pisma Semproniusza.

– Tak, panie. Masz rację.

Petroniusz skinął głową.

– Zatem postanowione. Ty i centurion Macro udacie się natychmiast do Diospolis Magna. Szef mojego sztabu przygotował już wasze nowe przydziały. Odbierzesz je po wyjściu z tego

gabinetu. Jakieś pytania?

– Tak, panie. Czy mam rozumieć, że po zakończeniu kampanii nubijskiej przydzielisz mi ludzi potrzebnych do odnalezienia Ajaksa?

– Skoro taka twoja wola… – Petroniusz wzruszył ramionami. – Aczkolwiek walki na południu mogą potrwać kilka miesięcy. Do tego czasu twój gladiator dawno zbiegnie z mojej prowincji. Jeśli stanie się inaczej, osobiście zadbam o to, by twoje żądanie zostało spełnione. A teraz, prefekcie, możesz odmaszerować.

– I jak ci poszło? – zapytał Macro, przesuwając w kierunku Katona kubek i nalewając do niego wina.

Czekał naprzeciw wejścia do pałacu, w tawernie przy Drodze Kanopijskiej, szerokiej na dwieście stóp alei biegnącej przez całą metropolię. Na zewnątrz, w promieniach palącego słońca, tysiące aleksandryjczyków rozprawiało z przyjaciółmi o interesach, przekrzykując wrzaski ulicznych sprzedawców zachwalających z wielką werwą swoje towary. Katon przecisnął się przez ten tłum, ignorując niekończące się zaczepki i propozycje sprzedaży tanich pamiątek i antyków. Sprzedawcy kusili go zapewnieniami, że może tylko obejrzeć oferowane mu dobra i nie musi niczego nabywać. Ich obietnice były jednak równie fałszywe jak pokazywane antyki, znikali więc jak niepyszni, gdy prefekt kazał im iść precz.

Katon opadł na zydel ustawiony naprzeciw Macro i Hamedesa. Jednym haustem opróżnił podany mu kubek, a potem spojrzał na kapłana.

– Nie powinieneś szukać wolnego miejsca w którejś z tutejszych świątyń?

– W Aleksandrii? – prychnął z odrazą Egipcjanin.

– Dlaczego nie? – Prefekt wskazał na zatłoczoną aleję. – W tej metropolii na pewno nie brakuje świątyń.

– Tutejszymi świątyniami zarządzają greckie pasożyty. Nic, tylko wyciągają z ludzi złoto, by nabijać własne trzosy. Ja jestem prawdziwym egipskim kapłanem. Nie pohańbię się służeniem w Aleksandrii. – Hamedes upił łyk wina. – Poza tym posadki tutejszych kapłanów są rozchwytywane, więc z pewnością nie znajdę wakatu – dokończył ze wzruszeniem ramion.

– Kaplan to kapłan – mamrotał Macro, chwytając za ucho amfory, by odstawić ją na miejsce obok stołu. – Mów lepiej, jak ci poszło z namiestnikiem.

– Powiedzmy, że nie był zbyt zadowolony z faktu, że Ajaksowi udało się uciec.

– Ale da nam wystarczającą liczbę żołnierzy, byśmy mogli go ponownie wytropić?

– Żołnierzy? – Prefekt zaśmiał się w głos. – Nic podobnego. Ty i ja zostaliśmy wcieleni do legionu na czas kampanii przeciw Nubijczykom. – Wyjął spod tuniki otrzymane rozkazy i rzucił je przyjacielowi. – Czytaj, jeśli chcesz.

Macro odsunął palcem dokumenty.

– W co, u licha, pogrywa nasz Petroniusz? Wie przecież, jaki groźny jest Ajaks.

– Wygląda na to, że zmieniły mu się priorytety.

– Priorytety? – Macro zmarszczył brwi. – Od kiedy to ujęcie przywódcy buntu niewolników nie jest priorytetem dla naszego imperium?

– Otóż właśnie. – Katon mlasnął językiem. – To samo powiedziałem namiestnikowi, ale pozostał nieugięty. Stwierdził, że najpierw musimy zażegnać groźbę ze strony Nubijczyków.

I chyba ma rację – przyznał. – Tak więc wracamy obaj na łono armii, co może ci nawet pasować. – Katon pochylił się, by oprzeć łokcie o blat stołu. – Z tego, co wiemy, Ajaks także kieruje się w górę Nilu. Ucieka przed nami. Nie zostało mu zbyt wielu ludzi. Co ty byś zrobił na jego miejscu?

Centurion podrapał się po karku.

– Poszukałbym nowej bazy wypadowej. Znalazł nowych sojuszników… – Spojrzał na przyjaciela, unosząc znacząco brew. – Nubijczyków?

– Tak mi się wydaje.

Macro nie był tego taki pewny.

– To dość ryzykowne posunięcie. Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Czy nie lepiej byłoby w jego sytuacji zbiec po cichu z tej prowincji i narobić bałaganu na przeciwległym krańcu imperium?

– Może dlatego, że przy pomocy Nubijczyków może nam bardziej zaszkodzić?

– Pytanie tylko, czy Nubijczycy go zechcą.

– A ty byś go nie chciał? Widziałeś, do czego są zdolni jego ludzie. Przydaliby się każdej armii.

– Racja – przyznał Macro po chwili zastanowienia. – Aczkolwiek wątpię, aby Ajaks chciał wykonywać rozkazy kogoś innego. Uwierz mi, Katonie, miałem okazję obserwować go przez dłuższy czas. Ten człowiek chce być sam sobie panem.

– Wszyscy musimy od czasu do czasu przełknąć dumę. – Prefekt rozsiadł się wygodniej. – Mogę się mylić. Niewykluczone, że Ajaks zmierza teraz w kierunku granicy prowincji Wątpię jednak, by tak było. Nie ucieknie, ponieważ wie, gdzie my jesteśmy. – Ta myśl raziła go nagle jak grom. – Szczerze powiedziawszy, mógł

przewidzieć, że wstąpimy do armii, którą namiestnik wysyła przeciw Nubijczykom. Dla niego to kolejny powód, by połączyć siły z nimi.

– Aż tak bardzo nas nienawidzi?

Katon przypomniał sobie nocny pojedynek z gladiatorem i szaleńczą furię, z jaką Ajaks na niego nacierał. To wspomnienie przyprawiło go o znajomy dreszcz.

– Tak. Jestem pewien. To jedyna przewaga, jaką nad nim mamy.

Hamedes odchrząknął znacząco.

– Kiedy zatem wyruszacie w górę Nilu, panie?

– Jutro. Z konwojem wojskowym, który właśnie jest załadowywany na barki w porcie na jeziorze Mareotis. Przydzielono nam koję na jednej z nich. Odbijamy o świcie.

– Tak szybko? – Macro zamyślił się na moment, potem wzruszył ramionami. – Czemu nie? Jeśli Ajaks tam na nas czeka, chcę go jak najprędzej załatwić. – Odwrócił się do Hamedesa. – Wygląda na to, że tutaj się rozstaniemy. Twoje zdrowie – uniósł kubek. – Jak na brudasa byłeś całkiem niezłym przewodnikiem.

Kapłan spojrzał uważnie na Katona.

– Czy to był komplement, panie?

– W jego wykonaniu z pewnością. – Prefekt także uniósł kubek. – Dziękuję ci za okazaną nam pomoc.

Hamedes wyglądał na zakłopotanego.

– Prawda jest taka, panie, że chciałbym trafić do jednej ze starych świątyń, w których nadal praktykuje się obrzędy dawnej wiary. Nie do tych gniazd greckiej rozpusty. Chcę wrócić w górę Nilu, tam, skąd pochodzę. – Oczy mu zalśniły. – A wy wciąż potrzebujecie kogoś, kto mówi tutejszymi narzeczami, abyście

mogli łatwiej odszukać gladiatora i jego ludzi. Mogę wam jeszcze posłużyć przez chwilę, zanim wrócę do kapłańskiego stanu. Wiecie przecież doskonale, że też zależy mi na odnalezieniu tego człowieka. Śmierć moich braci musi być ukarana.

– Tak. – Katon zauważył intensywność spojrzenia Hamedesa, od razu domyślił się też, co czuje młody kapłan, ponieważ i jemu pragnienie zemsty było nieobce. Skinął więc głową. – Dobrze, możesz się do nas przyłączyć. Powiem, że jesteś naszym zwiadowcą. Ktoś ci przynajmniej zapłaci za tę służbę.

Kapłan się uśmiechnął.

– I tak jestem waszym dłużnikiem, panie.

Nilowe barki zostały wypakowane po brzegi zaopatrzeniem potrzebnym podczas kampanii przeciw Nubijczykom. Na ich pokłady trafiły kosze pełne strzał, naręcza drzewc do bełtów, nowo wykute miecze, guzy do tarcz, worki ćwieków i butów. Było tam też wielu legionistów i oficerów wracających z przepustek bądź pilnujących nowo zaciągniętych rekrutów. Katon, Macro i Hamedes, obciążeni rynsztunkiem otrzymanym z magazynów aleksandryjskiej floty, zamustrowali się na ostatnią z tych jednostek. Po zgłoszeniu się do oficera dyżurnego zagoniono ich natychmiast na dziób, ponieważ załoga musiała odbić od nabrzeża i podnieść wielki trójkątny żagiel. Ładownie barki wypełnione były workami z ziarnem, a amfory oliwy i wina ułożono rzędami wzdłuż burt.

– Cud, że ta krypa jeszcze nie zatonęła – mamrotał Macro, odkładając tobołek z rynsztunkiem i rozsiadając się wygodnie pod zadaszeniem rozpiętym nad pokładem dziobowym.

Katon przytaknął. Jego przyjaciel miał rację, burty statku wystawały z wody tylko na stopę, więc prefekt zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby barka trafiła na niespodziewany

podmuch silnego wiatru. Mając tak ciężki ładunek na pokładzie, powinna pójść na dno jak kamień, a Katon nie zamierzał moczyć się w Nilu. Ale nie konieczność dopłynięcia do brzegu przerażała go najbardziej, tylko obecność krokodyli, które mogły kryć się w pobliskich trzcinach i tylko czekały na capnięcie łatwej ofiary.

– Spokojnie, centurionie. – Hamedes uśmiechnął się do starszego Rzymianina. – Wody Nilu zawsze są spokojne, a wiatry stałe. Nie ma powodu do obaw. Poza tym złożyłem bogom tej rzeki ofiarę z całego dzbana oliwy. – Poklepał swój tobołek. – Dzięki temu będą nas chronić.

– Czy ja wyglądam, jakbym się czegoś bał? – warknął Macro. – Powiedziałem jedynie, że ta krypa jest przeładowana.

Kapłan pokiwał głową ze zrozumieniem, potem wyciągnął się wygodnie na plecach, opierając głowę o worek z rynsztunkiem, jakby zamierzał spać. Obaj Rzymianie przyglądali się jeszcze przez chwilę panoramie niknącej w oddali Aleksandrii, pociągając wino z bukłaka zakupionego przez centuriona w kramie przy Drodze Kanopijskiej. W pewnym momencie Macro zakaszlał i spojrzał na przyjaciela.

– Naprawdę uważasz, że Ajaks będzie z Nubijczykami w górze Nilu?

– Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewny – odparł Katon. – Dzięki temu posunięciu będzie mógł prowadzić skuteczniejszą wojnę przeciw Rzymowi.

– I przeciwko nam.

– Dlaczego nie? Zawsze to okazja do upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu. Gdzie indziej moglibyśmy trafić, skoro tutejszy namiestnik zbiera najgorsze ciury garnizonowe, by odeprzeć inwazję?

– Może dla ciebie to żadna różnica, ja natomiast wolałbym nie być zaliczany do najgorszych ciur garnizonowych. – Macro uśmiechnął się do przyjaciela. – Ale rozumiem twój punkt widzenia. Jeśli masz rację, nie będziemy musieli długo szukać tego drania. Najpierw jednak obowiązek, później przyjemność. Pokonamy Nubijczyków i dopiero potem weźmiemy się za Ajaksa.

– Pokonanie Nubijczyków może być trudniejsze, niż ci się wydaje.

– Dlaczego?

– Zanim udaliśmy się do portu, rozmawiałem ze sztabowcem Petroniusza. Wypytywałem go o oddziały, którymi dysponuje Kandyd. Te dwie kohorty piechoty wydają się sprawdzonymi i dobrymi oddziałami, ale z jazdą będzie gorzej. Najbardziej martwi mnie jednak stan Dwudziestego Drugiego.

– To legioniści. Będą walczyć tam, gdzie pojawi się wróg.

– Miejmy nadzieję. – Prefekt potarł zarośnięty policzek, żałując, że nie skorzystał z okazji i nie ogolił się porządnie w Aleksandrii. – Niemniej coś mi się nie podoba w tej jednostce.

– Poważnie? Co z nią nie tak?

– To legion utworzony przez Marka Antoniusza. Wcielano do niego ludzi z armii Kleopatry. Po przegranej Antoniusza z Oktawianem Dwudziesty Drugi przeszedł na naszą stronę i od tamtej pory stacjonował nad Nilem. W jego szeregach znajdziesz samych Greków i Egipcjan z okolicznych miast.

– Uważasz, że mogą być nieco za miękcy?

– Niewykluczone. Nie brali udziału w żadnej kampanii od wojny domowej. Dla większości tych legionistów to będzie pierwsza wojna, odkąd wstąpili do armii. Mam tylko nadzieję, że dobrze ich szkolono do tej roboty.

Macro pokręcił głową.

– Jeśli nawet stan żołnierzy może wydawać się podejrzany, to są dowodzeni przez centurionów, a ci, mój przyjacielu, są tacy sami na całym świecie. Hardzi i wymagający, o czym przekonałeś się na własnej skórze.

– Nie wszyscy. Obaj trafialiśmy na marnych oficerów.

– Parę czarnych owiec wszędzie się znajdzie – zbył go Macro, nie chcąc oczerniać bractwa, do którego miał zaszczyt należeć. – Centurionat ma chwalebną tradycję. Aczkolwiek zawsze zdarzały się od niej wyjątki.

– Miejmy więc nadzieję, że w Dwudziestym Drugim nie będzie ich zbyt wiele.

– Muszę chwilę odpocząć – oznajmił niespodziewanie Macro.

Wyjął z tobołka wyfasowany pancerz, ugniótł tuniki, opończę i buty w coś przypominającego poduszkę i położył na niej głowę, odwracając się plecami do przyjaciela. Katon skomentował ten akt wrażliwości uśmiechem, a potem wsparł się na łokciu, by obserwować, jak barka wpływa do kanału łączącego jezioro z Nilem. Brzegi po obu stronach porastały trzciny i kępy palm, od czasu do czasu widać było na nich zabudowania z charakterystycznej mułowej cegły. Kobiety przy nich prały w leniwym nurcie odzienie, korzystając z porannego chłodu, tuż obok baraszkowały dzieci, opryskując się wzajemnie. Ich radosne piski niosły się aż do uszu prefekta. Urwisy przerwały zabawy, by pomachać rękami do załóg przepływających barek, więc Katon pozdrowił je podobnym gestem.

Tak bardzo przywykł do trudów żołnierki, że zapomniał już niemal o prostych radościach życia. W tym momencie zdał sobie z tego sprawę. Własne dzieciństwo wydało mu się tak krótkie i odległe w czasie. Odrzucił od siebie te gorzkie myśli, nie chciał,

by zdominowały jego nastrój podczas tej krótkiej chwili wytchnienia. Potem zdał sobie sprawę, że w nadchodzących dniach może mieć całe morze czasu na rozważania. Uznał więc, że skupi się na bardziej konstruktywnych tematach, takich jak planowanie życia z Julią po powrocie do Rzymu.

Barki płynęły bardzo wolno, kierując się ku Diospolis Magna, toteż spędził resztę poranka na kontemplowaniu monotonnych krajobrazów tej części Egiptu. Od czasu do czasu Macro albo Hamedes budzili się z drzemki i wymieniali kilka słów, zaraz jednak znów zasypiali. Późnym popołudniem konwój opuścił kanał i znalazł się w korycie właściwej rzeki. Ukrop lał się z nieba taki, że nawet wiatr parzył jak żar buchający od paleniska.

Wieczorem barki przybiły do brzegu. Ich dzioby wciągnięto na piaszczyste łachy, za którymi ciągnęły się ogromne łąki. Rozpalono ogniska, wydano racje żywnościowe, a owady, przyciągane blaskiem płomieni, roiły się wokół całymi chmarami. Hamedes stwierdził, że położy się między żeglarzami, jak tylko dopije wino.

– Jak tam chcesz – odparł Macro. – Ja nie mam zamiaru dać się pokąsać na śmierć. – Zaraz przywołał też kilku legionistów i kazał im postawić namiot dla siebie i prefekta. – Tylko szybko, chłopaki! – poganiał ich, opędzając się od komarów. – Skończcie, zanim te bestie wyssą ze mnie całą krew.

Gdy żołnierze skończyli, zaraz zanurkował pod klapą i zaczął rozkładać posłanie. Katon dołączył do niego trochę później, gdy już napatrzył się w kobierzec połyskujących gwiazd. Blask ognisk podświetlał ściany namiotu, od czasu do czasu padały na nie cienie przechodzących opodal ludzi. Przypominały nieco malowane z profilu postacie, których prefekt naoglądał się w tutejszych świątyniach.

Świeże powietrze nie docierało do wnętrza, więc szybko zrobiło się nieznośnie gorąco. Katon zdjął tunikę i został w samej przepasce biodrowej. Leżący po przeciwległej stronie Macro zasnął niemal natychmiast, mimo że odpoczywał przez większą część dnia. Jego chrapanie zagłuszało nawet dźwięki rozmów toczonych przy pobliskich ogniskach. Prefekt uśmiechnął się, przymykając powieki. Postanowił wykorzystać do maksimum tę krótką przerwę w walkach.

Obudził się nagle, ale nie drgnął nawet. Spoglądał tyko szeroko otwartymi oczami w dach namiotu. Nie był pewien, co wyrwało go ze snu, lecz gdy miał już przewrócić się na bok, dosłyszał cichutki szelest dobiegający z zewnątrz. Zaraz znów zapadła cisza, więc przetoczył się z sennym jękiem i przymknął powieki. Znów jednak usłyszał ten dźwięk, tym razem znacznie ostrzej: coś jak syk albo szybki oddech. Otworzył ponownie oczy i zrozumiał, że w namiocie oprócz niego i Macro jest ktoś jeszcze. Tuż obok, w nogach posłania centuriona, coś poruszyło się chwiejnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Katon poczuł, że krew zastyga mu żyłach. Gdy siadał, syk rozległ się po raz kolejny, a cień poruszył się na boki, tym razem gdzieś pomiędzy posłaniami.

– A niech mnie… – szepnął prefekt.

Zamarł, nie spuszczając wzroku z węża, za którym widział tyczkę podtrzymującą zadaszenie i wiszące na niej pasy z mieczami jego i Macro. Serce waliło mu coraz mocniej, myśli krążyły coraz szybciej. Był pewien, że wąż zaatakuje, jeśli się teraz poruszy. Dlatego oblizał tylko wargi i wyszeptał najgłośniej, jak się odważył:

– Macro… Macro… Zbudź się. – Chrapanie umilkło, potem z głębi namiotu dobiegło warknięcie. – Macro.

– Mhm… Co jest? – wymamrotał centurion, odwracając się twarzą do Katona.

– Nie ruszaj się – ostrzegł go przyjaciel.

– Co? – Głowa Macro uniosła się z poduszki. – Co ty wyrabiasz?

Wąż zasyczał ponownie, jeszcze głośniej. Uniósł się wysoko i zaczął groźnie kołysać. Zaraz też przesunął się bliżej prefekta.

– A niech to… – wyszeptał centurion. – Mamy problem, chłopcze. Co teraz?

Katon nie spuszczał wzroku z węża. Był już tak blisko, że bez trudu mógł rozróżnić poszczególne łuski na jego ciele. Oczy gada lśniły w półmroku jak koraliki. Nagłe poruszenie wskazało

miejsce, w którym znajdował się rozwarty pysk. Łeb kobry zawisł groźnie przed oboma Rzymianami.

– Nie… ruszaj… się – poprosił Katon przyjaciela.

– Dobrze.

Prefekt widział na rynku w Aleksandrii wielu zaklinaczy, stąd wiedział, jak szybkie potrafią być te węże. Nie miał szans na uskoczenie i sięgnięcie po miecz. Wysunął więc lewą rękę z posiania, by sięgnąć po zdjętą tunikę. Przesuwając palcami po ziemi, wymacał materiał i chwycił go mocno.

– Posłuchaj, spróbuję odwrócić jego uwagę. Gdy wykonam ruch, łap za miecz, rozumiesz?

– Jak chcesz odwrócić jego uwagę?

– Nie wiem jeszcze. Bądź po prostu gotowy. Na trzy.

Ich szepty zaniepokoiły węża. Znów rozległ się głośny syk i kobra odchyliła łeb do tyłu, jakby zamierzała zaatakować.

Katon zwilżył wargi, po czym zaczął odliczać:

– Raz… dwa… trzy!

Chwyciwszy za połę, cisnął tunikę w węża, który rzucił się na nadlatujący kształt, lecz zaraz cofnął się i znów zasyczał. Macro zdążył wstać i zrobić krok ku broni, zanim kobra zauważyła jego poczynania i skierowała głowę w tamtą stronę. Musiał się cofnąć na własne posłanie.

– Kurwa, blisko było.

– Spróbuję jeszcze raz – wymamrotał Katon.

Owinął połę tuniki na dłoni i strzepnął resztą tkaniny w kierunku węża, który zareagował błyskawicznie. Jego ślepia zabłysły w mroku jak rubiny. Prefekt przesunął tunikę w prawo i zatrząsł nią. Kobra uderzyła po raz drugi, ale Rzymianin cofnął

rękę. Długie kły wbiły się w materiał i pokryte łuskami ciało poleciało razem z tuniką. Katon zapiszczał, widząc, co się święci. Narzucił odzienie na łeb gada, lewą ręką chwytając go nieco niżej, tuż pod kapturem. Skóra węża była sucha i ciepła, kobra wiła się jak szalona, gdy próbował owinąć ją szczelniej swoją tuniką.

Macro doskoczył do tyczki, chwycił za pas i wyszarpnął miecz. Próbował zadać szybkie cięcie w wijący się w mroku kształt, lecz trafił w ziemię.

– Zabij to ścierwo! – darł się prefekt, z trudem utrzymując szalejącego węża.

Macro ciął po raz drugi i tym razem trafił, a za kolejnym wymachem udało mu się przepołowić węża. Tylna połowa cielska znieruchomiała natychmiast, więc odkopnął ją w kąt namiotu. Druga część jednak zaczęła wić się jeszcze bardziej, więc Katon odrzucił ją jak najdalej, w sam róg namiotu, gdzie krwawiące cielsko spadło z plaskiem na bukłak. Kobra leżała na ziemi, wijąc się w spazmach, dopóki się nie wykrwawiła.

Prefektowi serce waliło jak oszalałe, skórę miał mokrą od potu, czuł też na całym ciele dreszcze. Gdy spojrzał na przyjaciela, zobaczył, że on też jest wstrząśnięty.

Macro stał z mieczem w dłoni, gapiąc się na konającego gada, póki nie sczezł. Wtedy oblizał wargi i rzucił szczerze:

– Naprawdę zaczynam nienawidzić tej prowincji.

– Ty dowodzisz wartami, jeśli się nie mylę. – Macro wbił wzrok w optiona, który powstał szybko spomiędzy żołnierzy grzejących się przy ognisku.

– Tak, panie. – Legionista kiwnął głową.

– Zatem to ty jesteś odpowiedzialny za wszystko, do czego

doszło w naszym pieprzonym namiocie.

Centurion strzepnął tunikę, zrzucając na ziemię obie połówki kobry. Option cofnął się instynktownie, na jego twarzy pojawił się grymas odrazy. Pozostali żołnierze mamrotali coś zaskoczeni, zerkając ciekawie na zabitego gada.

Macro odwrócił się, by wskazać placem namiot.

– Tam jest prefekt. Czy przepisy nie mówią o postawieniu wartownika przed wejściem, aby był strzeżony przez całą noc? Żeby żaden wróg ani inny… gad go nie dopadł? Czy ten przepis nie obowiązuje na terenie Egiptu?

– Obowiązuje, panie.

– Gdzie więc jest rzeczony wartownik? – Centurion rozejrzał się wokół, a potem rozłożył ręce w geście bezradności. – Słucham.

– Wybacz, panie – wymamrotał option. – Mam ludzi po obu stronach obozu, nie przypuszczałem, że trzeba będzie więcej posterunków.

– Mówisz o dwóch wartownikach? – Macro pokręcił głową. – Ta prowincja jest w stanie wojny, i zanim powiesz, że Nubijczycy są daleko, oświadczam, że mam to gdzieś. To nie jest wymówka dla takiego niedbalstwa. Niech zgadnę. Należysz do Dwudziestego Drugiego Legionu?

Option przytaknął.

– Cudnie… – Centurion podszedł krok bliżej, jego palce znalazły się przy koniuszku nosa dowódcy wart. – Od tej nocy macie rozstawiać warty zgodnie z regulaminem. Twoim obowiązkiem była ochrona oficerów przebywających na terenie obozu, ale zawiodłeś na całej linii, synu. Gdybym ja albo prefekt, albo obydwaj, co nie dajcie bogowie, padli ofiarą tego węża, ty byś za to odpowiadał.

– Ależ panie. Nawet gdybym postawił wartownika przed wejściem do namiotu, wąż mógłby zakraść się od innej strony…

– Morda w kubeł! Wiesz doskonale, co należy do twoich obowiązków. Radziłbym trzymać się regulaminu albo tak ci dowalę, że do rana będziesz srał własnymi zębami. – Macro cofnął się o krok, potem trącił butem martwego węża. – I pozbądź się tego draństwa.

Zamierzał wrócić do namiotu, ale zatrzymał go kapitan jednej z barek, który przykląkł nad kobrą, mówiąc:

– Zazwyczaj nie włażą do obozów. Może rozbiliście namiot w pobliżu jej gniazda?

– Mówisz, że może ich być tutaj więcej? – zapytał centurion.

– Nie. Kobry to samotnicy. Chyba że mają młode.

– Dzięki za wyjaśnienie. Spokojniej zasnę dzięki twoim słowom.

– Macro spojrzał raz jeszcze na optiona. – Masz postawić dwóch wartowników przy naszym namiocie.

– Tak, panie.

Centurion odwrócił się i wrócił do namiotu, zawiązując za sobą dokładnie klapę. Oddał Katonowi tunikę, a sam opadł ciężko na posłanie.

– Pieprzony option z Dwudziestego Drugiego. Wygląda na to, że słusznie przejmowałeś się stanem tego legionu.

Zamyślony prefekt siedział ze skrzyżowanymi nogami na własnym sienniku. Spojrzał zdziwiony na przyjaciela, jakby dopiero teraz go zobaczył.

– Słucham?

– Powiedziałem, że miałeś rację co do zapuszczenia Dwudziestego Drugiego.

– A tak…

– Hej, Katonie. – Macro zamachał ręką. – Jesteś tam?

– Zamyśliłem się. – Prefekt przeczesał palcami spocone włosy.

– Chodzi o tego węża. Jak ja tego świństwa nie cierpię!

– A co w nich wyjątkowego? Niczym nie różnią się od potworów zamieszkujących tę prowincję: krokodyle, komary, kobry, żaden z tych gnojków nie ustanie, dopóki nie dziabnie cię do krwi. Pieprzyć je. Muszę się wyspać. – Zerknął na przyjaciela i dodał znacznie łagodniejszym tonem: – Ty też powinieneś odpocząć. Spij, ile się da, zanim dopłyniemy do Diospolis Magna.

– Masz rację. – Katon położył się na plecy i znieruchomiał w tej pozycji, wpatrując się w sufit. Po chwili przymknął też oczy, by lepiej wsłuchać się w dźwięki nocy.

Leżący obok Macro nie chrapał. To uświadomiło prefektowi, że i jego druh jest zaniepokojony.

Macro zamrugał i zaraz się skrzywił. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, były problemy z zaśnięciem. Wydawało mu się, że leżał tak całymi godzinami. Cóż, sen przyszedł do mnie w końcu, pomyślał. Snop światła wdzierał się do namiotu przez otwartą klapę. Centurion odwrócił się i zauważył, że posłanie Katona jest puste.

Usiadł na sienniku, potem się przeciągnął, ziewając szeroko, oblizał spierzchnięte wargi. Wstając, dostrzegł ciemną plamę na ziemi obok tyczki podtrzymującej zadaszenie i przypomniał sobie, jak minionej nocy przepołowił kobrę. Skrzywił się na to wspomnienie. Po wyjściu z namiotu dostrzegł przyjaciela na leżącym opodal pniu palmy. Katon przysiadł tam, obracając zatyczkę od amfory w dłoniach, i spoglądał niewidzącym wzrokiem na zasnutą oparami rzekę. Skorupy rozbitego naczynia

leżały tuż obok.

– Tak wcześnie się zerwałeś czy nie mogłeś zasnąć? – zawołał Macro, podchodząc do zamyślonego prefekta.

– Trudno spać, gdy obok ktoś chrapie jak ty. – Katon odrzucił zatyczkę w trawę. – Tyle dobrego, że nic nas już nie niepokoiło tej nocy. Za to możemy dziękować bogom.

Wokół nich pojawiało się coraz więcej obudzonych pasażerów i żeglarzy z barek. Ludzie zwijali posłania, przygotowując się do kolejnego etapu podróży w górę rzeki. Hamedes podszedł do obu oficerów, niosąc na ramieniu tobołek z rynsztunkiem.

– Witajcie. Słyszałem, że mieliście sporo rozrywki minionej nocy.

– Można tak powiedzieć – odparł Macro.

Kapłan rzucił dobytek i przykucnął przed nimi.

– Option powiedział mi przed chwilą o wężu. Naprawdę niewiele brakowało. Jad kobry nilowej zabija człowieka w ciągu godziny. Mieliście dużo szczęścia.

– Patrz, a ja myślałem, że trzeba mieć nieziemskiego pecha, żeby trafić na takiego gada.

Hamedes przechylił głowę.

– A może to znak? Wiadomość od bogów? Coś w rodzaju ostrzeżenia?

– A może to był po prostu pieprzony wąż, który skręcił gdzie nie trzeba? – Macro wstał, potem wskazał palcem na dwóch legionistów stojących przy pobliskim ognisku. – Ty i ty! Złóżcie ten namiot i zanieście go na pokład. I upewnijcie się, że nasze posłania trafią na tę samą barkę.

Katon spojrzał w tym czasie na kapłana. Milczał dłuższą chwilę,

w końcu się odezwał:

– Wiadomość od bogów… Kto wie, czy nie masz racji.

– Tak? – Hamedes nie ukrywał zaskoczenia.

– Tak – potwierdził prefekt. – Pech prześladował nas od początku pościgu za Ajaksem. Zaczynałem się nawet zastanawiać, czy nie obraziliśmy jakichś miejscowych bóstw. Ty jesteś specjalistą od takich spraw. Jak możemy przebłagać waszych bogów? Jakie modlitwy powinniśmy wznieść? Co im ofiarować?

Macro zerknął z niedowierzaniem na przyjaciela.

– Od kiedy zrobiłeś się taki religijny?

– W ciągu ostatnich kilku miesięcy Fortuna często śmiała się nam w twarz. To mógł być zbieg okoliczności, choć z drugiej strony… raz czy dwa można mieć pecha, ale nie cały czas. W takiej sytuacji każdy zaczyna podejrzewać, że bogowie albo jakieś inne siły igrają jego losem.

Macro wydął policzki, nie bardzo wiedząc, jak to skomentować.

– Naprawdę myślisz o składaniu ofiary?

– To mogłoby ukoić moje nerwy – przyznał prefekt. – Możesz się tym zająć w moim imieniu, Hamedesie?

– Oczywiście, panie.

– Jak najszybciej.

– Uczynię co w mojej mocy. Nigdy wcześniej nie proszono mnie o odczynienie zła albo zapewnienie sobie szczęścia. Zajmowałem się znacznie prostszymi sprawami. Rozpytam o to kapłanów, gdy tylko dotrzemy do Diospolis Magna.

Katon spojrzał na niego uważnie, potem skinął głową.

– Dobrze. To powinno wystarczyć. – Zaczerpnął tchu i wstał. –

A teraz wracajmy na pokład, by konwój mógł ruszyć dalej. Im szybciej dotrzemy do celu, tym lepiej.

Konwój płynął w górę rzeki, po jakimś czasie minął rozwidlenie delty i trafił do właściwego koryta Nilu, który wił się pośród gigantycznej pustyni sięgającej od zachodu do Morza Erytrejskiego, po terenach stanowiących południowe rubieże imperium. Z pokładu barki Katon widział spalone słońcem skały tuż za wąskim pasem ziem uprawnych leżących po obu stronach koryta. Za połaciami trzcinowisk i kępami palm mógł dostrzec liczne pola, na których pracowali fellachowie, widział masywne pługi ciągnione przez zaprzęgi wołów. Lemiesze obracały czarną jak smoła ziemię, najcenniejszy skarb tej prowincji. Zanim Rzymianie podbili tę część Afryki, niezmierzone bogactwa dorzecza służyły Ptolemeuszom i wszystkim ich poprzednikom panującym nad Nilem od niepamiętnych czasów.

Choć wszyscy poszli w zapomnienie, musieli żyć w epoce cudów, tak przynajmniej wydawało się Katonowi, gdy konwój przed dotarciem do Memfis mijał trzy piramidy strzeżone przez majestatycznego Sfinksa. Mimo że prefekt dostrzegł je już kilka dni wcześniej, wciąż stał na dziobie barki, przysłaniając oczy dłonią, ponieważ nie mógł wyjść z podziwu. Wydawały się wielkie jak góry, a zarazem tak idealnie geometryczne, że człowiek wiedział, iż nie mogą być dziełem natury. Ich ściany wydawały się gładkie jak szkło, a te miejsca, które przypominały złote liście, lśniły w promieniach słońca. Katon pomyślał na widok piramid, że w okresie świetności musiały wyglądać olśniewająco.

– Niezły widok – stwierdził Macro, stając na dziobie obok przyjaciela. Przyglądał się budowlom przez dłuższą chwilę, potem pokręcił głową. – Trudno uwierzyć, że wzniosły je takie brudasy.

– Niezbyt trafna uwaga. – Katon wskazał na wieśniaków uprawiających pola. – Ci ludzie są cieniami swoich przodków. Nie porównuj ich do starożytnych władców tych ziem. – Zamilkł na moment, zastanawiając się nad czymś. – Być może ktoś kiedyś powie coś takiego o nas, gdy po Rzymie zostaną tylko wspomnienia. Gdy nasze monumenty obrócą się w proch.

– Akurat. Jak ty czasami strasznie pieprzysz, przyjacielu. – Macro trącił go łokciem. – No przecież wiesz, o czym mówię. – Odchrząknął i dodał, naśladując skupiony, niemal nabożny ton prefekta: – Rzym jest latarnią pokazującą drogę do wszelkiej świetności. Gdy ludzie z odległej przyszłości staną u bram Wiecznego Miasta i spojrzą na ogrom naszych dokonań…

– Skończyłeś już? – żachnął się Katon.

Centurion udał, że się zastanawia.

– Daj mi jeszcze chwilę, jestem pewien, że przeoczyłem coś równie pretensjonalnego.

– Odpierdol się.

– Wreszcie gadasz jak prawdziwy żołnierz. Krótko i konkretnie. Chodź, zapomnij już o tych kupach kamieni i ukryj się w cieniu, zanim słońce zagotuje ci mózg.

Macro wślizgnął się pod daszek, opadając od razu na deski pokładu. Prefekt przyglądał się jeszcze przez moment widocznym w oddali piramidom, ale słowa przyjaciela odarły je z aury mistyczności. Westchnął więc i przyłączył się do ukrytego w cieniu centuriona i towarzyszącego mu kapłana.

Dziesięć dni po wyruszeniu z Aleksandrii, gdy słońce znikało za horyzontem, konwój minął ostatnie zakole rzeki przed Diospolis Magna. Na wschodnim brzegu przed miastem znajdował się gigantyczny kompleks świątynny, największy, jaki Katon widział

w swoim bogatym życiu. Z jego murów sterczały wysokie maszty, na których łopotały leniwie wypłowiałe czerwone flagi. Wysokie mury z mułowej cegły otaczały cały teren, nadając mu wygląd potężnej fortecy. W niewielkim oddaleniu od rzeki widać było także rozległą kamienną przystań, którą z korytem Nilu łączyły całkiem nowe drewniane pomosty.

– Karnak – objaśnił Hamedes nabożnym tonem, wskazując im leżący nieco dalej trochę mniejszy kompleks. – A to świątynia Antona. Miasto leży za nią.

Siedzący na rufie kapitan odsunął lekko sternicę, kierując barkę ku przystani. Na murach za nią i na pomostach roiło się od wartowników. Gdy konwój podchodził do brzegu, z nabrzeża zeszli kolejni zbrojni, by pomóc żeglarzom przy cumowaniu. Liny rzucone z pokładów wpadły do wody, ale zaraz zostały wyłowione i pierwsza jednostka po kilku chwilach dobiła do pomostu. Cumy naciągnięto i zawiązano na mocno już zużytych drewnianych polerach.

Obaj rzymscy oficerowie i towarzyszący im kapłan podnieśli tobołki i zeszli na brzeg. Katon zatrzymał się przy optionie dowodzącym oddziałem cumowniczym.

– Gdzie znajdę kwaterę główną armii?

– A kto pyta?

Rozwścieczony Macro ruszył, by drzeć pasy z aroganckiego podoficera, ale przyjaciel powstrzymał go gestem. Obaj mieli na sobie tylko standardowe tuniki. Pancerze i insygnia spoczywały w tobołkach.

– Prefekt Kwintus Licyniusz Katon i centurion Macro chcą się zameldować do służby w Dwudziestym Drugim Legionie – powiedział, a następnie wskazał brodą Hamedesa. – To nasz zwiadowca.

– Wybacz mi, panie. – Option natychmiast stanął na baczność. – Musisz się udać do komnat kapłanów. – Odwrócił się, wskazując wschodnią ścianę kompleksu. – To tam. Zaraz znajdę kogoś, kto wskaże wam drogę.

Katon skinął głową, mierząc wzrokiem optiona i jego podwładnych. Większość z nich miała ciemną skórę i wyglądała na miejscowych. Tylko kilku przypominało Greków albo Rzymian.

– Zajmij się tym – rzucił.

Niedługo później wspięli się po rampie na ceremonialną część przystani, skąd mieli widok na wewnętrzne partie świątyni. Za jej murami obozowały tysiące ludzi, równiutkie rzędy namiotów zajmowały każdy skrawek przestrzeni. W oddali, na przeciwległym krańcu kompleksu, dało się zauważyć stajnie, w których trzymano wierzchowce kohort pomocniczych i czterech szwadronów jazdy legionu. Wszystkie konie stały pod zadaszeniami z liści palmowych, które chroniły je przed palącym słońcem. Nieco dalej, już za murami, pomiędzy miastem a świątynią rozbito obóz dla ludzi podążających za wojskiem. Tam legioniści mogli znaleźć napitek, ozdóbki i chwilę zapomnienia w ramionach kobiet, których ściągnięto całą masę z prowadzonych przez Greków domów rozpusty.

– Niesamowite. – Hamedes pokręcił głową. – Nigdy wcześniej nie widziałem tak potężnej armii. Nubijczycy zadrżą na sam jej widok. Nie śmiem nawet zgadywać, jak wielu jest tych żołnierzy.

– Jest ich tu mniej, niż ci się wydaje – odparł Macro. – Legion powinien liczyć co najmniej pięć tysięcy ludzi, ale rzadko która jednostka ma pełny stan osobowy. A te kohorty pomocnicze to najwyżej trzy tysiące mieczy. Zatem Kandyd może wystawić przeciw Nubijczykom co najwyżej osiem tysięcy żołnierzy.

– Powiedz, panie, czy rzymscy legioniści nie są najlepszymi żołnierzami świata? Gdyby było inaczej, nie stworzylibyście tak potężnego imperium.

– Są żołnierze i żołnierze – wtrącił półgłosem Katon.

Legioniści, którym kazano odprowadzić oficerów do kwatery głównej, ruszyli krótką aleją sfinksów. Kiedy minęli wrota, weszli pod pierwsze pylony, za którymi był dziedziniec z dwoma wielkimi posągami i sala wsparta na mnogich pękatych kolumnach. Na jej końcu skręcili w prawo, by wyjść na kolejne pylony zajmujące południową część kompleksu. Jego dziedziniec zastawiono niemal kompletnie wozami z zaopatrzeniem i tysiącami worków ziarna potrzebnego do wykarmienia armii, gdy wyruszy na południe, by walczyć z Nubijczykami. Przygotowania wojenne były ogromną nowością dla Hamedesa, Rzymianie nie dziwili się więc, że bez przerwy strzelał oczami na boki.

– Hej! – Macro przywołał po chwili jednego z odprowadzających ich żołnierzy. – Wiadomo już coś o wrogu?

Legionista zerkną! przez ramię i pokręcił przecząco głową.

– Od wielu dni nie mamy żadnych wieści, panie. Ostatnio widziano nubijską jazdę na północ od Ombos.

– Gdzie to jest?

– Około stu mil w górę rzeki, panie.

Centurion spojrzał na przyjaciela.

– To już nie są podjazdy na zadupia prowincji, nie sądzisz? A Kandyd nie spieszy się z wykopaniem ich za granicę.

Katon wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że nie robi tego bez powodu.

– Rad bym poznać te jego powody.

Gdy minęli ostatnie pylony, trafili na kolejną aleję sfinksów prowadzącą do odległej o jakąś milę świątyni Amona. Przy tej drodze stał niski budynek otoczony murem z mułowej cegły. Drużyna legionistów pilnowała prowadzącej do niego bramy.

– To tam, panie. – Przewodnik wskazał ręką wejście.

Option dowodzący wartą uniósł rękę, gdy podeszli bliżej.

– Stać. Co was tu sprowadza?

– To oficerowie oddelegowani do waszego legionu – wyjaśnił przewodnik i odsunął się na bok.

Katon wyjął spod tuniki przydziały i podał je optionowi, który przebiegł wzrokiem po papirusach, po czym zasalutował.

– Witamy w Szakalach, panie.

– W Szakalach?

Option odwrócił się, by wskazać sztandar powiewający nad kwaterami kapłanów. Na czerwonej tkaninie widniał wyhaftowany złotem numer legionu i pod nim łeb psowatego stworzenia. Katon i Macro zerknęli na sztandar, a potem wymienili znaczące spojrzenia: nie dostrzegli na drzewcu ani jednego odznaczenia nadawanego za szczególne osiągnięcia w walce.

– Domyślam się, że chcecie, by wpisano was na listę, panie.

Prefekt przytaknął.

– Najpierw jednak chciałbym się widzieć z legatem.

– Nie ma go tutaj, panie. Ale możesz udać się do prefekta obozu, Gajusza Aureliusza.

– Gdzie jest legat?

– Opuścił nas kilka dni temu, panie. Słyszałem, że robi inspekcję fortów w górze rzeki, by sprawdzić, czy zdołają przetrwać ewentualne ataki Nubijczyków.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem, panie. Lepiej zapytaj o to prefekta obozu.

– Gdzie go znajdę?

– Idź prosto, panie. Biura administracji legionu są za basenem.

– Basen? – mruknął rozbawiony Macro, gdy wkraczali za bramę. – Raj na ziemi normalnie.

Wnętrza kwater kapłanów już na pierwszy rzut oka wydawały się o wiele bardziej przytulne i komfortowe, niż zwiastował prosty mur. Wybrukowane ścieżki łączące budynki zacieniono palmowymi liśćmi. Kwietniki nawadniano metalowymi rurami, które ciągnęły się przez całe ogrody. Niestety, było tam tylko kilka roślinek, a i one wyglądały na zaniedbane, ich liście pokrywała gruba warstwa drobnego pyłu. Alejka od wejścia ciągnęła się pomiędzy szpalerem kolumn aż do niewielkiego dziedzińca otoczonego rzędem przestronnych cel. Nad podwórcem rozpięto płócienne zadaszenie, pod którym pracowali usadzeni za pulpitami sztabowcy. Wypatrujący wieczerzy skrybowie czyścili właśnie rysiki i składali przybory. Po drugiej stronie dziedzińca znajdował się kolejny ciąg kolumn, za nim połyskiwała lustrzana powierzchnia wody. Cele wokół basenu przydzielono starszym oficerom armii. W głębi każdej z komnat rozłożono posłania, na środku zaś ustawiono po sporym pulpicie. Kilku oficerów wciąż pracowało, więc Katon poprosił przechodzącego ordynansa o wskazanie drogi do gabinetu prefekta obozu.

– To tam, panie. Na drugim końcu basenu. – Żołnierz wyciągnął rękę w kierunku szczupłego mężczyzny o czarnych kręconych włosach, który pochylał się nad blatem, studiując pilnie kolejny

dokument.

Katon zaprowadził towarzyszących mu ludzi na przeciwległy koniec płytkiego basenu. Gdy stanął w drzwiach celi, prefekt obozu przerwał lekturę. Wyglądał na zmęczonego i wystraszonego.

– Tak?

– Jestem prefekt Katon, panie. Przysłano mnie z Aleksandrii, abym zastąpił brakującego starszego trybuna. Oto mój przydział. – Podał papirus. – A to centurion Macro, także oddelegowany do waszego legionu.

– A ten? – Chudzielec wskazał Hamedesa.

– Nasz zwiadowca, panie.

Aureliusz przejrzał pobieżnie papiery, po czym rzucił je na blat.

– Cieszę się, że dołączyli do nas tak znakomici oficerowie. Mimo że przybył wczoraj kolejny młodszy trybun, wciąż nie mamy kompletu kadry oficerskiej, zwłaszcza dotyczy to pierwszej kohorty. Nasi najlepsi centurionowie zostali rozesłani po całej prowincji, by pełnić najzwyklejsze w świecie funkcje administracyjne. Dwaj służyli na południe od Ombos i wszelki ślad po nich zaginął. Tak samo *primus pilus*. Nadzorował budowę nowego fortu w Pselchis. Szczerze powiedziawszy, obawiam się najgorszego.

– Przykro mi to słyszeć, panie – powiedział Macro.

– Może brak wieści okaże się w tym wypadku dobrą wiadomością – odparł Aureliusz niezbyt przekonującym tonem. – Na razie ty, prefekcie Katonie, przejmiesz obowiązki starszego trybuna. Twój towarzysz Macro poprowadzi pierwszą centurię. – Postukał palcem w zwoje. – Macie znakomite rekomendacje, a nam brakuje doświadczonych oficerów. Jak zapewne wiecie,

ten legion od dawna nie brał udziału w walkach. Nasi żołnierze pilnowali co najwyżej porządku, ale za przeciwników mieli zwykły motłoch albo pospolitych rzezimieszków. Tak mi przynajmniej mówiono.

Gdy Aureliusz wypowiadał kolejne zdania z charakterystycznym dla południowców zaśpiewem i akcentem, Katon zrozumiał, że jego wcześniejsze obawy były uzasadnione i słuszne. Prefekt obozu wyglądał na człowieka, który jest przyzwyczajony do używania rysika, nie gladiusa. Oby chociaż legat wiedział, co robi, pomyślał młody oficer.

– Panie, muszę rozmawiać z legatem Kandydem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Mam ważne informacje o dodatkowym zagrożeniu dla tego regionu.

– Jestem pewien, że chciałbyś z nim porozmawiać – odparł prefekt obozu. – Ja także o tym marzę. Problem jednak w tym, że miał wrócić już trzy dni temu. Rozesłałem patrole, by go wypatrywały, ale na razie nie ma po nim śladu. Tylko bogowie wiedzą, gdzie się podział.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nubijska armia rozbiła obozowisko dwadzieścia mil na północ od miasta Ombos, w zakolu Nilu, gdzie można było poić konie i wypasać kozy służące za samobieżne racje żywnościowe. Miejsce to w niczym nie przypominało wojskowego porządku, jaki Ajaks widział w Diospolis Magna. Gladiator zatrzymał kolumnę jeźdźców na skalnej grani, około mili od granic obozu. Siły księcia Talmisa rozłożyły się na rozległych polach obsianych zbożem. Zdaniem Ajaksa musiało tam przebywać co najmniej trzydzieści tysięcy zbrojnych. Jak okiem sięgnąć stały namioty, większość żołnierzy odpoczywała jednak w prowizorycznych szałasach zrobionych z żerdzi i liści palmowych. W armii księcia dominowali rodowici Nubijczycy, było tam też sporo Arabów rozpoznawalnych po powłóczystych czarnych szatach. W samym środku obozowiska znajdowały się największe namioty – nawet z tak dużej odległości gladiator dostrzegł krąg zbrojnych strzegący pustej przestrzeni dzielącej centrum od reszty morza namiotów.

– Tam powinniśmy znaleźć księcia Talmisa.

Karim skinął głową.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, wodzu.

– Zaufaj mi. Przyjmie nas z otwartymi rękami. Zwłaszcza gdy podarujemy mu kilka dowodów przyjaźni. – Ajaks uśmiechnął się, poklepując wypchane sakwy zwisające u jego siodła. – Spokojnie, Karimie, możesz być pewien, że zasada: wróg mojego wroga moim przyjacielem, jest znana w każdym zakątku świata.

Gladiator odwrócił się ostrożnie w siodle, by dokonać inspekcji towarzyszących mu ludzi. Musiał uważać, bo rana zadana mu przez Katona wciąż była świeża i niezagojona. Zostało mu już tylko dwudziestu ośmiu towarzyszy. Parę dni temu stracił ludzi podczas potyczki z Rzymianami, jeszcze więcej zginęło, gdy napadł na posterunek, by zdobyć wierzchowce. Na szczęście miał wciąż przy sobie większość gladiatorów, którzy chronili go na Krecie, i najsilniejszych niewolników uwolnionych ze złupionych statków. Ludzie ci umieli posługiwać się bronią, więc Ajaks był pewny, że gdy nadejdzie czas, udowodnią swoją przydatność dla sprawy.

– Kiedy zbliżymy się do obozu, trzymajcie ręce z dala od broni. Cokolwiek by się działo, nie sięgajcie po nią, dopóki nie wydam rozkazu. Czy to jasne?

Przytaknęli kolejno.

Ajaks skinął ręką na nubijskiego gladiatora. Jego rumak byt równie czarny jak skóra jeźdźca.

– Hepitusie, podjedź do mnie.

– Tak, wodzu. – Nubijczyk klasnął językiem, poganiając konia.

– To twoi bracia. Będziesz więc tłumaczem. Mów im tylko to, co powiem, ale mnie informuj także o tym, co będą mówili między sobą nasi rozmówcy.

Hepitus skinął głową.

Ajaks spojrzał raz jeszcze badawczo na leżący w dole obóz. Pół mili od grani oddział żołnierzy dosiadających wielbłądy patrolował północne przedpola obozowiska. Gladiator wskazał ich Karimowi i Hepitusowi.

– Jedźmy do nich. Gdyby coś poszło nie tak, będziemy mieli sporo dróg ucieczki.

– Wydawało mi się, że jesteś całkowicie pewien gorącego powitania – zdziwił się Karim.

Ajaks uśmiechnął się pod nosem.

– Lepiej być przygotowanym na zbyt gorące przyjęcie, mój drogi przyjacielu. – Strzelił wodzami. – Jedźmy.

Niewielka kolumna jeźdźców ruszyła w dół zbocza. Wąska ścieżka wiła się po nim aż do nadrzecznej równiny. Ziemia tutaj była tak sucha, że końskie kopyta wzbiły natychmiast całe obłoki kurzu, którego znajdujący się w dole patrol nie mógł przeoczyć. I rzeczywiście, gladiator zauważył, że Nubijczycy zatrzymali wielbłądy, potem jeden zawrócił i pognał zwierzę, by jak najszybciej wrócić do obozu. Reszta jego towarzyszy rozproszyła się, tworząc linię przecinającą drogę nadjeżdżających. Gdy Ajaks znalazł się bliżej, zobaczył, że Nubijczycy sięgnęli po lekkie włócznie, których naręcza mieli w koszach przytroczonych do ram ciężkich siodeł. Odwrócił się zaraz i zawołał do swoich ludzi:

– Pamiętajcie. Ręce precz od broni, dopóki nie każę po nią sięgnąć.

Odległość pomiędzy oboma oddziałami zmniejszała się z każdą chwilą, a gdy dzieliło je niespełna sto kroków, Ajaks uniósł rękę, ściągając wodze.

– Stać.

Gladiatorzy i uwolnieni wioślarze zatrzymali się posłusznie, oburącz trzymając wodze. Jeźdźcy na wielbłądach zbliżali się wolno, a gdy znaleźli się w zasięgu rzutu włócznią, ich dowódca wydał rozkaz i oni także zwolnili, a potem przystanęli. Wszyscy Nubijczycy nosili czarne szaty i turbany. Włócznie trzymali podchwytem, aby mocje cisnąć, gdy tylko padnie rozkaz.

Ajaks odchrząknął i uniósł rękę w powitalnym geście.

– Przybywam jako przyjaciel. Chcę mówić z księciem Talmisem.

– Skinął Hepitusowi, który przełożył jego słowa, moment później przetłumaczył też to, co powiedział dowódca patrolu.

– Pyta, kim jesteś.

– Powiedz mu, że ma przed sobą Ajaksa, gladiatora i przywódcę buntu przeciw Rzymowi na wyspie zwanej Krętą. Powiedz też, że przybyłem tutaj, by ofiarować księciu pomoc w walce z naszym wspólnym wrogiem.

Hepitus przetłumaczył wszystko, ale odpowiedź nadeszła dopiero po dłuższej chwili milczenia.

– Chce, abyśmy oddali broń jego ludziom. Potem odstawi nas do obozu.

Karim podjechał wolno do gladiatora i rzucił półgłosem:

– Wodzu, nie powinniśmy iść dalej, nie mając niczego do obrony.

Ajaks zaczerpnął tchu i pokręcił głową.

– Zrobimy, co mówi. Wyjmijcie miecze!

Zza jego pleców dobiegły głośne zgrzyty, wszyscy dobyli broni i trzymali ją w pogotowiu. Nubijczycy poruszyli się niespokojnie na ten widok, kilku uniosło włócznie.

– Rzućcie broń! – rozkazał Ajaks, ciskając miecz na ziemię. Jego ludzie uczynili to samo z wyjątkiem Karima, który siedział wciąż nieruchomo, nie spuszczając wzroku z Nubijczyków. – Rób, co mówię – wysyczał gniewnym tonem gladiator. – Już!

Medyk rozwarł palce, miecz spadł z łomotem obok. Dowódca patrolu wydał rozkaz, po którym czterej jeźdźcy zmusili wielbłądy, by przyklękły, zeskoczyli z siodeł, podbiegli do kolumny zbiegów i pozbierali ich broń. Szybko wrócili do swoich

wierzchowców, powrzucali miecze do koszy przytroczonych do ram siodeł i znów zajęli miejsca w formacji. Wstające wielbłądy wydały całą serię głośnych pomruków, po czym znów zapadła kompletna cisza. Nubijski oficer skinął na Ajaksa i ruszył w kierunku obozowiska. Połowa patrolu pojechała za nim, reszta poczekała, aż przybysze ich miną, i zamknęła kolumnę.

Obozujący zrywali się na równe nogi i śledzili czujnym wzrokiem każdy ruch przybyszów, gdy wkraczali pomiędzy szałasy i namioty, nad którymi unosił się kwaśny odór łajna i dymu. Ajaks przyglądał się uważnie mijanym wojownikom księcia Talmisa. Jako doświadczony gladiator szacował ich wartość bojową. Sam skraj obozu zajmowali lekkozbrojni – sądząc po skórzanych tarczach i myśliwskich oszczepach, byli to zwykli wieśniacy albo łowcy. Tylko niektórzy mieli łuki albo włócznie. Jedno było pewne – wszelkie braki w wyposażeniu nadrabiali liczebnością. Ajaks oceniał, że ma przed sobą co najmniej piętnaście tysięcy piechoty. Następny krąg obozu należał do ludzi posiadających miecze i pancerze. Wielu z nich prócz luźnych szat miało na sobie napierśniki i hełmy z brązu obramowane lnem, który pozwalał zacieniać twarze i karki. Ich także można było liczyć w tysiące. Ajaks poczuł rosnącą radość na myśl, jak wielką przewagę będzie miała ta armia nad obozującymi w dole rzeki rzymskimi siłami.

Za tą częścią obozu rozciągał się pas pustej ziemi otaczający namioty należące do księcia i jego wodzów. Na prawo od tego miejsca, na polach uprawnych w zakolu rzeki, pasły się bądź poiły tysiące koni i wielbłądów.

Dowódca patrolu zatrzymał się przed włócznikami pilnującymi dostępu do kwatery głównej. Po krótkiej wymianie zdań czujny, robiący groźną minę wartownik machnął ręką, przepuszczając przybyszów. Wskazał im też znajdujące się nieco dalej paliki, do

których mogli przywiązać wierzchowce. Zbiegów odprowadzili na miejsce nie tylko członkowie patrolu, lecz także wydzielony oddział wartowników. Tam Ajaks kazał swoim ludziom zejść z koni, ale się od nich nie oddalać. Jeden z włóczników potruchtał do najbliższego namiotu i po chwili wrócił, prowadząc człowieka w lśniącej kolczudze i bogato zdobionych szatach. Wojownik ten wyglądał na prawdziwego oficera. Podszedł do Ajaksa i zmierzył go od stóp do głów głęboko osadzonymi oczyma.

– Poinformowano mnie, że pragniesz mówić z księciem – odezwał się płynną greką.

– To prawda – przyznał gladiator. – Ja i moi ludzie chcemy wstąpić do niego na służbę.

Oficer przeniósł wzrok na towarzyszy Ajaksa, zauważył ich masywne mięśnie i blizny pokrywające skórę nie tylko na rękach, ale też na twarzach.

– Dezerterzy?

– Gladiatorzy.

– Niewolnicy – prychnął Nubijczyk.

– Już nie. Zdobyliśmy wolność własnymi rękami i od tamtej pory walczymy z Rzymem w każdy dostępny sposób. Rzym jest naszym wrogiem tak samo jak waszym. Dlatego chcemy zaoferować swoje usługi twojemu księciu.

– A cóż takiego możecie robić, czego jego ludzie nie dokonają?

– Na przykład to. – Ajaks uśmiechnął się, sięgając do sakwy zwisającej za siodłem jego wierzchowca. Zdjął ją i złożył ostrożnie u stóp oficera. Stojący opodal wartownik natychmiast sprężył się i opuścił włócznię, jakby zamierzał zaatakować. Gladiator pochylił się nad skórzanymi torbami, nie zwracając na niego uwagi, rozsupłał rzemienie, a potem zanurzył dłoń, by

wyjąć ze środka czerwone zawiniątko. Rzucił je oficerowi, który nie wzdrygnął się nawet, lecz pochwycił dar w locie i rozwinął pas tkaniny: okazało się, że trzyma w rękach zdobny sztandar. Wypisano na nim złotymi literami słowo LEGATUS, a poniżej, zaschniętą krwią, ktoś nabazgrał jeszcze kilka liter układających się w imię KANDYD.

Oficer się uśmiechnął.

– Widzę, niewolniku, że udało ci się ukraść sztandar rzymskiego wodza. Imponujące dokonanie, ale mój książę potrzebuje wojowników, nie złodziei.

– Ukradliśmy Rzymianom coś znacznie cenniejszego niż ta szmata. – Ajaks sięgnął ponownie do sakwy, tym razem obiema rękami, by wyjąć z niej obciętą głowę. Podniósł ją wysoko za włosy, aby wszyscy widzieli. Skóra na twarzy zabitego pokryta była plamami, szkliste oczy lśniły bielą spod na wpół otwartych powiek. Szczęka ofiary opadła, odsłaniając rzędy białych zębów. W powietrzu natychmiast rozniósł się smród rozkładu, zmuszając Nubijczyka do zmarszczenia nosa i cofnięcia się o krok.

– Pozwól, że przedstawię ci legata Gajusza Kandyda, byłego wodza rzymskiej armii stacjonującej w Diospolis Magna. Mam też w sakwie jego prawą dłoń ze wszystkimi pierścieniami, aby rozwiać dalsze wątpliwości. W drugiej sakwie znajdziesz głowy oficerów, którzy towarzyszyli legatowi, gdy napadliśmy na jego orszak pięć dni temu.

Wnętrze namiotu księcia było ogromne, a wyścielały je w całości kobierce i poduszki. Światło napływało przez liczne wąskie otwory w zadaszeniu podtrzymywanym licznymi grubymi filarami. Ajaks stał pośrodku tej przestrzeni, słońce świeciło na niego od góry, przez co księciu mogło się wydawać, że gościa otacza mgliste halo. Talmis leżał na kanapie ustawionej pod jedną

ze ścian. Miał na sobie prostą białą szatę, za to każdy jego palec zdobił wielki pierścień. Był równie potężnie zbudowany jak jego gość, co dało się zobaczyć pomimo luźnego odzienia. Twarz miał także masywną, okoloną krótko przyciętą bródką.

Na wielkiej srebrnej tacy ustawionej pomiędzy oboma mężczyznami spoczywały głowy rzymskich oficerów i prawa dłoń Kandyda. Talmis obrzucił je wzrokiem, następnie znów spojrzał na stojącego pomiędzy dwoma strażnikami gladiatora.

– Przywykłem do tego, że goście klękają przede mną – odezwał się książę nienaganną greką. Znał ten język jak każdy wyedukowany urzędnik dworu jego ojca. Przemawiał neutralnym tonem, ale Ajaks i tak wychwycił cień groźby w słowach. Mimo to nie drgnął nawet, czekając na ciąg dalszy wywodu. – Dlaczego nie klękasz przede mną, gladiatorze? Nie mogę wprost uwierzyć, że twoi dawni rzymscy panowie nie nauczyli cię podstawowych zachowań, jakich wymaga się od niewolników.

– Nie jestem już niewolnikiem, wasza wysokość – odparł stanowczo Ajaks. – Tak samo jak moi ludzie. Wyzwoliliśmy się walką i orężem. Nie mamy panów, nie jesteśmy też poddanymi żadnego królestwa. Dlatego nie musimy przed nikim klękać.

– Rozumiem – odparł ze spokojem Talmis i na jego usta wypełzł blady uśmiech. – Nie zachowujesz się zbyt rozsądnie jak na człowieka, który stoi z gołymi rękami pośrodku obozu obcej mu armii. Gdybym zechciał, kazałbym cię ukarać za odmowę klęknięcia przede mną. Tylko co byś począł, nie mając nóg?

– Jeśli mnie skrzywdzisz, będziesz też musiał wybić moich ludzi, a to pozbawi cię cennego sojusznika w walce z Rzymem. Nie mówiąc już o stracie ludzi, którzy zginą w walce z nami.

– Zdaje się, gladiatorze, że nie doceniasz klasy moich żołnierzy.

– Naprawdę? – Ajaks także się uśmiechnął.

Potem obrócił się i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyszarpną! włócznię z rąk stojącego po jego prawicy strażnika. Obracając broń, podciął drzewcem zaskoczonego Nubijczyka i posłał go na ziemię. Sam w tym czasie dokończył obrót, trzymając włócznię obiema rękami, i zablokował pchnięcie wyprowadzane przez drugiego strażnika prosto w jego pierś. Kolejny wymach bronią i następny przeciwnik dostał końcem drzewca w twarz. Oszołomiony ciosem żołnierz wypuścił broń z rąk. Gladiator podstawił mu nogę i szybko go powalił, tak jak poprzedniego. Na koniec stanął nad leżącym, kierując grot ku jego odsłoniętej szyi. Zatrzymał ją jednak na palec od skóry pokonanego Nubijczyka, pochylił się, podźwignął wciąż niewiele rozumiejącą ofiarę i oddał jej broń.

– A ty nie doceniasz gladiatorów, wasza wysokość – odparł, stając ponownie pomiędzy strażnikami mierzącymi go groźnym wzrokiem.

Talmis zerwał się z leżanki, gdy Ajaks rozbrajał jego przybocznych, z dłonią na rękojeści zdobnego sztyletu. Zaraz jednak cofnął ją i zachichotał.

– Nie powinienem był wątpić w twoje umiejętności. Słyszałem wiele pogłosek, że mężowie walczący dla uciechy Rzymian są groźni. Widzę, że nie były przesadzone.

– Nie jesteśmy już niewolnikami Rzymu, wasza wysokość – odparł gladiator nieco bardziej dobitnym tonem. – Dlatego przybyliśmy, by ci służyć. Chcemy wspomóc was w walce ze wspólnym wrogiem.

Talmis przyglądał mu się długo w milczeniu, w końcu skinął głową.

– Zatem witam ciebie i twoich ludzi. U mojego boku zawsze jest

miejsce dla znakomitych wojowników. – Wskazał ręką głowy leżące na tacy. – A teraz powiedz, skąd masz ten… dar dla mnie. Nie uwierzę, że trafiliście na nich przypadkiem.

– To nie był przypadek, wasza wysokość – zapewnił go gladiator. – Musieliśmy uciekać w górę Nilu, gdy odkryto nasz ostatni obóz. Ktoś doniósł o naszej obecności, więc uznaliśmy, że czas ruszać dalej. Jeden z moich ludzi jest Nubijczykiem, więc zna całkiem dobrze te okolice. To on powiedział mi, że rzymskie osiedla należą tutaj do rzadkości, więc łatwiej będzie nam się ukryć albo ujść pościgowi, jeśli pojedziemy na południe. Gdy minęliśmy Diospolis Magna, jadąc przez wzgórza leżące na wschód od miasta, zobaczyłem obozowisko rzymskiej armii. Usłyszałem tam też o szykującej się wojnie pomiędzy Nubią i Rzymem. Pomyślałem więc, że ty, książę, powitasz mnie jak sprzymierzeńca, jeśli przyniosę ci przydatne informacje na temat wroga. Zaczęliśmy prowadzić obserwację Rzymian, notując ich liczebność i wyposażenie. Potem uśmiechnęło się do nas szczęście. Zauważyliśmy, że legat opuszcza obóz w towarzystwie dwóch oficerów i szwadronu jazdy. Ruszyli traktem biegnącym wzdłuż Nilu, prosto na południe, a my pojechaliśmy za nimi. Gdy rozbili obozowisko na noc, moi gladiatorzy zaatakowali. Tymi rękami ubiłem legata.

– Nie pomyślałeś o tym, by wziąć go żywcem? Mógłbyś przecież zażądać okupu.

– Nie, wasza wysokość. Miałem niezbyt dobre doświadczenia z poprzednimi zakładnikami. Po ich ucieczce uznałem, że nie warto brać następnych.

– A może to Kandyd nie dał ci okazji, by wziąć go żywcem?

– Raczej ja nie dałem mu szans na poddanie.

– Rozumiem. – Talmis skubał przez chwilę gęstą brodę,

przyglądając się cały czas stojącemu przed nim mężczyźnie. Ajaks wytrzymał jego spojrzenie, nie spuściwszy ani razu wzroku. Nie wykazywał żadnych objawów zdenerwowania ani niepewności. W końcu książę opuścił rękę. – Zanim zawrę z kimś sojusz, dociekam najpierw, dlaczego ów człowiek chce mnie poprzeć.

– Rozsądnie czynisz, wasza wysokość.

– Wiem. Pytam więc, dlaczego tak bardzo nienawidzisz Rzymu.

– Nie wystarczy ci, gdy mówię, że bezgranicznie go nienawidzę?

– Nie. Muszę wiedzieć o wszystkim. – Książę zaśmiał się blado. – Oświeć mnie.

Ajaks odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Zostałem sprzedany w niewolę i tak trafiłem do szkoły gladiatorów. Potraktowano mnie jak zwykłego przestępcę i szkolono do zabijania ludzi ku uciesze nowych panów i gawiedzi. Nie czułem się zbyt dobrze w tej roli, wasza wysokość. Urodziłem się wolnym człowiekiem i wolny chcę umrzeć. Nigdy więcej nie dam się zakuć w kajdany.

– Twierdzisz zatem, że jesteś wrogiem niewolnictwa? W takim razie mnie także musisz uznawać za nieprzyjaciela, ponieważ posiadam tysiące niewolników.

– Ja nie walczę z niewolnictwem, wasza wysokość – zapewnił go Ajaks. – Moim wrogiem jest Rzym.

– Jesteś bardzo ambitnym człowiekiem – oznajmił rozbawiony Talmis. – Sięgasz wyżej, niż możesz. Dla Rzymu nie jesteś żadnym przeciwnikiem. Ten przywilej został zarezerwowany dla książąt i królów, nie dla niewolników, gladiatorów czy wolnych z pól.

– Mimo to mianowałem się wrogiem Rzymu, wasza wysokość. Człowiek, który nie może sobie wybrać wroga, nie jest naprawdę

wolny.

Talmis uniósł brew.

– To najbardziej ekstremalna definicja wolności, jaką słyszałem… Przypuszczam jednak, że kierują tobą znacznie bardziej przyziemne pobudki. Może nie chodzi wcale o cesarstwo, tylko o kilku konkretnych Rzymian? Nie mylę się chyba? – Ajaks milczał moment, potem przytaknął. – Powiedz mi zatem, co naprawdę podsyca twoją nienawiść?

– Wolałbym zostawić to dla siebie, wasza wysokość – odparł gladiator, zniżając głos. – To bardzo głębokie rany. Czy nie wystarczy, że przysięgnę ci wierność bez względu na kierujące mną motywy?

– Nie. Nie wystarczy – oświadczył stanowczo książę. – W zamian za przyjęcie twojej oferty żądam ujawnienia całej prawdy. A jeśli kiedyś mnie zawiedziesz, każę ci wyrwać serce… – Zamilkł na chwilę, by jego słowa zapadły w pamięć rozmówcy. – Mów więc, gladiatorze, co kazało ci przyjść do mnie i zaofiarować swoje usługi?

Ajaks zaczerpnął głęboko tchu, po czym westchnął ciężko.

– Niech będzie. Zanim trafiłem w niewolę, bytem piratem, niegodnym splunięcia robalem, mógłbyś powiedzieć.

– I powiedziałbym.

Gladiator się skrzywił.

– Tak naprawdę stworzyliśmy bractwo ludzi lojalnych tylko wobec siebie i łaknących zdobyczy. Wielu z nas miało żony i dzieci. Wspieraliśmy się wzajemnie, jak każda inna społeczność. Dobrze nam się żyło. Rabowaliśmy, co nam było potrzebne, a czasem i więcej. Potem jednak staliśmy się zagrożeniem dla interesów Rzymu, więc cesarz wysłał flotę, która miała nas wybić

jak jakieś szkodniki.

– Też bym tak uczynił, gdybyś żerował na moim królestwie.

Książę zranił tą uwagą Ajaksa.

– Wiem i w pełni rozumiem waszą wysokość. Ale cokolwiek byś nakazał zrobić ze mną i z moimi braćmi, powinieneś pamiętać, że ci wszyscy ludzie byli moją jedyną rodziną. A Rzymianie wybili ją do szczętu. Spalili nasze statki, ograbili osadę, zmasakrowali kobiety i dzieci – wyliczał przez ściśnięte gardło. – Mojego ojca przybito do krzyża, by na nim skonał. Mnie i innych ocalałych sprzedano w niewolę.

– I ty masz im to za złe?

– Tak. Winię o to wszystko Rzym, a w szczególności oficerów, niejakiego Macro i jego przyjaciela Katona, którzy zabili mojego ojca. Dławiłem w sobie nienawiść do tych ludzi, później natknąłem się na nich ponownie podczas powstania niewolników na Krecie. – Ajaks zacisnął szczęki. – Tam znów mnie upokorzyli. Rozbili armię niewolników i od tamtej pory polują na mnie i na garstkę ludzi, którzy pozostali mi wierni.

– I to jest powód, dla którego przybyłeś aż tutaj, do mnie? Chcesz, bym bronił cię przed tymi, którzy cię ścigają? – zapytał książę z kpiącym uśmieszkiem na twarzy. – Widzę, że nie tyle chcesz mi ofiarować usługi, ile szukasz protekcji.

– Nie, wasza wysokość. Szukam zemsty. Nie obchodzi mnie, jakim sposobem jej dokonam. Żyję tylko po to, by dopaść tych drani.

– Widzę, że zamiast służyć mojej sprawie, będziesz się uganiał za tymi dwoma oficerami. Ja potrzebuję żołnierzy, a nie urażonych dziewic, które moja armia ma chronić.

– Nie musisz mnie chronić, wasza wysokość. Będę ci służył

wiernie i zrobię wszystko, byś wygrał. Teraz chcę cię prosić tylko o jedno: o oddział zbrojnej jazdy, z którą będę mógł siać śmierć i zniszczenie w szeregach wspólnego wroga. Wiem, jak walczyć i jak dowodzić innymi. Zaufaj mi, a dowiodę prawdziwości tych słów. Mogę zrobić dla ciebie o wiele więcej tam niż tutaj. Mogę dać ci przewagę, która pozwoli rozgromić Rzymian.

– Doprawdy? – zapytał Talmis, uśmiechając się z ukontentowaniem. Pochylił się też ku gladiatorowi. – Jakąż to przewagę może mi zaofiarować zbiegły niewolnik?

Ajaks z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech. Miał najbardziej satysfakcjonującą odpowiedź na to pytanie i wiedział, że gdy tylko książę ją usłyszy, natychmiast uzna go za sojusznika.

– Mam szpiega w rzymskiej armii. Jeden z moich ludzi przeniknął do jej szeregów i będzie przekazywał informacje o dyslokacji oddziałów i ich sile.

Talmis pokiwał wolno głową.

– Świetnie. Znakomicie. Cóż, Ajaksie, widzę, że możesz być dla mnie użyteczny. Uczynię cię jednym z moich oficerów i dam ci ludzi, o których prosiłeś. Zamierzałem dać Rzymianom porządną nauczkę, a ty nadajesz się idealnie na człowieka, który wykona moją wolę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Hm… – Macro pokręcił głową. – Nie najlepiej to wygląda.

Pozbawione głów ciała legata i dwóch trybunów spoczywały na wozie. Nad spuchniętymi zwłokami krążyły chmary owadów, żerując na poszarpanych tkankach i kościach wystających z ran na karkach i nadgarstku Kandyda. Dekurion odchylił skórzaną osłonę i odstąpił na bok, by przełożeni mogli zajrzeć na tył wozu. Katon i Macro rozmawiali właśnie o kolejnym spotkaniu z Aureliuszem, gdy w ich kwaterze pojawił się skryba z informacją, że patrol wysłany na trakt znalazł zdekapitowane ciała legata i pozostałych oficerów.

Prefekt zatkał szczelnie nos i cofnął się od wozu.

– Gdzie ich znaleziono?

Dekurion wskazał głową na wschód.

– W wąwozie około trzydziestu mil stąd, przy trakcie wiodącym na południe, do Ombos, panie. Całą eskortę wyrżnięto prócz jednego człowieka, ale żołnierzy tak nie okaleczono. Tylko starszych oficerów. Ocalały trafił już pod opiekę medyka, choć jest w złym stanie. Miał podcięte ścięgna, nie mógł się napić od ponad trzech dni.

– Czy powiedział, kto ich zaatakował? – zainteresował się centurion.

Dekurion potrząsnął głową.

– Gaworzył jak niemowlę, panie. Jednego składnego słowa nie

słyszałem. Wszystko wskazuje na to, że napastnikami mogli być Arabowie. Pojawiają się na tych terenach od czasu do czasu i uciekają, gdy zgromadzimy wystarczające siły, by ich przepędzić. Aczkolwiek nie wybierali sobie nigdy tak trudnych celów jak nasz legat i jego eskorta. Oni walczą o łupy, a na oficerach nie można się specjalnie obłowić.

– Z tego, co mówisz, wnoszę, że znaleźliście na miejscu tylko ciała naszych ludzi?

– Tak, panie. Ale Arabowie zawsze zabierają swoich poległych, jeśli mogą to zrobić. Dzięki temu miejscowi zaczynają wierzyć, że to bestie, nie ludzie, i nie da się ich zabić.

– Może to dzieło Nubijczyków? – zastanawiał się Katon.

– To też możliwe, panie. Z tym że ostatnie raporty mówią, że wciąż przebywają w okolicy pierwszych katarakt. Mogli jednak wysłać przodem pewne siły, aby zebrać informacje i zaatakować nasze wysunięte posterunki. Ale gdyby ktoś mnie pytał, stawiałbym na Arabów…

– zamilkł na moment. – Może obcięli naszym głowy, a legatowi jeszcze prawą dłoń, by zawieźć je Nubijczykom i dostać nagrodę? Nie wykluczyłbym także, że książę Talmis ma w swojej armii arabskich najemników.

– Arabowie, powiadasz… – wtrącił Aureliusz. – Gdy skończymy z Nubijczykami, musimy posłać na pustynię korpus ekspedycyjny i rozprawić się także z nimi. I to ostro. – Machnął ręką na dekuriona.

– Zakryj ich. Potem zaprowadź zaprzęg pod kwaterę legata. Niech zdejmą z nich wszystkie rzeczy osobiste i przygotują do odesłania rodzinom. I każ medykom przygotować stosy, na których spalimy ciała.

– Tak, panie.

Dekurion nasunął skórzaną plandekę na tył wozu, po czym siadł na koźle. Klasnąwszy językiem, strzelił mocno wodzami. Pogonione muły ruszyły w kierunku bramy.

Aureliusz przyglądał się przez chwilę odjeżdżającemu zaprzęgowi. Palce lewej dłoni zadrgały mu nerwowo, zanim odwrócił się do obu oficerów. Na jego twarzy dostrzegli niepokój.

– To by wyjaśniało zniknięcie legata.

Było to tak kretyńskie stwierdzenie, że sam się krzywił, gdy wypowiadał te słowa. Katon rozumiał tego człowieka: śmierć dowódcy, z którym zżyło się przez lata wspólnej służby, musiała wywołać ogromny szok.

– Dobrze znałeś Kandyda?

Aureliusz przytaknął.

– Współpracowaliśmy od ośmiu lat.

– Tak długo? – zdziwił się Macro. – Wybacz, panie. Nie zdawałem sobie sprawy, że można być legatem jednego legionu aż przez osiem lat.

– Cóż, w Egipcie panują odmienne obyczaje – odparł prefekt obozu. – Kandyd został mianowany na to stanowisko pod koniec rządów cesarza Tyberiusza. Dowódców egipskich legionów i tutejszego namiestnika wybiera się zawsze z klasy ekwitów. Senatorowie nie mogą piastować u nas żadnych eksponowanych funkcji. Szczerze powiedziawszy, nie mogą nawet wjechać na teren prowincji, jeśli nie otrzymają pozwolenia samego cesarza. Dlatego wyznaczeni oficjele pozostają tak długo na swoich stanowiskach.

– A co z tobą, panie? Nie mogłeś być prefektem obozu przez tak wiele lat z rzędu.

– To prawda. Piastuję to stanowisko dopiero od trzech lat. Przedtem dowodziłem pierwszą kohortą.

Macro zerknął na przyjaciela, nie kryjąc zaskoczenia. Najstarszy centurion legionu był zazwyczaj najtwardszym, najdzielniejszym i najbardziej doświadczonym oficerem. Żylasty Aureliusz, odziany w wykwintną tunikę oraz zdobiony srebrem i złotem pancerz, nie pasował do tego obrazu. W odróżnieniu od towarzyszących mu oficerów nie miał na sobie uprzęży zdobionej medalionami, którymi nagradzano najwaleczniejszych żołnierzy za odwagę i wygrane bitwy. W każdym innym legionie, w którym służył Macro, zarówno prefekt obozu, jak *primus pilus* byli hardymi wojownikami noszącymi dumnie swoje odznaczenia.

– Byłeś pierwszą włócznią tego legionu, panie?

– Byłem. – Aureliusz nachmurzył się, jakby go urażono. – Odsłużyłem swoje, jeśli chcesz wiedzieć.

Centurion chciał dodać coś jeszcze, ale zamilkł ostrzeżony znaczącym kaszlnięciem przyjaciela. Katon postanowił wykorzystać chwilowe zmieszanie Macro i sam zadał kolejne pytanie:

– Co zamierzasz zrobić w tej sytuacji, panie?

– Co zamierzam?

– Tak, panie. Ty jesteś następny w łańcuchu dowodzenia. Teraz, po śmierci Kandyda, ty musisz dowodzić siłami zgromadzonymi pod Diospolis Magna.

– No tak – odparł zwięźle prefekt obozu. – Wiem. – Stał przez dłuższą chwilę, kontemplując wygląd własnych sandałów, wreszcie skinął głową, choć bardziej do swoich myśli niż do rozmówców. – Zwołam wszystkich starszych oficerów. Trzeba ich poinformować o śmierci Kandyda. I zastanowić się, kiedy

ruszymy na Nubijczyków. – Podniósł głowę, wyprostował plecy i odchrząknął. – Spotkamy się w kwaterze głównej, moi panowie. W samo południe. – Powiedziawszy te słowa, zniknął w wejściu do kwater kapłanów.

Katon patrzył za nim chwilę, w końcu rzucił, nie podnosząc zbytnio głosu:

– Co myślisz o naszym nowym legacie?

Macro otarł pot z czoła.

– Muszę ci mówić, że nie jestem nim specjalnie zachwycony? Wygląda na to, że do tej pory częściej obracał rysikiem niż mieczem. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej jednostki jak Dwudziesty Drugi. W tym legionie mają chyba najbardziej zaciszne posadki w całej armii. Tutejsi oficerowie spacerują brzegami Nilu, czekając, aż przyjdzie ich kolej na zostanie pierwszym centurionem albo prefektem obozu. Na bogów! – Pokręcił głową z frustracji. – Mam tylko nadzieję, że niecałe dowództwo będzie ulepione z tej samej gliny. Nie mówiąc o żołnierzach. Powiadam ci, Katonie, nie uśmiecha mi się maszerowanie na Nubijczyków ze świadomością, że obok mnie idą sami zapyziali biurokraci. – Katon przytaknął mu tylko ze wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń. Widząc to, Macro westchnął ciężko. – Dobra, mów, co ci leży na sercu.

– Słucham? – Katon poruszył się nerwowo, potem zerknął na przyjaciela.

– Znam ten wyraz twarzy. Ciałem jesteś ze mną, ale twoje myśli krążą wokół muz. Gadaj zaraz, coś tam wymyślił.

– Powinniśmy iść do szpitala i porozmawiać z ocalałym żołnierzem.

– Dlaczego?

– Coś mi tutaj nie pasuje. – Prefekt przygryzł wargę. – Ten dekurion zna się na swojej robocie, ale nie wyglądał na w pełni przekonanego, że to dzieło Arabów albo Nubijczyków. Chodźmy, Macro.

Szpital ulokowano w przestronnym pawilonie na tyłach kompleksu świątynnego. Chirurg legionu robił obchód chorych żołnierzy, gdy Katon i Macro dotarli na miejsce. Był to mieszkaniec wschodnich prowincji, jak niemal każdy jego odpowiednik w innych jednostkach, nawet służących najdalej na północy. Jego ciemną twarz okalały srebrzyste włosy przycięte krótko, tak na czole, jak i na brodzie. Głębokie bruzdy na twarzy świadczyły o tym, że ma za sobą wiele lat pracy w zawodzie. Spojrzał chłodno na odwiedzających go Rzymian, gdy usłyszał żądanie Katona, by okazać mu rannego, którego dopiero co przywieziono do szpitala.

– Ten człowiek odpoczywa. Jest tak wycieńczony, że nie ma mowy o przesłuchaniach.

– To nie potrwa długo. Musimy ustalić tylko jedno. Potem pozwolimy mu odpoczywać.

– Nie – odparł twardo medyk. – Dam wam znać, gdy dojdzie na tyle do siebie, że będzie mógł mówić… – przerwał i zmierzył ich wzrokiem. – Nie znam waszych twarzy. Jesteście chyba nowi w Szakalach.

Prefekt przytaknął.

– Jestem starszy trybun Katon, a to pierwszy centurion Macro.

– Starszy trybun? – Zaskoczony chirurg pochylił szybko głowę. – Wybacz, panie, wziąłem cię za któregoś z młodszych oficerów.

Macro uśmiechnął się złośliwie. Katon zignorował go, skupiając uwagę na medyku.

– A ty kim jesteś?

– Starszy chirurg Archaelus, panie.

– Posłuchaj, Archaelusie, musimy porozmawiać z twoim pacjentem. To bardzo pilne.

– Rozumiem, panie, ale z punktu widzenia medycyny każdy dodatkowy stres może mu grozić powikłaniami, a nawet śmiercią.

Prefekt dość miał już tego gadania, podniósł więc głos.

– Nie mam czasu. Prowadź nas do niego. Już.

Starszy chirurg legionu był zazwyczaj centurionem, lecz nawet tak wysoki rangą oficer musiał słuchać rozkazów starszego trybuna. Nie miał więc wielkiego wyboru. Pokłonił głowę z szacunkiem przed o wiele młodszym od niego człowiekiem.

– Chodź za mną, panie.

Odwrócił się i poprowadził ich przez kolumnadę pawilonu do zadaszonej części budowli, w której za czasów świetności Karnaku ucztowali kapłani. Tutaj, w odróżnieniu od reszty kompleksu świątynnego, na ścianach znajdowały się kolorowe symbole. Sufit pomalowano na granatowo i umieszczono na nim żółte wyobrażenia gwiazd. Porozstawiane wszędzie lniane przegrody osłaniały najciężej rannych i chroniły ich przed gorącym wiatrem i pyłem.

– Oto wasz człowiek. – Archaleus wskazał rozebranego do przepaski biodrowej mężczyznę leżącego niemal na środku sali biesiadnej. Obok jego posłania siedział jeden z sanitariuszy nakładający ostrożnie maść na rozległe oparzenia słoneczne. Katon widział pęcherze nawet na twarzy ocalałego legionisty. Człek ten miał o wiele jaśniejszą karnację od większości swoich towarzyszy broni, z czego prefekt wnosił, że musi pochodzić

z Aleksandrii. Oprócz oparzeń miał też obandażowane uda i spory opatrunek na lewym boku. Pomimo grubej warstwy maści i wielu pęcherzy widać było także, że ma bardzo regularne rysy i może być uważany za przystojnego młodzieńca.

– Jak się nazywa? – zapytał Katon.

– Option Karauzjusz.

Prefekt rozejrzał się, zauważył zydel i ustawił go obok pryczy. Przysiadł na nim i pochylił się mocniej nad rannym. Option oddychał płytko, bardzo urywanie, czoło miał zroszone kroplami potu, całą głowę mokrą – włosy kleiły mu się do czaszki, jakby je ktoś polał wodą.

– Ten człowiek gorączkuje – zauważył Katon.

– Tak, panie. Rany oczyszczono mu dopiero po dotarciu do szpitala. Obawiam się, że część z nich uległa zakażeniu, ale mimo wszystko ma szanse na wyzdrowienie.

– Jak wielkie? – zapytał Macro.

Medyk wzruszył ramionami.

– Zrobiliśmy co w naszej mocy. Teraz jego życie jest w rękach bogów. Zaniosłem modły do Serapisa w jego intencji. Jeśli ich wysłuchał, ten człowiek wyzdrowieje. Jeśli nie, będzie kaleką do końca swoich dni. – Archaelus wskazał na obandażowane uda. – Napastnicy poprzecinali mu ścięgna, aby nie mógł opuścić miejsca, gdzie go zaatakowano. Wygląda na to, że chcieli, by przeżył albo został odnaleziony.

Katon zerknął na przyjaciela.

– Spotkaliśmy się już z czymś podobnym.

Macro zmarszczył brwi. Zaraz jednak jego mina zmieniła się po raz kolejny. Szeroko otwartymi oczami spojrzał na prefekta.

– Chcesz powiedzieć, że to on? Że to Ajaks ich zaatakował?

– To możliwe. Ścigaliśmy go prawie do Memfis. Dopiero tam ślad się urwał. Mógł powędrować w górę Nilu i dotrzeć aż tutaj. Jest też na tyle śmiały, by zaatakować legata i jego eskortę, i na tyle szczwany, by wygrać takie starcie. Zostawił nam nawet świadka, aby opowiedział o wszystkim.

– Tyle dobrego, że tym razem nie może zrzucić winy na nas – mruknął centurion. – Po co jednak odejmował im głowy? Tak, wiem, jest szalonym skurwielem, ale do tej pory nie robił nic podobnego.

– Może dekurion niewiele się pomylił, kiedy opowiadał nam o Arabach. Ajaks mógł zabrać te głowy, by pochwalić się Nubijczykom, kogo zabił.

Katon odwrócił się do optiona i znów się nad nim pochylił.

– Karauzjuszu – przemówił do niego łagodnie. – Czy mnie słyszysz?

Ranny nawet nie drgnął, więc prefekt położył ostrożnie dłoń na jego ramieniu i znów się odezwał:

– Karauzjuszu… musisz mi powiedzieć, kto was zaatakował.

Option jęknął, odwracając głowę od Katona i mamrocząc coś pod nosem.

– Co? – Macro przeszedł szybko na drugą stronę pryczy. – Coś powiedział? Powtórz.

– Centurionie, ostrożniej proszę – zainterweniował medyk.

Katon zignorował Archaelusa i potrząsnął leżącym, naciskając na jego ramię.

– Mów. Kto was zaatakował?

Option otworzył oczy, potem zacisnął powieki i znów spojrzał

w sufit. Wodził wzrokiem po całym pawilonie, próbując poruszyć spękanymi wargami.

– Nie mieliśmy… szans – wyszeptał w końcu. – Walczyli jak… demony. Wypadli z mroku… – znów zaczął mamrotać niezrozumiale.

Katon odczekał chwilę, po czym zapytał:

– Kto?

Legionista przekręcił wolno głowę, by spojrzeć na przepytującego go oficera. Oblizał spierzchnięte wargi i wycharczał:

– Nie powiedział, jak się nazywa. Wiem tylko, że był gladiatorem… – Zamilkł, krzywiąc się po kolejnym ataku bólu. Gdy poczuł się znowu lepiej, powtórzył: – Gladiatorem…

– To wszystko? – dopytywał się prefekt. – No dalej, gadaj.

– Kazał mi zrobić wszystko… żeby Macro i Katon wiedzieli… że to jego sprawka.

– Dziękuję, Karauzjuszu. Teraz możesz odpoczywać w spokoju. – Katon odchylił się na zydelku, by spojrzeć na przyjaciela. – Teraz wiemy już wszystko – rzucił.

Macro przytaknął.

– Przesłał nam wyraźną wiadomość. Cokolwiek myślisz o Ajaksie, musisz przyznać, że ma jaja z żelaza.

Archaleus odchrząknął znacząco.

– Wygląda na to, że wyciągnęliście z niego, czegoście potrzebowali. Moglibyście kontynuować tę rozmowę gdzie indziej?

Prefekt wstał, skinął na centuriona i razem opuścili salę biesiadną, a potem wyszli z pawilonu prosto na palące słońce.

Ostry blask zmusił ich do zmrużenia oczu, dopóki wzrok nie przystosował się do jasności.

– Tyle z tego dobrego, że zyskaliśmy pewność, iż Ajaks jest w pobliżu.

– Owszem, ale żadna z tego pociecha. Jeśli przyłączy się do Nubijczyków, będziemy mieli znacznie większy problem.

Prefekci czterech kohort pomocniczych zasiedli na lawach obok centurionów XXII Legionu i pozostałych przy życiu trybunów. Zebrano ich obok otoczonego kolumnadą basenu w kwaterze głównej armii. Plotki o śmierci Kandyda rozeszły się już po obozie, nic więc dziwnego, że oficerowie komentowali je mocno zniżonymi, a nawet wylęknionymi głosami. Katon i Macro usiedli w pewnym oddaleniu, skąd przyglądali się krytycznym okiem reszcie kadry Szakali.

– Zbyt wielu z nich wygląda staro albo niezbyt zdrowo – mruknął centurion.

Prefekt nie odpowiedział, ale wiedział, że jego przyjaciel ma rację. Długie lata spokojnej służby garnizonowej zmiękczyły żołnierzy Dwudziestego Drugiego. Większość oficerów obrosła już tłuszczem – widać to było szczególnie po szerokich przerwach dzielących przednie i tylne płyty napierśników. Nie dało ich się już dopiąć na tak opasłych torsach. Zaróżowione policzki i sine nosy zdradzały pociąg do trunków. Byli wśród nich także centurionowie przypominający w każdym calu oficerów, z którymi Katon służył w innych jednostkach podczas swojej niezbyt może długiej, za to bogatej kariery. Potężnie zbudowani mężczyźni, od których biła aura autorytetu i władzy centurionatu. Na nich będzie można liczyć, gdy rozpocznie się nadciągająca wielkimi krokami kampania. Macro miał wszakże rację: większość tych ludzi wyglądała na wiarusów, którzy liczą

miesiące do zakończenia służby. Żal było oglądać rozprzężenie, jakie może zapanować w legionie, gdy zbyt długo trwa pokój.

Po chwili zza kolumn dobiegi stukot podkutych podeszew. Stojący przy wejściu wartownicy stanęli natychmiast na baczność, a dowodzący nimi option warknął:

– Dowódca idzie!

Oficerowie podnieśli się ociężale, gdy Aureliusz maszerował wzdłuż basenu. Jego sylwetka odbijała się w lekko pofalowanej wodzie owiewanej rozpalonym, choć niezbyt mocnym wiatrem. Jeszcze chwila i zajął miejsce za pulpitem. Stanął tam, powiódł teatralnym spojrzeniem po twarzach zebranych, jakby zobaczył ich po raz pierwszy w życiu.

– Siadajcie, panowie.

Oficerowie zajęli miejsca, czekając w całkowitej ciszy na rozpoczęcie przemówienia. Aureliusz wyjął woskową tabliczkę, złożył ją na blacie przed sobą i obrzucił wzrokiem wyryte na niej uwagi. Macro przyglądał się temu wszystkiemu z rosnącym niepokojem. Wolał dowódców, którzy przemawiają do swoich ludzi z głębi serca, bez potrzeby robienia notatek. Aureliusz zaś wyglądał mu na oficera, któremu brakuje pewności siebie – takich jak on często trzeba popychać i zachęcać, żeby robili swoje. To niezbyt dobry znak, uznał centurion.

Aureliusz oderwał wzrok od tabliczki i odkaszlnął, by oczyścić krtań.

– Jak zapewne słyszeliście, nasz legat nie żyje. On i jego eskorta zostali kilka dni temu zabici na drodze do Ombos. Nie wiemy tylko, czy przypisać ten czyn arabskim bandom czy nubijskiemu patrolowi… – zamilkł na moment. – Jako prefekt obozu Dwudziestego Drugiego Legionu i zarazem najstarszy stopniem oficer z tu obecnych, przejmuję niniejszym dowodzenie naszą

armią. Moim obowiązkiem będzie poprowadzić was przeciw najeźdźcy i dokończyć zadanie legata Kandyda, to znaczy pozbyć się Nubijczyków z terytorium naszej prowincji w najefektywniejszy i najszybszy sposób.

Katon zauważył, że choć część oficerów kiwała głową z aprobatą, to jednak zdecydowana większość była sceptycznie nastawiona do nowego dowódcy. Na niektórych twarzach widać było nieskrywane obawy, paru centurionów otwarcie zaczęło szemrać.

– A skoro tak – kontynuował tymczasem Aureliusz – ja i mój sztab dopniemy plany kampanii zaraz po tym spotkaniu. Wszyscy dowódcy otrzymają nowe rozkazy najpóźniej jutro o świcie. A skoro mowa o kadrze oficerskiej, przedstawiam wam naszych dwóch kolegów. Oto nowy starszy trybun Katon… – Gestem poprosił wymienionego, by wstał. – Dopiero co przybył z Aleksandrii, sam namiestnik oddelegował go do Dwudziestego Drugiego. Oczywiście na czas trwania obecnego kryzysu. Petroniusz zapewnił mnie, że nasz nowy kolega może poszczycić się nie lada dokonaniami. A to jest nasz nowy *primus pilus*. Wstań, Macro.

– Nie jestem pieprzoną małpą cyrkową – warknął centurion, wstając i rzucając twarde spojrzenie milczącym oficerom.

– Możesz usiąść – odparł niewzruszony Aureliusz, a gdy obaj oficerowie zajęli na powrót swoje miejsca, skinął głową kadrze legionu. – Stajemy przed ogromnym wyzwaniem, moi panowie. Wiele czasu upłynęło, odkąd nasz legion i kohorty pomocnicze brały udział w prawdziwej walce. Dobiegają do mnie głosy, że staliśmy się przez to zbyt miękcy, że żołnierze z naszej prowincji są znacznie gorsi od tych, którzy stacjonują na innych rubieżach imperium… – znowu przerwał, by sprawdzić coś na tabliczce. – Krytykom mogę powiedzieć jedno: mylicie się. Nasz dzień

nadchodzi i pokażemy wszystkim, co wart jest legion Egiptu. Ludzie powiadają, że wróg przewyższa nas liczebnie. I dobrze. Dzięki temu zyskamy większą sławę. – Rzucił okiem na tabliczkę i znów się uśmiechnął. – Sam cesarz na nas patrzy, moi przyjaciele. Całe imperium wstrzymuje oddech. Gdy zwyciężymy, wszyscy będziemy pławić się w chwale aż po kres naszych dni! – Aureliusz uniósł zaciśniętą dłoń. Część oficerów poszła za jego przykładem, z ociąganiem po chwili dołączyło do nich kilku następnych, którzy pragnęli zapewne wypaść lepiej w oczach nowego dowódcy. Reszta jednak, co nie uszło uwagi Katona, siedziała z kamiennymi twarzami. Gdy legat zrozumiał, że nikt więcej go nie pochwali, uniósł ręce, prosząc o spokój. – To tyle, panowie. Odprawa skończona.

Znów rozległy się szmery rozmów, ludzie wstawali z ław i ruszali wzdłuż basenu, by zniknąć między kolumnami po drugiej stronie dziedzińca.

– Niezły orator z naszego prefekta obozu – rzucił Macro, stając przed przyjacielem. – Chyba każdy z obecnych uronił łzę po jego przemówieniu, choć na moje oko większość ludzi płakała z zażenowania. Straszna żenada.

– A moim zdaniem mówił poważnie. On w to wierzy.

– Poważnie?

– Tak. Jest zwykłym gryzipiórkiem, nie miałby żadnych szans na zostanie wybitnym dowódcą. To dla niego jedyna okazja na zdobycie sławy, co znaczy, że może się zrobić niebezpiecznie.

– Poważnie? A mnie się wydawało, że gorzej już być nie może, skoro wróg ma nad nami sporą przewagę liczebną, legion jest w rozsypce, a ten drań Ajaks układa się właśnie z Nubijczykami.

Katon obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Niech ci będzie. Zrobi się potwornie niebezpiecznie. Zadowolony? Chodźmy, czas porozmawiać z Aureliuszem.

– Na jaki temat?

– Musimy go przekonać, że powinien poskromić apetyt na sławę. – Katon ruszył w kierunku pulpitu, przy którym nowy legat rozmawiał z wybranymi oficerami. Kilku z nich było w kwaterze głównej, gdy obaj przyjaciele przyszli tam po raz pierwszy. Aureliusz spojrzał na przybyłych, uśmiechając się szeroko.

– Jak wam się podobało moje krótkie wystąpienie?

– Było inspirujące – odparł ostrożnie Katon.

– Wiem. Od dawna marzyło mi się, by coś takiego powiedzieć – kontynuował nowy legat równie radosnym tonem. – Wyznam wam w sekrecie, że wzorowałem się nieco na księdze, którą przeczytałem kilka miesięcy temu w Wielkiej Bibliotece. Były w niej przemowy bitewne wielkich wodzów. To pomniejsze dzieło Liwiusza, ale jak pięknie napisane. Sami powiedzcie, czy takie słowa nie mogą wzburzyć w człowieku krwi?

Poklepał Katona po ramieniu.

– Nie miałem okazji przeczytać tego dzieła, panie – odparł obojętnym tonem Katon. – Niewykluczone jednak, że sięgnę po nie, gdy ta kampania dobiegnie końca. A skoro o walce mowa, chciałbym posłuchać, jakie masz plany. Zakładam, panie, że postąpisz zgodnie z regulaminem i dasz nam, mnie i pierwszemu centurionowi, wgląd w szykowane rozkazy dla armii.

Po twarzy Aureliusza przemknął cień irytacji.

– Nie ma potrzeby, starszy trybunie. Te plany sporządził Kandyd i jego najbliżsi współpracownicy. Ci, którzy zginęli. Tylko ja pozostałem z kręgu ludzi, którym legat wyjawił, jak zamierza

pokonać Nubijczyków… – Zamilkł na moment. – Widzę, rzecz jasna, potrzebę doszlifowania paru detali, ale od tego mam doradców. – Wskazał otaczających go oficerów. – Myślę więc, że obejdzie się bez dodatkowej pomocy.

– Dla nas to żaden problem, panie. Z najwyższą przyjemnością podzielimy się z kolegami swoim ogromnym doświadczeniem.

– Swoim ogromnym doświadczeniem? – Aureliusz zaśmiał się pod nosem. – Trybunie, ci ludzie i ja służyliśmy cesarzowi, gdy ty jeszcze wisiałeś u cycka swojej matki. Wystarczy nam własne doświadczenie. Ale i tak dziękuję ci za szczere chęci. – Oczy mu pojaśniały po kolejnej myśli. – Chociaż nie, znam chyba sposób wykorzystania wiedzy twojej i naszego przyjaciela pierwszego centuriona. Byłbym wam wdzięczny, gdybyście wzięli na siebie program ćwiczeń dla naszego legionu. Nasi podwładni są doskonałymi żołnierzami, ale dodatkowe szkolenie w metodach walki z pewnością podniesie ich morale. Centurion Macro wygląda mi na rasowego instruktora, głos ma też pewnie donośny. Myślę, że to najlepszy sposób, abyście mogli się przysłużyć Dwudziestemu Drugiemu Legionowi. A planowanie kampanii zostawcie tym, którzy zęby zjedli na służbie w Egipcie i lepiej od was znają ten teren.

– To nie takie proste, panie – wtrącił Macro. – Mamy powody podejrzewać, że do Nubijczyków dołączył zbiegły niewolnik, którego my, prefekt, czyli teraz trybun, i ja, ścigaliśmy, zanim wcielono nas do tego legionu.

– Tak? Jakim cudem dowiedzieliście się o tak niezmiernie ważnym wydarzeniu?

– Przesłuchaliśmy jedynego świadka napaści na legata, panie. Powiedział nam, że napastnikami dowodził gladiator i że zostawiono go przy życiu, by opowiedział wszystkim, co tam

zaszło.

– Bzdury – oświadczył stanowczo Aureliusz. – Ten człowiek bredzi. Słyszeliście, co mówił rano dekurion.

– Był wystarczająco przytomny, gdy przepytywaliśmy go, panie – upierał się Katon. – Jeśli Ajaks sprzymierzył się z Nubijczykami, my, jako jedyni w tym legionie ludzie, którzy mieli z nim do czynienia i poznali jego metody działania, powinniśmy uczestniczyć w planowaniu przyszłych operacji.

Aureliusz pokręcił głową.

– Sądzę, że fakt, że nie udało wam się schwytać rzeczonego gladiatora, świadczy dobitnie o jednym: nie dorównujecie mu umiejętnościami i sprytem. Najwyższa pora, by zajął się nim ktoś, kto ma świeższe spojrzenie na sprawę. Ty, trybunie, oraz centurion Macro jesteście odpowiedzialni za program szkoleń. Chcę mieć pełny raport na temat harmonogramu ćwiczeń i jak najdokładniejsze szacunki, ilu naszych ludzi będzie w pełni gotowych do walki, gdy wyruszymy na wroga. Nie muszę chyba dodawać, że macie mi go dostarczyć jak najszybciej. – Uśmiechnął się do nich przelotnie. – Wkrótce sami zobaczycie, że damy sobie radę z wrogiem nawet bez waszej światłej pomocy. To wszystko, moi panowie.

– Tak, panie. – Katon zasalutował, Macro po krótkiej chwili wahania poszedł jego śladem. Potem odwrócili się przepisowo i odmaszerowali, pozostawiając za sobą nowego legata i jego sztabowców.

– Dlaczego nic mu nie powiedziałeś? – wysyczał Macro, gdy oddalili się od pulpitu.

– Nie słyszałeś, jak mu przygadywałem?

– Jak on śmiał odesłać nas w tak grubiański sposób? – wkurzał

się centurion. – A zwłaszcza ciebie. Żaden dowódca legionu nie ważyłby się zignorować rady starszego trybuna i pierwszego centuriona. Żaden dobry dowódca – poprawił się od razu.

– To tylko dobry obyczaj, przyjacielu. Nie ma takiego obowiązku.

Macro szedł przez chwilę, milcząc, potem zerknął na Katona.

– Miałeś, kurwa, rację, panie.

– Tak? W jakiej sprawie?

– Sytuacja staje się potwornie niebezpieczna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pięć dni później Katon i Macro stali przy prowizorycznym placu apelowym, który przygotowano tuż za murem okalającym kompleks świątyń. Było już późne popołudnie, gorący pustynny wiatr rozwiewał tumany kurzu wznoszonego stopami żołnierzy pierwszej kohorty. Trwał właśnie kolejny marsz po obwodzie obozu. Oczywiście z pełnym obciążeniem. Kilku najmniej sprawnych legionistów padło już z wycieńczenia i zostało odciągniętych w cień rzucany przez mury Karnaku. Maruderów poganiali wybrani przez Macro najbrutalniejsi centurionowie i optionowie. Niemal wszyscy służyli wcześniej poza Egiptem i nie zapomnieli, czym jest wysiłek. Teraz opieprzali najbardziej zmęczonych i wygrażali im, nierzadko posuwając się do używania pałek.

Macro przyglądał się tej scenie, nie kryjąc zadowolenia.

– Jak za dawnych dobrych czasów. Niczego nie lubię bardziej od przygotowywania ludzi do bitwy.

– Naprawdę? – zdziwił się Katon.

– No dobrze, może poza winem i kobietami. Ze mną jak z dzieckiem: wystarczy wziąć mnie za rączkę, zaprowadzić do tawerny i już mogę umierać ze szczęścia.

Katon roześmiał się, po czym znów skupił całą uwagę na zmordowanych żołnierzach, którzy mijali obserwujących marszobieg oficerów.

– Jak oceniasz stan przygotowań pierwszej kohorty? – zapytał.

Macro podrapał się po szczęce.

– Większość ludzi jest wystarczająco sprawna. Przez kilka dni mieli problemy, a potem odkryli, do czego służy obuwie marszowe. Są gotowi na trudy kampanii, problem tylko z ich wyszkoleniem bojowym.

– Tak?

– Z mieczami jakoś tam sobie radzą. W końcu musieli ćwiczyć walkę, przynajmniej w podstawowym zakresie. Nie umieją jednak zachować szyku. Gdy kazałem poszczególnym centuriom stworzyć testudo, szpary pomiędzy tarczami były tak szerokie, że można by wjechać w nie taranem. Formacje wyglądały jak jakieś pieprzone cedzaki, a nie skorupy żółwia. Na szczęście poprawiają się z dnia na dzień. Przydzieliłem im do tych ćwiczeń najlepszych oficerów.

– A co z pozostałymi? – zainteresował się Katon. – Czy część oficerów nadal wymiguje się od obowiązków?

Macro przytaknął z nieukrywaną goryczą.

– Gdy kazałem im dzisiaj dołączyć do żołnierzy, odmówili. A gdy wydałem rozkaz, ten gruby wieprz Aescher poleciał ze skargą do Aureliusza i poprosił o zwolnienie z obowiązkowych ćwiczeń. – Macro wskazał dyskretnie oficerów siedzących w cieniu niewielkiego ołtarza na przeciwległym krańcu placu apelowego. – I dostali je. Na piśmie.

Aescher i jego kompani obmacywali chichoczące markietanki z pobliskiego obozu. Tuż obok nich stał też rosły niewolnik machający ogromnym wachlarzem.

– Pieprzone dranie – żachnął się centurion.

– Fakt – poparł go przyjaciel. – Siedząc tam, nie dają dobrego przykładu podwładnym. My chyba też. Nie sądzisz, że

powinniśmy to zmienić?

– Co masz na myśli, panie?

– Jutro rano każesz wydać wszystkim oficerom pełne zestawy marszowe, nawet tym, którzy wymigali się od ćwiczeń. Dla nas także pobierz. I dla Flamedesa, jego też zabierzemy.

– Flamedesa? – Macro uśmiechnął się złośliwie. – Nie widziałem go od kilku dni. Ten to umie się dekować.

– Poprosił mnie o pozwolenie na odwiedzenie kilku miejscowych świątyń. Powiedział, że ma tu znajomych kapłanów i spróbuje znaleźć dla siebie miejsce, gdy będzie już po kampanii.

– A robi to, pobierając w tym samym czasie żołd zwiadowcy. Rozumiem.

– To chyba oczywiste.

– Nie sądzisz, że powinien zapracować na te pieniądze? Jutro rano osobiście przewłóczę go po tym placu. – Centurion zatarł dłonie na tę myśl. – Jakie dokładnie ćwiczenia masz na myśli?

– Pierwsza kohorta pomaszeruje w dół Nilu. A my pójdziemy na jej czele, tak żeby wszyscy nas widzieli. Tylko przekaż instruktorom, że nie mogą pobłażać szarżom!

Macro spoglądał na niego z zadowoleniem.

– Co chcesz osiągnąć tym sposobem?

– Powiedzmy, że to taki eksperyment. Spróbujemy oddzielić ziarno od plew. – Katon złożył ręce na piersi i znów przyjrzał się maszerującym żołnierzom. – A co z pozostałymi kohortami?

– Mniej więcej to samo. Te, którymi dowodzą dobrzy oficerowie, będą wkrótce gotowe. Wystarczy im jeszcze kilka dni ostrego szkolenia. Problem mogą stanowić tylko siódma i dziewiąta. Dowodzą nimi przydupasy Aureliusza.

– Dodaj je więc do jutrzejszego marszu. Resztą kohort zajmiemy się w kolejnych dniach.

– Tak, panie. – Macro uśmiechnął się przelotnie. – A co z jednostkami pomocniczymi?

Chociaż Macro otrzymał rozkaz opracowania ćwiczeń dla całego legionu, legat stwierdził, że kwestie związane ze szkoleniem jednostek pomocniczych ma zostawić w rękach ich prefektów. Ich natomiast miał nadzorować Katon.

– Obie kohorty piechoty są w zadowalającym stanie – przyznał, zaczerpnąwszy głęboko tchu. – Ich dowódcy czekają tylko na szansę, by się wyróżnić, ponieważ łakną awansu. Nie musimy ich pilnować, dają swoim podwładnym w kość. Syryjska jazda jest pierwszorzędna. Ci ludzie wiedzą, jak zająć się końmi, dobrze sobie też radzą przy wykonywaniu manewrów. Kohorta aleksandryjska to jednak zupełnie inna sprawa. Tym durniom wydaje się, że są lepsi od reszty, a prefekt zachowuje się, jakby jego ludzie byli potomkami przybocznych samego Aleksandra. Wszyscy chlają na umór, a o dyscyplinie szkoda gadać. Tylko entuzjazmu im nie brakuje. Mam więc nadzieję, że nie będą odstawać, gdy wyruszymy do boju. W końcu trafią na okazję, by się wykazać.

– Albo zrozumieją, że są nic niewarci, i spieprzą z pola bitwy.

Katon wzruszył ramionami.

– Może…

Stał obok przyjaciela, milcząc przez dłuższą chwilę, aż Macro w końcu dodał:

– Nowy legat wyjawił ci, jak zaplanował tę kampanię?

– Nie, nadal utrzymuje wszystko w tajemnicy. Gdy zapytałem go, kiedy w końcu wyprowadzi armię z Diospolis Magna, odparł,

że zrobi to, gdy warunki będą sprzyjające.

– Sprzyjające? – zdziwił się Macro.

– Nie wyjaśnił, o co mu chodzi, mimo że pytałem. A powinniśmy wymaszerować jak najszybciej, jeśli nie chcemy, by wróg zajął całe terytorium pomiędzy kataraktami a tym miastem. Z tego, co wiem, Nubijczycy są już pod Ombos. Tamtejszy garnizon przekazał w ostatniej wiadomości, że wróg szykuje się do oblężenia. A Aureliusz mimo to nie dał rozkazu wymarszu.

– Coś mi się widzi, że nasz szukający chwały wódz nagle się spietrał.

– Niewykluczone. – Katon nie czuł się najlepiej, krytykując przełożonego.

Szczerze mówiąc, w ciągu minionych kilku dni zaczęło docierać do niego, jak bardzo jest narażony, piastując tak wysokie stanowisko. Po ostatnim awansie stał się jednym z ludzi odpowiedzialnych za przebieg planowanej kampanii. Przed zdławieniem buntu na Krecie on i Macro byli młodszymi oficerami, którym mówiono, gdzie iść i z kim walczyć. Strategią zajmowali się obcy mu ludzie, a on wykonywał posłusznie ich rozkazy. Teraz natomiast zyskał pozycję i doświadczenie pozwalające mu dowodzić, ale był postrzegany przez legata i sztab za żółtodzioba, i to przesadnie ambitnego. Jakżeby inaczej ktoś tak młody zdołał dochrapać się stopnia prefekta? Zdaniem Aureliusza musiał być bezwzględny w swoich dążeniach. Domyślał się więc, kogo obwinią sztabowcy za brak współpracy w razie ewentualnego niepowodzenia. Stał się więc kozłem ofiarnym, choć nigdy nie pragnął wyniesienia do obecnej rangi. Awans zaoferował mu człowiek, który umiał docenić zdolności młodego oficera. A zawiść ludzi pokroju Aureliusza może

doprowadzić do najgorszego. Katon nie będzie mógł wykorzystać doświadczenia w służbie Rzymu, a jednocześnie będzie obwiniany za niepowodzenia ludzi pragnących zachować twarz.

Po śmierci Kandyda Aureliusz stał się najpotężniejszym człowiekiem na południe od Memfis. Jeśli nowy legat stanie się wrogiem, trzeba będzie szukać posłuchu w Aleksandrii, u samego namiestnika Petroniusza. Katon nie miał żadnych patronów w tej prowincji. Najbliższym przyjacielem z koneksjami był senator Semproniusz przebywający na Krecie – zakładając, że nie został już zwolniony z tymczasowo zajmowanego stanowiska i nie wraca właśnie do Rzymu.

Tak czy inaczej młody trybun był zdany na własne siły. Jeśli ma pomóc w planowaniu kampanii, musi znaleźć sposób na udobruchanie Aureliusza. Może na tym polega prawdziwy sprawdzian ludzi piastujących najwyższe stanowiska. Od tej pory nie będzie już oceniany wyłącznie na podstawie osiągnięć bojowych. Teraz równie ważne będzie wykazywanie się umiejętnościami politycznymi.

– O, witam szefa mojego programu szkoleń! – pozdrowił Aureliusz Katona, który podszedł do pulpitu rozstawionego za końcem basenu. Pochodnie zatknięte na otaczającej to miejsce kolumnadzie rzucały na dziedziniec złotawą migotliwą poświatę. Słońce właśnie zachodziło, więc czerwieniejące niebo odbijało się krwiście w spokojnej wodzie. Katon, stając na baczność przed legatem, modlił się w duchu, aby nie był to zły omen dla czekającej go kampanii. – Co mogę dla ciebie zrobić, trybunie? – zapytał Aureliusz, siadając wygodniej w fotelu.

– Chodzi o kwestie związane ze szkoleniami, panie. Jak zapewne pamiętasz, powiedziałeś, że dajesz mi wolną rękę w przygotowaniach ludzi do walki.

– Tak było – odparł legat. – Pod warunkiem wszakże, że będę miał ostatnie słowo.

– Zgadza się, panie.

– I jak ci idzie?

– Stan żołnierzy ulega nieustannej poprawie, więc powinni być w pełni gotowi na trudy nadchodzącej kampanii. Udzieliłbym ci dokładniejszej odpowiedzi, gdybym znal termin wyruszenia w pole.

– Wiem. – Aureliusz pokiwał głową, a potem wskazał sterty papirusów piętrzących się na jego pulpicie. – Jak widzisz, stan przygotowań ludzi nie jest jedynym powodem odwlekania tej decyzji. Napływają sprzeczne raporty mówiące o aktualnych pozycjach wroga. Zamiast faktów słyszę same plotki. Niektórzy powiadają, że książę Talmis jest już pięćdziesiąt mil stąd. Inni twierdzą, że nadal obozuje pod Ombos, oblegając tamtejszy garnizon. Wiem, że nic nie wiem, trybunie.

Katona to akurat nie dziwiło. Od zasadzki na poprzedniego legata Aureliusz skrócił zasięg operacyjny patroli do pół dnia marszu od Diospolis Magna. Wszystkie dane na temat wroga czerpano więc od przesłuchiwanych kupców albo ludzi uciekających przed Nubijczykami. Nic więc dziwnego, że sztab miał problemy z oddzieleniem ziarna od plew.

– W dodatku siły wroga zdają się znacznie liczniejsze, niż przypuszczałem – kontynuował Aureliusz. – To zmusiło mnie do wysłania namiestnikowi prośby o przysłanie nam wsparcia.

– Wsparcia? – Katon nie krył zaskoczenia. – Panie, gdy rozmawiałem z Petroniuszem po raz ostatni, zarzekał się, że wysłał tutaj wszystkie dostępne oddziały.

– Są sposoby na to, by znaleźć więcej ludzi – rzucił lekceważąco

legat. – Poza tym nie prosiłem o ogromną armię, która da nam przewagę liczebną, tylko o ludzi pozwalających nam wykonać powierzone zadanie. Wyruszanie na wroga bez tego wsparcia wydaje mi się zbyt ryzykowne, choć odczuwam wielką ochotę na skopanie tyłków Nubijczykom.

Trybun pomyślał nie bez ironii, że czego jak czego, ale chęci do walki Aureliusz nie miał nigdy.

– Panie, niewykluczone, że wróg wykorzystuje czas na ściągnięcie własnych odwodów. Poza tym im dłużej pozostaje na rzymskiej ziemi, tym większe szkody czyni tej prowincji. Tubylcy mogą poczuć ogromną niechęć do nas, jeśli dojdą do wniosku, że zostawiliśmy ich na łasce wroga.

– To niestety nic niezwykłego podczas wojny.

Katon zauważył, że takim podejściem nie przekona dowódcy, spróbował więc zajść go z drugiej strony. Udał głębokie zamyślenie, po czym rzekł:

– Coś mi właśnie wpadło do głowy, panie.

– Tak?

– W pełni rozumiem przesłanki stojące za twoją decyzją o opóźnieniu wymarszu, obawiam się jednak, że ludziom znajdującym się daleko stąd może ona wydać się niezrozumiała.

– Tylko dlatego, że nie znają wszystkich okoliczności i uwarunkowań – skontrował natychmiast Aureliusz.

– Masz rację, panie. Ale to nie powstrzyma plotek i szemrania. Obawiam się, że namiestnik Petroniusz może ulec takim podszeptom i opacznie zrozumieć naszą bezczynność. A gdy otrzyma jeszcze twoją prośbę o dodatkowe oddziały, może zacząć wątpić, że uda nam się wygrać tę kampanię. A zwątpienie, jak dobrze wiesz, panie, jest największym wrogiem zdrowego

rozsądku. Co będzie, jeśli namiestnik zdecyduje, że trzeba cię usunąć ze stanowiska i postawić na czele legionu kogoś mniej ostrożnego? Jakiegoś narwańca, który poprowadzi naszą armię prosto na wroga, i to bez żadnego planu?

Legat spojrzał trybunowi w oczy.

– Takie działanie mogłoby doprowadzić do straszliwej katastrofy. A w Aleksandrii nie brakuje ambitnych ludzi, którzy z zawiścią patrzą na to, że łaskawy los postawił mnie na czele tak wspaniałej armii. – Pokiwał głową. – Na przykład ten drań Decjusz Fulwiusz. Zawsze uważał się za lepszego ode mnie. Myśl o tym, że taki robak mógłby dowodzić podczas kampanii, napawa mnie przerażeniem.

– To prawda, panie. A twoim zadaniem jest zadbać, by namiestnik nie postawił kogoś takiego na czele armii. – Katon nie raczył wspomnieć o tym, że rzeczony Fulwiusz wciąż jeszcze nie wrócił z Krety.

– Tak… Tak, to mój święty obowiązek. – Aureliusz kiwał głową.

– Nie powinienem był wysyłać tej wiadomości. Ale już za późno. – Przymknął oczy, kalkulując coś pospiesznie. – List dotrze do pałacu za jakieś dwa dni. Petroniusz odpisze na niego dzień później, potem trzeba będzie kolejnych pięciu dób, aby kurier wrócił do Diospolis Magna. Zatem mam tylko siedem dni na naradzenie się ze sztabem…

– Legat zamilkł, przeniósł wzrok na trybuna. – Wybacz mi, proszę. Przyszedłeś tutaj, by omówić kwestie związane ze szkoleniem.

– Tak, panie. Chodzi o dowódców kilku kohort. Robią co mogą, by uniknąć ćwiczeń.

– Wiem. Mają inne obowiązki. Zwolniłem ich osobiście.

– Tak mi powiedzieli. Ale problem w tym, że gdy wyruszymy na kampanię, każdy żołnierz i każdy oficer muszą maszerować w jednej kolumnie. Nie możemy pozwolić na to, by słabeusze opóźniali nasze postępy, panie. Dotyczy to także dowódców. Jak sam wspomniałeś, legion musi wyruszyć wkrótce i uderzyć zdecydowanie. Nie możesz pozwolić na to, by stracić okazję do szybkiego zakończenia kampanii tylko dlatego, że kilku leniom nie chciało się poprawić swojej kondycji.

– To prawda – przyznał Aureliusz. – Muszą być gotowi do czasu rozpoczęcia kampanii. Muszą ćwiczyć razem z podwładnymi. Od tej pory nie będzie żadnych wymówek. Czy to jasne, trybunie? Wszyscy oficerowie mają uczestniczyć w programie szkoleń.

Katon skinął głową.

– Tak, panie.

– Czy to wszystko?

– Tak, panie. Wszystko.

Legat zmierzył go wzrokiem i dodał:

– Dziękuję, trybunie Katonie. Twoja rada była naprawdę cenna. Wyglądasz mi na znacznie mądrzejszego człowieka, niż można przypuszczać na pierwszy rzut oka.

Było jasne, że zamierza skończyć tę rozmowę, więc Katon skłonił mu się przepisowo i zrobiwszy w tył zwrot, odmaszerował. Uśmiechnął się z satysfakcją, dopiero gdy wkroczył pomiędzy kolumny, mijając ostatnich skrybów wciąż pracujących za rozstawionymi w długim szeregu pulpitami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gdy niebo na wschodzie pojaśniało nieco, spomiędzy kolumn otaczających kompleks świątyń zaczęli wyłaniać się żołnierze i towarzyszący im oficerowie. Za miejscem zbiórki stała kolumna wozów, na które mieli trafiać ludzie nie mogący ukończyć wyczerpującego marszu. Macro i Katon pobrali z magazynów kompletny rynsztunek bojowy, więc od podwładnych różnili się tylko pióropuszami zdobiącymi szczyty ich hełmów. Od ostatnich ćwiczeń, w których brali udział, minęło już sporo czasu. Młody trybun przypomniał sobie jednak wszystkie dobre rady, jakie usłyszał za czasów, gdy sam był nieopierzonym rekrutem. Po pierwsze, podłożył pod stopy paski bawełny, by chronić skórę przed otarciem. Potem owinął opończę na ramionach, by mieć na czym oprzeć kij z tobołkiem, do którego trafiły menażki i reszta oporządzenia. Na drugim ramieniu miał nieść włócznię. Do tego dochodziła jeszcze pełna manierka i bukłak, które przewiesił tak, by jak najmniej przeszkadzały podczas marszu, a miał iść na czele kolumny tuż obok Macro.

Większość oficerów trafiła już na swoje miejsca. Bardziej zaokrągleni i starsi spoglądali z wyrzutem na obu dowódców, natomiast pozostali, służbiści w każdym calu, robili co mogli, by nie wyśmiać nieszczęśliwych kolegów.

– Wyglądają jak szczęśliwa rodzinka, nieprawdaż? – zakpił centurion. – Zobaczymy, jakie będą mieli miny po pierwszych pięciu milach.

– Zapomnij o nich – mruknął Katon – i martw się o mnie. Jeśli nie podołam, sens tego marszu pójdzie na marne.

– Dasz radę. Jesteś twardy jak podeszwy moich butów. Wiem, co mówię, bo sam cię wyszkoliłem.

– Nie chciałbym cię zawieść.

– A ja nie chciałbym użyć swojej laski na twoich plecach, jeśli zaczniesz zostawać z tylu. – Macro spojrzał znacząco na krótką guzowatą laskę, którą miał nieść zamiast włóczni, podobnie jak inni instruktorzy rozmieszczeni wzdłuż kolumny marszowej. – To byt twój pomysł, panie. Żadnej ulgi dla oficerów.

Katon przytaknął.

– Ale mógłbyś się chociaż nie przykładać do bicia, jeśli przyjdzie co do czego.

– Hm, jeśli mam ciebie oszczędzać, powinienem odpuścić także wszystkim pozostałym tłustym lebiegom. – Centurion skinął głową ku oficerom zajmującym miejsce w szyku. – A skoro mowa o maruderach, gdzie Hamedes?

Prefekt zerknął w stronę świątyni.

– Tam jest.

Kapłan maszerował szybkim krokiem w ich kierunku. Dotarł do nich z niewyraźnym uśmiechem.

– Czy wy. Rzymianie, zawsze maszerujecie objuczeni jak muły?

– Masz milczeć, dopóki nie dostaniesz pozwolenia na otwarcie ust – odparł ostrym tonem Macro. – Jesteś teraz w armii, chłopcze. Zapomnij o swoim kapłaństwie, dopóki nie zostaniesz zwolniony z legionu. – Hamedes także pobrał pełne wyposażenie, więc centurion obrzucił go uważnym wzrokiem, sprawdzając, czy wszystko pasuje i jest dokładnie dopięte. – Nieźle – mruknął. –

Pancerz leży jak ulał. Ktoś ci pomagał przy ubieraniu?

Kapłan zawahał się, ale skinął w końcu głową.

– Jeden ze skrybów pokazał mi, co robić, panie.

– I dobrze. Pójdziesz między oficerami a pierwszą kohortą, żebym miał na ciebie oko.

– Tak, panie. – Hamedes wyszczerzył zęby, lecz zaraz przypomniał sobie o wcześniejszej uwadze i potruchtał na wskazaną pozycję, trzymając się w rozsądnej odległości od centurionów.

– Jak na kapłana ma smykałkę do żołnierki – zauważył Katon.

– To prawda – przyznał Macro. – A w najbliższych dniach będziemy mogli sprawdzić jak wielką.

Ostatni żołnierze truchtali właśnie do swoich centurii, a gdy zajęli miejsce w szyku, Macro zarzucił tobołek na ramię i stanął na czele kolumny. Zaczerpnął głęboko tchu, by przemówić do żołnierzy:

– Dzisiaj pomaszerujemy osiem mil w dół rzeki i z powrotem. To żadne wyzwanie dla prawdziwego legionisty, cieszy mnie więc niepomiernie, że dołączyli do nas wszyscy oficerowie.

Kilku żołnierzy zarechotało, któryś nawet zagwizdał, więc stojący obok kolumny option natychmiast zaczął szukać śmiałka. Nie udało mu się to, wrócił zatem na swoje miejsce, wrzeszcząc:

– Zamknąć te pieprzone mordy albo załapiecie się na dodatkowe służby!

Macro poczekał, aż znów zapanuje spokój.

– Wszyscy oficerowie i żołnierze mają ukończyć ćwiczenia marszowe. To minimalne wymaganie dla każdego, kto służy w legionie. Ci, którzy zostaną w tyle, nie będą mieli żadnego

usprawiedliwienia… – Zamilkł na chwilę, potem wrócił na czoło, stając kilka kroków przed Katonem i innymi oficerami. – Kolumna! Gotowi… Naprzód marsz!

Ruszył przed siebie, prowadząc żołnierzy idących po czterech w szeregu najpierw przez plac apelowy, później szlakiem, który łączył się z traktem biegnącym wzdłuż koryta Nilu. Mimo tak wczesnej pory na drodze było już wielu wieśniaków, którzy zmierzali do Diospolis Magna, by na tamtejszych targach sprzedać swoje plony. Wszyscy jednak schodzili pospiesznie z traktu, gdy tylko dostrzegli przed sobą żołnierzy skręcających szereg po szeregu i ruszających na północ.

Kilka łodzi wypłynęło już na rzekę, rybacy wiosłowali zawzięcie, by pokonać silny nurt i dotrzeć do zarzuconych wieczorem sieci, środkiem koryta sunęły szerokopokładowe barki przewożące towary w górę i dół Nilu. Na drugim brzegu widać było wąski pas zieleni, a za nim skaliste zbocza wypalonych słońcem całkowicie martwych gór, które oddzielały dolinę od bezkresnej pustyni.

Słońce wychynęło zza horyzontu jakaś godzinę po wymarszu Rzymian. Bladożółta tarcza błyszczała pośród mgieł, zalewając złocistą poświatą pola uprawne i rzekę wijącą się pośród piaszczystych pustkowi wschodniej Afryki.

Katon szybko wpadł w odpowiedni rytm. Ból pojawiający się w pierwszych chwilach u podstawy kręgosłupa zniknął, więc prefekt czuł się świetnie, jak na zwykłej przechadzce. Przestał też myśleć o tym, że może nie ukończyć marszu. Pocił się jednak obficie, kaptur chroniący głowę przed obtarciem był już przemoczony do suchej nitki. Co rusz kolejne krople wymykały się spod hełmu na czoło, zmuszając młodego oficera do mrużenia oczu. Wolał otrząsać się, niż przekładać włócznię na drugie ramię, by obetrzeć twarz.

Zerkając na boki, zauważył, że część towarzyszących mu oficerów zaczyna mieć kłopoty z utrzymaniem odpowiedniego tempa marszu. Jego najbliższy sąsiad, centurion z pierwszej kohorty, dyszał ciężko przez otwarte szeroko usta, uginał się też mocno pod ciężarem niesionego rynsztunku. Jeden z wyznaczonych przez Macro optionów zrównał z nim właśnie krok.

– Szybciej, panie. Wysil się jeszcze trochę, u licha! Widziałem starców, którzy dreptali chyżej od ciebie.

Centurion zacisnął zęby i przyspieszył kroku. Katon zaś odwrócił wzrok, zrobiło mu się bowiem wstyd, że postanowił złamać ludzi pokroju tego centuriona, zmuszając ich do marszu. Jeśli jednak jego towarzysz dotrwa do wieczora, udowodni wszystkim, że jest lepszy, niż wszyscy sądzą – choć to, zdaniem trybuna, było naprawdę mało prawdopodobne. Maszerujący na samym przedzie Macro stąpał swobodnie po trakcie, nie okazując nawet śladu zmęczenia.

Wznoszące się coraz wyżej słońce rozgrzewało powietrze, przeganiając mgłę znad doliny Nilu. Wkrótce maszerujący brzegiem rzeki ludzie zaczęli się smażyć w jego promieniach. Temperatura rosła szybko, zwiększając i tak już wielkie poczucie dyskomfortu. Do tej pory ludziom najbardziej doskwierał pył wznoszony tysiącami podkutych butów. Co jakiś czas trakt przecinał okoliczne wioski, w których żołnierzy obskakiwały gromady dzieci żebrzących o jałmużnę. Malcy musieli uciekać albo zwinnie unikać kopniaków rozdawanych przez poirytowanych ich nachalnością legionistów.

Katon starał się ignorować dzieciarnię, skupiając całą uwagę na stawianiu jednej nogi przed drugą, by nie zostać w tyle za przyjacielem. Gdy słońce weszło jeszcze wyżej, upał stał się nie do wytrzymania. Zrobiło się też tak jasno, że ludzie musieli

mrużyć oczy. Już po chwili Katon miał wrażenie, że ktoś polał mu plecy wodą. Ciężka od potu tunika lepiła mu się dosłownie do ciała. Od czasu do czasu zimniejsza kropla spływała mu spod pach, sunąc pod pancerz i kończąc podróż w grubej tkaninie. W ustach zaschło mu tak strasznie, że z trudem się hamował, by nie zawołać Macro i nie zasugerować, że powinien pozwolić ludziom na krótki odpoczynek i łyk wody.

Po drugiej godzinie marszu Katon usłyszał głośny jęk, a potem klekot. Gdy zerknął przez ramię, zobaczył, że jeden z oficerów leży na drodze. Inny centurion przystanął, pochylił się, wyciągając do wyczerpanego dłoń, ale zaraz stał się obiektem zainteresowania dyżurnego optiona. Instruktorska laska załomotała o jego tarczę.

– Co tu się wyprawia, do kurwy nędzy? Nie zatrzymuj się, panie! Ruszaj!

– Nie możecie zostawić go tutaj – protestował centurion.

– Ruchy! – Instruktor wydarł mu się w twarz, unosząc groźnie laskę.

Pomocny oficer wyprostował się i poszedł dalej bez słowa. Option pozostał przy jego koledze, wskazując legionistom, by omijali nieprzytomnego człowieka.

– Nie zwalniać! Nie zatrzymywać się i nie gapić! Co jest? Nigdy wcześniej nie widzieliście oficera, który wywalił się na ryj? Zjeżdżać mi stąd!

Kolumna rozstępowała się przed leżącym i zamykała na powrót kilka kroków dalej, nie zwalniając. Chwilę później Macro zwolnił tak, by znaleźć się tuż przed przyjacielem. Zaraz też mruknął z satysfakcją:

– No i mamy już pierwszego. Niedługo padną następni. Ciekaw

jestem, ilu zostanie.

Katon oblizał spierzchnięte wargi.

– Mam nadzieję, że będę pomiędzy nimi.

– O to się nie martw. Powiedziałem przecież, że nie pozwolę ci upaść.

– Dzięki, przyjacielu.

– I na co ten sarkazm, panie? To był przecież twój pomysł.

– Następnym razem, jak wpadnę na coś równie wesołego, każ mi się po prostu zamknąć.

Macro uśmiechnął się pod nosem, ale zaraz warknął:

– Zamknij się i oszczędzaj oddech.

Później kolumna weszła w spory zagajnik palm daktylowych. Tam Macro kazał ludziom stanąć i pozwolił odłożyć tobołki. Katon zszedł na trawiaste pobocze traktu i zrzucił ciężki rynsztunek. Potem pochylił się, opierając dłonie o kolana, i spróbował wyrównać oddech. Macro, także spocony i zdyszany, lecz nadal pełen wigoru, pokręcił tylko głową.

– Zmiękłeś mi, bracie. Zobacz, co awanse robią z człowieka.

– Pieprzenie. – Trybun sięgnął po manierkę, wyjął zatyczkę i uniósł naczynie do ust.

– Dwa łyki – rzucił centurion, celując palcem w przyjaciela, po czym ruszył w kierunku kolumny, by wydać rozkazy instruktorom. – Dwa łyki, nie więcej.

Katon przytaknął, wypił tyle, ile mu pozwolono, płucząc długo usta, by nawilżyć je jak najbardziej, zanim przełknął. Spojrzał potem na żołnierzy. Wielu leżało na plecach, z trudem łapiąc powietrze. Przeniósłszy wzrok na oficerów, zauważył, że kilku brakuje. Głównie tych, którzy jego zdaniem nie mogli ukończyć

tego morderczego marszu. Pozostali wyglądali na zaciętych i zdeterminowanych.

Gdy Macro wrócił na czoło kolumny, przystanął obok przyjaciela i sam pociągnął łyk z manierki.

– Do tej pory odpadło czterech oficerów i osiemnastu żołnierzy. Niewielu jak na taki upał. Z drugiej jednak strony ci ludzie są przyzwyczajeni do wysokich temperatur. Osiem mil za nami, teraz zrobimy krótki popas i wracamy do obozu. – Macro milczał przez chwilę, potem przysłonił dłonią oczy, by spojrzeć w słońce, a na koniec wypił drugi łyk. – To będzie prawdziwy sprawdzian dla ludzi. Upał po południu zrobi się nie do zniesienia. Nie powiem, żeby mnie to cieszyło. A jak ty się trzymasz, panie?

– Daję radę. – Szczerze powiedziawszy, trybun nie czuł już stóp od wielogodzinnego marszu po twardej jak skała ziemi, a w głowie szumiało mu z wysiłku i przegrzania, jakby zamiast wody napił się najmocniejszego wina. Zmusił się jednak, by stanąć prosto i spojrzeć przyjacielowi w oczy.

– A ty?

– Świetnie – rzucił spokojnie centurion. – Na twoim miejscu usiadłbym czym prędzej i dał odpocząć nogom.

– Ty pierwszy.

Macro pokręcił głową.

– Jak tam chcesz.

Ruszył ponownie wzdłuż kolumny, robiąc przegląd oficerów pierwszej kohorty. W znacznej większości byli to mieszańcy, efekt wtapiania się Greków w kulturę Egiptu. Karnację mieli ciemną, ale nie aż tak jak rodowici mieszkańcy doliny Nilu. Byli też o wiele drobniejsi od legionistów służących na północnych rubieżach imperium, gdzie Macro spędził najwięcej czasu.

Wyglądali wszakże na wystarczająco twardych i na razie radzili sobie z maszerowaniem. Dlaczego miałoby być inaczej? pomyślał *primus pilus*. Przecież pierwsza kohorta była zazwyczaj najlepsza w legionie. Gdy ruszano do boju, ta dwukrotnie liczniejsza od innych jednostka otrzymywała zadanie obrony prawej flanki. Niemniej wciąż pozostawało pytanie, ilu z tych ludzi dotrze do obozu na własnych nogach. Żołnierze służący w siódmej i dziewiątej na razie nie odstawali od swoich kolegów, z ich szeregów odpadło także tylko po kilku ludzi. Katon miał rację, przydzielając oficerów do tej grupy legionistów, pomyślał z uznaniem Macro. Przez to jedni i drudzy dawali z siebie wszystko – a przy okazji wyjdzie na jaw, kto naprawdę nie nadaje się na dowódcę jednostek bojowych.

Idąc wzdłuż kolumny, Macro dotarł do grupki oficerów odpoczywających na trawie. Obok nich zauważył Hamedesa. Do tej pory miał kapłanów za słabeuszy, dlatego zdziwiło go, że Egipcjanin wciąż trzyma się kolumny.

– Czujesz jeszcze stopy? – zapytał.

Hamedes spojrzał na niego, uśmiechając się zaraźliwie, jak to on.

– Bardzo mila przechadzka, panie. Choć zastanawiam się, czy ludzie noszący na plecach takie ciężary będą mieli dość sil, by bronić imperium.

Macro uśmiechnął się, potem poklepał kapłana po ramieniu.

– To tajemnica naszego sukcesu – odparł konspiracyjnym szeptem. – Możemy tyle dźwigać, ponieważ wiemy, że wystarczy nam sił do zwyciężania. – Centurion cofnął się i ponownie zmierzył wzrokiem Egipcjanina. – Dobrze się spisałeś. Jeszcze zrobię z ciebie prawdziwego legionistę.

Młodzieniec spoważniał na chwilę, zaraz jednak znów się

rozpromienił.

– To dla mnie zaszczyt, możesz mi wierzyć. Mimo to racz pamiętać, że bardziej od wojaczki interesują mnie sprawy duchowe. Po zakończeniu tej kampanii zamierzam wrócić do świątyni.

– Zobaczymy. Instynkt podpowiada mi, że możesz zasmakować w takim życiu. Inaczej nie trzymałbyś się nas tak długo.

Macro raz jeszcze poklepał go po ramieniu, po czym wrócił na czoło kolumny. Zarzucił tobołek na ramię, wydając przy tym cichy jęk, i stanął twarzą do odpoczywających żołnierzy.

– Koniec przerwy! Wstawać!

W odpowiedzi usłyszał chór narzekań i tak soczystych przekleństw, że sam się mimowolnie uśmiechnął. Legioniści wstawali, sięgając po nosidła, a optionowie krążyli pomiędzy szeregami, poganiając tych, którzy reagowali najwolniej. Centurie ponownie uformowały zwarte szyki, czekając na rozkaz podjęcia marszu. Macro odczekał jeszcze chwilę, aż zapadnie kompletna cisza, a potem zawołał:

– Kolumna! Naprzód marsz!

Ruszyli wolno, z każdym krokiem nabierając rytmu i tempa. Centurion wyprowadził ich z palmowego zagajnika, koło ołtarza zszedł z traktu i zawrócił w stronę obozu. Maszerując po łące, minął koniec kolumny i zakryte wozy, na których wieziono omdlałych.

Chwilę po południu zerwał się mocniejszy wietrzyk niosący pył znad pobliskiej pustyni. Jego drobinki dostawały się ludziom do ust i oczu, powiększając i tak już nieznośne męki. Co gorsza upał sprawiał, że droga przed kolumną zdawała się falować i lśnić jak powierzchnia wody, co przypominało ludziom o nieziemskim

pragnieniu.

Kolejni ludzie zostawali z tyłu, ale tym razem optionowie rzadziej traktowali ich pałkami – po prostu na poboczu czekali na jadące za kolumną wozy. Katon także zwolnił nieco, teraz szedł już razem z grupą oficerów, kilka kroków za Macro. Większość centurionów dawała sobie radę, kilku dyszało ciężko, a ostatni z tych, którzy unikali ćwiczeń, padł właśnie na trawę.

Młody trybun nigdy wcześniej nie doświadczył takiego upału, choć pokonał, i to nieraz, syryjskie pustynie otaczające Palmirę. Dociskana przez pancerz tunika przylgnęła do ciała, utrudniając mu zaczerpnięcie tchu tak potrzebnego teraz, gdy mocował się z nosidłem, do którego przywiązano nie tylko resztę rynsztunku, ale i tarczę. Stopy miał ciężkie, jakby odlano je z ołowiu, dźwigał je już tylko siłą woli.

W końcu kolumna dotarła do wiosek otaczających Diospolis Magna i w polu widzenia umęczonych żołnierzy znów pojawiły się hałastry dzieci. Tym razem nikt nie zwracał na nie uwagi. Umęczeni legioniści nie próbowali ich nawet odpędzać.

Wczesnym popołudniem Katon dostrzegł na horyzoncie rozmyte kształty murów i kolumnad Karnaku. Serce zaczęło mu bić raźniej na ten widok, zaraz jednak zacisnął zęby i spuścił głowę, koncentrując się na własnych nogach. Wolał nie spoglądać w kierunku wciąż tak odległych świątyń.

– Przyśpieszcie kroku, chłopcy! – zawołał radośnie Macro. – Już prawie dotarliśmy do celu. Pokażcie pozostałym kohortom, jak maszerują prawdziwi żołnierze! – Jego wezwanie nie spotkało się z żadnym odzewem, zatrzymał się więc i stanął twarzą do kolumny. – Co z wami? Nie czujecie się szczęśliwi?

Centurionowie służący wcześniej w legionach na północy, nie wyłączając Katona, odpowiedzieli jednogłośnie:

– Jesteśmy zjebani!

Primus pilus zaśmiał się i poprowadził ich dziarskim krokiem przez ostatnią milę, aż na plac apelowy. Optionowie pogonili maszerujących, ponownie formując z nich zwarte oddziały, a gdy zeszły ze szlaku i zajęły te same miejsca, z których wyruszyły rano, podoficerowie stanęli na ich czele, dumnie zadzierając głowy.

– Kolumna! Baczność! – Głos Macro odbił się od wysokich murów.

Centurion złożył tobołek na ziemi, sięgnął po manierkę, pociągnął długi łyk, zakorkował naczynie. Potem ruszył wolnym krokiem wzdłuż linii uformowanej ze zdyszanych spoconych legionistów, dokonując pobieżnej inspekcji oddziałów. Zanim wydał rozkaz rozejścia się, jeszcze jeden Rzymianin padł na ziemię jak długi. Macro zignorował go. Oparłszy pięści na biodrach, przemówił do podwładnych:

– Mieliście przedsmak tego, czego doświadczycie po rozpoczęciu kampanii. Wiem, że wy, Szakale, palicie się do walki z Nubijczykami. Macie ducha prawdziwych żołnierzy, ale brakuje wam jeszcze sił. Armia, która szybciej i sprawniej maszeruje, może także efektywniej walczyć, a przez to wygrywać. – Donośny głos centuriona ulatywał z silniejszą wieczorną bryzą. Jego spojrzenie omiotło po raz ostatni wykończonych żołnierzy. – Kolumna! Rozejść się!

Gdy wydał ostatni rozkaz, ludzie pochylili się, jakby ktoś dosypał im kamieni do tobołków z rynsztunkiem. Pojedynczo albo grupkami ruszali ku północnym wrotom Karnaku. Macro przyglądał im się uważnie, dopóki nie wyłowił wzrokiem Hamedesa. Pozdrowił go skinieniem głowy.

– Dobra robota, chłopcze! Wygląda na to, że mimo wszystko

pasujesz do nas.

Kapłan wydął policzki.

– Chyba nie skuszę się na propozycję pozostania w legionie, panie.

– Ha! – Centurion wskazał kciukiem bramę. – Wracaj na kwaterę i śpij dobrze. Gdy otworzysz oczy, będziesz się dziwił, na co tak dzisiaj narzekałeś. A potem spróbujesz wstać i poczujesz się jak ostatnia kaleka.

– Dziękuję, panie – mruknął Hamedes, człapiąc niezdarnie w kierunku świątyń.

Macro podszedł do Katona, który wysączał ostatnie krople wody z manierki.

– Jakimś cudem udało ci się wytrwać do końca.

– Naprawdę? – Trybun był tak wyczerpany, że z trudem trzymał się na nogach. – Teraz już wiem, co znaczy być śmiertelnie zmęczonym…

– Przestań jojczeć. – Centurion wskazał głową nadjeżdżające wozy. – Ty chociaż dotarłeś tutaj o własnych siłach. Niektórym nie było to dane. Kazałem jednemu z optionów zrobić listę tych, którzy odpadli. – Macro sięgnął do przerzuconego przez ramię nosidełka i wyciągnął z niego woskową tabliczkę. – Ciebie na niej nie ma.

Katon zerknął na swój rynsztunek.

– Przywołanie któregoś z wartowników i nakazanie mu, by odniósł ten złom do magazynu oficerskiego, nie wyglądałoby chyba za dobrze.

– Raczej nie.

– Szlag… Komu w drogę, temu czas. – Trybun pochylił się,

zarzucił drąg na ramię i ruszył za przyjacielem w kierunku bramy. – Oddam to, zjem coś, napiję się i idę spać. Nie, zaraz, mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim padnę na pysk.

Aureliusz stanął przy lampce oliwnej, by przyjrzeć się przedstawionemu spisowi.

– To sami dobrzy oficerowie – mamrotał, kręcąc głową. – Znam ich od wielu lat. Nie możesz usunąć ich z zajmowanych stanowisk.

– Panie, oni nie zdołali ukończyć rutynowego marszu. Nie mają kondycji. Niektórzy są tak otłuszczeni, że nie mogą prawidłowo dopiąć pancerzy. Miej świadomość, że gdy poprowadzisz armię na wroga, ci ludzie nie nadążą za swoimi oddziałami. I kto wtedy będzie nimi dowodził? Zabraknie ci oficerów wtedy, gdy najbardziej będziesz ich potrzebował… – Katon zamilkł na moment. – Muszą zostać usunięci z zajmowanych stanowisk.

Legat westchnął głośno.

– Może i nie są w szczytowej kondycji, ale mają wiele innych przymiotów.

– Jakich na przykład?

– Mówię o ich… doświadczeniu. Przez wiele lat pięli się na szczyty, podobnie jak ja. Wiedzą wszystko o żołnierce, a nawet więcej.

– A jak wielkie doświadczenie mają w prowadzeniu kampanii, panie?

Aureliusz skrzywił się, odkładając listę. Spojrzał trybunowi w oczy.

– Nie zamierzasz im odpuścić, jak widzę.

– Nie, panie. Przydzieliłeś mnie i centurionowi Macro program

szkoleń legionu. Odpowiadam ci więc, panie, że z zawodowego punktu widzenia ci ludzie nie nadają się do czynnej służby. Aczkolwiek przyznaję, że usunięcie ich z legionu albo degradacja byłyby w tym wypadku zbyt dużym upokorzeniem. Dlatego sugeruję, żebyś przeniósł ich do obsługi kwatery głównej albo zostawił tutaj, na czele garnizonu. Tym sposobem nie zawiodą swoich ludzi, a ty wykorzystasz ich ogromne doświadczenie.

– A kto ich zastąpi?

– *Primus pilus* sporządził listę optionów, którzy zasługują na wstąpienie w szeregi centurionatu.

– Rozumiem. – Aureliusz zmierzył Katona lodowatym spojrzeniem. – Wszystko już obmyśliliście sobie.

– Służę Rzymowi najlepiej jak umiem, panie – odparł beznamiętnym tonem trybun. – A tobie zależy przecież, by legion był gotowy do wymarszu. Im szybciej dokonamy wymiany oficerów, tym prędzej będziemy w stanie uderzyć na Nubijczyków.

– Tak, chyba masz rację. – Legat podniósł woskową tabliczkę. – Natychmiast przeniosę wszystkich oficerów z tej listy. Dajcie mi jak najszybciej znać, kogo chcecie widzieć na ich miejscu. Czy to już wszystko? – zapytał jeszcze Aureliusz.

Katon skinął głową. Zaskoczył go ton, jakim legat się odezwał. Zdawać się mogło, że to on prosi starszego trybuna o możliwość zakończenia spotkania. Katonowi zrobiło się żal starego gryzipiórka. Aureliusz podjął się zadania, które przerastało jego siły, mimo to był wciąż zbyt dumny, by zrezygnować z zaszczytów, i próbował za wszelką cenę utrzymać się na czele armii. To także może być zarzewiem problemów, uznał trybun po chwili namysłu. Zrozumiał, że będzie musiał obchodzić się z tym człowiekiem jak z jajkiem, jeśli chce pokonać wroga. Z jednej

strony musi mu kadzić, z drugiej wskazywać, co robić.

– Tak, panie. Czy mogę odejść?

– Oczywiście. – Aureliusz machnął ręką. – Idź.

Katon pokłonił mu się, potem zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Właśnie mijał kolumnadę prowadzącą na sąsiedni dziedziniec, gdy wpadł na niego zdyszany młodszy trybun. Ten legion był pierwszym przydziałem Gajusza Juniusza, przybył do świątyni na dzień przed Macro i Katonem. Chłopak ten miał jasną karnację typową dla Rzymian. I był jak oni łasy na wszystkie pochwały. Podbiegł, gdy tylko dostrzegł Katona.

– Co się dzieje, Juniuszu? – zapytał Katon, zanim trybun zdołał zapanować nad chrapliwym oddechem. – No mówże wreszcie!

– Wróg, panie… Już tu jest.

Katon poczuł ukłucie niepokoju.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na brzegu, panie… – dyszał wystraszony chłopak. – Zaatakował jeden z naszych posterunków, panie.

Katon zerknął w kierunku wewnętrznego dziedzińca.

– Powiadom legata. Potem zadbaj, by wszyscy starsi oficerowie stawili się w kwaterze głównej. Oprócz ciebie, rzecz jasna. Jesteś dzisiaj dyżurnym trybunem, jak widzę?

– Tak, panie.

– Zatem gdy już powiadomisz legata i zorganizujesz odprawę, każesz ogłosić zbiórkę. Każdy legionista i żołnierz kohort pomocniczych ma być gotowy do natychmiastowej akcji. Ruszaj!

Kiedy kroki młodszego trybuna cichły w oddali, odbijając się echem od kolumn, Katon stał nadal, zaciskając pięści w bezsilnej złości. Jakim cudem Nubijczycy zdołali dotrzeć tak szybko

w pobliże Karnaku?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Przyzwoite fortyfikacje – ocenił Ajaks, poklepując dłonią parapet zdobiący szczyt pylonu. – Dobrze nam posłużą.

Karim spojrzał w dół na grube ściany świątyni i okalający je wysoki mur z cegły mułowej. Miał oko do umocnień, wiele lat służył partyjskiemu wielmoży, zanim został schwytany, sprzedany i zmuszony do walk na arenie. Kompleks świątynny był wystarczająco duży, by pomieścić wszystkich ludzi gladiatora i wysłanych razem z nim Arabów księcia Talmisa. Od innych okolicznych miejsc kultu różnił się bardzo istotnym szczegółem – tylko jedno wejście prowadziło do wnętrza świątyni, w dodatku zabezpieczone masywnymi wrotami. Wygląda, jakby ktoś chciał zbudować w tym miejscu warownię, pomyślał medyk.

Co ciekawe, gdy kolumna zbrojnych dotarła w to miejsce, okazało się, że mieszka tam tylko garstka kapłanów. Ich zwłoki spoczywały teraz w jednej z komnat wotywnych.

– W rzeczy samej, wodzu. To miejsce wypatrzył nasz szpieg Kantus. Te rzymskie psy będą musiały się natrudzić, by nas wybić albo przepędzić.

Ajaks zauważył niepewny ton kompana i uśmiechnął się do niego.

– Spokojnie, Karimie. Przybyliśmy tutaj, aby odwrócić uwagę od poczynań księcia. Nie zamierzam bronić tej świątyni do upadłego. Gdy nadejdzie pora, damy nogę. Tymczasem musimy

robić co w naszej mocy, by jak najdłużej powstrzymać wymarsz Rzymian.

Karim zadał następne pytanie dopiero po dłuższym milczeniu.

– Ufasz mu?

– Księciu Talmisowi? Nie bardziej niż parszywemu psu, ale pomaganie mu służy chwilowo naszej sprawie.

– Tyle że poświęci nas bez mrugnięcia okiem.

Ajaks spojrzał na medyka, uśmiechając się szeroko.

– Dlaczego tak bardzo wątpisz w moją mądrość? Naprawdę myślisz, że nie zauważam niebezpieczeństw wynikających ze służby u Nubijczyków?

Karim pokłonił się nisko.

– Wybacz, wodzu. Ufam ci bezgranicznie, nie wierzę tylko w zapewnienia księcia.

– A cóż takiego nam obiecał? Dal nam szansę na dalsze prowadzenie wojny z Rzymem i zabranie tego, co zdobędziemy. To drugie mnie nie obchodzi, aczkolwiek rozumiem, że nasi chłopcy chętnie podzielą się złotem i innymi błyskotkami. Wiem, że Talmis uważa, iż tanio kupił nasze skóry, ale mnie zależy tylko na tym, bym mógł zadać Rzymowi jak największe straty. Jeszcze niedawno byliśmy dwudziestoma wyrzutkami, teraz mamy do dyspozycji prawie pięciuset ludzi księcia. – Gladiator wskazał palcem dziedziniec świątyni, na którym ubrani na czarno jeźdźcy pętali swoje wielbłądy. Nosowe ryki zwierząt niosły się aż na szczyt budowli, zagłuszając wrzaski grupki mężczyzn walczących o zdobne szaty należące niegdyś do zabitych kapłanów.

Karim przyglądał im się przez chwilę.

– Miejmy nadzieję, że okażą się bardziej zdyscyplinowani, gdy

staniemy do walki z wrogiem.

– Dowiemy się tego jeszcze tej nocy – odparł Ajaks i odwrócił się twarzą do Nilu.

Dwie mile dalej na niskim wzgórzu widać było zarysy fortu i wieży sygnałowej. Nadal nie zauważał żadnych znaków świadczących o tym, że tutejszy garnizon odkrył kolumnę zbrojnych, która przybyła z pustyni, od zachodu. Obozujące na przeciwległym brzegu oddziały Rzymian wciąż były nieświadome obecności wroga, a gdy zabrzmi w końcu alarm, będą potrzebowały wielu godzin, by przeprawić na tę stronę rzeki wystarczające siły. Ajaks się uśmiechnął. Szpieg umieszczony w obozie wroga dowiódł już swojej przydatności. Gladiator poznał dokładnie liczebność rzymskiej armii, a nawet, co było jeszcze cenniejsze, zdobył dane wszystkich wyższych oficerów. Ucieszyła go więc wieść, że znienawidzeni przez niego dranie znajdują się na wyciągnięcie ręki. Zażądał od swojego nubijskiego sojusznika tylko jednego – jeśli Katon albo Macro zostaną wzięci żywcem, muszą trafić w jego ręce. Zamierzał ich ukrzyżować, jak oni ukrzyżowali jego ojca. Na myśl o tym od razu poczuł się weselej. Hołubił tę myśl jeszcze przez chwilę, a potem skupił uwagę na innych, ważniejszych teraz celach. Zemsta musi poczekać, uznał.

– Karimie, zostawię ci trzystu ludzi. Napraw wszystkie umocnienia i rozstaw patrole od strony rzeki. – Wskazał palcem niewielką wioskę leżącą o strzał z łuku od świątyni. – Zabierz całą żywność, jaką tam mają, później wypal wieś do gołej ziemi. – Part skinął głową. – To wszystko. Ja wrócę z resztą wojowników o trzeciej albo czwartej godzinie po zmierzchu. Zadbaj, by nasi wartownicy o tym wiedzieli. Wolałbym nie zginąć z ręki własnego człowieka.

– To by było pożałowania godne – odparł śmiertelnie poważnie

medyk.

Ajaks zaśmiał się i poklepał Parta po ramieniu.

– Do zobaczenia, przyjacielu.

Zapadła noc. Wszędzie wokół słychać było pieśni godowe cykad. Ostatnie podmuchy wiatru kołysały palmowymi liśćmi – w ich nieustannym szumie niknęły odgłosy kroków ludzi zbliżających się ostrożnie do fortu. Przed nimi wyrastały czarne jak smoła mury pnące się wysoko w atramentowe rozgwieżdżone niebo.

Gladiator postanowił, że poprowadzi ten atak, stając na czele oddziału swoich przybocznych. Ich zadaniem było przedostanie się za mury, otwarcie bramy i wpuszczenie reszty atakujących, którzy ukryli się na otaczających wzniesienie poletkach poprzecinanych siecią rowów irygacyjnych. Mieszkańcy domów w pobliżu umocnień zostali już uciszeni, aby nikt przypadkowo nie podniósł alarmu.

Szykujący się do ataku Ajaks poczuł znajome drżenie w krzyżu. Dobył więc powoli miecza i odwracając się do pozostałych, wyszeptał:

– Idziemy.

Nisko pochylony pobiegł w górę łagodnego zbocza. Niedaleko szczytu dostrzegł skałkę wpasowaną w zewnętrzne umocnienia. W tym miejscu mur miał nie więcej niż dziesięć stóp wysokości, dokładnie tyle, ile mówił szpieg. Oddział gladiatora podszedł jeszcze bliżej i wtedy na szczycie muru ktoś się poruszył. Blask gwiazd odbił się od wypolerowanego hełmu i długiego grota włóczni strażnika, który dokonywał obchodu swojego odcinka umocnień. Ajaks przypadł do ziemi, nakazując swoim ludziom zrobić to samo. Wpatrzony w szczyt muru odczekał, aż Rzymianin zniknie za pobliskim narożnikiem fortu. Dopiero

wtedy podniósł się, stanął pod pionową przeszkodą, czekając, aż pozostali dołączą do niego, by potem razem z nimi podkraść się do skał. Wspiął się po nich aż do miejsca, gdzie płaski głaz przylegał do zewnętrznej powierzchni muru. Przyboczni szli za nim kolejno, zajmując szybko miejsca po obu stronach. Gdy ostatni stanął na głazie, Ajaks wybrał najroślejszego gladiatora, Celta imieniem Ortoryks, który walczył na arenach wschodniej części imperium jako ciężkozbrojny mirmillo. Olbrzym oparł się plecami o mur, ugiął nogi w kolanach i splótł dłonie. Ajaks oparł stopę na jego rękach i wyszeptał:

– Jestem gotowy.

Ortoryks podnosił go z cichym jękiem, a gdy stopy gladiatora znalazły się na wysokości jego ramion, zacisnął zęby, skupiając się jeszcze bardziej. Rozpłaszczony przy murze Ajaks próbował wymacać bliski już parapet. Gdy tylko poczuł pod palcami wolną przestrzeń, wpił się w nią jak rdza w żelazo. Celt podnosił go dalej, więc moment później mógł już chwycić przeciwległą krawędź blanek. Coś osypało się pod jego chwytem, zmówił więc szybką modlitwę, błagając bogów, by rozeschnięta glina utrzymała jego ciężar. Potem przerzucił nogę przez szczyt muru i przetoczył się na pomost.

Zerwał się z desek natychmiast i rozejrzał po wewnętrznej części fortu. Umocnienia zostały wzniesione na planie kwadratu. Wieżę sygnałową ustawiono naprzeciw jedynej bramy. Do wewnętrznej strony murów przylegało kilka niewielkich zabudowań. Miały płaskie dachy nakryte strzechami z palmowych liści, zupełnie jak chaty tutejszej biedoty, aby chronić przed słońcem i zapewniać powietrzu odpowiednią cyrkulację. W jednym z takich domków płonął ogień. Na pomost docierał zapach pieczonego mięsa, słychać też było głosy mężczyzn – sądząc po tonie, nadal nie wyczuwających żadnego

zagrożenia. Gdzieś w pobliżu ktoś głośno chrapał, z budynków w oddali dobiegał zduszony gwar. Wartownik krążący po murach minął właśnie zadaszoną bramę i oddalał się od pozycji Ajaksa. Sylwetkę drugiego gladiator dostrzegł na szczycie wieży sygnałowej – ten z kolei spoglądał ku Nilowi.

Wychylił się za blanki zadowolony, że udało mu się pozostać niepostrzeżonym, i skinął na czekających w dole ludzi. Ortoryks podźwignął pierwszego, Ajaks zaś pomógł mu dostać się na pomost.

– Biegnij do bramy, tylko żeby cię nie zauważyli.

Renegat skinął głową i pochyliwszy się nisko, pobiegł wzdłuż muru. Gladiator odwrócił się, by pomóc kolejnemu z przybocznych. W tym momencie zauważył, że wartownik zbliża się do ostatniego narożnika i lada chwila ruszy w jego kierunku.

– Czekaj! – wyszeptał. – Zostań tam, póki nie wrócę.

Zerknął w dół po wewnętrznej stronie. Pod pomostem znajdowała się kopa siana i uwiązany przy niej muł. Na stogu leżał gruby żołnierz jednostek pomocniczych, ręce złożył na krągłym brzuchu. Obok niego spoczywała podłużna amfora. Zerkając ku narożnikowi, gladiator zobaczył skręcającego wolno wartownika. Nie miał czasu na dalsze rozważania, opuścił się na rękach i zeskoczył prosto w siano. Wystraszone hałasem zwierzę zaczęło porykiwać.

– Szo… – Pijany żołnierz poruszył ręką, by otrzeć usta. – Szo jesz?

Zaczął się podnosić na łokciu, więc Ajaks dobył miecza i pchnął nim mocno, zatykając ofierze usta lewą dłonią. Klinga weszła miękko w brzuch, pod kątem, sztych oparł się o któreś z żeber. Zaatakowany próbował krzyczeć, wierzgnął też mocno, nieomal zrzucając gladiatora. Ten jednak pokręcił mieczem w ranie,

uderzając czołem w twarz Rzymianina, który natychmiast zwiotczał i znieruchomiał w sianie. Ajaks dla pewności dźgnął go jeszcze raz, kierując klingę ku sercu, i dopiero cofnął prawicę. Z góry dobiegał coraz wyraźniejszy stukot sandałów wartownika. Nie mając czasu na ukrycie zwłok, gladiator ułożył je na plecach, przysypując sianem najbardziej zakrwawioną część tuniki. Potem sam zakopał się w stogu i znieruchomiał. Strażnik podszedł jeszcze bliżej i… echo jego kroków umilkło.

– Co to, Minimusie, czyżbyś już się zbudził?

Ajaks poczuł, że serce zaczyna mu walić jak oszalałe, zaraz jednak wziął się w garść i spróbował zachrapać, imitując odgłosy, które słyszał jeszcze przed chwilą. Wartownik zarechotał, po czym ruszył dalej. Gladiator nie umilkł, dopóki z góry nie przestały docierać jakiekolwiek dźwięki. Później wyswobodził się z siana, wspiął ponownie na mur i zaczął wciągać kolejnych przybocznych. Ortoryks pojawił się na pomoście ostatni. Trzeba było aż trzech ludzi, żeby go podciągnąć. Mając przy sobie Celta i pozostałych, Ajaks ruszył w kierunku pomostu nad bramą. Wartownik wciąż nie wychodził spod zadaszenia, a gdy tam dotarli, znaleźli jego zwłoki leżące bezwładnie pod blankami.

– Gdy otworzymy wrota, macie je zablokować i narobić jak najwięcej hałasu – rozkazał gladiator. – Zrozumiano?

Pokiwali głowami w półmroku na znak, że zrozumieli, więc ruszył wąskimi stopniami w dół. Po wyjściu ze strażnicy przywołał Ortoryksa i wspólnie spróbowali podnieść belkę blokującą oba skrzydła wrót tak, by nie narobić przy okazji hałasu. W tej samej chwili wartownik na wieży oderwał wzrok od wód Nilu, wyprostował plecy i spojrzał na dziedziniec fortu. Patrzył prosto na strażnicę, tak to przynajmniej wyglądało z perspektywy Ajaksa. Z pewnością szuka wzrokiem drugiego wartownika, pomyślał gladiator. Sklął się za to, że nie kazał

jednemu ze swoich zająć miejsca martwego Rzymianina. Teraz było już na to za późno.

– Zaraz się na nas rzucą – mruknął do Celta. – Lepiej zabierzmy się za otwieranie bramy.

Naparli na ciężką belkę, odrzucili ją i chwyciwszy za żelazne pierścienie, zaczęli otwierać masywne wrota. Gdy zawiasy zaskrzypiały jakby z wyrzutem, wartownik na wieży przyłożył dłonie do ust.

– Do broni! Do broni! – Jego głos odbijał się echem od murów fortu. – Atakują nas!

Ajaks wyszarpnął miecz z pochwy, by wskazać nim baraki koszar.

– Idźcie tam! Zabijcie ich! Zabijcie wszystkich!

Gladiatorzy i przyboczni ruszyli przed siebie z ogłuszającym rykiem. Za ich plecami rozległy się kolejne wrzaski i setki czarnych sylwetek wychynęło z mroku, gnając po zboczu ku otwartej bramie.

Ajaks biegł na czele swoich ludzi, kierując się na zabudowania po prawej. Obrońcy wychodzili z nich już prosto w ciemności nocy. W dłoniach dzierżyli taką broń, jaką zdążyli złapać. Wielu miało miecze, inni ściskali w dłoniach włócznie. Żaden jednak nie miał na sobie pancerza ani hełmu, co nie uszło uwagi gladiatora. Szanse w tym starciu będą bardzo wyrównane.

Nagle z drzwi obok wypadł jakiś człowiek. Ajaks nie miał szans uniknąć zderzenia, wpadł więc na niego z całym impetem. Instynktownie dziabnął zaskoczonego żołnierza mieczem w pierś, a gdy tamten padał, krzycząc głośno, po prostu nad nim przeskoczył. Odzyskał równowagę i zdążył sparować pchnięcie włóczni. Inny Rzymianin usłyszał krzyk rannego i odwrócił się

błyskawicznie. Zrobił też coś jeszcze – wywijając włócznią, wyprowadził kolejne pchnięcie, tym razem mające trafić drzewcem w głowę. Gladiator uchylił się, ale i tak poczuł ból w otartej drągiem skroni. Rozsierdził go ten prawie udany atak, więc skoczył do przodu, nurkując pod włócznią i chwytając przeciwnika za szyję. Wymacał palcami krtań żołnierza i ścisnął ją z całych sił. Rzymianin odrzucił natychmiast broń i chwycił oburącz przedramię Ajaksa, odsłaniając się jednocześnie i nie mogąc zablokować kolejnych pchnięć miecza w brzuch. Odrzucając konającego na bok, gladiator omiótł wzrokiem wnętrze fortu. Gdziekolwiek spojrzał, jego przyboczni wyrzynali obrońców. Rzymianie nie mieli żadnych szans. Zostali zaskoczeni i zaatakowani przez najlepiej wyszkolonych zabójców, jacy stąpali po ziemi imperium. A moment później do tej nierównej walki przyłączyli się jeszcze nadbiegający Arabowie.

– Dość! – zawołał ktoś w pobliżu Ajaksa. – Poddajemy się! Rzućcie broń, chłopcy!

Ci, którzy znajdowali się w pewnym oddaleniu od pola walki albo wychodzili dopiero z koszar, opuścili broń. Raz jeszcze szczęknęły krzyżowane miecze, potem zapadła cisza.

– Nie oszczędzać nikogo! – wrzasnął gladiator.

Znów skoczył przed siebie, ścinając chudego jak tyczka wiarusa. Zanim śmiertelnie raniony starzec padł na ziemię, Ajaks już pędził w kierunku dowódcy fortu, masywnego mężczyzny o przerzedzonych włosach. Centurion zrobił unik, sięgając jednocześnie po rzucony przed momentem miecz. Spróbował uderzyć nim z obrotu, by zaskoczyć mijającego go przeciwnika, ale chybił, a gladiator, obróciwszy się szybko na pięcie, spojrzał mu w oczy.

– Giń! – ryknął i wyprowadził szaleńczą nawałę cięć. Centurion

sparował je z trudem, a potem osłonił się mieczem przed spadającym na jego głowę ostrzem. Ajaks zmienił wszakże w ostatniej chwili kierunek uderzenia i lśniąca klinga przeszła przez nadgarstek oficera, zagłębiając się w jego barku. Krótki miecz spadł z metalicznym klangiem na ubitą ziemię, na jego rękojeści wciąż zaciskała się odjęta dłoń. Centurion padł na plecy, wyjąc z bólu. Gladiator stanął nad nim, szczerząc się tryumfalnie, i jednym szybkim ruchem poderżnął gardło rannego. Konający Rzymianin wierzgał jeszcze przez chwilę, opryskując wszystko wokół krwią.

Gdy Ajaks oderwał od niego wzrok, zobaczył, że fort już należy do niego. Wszyscy żołnierze leżeli na ziemi, a jego ludzie stali nad ich ciałami, ciężko dysząc. Jeszcze moment i całkiem opadnie z nich morderczy szał. Ortoryks zaśmiał się nerwowo.

– Dokonaliśmy tego, chłopaki! – Wymierzył mieczem w niebo, dobywając z krtani wojenne zawołanie swoich galijskich przodków.

Pozostali poszli jego śladem, a potem ktoś wykrzyczał imię Ajaksa, ktoś inny zaintonował pieśń. Kręcący się wokół Arabowie przeszukali ciała poległych Rzymian, po czym pognali do baraków, by zrabować wszystko, co zdołają wynieść.

Gladiator pokiwał głową z widoczną satysfakcją.

– Dobra robota! A teraz dokończmy dzieła. Spalić ten burdel!

Gdy kolumna wyruszyła ku świątyni, Ajaks przystanął na moment, by przyjrzeć się swojemu ostatniemu dziełu. Jasne płomienie strzelały w niebo zza murów, oświetlając cały pagórek, na którym wzniesiono fort, i rzucając migotliwe cienie na pobliskie pola i gaje palmowe. Belki wieży sygnalizacyjnej zajęły się już ogniem, zaraz strzecha konstrukcji zapłonęła jak pochodnia i nagle zrobiło się jeszcze jaśniej. Trwało to krótko,

gdyż pękła jedna z nadpalonych podpór wieży i wysoka konstrukcja przechyliła się, a potem runęła w sam środek morza płomieni, posyłając w niebo chmury iskier. Huk tej katastrofy dotarł do uszu gladiatora dopiero po chwili.

– Piękny widok – wymamrotał uszczęśliwiony Ortoryks. – Raduje serce, nie inaczej.

Ajaks skwitował słowa olbrzyma przyjaznym uśmiechem, poklepał go jeszcze po plecach.

– Nie da się go nie zauważyć z tamtej strony Nilu – dodał Celt.

– Tak. Można śmiało powiedzieć, że powiadomiliśmy Rzymian o naszym przybyciu. Zobaczmy teraz, jak zareagują.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Legat i najwyżsi oficerowie udali się na przystań. Przemaszerowali przez cały kompleks świątynny w świetle niesionych przez eskortę pochodni, zwracając na siebie uwagę obozujących w pobliżu legionistów i żołnierzy jednostek pomocniczych. Wielu wybiegało z namiotów, dopinając pancerze i chwytając za broń. Ci, którzy uporali się z rynsztunkiem najprędzej, spieszyli na wyznaczone stanowiska bądź miejsca zbiórki poszczególnych jednostek, gdzie mieli czekać na następne rozkazy.

Katon, maszerując aleją sfinksów, widział w oddali lunę unoszącą się nad płonącym fortem. Nieco niżej dostrzegł też migoczące odbicie pożaru w wodach Nilu.

– To ten posterunek? – zapytał Juniusza.

– Tak, panie.

– Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz – zażądał Katon.

Trybun obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Ale…

– Jestem tutaj dopiero od kilku dni – wyjaśnił pospiesznie Katon. – Nie miałem kiedy zapoznać się z terenem.

– Wybacz, panie. Nie wiem zbyt wiele. To niewielki fort. Stacjonuje w nim półcenturia z kohorty pomocniczej. Strzeże szlaku handlowego biegnącego tamtym brzegiem rzeki. A raczej

strzegł, zanim zdobyli go Nubijczycy.

Macro stał już na przystani, wpatrując się w odległe płomienie.

– A skąd pewność, że to robota wroga? – zapytał. – To mogli być Arabowie z pustyni albo jakiś dureń zaprószył ogień w spichrzu. Czy dowódca tego fortu wysłał jakąś wiadomość?

– Nie, panie.

– Hm… – Macro potarł dłonią brodę. – Nadal nie jestem przekonany. Jeśli się mylisz, trybunie, przez ciebie postawiliśmy na nogi całą armię. Wątpię, aby przysporzyło ci to popularności. A poza tym nie musisz mnie tytułować, mimo że jestem pierwszym centurionem.

– Przepraszam. – Juniusz całkiem się pogubił, więc Katon postanowił przyjść mu w sukurs.

– Dobrze zrobiłeś. Istnieje możliwość, że ogień został zaprószony przypadkowo. Z drugiej jednak strony toczymy wojnę, więc musimy zakładać, że to dzieło wroga. Ciężko poznać prawdę, gdy własne patrole nie zapuszczają się dalej niż na dziesięć mil.

Aureliusz usłyszał tę uwagę. Zastrzygł uszami, ale nie odezwał się słowem. Nie oderwał też wzroku od drugiego brzegu rzeki. Dopiero po chwili odwrócił się do szefa sztabu.

– Geminusie, mieliśmy jakieś raporty o ruchach wroga?

– Nie, panie. Żaden ze zwiadowców nie meldował o pojawieniu się wroga. Raporty patroli także nie wspominają o niczym niezwykłym.

– To już coś. Być może mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem. Wyślijcie kogoś na drugi brzeg, jeśli nie otrzymamy meldunku z fortu w ciągu najbliższej godziny.

– Tak, panie. – Geminus odchrząknął. – A co z ludźmi, panie?

– Słucham? – Legat spojrzał na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Czy mam odwołać alarm, panie?

Aureliusz spojrzał na widoczną w oddali łunę. Milczał przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie. Dopóki nie ustalimy przyczyn tego pożaru, wszyscy mają zachować gotowość bojową.

Macro spojrzał na przyjaciela, unosząc znacząco brew. Katon zignorował go, nie odrywając wzroku od ognia. Łuna była coraz jaśniejsza, wyglądało na to, że pożar rozprzestrzenił się na cały fort. Trzeba było podjąć jakąś decyzję, więc Katon podszedł do legata.

– Panie, wydaje mi się, że nie powinniśmy czekać na raport. Lepiej będzie już teraz wysłać kogoś na drugi brzeg. Jeśli to robota wroga, powinniśmy dowiedzieć się o tym jak najprędzej. A jeśli mamy do czynienia z wypadkiem, dowiemy się, czy garnizon nie potrzebuje pomocy.

– Zgłaszasz się na ochotnika do przeprowadzenia tego zwiadu, trybunie? – zapytał oschle Aureliusz. – Nie sugerujesz chyba, że powinienem posłać tam któregoś z młodszych oficerów?

– Pójdę, panie – odparł Katon. Insynuacja przełożonego doprowadziła go do furii. – Lepiej wysłać tam kogoś doświadczonego, panie.

– W takim razie – wtrącił Macro – to robota w sam raz dla mnie.

Katon odwrócił się do przyjaciela.

– Niekoniecznie. Sam dam sobie radę. – Centurion otworzył usta, ale zanim coś powiedział, przypomniał sobie, że czasy

ojcowskich rad należą już do przeszłości. Zmilczał więc, spoglądając jedynie ponuro na młodszego przyjaciela. Katon zauważył to i pokręcił głową.

– Nie tym razem.

– Dlaczego nie? – zainteresował się Aureliusz. – Co dwie głowy, to nie jedna, jak mówią. Jestem pewien, że legion przetrwa waszą kilkugodzinną nieobecność. Zabierz ze sobą pierwszego centuriona.

– Spoglądając na trybuna, udał zatroskanie. – Dla świętego spokoju. Weźcie też ze sobą młodego Juniusza-, skoro ten alarm to jego robota. Jeśli okaże się, że to tylko przypadkowy pożar, przyda mu się noc spędzona pod gołym niebem. Może to ostudzi mu głowę i nie będzie taki wyrywny w najbliższej przyszłości.

– Czy to rozkaz, panie? – zapytał Katon.

– Tak. Złożycie mi raport zaraz po powrocie. – Legat uniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę pozostałych oficerów. – Dość już widziałem. Wracamy do kwatery głównej. Geminusie, przekaż dowódcom oddziałów, że mają trzymać ludzi pod bronią, dopóki nie wyjaśnimy, co tam się stało.

– Tak, panie.

Po tych słowach legat odwrócił się i poprowadził orszak sztabowców w kierunku bram kompleksu świątynnego. Katon, spoglądając za nim. kręcił głową.

– Wybacz, panie – mruknął Juniusz. – Nie chciałem narobić ci kłopotów. Czy żołnierze naprawdę będą mieli mi to za złe? Znienawidzą mnie z powodu tej pobudki?

– Chłopcze – Macro uśmiechnął się do niego – zostałeś trybunem z powodu wysokiego urodzenia i koneksji, jak większość podobnych tobie młodzieńców. Nie masz żadnego

doświadczenia bojowego, a po odsłużeniu tury wrócisz do Rzymu, by objąć jakąś wygodną posadkę. I choćby dlatego wszyscy zawodowi żołnierze będą cię darzyli szczerą pogardą.

– Ojej – Juniuszowi zrzedła mina. – A tak liczyłem, że zaskarbię sobie ich szacunek.

– Nadal masz na to szanse – przyznał centurion. – Walcz dzielnie, gdy uderzymy na Nubijczyków.

Katon wskazał lunę.

– A to może mieć miejsce prędzej, niż przypuszczasz.

– Albo i nie. Dlaczego wróg miałby uderzyć właśnie tutaj? – zapytał Macro. – To nie ma sensu. Skoro chcieli nas zaskoczyć, dlaczego nie zaatakowali obozu? Dlaczego zniszczyli podrzędny posterunek, ujawniając przed nami swoją obecność? Powiadam wam, że to musiał być wypadek, a jak dopadnę drania, który zaprószył ten ogień, to tak dam mu popalić, że mnie popamięta.

Od strony nabrzeża zbliżył się jakiś człowiek. Byt to Hamedes.

– Słyszałem twoją rozmowę z legatem, panie – wyznał przepraszającym tonem. – Chciałbym iść z wami. Gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, mógłbym walczyć u waszego boku. O ile na to pozwolicie.

– Nie. Nie będziesz nam potrzebny. Mam do tego dosyć ludzi. Wracaj do obozu i spróbuj odpocząć.

Kapłan wyglądał na urażonego.

– Panie, złożyłem Ozyrysowi przysięgę, że będę stał u twego boku, dopóki nie zwyciężymy.

– Jestem pewien, że Ozyrys wybaczy ci to odstępstwo – zapewnił go kojącym tonem Katon. – A teraz szoruj do obozu. To rozkaz.

Hamedes skrzywił się, ale posłuchał i zniknął ponownie w mroku.

– Chłopak ma ochotę do bitki, bez dwóch zdań – stwierdził Macro z zadowoleniem. – I to po całodziennym marszu.

– Nie mam zamiaru krytykować jego nastawienia, dopóki nie zacznie mi się narzucać. – Katon podszedł do stopni prowadzących na drewniane pomosty. – Chodźcie. Miejmy to już za sobą.

– Niektórych ludzi nie sposób zadowolić – jęknął centurion.

Katon przywołał drużynę legionistów z pierwszej kohorty, kazał im wejść na pokład najbliższej barki i dobudzić śpiącą przy nadburciach załogę. Chwilę później ziewający wciąż kapitan rozkazał dwóm żeglarzom odepchnąć płaskodenny statek od nabrzeża i skierować go na środek nurtu. Potem zaczął nawoływać do podniesienia żagla, ale Katon kazał mu zamilknąć.

– Nie. Z żaglem łatwiej nas będzie zauważyć. Popłyniemy na wiosłach.

– To potrwa dłużej – zaprotestował Egipcjanin. – Nie mówiąc już o morderczym wysiłku.

– Płyniemy na wiosłach – oświadczył Katon, kończąc dyskusję, po czym przeszedł pod maszt i po prostu usiadł.

Macro i Juniusz dołączyli do niego, a pozostali legioniści zajęli wolne skrawki pokładu, trzymając się z dała od obu nieszczęśliwie wyglądających członków załogi, którzy wysunęli długie wiosła i zanurzyli ich pióra w czarnych wodach Nilu. Statek pokonał najbystrzejszy nurt, później zwolnił, zbliżając się do przeciwległego brzegu. Pożar w tym czasie zaczął już dogasać. Krwawa łuna wciąż jednak oświetlała szczyty muru okalającego fort.

Katon odwrócił się i rzucił do kapitana:

– Podpłyń jak najbliżej. Jeśli zostaniemy zmuszeni do ucieczki, nie mam zamiaru wypluć płuc, ganiając dalej, niż trzeba.

Żeglarz wymamrotał coś z goryczą, lecz skierował barkę jeszcze bliżej brzegu. Rzymianie minęli kilka chałup, których lokatorzy spali w najlepsze, nie mając bladego pojęcia o pożarze. Gdy dotarli w pobliże fortu. Katon, przyjrzawszy się otaczającym ich ciemnościom, nakazał dobić do brzegu. Pamiętając atak ukrytego w trzcinach krokodyla, wybrał miejsce, gdzie woda obmywała ubitą ziemię. Statek zarył dziobem w płyciznę, ale płynął bardzo wolno, więc żołnierze zakołysali się tylko. Katon wstał pierwszy, odpiął pas, potem zdjął pancerz i hełm.

Macro spojrzał na niego zdziwiony.

– Co ty wyprawiasz, panie?

– Nie przypłynęliśmy tutaj walczyć, tylko na zwiady – odparł trybun, przekładając pas z mieczem przez ramię. – A wy na co czekacie?

Centurion poszedł w jego ślady, mamrocząc pod nosem, a Juniusz przyłączył się do niego chwilę później.

– Ty nie – rzucił Katon do młodego trybuna.

Juniusz zamarł.

– Słucham, panie?

– Ty zostaniesz tutaj.

– Kazano mi iść z wami, panie.

– A ja rozkazuję ci zostać tutaj. Powierzam ci dowodzenie barką pod moją nieobecność. Upewnij się, że nasz kapitan nie stchórzy. Jeśli będziemy musieli uciekać, chciałbym, żeby załoga była gotowa natychmiast odbić od brzegu. Czy to jasne?

– Tak, panie.

Katon zsunął się za burtę, lądując po łydki w wodzie. Dotarł szybko na brzeg i przebiegł do miejsca porośniętego wyższą trawą. Macro dołączył do niego po chwili i razem wyruszyli do oddalonego o niespełna pół mili fortu. Zaraz trafili na pole obsiane zbożem i szli nim na przełaj, dopóki drogi nie zagrodził im szeroki rów irygacyjny. Oba jego brzegi porastała gęsto trzcina. Katon przystanął tam, nasłuchując uważnie.

– Co się dzieje? – zapytał Macro.

– Nic… Idziemy dalej.

Prefekt zsunął się ku wodzie i zamarł, słysząc głośny plusk po lewej. Coś wielkiego przeciskało się w głębi trzcinowiska. Macro natychmiast sięgnął po miecz. Obaj znieruchomieli.

– Co to było? – zapytał centurion.

– Na słuch mogę domniemywać, że krokodyl. Moim zdaniem powinniśmy znaleźć inną drogę.

– Krokodyl? – Macro schował miecz powolnym ruchem. – Dobry pomysł.

Szli wzdłuż rowu niemal ćwierć mili, nie znajdując jego końca ani żadnej przeprawy. Potem Katon zaczął się zżymać, że marnują cenny czas, i zdecydował, że powinni wrócić tam, skąd przyszli. Pocąc się obficie, bo noc była upalna, poszli w przeciwnym kierunku i po pewnym czasie trafili na chwiejną kładkę.

– Ty pierwszy, panie – powiedział Macro.

– Dzięki. – Trybun stanął na grubej desce, sprawdzając, czy wytrzyma jego ciężar. Ugięła się, ale nieznacznie. Przeszedł więc na drugą stronę, stawiając ostrożnie kroki, i poczekawszy na przyjaciela, podjął wędrówkę do fortu. Byli już wystarczająco

blisko, by słyszeć trzaskanie płomieni i poczuć swąd dymu. Katon zatrzymał się na chwilę.

– Nie słyszę żadnych krzyków.

Macro nadstawił ucha.

– Ja też. Kompletna cisza. Wygląda na to, że myliłem się, sądząc, iż mamy do czynienia ze zwykłym wypadkiem.

– Skoro wróg zajął fort, dlaczego nie ma go tutaj teraz?

– Może to był klasyczny podjazd? – zasugerował centurion.

Trybun przytaknął.

– Niewykluczone. Przyjrzyjmy się temu dokładniej.

Dotarli do podnóża wzniesienia i zaczęli się wspinać ku umocnieniom. Odór spalenizny był tu tak silny, że z trudem mogli oddychać, zwłaszcza gdy dotarli w pobliże bramy. Tam poczuli coś jeszcze. Coś znacznie bardziej cuchnącego: spalone ciała. Strażnica zawaliła się, więc mogli jedynie zajrzeć za rumowisko. Katon skrzywił się, czując bijący mu w twarz żar. Wnętrze fortu zostało obrócone w ruinę przez szalejące pożary. Ogień nie wygasł do końca, w blasku płomieni dostrzegł wyraźnie porozrzucane po placu zwęglone ludzkie szczątki.

– Jeśli o mnie chodzi, mamy wystarczające dowody – stwierdził centurion. – To miejsce zostało zaatakowane. A żadna banda obdartusów nie ważyłaby się na coś takiego. Może to nie był zbyt wielki fort, ale jego załoga mogła stawić czoło znacznym siłom wroga.

– To prawda. Lepiej wracajmy i złóżmy raport legatowi.

Gdzieś w oddali rozległ się głośny okrzyk. Coś jakby narastający lament. Trwał chwilę i umilkł jak nożem ucięty.

– Dobiegał od strony łodzi – powiedział Katon. – Chodźmy.

Zbiegli ze zbocza i zagłębili się ponownie w wielkie pola, idąc własnym śladem wydeptanym w dojrzewającym zbożu. Wtedy usłyszeli zawodzenie raz jeszcze, ale tym razem za plecami, od strony fortu.

– A niech to – syknął Macro. – Kimkolwiek są, jest ich tu więcej.

Dotarli na przeciwległy kraniec pola, do miejsca, gdzie zaczynały się wysokie trawy. Tutaj stracili orientację. Katon rozejrzał się i spróbował wytyczyć przybliżony kierunek dalszego marszu. Ruszyli dalej. Na kolejny okrzyk, dobiegający gdzieś z przodu, przyszły dwie odpowiedzi, jedna z tyłu, druga skądś po lewej.

– Zaczynam się niepokoić – wyszeptał Macro. – Lepiej znikajmy z tego brzegu, zanim zlezie się ich tu więcej.

Katon nie ruszył się jednak z miejsca.

– Oni nie polują na nas.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Skąd by wiedzieli, że tu jesteśmy?

– Może zauważyli nas przy forcie. Zastanowimy się nad tym później, jeśli ci to nie przeszkadza.

Trybun przytaknął i znów puścili się biegiem, o wiele szybciej niż do tej pory, nasłuchując i wypatrując śladów ludzi, którzy wydawali z siebie te przedziwne dźwięki. Przedostali się przez rów irygacyjny, pokonali ostatnie poletko, zmierzając ku trawie i rzece, gdy nagle gdzieś po lewej rozległo się głośne chrumknięcie, a potem stłumiony tupot. Ktoś zawołał:

– Hathat!

– Wielbłądy? – zdziwił się Macro.

Katon znów przyspieszył do truchtu, chwilę później wypadli

obaj na łąkę. Niemal natychmiast nadziali się na skulonego mężczyznę. Centurion wyszarpnął miecz z pochwy i skoczył, powalając tamtego na ziemię. Już miał zadać szybkie pchnięcie, gdy usłyszał znajomy głos:

– Panie, to ja, Juniusz!

– Juniusz… – Macro odsunął się, opuszczając nieco broń. – A niech to. Mało brakowało.

Katon otrząsnął się z zaskoczenia. Był wściekły.

– Co ty tu robisz, do kurwy nędzy? Kazałem ci zostać na łodzi.

– Wybacz, panie. Usłyszałem czyjeś nawoływania. Pomyślałem, że warto to sprawdzić.

– Ty lepiej nie myśl, tylko wykonuj rozkazy.

Odgłosy wydawane przez wielbłądy narastały, teraz słychać było też rozmowy ich jeźdźców albo poganiaczy.

– Są już blisko – warknął Macro, popychając młodszego trybuna. – Ruchy. Wracamy na łódź.

Przebiegli w trójkę przez spłachetek wysokiej trawy, kierując się prosto na rzekę. Prowadził Juniusz, za nim podążał Macro z obnażonym mieczem w dłoni, a pochód zamykał Katon nieustannie zerkający przez ramię w poszukiwaniu tropiących ich jeźdźców. Wkrótce dotarli do brzegu, przed nimi rozpościerały się wody Nilu. Macro rozejrzał się wokół, potem wskazał ręką na lewo.

– Tam jest barka. Szybko!

Katon także dostrzegł już statek znajdujący się niespełna dwieście kroków dalej. Biegnąc dalej wzdłuż brzegu, słyszał za plecami szelest, z jakim jeźdźcy przedzierali się przez łąkę. Mniej więcej w połowie dystansu Juniusz potknął się i wyrżnął na

ziemię jak długi, wydając przy tym zduszony okrzyk.

Centurion pochylił się, chwycił go za kołnierz tuniki i postawił jednym szarpnięciem na nogi.

– Chcesz zdradzić naszą pozycję, durniu?

– Wybacz, panie.

Macro ruszył przed siebie, nie puszczając młodzieńca. Katon biegł tuż za nimi. Krzyk Juniusza zaalarmował ścigających. Właśnie powiadamiali się wzajemnie, że ofiary czmychają wzdłuż brzegu. Zerkając w lewo, Katon zauważył, że kilku galopuje w jego kierunku przez wysoką trawę.

Zdał sobie sprawę, że milczeniem niczego już nie zyska, więc wrzasnął ile sił w płucach:

– Legioniści! Do mnie!

Żołnierze chwytali za tarcze i wyskakiwali kolejno za burtę. Brnęli wolno ku brzegowi, wychodząc naprzeciw centurionowi i młodszemu trybunowi, którzy na poły zbiegali, na poły staczali się ku wodzie. Katon był kilka kroków za nimi, gdy jeden z wielbłądów zagrodził mu drogę. Młody Rzymianin zrobił unik, potem przykucnął, by przedostać się pod wygiętą szyją zwierzęcia, i przyspieszając, pobiegł dalej. Jeździec wydarł się przeraźliwie, dobywając miecza z głośnym zgrzytem. Ale zareagował zbyt późno, więc Katon zdążył dotrzeć do stromizny i właśnie zjeżdżał po niej ku łodzi. Legioniści wycofali się za nim, odgrodzeni od jeźdźców ścianą tarcz. Jeden z napastników zeskoczył z siodła, ciężko lądując na ziemi, i zaraz doskoczył do Rzymian, odbijając się od ich tarczy. Zacharczał moment później, przebity szybkim pchnięciem.

Macro w tym czasie podsadził zdyszanego Juniusza, a potem sam przetoczył się na pokład. Gdy Katon znalazł się na barce,

przywołał żołnierzy. Kapitan i jego pomocnicy już napierali na jedno z długich wioseł, by zepchnąć statek z mielizny. Legioniści musieli brodzić w głębszej wodzie, aby wrócić na pokład.

Coś spadło na pokład tuż obok Katona. Był tak zaskoczony, że najpierw przykucnął, a dopiero później ostrzegł krzykiem pozostałych:

– Uwaga!

Kolejna strzała przeleciała mu ze świstem nad głową. Niesiona nurtem barka przyspieszała z wolna. Załoganci wkładali pospiesznie wiosła w dulki, by jak najszybciej oddalić się od zagrożenia. Jedna ze strzał wpadła do wody tuż przy burcie, druga wbiła się w pokład. Moment później rozległo się głuche plaśnięcie i któryś z legionistów wrzasnął, a potem zwalił się na pokład. Jego tarcza odbiła się od burty i zniknęła w wodzie. Katon dostrzegł brzechwę strzały wystającą z nasady karku rannego. Żołnierz próbował jej dosięgnąć obiema rękami, z jego ust dobywał się głośny gulgot. Podkute sandały drapały podeszwami o deski pokładu, ale tylko przez chwilę, zaraz bowiem legionista znieruchomiał pośrodku rosnącej szybko kałuży krwi. Kolejne strzały nie dolatywały do celu, a rozwścieczeni wrogowie zdali sobie w końcu sprawę, że cel jest już poza ich zasięgiem.

Macro odetchnął z ulgą, po czym odwrócił się do Juniusza:

– Jak następnym razem dostaniesz rozkaz od starszego trybuna, masz go wykonać. I to co do joty. Zrozumiałeś, zasrany durniu?

– T… tak. Zrobię, co każecie.

– Dobrze. – Centurion odwrócił się do przyjaciela. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. – Katon spojrzał na zachodni brzeg. – Teraz już wszystko jasne. Wygląda na to, że ktoś postanowił oszczędzić

legatowi fatygi. Nubijczycy przybyli pod nasze okienko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– To może być trudne – stwierdził Macro, gdy następnego ranka stanął na pokładzie dziobowym feluki obok Katona, by przyjrzeć się zachodniemu brzegowi Nilu. Wróg wysłał w pole kilka patroli obserwujących z oddali poczynania Rzymian. – Zauważą nasze przybycie i dopadną nas, gdy tylko wylądujemy.

Trybun przytaknął. Nubijczycy bez większego trudu zdołają powstrzymać każdą próbę sforsowania rzeki. Rzymianie mieli bowiem dodatkowy problem: brak wystarczającej liczby lodzi, którymi można by przeprawić oddziały. Wielu mieszkańców Diospolis Magna zbiegło w dół rzeki, gdy tylko po mieście rozeszły się wieści o przybyciu wroga. Najbogatsi Egipcjanie wynajęli każdą dostępną łódź, by ewakuować nie tylko bliskich, ale i cenniejszy dobytek. Zanim Aureliusz zdążył zareagować, na tym odcinku Nilu zostało zaledwie kilka większych jednostek pływających, głównie barek i feluk. Dzięki nim można było przetransportować naraz co najwyżej pięciuset w pełni uzbrojonych legionistów. A tylu mniej więcej wrogów czekających na zachodnim brzegu wypatrzyli rzymscy oficerowie, gdy wybrali się na zwiady. Każda próba desantu spotka się więc z reakcją liczniejszego wroga, a wysadzeni na brzeg żołnierze będą musieli bronić przyczółków do przybycia drugiej fali legionistów. To może być naprawdę trudne, przyznał Katon w myślach, kwitując krzywym uśmiechem oświadczenie przyjaciela.

– Trudne czy nie, musi być zrobione – obwieścił Aureliusz z fotela ustawionego na głównym pokładzie. Za nim stali niewolnicy podtrzymujący baldachim rzucający cień na legata. Pozostali oficerowie musieli pocić się w pełnym słońcu. Od pustyni wiał silny wiatr, lecz byt gorący, więc nie dawał ludziom na rzece wiele ochłody. Aureliusz zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym dodał: – Zanim armia wyruszy, musimy zażegnać niebezpieczeństwo grożące jej ze strony przerzuconych tutaj sił wroga.

Macro przyjrzał się najbliższemu arabskiemu patrolowi: sześciu ludzi na wielbłądach posuwało się po łąkach równo z łodzią, która płynęła wolno w górę rzeki, oddalona od brzegu o nieco więcej niż strzał z łuku. Centurion był wściekły, widząc niezdecydowanie legata i jego niechęć do zaatakowania wroga. Nigdy nie słynął z nadmiaru cierpliwości, wystarczyło więc, że przełożony zawahał się parę razy, by stracił ją do reszty.

– Panie, nie wiemy, jak wielu ich tam jest. To może być względnie mały oddział. Powinniśmy skupić uwagę na starciu z głównymi siłami Nubijczyków. Moim zdaniem nie możemy oddać wrogowi inicjatywy. Panie, powinniśmy uderzyć i jak najszybciej pokonać księcia Talmisa.

Katon zerknął ukradkiem na Aureliusza. Legat nie wyglądał na urażonego, jakby nie uważał, że wywód pierwszego centuriona może godzić w jego autorytet. Zamyślony głęboko, pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i wbił wzrok w deski pokładu.

– Nie wiem, czy byłoby to mądre posunięcie. Wychodząc teraz z Diospolis Magna, narazilibyśmy miasto i bazę na ogromne niebezpieczeństwo. Co się stanie, jeśli wróg sforsuje Nil i uderzy, gdy nas tu nie będzie? Miasto padnie, zostaniemy pozbawieni zapasów i co więcej, znajdziemy się między młotem a kowadłem. Będziemy mieli wroga przed i za sobą. Jeśli przegramy, pomiędzy

Nubijczykami a Deltą nie pozostanie żadna linia obrony. Namiestnik Petroniusz nie zdoła powstrzymać inwazji. – Legat przeniósł wzrok na Macro. – A utrata kontroli nad Nilem oznacza odcięcie dostaw zboża. Aleksandrię czekał będzie głód. nie wspominając o plebsie w Rzymie, który żyje tylko dzięki daninom egipskiego ziarna. Nie, ryzyko jest zbyt wielkie. Musimy pokonać wroga kolejno. – Wskazał głową Arabów. – Poczynając od nich.

Macro poruszył się, już otwierał usta, by zaprotestować, ale zrezygnował, słysząc wypowiedziane półgłosem słowa Katona:

– On ma rację. Musimy zadbać najpierw o zabezpieczenie flanki.

Centurion zazgrzytał zębami.

– W takim razie ta kampania potrwa jeszcze całe miesiące. A co z Ajaksem? Chcesz mu dać czas na ucieczkę? Naprawdę?

– Ależ skąd. Tyle że musimy zażegnywać kryzysy kolejno, jeden po drugim.

Macro znów zamilkł na dłuższą chwilę, a potem wypalił:

– Skoro tak, bierzmy się do roboty.

Legat odchrząknął.

– Skończyliście już? – Gdy trybun i centurion odwrócili się do niego, dodał: – By pokonać wroga, musimy przerzucić na drugi brzeg wystarczające siły. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem będzie sforsowanie Nilu w pewnej odległości od miasta i uderzenie na Arabów od strony lądu. Myślę, że pierwsza kohorta da sobie radę z takim zadaniem. – Skinął w kierunku Macro. – To najliczniejsza i najsilniejsza jednostka legionu, powinna bez trudu rozgromić wroga. Gdy oddziały pierwszego centuriona zlikwidują zagrożenie, przeprawimy na tamten brzeg kohortę syryjskiej jazdy, by chroniła flankę głównych sił

maszerujących na armię księcia Talmisa… – Przerwał na moment. – Są pytania?

Otaczający go oficerowie milczeli. Katon spojrzał na idący brzegiem patrol, potem przeniósł wzrok na legata i odezwał się najdyplomatyczniej, jak umiał:

– Podoba mi się twój plan, panie, ale niepokoi mnie jeden jego aspekt.

Macro spojrzał na niego, nie kryjąc zdumienia.

– Niepokoi cię?

– Doprawdy? – zainteresował się Aureliusz. – O jakim to szczególe mowa, trybunie?

Katon wskazał głową patrol.

– Ci ludzie podążają za nami krok w krok, obserwując każdy nasz ruch. Wróg będzie gotowy na przybycie oddziałów centuriona Macro, gdziekolwiek wylądują.

– Dam sobie z nimi radę – oświadczył stanowczo jego przyjaciel, nie spuszczając wzroku z legata. – Masz na to moje słowo, panie.

Aureliusz uśmiechnął się blado, po czym przeniósł wzrok na Katona.

– Twój przyjaciel nie przejmuje się perspektywą walki. Twoje obawy są więc chyba przesadzone. Aczkolwiek rozumiem, że tak młody oficer może czuć się niepewnie w obliczu konieczności sforsowania rzeki.

Katon nie spuszczał wzroku z przełożonego, robiąc jednocześnie wszystko, by legat nie mógł odczytać jego myśli. A był wściekły na niego za to bezpodstawne oskarżenie. W końcu przełknął ślinę i odpowiedział jak najspokojniej:

– Zapewniam cię, panie, że jestem świadom wszystkich zagrożeń wynikających z potrzeby przerzucenia naszych oddziałów na tamten brzeg Nilu, który jest jedną z najszerszych rzek imperium. Ale brałem już udział w podobnej operacji, gdy służyłem w Brytanii. – Wspomnienia dawnej kampanii przemknęły mu przed oczami: płynące leniwie wody Tamizy, stłoczeni legioniści stojący na pokładzie barki desantowej, tłumy wrzeszczących celtyckich wojowników czekających na przeciwległym brzegu. Tak, pomyślał, wiem, jakie zagrożenia mogą czyhać na pierwszą kohortę. Odchrząknął i dodał: – Nie o to mi chodziło, panie. Powiedziałem, że skoro wróg i tak będzie czekał na centuriona Macro tam, gdzie spróbujemy forsować rzekę, możemy to równie dobrze zrobić tutaj. Przynajmniej zaoszczędzimy na czasie.

– Rozumiem. – Aureliusz potarł policzek, spoglądając na drugi brzeg, z którego gapili się na niego cały czas Arabowie. – Masz rację, trybunie. Zastanawiam się jednak – przeniósł wzrok na Katona – czy zaproponowałbyś to rozwiązanie, gdybyś sam musiał wziąć udział w tej operacji.

– Oczywiście, panie. Dołączenie do pierwszej kohorty poczytywałbym sobie za zaszczyt.

Legat uśmiechnął się pod nosem.

– Pozwól zatem, że spełnię twoje marzenie.

Macro potoczył wzrokiem po pozostałych centurionach pierwszej kohorty. Na podstawie dokumentów i własnych obserwacji poczynionych po objęciu dowództwa mógł powiedzieć jedno: większość tych ludzi znała się na swojej robocie. Dwaj z nich byli świeżo awansowani. Ci optionowie zajęli miejsce przełożonych, którzy nie zdołali ukończyć marszu. Może i byli świeży, lecz na pewno nie brakowało im zapału i doświadczenia

bojowego.

– Wiem, że to będzie dla was coś całkowicie nowego – zaczął Macro. – Od chwili zaciągnięcia się służyliście nad Nilem albo w Delcie, ale możecie mi wierzyć, takie operacje wodne to nie przelewki. Nikt was nie przygotowywał na taką ewentualność, a ja i trybun braliśmy udział tylko w kilku desantach.

To i tak mocno przesadzone określenie, pomyślał Katon. Pierwszy centurion spojrzał jednak wyczekująco, więc przytaknął jego słowom, aby nie niepokoić oficerów. Dowódca pierwszej kohorty niemal natychmiast podjął przemowę.

– Nie pójdziemy do ataku jako zwarta kohorta. Nawet nie jak centuria. Dopóki nie zdobędziemy solidnego przyczółka, każdy z nas będzie zdany na siebie. Gdy wylądujemy, najważniejsze będzie, by wasi ludzie zebrali się jak najszybciej wokół sztandarów. Zadbajcie więc o to, by każdy dowódca drużyny wiedział, o co chodzi. Mają pilnować podwładnych i trzymać ich jak najbliżej siebie. Im szybciej zdołamy uformować poszczególne centurie, a potem kohortę, tym większe będą nasze szanse na przeżycie do czasu, gdy dotrze wsparcie… – Macro zamilkł, by wskazać palcem wąską wysepkę, zwykłą łachę otoczoną trzcinowiskami. – Będziemy forsować Nil tutaj, w pobliżu tej płycizny. Żołnierze z innej kohorty wylądowali już na wyspie razem z obsadami dziesięciu legionowych skorpionów. Przetransportujemy tam dodatkowe trzy centurie, zanim sami ruszymy na drugi brzeg. Dzięki temu posunięciu pierwsze posiłki dotrą do nas o wiele szybciej. Kiedy artyleria ostrzela wroga czekającego na nasze lądowanie, zajmie się zabezpieczeniem obu flanek.

Plan dobry jak każdy inny, uznał Katon. Macro zrobił wszystko, by jego ludzie mogli wyjść z tej bitwy cało. Mimo to żołnierze pierwszej fali stoczą bardzo zacięty bój. Nie będą mieli odwrotu,

odkąd wejdą na lodzie i ruszą na przeciwległy brzeg. Albo wywalczą sobie drogę na ląd, albo zginą na płyciźnie. Innej opcji nie było, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Kości zostaną rzucone, gdy padnie rozkaz wejścia na pokłady jednostek desantowych.

Macro przyjrzał się twarzom otaczających go oficerów i raz jeszcze zaczerpnął tchu.

– Nie mam zamiaru udawać, że nie czeka was ciężka walka. Poniesiemy ciężkie straty, ale czy nie do tego nas szkolono i nie za to nam płacą? – Kilku oficerów uśmiechnęło się po ostatniej uwadze dowódcy, więc Macro wykorzystał ten moment, by poprawić im humory. – Powiedzcie swoim chłopakom, że mają napieprzać z całych sił i roznieść tych drani na strzępy. Nie mogą się zatrzymać, dopóki nie wejdą na brzeg. Dopiero tam pozwolicie im przejść do defensywy. Zrozumiano? Są pytania? – Odczekał jeszcze chwilę, lecz nikt nie otworzył ust, więc skinął głową. – Zatem to wszystko. Wracajcie do swoich jednostek i poinstruujcie ludzi. Potem ustawcie ich w szyku i czekajcie przy łodziach na znak legata. Powodzenia.

Oficerowie odmruknęli coś, po czym zniknęli w cieniu rzucanym przez rozłożyste palmy i wrócili do swoich centurii, które rozlokowano wzdłuż brzegu tak, by nie cierpiały, stojąc w pełnym słońcu. *Primus pilus* obserwował ich przez chwilę, później przeniósł wzrok na Katona.

– I co ty na to?

– Wyglądają na gotowych do akcji – odparł trybun. – A gdy wyruszą, mogą jedynie zwyciężyć albo zginąć. Takie myśli potrafią zmotywować ludzi.

– To prawda – przyznał Macro. – A co z tobą? Jesteś gotowy do walki?

– Jak zawsze.

– Nie musiałeś zgłaszać się na ochotnika.

– To prawda, ale wtedy wszystkie zaszczyty przypadłyby tylko tobie.

Centurion pokręcił głową.

– Od kiedy to robisz coś dla sławy? Do tej pory zawsze miałeś cholernie racjonalne powody do wystąpienia z szeregu.

– Naprawdę? – zakpił Katon. – Może chodziło mi o to, by podnieść morale naszych chłopców. Będą pewniejsi, gdy zobaczą, że jeden ze starszych oficerów walczy u ich boku. Poza tym muszę pilnować, by nie stała ci się jakaś krzywda. Nie chciałbym być tym, który zaniesie twojej matce tak tragiczne wieści. To by wymagało żelaznych nerwów i niezwykłej odwagi, której mnie, jak wiesz, brakuje:

Macro roześmiał się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Dla twojego dobra postaram się pozostać wśród żywych.

Słońce zdążyło minąć zenit, zanim niewielka flotylla odbiła od wschodniego brzegu Nilu. Pół pierwszej kohorty stało bądź siedziało na pokładach barek i łodzi rybackich, nerwowo zerkając na podnoszone żagle. Katon rozumiał obawy tych ludzi i powody ich zmarkotnienia. Jeśli człowiek w pełnym pancerzu wypadnie za burtę, idzie na dno jak kamień. On sam poczuł atak paniki na myśl o utonięciu. Ujrzał siebie bezradnego, obciążonego metalem, próbującego wyzwolić się z oków i tracącego z wolna dech, aż nadchodzi ten moment, gdy w płonących żywym ogniem płucach kończy się powietrze, a do otwartych desperacko ust wdziera się woda. Otrząsnął się z tego koszmaru i spojrzał na Hamedesa siedzącego po przeciwnej stronie śródokręcia. Trudno uwierzyć, że ten chłopak był kiedyś kapłanem, pomyślał.

Egipcjanin miał na sobie zbroję łuskową, hełm z brązu, o jego kolana opierała się duża tarcza. Wzrok wbił w deski pokładu, ale minę miał zaciętą. Wyglądał jak rasowy wojownik, dlatego Katon zaczął się zastanawiać, czy jego dawny przewodnik nie zapragnie zaciągnąć się do legionów, gdy już opadnie bitewny kurz i ta kampania dobiegnie końca. Legat odmówił wciągnięcia go na listę płac, ponieważ Hamedes nie był obywatelem Rzymu, więc pozostało mu dorywcze pełnienie roli zwiadowcy, którego wyposażano tylko na czas działań bojowych.

Egipcjanin uniósł nagle głowę, zauważył spojrzenie Katona i uśmiechnął się do niego.

– Zawsze tak jest, panie? Zawsze czujesz ten chłód w trzewiach, gdy ruszasz do walki?

– Zawsze – odparł trybun. – Wszyscy to czujemy, możesz mi wierzyć. Może z wyjątkiem Macro. Jemu to się chyba podoba.

– Za to nam przecież płacą. – Centurion zbył go wzruszeniem ramion. – A ja jestem w tym dobry i wcale się tego nie wstydzę.

Hamedes przyglądał mu się przez chwilę.

– Nigdy nie czułeś strachu, panie?

– Tego nie powiedziałem. Cała sztuka polega na tym, by trzymać na wodzy wyobraźnię. Jeśli ją poskromisz i skupisz się na zadaniu, zapomnisz na jakiś czas o strachu. To jednak nie uczyni cię nietykalnym. Miecz zabija z równą łatwością bohaterów i tchórzy. – Macro puścił do niego oko. – Kopnij więc swoją wyobraźnię w tłuste dupsko i módl się ile wlezie do swoich bogów, by nam dzisiaj sprzyjali, nie im. Tyle mogę ci poradzić, chłopcze.

Hamedes nie wyglądał na uspokojonego, zaraz też zerknął pytająco na Katona, który uśmiechnął się tylko i usiadł

najprościej jak umiał, ponieważ ich łódź zbliżała się do wyspy. Obsady skorpionów tkwiły przy machinach skierowanych prosto na zachodni brzeg. W niewielkiej odległości za stanowiskami artylerii stali w szyku żołnierze trzech kohort, którzy mieli przyjść w sukurs pierwszej fali ataku. Gdy łódź przepływała obok czwartej centurii, jej dowódca uniósł pięść ku niebu i zawołał:

– Dajcie im popalić, Szakale!

Jego podwładni podchwycili okrzyk, zagrzewając towarzyszy broni do walki. Część płynących na łodziach odpowiedziała im w podobny sposób, ale większość siedziała w grobowej ciszy, czekając na moment, gdy flotylla wypłynie zza osłony wyspy i skręci ku zachodniemu brzegowi. Feluka wioząca Katona i Macro płynęła w niewielkiej odległości za pierwszymi dwoma jednostkami. *Primus pilus* wstał więc, poszedł na dziób i przyłożywszy dłonie do ust, zawołał:

– Wy tam! Już zapomnieliście o pieprzonych rozkazach?! Wszyscy schodzimy na brzeg razem! Zwolnijcie!

Oficerowie dowodzący jednostkami wydali pospiesznie rozkazy i ich podwładni zluzowali lekko żagle, aby łódź Macro mogła się z nimi zrównać. Reszta flotylli zajęła miejsca po obu flankach, sunąc teraz w kierunku brzegu szeroką ławą. Katon dojrzał w końcu stojącego naprzeciw wroga. Setki ludzi czekało na nich pośród traw. Połowa była spieszona, zbili się w grupki i osłonili tarczami, ich zakrzywione miecze połyskiwały w promieniach słońca. Pomiędzy nimi stały liczne oddziały jazdy uzbrojonej w łuki. Jeszcze chwila i ku flotylli pomknęła pierwsza salwa.

Gdzieś z tyłu zagrała bucina i zanim ucichła, rozległy się szczęknięcia ramion skorpionów. Długie bełty zakończone żelaznymi szpicami przemknęły łukiem nad masztami łodzi. Macro podbiegł do dziobnicy, by na własne oczy się przekonać,

jak celna była ta salwa. Zobaczył, że jeden z bełtów trafia w grupę Arabów, wyrzucając w powietrze co najmniej trzech. Drugi przebił na wylot wielbłąda, aż na rzece dało się słyszeć jego ryki. Zwierzę padło moment później, przygniatając jeźdźca. Wtedy wzdłuż brzegu przejechał człowiek na koniu. Arabowie rozproszyli się na jego rozkaz, tak że stanowili teraz o wiele trudniejsze cele.

– A niech mnie – mruknął centurion, przypatrując się jeźdźcowi. Zmrużył oczy, a potem poczuł lodowaty dreszcz, gdy rozpoznał wroga. – To on… Katonie! Panie! To Ajaks!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Katon wstał i również wspiął się na pokład dziobowy. Osłonił oczy, ale i tak musiał je przymknąć, by nie raziły go refleksy odbijające się od lekko pofalowanej wody. Nie mogło być mowy o pomyłce: ten człowiek wyglądał i zachowywał się władczo jak Ajaks.

– Masz rację.

– Wiele bym dał, żebym mógł teraz dowodzić naszą artylerią – warczał Macro. – Wszystkie skorpiony mierzyłyby w tego gnoja.

Trybun pokiwał z roztargnieniem głową, skupiając całą uwagę na Ajaksie. Część artylerzystów z wyspy zrozumiała już, jak ważną osobą jest samotny jeździec, pierwszy smukły pocisk przemknął właśnie po niebie nad rzeką, lecąc w jego kierunku. Chybił niestety, podobnie jak drugi, trzeci za to wpadł w sam środek grupki jeźdźców podążających tuż za swoim wodzem. Kolejny poleciał prosto na niego, lecz wystarczyło, że Ajaks w ostatniej chwili przyspieszył, i bełt zniknął z szumem w wysokich trzcinach, tam gdzie powinien był znajdować się jeździec.

Macro zauważył i tę porażkę.

– Drania chroni chyba jakiś urok.

– Nie do końca – stwierdził Katon. – Trochę się jednak wycierpiał.

Centurion obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

– Co? Czyżbyś go żałował?

– Ależ skąd. Mówię tylko, że gdyby losy potoczyły się inaczej, chętnie nazwalibyśmy takiego człowieka jak on przyjacielem. I bylibyśmy dumni, że walczy po naszej stronie.

Macro prychnął gniewnie.

– A ja mógłbym być pieprzonym cesarzem. Każdy z nas ma tylko jedno życie, przyjacielu. Jesteśmy, kim jesteśmy, a nie kim pragniemy być. I dlatego ten drań – centurion splunął za burtę – musi zginąć. Ma na rękach krew tysięcy niewinnych ludzi. Mam więc nadzieję, że to mój miecz zakończy jego żywot. I niech bogowie nie próbują mi w tym przeszkadzać.

Było to bardzo mocne stwierdzenie, zwłaszcza jak na zabobonnego człowieka, jakim był Macro. Katon, znając przyjaciela, nie mógł uwierzyć w taką porywczość. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, rozległ się kolejny sygnał buciny i po ostatnich szczęknięciach skorpionów artyleria przestała ostrzeliwać zachodni brzeg, by przygotować się do osłaniania obu flanek. Widząc to, Arabowie natychmiast zwarli szeregi. Ajaks i jego przyboczni także sięgnęli po tarcze i dobyli mieczy.

– Skieruj nas prosto na tych ludzi! – zawołał Macro do Egipcjanina przy sternicy. – Tam! – Wskazał ręką na brzeg.

Żeglarz zerknął na płynącą po lewej łódź i pokręcił głową.

– Nie mogę, panie, to zbyt ryzykowne, moglibyśmy zderzyć się z tamtą łodzią.

– Skręcaj!

– Nie! – wtrącił się Katon. – Musimy utrzymać kurs. Jeśli zderzymy się z inną jednostką, stracimy wielu ludzi.

Centurion zacisnął zęby, potem skinął głową, nie kryjąc irytacji.

Łodzie płynęły nadal ku brzegowi, prując spokojne wody Nilu. Arabowie na brzegu przygotowali się już na przyjęcie mających wylądować oddziałów. Kolejne setki jeźdźców zeskoczyło na ziemię, tworząc duże oddziały piechoty uzbrojonej w owalne tarcze i zakrzywione miecze. Część miała na sobie szpiczaste hełmy i krótkie kolczugi. Ci, którzy pozostali na wielbłądach, napinali właśnie łuki albo unosili do rzutu lekkie włócznie.

– Przygotować się na ostrzał! – zawołał Macro w kierunku reszty łodzi.

Legioniści ustawili tarcze czołem do brzegu i skulili się za nimi, zerkając od czasu do czasu na coraz bliższy ląd.

– Uwaga! – zawołał ktoś, gdy pierwsza salwa pomknęła w niebo, na moment zamarła w górze, po czym opadła prosto na linię łodzi. Arabowie wyczekali, aż przeciwnik znajdzie się w polu rażenia, więc żadna ze strzał nie spadła zbyt blisko ani za daleko. Wszędzie wokół słychać było łomot, z jakim groty wbijały się nadburcia i deski pokładu albo rykoszetowały od owalnych tarcz. Równie głośny był plusk pocisków wpadających do wody. Katon rozejrzał się po pokładzie. Żaden z żołnierzy nie ucierpiał, za to obaj żeglarze trzęśli się z przerażenia. Nic dziwnego, pomyślał Katon. Mieli na sobie zwykłe tuniki, a na głowach zawoje, które z pewnością nie powstrzymałyby strzały.

Druga salwa pomknęła nad wodami Nilu. Tym razem nie była tak skoordynowana jak pierwsza, ponieważ do łuczników dołączyli ich towarzysze broni, którzy stali nieco dalej. Zdawać się mogło, że pociski spadają z nieba nieprzerwanie. Wszędzie było pełno brzechw zakończonych żelaznymi grotami. Coraz częściej przebijały osłony albo odbijały się od nich i raziły skulonych obok ludzi. Chorąży kohorty, klęczący na samym

środku pokładu, tuż za Katonem i Macro, wrzasnął nagle, gdy strzała przeszyła mu biceps. Z taką raną nie mógł utrzymać sztandaru, drzewce zaczęło się chylić ku burcie feluki, więc jeden z legionistów, zdjęty przerażeniem na myśl, że insygnia jego jednostki mogą wpaść do wody i zatonąć, odrzucił tarczę i pochwycił drzewce na moment przed tym, nim pogrążyło się w toni.

– Dobra robota! – pochwalił go Macro. – Przejmij obowiązki chorążego!

Legionista ustawił sztandar w pionie, oddał własną tarczę rannemu, po czym skupił całą uwagę na wrogu.

– Uważać na włócznie! – Żołnierz klęczący obok Katona wskazał na brzeg.

Trybun spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł gromadkę jeźdźców, którzy zeskoczywszy z siodeł, sięgali po broń. Pierwszy przebiegi kilka kroków i cisnął drzewcem, które poleciało po znacznie bardziej płaskiej trajektorii niż strzały. Kolejne włócznie poszybowały w kierunku łodzi płynącej na prawo od feluki obu oficerów. Jedna przeszła przez grubą tarczę na wylot, przeszywając także przedramię trzymającego ją mężczyzny, który zawył, ale nie spanikował. Chwyciwszy zdrową ręką za obramowanie tarczy, oswobodził rękę, rycząc z gniewu i bólu. Katon odwrócił głowę, gdy usłyszał złowieszczy huk z drugiej strony. Tuż obok niego sterczała z pokładu włócznia.

– Niewiele brakowało – mruknął Macro.

Moment później z tylnej części feluki dobiegł zduszony krzyk. Gdy Katon zerknął przez ramię, zobaczył, że sternik został trafiony strzałą w brzuch. Spoglądał właśnie z niedowierzaniem na brzechwę wystającą z tuniki i rozlewającą się wokół plamę krwi. Puścił rumpel, by wyszarpnąć strzałę, a gdy grot wyszedł

z rany, żeglarz zawył z bólu. Pozbawiona kontroli łódź zaczynała już skręcać z wiatrem, kierując się prosto na płynącą obok jednostkę.

– A niech to… – mruknął Katon, dostrzegając w okamgnieniu nowe zagrożenie. Odwrócił się pospiesznie do Macro. – Przytrzymaj moją tarczę!

Centurion złapał za uchwyt, nie odwracając nawet głowy. Trybun nie czekał dłużej. Szybko przepychał się pomiędzy stłoczonymi na pokładzie żołnierzami, próbując nie myśleć o trwającym ostrzale. Trójkątny żagiel nad jego głową załopotał mocniej. Drugi z żeglarzy nie zwracał uwagi na nic – przycupnął za jednym z legionistów, próbując ukryć się za jego tarczą. Był tak przerażony, że ściskał koniec szota, jakby to była rzucona mu lina ratunkowa. Katon zignorował go i nadal parł przed siebie. Dotarł w końcu do końca rumpla i natychmiast przesunął go w lewo, by feluka mogła wrócić na dawny kurs i oddalić się od sąsiedniej łodzi. Przez moment czuł ulgę, lecz zaraz się okazało, że uniknięcie kolizji nie jest wcale takie pewne – jednostki pływające reagowały na wychylenia steru ze sporym opóźnieniem. Żołnierze płynący na barce, do której zbliżała się feluka, spoglądali na nią lękliwie. Chwilę później doszło do zderzenia, oba żagle załopotały gwałtowniej, a wstrząs był tak mocny, że ludzie przewracali się, wpadając na siebie. Option dowodzący oddziałem z barki siedział na samym dziobie, by jak najszybciej poprowadzić swoich ludzi do walki. To go zgubiło: zaskoczony zderzeniem poleciał za burtę, wpadł do wody z głośnym pluskiem i już się nie wynurzył. Jego podwładni mieli więcej szczęścia, ale i oni leżeli na pokładzie, gramoląc się niezdarnie i klnąc do żywego.

Feluka odbiła się od barki, a gdy kolejny podmuch wiatru popchnął ją żwawiej, ustawiła się dziobem do brzegu. Katon,

skupiając się na trzymaniu steru, nie miał czasu na obserwowanie sytuacji na sąsiedniej jednostce. I tak niewiele mógł zrobić dla tamtych ludzi. Gdy łódź znajdowała się niespełna trzydzieści stóp od brzegu, żeglarz puścił w końcu szot i trójkątny żagiel raz jeszcze załopotał, po czym zwisł luźno. Feluka płynęła wszakże dalej pchana siłą rozpędu i moment później wbiła się w mulistą, porośniętą trzcinami mieliznę. To zderzenie także było bardzo silne. Legioniści byli na nie przygotowani, ale i tak wielu poleciało na towarzyszy broni. Pomruki niezadowolenia i przekleństwa umilkły, dopiero gdy Macro podniósł głos.

– Zamknąć mordy! Tarcze w górę, miecze w dłoń! Za mną!

Wszedł na pokład dziobowy, kryjąc się cały czas za tarczą, i skoczył ku nieodległej skarpie. Wylądował z pluskiem na mieliźnie, tratując kępę szeleszczących trzcin. Woda w tym miejscu sięgała mu do ud, sandały grzęzły w mulistym dnie. Zacisnąwszy zęby, ruszył ku brzegowi. Tarczą odgarniał trzciny, pokonując wąskie pasmo zmąconej wody. Za jego plecami rozlegały się bez przerwy kolejne pluski, a gdy odważył się zerknąć przez ramię, zauważył, że wszystkie łodzie pierwszej fali przybiły już do brzegu i zaczyna się właśnie operacja desantowa. Skwar w trzcinowisku był nie do zniesienia, wszędzie wokół słychać było jęki i sapanie przedzierających się ku brzegowi legionistów. Znad obramowania tarczy centurion widział Arabów wychodzących naprzeciw lądującym oddziałom. Darli się jak opętani, wywijając zakrzywionymi mieczami. Gnali na oślep po trawiastym zboczu prosto na Rzymian.

Macro dotarł w końcu na suchy ląd i tam zwolnił kroku. Wokół niego z trzcin wyłaniali się kolejni żołnierze, jeszcze chwila i Katon znów stał u jego boku. Zdyszany mocno, przygotowywał się do odparcia wroga. Tarczę i miecz trzymał w pogotowiu, człapiąc ciężko zabłoconymi sandałami. Legioniści nie mogli

zewrzeć szyku, więc odziany w luźne czarne szaty przeciwnik wpadł między nich i zaczęła się bezładna rąbanina. Zewsząd dobiegał szczęk krzyżowanej broni i huk uderzeń spadających na tarcze.

Macro także przyjął kilka pierwszych cięć na tarczę, nie odpowiadając wszakże. Gladiusa trzymał mocno przy boku, czekając na dogodną okazję. Słyszał pomruki wroga znajdującego się tuż za tarczą, czuł gryzący odór wielbłądów, którym przesiąkły szaty tamtego. Poczekał na kolejne cięcie, tym razem zadane od góry, w obramowanie tarczy. Moment później pchnął tarczę, zrobił szybki krok do przodu i raz jeszcze naparł na Araba, który trafiony mocno, jęknął tylko, tracąc dech. To wystarczyło, by centurion zadał błyskawiczne pchnięcie. Przeciwnik nie miał na sobie pancerza, więc sztych gladiusa rozciął szatę i wszedł w ciało. Nie napotykając żadnego oporu, utknął dopiero w żebrach. Gdy Macro cofał rękę, Arab obrócił się wokół własnej osi, o mały włos nie wyszarpując mu broni.

– Nie uda ci się ta sztuczka – warknął centurion, poprawiając chwyt. – Co oni na siebie pozakładali, do kurwy nędzy? To nie jest uczciwa walka.

Gdy wysupłał w końcu miecz z luźnych szat, Arab cofnął się chwiejnie, dysząc ciężko i mocno krwawiąc. Obrzucił Macro wściekłym wzrokiem, potem podniósł wyżej tarczę i miecz, próbując odzyskać oddech. Zaatakował jeszcze raz. Centurion zbił szerokie cięcie tarczą, rozciął przedramię napastnika i dziabnął go w krtań. Arab padł na kolana, chwytając się obiema rękami za szyję w daremnej próbie zatamowania krwi. Ta rana była śmiertelna. Macro cofnął się o krok i rozejrzał wokół, by ocenić sytuację.

Po jego prawej Katon toczył pojedynek z potężnie zbudowanym Arabem w lśniącej zbroi łuskowej. Ciężkim zakrzywionym

mieczem, którego klinga rozszerzała się na końcu, rąbał raz po raz w tarczę trybuna. Zmuszał Rzymianina do cofania się krok po kroku, dopóki któryś z legionistów nie zdołał ranić go w odsłoniętą nogę, tnąc ją głęboko, aż do kości. Wielkolud stracił równowagę, potem padł. Katon doskoczył do niego momentalnie i ogłuszył go silnym ciosem w hełm.

Macro widział, że pozostali żołnierze posuwają się do przodu na całej linii, wychodząc spomiędzy trzcin. Nieco wyżej, jakieś pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie stał centurion, znajdował się Ajaks siedzący wciąż w siodle i poganiający własnych ludzi. Macro spojrzał na grupkę legionistów, którzy zeskakiwali właśnie z jego łodzi.

– Tutaj! Zbiórka przy mnie!

Żołnierze stanęli za plecami dowódcy. Katon, widząc to, także przyłączył się do oddziału.

– Idziemy! – zawołał Macro, ruszając po skosie ku gladiatorowi.

Między nim a Ajaksem była tylko garstka wrogów, większość odbiegała właśnie od najsilniejszego zgrupowania Rzymian, szukając łatwiejszych celów. Inni, dzielniejsi od kompanów, rzucali się na oddział centuriona i płacili najwyższą cenę za to krótkotrwałe pragnienie chwały. Zanim jednak legionistom udało się przedrzeć na szczyt skarpy, gladiator spojrzał w ich kierunku i zauważył grożące mu niebezpieczeństwo.

Wydał rozkaz stojącym opodal łucznikom na wielbłądach, którzy wstrzymali ostrzał brzegu rzeki w obawie przed trafieniem kogoś ze swoich. Ajaks wskazał im centuriona i zawołał po grecku:

– Zastrzelić ich! Zabić!

Znaczenie tego polecenia było wystarczająco jasne, więc nikt

nie musiał go tłumaczyć. Arabowie unieśli łuki, wymierzyli spokojnie i posłali strzały z niewielkiej odległości. Katon skrzywił się, gdy ząbkowany grot przebił jego tarczę, zatrzymując się tuż przy twarzy. Idący po prawej legionista wrzasnął, kiedy strzała przeszyła mu nogę, rozszczepiając kość i przebijając mięśnie tuż pod kolanem. Ranny zachwiał się, potem przykucnął. Nie mógł iść dalej ani ukryć się za tarczą, by wyrwać strzałę.

– Wytnij ją! – wrzasnął do niego Katon. – Wytnij ją i ruszaj albo zginiesz!

Niewielka formacja zwarła szeregi i poszła dalej, zostawiając rannego towarzysza broni. Ogłuszający stukot i trzaski rozłupywanego drewna zagłuszały inne odgłosy pola bitwy. Trybun szedł ramię w ramię z centurionem, krocząc na ugiętych nogach, by jak najefektywniej osłaniać kończyny dolne. Był wszakże za wysoki, więc jego hełm wystawał ponad krawędź tarczy i szybko stał się celem. Katon poczuł mocne szarpnięcie, gdy pierwsza strzała przemknęła przez pióropusz. Kolejna odbiła się od metalu. Tym razem uderzenie było na tyle silne, że oszołomiło go na moment. Potrząsnął głową, ale to pogorszyło sprawę, wystraszył się nawet, że przez zawroty może się potknąć i przewrócić, a co za tym idzie, paść ofiarą łuczników. Na szczęście oszołomienie szybko minęło, więc zacisnął zęby i dołączył do Macro.

Wrogowie wypuścili ostatnie strzały, a potem odłożywszy łuki, sięgnęli po miecze. Pognali wielbłądy prosto na Rzymian. Wielkie zwierzęta ryczały głośno, biegnąc charakterystycznym kołyszącym się krokiem.

– Stać! – zawołał Macro, zapierając się stopami i osłaniając tarczą.

Był gotowy do odparcia tego ataku. Katon i pozostali poszli jego

śladem, przykucnęli za osłonami, ściskając rękojeści mieczy i pocąc się obficie pod pancerzami. Wspinaczka na stromą skarpę kosztowała ich wiele sił. Nad tarczą centuriona pojawiła się długa zakrzywiona szyja zwierzęcia, które mgnienie oka później uderzyło z impetem w grube drewno. Jeździec wychylił się z siodła i uderzył z zamachu, rozcinając obramowanie tarczy. Sztych klingi znalazł się kilka palców od głowy centuriona. Jeździec był poza jego zasięgiem, więc Macro wstał i wbił gladiusa w szyję wierzchowca. Pysk wielbłąda rozwarł się na całą szerokość, zwierzę wywaliło długi język, rycząc z bólu, i pognało na oślep wzdłuż linii walczących, wpadając na innych jeźdźców. W końcu zachwiało się i padło na kolana. Drugi szarżujący wielbłąd uderzył w bok konającego, o mało nie zrzucając swojego pana. Reszta atakujących zatrzymywała wierzchowce albo próbowała ominąć przeszkodę. Otoczeni kłębami wzniesionego przez zwierzęta pyłu Arabowie pokrzykiwali gniewnie, próbując zapanować nad tym chaosem.

Macro natychmiast dostrzegł okazję.

– Szakale! Na nich!

Ominął Araba szamoczącego się z przerażonym zwierzęciem, i wpadł w sam środek kłębowiska ludzi i zwierząt. Osłaniając się tarczą, ciął mieczem nogę ciemnoskórego jeźdźca, który blokował mu drogę. Gdy tamten wrzasnął i zaczął uciekać, Macro zerknął szybko przez ramię. Za plecami miał kolejnego Araba, nie widział go zbyt dobrze przez oślepiające słońce. Mimo że zmrużył oczy, nie był w stanie dostrzec miecza, który niechybnie mknął ku jego głowie, uniósł więc własną broń, by zablokować uderzenie na ślepo. Moment później usłyszał szczęk, gdy zderzyły się dwa ostrza, i poczuł wibrację w ręce. Cios był tak silny, że centuriona zabolał nie tylko nadgarstek, ale i łokieć, a potem bark. Miecz Araba trafił w poprzeczny pióropusz, przecinając nakładkę

z brązu i docierając aż do żelaznej podstawy. Macro zdawał sobie sprawę, że gdyby nie blok, ten cios zabiłby go na miejscu. Choć przeżył, i tak przed oczami pojawiły mu się wszystkie gwiazdy. Zachwiał się, lecz nie opuścił tarczy, prawa ręka natomiast zwisała mu wciąż bezwładnie. Ogarnęła go fala tak potwornych mdłości, że zaczął się bać utraty przytomności.

– Niedoczekanie wasze – warknął pod nosem.

Potrząsnął głową i tym razem odzyskał nieco ostrości widzenia. Kolejny cios odbił się od jego tarczy, zaraz też usłyszał głośny jęk. Odwróciwszy głowę, zobaczył u swojego boku Katona, który wbijał właśnie miecz w brzuch jeźdźca. Arab zawrócił natychmiast wielbłąda i przyciskając dłoń do rany, opuścił pole bitwy.

Jeden z legionistów padł z prawą ręką rozciętą na długim odcinku aż do kości. Ale wróg stracił dwóch swoich, którzy leżeli na piasku, paru innych jeźdźców odniosło rany i uciekało poza zasięg ciężkozbrojnej piechoty. Dwaj żołnierze chcieli ścigać zbiegów, lecz centurion powstrzymał ich gniewnym okrzykiem. Gdy zawrócili, rozejrzał się za Ajaksem.

Gladiator zagrzewał swoich łuczników do walki, choć widział, że nie wygrają tego starcia. Legioniści wspięli się już na skarpę i właśnie wkraczali na pola. Renegat wściekał się i łajał uciekających, wyzywając ich od tchórzy. A oni, choć nie znali języka, którym się posługiwał, dobrze odczytywali treść padających słów. Tyle że nie słuchali dowódcy i zwiesiwszy głowy, czmychali na pola.

– Bierzmy się za niego, póki mamy szanse – wysapał zdyszany Katon.

Macro odwrócił się do legionistów.

– Za mną!

Obaj oficerowie poprowadzili niewielki oddział w kierunku gladiatora i garstki chroniących go jeźdźców. Ajaks był odwrócony, spoglądał z odrazą i pogardą na uciekających sprzymierzeńców, nie mógł zatem widzieć nadciągającego zagrożenia i nie dowiedziałby się o nim, gdyby nie okrzyk jednego z przybocznych, który zwrócił uwagę wodza na nadbiegających Rzymian. Gladiator odwrócił się w siodle, obrzucił wzrokiem legionistów i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz udręki. Sięgnął po miecz, jego ręka zawisła na moment nad głowicą, lecz cofnął ją i ściągnąwszy wodze, zawrócił konia, by oddalić się od brzegu rzeki.

Katon, widząc, że znienawidzony wróg znów mu się wymyka, także poczuł ogromną gorycz. Zawołał nawet za odjeżdżającymi renegatami:

– Stawcie nam czoła, tchórze! Walczcie z nami!

Gladiator, odwróciwszy głowę, spojrzał trybunowi w oczy, a potem pogonił wierzchowca do galopu, umykając przed Rzymianami na te same pola, którymi uciekali Arabowie. Katon gnał za nimi ile sił w nogach, ale nie miał szans dogonić renegatów, więc zatrzymał się po chwili, dysząc ciężko, i spoglądał ponuro na blade mury odległej świątyni, ku której się kierowali.

– Bękart – wysapał Macro, zatrzymując się obok przyjaciela. – Nie miał odwagi stanąć do walki z nami.

Trybun oblizał spierzchnięte wargi, wciąż nie mogąc złapać oddechu. Pancerz opinający mu tors wydawał się ciężki, jakby go odlano z ołowiu, i to dosłownie przed chwilą, taki był rozgrzany. Katon zrobił głęboki wdech, potem przełknął ciężko ślinę. Przymykając powieki, wycedził przez zęby:

– Wymęczył nas… Wymęczył nas do kresu sił. – Po tych słowach

otworzył znowu oczy. Wyprostował plecy, rozejrzał się wokoło i zobaczył, że legioniści formują szyki pod sztandarami. Wypuścił powietrze z płuc, by zaczerpnąć świeży dech. – Lepiej poinformujmy legata, że zabezpieczyliśmy przyczółek.

– Zaraz się tym zajmę – obiecał Macro.

– Niech sprowadzi tu jak najszybciej resztę ludzi i całą artylerię. – Wskazał głową świątynię i dodał ostrym tonem: – Jeśli uważają, że znajdą tam schronienie, to grubo się mylą. Tym razem wpadli w pułapkę bez wyjścia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rozległ się głośny stukot, gdy kolejny bełt wbił się w mur z cegły mułowej, posyłając wokół mrowie odłamków i chmury pyłu. Ajaks wychylił się poza krawędź pylonu i obrzucił spojrzeniem zewnętrzną powierzchnię ściany. Pomimo półmroku zauważył na niej rysy i wyłomy, od podstawy po sam szczyt. Słońce już zachodziło, niebo nabierało purpurowej barwy, gdzieniegdzie dało się też zauważyć pierwsze gwiazdy. Rzymianie zdążyli już otoczyć świątynię i rozpalić ogniska, aby mieć całkowitą pewność, że zauważą ewentualne próby ucieczki obrońców. Po uchwyceniu przyczółka po tej stronie Nilu przerzucili trzy dodatkowe kohorty, a nawet parę szwadronów jazdy i całą artylerię rozmieszczoną wcześniej na wyspie.

Gladiator był zaskoczony tempem, w jakim jego wróg otoczył świątynię. A jej ostrzał rozpoczął się dosłownie chwilę po ustawieniu pierwszej z machin oblężniczych. Pod jej osłoną podciągnięto kolejne skorpiony, które ostrzeliwały zewnętrzny mur od późnego popołudnia aż po zmierzch.

Dwa kolejne bełty znów skruszyły mułowe cegły.

– Po świcie zrobią wyłom, jak tak dalej pójdzie – mamrotał Karim. – A wtedy pozostaną nam już tylko barykady, którymi zatarasowaliśmy wejścia do wewnętrznej świątyni.

– To jednak nie tak solidne umocnienia, jak przypuszczałem – przyznał Ajaks.

Masywne wrota umieszczone pomiędzy dwoma pierwszymi pylonami wsparto od środka. Renegaci wykorzystali do tęgo rosnące w pobliżu palmy. Wąskie boczne wejścia także zablokowano w podobny sposób, a tuż za barykadami czekali w pogotowiu ponurzy arabscy wojownicy, gotowi powstrzymywać napór wroga do ostatniej kropli krwi. O to przecież chodziło w tej wyprawie na zachodni brzeg Nilu. Ci ludzie mieli opóźnić wymarsz rzymskich wojsk, by książę Talmis miał wystarczająco czasu na plądrowanie zajmowanych bez walki terenów w górnym biegu rzeki. Ajaks i przydzieleni mu ludzie mieli zatrzymać przeciwnika w pobliżu Diospolis Magna przez kilka najbliższych dni, ale wróg zareagował na ich działania szybciej i bardziej zdecydowanie, niż można było przypuszczać. To z kolei postawiło gladiatora w bardzo niekorzystnej i niebezpiecznej sytuacji.

Kolejne uderzenie w mur – pocisk trafił prosto w jedną ze szczelin. Tym razem gruby bełt przeszedł na wylot i z głośnym hukiem odbił się od kamiennej elewacji świątyni.

– Spróbujmy się przedrzeć, póki nie jest za późno – zasugerował Karim, zniżając głos.

Ajaks się uśmiechnął.

– Uważasz, przyjacielu, że zamknięcie się tutaj było błędem?

Medyk się skrzywił.

– Nie mnie to oceniać. Ty tu dowodzisz, ja tylko wykonuję rozkazy.

– Zgadza się. Miałem powody, by tutaj zostać. – Ajaks wskazał na garstkę Rzymian okupujących szczyt pobliskiego wzniesienia. – Tam są ludzie, których nienawidzę najbardziej.

– Jesteś pewien, że to oni?

– Widziałem ich na własne oczy. Słyszałem, jak ze mnie drwili. – Ajaks zacisnął usta. – Natarłbym na nich bez chwili wahania, gdyby istniał choć cień szansy na to, że będę walczył tylko z nimi. – Spojrzał raz jeszcze na odległych oficerów, ich hełmy i pancerze lśniły w blasku palonych wokół ognisk, w których płonęły z trzaskiem suche liście palmowe. – Możesz być pewien, że gdy Rzymianie ruszą do ataku, ci dwaj pójdą na czele. A ja będę na nich czekał. – Odwrócił się do Karima. – Może to i dobrze, że znaleźliśmy się w potrzasku. Nie mamy gdzie uciec, więc będziemy się bronić do ostatka, a ja zyskam szansę na zabicie największych wrogów. Sczezną pod moim mieczem. Obaj.

– A my polegniemy zaraz po nich – mruknął Karim. – Ty, ja, wszyscy, którzy poszli za tobą w pierwszym dniu rewolty, nasi arabscy sojusznicy. Wodzu, czy to naprawdę najlepszy sposób na pokonanie Rzymu?

Ajaks przeczesał wolno gęste kręcone włosy. Były zbyt długie jak na jego gust. Wolał mieć je krótko ścięte, tak by zbierały pot z czoła podczas walki, ale nie wpadały do oczu. Westchnął.

– Zaczynam mieć dość tej walki przeciw Rzymowi. Nieustannej ucieczki i oglądania się przez ramię. Nadszedł czas, by ofiara postawiła się łowcy. To już ostatnia szansa, by umrzeć godnie za coś, co jest mi drogie. Tu i teraz. A skoro tak, zabiję przed śmiercią tylu Rzymian, ilu zdołam. Jeśli bogowie będą łaskawi, zarżnę też Macro i Katona. – Ajaks spojrzał na przyjaciela i uścisnął mu rękę. – Czy to naprawdę tak zły koniec żywota? Polec z bronią w ręku u boku towarzyszy, więcej powiem, przyjaciół?

Karim pokiwał głową w zamyśleniu.

– Lepsze to niż życie w niewoli, wodzu.

– To nie było życie – sprostował Ajaks. – Co najwyżej wegetacja.

Kolejne bełty uderzyły w mur, wykruszając coraz większe kawałki cegieł. Jeszcze chwila i rozległ się rumor, gdy spory odcinek ściany zawalił się, zasypując dziedziniec świątyni gruzem i chmurami wirującego pyłu. Na moment zapadła cisza, później za liniami Rzymian rozbrzmiały buciny. Skorpiony przestały strzelać, a po kolejnym sygnale legioniści uformowali szyki tuż poza zasięgiem renegackich łuków. Kolumna była szeroka na ośmiu ludzi i na jakichś dwudziestu głęboka. Zdaniem gladiatora to powinna być pierwsza kohorta legionu. Najlepsza i najpotężniejsza jednostka, jaką posiadał legat dowodzący tą armią. Kilka postaci oderwało się od grupki oficerów obserwujących mury świątyni i dołączyło do utworzonego szyku. Dzięki szpiegowi, którego gladiator umieścił w szeregach wroga, udało się ustalić, że na czele pierwszej kohorty stanął nie kto inny jak Macro. Pozostawało więc modlić się żarliwie, by Katon zechciał dołączyć do przyjaciela i razem z nim poprowadzić atak.

Ajaks odwrócił się do Karima.

– Przekaż ludziom, że mamy wyłom w murze. Powiedz im też, że Rzymianie szykują się do ataku. Niech łucznicy urządzą naszym przyjaciołom jak najgorętsze powitanie.

Medyk skinął głową.

– Jak sobie życzysz, wodzu.

Gdy Karim zbiegał w dół wąskich schodów prowadzących na dziedziniec, gladiator przywołał z końca platformy Arabów, którzy okazując mu szacunek, trzymali się w stosownej odległości. Podeszli szybko, a on wskazał im palcem rzymską kolumnę. Pokiwali głowami i zaczęli się uśmiechać, szczerząc lśniące zęby. Chwilę później z dołu doleciał głos Karima. Wydane przez niego rozkazy powtórzyli nubijscy oficerowie, którzy dowodzili poszczególnymi oddziałami. Gladiator słyszał

mieszaninę greki, arabskiego i lokalnych narzeczy.

Kiedy w oddali rozbrzmiały po raz kolejny buciny, dając piechocie znak do wymarszu, Ajaks zerknął przez ramię i zobaczył, że łucznicy podnoszą naprędce zbite drabiny, by wspiąć się po nich na dach świątyni. Na sąsiednich pylonach pojawiły się ogniki – to rozmieszczeni na nich strzelcy podpalali zgromadzone drwa i suche liście palmowe. Płomienie buchnęły w górę, oświetlając postacie naciągających cięciwy łuczników. Brzechwy tuż pod grotami owinięto paskami tkaniny nasączonej olejem. Zostaną podpalone, gdy tylko padnie rozkaz. Zdyszany Karim pojawił się u szczytu schodów. Przełknął z trudem ślinę i zameldował:

– Ludzie są gotowi, wodzu.

Ajaks skinął głową. Razem przyglądali się maszerującym do wyłomu legionistom. Łucznicy za ich plecami krzesali ogień. Moment później chrust w żarniku zajął się płomieniami.

– Weszli w pole rażenia – odezwał się medyk. – Mam wydać rozkaz?

– Jeszcze nie. – Gladiator wpatrywał się usilnie w czoło kolumny. Dostrzegł tam dwa zwieńczone pióropuszami hełmy. – Poczekamy, aż dotrą do muru. Chcę, by pierwsza salwa poczyniła jak najwięcej zniszczeń.

Karim przytaknął. Stali dalej razem, obserwując, jak Rzymianie pokonują kamieniste bezdroże. Z tej odległości wyglądali w zapadającym mroku jak gigantyczna stonoga. Gdy legioniści podeszli bliżej, padł krótki rozkaz, po którym idący na czele wysunęli tarcze przed siebie, by chronić towarzyszy z dalszych szeregów. Wróg zwolnił, gdy dotarł do rumowiska i zaczął się wspinać na zwały gruzu. Kiedy pierwsi ludzie pojawili się w wyłomie, Ajaks nabrał powietrza do płuć.

– Teraz.

Karim przyłożył obie dłonie do ust i zawołał:

– Łucznicy! Podpalać strzały!

Arabowie stłoczeni wokół żarników natychmiast wykonali jego rozkaz, wsuwając w płomienie końce nasączonych szmat.

Medyk ponownie zaczerpną! tchu.

– Strzelać bez rozkazu!

Pierwsze strzały pomknęły w niebo i zaczęły spadać prosto na wyłom. Za nimi posypały się kolejne, zmierzając prosto na gruzowisko, jakby sączący się nad nim mrok przyciągał płomienie. Ogniki zasypały czoło rzymskiej kolumny. Część z nich spadała na ziemię i gasła, nie czyniąc nikomu krzywdy. Inne wybuchały snopami iskier po odbiciu się od tarcz, pancerzy albo muru. Tylko kilka przedarło się przez szczelne osłony, wchodząc głęboko w ciała.

Ostrzał trwał nieprzerwanie, zalewając wyłom potokami migotliwego blasku. Ajaks usłyszał kolejny rozkaz wydany tym samym chrapliwym głosem i czoło kolumny się zatrzymało, a potem uformowało klasycznego żółwia. Legioniści unieśli tarcze nad głowy, tworząc z nich lite zadaszenie chroniące ludzi przed deszczem ognistych pocisków.

Gladiator usłyszał głośny trzask dobiegający spod platformy, a gdy wyjrzał za jej krawędź, dostrzegł spadający podłużny kształt. Rzymskie skorpiony wznowiły ostrzał, próbując zniechęcić łuczników. Kolejne bełty odbiły się od szczytu pylonów, kilka trafiło jednak w cel, porywając stojących na murach ludzi i ciskając ich o ściany świątyni ozdobione płaskorzeźbami pradawnych bóstw.

Rzymianie pokonywali wąski wyłom, zostawiając za sobą

nielicznych zabitych i rannych. Zwarłszy szeregi, czoło formacji wkroczyło na odsłonięty teren za murem. Wróg kierował się prosto na barykadę blokującą przejście na pierwszy z wewnętrznych dziedzińców. Ajaks przypatrywał się uważnie centurii, ale nie dostrzegł w jej szeregach poszukiwanych oficerów.

– Strzelać dalej! – rozkazał, pozostawiając łuczników pod dowództwem arabskiego watażki. Sam zaś ruszył ku schodom po wewnętrznej stronie pylonu. – Chodź. Karimie.

Zbiegli pospiesznie wąskimi stopniami, które oświetlały pojedyncze lampki oliwne rozstawione na podestach łączących kolejne kondygnacje. Ajaks przyspieszył kroku, gdy usłyszał dochodzący z dołu szczęk broni. Dotarłszy na poziom ziemi, dostrzegł swoich ludzi tłoczących się pomiędzy kolumnami po lewej. Wyszarpnął miecz z pochwy i pognał w ich kierunku.

– Z drogi! – wołał. – Wynocha!

Arabowie spoglądali na niego ze zdziwieniem, ale usuwali się na bok, by mógł podejść do samej barykady. Przejście pomiędzy murem zewnętrznym a ścianą świątyni miało niespełna osiem stóp szerokości i zostało zablokowane kamieniami przeniesionymi z dziedzińca. Gladiator kazał ustawić z nich niewysokie przedpiersie. Czekało za nim kilku jego przybocznych gotowych zadźgać każdego Rzymianina, który spróbuje sforsować tę przeszkodę. Arabowie stojący na dachach po obu stronach przejścia zasypywali gradem strzał rzymską kolumnę, która ciągnęła się od barykady aż po wyłom. Oświetleni blaskiem płomieni legioniści stanowili łatwy cel. Musieli więc kulić się pod tarczami, czekając, aż straż przednia przebije się do wnętrza świątyni.

Ajaks i Karim wspięli się na barykadę, stając pomiędzy

nielicznymi jej obrońcami. Na przedpolu leżało kilka ciał, a czoło rzymskiej kolumny, skryte za ścianą tarcz, znajdowało się niespełna dwadzieścia stóp od przeszkody. Ogniste pociski spadały na stojących żołnierzy z obu flanek i z góry. Co jakiś czas żółw otwierał się w którymś miejscu, by legioniści z tylnych szeregów mogli cisnąć włócznią w stronę obrońców. Nie mieli jednak czasu, by dokładnie wymierzyć, jeśli chcieli ocalić własne życie.

– Na co oni czekają? – zdziwił się Ajaks.

Gdy kończył wypowiadać te słowa, w środkowej części kolumny zapanowało poruszenie. Chwilę później gladiator zauważył, że przez wyłom przechodzą kolejne oddziały. Ci żołnierze mieli łuki, łuskowe pancerze i szpiczaste hełmy jednostek pomocniczych. Nieśli też drewniane osłony. Rozstawili je pospiesznie, a potem zaczęli szyć zza nich do Arabów stojących na szczytach pylonów i na dachu świątyni. Ajaks nie zwracał jednak na nich uwagi, bardziej interesowało go to, co się działo z pierwszą kohortą. Ściana tarcz rozwarła się nagle, wypuszczając grupkę żołnierzy dźwigających prymitywną rampę zrobioną z palmowych pni przywiązanych do drabiny. Za nią pojawił się identyczny oddział z podobną konstrukcją. Obie niesiono prosto na barykadę.

– Wystrzelać ich! – wrzasnął, wskazując nowe cele.

Stojący najbliżej łucznicy odwrócili się natychmiast, wymierzyli w dół i posłali strzały. Dwaj Rzymianie padli, jeden został trafiony w udo, drugi w szyję. To wszakże nie powstrzymało reszty. Gdy oba oddziały dotarły do przedpiersia, prowadzący podnieśli rampy tak, by oprzeć je o szczyt barykady. W tym samym momencie pierwsze szeregi legionistów złamały szyk i ruszyły do ataku. Podkute sandały załomotały o palmowe pnie, zanim obrońcy zdążyli zablokować wyłom.

Ajaks skoczył ku drugiej rampie. Skopnął ją z przedpiersia, zanim wróg zdążył wejść na chybotliwą konstrukcję. Moment później dostrzegł przed sobą tarczę i wznoszony do uderzenia miecz żołnierza, który wdarł się na barykadę po pierwszym pomoście. Krótka klinga zalśniła złowrogo w blasku płonącego opodal żarnika. Ajaks ciął płasko, poniżej dolnego obramowania tarczy, trafiając żołnierza w goleń tuż nad kostką. Cios był mocny, rozpłatał ciało, krusząc też kość. Raniony wrzasnął przeraźliwie, nie miał już czucia w nodze, więc zwalił się w tył prosto na nadbiegającego kolejnego Rzymianina, który stracił równowagę i spadł z rampy. Razem z rannym kompanem gruchnęli ciężko na kamienną posadzkę.

Następny Rzymianin biegł już jednak na szczyt barykady. Był ostrożniejszy od poprzedników. Docierając do końca rampy, trzymał tarczę nisko. Ajaks cofnął więc prawą rękę, przygotowując się do zadania ciosu, a lewą szarpnął za krawędź tarczy. Przeciwnik trzymał ją mocno, mimo to udało się ją przechylić na tyle, by odsłonić jego udo i bok. Gladiator stojący po lewej wykorzystał tę przewagę, uderzając włócznią w nogę napastnika. Musiał działać szybko, instynktownie, toteż nie włożył zbyt wiele siły w to pchnięcie i nie okaleczył adwersarza. Rzymianin tylko jęknął i spróbował cofnąć się o krok. W tym momencie zrozumiał, że nie ma szans na odwrót, ponieważ następni żołnierze już napierali na jego plecy. Zaatakował więc Ajaksa, próbując uderzyć go w pierś ciężką tarczą. Gladiator nie miał jak uniknąć tego uderzenia – poleciał w tył i spadł z szańca prosto na głowy czekających tam Arabów. Wylądował na dwóch nieszczęśnikach, powalając ich swoim ciężarem. Sam także stracił dech i leżał przez chwilę oszołomiony na próbujących się podnieść mężczyznach. W końcu pozbierał się i stanął chwiejnie, a gdy zadarł głowę, zobaczył, że gladiator z włócznią zadaje kolejny cios Rzymianinowi, tym razem w okolice krocza. Trafiony

żołnierz zgiął się wpół, upuszczając tarczę. Karim, który zajął na przedpiersiu miejsce wodza, dobił przeciwnika szybkim pchnięciem w odsłonięty kark. Zabity padł na rampę i ześlizgnął się po niej pod nogi następnego z atakujących.

Koniec drugiej rampy pojawił się ponownie nad murem, więc Ajaks zawołał do swoich ludzi:

– Zepchnijcie ich! Nie mogą wejść na barykadę!

Zanim jedyny obrońca tego odcinka przedpiersia zdołał zamachnąć się ciężką falcatą, w polu widzenia gladiatora pojawiła się głowa, a potem tors nacierającego legionisty. Ostrze opadło na palmowe pnie, rozpoławiając kilka z nich, ale na pochylonego Karima padł już złowrogi cień. Ciężar napastnika dokończył dzieła zniszczenia – rampa załamała się z trzaskiem, a biegnący po niej żołnierz poleciał w bok, upadając pod nogi atakującego kolegi z sąsiedniego pomostu. Ten musiał zatrzymać się na chwilę, by nie stracić równowagi.

– Nie zatrzymywać się, do kurwy nędzy! Naprzód! Naprzód! – dobiegł ryk Macro zza przedpiersia.

Ajaks poczuł przypływ wściekłości. Chwyciwszy się za krawędź muru, wrócił na barykadę, odtrącając stojącego na niej gladiatora.

– Zjeżdżaj.

Gdy tamten zeskoczył posłusznie, Ajaks potoczył wzrokiem po kłębiących się na przedpolu legionistach. Szybko wyłowił w tłumie poprzeczny pióropusz centuriona. Macro stał obok kolumny żołnierzy, a za nim majaczyła druga znajoma sylwetka, jego młodszego przyjaciela, Katona. Gladiator schował miecz, odwrócił się i wyszarpnął włócznię z ręki stojącego obok renegata. Wiele by dał za bardziej bolesną śmierć wroga, ale zdawał sobie też sprawę, że musi brać to, co mu życie daje. Tuż

obok Karim odpierał ataki kolejnego legionisty próbującego dostać się na szczyt barykady. Ajaks zignorował łomot, z jakim klinga miecza szczerbiła tarczę napastnika. Podrzucił drzewce, wyważył je i uniósł nad głowę. Odchylając rękę do tyłu, wymierzył w obu oficerów. Poczuł złośliwą satysfakcję, wspomniawszy podobny moment, gdy to Macro bronił murów i cisnął w niego włócznią, która zabiła jednego z najbliższych druhów gladiatora.

Zaczerpną! tchu, potem zrobił długi powolny wydech, by zapanować nad nerwami i podnieceniem. Na sam koniec wykonał zamach, rozwierając jednocześnie palce. Drzewce poszybowało w dół prosto na obu oficerów.

– Macro! Uważaj! – Katon odciągnął przyjaciela dosłownie w ostatniej chwili. Mało brakowało, a grot wbiłby mu się prosto w pierś. Trafił za to Katona, wysoko, w lewe ramię. Młodzieniec poleciał do tyłu i padł na pokrytą gruzem ziemię.

– Ha! – mruknął Ajaks przez zęby.

Na jego twarzy pojawił się tryumfalny uśmiech. Posłał ostatnie spojrzenie w kierunku znienawidzonych wrogów, a gdy zobaczył, że Macro pochyla się nad Katonem, dobył miecza i włączył się do walki o utrzymanie barykady. Karim wciąż walczył z tym samym Rzymianinem, tocząc wyrównany pojedynek. Teraz, po dołączeniu trzeciego uczestnika, legionista musiał ulec. Mimo że sparował kolejne cięcie, nie miał szans powstrzymać drugiej klingi. Ajaks wyprowadził pchnięcie, omijając zręcznie tarczę, i rozciął dzierżącą ją rękę. Żołnierz stracił władzę w palcach i wypuścił cenną osłonę, odskakując jednocześnie, by znaleźć się poza zasięgiem mieczy. W tym samym momencie trafiły go dwie strzały nadlatujące z góry. Obie przeszyły jego prawą rękę. Rzymianin zawył z bólu i zgiąwszy się wpół, spadł z rampy na całkiem spory stos ciał.

Napastnicy stojący na dole rampy zawahali się, gdy wtem jednego strzała trafiła w twarz. Wyprężył się, zadrżał na całym ciele i padł pomiędzy ciała towarzyszy broni i strąconych z dachu arabskich łuczników.

– Wycofujemy się! – zawołał ktoś. – Wycofujemy!

Po chwili zamieszania legioniści odstąpili od przeciwległego krańca rampy. Powtarzając zawołanie, zmierzali bezładnie w kierunku wyłomu.

– Stać! – wrzeszczał Macro. – Wracać na pozycje, pieprzeni tchórze!

Ajaks widział, że centurion podniósł się, gdy lżył podwładnych, zaraz jednak przykucnął ponownie, zarzucił sobie na ramię Katona i ruszył chwiejnym krokiem za pierwszą centurią. Gladiator nie mógł znieść myśli, że wrogowie znów mu umkną, lecz wokół Macro zaczęły świstać strzały.

– Strzelać do oficerów! – zawołał, wskazując cele mieczem. – Zabić ich!

W bitewnym zgiełku rozkaz ten usłyszało tylko kilku ludzi, którzy stali tuż obok Ajaksa. I tylko oni zaczęli mierzyć do uciekającego centuriona. Ajaks przyglądał się strzałom śmigającym w migotliwym blasku dogasających ogni. Macro zwiewał ile sił w nogach, klucząc nieustannie, by zmylić strzelców. Mimo to jedna ze strzał odbiła się od pancerza Katona, druga śmignęła tuż obok hełmu niosącego go przyjaciela, zanim obaj zniknęli za osłonami rozstawionymi przez żołnierzy jednostki pomocniczej. Tam Macro bezceremonialnie rzucił Katona na ziemię i przyklęknął obok niego.

– Szlag – mruknął rozwścieczony Ajaks, zaciskając lewą dłoń w pięść.

Nadal nie spuszczał wzroku z drewnianej ścianki, za którą centurion ukrył rannego przyjaciela, by chronić go przed arabskimi łucznikami. A strzały ryły bez przerwy spękaną ziemię i poszarzałe drewno. Większość żołnierzy pierwszej centurii dotarła już w bezpieczne miejsce i przycupnęła za wyłomem albo za osłonami. Na oczach gladiatora ewakuowano także Katona. Macro rozkazał kilku łucznikom, by osłaniali rannego, przenosząc drewnianą ściankę. Gdy ostatni Rzymianie zniknęli po drugiej stronie zburzonego muru, Ajaks zazgrzytał zębami.

– Powinniśmy oszczędzać strzały, wodzu – podpowiedział mu Karim.

Ta uwaga otrzeźwiła gladiatora, który natychmiast zapomniał o przepełniającej go wściekłości.

– Poinstruuj ludzi.

– Przestańcie strzelać! – zawołał medyk, odwracając się kolejno na lewo i prawo. – Przestańcie strzelać!

Arabowie opuścili łuki, większość zeszła także z dachu świątyni. Na górze pozostawiono tylko nielicznych obserwatorów, by ostrzegli innych w razie powrotu wroga. Chwilę po tym, jak ostatni łucznicy z jednostek pomocniczych wrócili za stertę gruzu, zamilkły także skorpiony. Nocną ciszę zakłócały tylko powiewy chłodnego wiatru i jęki rannych. Rzymianie i Arabowie identycznie błagali o litość. Część zapalonych strzał nadal płonęła, podobnie jak żarniki na pylonach i murach świątyni, zalewając pobojowisko czerwonawą łuną. Rzymianie stracili ponad dwudziestu ludzi, ocenił Ajaks. Ale cios wymierzony w ich morale był znacznie mocniejszy. Gdy znowu ruszą do ataku, będą wiedzieli, że trafią pod grad strzał i na zdeterminowanych obrońców barykady. Będą musieli deptać po ciałach zabitych towarzyszy broni, ignorując nawoływania rannych. Rzymski

dowódca powinien się zastanowić dwa razy, zanim wyda rozkaz kolejnego szturmu.

– I co teraz? – zapytał półgłosem Karim. – Myślisz, że wrócą jeszcze tej nocy?

Gladiator zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Gdybym był na ich miejscu, zaatakowałbym jak najszybciej. Każda godzina spóźnienia daje większą swobodę armii księcia Talmisa… Zaatakują raz jeszcze.

– A co my możemy, wodzu?

– My? – Ajaks uśmiechnął się pod nosem. – Nic. W tej chwili nawet nasz szpieg niewiele nam pomoże.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Co z nim? – Macro stał nad przyjacielem, gdy legionowy medyk oglądał ranę w świetle lampki oliwnej trzymanej przez jego asystenta.

Chirurg westchnął z irytacją i odpowiedział, nie podnosząc głowy:

– Odpowiem ci, panie, jeśli przestaniesz mi przeszkadzać w oględzinach pacjenta.

Centurion cofnął się o krok.

– Proszę – burknął.

– Dziękuję.

Medyk pochylił się mocniej i obejrzał z bliska ramię trybuna. Zaraz po wycofaniu się ze świątyni Macro zawołał dwóch podkomendnych i kazał im odnieść rannego przyjaciela aż pod stanowiska skorpionów, gdzie sprowadzono zaraz chirurga. Katon uderzył się mocno w głowę, gdy padał odrzucony impetem trafienia. Stracił przytomność, ale zaczął przychodzić do siebie, gdy Macro z Hamedesem odciągali go od rumowiska. Wciąż był mocno oszołomiony, lecz na tyle świadomy, że czuł ból, dlatego klął nieskładnie pod nosem. Zanim przybyli medycy, centurion zdjął rannemu hełm, oporządzenie i pancerz. Trybun trafił do niewielkiej stajenki, gdzie położono go na stogu siana cuchnącego, jak wszystko wokół, końskim łajnem. Na koniec Macro kazał wyjść Hamedesowi, ponieważ nie był mu już do

niczego potrzebny.

Chirurg ściągnął tunikę z ramienia Katona, by przyjrzeć się uważniej wielkiemu sińcowi.

– Nie ma otwartej rany. To dobry znak. Trafiono go włócznią, powiadasz, panie?

– Tak. Wyglądało to tak, jakby leciała prosto na niego.

– Hm… – Medyk musnął opuszkami palców opuchliznę, potem powiódł nimi wzdłuż obojczyka.

– Żadnych złamań. Sprawdzę jeszcze staw barkowy. To może zaboleć. Musisz go przytrzymać, panie.

Macro przyklęknął, chwycił mocno zdrową rękę przyjaciela, drugą dłoń kładąc mu na piersi.

– Gotowe.

Chirurg pochylił się ponownie, ujmując opuchnięte ramię Katona obiema dłońmi. Obmacywał bark wolno i systematycznie w poszukiwaniu śladu złamań albo znaczniejszych uszkodzeń tkanki mięśniowej. Trybun przewrócił oczami, potem jęknął przeciągle. Medyk, zadowolony z wyników pierwszego badania, zaczął naciskać mocniej.

– Kurwa! – wrzasnął nagle Katon, próbując wstać. Oczy miał wytrzeszczone, nienawistne spojrzenie wbił w chirurga. – Ty bękarcie!

Spróbował uderzyć głową pochylonego nad nim medyka. Prawie mu się to udało – trafił go czołem w policzek.

Macro natychmiast przycisnął go do siana.

– Spokojnie, chłopcze. On opatruje twoją ranę.

Oszołomiony trybun przeniósł wzrok na przyjaciela. Zaraz jednak skinął głową, zaciskając mocno zęby.

– Dobra. Niech robi co trzeba.

Chirurg pomasował policzek i wrócił do badania ramienia. Gdy nacisnął palcem wielkiego sińca, centurion poczuł, że Katon tężeje pod jego ręką. Nie krzyczał jednak, tylko wpatrywał się intensywnie w powałę, czekając na zakończenie bolesnego badania. Chwilę to trwało, lecz w końcu medyk odsunął się, kiwając z zadowoleniem głową.

– Niezła opuchlizna, ale nie ma złamań. Będzie bolało jak nie wiem, dlatego radziłbym nosić rękę na temblaku. Przynajmniej przez kilka najbliższych dni. To powinno wystarczyć. Widzę, że uderzyłeś się także w głowę, panie.

Katon się skrzywił. Tego nie pamiętał.

– Utrata pamięci to normalka w takich wypadkach – uspokoił go chirurg. – Jak się czujesz, panie?

– Niezbyt dobrze. – Spróbował przełknąć ślinę i znów się skrzywił. – Głowa mnie boli. Wciąż jestem trochę oszołomiony… Ale pamiętam moment ataku, nadlatującą włócznię, a potem… nic.

– To dobrze. – Medyk poklepał Katona po wierzchu dłoni. – Przynajmniej w głowie ci się nie pomieszało.

Macro wzruszył ramionami.

– Jak na moje oko niewiele się zmienił…

Chirurg wstał.

– Musisz odpocząć, panie. Leż, dopóki nie miną zawroty głowy. Później możesz wstać. Ramię będzie bolało jeszcze przez kilka dni, może ci także drętwieć. Lepiej trzymaj rękę na temblaku. Poza tym miałeś naprawdę wiele szczęścia, panie. Na przyszłość staraj się nie wchodzić w drogę nadlatującym włóczniom albo strzałom.

Macro spojrzał na niego z politowaniem, a gdy medyk wyszedł ze stajni, odwrócił się do przyjaciela. Nie odzywali się przez dłuższą chwilę, wreszcie centurion odchrząknął i powiedział:

– Chyba powinienem ci podziękować.

– Podziękować?

Macro się nachmurzył.

– Tak. Ocaliłeś mi życie.

– Ja?

– Tego też nie pamiętasz?

Katon przymknął oczy i pokręcił głową.

– No tak – mruknął centurion. – Zapomnijmy o tym. Lepiej już pójdę. Legat będzie chciał wiedzieć co dalej. Ty tu leż i odpoczywaj.

Odwrócił się i pomaszerował do wyjścia.

– Macro… – wycharczał Katon.

Centurion odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

– Zrobiłem tylko to, co ty byś dla mnie zrobił, gdybyś znalazł się na moim miejscu – powiedział trybun.

– Tak, to prawda, ale na pewno nie skończyłbym tutaj. – Macro się zaśmiał. – Nie jestem takim chudeuszem jak ty. Gdybym to ja się na ciebie rzucił, ta pieprzona włócznia ominęłaby nas o milę. Posłuchaj lepiej medyka i odpoczywaj, póki możesz.

Po wyjściu ze stajni centurion przywołał Hamedesa.

Macro znalazł legata przy ruinach jednej z chat. Aureliusz siedział za prostym stołem. Wokół niego zgromadzili się oficerowie sztabowi, centurionowie z kohorty Macro i dowódcy jednostek pomocniczych. Inny z legionowych medyków

opatrywał niewielkie rozcięcie na przedramieniu wodza. Legat przemówił, zanim nałożono mu porządny opatrunek.

– Cieszmy się – powiedział – że nasz *primus pilus* znalazł czas na naradę.

– Doglądałem starszego trybuna, panie – odparł Macro ze szczyptą goryczy w głosie. – Podczas szturmu został ugodzony włócznią.

– Jak poważna jest jego rana? – zapytał Aureliusz, nie kryjąc obaw.

– Miał wiele szczęścia, panie. Jest poobijany, ale wyliże się.

– Świetnie, będziemy potrzebowali każdego człowieka. – Aureliusz wskazał głową na obwiązywane przedramię. – Sam zostałem ranny. Strzała rozorała mi rękę.

Zaskoczony chirurg spojrzał na niego, kręcąc głową. Gdy zawiązał porządnie opatrunek, wstał z kolan i cofnął się z szacunkiem.

– To tylko draśnięcie, panie. Radziłbym jednak, byś go nie zabrudził w najbliższym czasie.

Aureliusz pokiwał głową i odprawił go machnięciem dłoni. Gdy medyk zniknął w mroku, legat uśmiechnął się ciepło do Macro.

– Pierwszy atak zakończył się rzezią. Udałem się na pierwszą linię, by obserwować wasze poczynania z wyłomu. Tam mnie dosięgła strzała.

Wskazał z dumą świeży opatrunek. Centurion zauważył uniesienie w jego głosie: tak mówił człowiek dumny, że odniósł pierwszą ranę po wielu latach służby w okresie pokoju, gdy nie miał jak się wykazać na polu walki.

– Ale to tylko małe niepowodzenie – dodał pospiesznie legat. –

Zdobędziemy świątynię podczas kolejnego ataku. Jestem pewien.

Macro przyjrzał się uważniej przełożonemu. Aureliusz był w podejrzanie radosnym nastroju. A centurion służył wystarczająco długo w legionach, by znać te symptomy. Legatowi po odniesieniu rany – nawet tak lekkiej jak draśnięcie strzałą – wydawało się, że jest nietykalny. Nie musiał niczego udowadniać swoim podwładnym. Złożył daninę krwi na polu walki i zyskał tym prawo posłania ich do kolejnego szturmu bez względu na koszty. Ta euforia przejdzie za kilka godzin, pomyślał Macro. Każdy, kogo śmierć mijała o włos, doświadczał czegoś podobnego. Legat zacznie kalkulować na chłodno, ale jeszcze nie teraz. Trzeba go więc trzymać w ryzach, by nie rozkazał kolejnego natarcia, zanim nie wróci mu rozum.

– Zdobędziemy ją, panie – rzucił z udawanym zapałem. – Jak tylko zakończymy przygotowania.

– Przygotowania?

– Tak, panie. Musimy podciągnąć bliżej skorpiony, by zapewniły nam lepszą osłonę. Jeśli uda nam się wybić kilka dodatkowych dziur w murze zewnętrznym, machiny zlikwidują bez trudu wrogich łuczników. Musimy też sprawdzić, czy zablokowaliśmy każdą drogę ucieczki ze świątyni. – Macro wskazał głową Hamedesa. – Ten chłopak był kiedyś kapłanem. Zna rozkład świątyni. Odwiedzał ją niedawno. Zgadza się?

Hamedes przytaknął skwapliwie, stając przed najstarszymi oficerami legionu.

– Tak, panie.

– Mów zatem, co wiesz – polecił centurion. – Ile ten kompleks ma wyjść?

Kapłan się zastanowił.

– Pomiędzy najwyższymi pylonami znajduje się główna brama. Tam są olbrzymie wrota, panie. Grube na dłoń. Przed nimi jest niewielki dziedziniec z drugą bramą. Poza tym mamy dwa pomniejsze wejścia w bocznych ścianach świątyni. To, które zaatakowaliście wcześniej, i podobne po przeciwnej stronie budowli. Pewnie ufortyfikowali je równie dobrze jak to pierwsze, panie.

– Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać, czy to zrobili – wtrącił Aureliusz. – Masz tam iść i sprawdzić to. Raport złożysz centurionowi Macro natychmiast po powrocie.

Hamedes zerknął na centuriona, który skinął lekko głową. Kaplan przełknął więc ślinę i pokłonił się legatowi.

– Jak rozkażesz, panie.

Ruszył z ociąganiem w kierunku świątyni i wkrótce zniknął w mroku. Legat natomiast spojrzał na Macro.

– Skoro Katon został ranny, ty będziesz moim zastępcą. Jesteś doświadczonym oficerem, więc wysłucham twoich rad. Każ przesunąć skorpiony na nowe pozycje. Zrób wszystko, by kolejny atak zakończył się pełnym sukcesem. Zrozumiano?

– Tak, panie. – Macro skinął głową.

– Zadbaj też o to, by wróg nie mógł nam uciec. Chcę, by zabito albo schwytano każdego obrońcę tej świątyni. – Aureliusz dotknął dłonią czoła. – A teraz muszę odpocząć. Ta rana bardzo mnie osłabiła. Obudźcie mnie, gdy będziecie gotowi do rozpoczęcia drugiego ataku.

Nieco później w nocy, gdy nad horyzontem pojawił się księżyc w pełni, obrońcy świątyni usłyszeli odgłosy towarzyszące przygotowaniom do szturmu: legioniści wykuwali młotami dziury w murze zewnętrznym, ścinali siekierami kolejne palmy i wbijali

ćwieki w konstrukcje montowane poza polem widzenia, za pagórkiem, jakieś dwieście kroków od świątyni. Obserwujący to wszystko ze szczytu pylonu Ajaks doszedł do wniosku, że Rzymianie składają kolejne rampy, a kto wie, może i taran. Jeśli pomosty zawiodą, drugie rozwiązanie pozwoli im rozbić wzniesione w pośpiechu umocnienia. Gdy do tego dojdzie, nic nie zdoła powstrzymać wroga przed wtargnięciem na teren świątyni i wyrżnięciem wszystkich jej obrońców.

Gladiator zaczął więc rozważać, czy nie lepiej spróbować się przebić. Zauważył jednak wcześniej tej nocy, że wszędzie wokół rozstawiono patrole. Widział też, że cale oddziały legionistów rozsypują coś na szerokim pasie ziemi. Kurze stopki, bez dwóch zdań, pomyślał z goryczą. Cztery żelazne kolce skute tak, że jakkolwiek je rzucić, jeden zawsze sterczy pionowo w górę, gotów do okaleczenia stopy albo wbicia się w kopyto. Za pieszymi patrolami słychać było też znajomy tętent świadczący o obecności syryjskiej jazdy.

Minęła północ, wielki księżyc zdryfował wysoko na niebo, rzucając srebrzyste refleksy na wody Nilu, a potem zaczął się zniżać ku wzgórzom leżącym za przeciwległym brzegiem rzeki. Ajaks wiedział, że znalazł się w potrzasku. Resztka buntowników z Krety, Arabowie powierzeni mu przez księcia, wszyscy ci ludzie byli zgubieni. Smutno mu się zrobiło, ale nie czul strachu, tylko ogromny żal, że nie zaszkodzi już więcej Rzymianom. Miał tylko nadzieję, że jego włócznia raniła śmiertelnie Katona. Wściekał się też na myśl, że Macro nadal żyje i kto wie, czy nie przetrwa bitwy o świątynię. Nie podobało mu się, że polegnie, osiągnąwszy tylko połowiczną zemstę. Nie dawał jednak tego po sobie poznać. Myśląc o tym wszystkim, spoglądał z kamienną twarzą na pozycje Rzymian. Dla swoich wojowników musi pozostać nieustraszony i rezolutny jak zawsze, jeśli ma być dla nich wzorem podczas

ostatniej bitwy.

Godzinę po północy usłyszał dobiegający z wnętrza pylonu stukot sandałów. Moment później z mroku wyłonił się zdyszany Karim.

– Co się dzieje?

– Chodź ze mną, wodzu. Szybko.

Gladiator wyczuł ponaglenie w głosie medyka. Odwrócił się do niego zdziwiony.

– Mów, o co chodzi.

– Prościej będzie, jeśli za mną pójdziesz, panie. – Karim spojrzał znacząco na stojących opodal Arabów i dowodzącego nimi oficera.

– Skoro tak mówisz… – Ajaks skinął głową i ruszył za medykiem w dół schodów. Gdy znaleźli się trzy kondygnacje niżej, ponowił pytanie. – Co się dzieje?

Karim zerknął przez ramię.

– Nasz człowiek pojawił się w świątyni.

– Kantus? – Gladiator nie krył zdziwienia.

Nie rozumiał, dlaczego jego agent podjął tak wielkie ryzyko, by dotrzeć do świątyni. Wściekł się nawet. Szpieg dostarczał kurierom czekającym w pobliżu Diospolis Magna wielu cennych informacji o rzymskiej armii i jej dowódcach. Jego tożsamość powinna być chroniona za wszelką cenę. Lepiej, żeby miał dobry powód tej wyprawy za linię wroga.

Karim wskazał głową.

– Podszedł do północnej barykady. Powiedział, że chce z tobą rozmawiać.

– Gdzie jest teraz?

– Zaprowadziłem go do jednej z komnat ofiarnych, żeby nie rzucał się w oczy.

– Dobry pomysł – pochwalił go Ajaks. – Kantus może dostarczać księciu wielu użytecznych informacji, nawet jeśli ta świątynia padnie, o ile nie zostanie odkryty.

Przeszli przez dziedziniec i wkroczyli do otoczonej kolumnami sali, w której znajdował się ołtarz. Wewnątrz było ciemno, kierowali się więc prosto na jedyny ognik płonący daleko w głębi pomieszczenia. Po obu stronach ołtarza, na którym spoczywała święta barka, mieściły się niewielkie izby. Tutejsi kapłani już dawno nie otrzymali żadnej cennej daniny dla pradawnych bogów tej krainy. Zapuszczona komnata cuchnęła tej nocy stęchlizną.

W drzwiach izby po lewej pojawiła się ledwie widoczna postać.

– Wodzu? – wymamrotał czekający.

– Kantusie… – Ajaks podszedł do szpiega, robiąc srogą minę. – Co ty tu robisz?

– Wodzu, musisz wymknąć się z tej pułapki, dopóki masz możliwość. Jeśli tu zostaniesz, zginiesz.

– Skoro taka jest wola bogów, pokażę tym rzymskim psom, jak umiera prawdziwy mężczyzna.

Po krótkiej chwili odezwał się Karim.

– Nie dopuszczą do tego. Zabiją cię, dopiero gdy zostaniesz złamany. A zrobią to w najbardziej upokarzający sposób. Zrobią z ciebie przykład dla wszystkich niewolników imperium, wodzu.

Ajaks wiedział, że to prawda, więc przytaknął słowom medyka.

– Zatem nie mogą mnie wziąć żywcem. Polegnę tutaj, jeśli nie

zabity przez wroga, to z własnej ręki albo twojej, przyjacielu…

– Nie – przerwał mu Karim. – Musisz żyć, aby prowadzić dalej walkę z Rzymem. Żaden Rzymianin nie zaśnie spokojnie, wiedząc, że jesteś na wolności. I o to nam chodzi. Tylko ty możesz dać nadzieję tym, którzy tkwią w okowach, wodzu. Musisz przeżyć. Musisz uciec.

– Dobrze mówisz – poparł go Kantus. – A ja jestem tym, który może przeprowadzić cię przez linie wroga. Znam drogę, a jeśli trafimy na patrol, zostanę rozpoznany jako swój.

– Miałbym uciec? – Gladiator pokręcił głową. – Chcesz, bym okrył się hańbą?

– Nasza sprawa jest ważniejsza niż twoja duma – upierał się Karim. – Czasami człowiek wyrasta ponad siebie. Staje się inspiracją. Jego imię zagrzewa do walki innych ciemiężonych i sieje strach w szeregach wroga.

– To działa nawet po śmierci takiego człowieka – przypomniał mu Ajaks.

– Jeśli tu polegniesz, wszystko, o co walczyłeś, zostanie pogrzebane. Także twoje dobre imię.

Gladiator spuścił na moment głowę, by przemyśleć te słowa. Nieco wcześniej tego wieczora pogodził się z koniecznością postradania życia w tej zapomnianej przez bogów i ludzi świątyni. Miał już dość uciekania przed Rzymem. A teraz Karim wywrócił jego postanowienia do góry nogami. Spojrzał więc na pozostającego w mroku Kantusa.

– Jaki masz plan?

Na godzinę przed świtem niewielka grupka ludzi przemknęła przez dziedziniec oddzielający świątynię od okalającego ją muru. Z drugiej strony kompleksu dobiegał ryk, z jakim oddziały

Hepitusa uderzyły na legionistów strzegących pozycji skorpionów. Nubijczyk zgłosił się na ochotnika i został w świątyni, by odwrócić uwagę wroga od ucieczki swojego wodza. Ajaks, odchodząc, ślubował w duszy, że pomści bohaterskiego kompana, posyłając w zaświaty co najmniej dziesięciu Rzymian.

Liny, po których Kantus dostał się do świątyni, wisiały tam, gdzie je zostawił. Gladiatorzy i najlepsi z arabskich wojowników, których Ajaks wybrał do tej misji, wspinali się kolejno, ostrożnie wchodząc na szczyt muru i opuszczając się równie cicho po jego drugiej stronie. Gdy ostatni przycupnął w mroku, wódz renegatów chwycił szpiega za rękaw tuniki.

– I co teraz?

– Przez tamto pole biegnie osuszony rów nawadniający. – Kantus wskazał skraj ziemi uprawnej zaczynającej się opodal muru. – Pójdziecie za mną, zachowując jak największą ostrożność. Rzymianie ustawili dwa posterunki oddalone o mniej więcej sto kroków od rowu, za nimi przekop łączy się ze znacznie szerszym kanałem. W nim jest woda, więc będziemy musieli zwolnić. Ćwierć mili dalej stacjonuje oddział jazdy. Większość żołnierzy spała, gdy mijałem tamto miejsce, udając się do świątyni. Konie trzymają od strony kanału, a pilnuje ich tylko trzech strażników. Jeśli nas zauważą, ja im odpowiem. Znam hasło obowiązujące tej nocy. Dopadniemy ich, zanim zrozumieją, co się dzieje. Potem zabierzesz konie i uciekniesz, panie.

– Nie idziesz z nami?

Kantus pokręcił głową.

– Nic mi nie będzie, jeśli znajdę się po właściwej stronie świątyni, zanim zaczną za mną tęsknić. Moja przykrywka sprawdzała się do tej pory. Wątpię, aby zorientowali się nagle,

z kim mają naprawdę do czynienia. Tam przydam się tobie i naszym sojusznikom bardziej niż gdzie indziej. – Jego zęby zalśniły w mroku, gdy się wyszczerzył. – To najlepsza z moich dotychczasowych kreacji scenicznych. Gdybyż moi koledzy aktorzy mogli mnie podziwiać, pękliby z zazdrości.

– Ciesz się lepiej, że żadnego tu nie ma. – Ajaks także się uśmiechnął, potem pchnął lekko szpiega. – Chodźmy już.

Kantus poprowadził sznur przyczajonych mężczyzn w kierunku pola. Bitewny zgiełk za ich plecami cichł stopniowo po tym, jak Hepitus nakazał odwrót i sam wycofał się na teren świątyni. Po wejściu w uprawy gladiator poruszał się jeszcze wolniej, aby nie zwrócić niczyjej uwagi głośniejszym szelestem wyschniętych łodyg zboża. On i jego ludzie szli teraz w tak wolnym tempie, że zaczął się obawiać, iż świt zastanie ich, zanim przenikną za linie wroga. W końcu jednak Kantus zeskoczył na dno szerokiego rowu i tam znów przyspieszył do truchtu. Ajaks przycupnął po chwili, słysząc w oddali podniesione głosy, lecz gdy szybka wymiana zdań zakończyła się gromkim śmiechem, poderwał się i nie prostując pleców, pobiegł dalej. Rów wydawał się coraz głębszy, jego dno robiło się bardziej pochyłe. Jeszcze kilka kroków i uciekinierzy stanęli na brzegu kanału irygacyjnego. Kantus pierwszy zsunął się do wody i zaczął brodzić, ostrożnie przesuwając nogi, by nie narobić hałasu. Pozostali poszli jego śladem, trzymając się blisko skraja trzcinowisk porastających kanał po obu stronach.

Nagle Kantus podniósł rękę, nakazując swoim towarzyszom, by się zatrzymali. Z głębi trzcinowiska dobiegł cichy bulgot, po czym zapadła na powrót cisza przerywana od czasu do czasu końskim parskaniem. Ajaks przywołał Karima i razem z nim podszedł wolno do szpiega.

– To tutaj – oznajmił Kantus.

– Świetnie. – Gladiator wysunął miecz z pochwy. – Zajmiemy się strażnikami, potem wyrżniemy pozostałych, póki śpią. Zrozumiano?

Ukryci w mroku mężczyźni pokiwali głowami i także sięgnęli po broń. Ajaks wyprowadził ich z wody przez największą gęstwinę trzcin. Za nimi przystanął tylko na moment, by przyjrzeć się otoczeniu. Konie stały daleko po prawej, przywiązano je do liny rozpiętej pomiędzy dwoma palmami. Dwaj wartownicy rozmawiali obok wierzchowców, nieco dalej widać było leżących na ziemi ludzi. Stamtąd dobiegało także głośne pochrapywanie. Jeszcze dalej przechadzał się samotny strażnik. Ajaks wskazał go palcem.

– Jest twój, Karimie. Obejdź obozowisko i zdejmij go po cichu. Policzę do stu, zanim ruszymy na tamtych dwóch.

Medyk skinął głową, przypadł do ziemi i pochylony nisko ruszył ku śpiącym Rzymianom. Zaraz znikł w cieniu rzucanym przez kępę palm. Gladiator zaczął liczyć miarowo i po chwili skinął na Kantusa.

– Idziemy.

Wyszli na ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu. Ajaks wyprostował się dumnie i skierował prosto na obu strażników pilnujących koni. Byli tak zajęci rozmową, że dostrzegli przybyszów dopiero w ostatniej chwili. Jeden odwrócił się szybko, mierząc włócznią w nadchodzących.

– Stój! Kto idzie?

– Swój – odpowiedział Kantus.

– Skoro tak, podaj hasto!

– Niebiescy górą – odpowiedział spokojnie szpieg, idąc dalej i nie zdejmując dłoni z głowicy miecza.

– Przechodź, przyjacielu – odpowiedział Rzymianin.

Ajaks dołączył do Kantusa i razem ruszyli ścieżką. Gdy znaleźli się bliżej, strażnicy zauważyli, że strój szpiega ma rzymski krój, za to jego towarzysz jest odziany zupełnie inaczej. Ale przybysze nie zwolnili kroku, więc jeden z Rzymian, wyciągając szyję, rzucił w końcu:

– A tyś kto?

Ajaks, będący już tylko parę kroków od obu legionistów, skoczył nagle do przodu, wyciągając przed siebie miecz. Ostry sztych zagłębił się w ciele strażnika, raniąc go poważnie i posyłając na ziemię. Jego kompan był zbyt zaskoczony, by szybko zareagować, toteż zaczął opuszczać w końcu włócznię, Kantus odtrącił ją bez trudu, po czym wbił gladiusa w szyję bezradnego Rzymianina, który padł na kolana i wykrwawił się do cna, zanim spoczął bezwładnie na ziemi. Ajaks w tym czasie wykończył ranionego przez siebie żołnierza i spojrzał w kierunku ostatniego z wartowników, który musiał coś usłyszeć, stał bowiem na niewielkim pagórku po drugiej stronie obozowiska, ściskając w rękach włócznię. Zanim jednak zdołał otworzyć usta, za jego plecami pojawił się cień. Zaatakowany i napastnik zniknęli z pola widzenia. Ajaks wpatrywał się w mrok, gotów w każdej chwili biec na pomoc Karimowi, ale Part zerwał się z ziemi, unosząc miecz w zwycięskim geście.

– Załatwieni – wysapał zadowolony Kantus, nie kryjąc ulgi.

Odwrócił się twarzą do kanału i zagwizdał cicho. Z trzcinowiska wynurzyła się grupka mężczyzn, którzy podbiegli do Ajaksa. Wskazał im ludzi leżących na gołej ziemi, z dala od daktylowców, co miało chronić ich przed spadającymi z gałęzi wężami.

– Zabijcie ich wszystkich, ale cichcem – rozkazał gladiator.

Wojownicy zakradli się w pobliże chrapiących Rzymian, przyklęknęli, by zatkać ofiarom usta i poderżnąć im gardła. Tu i ówdzie ktoś z zabijanych poruszył się niespokojnie albo zacharczał, dławiąc się własną krwią. Gdy ostatni żołnierz skonał, Ajaks poprowadził swoich ludzi do uwiązanych koni. Przy każdym leżało przygotowane siodło, więc okulbaczenie zwierząt nie trwało długo. Kilka chwil po wymordowaniu Rzymian oddział uciekinierów siedział już na wierzchowcach. Tylko Kantus nie poszedł ich śladem.

– Jesteś pewien, że chcesz tu zostać? – zapytał Ajaks.

– Tak, wodzu.

– Jeśli odkryją, że ich szpiegujesz, a prędzej czy później to nastąpi, nie okażą ci litości.

– Jestem ostrożny. Poza tym podoba mi się, że ich zwodzę. Nigdy wcześniej nie gratem takiej roli. – Szpieg przestał się uśmiechać i wskazał głową na wschód, za Nil, na jaśniejące z wolna niebo. – Lepiej już jedźcie. – Uścisnął rękę gladiatora. – Niech Fortuna ci sprzyja, wodzu.

Ajaks podziękował mu skinieniem głowy, potem cofnął rękę, by ująć nią wodze, i skierował wierzchowca ku wzgórzom ciągnącym się aż po zachodni horyzont. Zamierzał udać się na największe pustkowia, by jak najszybciej oddalić się od oblegających świątynię Rzymian. Później zawróci ku rzece i po znalezieniu brodu pogna na złamanie karku do obozu księcia Talmisa, by dołączyć do jego armii.

Zrobił to, o co prosił go wódz Nubijczyków. Jego oddział zatrzymał Rzymian i zadał im ciężkie straty. Przy odrobinie szczęścia legat podzieli swoje siły, by mieć pewność, że nie zostanie ponownie zaskoczony z drugiego brzegu rzeki. Z drugiej strony jednak stracił wszystkich swoich ludzi, co może wzbudzić

gniew sojusznika.

Wbijając pięty w boki konia, zmusił go do galopu, oddalając się od szpiega stojącego opodal obozu wymordowanego szwadronu. Kantus obserwował gladiatora jeszcze przez chwilę, po czym pobiegł ku świątyni, by dołączyć do Rzymian, zanim zauważą jego nieobecność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pól mili dalej pola uprawne ustąpiły miejsca piaszczystym bezdrożom, do których nie prowadziły kanały irygacyjne. Na takim terenie nie było się gdzie ukryć, więc Ajaks zatrzymał wierzchowca, by przyjrzeć się uważnie wzgórzom przed sobą. Po prawej miał urwiste klify piaskowców i gór, które stanowiły naturalną barierę dla bezkresnej pustyni. Z drugiej strony ciągnęła się wstęga Nilu. Najwyższe szczyty jaśniały już w promieniach wschodzącego słońca, w ich dolnych partiach wciąż jeszcze snuł się coraz rzadszy mrok.

Ajaks cmoknął cicho, dając jednocześnie znak swoim ludziom, by ruszyli za nim w kierunku pustyni. Tutaj czuł się straszliwie niepewnie. W razie zagrożenia nie znalazłby nigdzie kryjówki, więc postanowił, że najlepiej będzie, jeśli pokonają ten odcinek trasy, zanim zrobi się jasno. Kilka ruchów wodzami i jego koń przyspieszył do kłusu, wzbijając w powietrze obłoczki drobin piasku, podobnie jak wierzchowce pozostałych uciekinierów.

– Nie podoba mi się to, wodzu – rzucił Karim, oglądając się przez ramię na dobrze już widoczny kompleks świątyni za pasem pól i nielicznymi kępami palm. – Lada chwila nas zauważą.

– Jeśli nawet ktoś zwróci na nas uwagę, pomyśli, że to jeden z ich patroli.

– A jeśli dojdą do innego wniosku?

Gladiator wzruszył ramionami.

– Wtedy sprawdzimy, czy mamy naprawdę dobre konie.

Im jaśniej robiło się na tym odludziu, tym większy żar bil od ziemi. Skądś z lewej dobiegł piskliwy dźwięk rzymskich trąb i chwilę później Ajaks usłyszał charakterystyczny trzask uwalnianych napinaczy. To znaczyło, że rozpoczął się właśnie drugi szturm na świątynię. Gladiator poczuł się winny, gdy pomyślał, że zostawił Hepitusa i resztę swoich ludzi na pewną śmierć tylko dlatego, że chciał mieć szanse na kontynuowanie walki z Rzymem. Poświęceni towarzysze zapewne drogo sprzedadzą swoje skóry. A on pomści ich za jakiś czas.

Karim ściągnął nagle wodze, wyciągając rękę przed siebie. Jakieś ćwierć mili przed nimi zza wydmy wynurzyli się trzej jeźdźcy. Jechali prosto na oddział Ajaksa.

– Co robimy?

– Nic – odparł spokojnie gladiator. – Przy odrobinie szczęścia wezmą nas za swoich.

Part zerknął na czarne szaty ośmiu towarzyszących im Arabów.

– Tylko jeśli miną nas w dużej odległości.

Ajaks odbił lekko w bok, by ominąć nadjeżdżających, ale oni także zmienili kierunek jazdy.

– Szlag.

– Musimy coś zrobić – pieklił się Karim. – Nie możemy pozwolić, żeby podnieśli alarm.

Gladiator zastanowił się krótko.

– Każ Arabom przygotować łuki. Jeśli ich zaskoczymy, zginą, zanim zrozumieją, co się dzieje.

Part przytaknął i ściągnął wodze, by zwolnić jeszcze bardziej. Chwilę później zrównał się z dowódcą sojuszników i przekazał

mu rozkaz wodza.

Oba oddziały jechały prosto na siebie, Ajaks zaś obliczał w myślach, jakie ma szanse na ewentualną ucieczkę. Do miejsca, gdzie strome klify przechodziły w pustynię, pozostawała wciąż mila. Jeśli Rzymianie zareagują wystarczająco szybko, zdołają odciąć mu drogę powrotną nad górny Nil.

Tymczasem trójka jeźdźców zbliżała się, nie okazując żadnych oznak niepokoju. Ich dowódca uniósł dłoń w powitalnym geście, gdy dzieliło go od Ajaksa niespełna pięćdziesiąt kroków.

– Kim jesteście? – zapytał, podnosząc głos.

– Jednostka pomocnicza! – odparł gladiator, popędzając konia.

Zauważył wahanie w oczach Rzymianina, dostrzegł też znaczące spojrzenia, które wymienili jego towarzysze. Lada moment odkryją prawdę.

– Teraz! – zawołał.

Jeden krótki rozkaz wystarczył, by w kierunku rzymskiego patrolu pomknęło z sykiem kilka strzał. Dowódca dostał prosto w pierś, jego wierzchowiec wierzgnął po trafieniu w kark, zrzucając swojego pana na piach. Kolejna strzała wbiła się w udo drugiego z Rzymian, reszta chybiła celu. Ostatni z wrogów, widząc, co się dzieje, zawrócił konia i zaczął uciekać do odległej o kilkaset kroków świątyni. Jego ranny kompan stał w miejscu, próbując wyrwać grot z rany. To dało czas łucznikom na oddanie kolejnej salwy. Tym razem trafili go w klatkę piersiową i twarz. Zleciał z siodła jak kamień, padając na piach.

– Łapcie tamtego! – zawołał Karim, wskazując jeźdźca, który położył się na grzbiecie konia, by stanowić jak najmniejszy cel.

Arabowie strzelali do niego bez przerwy, ale trafienie w pędzącego jeźdźca nie było proste, a dystans zwiększał się

z każdą sekundą. Part w końcu nie wytrzymał – wyszarpnął miecz zza pasa i już chciał pognać za oddalającym się żołnierzem.

– Zostaw! – rozkazał Ajaks. – Za późno na to. Musimy uciekać.

Karim niechętnie schował miecz, potem warknął na łuczników, by przestali strzelać. Moment później cała kolumna pogalopowała przed siebie, kierując się na pustkowia dzielące uprawne ziemie od gór. Ajaks bez przerwy oglądał się przez ramię – nie trzeba było długo czekać, by zobaczyć, że uciekinier dociera do pierwszego posterunku. Składając raport, żywo gestykulował. Później w oddali zabrzmiał róg, raz i drugi. Renegaci mieli jeszcze ćwierć mili do pustyni, gdy nagle Karim krzyknął, wskazując Nil. Z rzymskiego obozu wyruszyły dwa szwadrony jazdy. Jeden zmierzał prosto na ludzi Ajaksa, drugi próbował odciąć im drogę ucieczki.

Gladiator w okamgnieniu się zorientował, że nie umknie pogoni. Podniósł więc rękę, zatrzymując konia. Pozostali jeźdźcy wyhamowali obok niego, wznosząc w powietrze tumany pyłu. Ajaks rozejrzał się pospiesznie wokół. Mogli jechać tylko w jednym kierunku – na północ.

– Za mną! – Ściągnął ostro wodze i zawrócił konia, by nie wpaść w pułapkę zastawianą przez dwa szwadrony wroga. Reszta gladiatorów i Arabów zrobiła to samo. Galopowali po sypkim piachu, mając po lewej skały, a po prawej opalizującą złotawą mgiełkę, zza której wyłaniała się tarcza słońca. Ajaks leżał płasko na grzbiecie wierzchowca, czuł, jak jego grzywa chłoszcze go po policzku przy każdym kroku. Czuł ogromną gorycz w sercu na myśl, że pościg ten zakończy się starciem, w którym on polegnie albo będzie musiał się poddać. A wróg zadba, by wszyscy się dowiedzieli, jak nikczemnie porzucił swoich ludzi i uciekł z oblężonej świątyni. Aby do tego nie dopuścić, musi uciec i kontynuować nierówną walkę. Tylko to się teraz liczyło.

Drugi szwadron zrezygnował z bezcelowych prób odcięcia drogi ucieczki na pustynię i skręcił, by przyłączyć się do pościgu. Sześćdziesięciu żołnierzy goniło dwudziestu ludzi Ajaksa. Ewentualna walka mogła się skończyć tylko w jeden sposób: renegaci byli skazani na klęskę. Mknąc wzdłuż klifów, gladiator dostrzegł nagle gardziel krętego wąwozu przecinającego zbocze łagodniejszego wzniesienia. Stwierdził, że jeśli parów prowadzi na sam szczyt góry, ucieczka nim może dać szansę na dotarcie do pustyni i powrót do księcia Talmisa. A jeśli kończy się wcześniej, będzie można wykorzystać wąskie przejście do wyrównania szans w walce z liczniejszym przeciwnikiem.

Wskazał głową gardziel i zawołał do Karima:

– Tam!

Oddział skręcił ku wzniesieniu. Ajaks dostrzegł szlak biegnący w stronę wąwozu i pomyślał, że to dobry znak. Wydeptane drogi muszą dokądś prowadzić, pomyślał, a to z kolei może oznaczać, że wąwóz ma drugie wyjście. Zerkając przez ramię, zobaczył, że bliższy ze szwadronów znajduje się niespełna czterysta kroków od jego ludzi. Znacznie bliżej niż jeszcze przed chwilą, pomyślał ze strachem. Szlak wił się teraz po bardziej kamienistym gruncie, tętent kopyt odbijał się więc echem od coraz wyższych zwietrzałych skał. Jeszcze trochę i pościg zniknął z oczu gladiatora za szerokim zakrętem, więc Ajaks zaczął się zastanawiać, czy w tej sytuacji nie uda się zmylić wroga, jeśli wąwóz będzie miał jakieś odnogi. Niestety, natura poskąpiła mu takiej szansy – szlak ciągnął się zygzakami dnem pojedynczego głębokiego wąwozu, którego ściany były zbyt strome, by można je pokonać konno.

Jakąś milę dalej skały się rozstąpiły i jeźdźcy wpadli do przestronnej doliny otoczonej zewsząd klifami i wielkimi osypiskami. Tu i ówdzie gladiator widział mroczne otwory, coś

jakby wloty jaskiń. Szlak kończył się zaś nagle u stóp jednej ze skalnych ścian. Wokół nie było nawet śladu życia, panował tutaj tak totalny bezruch, że człowiek, który trafił na tę naturalną arenę, automatycznie zaczynał czuć niepokój. Rozpalone powietrze uwięzione pomiędzy skałami potęgowało to wrażenie.

– Co to za miejsce? – dopytywał się Karim. – Te jaskinie nie wyglądają mi na naturalne. Ktoś musiał wykuć je w skale. Spójrz tam, wodzu.

Wskazał na jedną z większych pieczar, po części ukrytą za wielkim głazem. Jej wnętrze wzmocniono obmurowaniem, które pokryto płaskorzeźbami. Widać było na nim symbole takie jak zdobiące ściany świątyni. Ajaks podjechał bliżej, by zajrzeć w głąb tunelu. Pomalowane ściany ciągnęły się daleko, do miejsca, gdzie pochłaniał je mrok. Zanim zdążył zobaczyć coś więcej, jeden z jego ludzi krzyknął ostrzegawczo, wskazując na szlak. Gladiator nastawił ucha, jak wszyscy wokół niego, i usłyszał narastający tętent wielu kopyt.

– Karimie, poprowadź łuczników na tamte skały! – Wskazał osypisko przy ostatnim zakręcie szlaku. – Tylko czekajcie, aż podjadą blisko, zanim zaczniecie strzelać.

Part skinął głową, zeskoczył pospiesznie z konia i zaczął wydawać polecenia Arabom. Ajaks odwrócił się w tym czasie do pozostałych członków oddziału – ostatnich żywych uczestników buntu na Krecie.

– Szlak za skałami jest bardzo wąski, tam będziemy mogli bronić się do upadłego. Każdy z was jest lepszy od trzech najlepszych Rzymian, a ziemia wokół nas, jak widzicie, jest upstrzona grobowcami. – Wskazał wyloty pobliskich jaskiń. – Napełnijmy je więc po brzegi ciałami poległych wrogów.

Ajaks zajął miejsce pośrodku szlaku, a jego przyboczni stanęli

po obu stronach, tworząc zwartą linię. Dobyli mieczy, podnieśli tarcze żołnierzy, których wymordowali przed świtem. Tętent końskich kopyt narastał, odbijając się od postrzępionych skał, wkrótce jednak nad te hałasy wzbił się głos Karima:

– Przygotujcie się! Nadchodzą!

Ajaks zacisnął palce na rękojeści miecza, jego kolana przywarły ciaśniej do boków wierzchowca. Moment później u podstawy skał pojawili się pierwsi Rzymianie: chorąży i dowodzący szwadronem dekurion. Dowódca zwolnił, unosząc ostrzegawczo dłoń, gdy dostrzegł sto kroków przed sobą czekających zbrojnych. Kiedy rzymska jazda się zatrzymała, jej dowódca zawrócił rumaka, by wydać podwładnym rozkazy i przygotować ich do przeprowadzenia ataku. Żołnierze odłożyli na chwilę włócznie, by podnieść przywiązane do łęków tarcze i osłoniwszy się nimi, ponownie chwycić broń i wodze. Ajaks przyglądał się temu wszystkiemu ze spokojem, zerkając od czasu do czasu na ludzi Karima, którzy właśnie nakładali strzały, napinali cięciwy i mierzyli dokładnie, czekając na rozkaz. Part przyglądał się uważnie ruchom wroga, a gdy jeźdźcy zbliżyli się do jego kryjówki, uniósł rękę w górę i przytrzymawszy ją krótko, dał w końcu znak.

– Teraz!

Niektórzy z Rzymian unieśli głowy, słysząc dobiegający z osypiska krzyk. W tym samym momencie strzały sięgnęły celów, spadając na sam środek luźnego szyku. Wchodziły w mięśnie koni, odbijały się od pancerzy i tarcz. Jedna weszła głęboko w udo chorążego, przyszpilając je do siodła. Arabowie natychmiast sięgnęli po kolejne strzały, by razić nimi wroga, skały wokół zawibrowały od przeraźliwych wrzasków ludzi i rżenia koni. Ajaks ujrzał, że kilku żołnierzy spada na ziemię, a reszta wyhamowuje, nie wiedząc, co począć, albo próbując

uchronić siebie i wierzchowce przed spadającymi z góry bełtami. Czas na atak, uznał, robiąc głęboki wdech.

– Naprzód!

Ścisnął boki konia kolanami i zwierzę posłusznie zerwało się do biegu. Gladiatorzy i niewolnicy ruszyli razem z nim, więc przyspieszył jeszcze bardziej, ale tylko do kłusu. Nie było sensu uderzać na wroga w pełnym galopie. Chciał, by wszyscy jego ludzie uderzyli jednocześnie, maksymalizując efekt szarży. Strzały sypały się w dół nieprzerwanie, siejąc śmierć w szeregach wroga, więc gladiator poczuł niepokój, że arabscy sojusznicy dadzą się ponieść żądzy krwi i nie zaprzestaną ostrzału nawet wtedy, gdy on i jego nieliczni podkomendni zmieszają się z Rzymianami. W ostatniej chwili jednak Karim wydał im rozkaz, a oni posłusznie opuścili łuki.

Gladiatorzy na koniach uderzyli na zdezorganizowane szeregi Rzymian, podjeżdżając do nich tak blisko, że mogli używać tarcz jako broni. Z tego dystansu miecze były znacznie bardziej użyteczne niż nieporęczne włócznie. Ajaks ciął na odlew pierwszego żołnierza, który stanął mu na drodze. Ostrze nie zdołało wprawdzie przeciąć chroniącej go kolczugi, ale siła ciosu była tak znaczna, że strzaskała kości i jeździec zsunął się z siodła, wrzeszcząc przeraźliwie. Gladiator uderzył znowu – tym razem ciął żołnierza z drugiej strony. Nie miał czasu na porządny zamach, ale mierzył w kark, wystarczyło więc, że klinga przeszła pod krawędzią hełmu. Płytkie cięcie przepołowiło kręgi. Gdy i ten żołnierz poleciał na twarz, Ajaks skierował konia ku dekurionowi, który trzymał się blisko rannego chorążego, broniąc dostępu do sztandaru jednostki. Wszędzie wokół unosiły się tumany pyłu. Słychać było tylko szczęk broni, wrzaski walczących i krzyki konających. Krótkie spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, że walka układa się po myśli renegatów. Tylko

jeden z gladiatorów odniósł rany – któryś z żołnierzy przeciągnął mu przez bok grotem włóczni, ale to go nie osłabiło, a wręcz przeciwnie, rozjuszyło. Okładał kłębiących się wokół Rzymian z ogromną zaciekłością.

Błysk i padający cień uświadomiły gladiatorowi, że kolejne zagrożenie nadchodzi z prawej. Osłonił się tarczą, blokując pchnięcie włócznią wyprowadzane znad głowy przez Rzymianina. Grot zsunął się, mijając o włos głowę Ajaksa, który w tym samym momencie obracał się w siodle, by zadać potężne cięcie. Klinga przeszła przez nadgarstek żołnierza. Broń i dzierżąca ją dłoń zniknęły w spowijających ziemię kłębach pyłu.

– Wycofać się! – zawołał dekurion.

Rzymianie, którzy nie brali udziału w walce, cofali się kolejno, odjeżdżając w głąb wąwozu. Inni robili co mogli, by oderwać się od nacierającego przeciwnika. Dowódca szwadronu kazał uciekać rannemu chorążemu, zostając za nim, by uniemożliwić renegatom pościg i zdobycie sztandaru. Szlachetny gest, pomyślał Ajaks, ale mający ogromną cenę. Dwaj gladiatorzy podjechali do oficera z przeciwnych stron. Dekurion zablokował poprawnie pierwszy atak, przyjmując go na tarczę, a potem odwrócił się, by odeprzeć drugiego przeciwnika. Kolejnego zwrotu nie dokończył – pierwszy napastnik uniósł miecz i wbił go prosto w twarz oficera. Krew trysnęła spod hełmu, a trafiony rozłożył tylko szeroko ręce i zwalił się na ziemię przez zad wierzchowca.

Łucznicy Karima posłali kilka strzał w ślad za uciekającymi Rzymianami. Nie przestali szyć, dopóki ostatni legionista nie zniknął za najbliższym załomem. Ajaks rozglądał się wokół, dysząc ciężko. Udało się wybić bądź ranić prawie pół szwadronu, choć była to głównie zasługa strzelców. Wśród zabitych spoczywało także ciało gladiatora – ułamane drzewce włóczni sterczało z jego piersi. Dwaj inni byli ranni, jeden chyba nie

zdawał sobie sprawy, że krwawi. Teraz, gdy z wolna opadał bitewny szał, mężczyzna ten spuścił wzrok i ze zdziwieniem przyglądał się rozcięciu na skórzanym napierśniku oraz szybko powiększającej się plamie na tunice. Ajaks zrozumiał w lot, że to śmiertelna rana, trafiony także doszedł prawie natychmiast do tego wniosku. Drugi gladiator miał rozciętą nogę, włócznia rozorała mu tył uda, przecinając ścięgna.

– Pomóżcie im! – rozkazał Ajaks, przywołując najbliżej stojących renegatów. – Zaprowadźcie ich do cienia, najlepiej do któregoś z pobliskich grobowców. Reszta niech zajmie się dobiciem rannych Rzymian.

Karim ześlizgnął się po kamiennej ścianie i zeskoczył lekko na dno wąwozu. Uśmiechał się szeroko do wodza.

– Zmusiliśmy ich do odwrotu.

– Na chwilę. – Ajaks wsunął miecz do pochwy, zawiesił tarczę na łęku i dopiero potem zsiadł z konia. – Ci, którzy ocaleli, nie wjadą tu po raz drugi na ślepo. Tego możemy być pewni. Zaczają się tam i poczekają na wsparcie.

– Poszukamy w tym czasie wyjścia.

Gladiator wskazał głową otaczające ich góry.

– Nie krępuj się. Jedyny sposób, żeby opuścić tę dolinę, to wspiąć się na osypisko, a tego nie zrobisz na koniu. Będziemy musieli zostawić wierzchowce, co znaczy, że daleko nie zajdziemy. – Przyjrzał się raz jeszcze otworom w skałach i uśmiechnął ponuro. – Jeśli polegniemy w tej dolinie, spoczniemy w towarzystwie królów, mój przyjacielu. Czy to nie imponujące?

Karim prychnął.

– Niewielka to pociecha, wodzu. Szczerze powiedziawszy, gdybym miał umierać, wolałbym zakończyć żywot w bardziej

przyjaznej okolicy.

Ajaks zignorował tę uwagę. Nie spuszczał wzroku z wejść do grobowców.

– Gdy zaatakują, znowu damy im łupnia. Chodź, przyjrzyjmy się bliżej tym grobowcom.

Ruszył w stronę wylotu jaskini, którą zauważył nieco wcześniej. Karim po krótkiej chwili wahania poszedł za nim. Nie uśmiechało mu się błądzenie w mrocznych korytarzach. Nie podobało mu się także, że zostali uwięzieni w dolinie śmierci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Mężnie się bronili – stwierdzi! Macro, stojąc pośrodku jednego z dwóch dziedzińców świątyni.

Katon z ręką na temblaku skinął głową, przyglądając się leżącym wokół ciałom. Dzień dopiero wstawał, ale powietrze było już suche i rozgrzane, a do tego dochodził charakterystyczny smród śmierci unoszący się nad zwłokami. Kilku legionistów krążyło po dziedzińcu, szukając rannych towarzyszy broni, aby przenieść ich pod kolumnadę, gdzie główny medyk urządził połowy szpital. Dogorywających wrogów dobijano na miejscu, by zakończyć ich męki.

– Mężnie – powtórzył Macro, opierając pięści na biodrach. – A teraz czeka nas najzabawniejsza część zadania. Trzeba znaleźć ciało Ajaksa. Na razie nigdzie go nie widziałem. Muszę nakazać dokładniejsze przekopanie pobojowiska.

– Może zniknął, zanim świątynia padła.

– Nadal uważasz, że wybicie tego oddziału jazdy to jego sprawka?

– To możliwe.

Centurion pokręcił głową.

– Myślę, że ktoś by go zauważył, gdyby spróbował przegalopować pomiędzy naszymi patrolami. Poza tym z tego, co pamiętam, to nie w jego stylu. – Macro spochmurniał,

wspominając okres niewoli. – Ajaks wolałby zginąć ze swoimi ludźmi, niż ich opuścić. Uwierz mi, on gdzieś tu jest. Musimy go tylko odszukać. – Odkopnął czubkiem buta odciętą rękę. – On albo jego szczątki. – Rozejrzał się raz jeszcze po dziedzińcu. – Muszę przyznać, że walczyli do ostatniego. Nie wzięliśmy ani jednego jeńca. Jeśli wszyscy Nubijczycy są tacy, będziemy mieli twardą przeprawę w starciu z resztą ich armii.

Katon prychnął pogardliwie. Pomimo tego, co mówił jego przyjaciel, legioniści nie mieli większych trudności z odparciem kontrataku przeprowadzonego na godzinę przed świtem. Najpierw zepchnięto renegatów w okolice wyłomu, a potem, po przybyciu wsparcia, zagnano ich do świątyni. Żaden ze skorpionów nie został uszkodzony. Bladym świtem zaś legat nakazał ponowić szturm i sam stanął na czele oddziałów. Wszedł na rumowisko i z jego szczytu dowodził, odziany w lśniącą zbroję i osłaniany wielką tarczą. Z tego miejsca wydał rozkaz ostrzelania murów świątyni. Tym razem wypuszczane z niewielkiej odległości bełty trafiały celniej, a łucznicy z jednostek pomocniczych likwidowali każdego Araba, który próbował ostrzeliwać z pylonów atakujące centurie.

Nie lękając się ostrzału przeciwnika, Macro raz jeszcze poprowadził swoich ludzi do szturmu. Przed jego ludźmi szedł cały oddział łuczników z jednostki pomocniczej gotowy ubić każdego obrońcę, który wystawi nos zza barykady i spróbuje strącić rampy. Żołnierze pokonali truchtem pomosty i spadli na stłoczonego po drugiej stronie barykady przeciwnika, wyrzynając go bez litości, dopóki nie dostali się na dziedziniec. Tam walka przekształciła się w rzeź. Rzymianie zaczęli przeszukiwać kompleks, wyławiając kolejne grupki Arabów, którzy woleli bronić się w komnatach niż na otwartej przestrzeni. Ostatnia grupa, dowodzona przez czarnoskórego gladiatora, broniła się

w jednym z pylonów ponad godzinę. Legioniści spychali przeciwników powoli, ale systematycznie, aż w końcu wyparli ich na szczytową platformę. Tam czarnoskóry olbrzym, który odniósł w trakcie walk poważne rany, sam zeskoczył z wieży, by nie wzięto go żywcem.

– Żałuj, że tego nie widziałeś. – Macro przyjrzał się uważniej przyjacielowi.

Katon był zbyt oszołomiony, by wziąć udział w drugim ataku, więc Macro zostawił z nim Hamedesa, nakazując Egipcjaninowi, by zaopiekował się trybunem podczas jego nieobecności. Kapłan spełnił jego wolę. Posadził rannego oficera pod palmą, by mógł obserwować przebieg szturmu. Gdy zawroty głowy minęły, a pomocnik legionowego medyka podwiązał mu ramię, młody trybun odesłał Hamedesa i udał się do świątyni, do przyjaciela, który przemawiał do niego właśnie najmilszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Wiem, że chciałeś być świadkiem tego, jak wykańczamy tego psa. Zabawna sprawa… Do tej pory wydawało mi się, że Ajaks padnie z mojej albo twojej ręki. Nie przypuszczałem nawet, że zostanie zarżnięty podczas jakiejś pieprzonej potyczki i stanie się kolejnym z bezimiennych poległych.

– Nie znaleźliśmy jeszcze jego zwłok – przypomniał mu Katon. – Dopóki to się nie stanie, traktujmy go jak żywego.

Macro prychnął.

– Ty zawsze widzisz gorszą stronę każdej sprawy… – zamilkł, wsłuchując się w rozbrzmiewający w oddali dźwięk rogu.

Obaj jak na komendę odwrócili się ku najwyższym pylonom, na których umieszczono legionowych trębaczy. Trzy buciny już grały. Za nimi powiewał sztandar XXII Legionu z wyszytą złotą głową szakala. Tuż obok żołnierze mozolili się przy wznoszeniu

trofeum sporządzonego z broni i rynsztunku poległych wrogów. Aureliusz przyglądał się temu wszystkiemu z niekłamaną dumą.

– Cóż… – Macro podrapał się po zarośniętym policzku. – Nasz legat poczuł się w końcu uszczęśliwiony. Nie tylko odniósł błyskotliwe zwycięstwo, ale został też ranny w czasie walki. Jeszcze chwila, a wyda mu się, że jest nowym wcieleniem Aleksandra Wielkiego.

Katon obserwował legata w milczeniu.

– Miejmy nadzieję, że uniesienie szybko mu przejdzie. Zdobycie tej świątyni to jedno, a pokonanie armii księcia Talmisa to drugie. Ostatnie, czego nam trzeba, to dowódca, który nie docenia wroga.

Macro przytaknął.

Buciny zagrały raz jeszcze, potem Aureliusz stanął na skraju platformy, unosząc ręce, aby zwrócić na siebie uwagę stojących poniżej żołnierzy. Po kolejnej chwili wymownego milczenia odezwał się, podnosząc głos, aby usłyszano go w całym kompleksie świątynnym:

– Żołnierze Dwudziestego Drugiego! Moje Szakale! Towarzysze broni! Dzisiaj odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo nad siłami nubijskiego księcia, który ośmielił się wkroczyć na terytorium prowincji rzymskiej. Jego ludzie leżą teraz martwi u naszych stóp, a ich broń stała się naszym trofeum. – Wskazał szerokim gestem pokraczny stos usypany pośrodku platformy. – To jednak zaledwie ułamek bogactw i sławy, jakie przypadną nam w udziale, gdy rozbijemy armię wroga. Dopóki rzymska armia trwać będzie w Egipcie, dopóty nazwa Dwudziestego Drugiego Legionu i imię jego dowódcy będą powtarzane z czcią i dumą. Pamiętajcie o tym, gdy wyruszymy stąd, by pokonać najeźdźcę!

Uniósł pięść prosto w niebo i znów zapanowała cisza, którą przerwał dopiero jeden z trybunów, który wyszarpnął miecz

i zaczął skandować:

– A-u-re-liusz! A-u-re-liusz!

Pozostali oficerowie dołączyli do niego, później zawołanie poniosło się przez szeregi żołnierzy stojących na dziedzińcach świątyni.

Macro spojrzał na Katona.

– Nie jest może najlepszym oratorem, jakiego słuchałem, ale ma najcenniejszy dar: umie się streszczać.

Trybun się uśmiechnął.

– Szkoda, że nie można tego powiedzieć o większości polityków, których spotykałem w Rzymie. – Spoważniał. – Musimy dopilnować, żeby nie padł ofiarą wybujałej wyobraźni.

– To zostawiam tobie, panie – odparł Macro. – Taka uwaga powinna paść z usta starszego trybuna, nie zwykłego pierwszego centuriona.

Katon obrzucił go rozgoryczonym spojrzeniem.

– Dzięki.

– Przywilej starszych rangą. – Macro zbył go wzruszeniem ramion. – Poza tym jesteś lepszym mówcą ode mnie. Jestem pewien, że przekabaciłbyś każdą kurwę awentyńską, by nie tylko zrobiła ci dobrze, ale jeszcze dała suty napiwek.

Jego przyjaciel się skrzywił.

– Nie jestem wcale pewien, czy mam aż takie zdolności oratorskie.

– Dopiero się uczysz… Ale my tu gadu-gadu, a robota czeka. – Macro odwrócił się do legionistów z drużyny, która właśnie przestała pozdrawiać legata. – Wy tam! Do mnie, migiem!

Przytruchtali posłusznie. Centurion opisał im dokładnie wygląd Ajaksa i nakazał odnaleźć jego ciało. Obiecał amforę wina temu, kto zaprowadzi go do zwłok gladiatora. Gdy odbiegli, by przekopywać się przez stosy ciał zalegających pobliskie komnaty, przed Katonem stanął posłaniec z kwatery głównej.

– Legat przesyła wyrazy szacunku, panie i prosi, abyście ty i centurion Macro dołączyli do niego w domu kapłanów.

Trybun nie krył zaskoczenia.

– Powiedział dlaczego?

– Nie, panie. Wiem tylko, że kazał wezwać wszystkich dowódców jednostek. Macie się stawić jak najszybciej – dodał, po czym zasalutował i pobiegł dalej.

Macro spuścił głowę i kopnął leżący na ziemi kamyczek.

– Ciekawe, co znowu wymyślił?

Cele kapłanów mieściły się ongiś w przepięknym budynku, lecz po stuleciach zaniedbań z ich dawnej świetności pozostał ledwie cień. Niebo wymalowane na sufitach wciąż miało żywą barwę, ale piasek i wiatr dawno już starły farbę z zewnętrznych ścian. Wszystkie zabudowania odbijały się niegdyś w płytkim basenie ulokowanym pośrodku dziedzińca, tyle że woda w nim wyschła, a mozaiki pokryła warstwa zaschniętego na kamień szlamu. Gdy Macro i Katon dołączyli do oficerów, legat stał na przeciwległym krańcu basenu, kreśląc sztychem miecza linie na jego dnie. Podwładni czekali w milczeniu, aż skończy rysować. Aureliusz wyprostował się, schował miecz i potoczył wzrokiem po twarzach oficerów.

– Nie mamy czasu na czcze gadanie, moi panowie, więc przejdę od razu do rzeczy. Dzisiejsze zwycięstwo podniosło morale naszych żołnierzy, a wróg poczuje strach, gdy o nim się dowie.

Dlatego nadszedł najwyższy czas, by wykorzystać tę przewagę, a zrobimy to w najmniej oczekiwany przez Nubijczyków sposób. – Odwrócił się do stojącego najbliżej centuriona i pstryknął palcami. – Daj mi swoją laskę z winorośli.

Aureliusz potrzebował jej, by wskazać rysunek. Wszyscy oficerowie podeszli bliżej, aby lepiej go widzieć.

– Oto Nil od Diospolis Magna do pierwszej katarakty. Plan Nubijczyków jest oczywisty. Podzielili siły, by ta kolumna mogła nas zaatakować od tyłu. Zapobiegliśmy tej ewentualności, a teraz zyskaliśmy szansę, by odpłacić im pięknym za nadobne. – Aureliusz wskazał Diospolis Magna. – Poprowadzę nasze główne siły, by uderzyć na armię księcia Talmisa. Jego wojska mają dużą przewagę liczebną, więc jestem pewien, że będzie na nas czekał tam, gdzie teraz jest, zwłaszcza że dotrzemy do niego, zanim się dowie o rozgromieniu oddziałów wysłanych ze zbuntowanym gladiatorem. Jego zdaniem będziemy szli prosto w zastawioną na nas pułapkę. – Legat zamilkł, a potem uśmiechnął się podstępnie, dorysowując kilka linii. – Ale to my tak naprawdę zastawimy pułapkę na niego. W czasie gdy ja poprowadzę główne siły wschodnim brzegiem, trybun Katon zbierze jednostki pomocnicze i przeprawi się na zachodni, ominie zgrupowanie wroga i uderzy na nie od tyłu. Wróg zaatakowany z obu stron spanikuje i zostanie rozgromiony. – Gdy spojrzał na oficerów, twarz płonęła mu z podniecenia. – Genialny plan w swej prostocie. Jestem pewien, że zrozumieliście, o co mi chodzi.

Zawiesił głos, jakby czekał na pochwały albo zachęcał podwładnych do wyrażenia opinii. Tak to przynajmniej wyglądało zdaniem Katona. Przepchnął się więc przed Juniusza, urażając boleśnie opuchnięte ramię.

– Proszę o pozwolenie na zabranie głosu, panie.

– Oczywiście, trybunie.

Katon przyjrzał się nakreślonej mapie, próbując zebrać myśli. Legat podchodził do swego planu naprawdę entuzjastycznie. Trzeba więc rozmawiać z nim, zachowując najwyższą ostrożność, pomyślał trybun. Podniósł głowę i spojrzał dowódcy w oczy.

– Twój plan, panie, może pokrzyżować szyki wroga. Widzę to wyraźnie. Wiem też, że w innych warunkach osiągnąłbyś zakładany cel. Niestety, wróg ma trzykrotnie więcej ludzi niż my, dlatego sugerowałbym, abyśmy nie rozdzielali naszych sił, bo tylko zachowując ich jedność, mamy szansę pokonać tak liczną armię. Jeśli podzielimy legion według tego planu, żadna z naszych kolumn nie będzie wystarczająco mocna, by rozgromić wroga. – Katon podszedł jeszcze bliżej i wskazał część rysunku przedstawiającą Nil. – Poza tym nie bardzo wiem, gdzie moje oddziały miałyby przeprawić się z powrotem na wschodni brzeg, panie. Mamy tak mało łodzi, że z trudem możemy przewieźć na nich pięciuset ludzi za jednym razem. Widziałeś, jakie problemy sprawiało to podczas ostatniego forsowania rzeki, a walczyliśmy ze znacznie mniej licznym przeciwnikiem. Mamy za mało ludzi, by ryzykować podział armii. Naszą jedyną szansą jest zdecydowane uderzenie po wschodniej stronie Nilu. Musimy odszukać nubijską armię i zmusić ją do przyjęcia bitwy. Nasi żołnierze są o wiele lepiej wyszkoleni, co da nam dużą przewagę. Zdołamy złamać ducha walki wroga, zanim poczuje się pewny dzięki posiadanej przewadze liczebnej. – Gdy zamilkł, na dziedzińcu zapanowała kompletna cisza, więc przełknął ślinę i dokończył: – Taka jest moja rada, panie.

– Zanotowałem ją w pamięci – odparł legat beznamiętnym tonem. Zmierzył wzrokiem trybuna, po czym dodał: – Cieszy mnie, że podzielasz mój pogląd na wyszkolenie naszych żołnierzy. Szakale dowiodły dzisiaj, podobnie jak nasze jednostki

pomocnicze, że nie mają sobie równych. To nie ulega wątpliwości. I dlatego możemy podzielić nasze siły. Każda z naszych kolumn będzie w stanie zadbać o własne bezpieczeństwo. Co więcej, wróg nawet przez moment nie pomyśli, że możemy wykonać podobny manewr. Książę ma taką przewagę liczebną, że liczy, iż oddamy mu inicjatywę i będziemy działać defensywnie…

– Aureliusz zamilkł, naszła go bowiem nowa myśl. Uśmiechnął się pod nosem. – Toteż robiłem wszystko, by nie wyprowadzać go z błędu. I Talmis wpadł w zastawione przeze mnie sidła. Właśnie dlatego postąpił tak nierozważnie i wysłał swoich ludzi w dół rzeki. Nie przypuszczał, że odpowiemy tak szybko i zdecydowanie.

– Być może powinniśmy wyciągnąć nauczkę z jego porażki, panie – rzucił Katon.

Aureliusz pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że umyka ci… subtelność tego planu, trybunie.

Katon uniósł brew ze zdziwienia.

– Subtelność, panie?

– Zawsze dzielę się chętnie wiedzą, zwłaszcza z podwładnymi – zapewnił go łaskawie Aureliusz. – Przekonaliśmy wroga, że jestem zbyt ostrożny, by działać zdecydowanie. Sądzi więc, że to on zdecyduje, kiedy i gdzie stoczymy decydującą bitwę. Tego jest dzisiaj pewien. I tę pewność musimy obrócić na swoją korzyść. Ostatnie, czego Talmis się po nas spodziewa, to jednoczesny atak z dwóch stron. Zaskoczenie będzie naszą tajną bronią, która zwiększy dodatkowo przewagę, jaką zyskujemy dzięki lepszemu wyszkoleniu i wysokiemu morale naszych ludzi… – Legat zamilkł i uśmiechnął się do Katona. – Czy teraz rozumiesz, o co mi chodzi, trybunie?

Zapytany popatrzył mu prosto w oczy, wyliczając w myślach setki zagrożeń, na jakie Aureliusz narazi swój legion. Kolumna jednostek pomocniczych zostanie zauważona na długo przed tym, nim zdąży wrócić na wschodni brzeg. Książę Talmis będzie miał więc wystarczająco dużo czasu, by zdecydować, którą część rzymskiej armii chce zniszczyć jako pierwszą. Nubijczycy dysponują lekkozbrojnymi formacjami, które mogą przemieszczać się znacznie szybciej niż przeciwnik. Każda z kolumn zostanie więc rozgromiona na długo przed tym, nim zastawi pułapkę. Ale to jeszcze nie wszystko, uświadomił sobie Katon. W ataku na świątynię brał udział tylko co czwarty żołnierz legionu, reszta była w obozie za rzeką. Ci ludzie nadal byli niedoświadczeni, a bitwa z Nubijczykami Talmisa będzie ich pierwszym sprawdzianem bojowym. A Katon wiedział doskonale, jak nieprzewidywalnie mogą zachować się ludzie, którzy idą do ataku pierwszy raz w życiu. Część będzie walczyła jak na bohaterów przystało, niektórzy, pomimo marnych wyników w szkoleniach, mogą podążyć za ich przykładem. Cała reszta będzie dygotała ze strachu już przed bitwą, a gdy nadejdzie czas próby, może nie wytrzymać napięcia i uciec. Wystarczy kilku spanikowanych, by ich strach rozlał się po szeregach armii jak zaraza albo pożar i cała armia będzie zgubiona.

Katon zaczerpnął tchu.

– Panie, moim zdaniem ryzyko przewyższa możliwe korzyści. Nie dysponujemy zbyt wieloma zaprawionymi w bojach oddziałami, dlatego sugerowałbym ponowne przemyślenie planu.

Legat przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Z tego, co mi wiadomo, walczyłeś w wielu kampaniach, trybunie.

– Owszem, panie.

– Nie chcę, żebyś zanudzał nas szczegółami, ale walczyłeś już z Germanami, Celtami, piratami, Partami i zbuntowanymi gladiatorami. Zgadza się?

– Tak, panie.

– Dlaczego więc tak bardzo obawiasz się starcia z Nubijczykami? Przecież to chyba najmniej groźni wrogowie, jakim musiałeś stawiać czoło. Skąd ten strach?

Katon poczuł, że puls mu przyspiesza. Znów zaczynało się robić niebezpiecznie. Dowódca oskarżał go publicznie o tchórzostwo. Gdyby to była rozmowa w cztery oczy, wiedziałby, jak zareagować, teraz jednak nie mógł tego zrobić. Widział już napięcie na twarzach otaczających ich oficerów. Jeśli się postawi, Aureliusz będzie musiał go przeprosić albo zdegradować. A ustępując legatowi, narazi swoją karierę na szwank i zostanie odesłany do Aleksandrii jako człowiek tchórzliwy i niekompetentny. Takie rozwiązanie uniemożliwiłoby Katonowi przekonanie przełożonego do swoich racji. Realizacja planu Aureliusza doprowadzi do katastrofy, tego Katon był pewien. Uznał więc, że lepiej przełknąć dumę dla dobra tej armii, jego przyjaciela Macro i całej prowincji.

– Nie obawiam się Nubijczyków, panie – odparł beznamiętnym tonem. – Przedstawiam ci jedynie swoją opinię, bazując na wieloletnim doświadczeniu.

– O ilu dokładnie latach mówimy?

Katon wściekł się na siebie. Wpadł we własne sidła.

– O siedmiu, panie.

– O siedmiu. – Legat uśmiechnął się półgębkiem. – Ja odsłużyłem dziesięć lat, zanim zostałem mianowany centurionem. Potem musiałem odbębnić kolejne dwanaście lat,

by dochrapać się pozycji starszego centuriona i w końcu prefekta obozu. Nie sądzisz, że to ja mam doświadczenie pozwalające mi dowodzić całą armią? Siedem lat… – Pokręcił głową i rozłożył ręce, wskazując resztę oficerów. – Zastanawiam się, czy jest tu ktoś posiadający mniejsze doświadczenie niż ty. No słucham. – Gdy nikt się nie zgłosił, Aureliusz spojrzał tryumfująco na młodego trybuna. – Wydaje mi się, że to kończy sprawę twoich rad… Nie sądzisz?

Katon milczał. Każda odpowiedź pogrążyłaby go jeszcze bardziej. Zdawał sobie sprawę, że oficerowie przyglądają mu się z zaciekawieniem, czekając na jego reakcję. Odchrząknął więc ostrożnie.

– Wyraziłem swoją opinię, panie. Taki mam obowiązek, ale to ty dowodzisz armią i ty wydajesz rozkazy dotyczące kampanii.

– Zgadza się. Decyzja została podjęta, a czas na konsultacje dobiegł końca. Czy to jasne?

– Tak, panie.

– Zatem oczekuję, że wykonasz bez gadania rozkazy jak każdy mój oficer.

Katon skinął głową.

Legat obserwował go jeszcze przez chwilę, po czym rzekł:

– Dobrze więc. Otrzymacie rozkazy, jak tylko zostaną przygotowane w kwaterze głównej. Do tej pory macie zadbać, by wasi ludzie byli w każdej chwili gotowi do wymarszu.

Zanim legat pozwolił się rozejść, na dziedzińcu pojawił się żołnierz jednostki pomocniczej, który podszedł do dowódcy kohorty aleksandryjskiej i szeptem złożył mu raport. Oficerowie obserwowali z zaciekawieniem krótką wymianę zdań pomiędzy ich kolegą a przybyłym, który został zaraz odprawiony.

– Chcesz nam coś przekazać? – zapytał Aureliusz.

– Tak, panie. Wygląda na to, że część obrońców świątyni zdołała nam się wymknąć. Jeden z moich szwadronów zaatakowano minionej nocy. Ludzie ci należeli do oddziałów otaczających kompleks zajęty przez wroga. Wszyscy zginęli we śnie. Jeden z wartowników jeszcze dychał, gdy odkryto to tego ranka. Zanim zmarł, wyjawił, że któryś napastnik miał na sobie rzymski mundur i znał ustalone na tę noc hasło, dzięki czemu zdołali podejść blisko i zaatakowali strażników pilnujących koni.

– Jakim cudem mógł znać nasze hasło? – zdziwił się Macro.

– Może podsłuchał je przy świątyni – podpowiedział usłużnie Juniusz.

Prefekt jazdy skinął głową.

– To możliwe. W każdym razie napastnikami musieli być jeźdźcy, których zauważono tego ranka. Wysłałem za nimi dwa szwadrony. Uciekinierzy pojechali na północ, między wzgórza. Słyszałem, że zapędzili się tam w ślepy zaułek. Dopadliśmy ich.

Macro odwrócił się do Katona i wyszeptał:

– Czyżby to Ajaks?

– To bardziej niż prawdopodobne – przyznał trybun. – Na bogów, ten człowiek jest nieuchwytny jak duch. Pieprzony duch.

– Jak daleko są? – zapytał Aureliusz prefekta jazdy.

– Nie dalej niż cztery mile stąd, panie. Moi ludzie ich pilnują. Pierwszy szwadron poniósł ciężkie straty podczas inicjującego starcia. Jego tymczasowy dowódca poprosił o wsparcie, by ponowić atak.

Katon wystąpił przed szereg, przerywając tę wymianę zdań.

– Wybacz, panie, ale to najprawdopodobniej Ajaks i jego ludzie.

Wygląda na to, że udało mu się zbiec z garstką najwierniejszych przybocznych.

– I co z tego?

– Centurion Macro i ja otrzymaliśmy zadanie pojmania go bądź zabicia. Proszę zatem o pozwolenie wykonania tej misji, panie.

Aureliusz zastanawiał się chwilę.

– Nie. Ja przejmę dowodzenie, skoro i tak jestem na miejscu. Dokończę to, co zacząłem. Jazda pomocnicza i kohorta piechoty zostaje ze mną, reszta wraca za Nil, do Karnaku. Aczkolwiek nie będę tak brutalny i nie pozbawię ciebie, trybunie, i ciebie, pierwszy centurionie, udziału w tej misji.

– Dziękuję, panie – odparł Katon, siląc się na uprzejmość.

– Nie traćmy więcej czasu. – Legat zatarł ręce. – Pora zakończyć bunt Ajaksa. Do broni!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Katon i Macro siedzieli w cieniu głazu. Wierzchowce kohorty pomocniczej skupiły się na tych nielicznych skrawkach przestrzeni, które zapewniały jakąkolwiek ochronę przed palącym słońcem, ich jeźdźcy zaś rozsiedli się na ziemi, robiąc zadaszenia z patyków i opończy. Czekali na łuczników oraz Aureliusza z oddziałem, by wspólnymi silami uderzyć na Ajaksa i jego ludzi. Dwa szwadrony wyruszyły na poszukiwanie innej drogi wiodącej na szczyt płaskowyżu i z widokiem na wąwóz, takiej, która pozwoliłaby dopilnować, aby żaden przeciwnik się nie wymknął.

Nawet w cieniu Katon czul obezwładniający gorąc. Powietrze uwięzione między ścianami wąwozu stało całkowicie nieruchomo, a sprawę dodatkowo pogarszały refleksy rzucane przez jasne skały odbijające ostre światło. Trybun musiał mrużyć oczy, kiedy wodził wzrokiem po kamienistych zboczach otaczających ich z dwóch stron.

– Co za przeklęte miejsce – wymamrotał Macro, ocierając czoło chustą. Miał podły humor, odkąd jego ludziom nie udało się znaleźć w świątyni ciała Ajaksa. Stało się bowiem jasne, że gladiator uciekł im razem z resztą konnych, na których urządzono zasadzkę w głębi wąwozu. – W życiu nie było mi tak gorąco. Mam wrażenie, że ten upał wysysa ze mnie życie… – Odwrócił się do Hamedesa, który kucał w pobliżu ze zwieszoną głową, ramionami obejmując kolana. – Przypomnisz mi, jak je nazywasz?

Gdy kapłan nie zareagował, Macro podniósł kamyk i rzucił nim w milczącego mężczyznę. Pocisk dosięgnął celu i moment później wylądował obok na ziemi. Trącony w ramię Hamedes poruszył się niemrawo i rozejrzał wokół.

– Wybacz, panie. Co mówiłeś?

– Pytałem o ten wąwóz – odparł Macro. – Twierdziłeś wcześniej, że pełno w nim grobów.

Hamedes skinął głową.

– Są tu grobowce dawnych królów i najwyższych kapłanów.

– Chcesz powiedzieć, że byłeś tu już kiedyś?

– Byłem. Parę dni temu przy okazji wizyty w świątyni na zachodnim brzegu.

– Tak, pamiętam – rzekł Macro. – Uważałem twój pomysł zwiedzania za wyjątkowo głupi w tych okolicznościach. No ale wracając do grobów… Opowiedz nam o nich coś więcej. Jeśli w czymkolwiek przypominają świątynie, od których roi się w okolicy, pewnie stanowią niezły widok, co?

– Skądże, panie – zaprzeczył Hamedes. – Właściwie nie ma na co patrzeć, przynajmniej z zewnątrz. W większości to tylko zwykłe otwory w skałach. W najlepszym razie wyglądają jak wejścia do jaskiń.

Macro prychnął.

– Próbujesz mi nagle wmówić, że wasi przodkowie upychali swoich zmarłych królów w dziurach w ziemi? Bzdura! Umieszczali ich przecież w samym środku piramid, takich jak te, które minęliśmy pod Memfis. Sam mnie o tym zapewniałeś.

– Niektórych tak, panie. Ale wielu jest pochowanych tutaj, i to razem ze skarbami.

– Ze skarbami, powiadasz? – Centurionowi zaświeciły się oczy.

Hamedes ponownie skinął głową.

– W tym wypadku chodzi o wszelakie przedmioty, które mogły się im przydać w życiu pozagrobowym, tyle że odlane ze złota i ozdobione kamieniami szlachetnymi. Niestety rabusie już dawno splądrowali groby. Opędzlowali je do czysta.

– Aha. – Zarówno ton, jak i spojrzenie centuriona świadczyły o jego rozczarowaniu.

– Te grobowce… – odezwał się Katon. – Nadają się może do obrony?

– Do obrony? – Hamedes wydął wargi. – To tylko tunele, panie. Wszystkie wyrżnięte w nagiej skale. Są ich tu dziesiątki. Po części płytkie pieczary na końcu krótkich tuneli. Po części obszerne komnaty sięgające daleko w głąb zbocza i popodpierane kolumnami. Zapuściłem się z pochodnią do kilku, ale szybko brakło mi odwagi. Jednakże Ajaks ze swoimi ludźmi mógł w desperacji urządzić tam sobie kryjówkę.

– Hm. – Katon pociągnął łyk z manierki, rozważając słowa kapłana.

Usiłował się postawić w położeniu Ajaksa. Gladiator wraz ze swymi ludźmi na pewno cierpiał pragnienie. Gdyby do tego zdecydował się porzucić wierzchowce, chcąc wydostać się z wąwozu, czekałaby go długa wędrówka przez płaskowyż, a później jeszcze kawał drogi po pustyni, zanim mógłby choćby pomyśleć o powrocie nad Nil. Nawet gdyby zdołał uniknąć kontaktu z Rzymianami na tym brzegu rzeki, utraciłby większość ludzi, zanimby dotarł w bezpieczne rejony. Z kolei gdyby postanowił się zagłębić w tutejsze tunele, zyskałby schronienie przed palącym słońcem i mógłby się ukrywać przez wiele dni. Gdyby w końcu został zmuszony do powrotu na powierzchnię,

nocną porą być może prześlizgnąłby się obok rzymskich patroli przeczesujących okolicę…

Im dłużej Katon o tym wszystkim myślał, tym bardziej prawdopodobne wydawało mu się, że przeciwnik jednak skorzystał z tuneli.

– Jeśli to prawda, i tak miną wieki, zanim znajdziemy właściwą komorę, a poza tym trzeba ich będzie jakoś stamtąd wykurzyć. Wątpię, żeby legatowi spodobał się pomysł takiego przedłużającego się polowania, skoro zawziął się, by jak najprędzej ruszyć na Nubijczyków.

Macro podniósł spojrzenie na trybuna.

– Chyba nie sądzisz, że legat zrezygnuje? I to teraz, gdy zapędziliśmy w kozi róg ich wszystkich, Ajaksa nie wyłączając?

– Nie słyszałeś, co mówił Aureliusz? Chce, aby armia wyruszyła bez zbędnej zwłoki. Raczej nie będzie tracił czasu na ściganie garstki uciekinierów.

– Nie pozwolę Ajaksowi znów się wymknąć! – zapowiedział Macro. – Tym razem go złapię. Bez względu na to, ile potrwają poszukiwania. Przetrząsnę każdy grobowiec, ale go znajdę!

Katon w pełni podzielał pragnienie przyjaciela, by porachować się z buntownikiem, jednakże nie sądził, aby Aureliusz zgodził się na kilkudniowe poszukiwania. Obrócił się do kapłana i obrzucił go uważnym spojrzeniem. Być może była to okazja, aby załatwić drugą sprawę, która zaprzątała jego myśli, odkąd przed paroma godzinami usłyszał o ucieczce Ajaksa.

– Hamedesie…

– Tak, panie?

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Potrzebny mi ktoś, kto pójdzie przodem i zlokalizuje kryjówkę Ajaksa. Zakładając, że

nasi przeciwnicy się przyczaili, muszę wiedzieć dokładnie, gdzie są, zanim wydam rozkaz ataku. A ty, jak rozumiem, jako jedyny z nas wszystkich znasz dobrze to miejsce.

– Tak, panie.

– Będziesz musiał zajść ich od innej strony. – Katon obrzucił spojrzeniem skały i rumowiska tworzące ścianę wąwozu. – Nie będzie to łatwe, a może się okazać bardzo niebezpieczne, jeśli dasz się zauważyć. Czy mimo to podejmiesz się zadania?

Hamedes skwapliwie pokiwał głową.

– Tak, panie! Mam z Ajaksem na pieńku nie mniej niż ty.

– Naturalnie… – Katon uśmiechnął się półgębkiem. – Od początku wiedziałem, że się zgodzisz. – Odwróciwszy się do przyjaciela, dodał: – Centurionie, pójdziesz z Hamedesem.

Macro uniósł brwi.

– Ja?

– Co dwie pary oczu, to nie jedna. Hamedes zna teren. Ty wiesz, jak najlepiej go wykorzystać. Wrócisz zdać mi raport, jak tylko odkryjecie, którą komorę zajmuje Ajaks. W tunelach nie będzie lekko. Zostawcie obaj zbroje i weźcie same miecze.

Macro otworzył usta, by zaprotestować, lecz tylko wypuścił powietrze.

– Tak, panie!

Gdy już obydwaj z wysiłkiem pozbyli się kolczug i zapięli pasy z bronią na tunikach, Katon wysłał Hamedesa do najbliższej grupki odpoczywających jeźdźców po zapasowe manierki. Ledwie kapłan się oddalił, Katon zapewnił przyjaciela szeptem:

– Sam bym poszedł, gdyby nie to ramię.

– Wiem.

– Zachowaj ostrożność, Macro. Nie ryzykuj niepotrzebnie. I miej oko na Hamedesa.

Ta ostatnia uwaga zaskoczyła centuriona, który odwrócił się szybko do przełożonego i zdziwiony zapytał:

– Co proszę?

Katon zerknął na kapłana, który właśnie rozmawiał z dekurionem, i szybko przeniósł wzrok na przyjaciela.

– Sam nie wiem, czy mogę mu wciąż ufać.

Macro potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Przestałeś ufać Hamedesowi? Dlaczego? Od kilku miesięcy służy nam równie wiernie jak każdy z naszych żołnierzy. Poza tym poznałeś jego historię. Wiesz, że łaknie zemsty równie mocno jak my.

– Tak twierdzi – rzekł Katon półgłosem.

Macro sapnął ze zdenerwowania.

– Mógłbyś mi uprzejmie powiedzieć, skąd te nagłe podejrzenia?

Tymczasem Hamedes wyprosił wreszcie dwie zapasowe manierki i właśnie zmierzał w ich stronę.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Zrób, jak mówię. Idź z nim, spróbuj ustalić kryjówkę Ajaksa i nie spuszczaj oka z Hamedesa. Być może ponosi mnie wyobraźnia, trudno powiedzieć. W każdym razie uważaj na niego.

– Jak sobie chcesz. Ale wspomnisz moje słowa: Hamedes jest po naszej stronie. Czuję to. Nie zdradzi nas… – Zamilkł, gdy kapłan podszedł bliżej i wręczył mu jedną z manierek. Podziękował ruchem głowy, przerzucił rzemień przez ramię, poprawił miecz u pasa i na koniec wbił wzrok w Hamedesa. – Gotów?

– Tak, panie.

– No to w drogę. – Przebiegł spojrzeniem ścianę wąwozu i wypatrzywszy wyżłobienie w skale, coś w rodzaju stromych schodków prowadzących wyżej, rzucił: – Tędy!

Już miał ruszyć przed siebie, gdy w wąwozie rozległ się tętent. Moment później na wąskim szlaku pokazał się jadący stępa legat ze swoimi ludźmi. Zatrzymawszy się na wprost Katona w chmurze wzniesionego pyłu, Aureliusz zeskoczył na ziemię, rzucił wodze jednemu z podwładnych i zbliżył się do trzech stojących na baczność mężczyzn.

– Łucznicy są pół mili za nami – obwieścił. – Teraz uporamy się z zadaniem raz-dwa.

– Nie byłbym tego taki pewien, panie. – Katon przedstawił przełożonemu swój pomysł polegający na wysłaniu przodem dwóch ludzi.

Na te propozycję legat pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Brak na to czasu.

– Ale panie… Kiedy się tam pojawimy hurmem, Ajaks jak nic się przyczai. Nie wiedząc, którą komorę zajmuje, spędzimy na poszukiwaniach wiele dni. Zamiast to ryzykować, lepiej chyba teraz stracić godzinę czy coś koło tego.

Aureliusz pocił się obficie po przejażdżce w dusznym gorącym wąwozie i podobnie jak reszta oficerów był rozdrażniony z powodu niedosypiania ostatnimi czasy.

– Za dużo sobie wyobrażasz, trybunie. Jak już wcześniej powiedziałem, biorę posprzątanie tego bałaganu na siebie. Ty nie masz tu nic do gadania. A już na pewno nie możesz powstrzymać oddziału przed atakiem, żeby ci dwaj mogli się udać z pozbawioną jakichkolwiek perspektyw misją zwiadowczą.

– Wydałem rozkaz, czekając, aż dotrzesz do wąwozu, panie.

Zdaję sobie bowiem sprawę, jak ważną rolę odgrywa czas. Powiedziałeś jasno i wyraźnie, że tę operację należy zakończyć, jak szybko się da, abyśmy nareszcie mogli ruszyć na księcia Talmisa. Podejmując decyzję, miałem na uwadze twoje życzenie, panie, nic więcej.

Aureliusz zaczerpnął tchu dla uspokojenia i zmarszczył brew. Katon domyślał się, że legat kombinuje właśnie, jak tu przyznać rację podwładnemu, nie tracąc równocześnie twarzy. Po dłuższej chwili Aureliusz skinął wolno głową.

– Skoro tak, poślemy zwiadowców. Ale nie jego. Postąpiłeś bardzo nieroztropnie, wybierając do tego niebezpiecznego zadania jednego z moich najcenniejszych i najbardziej doświadczonych oficerów. Będę go potrzebował na czele pierwszej kohorty, gdy zetrzemy się w końcu z Nubijczykami.

– Panie, wybrałem centuriona właśnie dlatego, że ma doświadczenie.

– Znajdź kogoś innego. Nie, czekaj… Ja to zrobię. – Obrócił się do oficerów, z którymi przyjechał. – Potrzebny mi ochotnik!

Z grupki wystąpił trybun Juniusz.

– Czy wolno mi ubiegać się o ten zaszczyt?

– Owszem! Dzielny z ciebie młodzieniec! – pochwalił trybuna Aureliusz, po czym zwrócił się do Katona: – Zamiast niepotrzebnie obciążać tych, którzy się zdążyli wykazać, znacznie lepiej będzie pozwolić rozwinąć skrzydła młodym i chętnym. Rozumiesz? To się nazywa dowodzenie… Juniuszu! – zawołał.

– Tak, panie?

– Zdejmij zbroję i idź z tym człowiekiem – wskazał Hamedesa. – Wyjaśni ci wszystko po drodze.

– Tak jest, panie.

Legat popatrzył w niebo.

– Do zmroku pozostały jeszcze cztery godziny. Na wykonanie zadania macie równo dwie. Nawet jeśli nie wrócicie, każę zaatakować.

Przez ponad godzinę wspinali się coraz wyżej po skałach ocieniających wąwóz. Kierowali się ku niewielkiej dolinie leżącej na krańcu szlaku, zachowując ostrożność i uważając, by nie poruszyć głazu, który zapoczątkowałby skalną lawinę i zdradził ich obecność. Trybun Juniusz szedł pierwszy i tylko od czasu do czasu odwracał się do Hamedesa, by spytać o drogę. Przesuwające się wolno po niebie słońce zmierzało ku poszarpanym wierzchołkom zamykającym dolinkę z drugiej strony, prażąc wciąż niemiłosiernie i sprawiając, że ściśnięte rozgrzanym imadłem płuca z trudem chwytały powietrze, które nawet poruszone sporadycznym lekkim powiewem zdawało się upalne i oblepiające. Tuniki bardzo szybko przesiąkły im na wskroś potem i zaczęły się lepić do ciała.

Ledwie wyszli na grań, która stromym zboczem schodziła na szlak, Juniusz zamarł i prędko schował się za najbliższym głazem.

– Co się stało, panie? – zapytał go Hamedes szeptem.

– Widzę ich – odszepnął trybun, gorączkowo przywołując bliżej kapłana.

Hamedes podszedł, szurając stopami, i wyjrzał zza głazu na dolinkę. Nad końcowym zakosem szlaku wisiała wysoka skała, pod którą między głazami siedzieli, pełniąc straż, czterej odziani na czarno mężczyźni. Kawałek dalej szlak wychodził na otwartą przestrzeń, gdzie pasły się spętane konie. Lica okolicznych skał pstrzyły liczne otwory różnej wielkości. W pewnym momencie zza jeszcze dalej położonych skał wyłonili się dwaj uzbrojeni we włócznie mężczyźni z tarczami zarzuconymi na plecy i skierowali

się prosto do wierzchowców.

Juniusz i Hamedes pokonali grań niezauważenie, obserwując bacznie strażników i upewniając się, że nie zostali przez nich dostrzeżeni. Na szczęście Arabowie całą uwagę poświęcali szlakowi i ani razu nawet nie spojrzeli w górę na zbocze. Trybun i kapłan wspinali się ostrożnie, zawsze sprawdzając, czy stopą albo dłonią nie potrącą luźnego kamienia. Było to bardzo wyczerpujące, dlatego dotarłszy w końcu do wysokiej skały, musieli się zatrzymać dla odzyskania sił. Napili się wody z manierek i dopiero później zakradli na sterczący pod kątem prostym płaski występ skalny. Ponieważ u jego krańca rozwierała się przepaść, Hamedes poczuł zawroty głowy, patrząc prosto w dół. Tymczasem dwaj renegaci zdążyli już dotrzeć do pasących się koni i zajęli miejsca w cieniu, przez co w oczach obserwatorów zamienili się w zniekształcone sylwetki złożone wyłącznie z głów i kończyn. Nigdzie w pobliżu nie było nawet śladu reszty uciekinierów.

Juniusz potarł brodę w roztargnieniu.

– Musimy zakraść się bliżej. Tak, żeby lepiej widzieć wejścia do grobowców.

Jego towarzysz rzucił okiem w dół zbocza i zaraz wskazał inną skalę, dłuższą niż wyższą, która dzieliła dolinkę na dwie części i niknęła gdzieś na północy.

– Może tam, panie? To powinno być dobre miejsce.

Juniusz pobiegł spojrzeniem za wyciągniętą ręką kapłana i po krótkim zastanowieniu skinął głową.

– Zgoda.

Właśnie zaczęli schodzić niżej, gdy w dole pokazała się jeszcze jedna postać kierująca się prosto do koni. Juniusz otworzył usta,

by coś powiedzieć, ale nie odezwał się od razu, tylko obrócił wpierw do Hamedesa.

– Poznajesz go? – zapytał.

Hamedes zmrużył oczy, aby nabrać pewności, po czym skinął głową.

– Tak, to Ajaks.

Gladiator zatrzymał się, gdy miał już w zasięgu wzroku zarówno pasące się konie, jak i strażników między skałami nieopodal. Przyłożył złączone dłonie do ust i zawołał:

– Widzicie coś?

Jeden z Arabów obrócił się i silnie akcentując greckie słowa, odkrzyknął:

– Nie, panie!

Ajaks stał przez chwilę bez ruchu, namyślając się, w końcu zawołał:

– Nadchodzą. To więcej niż pewne. Pamiętajcie, musicie wszcząć alarm, jak tylko ich zobaczycie! I zróbcie dobry użytek ze strzał!

Arab potaknął machnięciem ręki i wrócił do obserwowania szlaku, a Ajaks podszedł do renegatów. Zamienił z nimi kilka zdań, okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Po jego odejściu dwaj buntownicy podnieśli się na nogi i zbliżyli do koni. Jeden złapał za wodze i uspokajająco poklepał zwierzę po boku, w tym czasie jego kompan zaszedł je z drugiej strony, dobył miecza i sprawnie poderżnął gardło. Koń szarpnął się do tyłu z przeraźliwym rżeniem, które szybko ucichło, przechodząc w zduszony bulgot, gdy krew trysnęła z rany, plamiąc ziemię i kamienie pod kopytami. Wierzchowiec stał jeszcze przez chwilę, ale zaraz nogi mu zmiękły i runął ciężko

na bok. Żołnierze osaczyli już kolejne zwierzę, które zadrobiło w miejscu, lecz nie mogło uciec z powodu krępujących je pęt. Woń krwi i rozpaczliwe rżenie pierwszej ofiary wywołały popłoch wśród reszty stada, przez co żołnierze mieli trochę utrudnione zadanie.

– Czemu oni je zabijają? – zapytał cicho Hamedes.

– Ajaks nie potrzebuje już koni. Nie chce też, by wpadły w ręce Rzymian. Ale zaraz… Gdzie on się podział?

Gladiator zniknął za ogromnym głazem dzielącym dolinkę na dwoje. Choć odczekali dłuższą chwilę, nie pokazywał się z powrotem. Trybun zabębnił palcami o skałę przed sobą, po czym odwrócił się do Hamedesa.

– Zaczekaj tu na mnie. Zakradnę się bliżej, żeby mieć lepszy widok. Musimy się dowiedzieć, gdzie on się podział.

Kapłan pokiwał głową.

– Tylko miej się na baczności – napomniał go trybun cicho, aczkolwiek z lekkim zdenerwowaniem. – Jak słońce schowa się za tamten wierzchołek, a mnie nie będzie, wracaj do oddziału i złóż meldunek legatowi. Rozumiesz?

– Tak, panie.

Juniusz zaczął się przekradać na czworakach przez rumowisko, aż zupełnie zniknął kapłanowi z oczu. Hamedes jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ostatnie miejsce, w którym widział trybuna, jednakże w końcu pogodził się z myślą, że na dobre stracił go z oczu. Tymczasem dwaj żołnierze w dole wybili stado do nogi i znów schronili się w cieniu, pozostawiając końskie zwłoki wśród ciemnych kałuż krwi, wokół których rychło zaroiło się od much i innych owadów mających dzięki tej rzezi prawdziwą ucztę. Hamedes rzucił ostatnie spojrzenie za

trybunem, po czym zaczął ostrożnie schodzić ze zbocza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Jesteś całkowicie pewien? – zapytał Hamedesa legat.

– Tak, panie – potwierdził kapłan. – Widziałem, jak wchodzą do grobowca. Ajaks i kilku jego ludzi.

– A ty? – zwrócił się Aureliusz do trybuna Juniusza. – Potwierdzasz jego słowa?

Juniusz pokręcił głową.

– Poszedłem w przeciwną stronę, panie. Za miejsce, o którym mówi kapłan. Aż do końca szlaku prowadzącego z głównej doliny. Musiałem przegapić to wejście do grobowca – wyznał zawstydzony. – Całe szczęście, że Hamedes wykazał czujność, w przeciwnym razie nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie ich szukać.

– Tak czy owak, dobra robota! – pochwalił obydwóch legat, po czym zwrócił się z uśmiechem do kapłana. – Dopilnuję, abyś został należycie wynagrodzony po zakończeniu tej kampanii.

Hamedes potrząsnął głową i cicho, lecz zdecydowanie odpowiedział:

– Zemsta starczy mi za całą nagrodę, panie.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Katon.

– Możesz opisać dokładniej to wejście do grobowca?

– Oczywiście, panie. – Hamedes ukucnął na skraju szlaku, gdzie

w zagłębieniu nazbierała się kupka gruboziarnistego piachu. Wygładziwszy powierzchnię ręką, zaczął szkicować toporną mapę terenu, równocześnie opowiadając: – Tu jest ostatni zakręt szlaku. Dalej zaczyna się dolinka. W tym zboczu jest całe mnóstwo grobowców, ale nie widziałem, aby ktoś do nich wchodził czy z nich wychodził. Tutaj, o, stoi parę wielkich głazów. Szlak, o którym wspomniał trybun, biegnie od głównej doliny. Mniej więcej ćwierć mili dalej odchodzi od niego stroma ścieżka wiodąca do podnóża zbocza. Właśnie tam jest wyrżnięty w skale otwór i stopnie prowadzące do grobowca. Łatwo je przeoczyć, panie. Nie dziwię się, że umknęły przechodzącemu tamtędy trybunowi. Ja sam domyśliłem się ich istnienia wyłącznie dzięki temu, że zobaczyłem wychodzącego Ajaksa z kompanami.

– I trafisz tam? – upewnił się Katon.

– Tak, panie.

– Ilu ludzi widziałeś?

Hamedes zastanawiał się przez chwilę.

– W sumie sześciu Arabów i czterech osiłków, chyba gladiatorów jak Ajaks. Może ich być tam więcej, ale tylko tylu widziałem na własne oczy.

Legat prychnął pogardliwie.

– Dziesięciu lub coś koło tego. Zdaje się, że chcę rozbić orzech miotem. No dobrze… Skoro już znamy miejsce ich pobytu, możemy przypuścić atak i pojmać ich wszystkich. – Zerknął na niebo. Dolinę powoli ogarniał cień. – Do zmroku została godzina. Ruszamy natychmiast. W grobowcu zapalimy pochodnie i tak ich wykurzymy. Dwa szwadrony jazdy powinny wystarczyć… i pól centurii tuczników, którzy zajmą się tymi stojącymi na czatach. Ja stanę na czele atakujących, a trybun Juniusz odprowadzi resztę oddziału do obozu.

Juniusz skłonił głowę.

– Tak jest, panie.

Aureliusz zatarł ręce.

– No to do roboty!

Zanim dotarli do grobowca wypatrzonego przez Hamedesa, zrobiło się całkiem ciemno. Pełniący wartę u wejścia do dolinki Arabowie spowolnili ich tylko na moment, uśmiercając dwóch łuczników z kohorty pomocniczej, zanim sami zostali zasypani gradem strzał. W tym czasie druga grupa łuczników już się wspinała po zboczu na grań, by stamtąd rozprawić się szybko i wprawnie z resztą Arabów, a Aureliusz poprowadził żołnierzy obok pustych grobowców do głównej części doliny, gdzie zostawili wierzchowce pod opieką jednej z dwóch drużyn jeźdźców. Następnie kapłan wskazał Rzymianom drogę do kryjówki uciekinierów. Gdy wejście grobowca znalazło się w zasięgu ich wzroku, w otworze zamajaczyła jakaś sylwetka. Wartownik wykrzyknął ostrzeżenie pod adresem swoich kompanów, po czym sam skrył się w tunelu wiodącym daleko w głąb zbocza. Idący na czele żołnierze kohorty pomocniczej rzucili się w dół po skalnych stopniach, zanim Macro zdążył ich powstrzymać ostrym rozkazem.

– Co wy wyprawiacie?! Tam jest ciemno choć oko wykol! Wpadniecie do środka i pierwszy, który się potknie, złamie sobie kark, a reszta przewróci się i podzieli jego los! Rozpalić mi ogień i naszykować pochodnie! – Wydawszy polecenia, odwrócił się do Katona z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Kretyni…

– Słuszna uwaga – zgodził się legat, zajrzawszy do ciemnego tunelu. – Przyda nam się jakieś światło…

Ostatnie promienie słońca dogasały na niebie, kiedy żołnierze zbierali uschłe gałęzie i pędy roślin czepiających się kurczowo

życia w szczelinach skał. Jeden z łuczników wyciągnął krzesiwo i jął nim uderzać o kamień, dopóki drobno pocięty poczerniały len nie zajął się wątłym płomykiem. Ogień rozgorzał na dobre, ledwie znalazł pożywkę w postaci suchej podpałki, i już wkrótce kamienne zbocze nad otworem jaśniało w blasku ogniska płonącego w pewnej odległości od wejścia grobowca.

– Dwudziestu ludzi będzie dość – ocenił Aureliusz. – Zabiorę też paru łuczników. Jeśli tunele okażą się proste, pewnie będą mogli oddać parę celnych strzałów. Macro, dopilnuj, żebyśmy mieli tyle pochodni co trzeba.

– Tak jest, panie – odparł żołnierz, wskazując na ciasno związany chrust. – Pomyślałem o tym zawczasu.

– Świetnie – pochwalił go legat, nie odrywając spojrzenia od wejścia do grobowca.

Macro zdał sobie sprawę, że przełożony raptownie stracił wszelką chęć do ataku, odkąd ujrzał na własne oczy otwór wiodący w mroczną czeluść, w której czaili się zdesperowani i śmiertelnie niebezpieczni uciekinierzy.

– Ja poprowadzę ludzi, panie, jeśli mi pozwolisz – zaproponował Macro półgłosem. – Nie ma potrzeby, abyś się narażał.

Aureliusz oderwał wzrok od wejścia do grobowca i marszcząc brwi, spojrzał na podwładnego.

– Wręcz przeciwnie. Legat powinien dzielić niebezpieczeństwa ze swoimi ludźmi. Inaczej nie nadaje się na dowódcę.

– Tak jest, panie. Zatem ruszamy?

– Tak… Tak, oczywiście.

To powiedziawszy, Aureliusz schylił się po pierwszą z brzegu pochodnię, włożył jej koniec w płomienie i gdy zajęła się ogniem,

staną! obok stopni prowadzących w głąb grobowca. Macro przyszykował dla siebie drugą pochodnię i wyznaczył dwóch łuczników do roli straży przedniej – jeden szedł z naciągniętą cięciwą, drugi oświetlał mu drogę – i gdy już miał pójść za nimi, zobaczył, że i Katon podnosi z ziemi pochodnię.

– Lepiej, żebyś tu został, panie – rzekł stanowczo.

Katon potrząsnął głową.

– Idę z wami.

– Z ręką na temblaku? Nie ma mowy. Początkowy odcinek tunelu zapowiada się na stromy. Każdemu przyda się wolna ręka do podparcia w razie upadku. Tylko byś był zawadą, panie. Opóźniałbyś nas, zamiast pomagać…

Chociaż Macro miał dobre intencje, Katon obdarzył go kwaśnym spojrzeniem.

– Dziękuję bardzo. Chyba całkiem oszalałeś, jeśli uważasz, że będę tu siedział, kiedy wy próbujecie wykurzyć Ajaksa z kryjówki.

– Centurion Macro ma rację – poparł podwładnego Aureliusz. – Zostaniesz z resztą oddziału, dopóki nie wrócimy. To rozkaz.

Katon zacisnął wargi w wąską kreskę, ale odpowiedział posłusznie:

– Tak jest, panie.

Wycofał się i przysiadł na skale, z której miał dobry widok na stopnie i wylot tunelu. Z chmurnym obliczem przyglądał się, jak łucznicy znikają we wnętrzu grobowca. Gdy w otwór zagłębił się Macro, a za nim Hamedes, Katon odchrząknął i zawołał:

– Uważaj na siebie, przyjacielu! Nie przestawaj się oglądać przez ramię!

Macro obrócił się przelotnie, wyszczerzył i zniknął na dobre w mroku. Za kapłanem w głąb grobowca ruszył Aureliusz, prowadząc za sobą resztę łuczników i żołnierzy kohorty pomocniczej, z których część niosła zapalone pochodnie. Kiedy do tunelu wszedł ostatni żołnierz, niosący przerzucony przez ramię zwój liny, blask pochodni zamigotał i zbladł, pozostał tylko coraz cichszy chrzęst podeszew na kamiennym podłożu i milknące w oddali odgłosy rozmów. Katon siedział przez dłuższą chwilę nieruchomo, przeżuwając własny niepokój nabrzmiały podejrzeniami i obawami. W końcu zerknął nieprzychylnie na własne ramię, ostrożnie uwolnił je z temblaka i spróbował rozprostować. Natychmiast przeszył go obezwładniający ból w barku, wywołując jęk i zmuszając do unieruchomienia kontuzjowanej ręki. Umocowawszy ponownie temblak, trybun zapatrzył się w czarne jak smoła wejście do grobowca. Podenerwowany zaczął nieświadomie podrygiwać jedną nogą. Czując promieniujący wciąż ból ramienia, pomyślał, że cokolwiek tam się wydarzy, on nie ma na nic wpływu. W końcu, wiedząc, że może tylko czekać, rozsiadł się na głazie wygodniej i zaczął wypatrywać powrotu przyjaciela i reszty żołnierzy.

Tunel był szeroki na tyle, by ramię przy ramieniu mogło iść nim w rzędzie dwóch mężczyzn, a przy tym tak stromy, że Macro musiał stąpać po kamienistym podłożu bardzo ostrożnie, jeśli chciał uniknąć potknięcia. W migotliwym, lecz jasnym blasku pochodni wyraźnie widział, że ściany po obu stronach są ozdobione malowidłami przedstawiającymi wizerunki egipskich bóstw i królów. Na jednych królowie Dolnego i Górnego Nilu wspólnie składali ofiary bogom. Na innych ci sami władcy wiedli swoje armie na wojnę. Malowidła były upstrzone niezrozumiałym, aczkolwiek dziwnie pięknym pismem starożytnych, które Macro nieraz wcześniej mógł podziwiać

w miejscowych świątyniach. Powietrze w tunelu było ciepłe i lekko zatęchłe, a im dalej się zapuszczali w głąb zbocza, tym silniejsze Macro odnosił wrażenie, że ściany i sklepienie napierają na niego swoją masą. Musiał sobie powtarzać, że tylko mu się tak wydaje. Nie lubił ciasnych wnętrz, a tutaj w dodatku gdzieś w mroku przed nimi czaił się Ajaks ze swoimi ludźmi, co tylko zwiększało niepokój centuriona.

Przeszli co najmniej sto kroków, zanim podłoże wyrównało się nieco, ułatwiając dalszą wędrówkę. Macro zerknął przez ramię, aby sprawdzić, czy żołnierze za nim nie idą zbyt zwartą grupą, po czym dopiero wydał rozkaz, aby się wszyscy zatrzymali. Jeszcze przez moment było słychać echo kroków, ale w końcu w tunelu zapadła zupełna cisza.

– O co chodzi? – zapytał szeptem Aureliusz. – Dlaczego stoimy?

– Nasłuchujemy, panie – wyjaśnił Macro i przyłożył palec do ust.

Przekrzywił lekko głowę i zamarłszy w bezruchu, wytężył słuch, aby wychwycić najdrobniejszy nawet szelest ponad odgłosem własnego chrapliwego oddechu. Z początku nic nie słyszał, ale po chwili jego uszu dobiegły szmery i szepty, od których włoski na karku aż mu stanęły na sztorc. Postąpił naprzód krok, potem drugi, wymijając łucznika z napiętą cięciwą. Kompan tego ostatniego poświecił centurionowi, nie przestając wpatrywać się w mrok daleko przed sobą. Delikatna rozedrgana poświata rzucana przez zapaloną pochodnię rozjaśniała drogę na dobre dwadzieścia kroków. Właśnie tam, na granicy blasku i cienia, rysował się ciemny obrys wskazujący, że tunel rozszerza się w przestronniejszą komorę.

– Widziałeś tam jakiś ruch? – zapytał łucznika szeptem Macro.

– Tak mi się zdawało, panie.

– Zdawało ci się? – warknął Macro. – Widziałeś albo nie widziałeś, zdecyduj się…

Łucznik przełknął ślinę.

– Widziałem, panie. Jestem tego pewien.

Macro skinął głową i odwrócił się.

– Masz strzelać, jak tylko kogoś zobaczysz – poinstruował łucznika z napiętą cięciwą, wycofując się na swoje miejsce w kolumnie.

Następnie rozkazał wszystkim obnażyć miecze i szykować się do rychłej walki, po czym sykiem dał znak łucznikowi z pochodnią, aby podjął marsz. Rzymianie zbliżali się powoli do komory. Blask pochodni pozwalał dostrzec, że tunel prowadzi lekko w dół, lecz w miejscu, gdzie się rozszerzał, nadal panowały całkowite ciemności. Gdy Macro wreszcie znalazł się w pieczarze, szybko uniósł swoją pochodnię i rozejrzał się wkoło. Budowniczy grobowca wyciosali w żywej skale sześcian – o boku mniej więcej czterdziestu stóp – który pod pewnym kątem przecinał chodnik czy też coś w rodzaju rampy. Geometryczna precyzja tego wnętrza przyprawiała centuriona o ciarki. Obie strony niezbyt szerokiej rampy kończyły się przepaścią głęboką na jakieś dwadzieścia stóp, dookoła zaś walały się łupy i śmieci porzucone przez rabusiów i ciekawskich, którzy na przestrzeni stuleci odważyli się zapuścić w głąb tych tuneli.

– Uważajcie! – zawołał idący na czele kolumny łucznik, wykonując nagły unik.

Strzała przemknęła nad jego głową i utkwiła w ramieniu drugiego mężczyzny w szeregu. Trafiony wrzasnął i odruchowo zwolnił cięciwę, posyłając swoją strzałę prosto w rampę. Kiedy ranny się zatoczył, stojący za nim żołnierze instynktownie przykucnęli albo pierzchli na boki w przewidywaniu kolejnych

nadlatujących pocisków.

– Ostrożnie, głupcze! – ryknął Aureliusz tuż za plecami centuriona.

Zanim centurion zdążył się obejrzeć, usłyszał jeszcze szuranie podeszew i rozpaczliwy okrzyk. Kątem oka dostrzegł legata chwiejącego się na skraju rampy z rozłożonymi szeroko na boki ramionami i pochodnią kreślącą szaleńcze płomienne wzory w powietrzu. Odwrócił się akurat w porę, by w rażącym blasku ujrzeć spadającego w przepaść Aureliusza. Lot był krótki, a zakończył go głuchy łomot, który uciął donośny krzyk dowódcy.

– A niech to! – jęknął Macro, zbierając się w sobie, by podejść bliżej brzegu rampy i zerknąć w dół.

W świetle pochodni dogasającej na ziemi zobaczył Aureliusza leżącego na wznak, z rozrzuconymi kończynami. Lista legata były wciąż otwarte w niemym krzyku, a jego powieki trzepotały raz po raz, spod głowy zaś wypływała mu ciemna gęsta krew.

Z głębi tunelu nadleciała kolejna strzała, tylko o włos mijając obu łuczników, po czym odbiła się pod kątem ostrym od tarczy centuriona i z klekotem zsunęła się po ścianie komory. Macro błyskawicznie postąpił do przodu, aby własną tarczą osłonić rannego łucznika. Dosłownie moment później rozległ się głośny stuk wzmocniony przez otaczające ich skały – to trzecia strzała utkwiła w samym środku tarczy centuriona, przebijając grubą warstwę skóry i drewna.

Macro wyrwał pochodnię z ręki idącego na czele łucznika.

– Schowaj się za mną i zacznij strzelać!

Mężczyzna potaknął skinieniem i pośpiesznie sięgnął do kołczana po strzałę. Napiął cięciwę i wychylił się zza tarczy tylko na chwilkę, aby posłać strzałę w głąb spowitego mrokiem

korytarza.

– Nie przestawaj! – zawołał do niego Macro, obracając się, by spojrzeć w górę rampy.

Ranny łucznik przeciskał się właśnie na tył kolumny pomiędzy żołnierzami, którzy przypadli do ziemi. Jedynie stojący najbliżej wejścia do komory tulili się do ścian. Hamedes kucał skulony parę kroków za centurionem.

– Co się stało legatowi? – zapytał Macro kapłana.

– Nie mam pojęcia, panie. Stał kawałek dalej, nagle zachwiał się i runął w przepaść. Pewnie się potknął albo coś…

– Trzeba go stamtąd jakoś wyciągnąć. – Macro podniósł głos i zwrócił się twarzą do reszty kolumny. – Podać tu linę!

Przez chwilę nic się nie działo prócz tego, że z głębi tunelu zdążyły w tym czasie nadlecieć trzy kolejne strzały, z czego dwie odbiły się od tarczy centuriona, a trzecia śmignęła mu koło ucha i wyszczerbiła skałę u wejścia do komory. W końcu pojawiła się lina, podawana z rąk do rąk, aż trafiła do Hamedesa. Macro tymczasem stwierdził, że nie ma jej do czego przymocować, i pokazał palcem w głąb tunelu, z którego przyszli.

– Niech który obwiąże się nią w pasie, a czterej inni niech się jej uczepią dla przeciwwagi.

– Tak jest, panie. Pozwól, że to ja zejdę na dół po legata.

– Nie. Przejmiesz moją tarczę – zadecydował Macro.

Hamedes zbliżył się, przeciskając między łucznikiem i centurionem, i złapał uchwyt tarczy. Macro położył mu dłoń na ramieniu i zaczął wydawać rozkazy:

– Pójdziecie naprzód, ostrożnie i powoli. Góra dziesięć kroków w głąb tunelu. Obaj, ty i łucznik. Zadajcie bobu temu, co nas nęka,

posyłając w naszą stronę te przypadkowe strzały. Zrozumiano?

Kapłan i łucznik skinęli równocześnie głowami.

– Jazda więc!

Ledwie lina została zabezpieczona, Macro zrobił na swoim końcu pętlę i wsadził w nią stopę. Trzymając linę oboma rękami, zsunął się z brzegu rampy, podczas gdy jego ludzie zapierali się z całych sił na jej drugim krańcu. Chwilę później zaczął się powoli opuszczać. Wyczuwszy pod podeszwą twardy grunt, puścił linę i przez rumowisko przedarł się do leżącego legata. Aureliusz miał zamknięte oczy, oddychał szybko i płytko. Macro dokonał oględzin ciała i stwierdził, że legat ma spuchniętą nogę i wykręcone pod dziwnym kątem lewe ramię. Potylica spływała krwią i pod dotykiem sprawiała gąbczaste wrażenie. Centurion prędko cofnął rękę, kiedy jego przełożony jęknął przeciągle.

– Kiepsko z tobą, staruszku. – Macro pokręcił głową ze smutkiem. – Trzeba cię stąd jak najszybciej zabrać…

Zawołał do żołnierzy, aby popuścili trochę linę, podciągnął ją do miejsca wypadku i sprawnie obwiązał nią pierś rannego tuż pod pachami.

– Ciągnijcie, byle delikatnie!

Lina zatrzeszczała pod ciężarem ludzkiego ciała, mimo że Macro póki mógł, podtrzymywał legata w powietrzu. W połowie drogi Aureliusz zaczął cały drżeć i stękać. W końcu jednak dotarł do brzegu rampy, gdzie zajęli się już nim żołnierze kohorty pomocniczej. Chwilę potem wolny koniec liny zadyndał znów obok głowy centuriona. Wspiąwszy się z powrotem na górę, Macro najpierw uspokoił oddech, następnie zaczął wydawać rozkazy.

– Wynieść legata i rannego łucznika z grobowca. Niech trybun

Katon odprowadzi ich prosto do obozu. My tymczasem uporamy się z tym, po cośmy tutaj przyszli.

Następnie wrócił do Hamedesa i łucznika, który kucał obok kapłana z opuszczonymi rękami.

– Dlaczego nie strzelasz? – zdenerwował się Macro.

– Od dłuższego czasu nie nadleciała stamtąd żadna strzała, panie – wytłumaczył się łucznik.

– No dobrze – ustąpił centurion. – Idźmy dalej. Hamedesie… ty będziesz niósł pochodnię. Tylko pamiętaj, trzymaj ją tak wysoko, jak tylko zdołasz.

Ruszyli przed siebie – na czele Macro osłaniający się tarczą, za nim Hamedes z pochodnią uniesioną wysoko i nieco w bok, a na końcu łucznik z naciągniętą cięciwą. Posuwali się wolno wzdłuż tunelu, a za nimi postępowała reszta niewielkiego oddziału. Wkrótce Macro wypatrzył kolejną komorę. Tym razem oświetloną, co świadczyło, że obrońcy także rozpalili kilka pochodni. Znów pomknęła w stronę atakujących zbłąkana strzała, która tak jak poprzednie chybiła celu, zsuwając się po skale. Słysząc coraz wyraźniej ludzkie głosy, Macro parł zawzięcie naprzód. Po paru krokach był już tak blisko wejścia do komory, że dzięki światłu pochodni dopalającej się na ziemi mógł dokładnie ocenić jej rozmiary i wygląd. To pomieszczenie było większe od poprzedniego i różniło się od niego jeszcze solidną posadzką i kanciastymi kolumnami na całej długości, jak wszystko tutaj także wyciosanymi z kamienia.

Nigdzie jednak nie było ani śladu buntowników. Macro odczekał, aż dołączy do niego reszta żołnierzy, po czym kazał im się szykować do ataku na dany znak. Wtem jego uwagę przyciągnął ruch przy kolumnie po lewej. W tym samym momencie pomknęła ku niemu wypuszczona z łuku strzała. Grot

uderzył w ścianę tuż przy głowie Rzymianina, który poczuł, jak skalny odprysk rani mu brodę.

Macro z rodzącym się w gardle warknięciem powiódł wzrokiem w stronę napastnika.

Wrzeszcząc, rzucił się na wskroś komory ku przeciwnikowi, który właśnie szykował się do oddania kolejnego strzału. Tamten zdążył unieść łuk, naciągnąć cięciwę i wypuścić strzałę, zanim Macro go dopadł. Grot świsnął centurionowi koło ucha, lecz ten już wyrżnął łucznika tarczą, posyłając go na ziemię, czemu towarzyszył donośny huk. Macro rozejrzał się prędko na boki, jednakże zobaczył tylko wsypujących się do komory żołnierzy kohorty pomocniczej. W świetle większej liczby pochodni dostrzegł też, że powalony przeciwnik ma na udzie wielki poplamiony opatrunek. Obok na ziemi leżała sprokurowana z włóczni laska. Pomimo obrażeń i oszołomienia spowodowanego upadkiem buntownik chciał sięgnąć po upuszczony łuk. Wystarczył jeden krok centuriona, by odsunąć broń poza zasięg rąk wroga. Widząc to, leżący sięgnął do sztyletu przy pasie i dobywszy ostrza, wykonał szaleńczy zamach na nogę centuriona. Macro sparował cios i odstąpił znów do tyłu.

– Rzuć broń!

Gladiator wycofał się, powłócząc nogą, pod samą ścianę i oparłszy się o nią, wyciągnął przed siebie rękę ze sztyletem, gotów w każdej chwili zaatakować ponownie.

– Powiedziałem, rzuć!

– Odpieprz się, Rzymianinie! – warknął buntownik. – Chcesz ją, to podejdź tutaj!

Uniósł ostrze, jakby rzucał centurionowi wyzwanie. Macro westchnął niecierpliwie i zrobiwszy krok naprzód, przyjął cios na dół tarczy, po czym zatopił własny miecz w piersi mężczyzny.

Z rannego uszło całe powietrze. Opadł bezwładnie na bok, gdy Macro oswobodził ostrze z rany i okręcił się czujnie wokół własnej osi.

– Jeszcze jacyś chętni?

Odpowiedziała mu cisza. Odkładając miecz, Macro powiódł spojrzeniem po twarzach swoich ludzi.

– Gdzie oni się wszyscy podziali? Gdzie Ajaks?

– Panie! Tu…! – Jeden z żołnierzy wskazywał niewielkie przejście w przeciwległej ścianie komory.

Prowadziło ono lekką pochyłością do następnego pomieszczenia. Macro przykucnął i przechylił głowę, żeby zajrzeć do środka. Wewnątrz panował całkowity bezruch. Zaczął nasłuchiwać, lecz komorę przepełniały kroki żołnierzy i odgłosy ich rozmów.

– Cicho tam! – ryknął.

Gdy przebrzmiało ostatnie echo jego słów, znów wytężył słuch. W dalszym ciągu nic. Chociaż… W końcu, po chwili zdającej się wiecznością, doleciały go ledwie słyszalne dźwięki przypominające dyszenie psa gdzieś w oddali.

– Ajaksie! Jesteś otoczony! Masz jedyną okazję się poddać! Jeśli tego nie zrobisz, przyjdziemy po ciebie i twoich ludzi! Słyszałeś, Ajaksie?

Tak jak Macro się spodziewał, nie było żadnej odpowiedzi. Ponasłuchiwał jeszcze, po czym mruknął pod nosem:

– A niech to! – Zwracając się do podwładnych, rzucił: – Zejdę tam. Zawołam was, jeśli będzie mi potrzebna pomoc. W razie kłopotów wpadacie tam i wyrzynacie wszystkich. Zrozumiano?

Dobył miecza, zabrał pochodnię jednemu ze swoich ludzi

i baczniej przyjrzał się krótkiemu przejściu. Było bardziej strome od poprzednich, które pokonali, ale liczyło góra dwadzieścia stóp. Dalej rozpościerała się posadzka następnej komory. Macro postawił nogę na skraju rampy, lecz bardzo szybko się przekonał, że nie zdoła zejść normalnie. Przykucnął więc, osłonił się tarczą trzymaną pod niewielkim kątem i uniósł pochodnię trzymaną w prawej ręce.

– Uważaj na siebie, panie – poprosił Hamedes.

Macro uśmiechnął się do niego.

– Nadchodzę!

Zaczął zjeżdżać w głąb tunelu, drąc kamień podkutymi podeszwami. Pęd powietrza podsycił płomień pochodni, przepełniając korytarz wściekłym blaskiem. Zjechawszy na sam dół, Macro uczynił pół kroku na płaskiej powierzchni, żeby odzyskać równowagę, po czym błyskawicznie obrócił się w obie strony, wymachując przed sobą mieczem. Komora okazała się znacznie mniejsza od tej na górze i miała tylko cztery kolumny. W środku znajdowała się toporna drabina, na ziemi leżało parę porzuconych płaszczy i bukłaków, ale poza tym nie było niczego i nikogo. Jedyne wyjście prowadziło do poprzedniego pomieszczenia…

Macro zdążył pomyśleć, że to ślepy zaułek, lecz w tym momencie z dalszego kąta dobiegł go jakiś odgłos. Uniósł pochodnię wyżej, by oświetlić większą powierzchnię, i dopiero wtedy zobaczył mężczyznę siedzącego pod ścianą. Nieznajomy miał na sobie tylko przepaskę biodrową i podobnie jak jego pechowy towarzysz w komorze wyżej, był ranny: na nagim brzuchu widniał wielki opatrunek. Mężczyzna trzymał sztylet w ręku, nic wszakże nie wskazywało na to, aby miał zamiar go użyć. Macro zbliżył się do niego ostrożnie, z każdym krokiem

dostrzegając więcej szczegółów. Blask płomieni wydobył błyszczącą od potu skórę rannego i perlące mu się na czole ogromne krople. Pierś tego człowieka unosiła się i opadała nierównym, rwanym rytmem w miarę zaczerpywanych z wyraźnym trudem oddechów. Ranny przymknął na chwilę oczy, po czym znów je otworzył, usiłując skupić wzrok na Rzymianinie.

– Gdzie oni są? – zapytał go Macro. – Gdzie Ajaks i pozostali?

– Nie ma… – wydyszał mężczyzna. Oblizał wargi i uśmiechając się słabo, powtórzył: – Nie ma…

Macro się zirytował.

– Wiem, że byli w tej jaskini. Dokąd poszli?

Ranny pokręcił głową.

– Tyś jest centurion Macro? – Wypowiadał pojedyncze słowa z ogromnym trudem.

– Może. Co ci do tego?

– On… Ajaks… kazał ci przekazać wiadomość. – Znowu ten blady uśmiech. – Powiedział, że wyruchał cię wcześniej, wyruchał teraz i nie skończy cię ruchać, póki żyje.

Macro wpatrywał się w umierającego, czując, jak serce i umysł zalewa mu ślepy gniew. Wypuścił z ręki pochodnię i zanim się choćby zorientował, co robi, już dzierżył miecz. Z wyrywającym mu się z gardła okrzykiem przepełnionym wściekłością i nienawiścią uniósł ostrze i opuścił je na głowę rannego z tak potężną siłą, że skóra, czaszka i szara materia trysnęły krwawym gejzerem, gdy ostrze cięło na skos od ciemienia aż do żuchwy. Macro natychmiast oswobodził miecz i zamierzył się po raz drugi, obnażając zęby w dzikim grymasie, jednakże jego ofiara już była trupem.

Stał więc tam tylko z uniesionym wciąż wysoko ostrzem, pozwalając, by krew ściekała z metalu na stygnące ciało. Oddychał łapczywie, ze zdenerwowania nozdrza mu się nadymały. Powoli wracała mu jasność myślenia. W końcu odstąpił od zwłok i rozejrzał się po małej komorze, szukając czegoś – czegokolwiek – co by dowodziło bytności Ajaksa. Niczego nie wypatrzył. Wrócił zatem do rampy i krzyknął do Hamedesa:

– Spuśćcie mi linę. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

– A Ajaks?

– Ajaks? – Macro pokręcił głową. – Ajaksa tu nie ma. Zupełnie jakby się rozpłynął…

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Będzie żył? – zapytał Katon.

Chirurg nie odpowiedział od razu. Siedział jeszcze przez chwilę przy łóżku legata, badając pacjenta. Na zewnątrz wstawał świt; dźwięki bucin budziły żołnierzy w obozie pod Karnakiem. Obok chirurga stali Macro i Katon, obaj z zakurzonymi i zapiaszczonymi twarzami. Wrócili z drugiego brzegu Nilu nad ranem z dwoma rannymi Rzymianami. Aureliusza doniesiono do rzeki na prowizorycznych noszach zrobionych z dwóch włóczni i kilku płaszczy. Ledwie łódź dobiła do przystani, legat trafił do szpitala. Lżej ranny łucznik został opatrzony na dziedzińcu.

Ponad godzinę zabrało chirurgowi złożenie połamanych kości Aureliusza i usztywnienie ich w łubkach. Rana głowy nastręczyła medykowi jeszcze większych problemów, najpierw bowiem trzeba ją było obmyć starannie i delikatnie z zakrzepłej krwi, ażeby móc w ogóle ocenić szkody. W tym czasie Aureliusz leżał na boku, dla unieruchomienia popodpierany poduszkami. Oddychał chrapliwie i nawet przez cienki lniany i coraz bardziej przesiąknięty krwią opatrunek na jego potylicy było widać, jak poważne są obrażenia.

– Czy będzie żył? – Chirurg wreszcie oderwał spojrzenie od pacjenta. – Wątpię. Stracił dużo krwi i sporo tkanki mózgowej. Szara materia wypłynęła przy wyjmowaniu odłamków kości. Włożyłem mosiężną płytkę i zaszyłem skórę czaszki, ale nie robię sobie większych nadziei. Zresztą nawet gdyby wyżył, nigdy nie

odzyska sprawności umysłowej. Resztę swoich dni przeżyłby jako półgłówek. W tych okolicznościach śmierć jest dla niego wybawieniem.

Katon skinął głową.

– Rozumiem. Będę zobowiązany, jeśli spiszesz swoje wnioski i umieścisz je w dzienniku legionu.

Chirurg wstał i spojrzał Katonowi prosto w twarz.

– Panie, mam pod opieką pełno żołnierzy rannych w wyniku działań ostatnich dwóch dni. Muszę się im poświęcić, zanim zasiądę do pisania raportów.

– Tak, wiem – odparł łagodnym tonem Katon. – Jednakże muszę cię prosić, abyś zrobił, jak powiedziałem. Legat, choć wciąż żyw, nie jest zdolny pełnić swych obowiązków. W związku z tym dowództwo nad legionem oraz resztą armii przechodzi w ręce najwyższego stopniem oficera.

– Czyli w twoje, panie?

– Właśnie. Nie może powstać nawet cień wątpliwości dotyczący okoliczności przejęcia przeze mnie dowodzenia. Wszystko musi się odbyć zgodnie z procedurami. Dla dobra żołnierzy.

– I twojego, na wypadek gdyby ta kampania nie zakończyła się pomyślnie dla Rzymu.

– Myśl sobie, co chcesz. Bylebyś złożył stosowny raport. – Katon przybrał bardziej stanowczy ton. – Natychmiast, jeśli łaska.

Chirurg się zawahał.

– A jeśli nie jestem dziś w łaskawym nastroju?

– W takim razie: natychmiast. Potraktuj moje słowa jako rozkaz.

– Tak jest, panie.

Katon odwrócił się do przyjaciela.

– Centurionie Macro, idziemy stąd. Musimy porozmawiać.

Odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia przydzielonego do wyłącznego użytku legata. Macro ruszył jego śladem, zrównując się z nim dopiero na zewnątrz. Podążyli na przełaj kompleksu świątynnego ku południowej bramie i mieszczącej się za nią kwaterze głównej.

– To dosyć śmiała decyzja – zauważył Macro. – Nie jestem pewien, czy namiestnikowi spodoba się, że przejąłeś dowództwo nad armią. Tylko ona stoi pomiędzy księciem Talmisem a dolnym Nilem.

– Namiestnik nie ma wiele do powiedzenia w sprawach wojskowych – odparł Katon. – Nie jest jego zadaniem oceniać podjęte działania. W każdym razie ostatnie raporty donoszą, że Nubijczycy znajdują się o dzień marszu stąd. Co twoim zdaniem miałem zrobić? Wysłać mu wiadomość z pytaniem, jak postąpić, a potem siedzieć na dupie i czekać na jego odpowiedź? Zanimby nadeszła, książę Talmis by nas pokonał i był już w pół drogi do Memfis i Delty. To by dopiero była katastrofa, jak chyba zdajesz sobie sprawę.

– Zdaję sobie. – Macro się uśmiechnął. – Na szczęście nie ja przejmuję dowodzenie całą armią. Cokolwiek powiedzieć, właśnie dowiodłeś, że masz jaja z żelaza, przyjacielu.

– Doprawdy? – Katon rzucił mu spojrzenie. – Nie łudź się, że ja jeden będę nadstawiał karku. Skoro już jestem dowódcą, zamierzam cię uczynić prefektem obozu. Módl się, żebyśmy wyszli z tego zwycięsko, bo alternatywa jest bardzo daleka od wieńca laurowego.

– Wciąż nie daje mi spokoju to, jak Ajaks mógł nam się wymknąć – zmienił temat Macro, moszcząc się na jednym

z wygodnych zydli kwatery Aureliusza. – Weszliśmy do właściwego grobowca. Uciekinierzy tam byli, o czym świadczy obecność dwóch pozostawionych w tyle rannych. Nie przegapiliśmy żadnych bocznych przejść ani korytarzy. Z tego by wynikało, że uciekł z pułapki, zanim zatrzasnęliśmy ją na dobre.

– Najwyraźniej tak właśnie było.

– Ale jak w takim razie udało mu się opuścić dolinkę? Nie zdołałby się wspiąć po zboczu niezauważony ani tym bardziej minąć nas tak, żebyśmy się nie zorientowali.

Katon milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie minął nas. Myśmy go minęli.

Centurion zmarszczył brew.

– Jak to?

– Pomyśl, Macro. Jak tylko się dowiedzieliśmy, o który grobowiec chodzi, pognaliśmy tam natychmiast. Wleźliśmy w dolinkę i od tamtej strony dotarliśmy tuż przed wejście do tuneli. Co to twoim zdaniem oznacza?

Macro zastanawiał się przez moment i zaraz wciągnął gwałtownie powietrze.

– Zatem rozwiązanie jest aż tak proste?

Katon wzruszył ramionami.

– Jak inaczej by uciekł? Musiał słyszeć, jak maszerujemy. Biorę bogów na świadków, że najpewniej nie zabrakło mu odwagi, aby obserwować nas z jednego z tych grobowców mieszczących się przy wejściu do dolinki. Ledwie zniknęliśmy mu z oczu, wyłonił się z tuneli i razem ze swoimi ludźmi przekradł ku Nilowi, biorąc nogi za pas.

– Czyli teraz może być wszędzie – zauważył Macro.

– Zgadza się.

Centurion potrząsnął głową w zadziwieniu.

– Z tego Ajaksa jest najprzebieglejszy drań, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, jeśli nie liczyć Narcyza z Rzymu. Musiał się spodziewać, że postaramy się odnaleźć jego kryjówkę, pozwolił nam więc zobaczyć tyle, by nasi zwiadowcy powzięli podejrzenie, gdzie się znajduje, a on tymczasem przeniósł się do innego grobowca. Bardzo sprytne.

– Owszem, bardzo. Chyba że jest inne wytłumaczenie, czemu udało mu się uciec.

– Mówisz o szczęściu? Że Ajaks przeniósł się we właściwe miejsce o właściwym czasie? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć…

– Mnie również. – Katon splótł dłonie i pochylił się nad stołem legata, skupiając całą uwagę na centurionie. – Chodziło mi o coś innego, Macro… Moim zdaniem Ajaksa ktoś ostrzegł. Ktoś mu doniósł, że wysłaliśmy zwiadowców jego tropem. Dzięki temu mógł w porę zmienić kryjówkę i wywieść nas w pole.

– Ktoś go ostrzegł? Ale kto?

Katon nie odpowiedział. Milczał przez chwilę, układając sobie wszystko w głowie. W końcu odchylił się z powrotem do tyłu i oznajmił spokojnym głosem:

– Nie sądzisz, że Ajaksowi dopisuje wyjątkowe szczęście, odkąd zaczęliśmy go ścigać w Egipcie?

– Wyjątkowe szczęście? – Macro zmarszczył czoło. – Co konkretnie masz na myśli?

– Zacznijmy od niedawnych wydarzeń. Od jego ucieczki ze świątyni. Z pewnością pamiętasz raport prefekta jazdy na temat masakry, którą ktoś urządził jednemu z jego szwadronów. Prefekt ten twierdził, że wróg zakradł się, bo znał hasło. Niby skąd?

– Może zwyczajnie je zasłyszał? Tak jak sugerował Juniusz?

– Nie da się tego wykluczyć, ale żołnierze ściszają głos, gdy przychodzi do wymiany hasła i odzewu, mają to we krwi. A poza tym ten, kto je znał, był przebrany za Rzymianina.

– Mogli odrzeć z ubrania zwłoki jednego z żołnierzy poległych podczas pierwszego ataku.

Katon pokiwał głową.

– Też tak z początku myślałem. Dlatego jeszcze w świątyni wypytałem twojego optiona, zanim wyruszyliśmy do doliny grobów. Wszystkie ciała poległych były w pełni odziane.

Macro posłał przyjacielowi kosę spojrzenie.

– Jak cię znam, właśnie przyszło ci to do głowy…

– Od dawna żywiłem pewne podejrzenia. A potem trafiliśmy do dolinki, gdzie nasz wybór padł na niewłaściwy grobowiec, i do tego legat spadł i rozwalił sobie głowę.

Macro wzruszył ramionami.

– To akurat był wypadek.

– Widziałeś wszystko na własne oczy?

Centurion był na skraju wyczerpania i musiał się naprawdę mocno skupić, żeby przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń w grobowcu.

– Staliśmy na rampie… Świsnęła wystrzelona w naszym kierunku strzała. Usłyszałem krzyk… Obróciłem się i zobaczyłem, że Aureliusz spada. Tak, to na pewno był wypadek.

– Możesz mi powiedzieć, kto stał najbliżej niego?

– Hamedes – odparł bez namysłu Macro, po czym wpatrzył się z napięciem w Katona.

– Otóż to – pokiwał głową trybun. – Hamedes.

Macro milczał przez chwilę, ważąc w myślach oskarżenie, które padło.

– Twierdzisz, że Hamedes to zdrajca?

– Żeby być zdrajcą, trzeba kogoś zdradzić. Ja uważam, że Hamedes nigdy nawet nie był po naszej stronie. Zastanów się, Macro… Jak wygląda jego wersja? Jako jedyny przeżył atak Ajaksa na świątynię.

– Zgoda, lecz Ajaks ocalił go tylko po to, aby mógł opowiedzieć światu, kto stał za atakiem. Tak samo robił we wszystkich innych wypadkach.

– To prawda – zgodził się Katon. – Właśnie dzięki temu wersja Hamedesa wydała nam się taka przekonująca.

Macro pokręcił głową.

– To zbyt naciągane. Jeśli nawet mamy w swoich szeregach zdrajcę, na pewno nie jest nim Hamedes. Zdążyłem go dobrze poznać. Niczego nie ukrywa. Ha, razem z nami otarł się raz o prawdziwe niebezpieczeństwo. Wszystko, o czym wspomniałeś, to zwykły zbieg okoliczności.

– Kobra w naszym namiocie też? Nigdy cię nie ciekawiło, skąd się tam wzięła? A nie zauważyłeś przypadkiem, że wsiadając na barkę w Kairze, Hamedes miał ze sobą duży worek? Przy wysiadaniu ten worek był dziwnie mniejszy. No i jeszcze te skorupy z rozbitej amfory w pobliżu namiotu. Ciekawe, co też zawierała… Nadal uważasz, że wszystko to tylko zbiegi okoliczności? Powiedz, ale tak szczerze: nigdy o nic go nie podejrzewałeś?

Macro wrócił pamięcią do początków znajomości z młodym kapłanem. Wspomniał atak na obóz Ajaksa i pożar w wieży

strażniczej, dzięki któremu została ujawniona obecność buntowników. Hamedes z łatwością mógłby rozniecić ogień w czasie, gdy inni byli zajęci swoimi sprawami… Ziarno niepokoju, zasiane przed chwilą przez Katona, znalazło pożywkę we wspomnieniach jego przyjaciela.

Przerwało im pojawienie się optiona.

– O co chodzi? – Katon podniósł na niego wzrok.

– Przyprowadziłem kapłana, panie. Zgodnie z rozkazem.

Trybun posłał centurionowi wymowne spojrzenie.

– Zobaczmy, co ma do powiedzenia sam Hamedes. – Zwróciwszy się do optiona, dodał: – Wprowadź kapłana i zostań z nami.

– Tak jest, panie. – Option przywołał kogoś gestem. – No dobra, ty tam, brudasie! Żwawo!

Do środka wszedł ubrany w tunikę Hamedes. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby dopiero przed chwilą się obudził. Uśmiechnął się, widząc Katona i Macro.

– W czym mogę pomóc?

Katon obdarzył go przeciągłym spojrzeniem pozbawionym wyrazu, po czym rozparł się wygodniej na krześle.

– Może zacznij od tego, jak się naprawdę nazywasz.

Uśmiech spełzł z twarzy kapłana.

– Proszę? Chyba się przesłyszałem, panie…

– Nie przesłyszałeś się. Podaj nam swoje prawdziwe imię.

Hamedes otworzył usta, zamknął je z powrotem i popatrzył żałosnym wzrokiem na centuriona.

– Nic nie rozumiem…

Katon sapnął ze zniecierpliwienia.

– Dobrze, spróbujmy z innej strony. Jak długo znasz Ajaksa? Przyłączyłeś się do buntowników na Krecie czy też zwerbował cię spośród niewolników pracujących na statkach, które od tamtej pory napadł?

Hamedes przełknął ciężko ślinę.

– Panie, jestem tylko skromnym kapłanem. Mam nie mniej niż ty powodów, by nienawidzić Ajaksa. Brutalnie zamordował moich współbraci w wierze i splądrował naszą świątynię. Nazywam się Hamedes. Musisz mi uwierzyć, panie… Błagam. Przysięgam ci na wszystkie świętości, że nie jestem żadnym szpiegiem.

Katon posłał mu zimny uśmiech.

– Na bogów, nadawałbyś się na aktora! Bez wątpienia właśnie dlatego Ajaks wybrał cię do tej roli. Jak się okazuje, słusznie. W końcu uratowałeś mu skórę najpierw w świątyni, a potem w grobowcu. A do tego strąciłeś legata w przepaść.

– Nie! – zaprzeczył Hamedes, kręcąc głową. – To nieprawda. Legat Aureliusz miał wypadek. Centurionie Macro, przecież sam tam byłeś… Widziałeś wszystko…

– Widziałem tylko, jak spada – rzekł cicho Macro. – Nie da się wykluczyć, że ktoś go popchnął.

Hamedes wpatrywał się w niego z przerażeniem w oczach.

– Uważasz, że ja to zrobiłem?

– Nie… Nie wiem. – Macro wzruszył wolno ramionami. – Kurwa, nic już nie wiem.

– A ja tak – wtrącił Katon. – Mam aż nadto dowodów, które wskazują na winę tego tutaj człowieka. Wiemy, że od ucieczki

Ajaksa ze świątyni ktoś mu pomaga. Jego cudowne wymknięcie się z grobowca tylko potwierdza moje podejrzenia. Oto nasz szpieg! – Katon wycelował palcem w kapłana. – A szpiegostwo karze się tylko w jeden sposób!

Oczy Hamedesa rozszerzyły się ze strachu.

– To wszystko kłamstwa! Jestem niewinny! Przysięgam na moich bogów!

Ignorując jego protesty, Katon zwrócił się do optiona:

– Wyprowadzić go!

– Co z nim będzie? – odezwał się Macro.

– O świcie zostanie ukrzyżowany, a jego głowa trafi w ręce naszego wroga. Jeśli Ajaksowi udało się dotrzeć do księcia Talmisa, dowie się tym sposobem, jaki los czeka jego i jego kompanów.

Option postąpił do przodu i złapał Hamedesa za ramię.

– Idziemy, chłopcze.

Choć Hamedes zapierał się nogami, option bez trudu ruszył go z miejsca i poprowadził do wyjścia i dalej korytarzem.

– Popełniasz błąd! – zaskowyczał kapłan. – Nie jestem szpiegiem! Nic złego nie uczyniłem!

Katon i Macro przysłuchiwali się w milczeniu odgłosom szarpaniny na zewnątrz. W pewnym momencie rozległ się krzyk.

– Au, ty draniu! Stój!

Macro zerwał się z miejsca i popędził za nimi. Wyjrzał w samą porę, by zobaczyć czmychającego kolumnadą Hamedesa. Option leżał na ziemi, lecz na widok przełożonego szybko się pozbierał i wstając, już trzymał w ręku sztylet. Wyćwiczonym ruchem obrócił nóż tak, że chwycił palcami ostrze, po czym wziął szeroki

zamach i z całą siłą, na jaką go było stać, cisnął broń za uciekającą postacią. Macro powiódł spojrzeniem za wirującym w powietrzu nożem, którzy po parunastu obrotach wbił się mocno tuż poniżej szyi Hamedesa. Trafiony mężczyzna zmiękł jak szmaciana lalka i runął na ziemię, gdzie zaraz zamarł w bezruchu.

– Co się stało? – zapytał Katon, wychodząc za centurionem. – Ach…

Option już podbiegał do ciała. Pochyliwszy się nad nim, umieścił obutą stopę na głowie ofiary i wyszarpnął sztylet. Potem przeniósł wzrok na obu oficerów.

– Melduję, że już po nim.

Katon skinął głową.

Macro odchrząknął i mruknął:

– Cóż, spotkał go lepszy koniec, niż sobie zasłużył. Poszczęściło nam się, panie. Gdybyś go nie zdemaskował, kto wie, jakich jeszcze narobiłby szkód… – Urwał, zmarszczył czoło i wyznał niechętnie: – A ja przez cały ten czas ani razu o nic go nie podejrzewałem. Ani razu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Katon odczekał, aż ostatni oficer zajmie miejsce na dziedzińcu przed kwaterami kapłanów. Stojący w pewnym oddaleniu po jego prawej Macro, prosty jak trzcina na szeroko rozstawionych stopach, przypominał raczej byka niż człowieka. Zebrani spoglądali wyczekująco na Katona, który w końcu podniósł się i odchrząknął, by przeczyścić gardło.

– Pełniący obowiązki legata Aureliusz zmarł od odniesionych ran tuż po południu. Ponieważ i tak nie był w stanie pełnić swych obowiązków, zdążyłem je przejąć na podstawie opinii wydanej przez chirurga. Ale to wszystko nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Jako nowy dowódca wydałem już rozkaz kontynuowania kampanii przeciwko Nubijczykom. Nie będzie żadnego podziału armii. Wszystkie siły zbiorą się tu, w Diospolis Magna, po czym ruszą stąd na wroga, by przy najbliższej sposobności wydać mu bitwę. – Powiódł wzrokiem po podwładnych. – Są pytania?

Lakoniczność komunikatu zaskoczyła oficerów. Pierwszy odezwał się dopiero po dłuższej chwili. Był to centurion Aescher – wedle wiedzy Katona, przydupas Aureliusza. Wstając, obdarzył nowego dowódcę chłodnym spojrzeniem i nieszczerym uśmiechem.

– Panie, wyrażę chyba opinię wszystkich tu obecnych, mówiąc, że utrata pełniącego obowiązki legata Aureliusza dotknęła nas mocno. To ciężki cios, zwłaszcza po śmierci poprzedniego legata

oraz odkryciu w naszych szeregach szpiega, którego sam wprowadziłeś bezwiednie do obozu.

Katon powstrzymał się przed okazaniem zdziwienia i gniewu na to, że wieść o zdradzie Hamedesa zdążyła się już rozejść wśród legionistów. Tymczasem oficer mówił dalej.

– Można by pomyśleć, że na Szakalach ciąży jakaś klątwa. Obaj legaci byli doświadczonymi żołnierzami. Obaj znali na wskroś swój legion i swoich ludzi. Na pewno więc zrozumiesz, kiedy powiem, że w interesie tego legionu, całej armii oraz Rzymu w ogóle jest, abyśmy wysłali do namiestnika w Aleksandrii prośbę o wyznaczenie nowego stałego dowódcy. Nie ma to nic wspólnego z twoimi kompetencjami, panie. Chodzi raczej o wątpliwe morale żołnierzy. Lepiej będzie, jeśli na ich czele stanie ktoś o niekwestionowanym doświadczeniu i starszeństwie. – Skończywszy mówić, centurion ponownie zajął swoje miejsce na lawie.

– Dziękuję – powiedział krótko Katon. – Czy ktoś jeszcze ma pytania?

Powiódł spojrzeniem po twarzach obecnych, jednakże wszyscy oficerowie milczeli w oczekiwaniu na to, jak Katon zareaguje na słowa centuriona. Skwitował to skinieniem głowy, po czym mówił dalej:

– Doskonale. Przyjąłem do wiadomości uwagi centuriona Aeschera. – Przerwał na moment. – Nie będzie żadnej prośby do namiestnika. Nie ma na to czasu. Objąłem dowodzenie zgodnie z prawem i nie pozwolę, aby podważano mój autorytet. Sytuacja jest zbyt poważna, żeby się bawić w takie gierki. Prowincji grozi wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba się z wrogiem rozprawić szybko i zdecydowanie. Będziecie mogli protestować do woli, jak już pokonamy Nubijczyków.

Centurion Aescher wstał ponownie.

– Panie, muszę zapytać, skąd to niespodziane odejście od pierwotnego planu. Legat Aureliusz…

– Pełniący obowiązki legata Aureliusz – wpadł mu w słowo Macro. – Czy raczej: nieżyjący pełniący obowiązki legata Aureliusz.

Aescher posłał mu nieprzychylne spojrzenie i podjął:

– Plan poprzedniego dowódcy wydawał mi się dobry. Twój plan, panie, sprawia wrażenie nie tak subtelnego i znacznie mniej skutecznego, jeżeli rzeczywiście mamy rozgromić Nubijczyków.

– Doprawdy? – Katon przybrał bezbarwny ton. – Wybacz, ale zawsze mi się wydawało, że strategia wojskowa wymaga, by nie dzielić armii w obliczu przeważających sił wroga. A może tutaj, w Egipcie, obowiązują inne zasady?

Sarkazm nie uszedł uwagi centuriona i jego kompanów. Katon jednak zignorował ich szepty i mamrotania i ciągnął:

– Plan Aureliusza doprowadziłby do katastrofy. Nasze oddziały zostałyby po kolei pokonane, po czym książę Talmis mógłby pustoszyć prowincję do czasu, aż cesarzowi udałoby się zgromadzić armię wystarczająco dużą, by zadać Nubijczykom ostateczny cios. Jeśli idzie o zniszczenia w miastach wzdłuż Nilu albo produkcję zboża, straty byłyby niepowetowane i zaradzenie ich skutkom zabrałoby długie lata. Tak samo żałosny los czekałby Egipt, gdybyśmy postanowili siedzieć na tyłkach, dopóki namiestnik nie przysłałby nam nowego dowódcy. Jedyną nadzieję na ocalenie armii i całej prowincji daje nam zdecydowany atak wszystkimi siłami, którymi dysponujemy. – Umilkł i kolejno przyjrzał się oficerom, których musiał przeciągnąć na swoją stronę, jeśli chciał, by ta kampania zakończyła się sukcesem. Podjął po chwili przerwy, modulując odpowiednio głos: – Nie

muszę się przed nikim tłumaczyć. Postąpiłem w zgodzie z regulaminem rzymskiej armii ogłoszonym w imieniu cesarza Klaudiusza. To powinno wystarczyć w normalnych okolicznościach. Zgadzam się, że nasza sytuacja odbiega nieco od normalności, ale z drugiej strony od kiedy to wojna jest sprawą czystą i poukładaną? Do niedawna Dwudziesty Drugi Legion był jednostką garnizonową. Wy i wasi ludzie staczaliście co najwyżej pomniejsze potyczki w ramach zaprowadzania porządku bądź wypadów karnych przeciw rabusiom. Mówiąc szczerze, w porównaniu z innymi legionami, w których miałem przyjemność służyć z tu obecnym centurionem, Szakale są właściwie jednostką drugiej kategorii. Owszem, żołnierze przeszli regulaminowe szkolenie, ale brakuje im doświadczenia bojowego. A wyłącznie ono dowodzi wartości każdego legionisty. Niektórzy z was wykazali się podczas ataku na świątynię, lecz większość wciąż czeka na podobną okazję. Nie wyłączając ciebie, centurionie – zwrócił się bezpośrednio do Aeschera. – Nie jest moim zamiarem ci umniejszyć, stwierdzam po prostu fakt. A faktem jest także to, że zarówno centurion Macro, jak i ja możemy się pochwalić solidnym doświadczeniem, które nabyliśmy w trakcie licznych kampanii i walk. Dlatego w zasadzie powinniście czuć się uspokojeni, że to my powiedziemy was do boju. Centurion Macro to wzór odwagi dla każdego żołnierza.

Na ostatnie słowa przyjaciela Macro poruszył się niespokojnie w miejscu, po czym przybrał srogi wyraz twarzy i zamarł w bezruchu.

– Z Szakali mogą być jeszcze prawdziwi żołnierze – kontynuował Katon. – Zwycięstwo nad Nubijczykami umożliwi im w końcu zdobycie odznaczeń na sztandarze. Ale nie zamierzam was zwodzić co do skali stojącego przed nami wyzwania. Musicie zrozumieć sami i przetłumaczyć swoim

podwładnym, że z chwilą wymarszu będziemy mieli przed sobą tylko dwie drogi: jedna wiedzie ku zwycięstwu, druga ku pewnej śmierci. Odkąd centurion Macro i ja przejęliśmy dowodzenie, wasze szanse przeżycia znacząco wzrosły. Reszta zależy już tylko od was. Zapomnijcie o dotychczasowym życiu. Zapomnijcie o planach na przyszłość. Myślcie wyłącznie o tym, by dopaść wroga. Tylko to się teraz liczy. Ta nieskomplikowana filozofia sprawdziła się doskonale w wypadku moim i centuriona. Prawda?

– Tak jest, panie! – potwierdził Macro.

Katon wziął głęboki oddech i obrzuciwszy wzrokiem podwładnych, zauważył, że na ich twarzach zabłysła odrobina determinacji. Tyle dobrego, pomyślał. Część z tego, co powiedział, jednak do nich trafiła. Udało mu się wzbudzić w oficerach odpowiednie nastawienie i natchnąć ich stanowczością w obliczu czekającej ich próby.

– Wyruszamy z Karnaku jutro o świcie. Macie całe popołudnie na przygotowanie ludzi, sprzętu i zapasów. Rozejść się!

Oficerowie podnieśli się z miejsc i klucząc między ławami, jęli opuszczać kolejno dziedziniec. Wielu rozmawiało między sobą ściszonymi głosami. Macro stał nieruchomo, póki ostatni nie pokazał im pleców, po czym nareszcie lekko się zgarbił i ze znużeniem wypuścił długo wstrzymywane powietrze.

– I jak? – zapytał go Katon.

– Świetnie sobie poradziłeś. Nieraz byłem raczony przez dowódcę hasłem „zwycięstwo albo śmierć”, podobnie zresztą jak ty, ale muszę powiedzieć, że w twoim wykonaniu nadal robi ono na mnie potężne wrażenie.

– Hm. Chodziło mi raczej o to, co myślisz o oficerach.

Macro pokazał kciukiem za siebie.

– O nich? Nie najlepsza banda, z jaką miałem w życiu do czynienia, ale też chyba nie najgorsza.

– Nie brzmi to zachęcająco.

– Och, będą walczyć, jeśli o to ci chodzi. – Macro wzruszył ramionami nonszalancko. – Jakie mają inne wyjście?

– Tak się składa, że żadnego. Tuż przed naradą otrzymałem raport jednego z patroli. Nubijczycy wciąż obozują dzień marszu stąd na południe. Nie ruszyli się stamtąd już od trzech dni. Wszystko wskazuje na to, że książę Talmis chce nas nakłonić do ataku.

– Zawsze możemy zaczekać na niego tutaj i bronić swoich pozycji.

– Nie. W takim wypadku otoczy nas i zagłodzi, zmuszając do kapitulacji. Tak czy owak przewaga jest po jego stronie.

Przyglądając się przyjacielowi, Macro zauważył zmęczenie wyryte w bruzdach na jego twarzy i widoczne w przekrwionych oczach. Katon pozbył się temblaka przed pojawieniem się oficerów i teraz musiał podtrzymywać obolałe ramię drugą ręką. Centurion poczuł przypływ ojcowskiego uczucia.

– Nic na to nie poradzimy, wiesz. Niech zgodnie z rozkazem oficerowie przyszykują żołnierzy do wymarszu. Będę czuwał nad wszystkimi przygotowaniami, żeby uniknąć wpadek. Ty natomiast powinieneś odpocząć. Musisz oszczędzać ramię. Jutro będziesz nam potrzebny w swej najlepszej formie. Zmęczenie nie może ci stępić ostrości spojrzenia. Życie nas wszystkich zależy od ciebie, wiesz?

Katon uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Dziękuję, Macro. Jeśli tylko będzie na to czas, odpocznę. Na

razie muszę się zastanowić, jak rozegrać tę kampanię. Gładkie słówka to jedno, a zwycięstwo to drugie. A po tej całej sprawie z Hamedesem nie dziwię się, że ktoś może kwestionować mój autorytet.

– Bzdura. Hamedes był szpiegiem. Każdy szpieg potrafi zdobyć łatwo zaufanie. A ciebie koniec końców nie oszukał. Przejrzałeś go i położyłeś kres zdradzie w naszych szeregach. – W głosie centuriona pobrzmiewała gorycz.

Katon przyjrzał mu się uważniej i spostrzegł, że stary żołnierz z największym trudem skrywa swoje prawdziwe uczucia.

– Zdrada Hamedesa bardzo cię dotknęła, prawda?

– Tak… Polubiłem tego chłopaka. Sądziłem, że wykazuje się odwagą, pakując się do tamtej dolinki, by wytropić kryjówkę Ajaksa. Tymczasem to wszystko było jedno wielkie udawanie. Ten drań nabrał mnie, i to jeszcze jak!

Trybun uznał, że powinien jakoś pocieszyć przyjaciela.

– Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, moim zdaniem bardzo cię szanował, mimo że był naszym wrogiem.

– Nawet jeśli to prawda, co z tego? Hamedes był człowiekiem Ajaksa. Gdybym o tym wiedział, zabiłbym go gołymi rękami na samym początku. Głupio się z tym wszystkim czuję, Katonie. Tylko o to chodzi. Całe szczęście, że mamy go już z głowy.

– Tak, oczywiście – przyznał Katon, rozumiejąc, że pora zakończyć ten temat. – Wiesz co? Będę potrzebował twojej pomocy. Czeka nas chyba najcięższa bitwa w całej naszej karierze.

Gdy Rzymianie opuszczali obóz w Karnaku, pierwsze promienie słońca dopiero wychylały się zza niskich wzgórz na wschodnim horyzoncie. Na czele armii kroczyła jazda

pomocnicza, jej szwadrony miały otaczać kolumnę piechoty, by chronić ją podczas marszu. Główną kolumnę zaczynała piesza kohorta pomocnicza. Dalej szli legioniści obciążeni pancerzami i sprzętem niesionym na ramieniu. Hełmy wisiały im z mosiężnych haczyków u pasa, a zamiast nich na głowach mieli lekkie bawełniane chusty dla ochrony przed wstającym słońcem i strumieniami potu cieknącego z czół.

Czołowe kolumny rzucały na piaszczystą ziemię długie cienie, a żołnierze – przynajmniej widziani z miejsca, gdzie skupiła się niewielka grupka oficerów sztabowych – zdawali się zamglonymi sylwetkami na tle wszechobecnej zakurzonej rudości. Za legionistami wlekły się tabory wraz z wozami, na których jechały legionowe skorpiony. Jedzenia zabrano tylko na tydzień, toteż Katon zdawał sobie sprawę, że w razie odstąpienia Nubijczyków będzie mógł ich ścigać przez krótki czas. Książę Talmis bowiem bez wątpienia ogołoci okolicę z wszystkiej żywności, nie zostawiając Rzymianom nawet okruszka.

W pewnym momencie trybun Juniusz ponaglił wierzchowca i zrównał się z nowym dowódcą armii. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym odkaszlnął.

– O co chodzi, trybunie? – zainteresował się Katon.

– Panie, zastanawiałem się, jaki masz plan w związku z nadchodzącą bitwą.

– Zamierzam pokonać wroga.

– Tak, oczywiście, panie… To się rozumie samo przez się.

Macro odwrócił się do niego z krzywą miną.

– Zatem co jeszcze jest dla ciebie niezrozumiałe?

Jak się okazało, nie zraziło to Juniusza, który ponownie zwrócił się do Katona:

– Z całym szacunkiem, panie, ale teraz to ja jestem najważniejszym trybunem w legionie. Gdyby coś przytrafiło się tobie i centurionowi, dowództwo przejdzie w moje ręce. Powinienem być wtajemniczony w plan. Dla dobra żołnierzy.

Katon obrzucił go wzrokiem. Chociaż od wyznaczenia Juniusza na młodszego trybuna minęło niewiele czasu, spoczywała na nim odpowiedzialność znacznie większa niż na większości jego rówieśników gdziekolwiek w imperium. Tak to już było na wojnie. Chcąc nie chcąc, Katon musiał się zgodzić z tym, że Juniusz zajmuje trzecie miejsce w łańcuchu dowodzenia, aczkolwiek nie łudził się, że w razie czego w tym nieopierzonym młokosie bez żadnego bojowego doświadczenia centurionowie uznają dowódcę z równą łatwością, z jaką przełknęli przejęcie roli legata przez niego.

– Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie, trybunie – odparł. – Co zaś do perspektywy objęcia przez ciebie dowodzenia, radziłbym ci zachować większą ostrożność, jeśli chodzi o marzenia. Wiesz, co mówi stare przysłowie?

– Tak, panie. Ale muszę być gotowy, na wypadek gdyby Fortuna jednak odwróciła się od ciebie i centuriona.

– Gdyby Fortuna się od nas odwróciła? – powtórzył Katon ze śmiechem. – Ładny eufemizm. Posłuchaj mnie, Juniuszu… Ucz się żołnierki. Obserwuj wiarusów i gromadź doświadczenia. Dopiero potem będziesz mógł pomyśleć o dowodzeniu. Na razie traktuj wszystko jak szkolenie. I tyle. Nie jesteś gotowy, aby zostać dowódcą, i jeszcze długo nie będziesz. Jeśli polegnę, dowodzenie przejmie Macro. Jeśli i on polegnie, dowódcą zostanie ktoś inny, lecz na pewno nie ty. Pomimo regulaminu.

– Aha… – Na obliczu młodego trybuna zagościła przelotna gorycz. – Pragnę tylko służyć Rzymowi, panie. Z takim

poświęceniem, na jakie mnie stać.

– Z poświęceniem? – Macro zaśmiał się pod nosem. – Jesteśmy w armii, chłopcze, nie w świątyni. Wojsko to coś znacznie więcej niż jakieś tam rytuały, ceremonie i inne czary-mary. Wojaczka to nie zabawa. To sprawa życia i śmierci. Właśnie dlatego na czele stoją ci, którzy znają się na rzeczy. Pojmujesz?

Juniusz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w centuriona pałającym wzrokiem, w końcu przełknął ślinę i potaknął milcząco. Skłoniwszy lekko głowę obydwu przełożonym, ściągnął wodze i został w tyle, by dołączyć do reszty jeźdźców.

– Narwany, nie? – Katon rozciągnął usta w uśmiechu. – Też taki byłem zaraz po wstąpieniu do wojska.

– Naprawdę? Ja cię zapamiętałem jako większą ofermę.

Katon zmrużył oczy w szparki.

– Miałeś mnie za ofermę?

– Wiesz, o co mi chodzi. Byłeś chudy, wysoki i nieporadny. Puszyłeś się i wyobrażałeś sobie, że możesz dowodzić w polu, bo naczytałeś się o historii wojskowości. – Macro uśmiechnął się do własnych wspomnień. – Dopiero dzięki armii wyszedłeś na ludzi.

Katon rozejrzał się dyskretnie, aby sprawdzić, że żaden z oficerów nie słyszy tej boleśnie szczerej opinii na temat jego początków w służbie Rzymu, i dopiero później zwrócił się znów do przyjaciela:

– Może faktycznie nie byłem idealnym materiałem na żołnierza Drugiego Legionu. Ale szybko się uczyłem. No i miałem świetnego nauczyciela.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Macro, zapominając o fałszywej skromności.

Katon wskazał ruchem głowy jadących za nimi oficerów.

– Z czasem Juniusz też wyjdzie na ludzi. Nie gorzej niż ja, a może nawet lepiej, zważywszy na jego pochodzenie. Właściwie chyba powinniśmy uważać na to, co do niego mówimy… – Katon namyślał się przez chwilę. – Pewnego dnia zajmie wyższą od nas pozycję i wtedy może nie patrzeć tak wspaniałomyślnie na dawne zniewagi.

– Jeśli po latach dzisiejsza wymiana zdań wciąż będzie mu ciążyła, to szczerze mówiąc, nie zasługuje na dochrapanie się wysokiej pozycji. Naoglądałem się w życiu dowódców, więc wiem, że zwłaszcza małostkowi nigdy nie zagrzewają długo miejsca na swym stanowisku. Wydaje mi się nawet, że to najlepsza strona instytucji cesarstwa. – Macro podrapał się za uchem. – Klaudiusz może właściwie zwolnić każdego, kto się nie sprawdził w wojsku. Stać go na to, by faworyzować jedynie najlepszych. Cesarz nie musi dbać o poklask frakcji politycznych ani bez przerwy tańczyć, jak mu zagrają.

Katon się roześmiał.

– Teraz to ty pokazujesz swój brak obycia, przyjacielu! Naprawdę wierzysz, że cesarz jest ponad polityką? Powiedz mi w takim razie, dlaczego największe armie mają za dowódców członków rodziny cesarskiej? I czemu cesarz zawsze pilnie obserwuje innych swoich wodzów? Nie rozumiesz, że przysłano nas na wschodnie rubieże cesarstwa, żebyśmy mieli oko na namiestnika Longinusa w Syrii? Polityka nie kończy się na obozowej bramie, Macro. Obecny cesarz rozumie to nawet lepiej niż jego poprzednicy. Albowiem to armia wyniosła go na tron. Od tamtej pory Klaudiusz dotuje wojsko jak może, chcąc pokazać, że nie zapomniał, komu jest winien wdzięczność. Polityka… – Katon westchnął. – Mamy z nią do czynienia na każdym kroku.

– Zupełnie jak ze ściekami – zauważył Macro, szczerząc się od ucha do ucha i wywołując nareszcie uśmiech na twarzy przyjaciela.

Jechali przez chwilę w milczeniu, aż Katon pierwszy przerwał ciszę:

– Myślę, że z Juniusza jednak będą ludzie.

– Mam taką nadzieję…

– Nie wierzysz w niego?

Macro wydął wargi.

– Sam nie wiem. Jak na mój gust, jest zbyt gorliwy. Za bardzo się stara dowieść swojej wartości. To może zaszkodzić i jemu, i tym, którymi będzie kiedyś dowodził.

– Zakładając, że pożyje dostatecznie długo, by objąć nad kimkolwiek dowodzenie – zauważył cicho Katon. – Najbliższe kilka dni zapowiada się na nie lada wyzwanie w tym względzie.

Godzinę przed południem zrobili sobie przerwę w marszu. Żołnierze mogli wreszcie złamać szyk i odstawić rynsztunek, po czym zaczęli szukać choćby skrawka cienia. Najwięksi pechowcy musieli się zadowolić płaszczem rozpiętym na czubku włóczni. Wszyscy odpoczywali w najgorętszej porze dnia, podczas gdy ziemia wokół prażyła się w promieniach słońca.

Katon i pozostali oficerowie schronili się w cieniu palm daktylowych, skąd mieli dobry widok na drogę. W pewnym momencie dostrzegli galopującego w chmurze pyłu samotnego jeźdźca. Paru żołnierzy snujących się wciąż po drodze odstąpiło szybko i powiodło za nim wzrokiem, zastanawiając się, co go tak gna. Jeździec ściągnął wodze w pełnym galopie, zeskoczył na ziemię i podbiegł do optiona dowodzącego strażami kwatery głównej, aby złożyć raport. Chwilę później – odprawiony gestem –

zdyszany mężczyzna stał wyprężony przed Katonem.

– Melduję posłusznie, panie, że widziałem Nubijczyków.

Oficerowie otaczający Katona poruszyli się i jeden po drugim zaczęli się podnosić z ziemi, Katon zaś zapytał:

– Gdzie?

Jeździec dokonał w głowie szybkich obliczeń.

– Trochę ponad osiem mil stąd, panie.

– Wróg jest w drodze?

– Tak, panie. Nubijczycy maszerują w naszą stronę.

– Osiem mil? – powtórzył Macro pod nosem. – Wystarczająco blisko, aby stoczyć bitwę jeszcze dziś, jeśli ci na tym zależy…

– Nie. – Katon rozejrzał się po okolicy. Kawałek za gajem daktylowym rozciągało się pole uprawne, szerokie może na milę, licząc od brzegu rzeki do linii nagich wzgórz przechodzących w pustynię. Wskazał je towarzyszącym mu oficerom. – Tam zajmiemy pozycje. Grunt wydaje się dostatecznie miękki, aby dało się rozbić obóz. Macro, zajmij się przygotowaniami. Chcę, żeby żołnierze znaleźli się za umocnieniami, zanim nadejdą Nubijczycy.

– Tak jest, panie – zasalutował służbiście Macro i prędko się oddalił, aby odszukać starszego geodetę i jego pomocników.

Wkrótce od głównej kolumny odłączyła się grupka konnych ciągnąca za sobą sznur mułów obładowanych palikami i narzędziami.

Katon odprowadzał ich przez chwilę wzrokiem, po czym zwrócił się do podwładnych:

– Postawcie swoich ludzi na nogi. Zaczniemy rozbijać obóz, jak tylko wyznaczą perymetr.

Mgiełka przesłaniająca horyzont między rzeką a pustynią świadczyła o nadciąganiu Nubijczyków na długo przed tym, zanim pierwszy przeciwnik dostał się w pole widzenia Rzymian. Legioniści wciąż budowali palisadę i wieże strażnicze, kiedy na horyzoncie pojawiły się pierwsze nubijskie patrole. Jeźdźcy na wielbłądach zatrzymali się w pewnej odległości od rzymskich patroli, czekając, aż dołączy do nich reszta armii. Słońce, które chowając się powoli za zachodni widnokrąg, zdążyło skąpać okolicę upiorną czerwoną poświatą, teraz odbijało się lśniącymi błyskami od zbroi, broni i chorągwi przeciwnika zbliżającego się nieubłaganie do rzymskiego obozu. Legioniści wzmogli wysiłki, by w porę ukończyć stawianie umocnień. Nie licząc fosy i wału, wykopali szereg niewielkich dołów z zatkniętymi pod kątem zaostrzonymi kołkami broniącymi dostępu do umocnień. W każdym rogu palisady skonstruowano z pni palmowych zasypaną ziemią platformę służącą jako podwyższenie dla skorpionów.

Gdy umocnienia już stały i Katon wydał rozkaz powrotu patroli, wysłani na zwiady jeźdźcy kohorty pomocniczej pokazali plecy wrogowi i popędzili galopem w stronę obozu. Wkrótce zamknęły się za nimi bramy. Sformowano szyk – na wypadek gdyby książę Talmis jednak chciał zaatakować zaraz po dotarciu do rzymskich pozycji. Żołnierze i oficerowie czekali w gotowości, obserwując zbliżającego się coraz bardziej przeciwnika. W pewnym momencie pojedyncza kolumna Nubijczyków jęta się rozdzielać na trzy odrębne, w wyniku czego niebawem cały pas ziemi między Nilem i wzgórzami zapełniała nieprzerwana linia wrogiej piechoty, poprzeplatana kolumnami wojowników dosiadających koni i wielbłądów.

Obserwując wszystko z jednej z wież strażniczych, Katon wyczuł niepokój rodzący się wśród żołnierzy stojących za

palisadą. Ani legioniści, ani członkowie oddziałów pomocniczych XXII Legionu nigdy jeszcze nie stanęli oko w oko z takim zagrożeniem – w ogóle tylko nieliczni z nich brali kiedyś udział w prawdziwej walce. Katon musiał mieć nadzieję, że szkolenie zrobi swoje i żołnierze nie zrejterują, gdy przyjdzie im stawić czoło Nubijczykom.

– Ten widok robi wrażenie – rzucił Macro stojący u boku Katona – ale widok to jeszcze nie wszystko, prawda? Ważne są nie tylko liczby…

Katon w milczeniu wodził wzrokiem po szeregach wroga. Większość wojowników zdawała się lekko uzbrojona, lecz było wśród nich kilka formacji, które dzierżyły duże owalne tarcze i maszerowały jak się patrzy, chronione przez różnej maści hełmy i zbroje. Katon widział też spore grupy ludzi niosących naręcza włóczni. Pocieszające było to, że tylko nieliczni mieli na wyposażeniu łuki. Gdy w pewnej chwili rozległ się głos rogu, Nubijczycy w końcu stanęli. Towarzysząca im mgiełka pyłu rozwiała się na wietrze dmącym od strony rzeki.

– Jak myślisz, panie, co teraz będzie? – nie wytrzyma! Juniusz.

– Zaatakują nas?

– Wątpię, trybunie – odparł Katon. – Zajmujemy korzystne pozycje i próba napaści na nasz obóz słono by kosztowała księcia Talmisa. Pomijając kwestię liczebności, nie mamy do czynienia z prawdziwą armią. Gdyby pierwszy atak się nie powiódł, pociągając wiele ofiar, bardzo źle by to wpłynęło na morale jego ludzi.

Macro wskazał ręką.

– Patrzcie. Wkrótce się dowiemy, co zamierzają.

Obaj trybuni odwrócili się w porę, by zobaczyć, jak szeregi

nubijskiej armii opuszcza grupka jeźdźców i nieśpiesznie kieruje się pylistą drogą wzdłuż brzegu rzeki, pokonując otwartą przestrzeń dzielącą obie armie.

– Nie mogę pozwolić, by się dobrze przyjrzeli naszym umocnieniom – zdecydował Katon. – Macro, przyszykuj oddział jazdy. Spotkamy się z nimi w pól drogi.

– Tak jest, panie.

Macro podszedł do drabiny i zaczął się gramolić na dół wieży. Katon jeszcze przez chwilę obserwował awangardę wroga, po czym ruszył po drabinie śladem przyjaciela, który już trzymał za uzdę wierzchowca. Legat wskoczył na siodło, umościł się wygodnie i złapał wodze, zaciskając zęby, gdy odezwał się rwący ból ramienia.

– Zobaczmy, czego od nas chcą.

Ani na moment nie spuszczający oka z Nubijczyków legioniści, którzy pilnowali bramy, zerwali się otworzyć jej skrzydło przed Katonem i jego eskortą. Jeźdźcy opuścili obóz i dostali się na ścieżkę wydeptaną w zbożu i prowadzącą do drogi, gdzie ściągnęli wodze, by sformować szyk. Na przedzie znaleźli się obaj oficerowie, za którymi ustawili się pozostali, gotowi na pierwszy znak Katona rzucić się do ataku. Tymczasem Nubijczycy, którzy posuwali się nieprzerwanie, znajdowali się już w odległości zaledwie kilkuset kroków i ani myśleli się zatrzymać. Było ich w sumie ośmiu, wśród nich chorąży ze sztandarem przedstawiającym lwa z pyskiem otwartym szeroko jak do ryku. Jadący na czele mężczyzna, cały spowity połyskliwym czarnym jedwabiem, w turbanie na stożkowatym hełmie i zakrywającym mu całą twarz oprócz oczu, wysforował się przed resztę. Zbliżając się do Katona, zwolnił nieco krok wierzchowca i ściągnął wodze w odległości mniej więcej dziesięciu kroków od Rzymian.

Obrzucił ich spojrzeniem ciemnych oczu, po czym uniósł rękę i zerwał zasłonę z twarzy.

– Pragnę mówić z rzymskim dowódcą – rzekł po grecku. – Z legatem Aureliuszem.

– Aureliusz nie żyje. Teraz ja dowodzę armią – odparł Katon.

– Ty? – Nubijczyk zawahał się wyraźnie, lecz wzruszył obojętnie ramionami. – Kłamiesz czy nie, to bez różnicy wobec tego, co mam do powiedzenia Rzymianom. Zatem słuchaj uważnie. Jestem Talmis, książę Nubii, lew pustyni i wódz armii, którą widzisz przed sobą. – Szerokim gestem objął gęstą masę ludzi. – Znosiłem panoszenie się Rzymian na tej ziemi o wiele za długo. Nadeszła pora zemsty. Nie odłożę miecza, póki nie zadowolę swego poczucia honoru i nie zadam wam licznych strat.

Macro odkaszlnął, wskazał niedbałym ruchem pochwę przypiętą do pasa księcia oraz wyzierającą z niej rękojeść ozdobioną szlachetnymi kamieniami i powiedział:

– Jeżeli to jest ten… hm… miecz, o którym mówisz, wszystko wskazuje na to, że już został odłożony.

– Macro! – upomniał przyjaciela Katon przez zęby. – Miarkuj się!

Książę zmusił wierzchowca do postąpienia jeszcze paru kroków naprzód, a znalazłszy się na wprost centuriona, wpatrzył się w niego z napięciem. Macro tylko uniósł pytająco brwi.

– Czy to twój błazen, legacie? Nie mogę się doczekać, by usłyszeć jego śmiech, kiedy moi ludzie będą go patroszyć.

– U centuriona co w sercu, to na języku – wyjaśnił spokojnie Katon. – Nie znaczy to jednak, że przemawia w imieniu cesarza. Ja reprezentuję tutaj Rzym. Co takiego masz mi do przekazania, książę?

Talmis patrzył jeszcze przez chwilę na centuriona, w końcu prychnął tylko i zwrócił się do legata:

– Przynoszę propozycję rozejmu. Rzym ustąpi z ziem rozciągających się na południe od Ombos aż po granicę z Nubią. Do tego chcę połowę tegorocznych zbiorów z tej prowincji. I dziesięć talentów złota. – Zwęził przebiegle oczy. – Rzymskich talentów. Nie egipskich. Moje warunki nie podlegają negocjacji. Jeżeli odmówisz, ruszę dalej wzdłuż Nilu, po drodze plądrując wasze miasta i niszcząc plony. Dojdę aż do Aleksandrii.

Macro wybuchnął śmiechem.

– Nie sądzę, aby Rzym ci na to pozwolił. Zbliżysz się do Aleksandrii na sto mil, a cesarz od razu pośle przeciwko tobie dość legionów, by zetrzeć ciebie i twoją armię w proch.

Książę wzruszył ramionami.

– Nubia to rozległy kraj, Rzymianinie. Wystarczająco rozległy, abym się cofał dopóty, dopóki wszyscy nie padniecie z wyczerpania lub pragnienia. Nie boję się Rzymu. No więc jak będzie?

– Nie mogę przyjąć twoich warunków – odparł bez ogródek Katon. – To koniec rozmów pokojowych.

Szarpnął wodze, zawracając konia i kierując się do obozu. Towarzyszący mu jeźdźcy poszli jego śladem, oglądając się przezornie przez ramię. Książę Talmis, w pierwszej chwili milczący, zacisnął dłonie w pięści, po czym wycelował palcem w plecy oddalających się Rzymian.

– Świetnie! Skoro tego chcesz, już za kilka dni sępy będą obierać twoje kości do czysta!

Szarpnął mocno wodze, zmuszając wierzchowca do ostrego obrotu, dźgnął go jeszcze piętami i pogalopował ku swojej armii,

powiewając czarną szatą na podobieństwo lecącego kruka, podczas gdy jego kompani usiłowali mu dotrzymać kroku.

Macro odprowadzał Nubijczyków spojrzeniem przez krótką chwilę, potem zrównał się z Katonem.

– Postawiłeś sprawę bardzo stanowczo. Co zamierzasz?

Katon sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

– Co innego mogłem powiedzieć? Nie jestem upoważniony do przyjmowania podobnych warunków. Zresztą nawet gdybym się zgodził, cesarstwa nie stać na taki haracz. Pozostaje nam walczyć.

– Kiedy?

– Jutro o świcie.

Książę Talmis zakończył ze swymi oficerami planowanie bitwy i właśnie pożywiali się silnie przyprawioną baraniną, gdy coś zakłóciło im posiłek. Dowódca straży przybocznej księcia, potężny poznaczony bliznami wojownik, odsunąwszy klapę namiotu, wszedł do środka, prowadząc za sobą czterech strażników, którzy otaczali wysoką postać w podartej tunice i łuskowej zbroi. Wiedziony przed oblicze księcia człowiek skórę i włosy miał zmatowiałe od potu i kurzu, przez co Talmis nie od razu go rozpoznał.

– Ajaks…

Kompani księcia przerwali posiłek, aby spojrzeć na gladiatora. Rozmowy ucichły i w namiocie zapanowała niezręczna cisza. Książę wytarł palce z tłuszczu w skraj szaty i odchylił się znad srebrnej tacy, z której jadł. Przyglądając się Ajaksowi w zamyśleniu, gładził się po brodzie.

– Czyżbym miał przed sobą tego samego człowieka, który zapewniał, że jest cennym sojusznikiem w walce z Rzymem? – rzucił z chłodnym sarkazmem. – Sądząc z twego wyglądu, sam

zebrałeś niezłe cięgi. Zgadza się?

– Tak, wasza wysokość – odparł Ajaks, skłaniając głowę.

– Domyślam się, że przegrałeś.

– Tak, wasza wysokość.

– Rozumiem. Powiedz mi jeszcze, czy zrobiłeś to, o co cię prosiłem.

Ajaks pomimo zmęczenia stał wyprostowany na całą swoją wysokość, górując nad strażnikami.

– Moi ludzie zabili bądź ranili mnóstwo Rzymian, tak jak sobie życzyłeś, wasza wysokość. Zdobyliśmy jeden z ich fortów, wyrżnęliśmy obsadę i spaliliśmy wszystko do gołej ziemi.

– Kosztem jakich strat własnych?

Ajaks zawahał się lekko, zanim odpowiedział:

– Muszę z przykrością wyznać, że ocalałem tylko ja i kilku moich towarzyszy. Pozostali zginęli.

Talmis ze zdziwienia rozszerzył oczy, a jego oficerowie wymienili spłoszone spojrzenia, tylko czekając na wybuch władcy. Tymczasem książę poruszył wargami i zapytał cicho:

– Zginęli? Jak?

– Gdy fort upadł, Rzymianie wysłali pokaźny oddział na drugi brzeg Nilu z zamiarem rozprawienia się z moimi ludźmi. Broniliśmy się tak długo, jak się dało, lecz w końcu, nie mając wyjścia, wycofaliśmy się do świątyni, którą kazałem wcześniej umocnić. To była nasza linia obrony.

– Wasza? Najwyraźniej nie twoja.

– Zrobiłem co w mojej mocy. Nawet gdybym zginął, nie przechyliłoby to szali zwycięstwa na naszą stronę. Zresztą tylko

żywy stanowię jakieś zagrożenie dla Rzymu. Co odpowiada potrzebom nas wszystkich, wasza wysokość.

– Jak udało ci się uciec?

– Mój szpieg postarał się o ratunek dla mnie i garstki innych.

Talmis pokiwał głową, ale nie od razu się odezwał. Kiedy przemówił, głos miał posępny:

– Straciłem przez ciebie pół tysiąca ludzi. Czy to nazywasz cennym sojuszem? Ty, twój szpieg i twoi ludzie… wszyscyście mnie zawiedli – skwitował tonem pogardy.

– Zabiliśmy wielu Rzymian, wasza wysokość. Do tego opóźniłem ich marsz o całe dwa dni. Czy nie tego sobie życzyłeś?

– Właśnie tego – potaknął książę. – Nie nazwałbym jednak sukcesem straty pół tysiąca żołnierzy. Tak czy owak mój przeciwnik jest tam, gdzie powinien być. Nasz sojusz dobiegł końca, gladiatorze.

Ajaks zwęził oczy, ale zareagował spokojnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć, wasza wysokość?

– Jutro pokonam Rzymian i nie będę więcej potrzebował twoich usług. Gdybyś był jednym z moich dowódców, już dawno dałbyś głowę za niepotrzebne straty.

– Straty były nieuniknione, skoro miałem wypełnić twoje rozkazy, wasza wysokość.

– Nie wydaje mi się.

– Poza tym nie jestem jednym z twoich dowódców – ciągnął gladiator. – Jestem Ajaks, przywódca buntu niewolników na Krecie. Dopóki żyję, Rzym przede mną drży – wypalił buńczucznie. – Zabijając mnie, oddasz przysługę cesarzowi.

– Być może – przystał zgodnie książę. – Niemniej egzekucja

posłuży za cenny przykład na użytek tych, którzy mogliby mnie zawieść w przyszłości.

– Tylko że ja ciebie nie zawiodłem.

– Tu się z tobą nie zgodzę. Uważam nawet, że twoja śmierć przysłuży mi się lepiej niż twoja dalsza służba.

Ajaks zmierzył księcia wzrokiem.

– Jesteśmy sojusznikami.

– Władcy nie mają sojuszników. Jedynie sługi i wrogów. A każdy władca może swobodnie dysponować losem swoich sług.

Gladiator splunął pogardliwie na ziemię. Dowódca straży błyskawicznie zdzielił go w skroń, po czym odstąpił, prowokując spojrzeniem, by jeszcze raz spróbował rzucić wyzwanie Talmisowi. Tymczasem Ajaks potrząsał głową, aby otrząsnąć się z zamroczenia spowodowanego uderzeniem. W końcu popatrzył znów na księcia i powiedział cicho:

– Popełniasz błąd, wasza wysokość. Zabijając mnie, zabijesz nadzieję wszystkich niewolników wyczekujących chwili, aby powstać przeciwko Rzymowi.

– Ani słowa więcej, gladiatorze! – rozkazał książę. – Odezwij się choć raz, a pożegnasz się z życiem! – Zacisnąwszy wargi w wąską kreskę, przypatrywał się Ajaksowi z okrutnym grymasem na twarzy. Zgromadzeni w namiocie ludzie nie śmieli choćby drgnąć w oczekiwaniu na to, co zaraz uczyni ich władca. Po pewnym czasie książę uniósł dłoń i wymierzył palcem w gladiatora. – Twój los leży w moich rękach. Może to i prawda, że bardziej mi się opłaca zachować cię przy życiu i pozwolić ci dalej judzić w rzymskich prowincjach. Zastanowię się jeszcze nad tym. Ale potrzebuję czasu do namysłu. Na razie jesteś moim więźniem. – Pstryknął palcami na dowódcę straży. – Zabierz stąd tego

niewolnika. Umieść go bezpiecznym miejscu i pilnuj dobrze. Nie może mu spaść z głowy choćby włos. Jeżeli ci ucieknie, odpowiesz za to własnym gardłem. Wykonać.

Dowódca straży ukłonił się głęboko i gestem nakazał swoim ludziom wyprowadzić Ajaksa. Następnie – nie przestając się kłaniać w pas – sam wycofał się po swoich śladach, na koniec opuszczając klapę namiotu.

Książę powiódł wzrokiem po oficerach. Żaden nie odważył się odpowiedzieć mu spojrzeniem. Wszyscy siedzieli nieruchomi i milczący. Talmis uśmiechnął się, widząc ich pokorę, i sięgnął po puchar z winem.

– Wypijmy! – zawołał, unosząc kielich. Jego towarzysze złapali za puchary i skwapliwie wysoko je podnieśli. – Śmierć Rzymowi!

Oficerowie powtórzyli toast niczym echo głośnym rykiem, co słysząc, ci Nubijczycy, którzy siedzieli najbliżej namiotu, zwrócili oczy na ogniska rzymskiego obozu, dziwnie małego w porównaniu z przytłaczającą masą nubijskiej armii rozłożonej szerokim wachlarzem w gęstniejących ciemnościach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na godzinę przed świtem Katon wysiał jazdę kohorty pomocniczej, by zaatakowała posterunek przeciwnika celem odwrócenia jego uwagi, podczas gdy reszta rzymskiej armii opuściła obóz. W słabym blasku gwiazd żołnierze minęli umocnienia, by zająć pozycje na pasie otwartej przestrzeni kawałek za miejscem, gdzie przerwa między wzgórzami a gęstym gajem palmowym i przybrzeżnymi szuwarami była najwęższa. Niecałą milę dalej dogasały właśnie ogniska Nubijczyków, posyłając w niebo chmary migotliwych czerwonych iskier.

Środek linii zajmował Macro z pierwszą kohortą ustawioną w czwórszeregu. Po obu jej stronach, aczkolwiek nieco z tyłu, były dwie pomocnicze kohorty piechoty, za nimi zaś znajdowały się dwie kohorty legionistów. Za niewielkim wzniesieniem rozmieszczono stojących w luźnym szyku łuczników, gotowych z chwilą rozpoczęcia bitwy zasypać strzałami linie wroga ponad głowami swych towarzyszy. W rezerwie była jedna kohorta legionistów, natomiast sześć dalszych zajęło pozycje w gęstych kolumnach na skrzydłach, dla ochrony flanek armii przed atakiem wroga. Skorpiony przewieziono wozami naprzód, gdzie utworzono z nich dwie baterie osłaniające przedpole każdego skrzydła jazdy.

Jak tylko piechota znalazła się na swoich miejscach, Katon odwołał dwie kohorty jazdy, każąc im dołączyć do pozostałych sześciu na flankach. W wypadku typowej dla jazdy potyczki,

polegającej na nagłym ataku i równie błyskawicznej ucieczce, jeźdźcy byliby na przegranej pozycji w obliczu przeważających sił wroga mającego do dyspozycji liczne konie i wielbłądy. Jednakże w tej sytuacji zadaniem konnych Rzymian było utrzymanie wyznaczonych pozycji i ochrona obu flanek, nie zaś atak.

Kiedy niebo zaczęto jaśnieć nad zwartą masą wzgórz na wschodzie, Katon wysunął się na czoło armii, zajmując pozycję tuż za pierwszą kohortą. Spieszony Macro, odesławszy swego wierzchowca na tyły, stał teraz nieopodal sztandaru swojej jednostki. Katon z łatwością wypatrzył jego charakterystyczną przysadzistą sylwetkę. Słysząc nadjeżdżającego dowódcę, centurion obrócił się i uniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Jesteście gotowi? – zapytał legat donośnie, aby wszyscy w pobliżu go usłyszeli.

– Przestępujemy z nogi na nogę – odparł lekkim tonem Macro. – Już się nie możemy doczekać.

– Świetnie! Zanim ten dzień się skończy, każdy sztandar legionu zdobędzie odznakę! – Katon uspokoił wierzchowca, przerzucił nogę przez jego grzbiet i zeskoczył na ziemię, rzucając wodze Juniuszowi. Centuriona poklepał po ramieniu i półgłosem dodał: – Muszę zamienić z tobą słówko.

Gdy już znaleźli się poza zasięgiem słuchu żołnierzy, Katon rzekł do przyjaciela:

– Wszystko dziś zależy od tego, czy pierwszej kohorcie uda się utrzymać pozycje i czy reszta legionu zgra swoje działania. Rozumiesz?

Macro spojrzał przenikliwie na przełożonego, w ciemnościach ledwie wychwytując jego napięte rysy. Katon wtajemniczył go w cały plan minionego wieczoru w obecności pozostałych

oficerów, a potem jeszcze raz tuż przed opuszczeniem obozu. Byłby się teraz zirytował, że znowu mu się przypomina o jego powinności, gdyby nie to, że legata wyraźnie zżerało zdenerwowanie. Zatrzymawszy się, rzekł:

– Wiem, co mam robić. Moi ludzie także. Niech cię głowa o to nie boli. Wszystko mamy pod kontrolą. Pozostaje nam tylko czekać na nadejście Nubijczyków.

– I co wtedy?

– Wtedy moi ludzie zrobią, co do nich należy. Do tego się szkolili. Z chwilą rozpoczęcia walki górę wezmą odruchy.

Wytężając wzrok w mroku, Katon przyglądał się uważnie przyjacielowi. Mimo jego zapewnień nie potrafił się wyzbyć niepokoju co do losów nadchodzącej bitwy. O siebie się nie bał. Nie, to nie była do końca prawda. Przyznawał sam przed sobą, że zawsze jest lęk przed długą agonią na pobojowisku. Lub – co jeszcze gorsze – przed kalectwem, które by go wystawiło na kpiny i współczucie innych. Takie myśli krążyły mu wiecznie po głowie tuż przed bitwą, lecz jak dotąd za każdym razem ruszał do ataku z innymi albo wspólnie z nimi bronił pozycji – raczej ze strachu przed wstydem niż z jakiegoś innego powodu. Właśnie to od początku kładło się cieniem na jego przyjaźni z centurionem: za nic nie chciał zawieść jego zaufania. W tym wypadku odpowiedzialność ciążyła mu szczególnie, ponieważ musiał myśleć nie tylko o sobie, ale też o tysiącach podległych mu żołnierzy. Wszyscy, starego centuriona nie wyłączając, wierzyli w niego, ufając, że poprowadzi ich ku zwycięstwu albo zginie razem z nimi.

Katon nie uważał się za specjalnie odważnego. Już teraz czuł ucisk w żołądku i zimny pot cieknący po kręgosłupie. Nie rozumiał, czemu przez tyle lat nie przywykł do kolei bitwy. Co

takiego w nim było, co kazało mu roztaczać w myślach wizje przerażających scen z przeszłych walk i wyobrażać sobie niesłychanie realistyczne obrazy tego, co go czeka w przyszłości? Jakiś czas temu doszedł do wniosku, że walczą w nim o lepsze dwie strony natury: Katon, jakim pragnie być – dzielny, pewny siebie i darzony szacunkiem przez innych, oraz ten drugi, prawdziwszy – strachliwy, wiecznie podenerwowany i okropnie przejęty tym, co sobie o nim pomyślą inni. Oczywiście przychodziło mu z konieczności wiecznie odgrywać rolę tego pierwszego, zyskując aplauz otoczenia, mimo że znał siebie doskonale i ze wstrętem myślał o swej faktycznej naturze… Poczuł jak zwykle mdłości, lecz właśnie wtedy Macro odchrząknął i odezwał się ponownie, szczęśliwie odwracając jego uwagę od ponurych rozważań.

– Ten twój plan… – zaczął centurion.

– Tak?

– Wydaje mi się trochę nietypowy. Pozwolisz, że zapytam, jak na niego wpadłeś?

– Nie wymyśliłem go sam. Czytałem o czymś takim u Liwiusza.

– Tego historyka?

– Zgadza się.

Macro uniósł dłoń i potarł czoło.

– To znaczy, że… eee… chcesz, byśmy odegrali jakąś bitwę, tak? Z kart historii. Z kart księgi, którą przeczytałeś.

– Coś w tym stylu. Obie sytuacje są do siebie pod wieloma względami podobne. Mniejsza liczebnie armia atakuje i miażdży przeciwnika. – Katon się rozkręcił. – Z pewnością słyszałeś o bitwie pod Kannami.

– Tak, dziękuję bardzo – odparł Macro, siląc się na cierpliwość.

– Z tego, co pamiętam, nasi chłopcy nie wypadli w niej najlepiej.

Zanim Katon zdążył odpowiedzieć, od południa dobiegi głos rogu.

Szybko podchwyciły go następne, a po chwili do harmideru dołączyły jeszcze bębny Nubijczyków. Niebo rozjaśniło się nieznacznie, sprawiając, że powietrze przybrało niebieskawy odcień od delikatnej mgiełki wiszącej nad Nilem niczym jedwabny welon.

Macro przyglądał się przez moment armii wroga, po czym wymamrotał:

– Zaraz się przekonamy, czy książę Talmis zechce walczyć zgodnie z planem. – Rzucił kosę spojrzenie Katonowi. – Miejmy nadzieję, że przynajmniej on nie czytał Liwiusza.

Katon nie zareagował; dalej stał sztywno wyprostowany i zapatrzony nad głowami żołnierzy w stronę obozu wroga. Nawet w tej szarówce tylko chwilę mu zajęło wypatrzenie mas ludzi i zwierząt kłębiących się naprzeciwko Rzymian. W miarę jak odgłosy rogów, cymbałów i bębnów przybierały na sile, Nubijczycy zaczynali opuszczać obóz, przesłaniając ogniska, które za sobą zostawiali.

-Wygląda na to, że złapią przynętę – stwierdzi! Katon, kiwając z ulgą głową. – Pierwszą rundę wygraliśmy. No, lepiej wrócę już na stanowisko dowodzenia. – Odwrócił się z uśmiechem do centuriona.

– Nie musisz się martwić, nie będę ci więcej głędził o szczegółach planu.

– Jakbym mógł je zapomnieć! – Macro popukał się w hełm. – Ten łeb może i jest pusty jak stary dąb, ale umysł w nim działa

wciąż sprawnie.

Uścisnęli sobie przedramiona, po czym Katon wrócił raźnym krokiem do czekającego wierzchowca i wspiął się na siodło. Pomachał jeszcze przyjacielowi, wbił pięty w boki konia i skierował się ku grupce oficerów skupionych na uboczu nieopodal kohorty rezerwowej. Macro odprowadzał go przez moment spojrzeniem, następnie zajął się uspokajającym rutynowym przeglądem wszystkich pasków i zapinek przy zbroi. Usatysfakcjonowany wynikiem kontroli, wręczył swoją laskę z winorośli przechodzącemu obok pomocnikowi lekarza, który niósł torbę wypchaną pociętymi kawałkami lnu przeznaczonego na opatrunki.

– Opiekuj się nią dobrze – polecił. – Po bitwie będę chciał ją z powrotem. Jeśli coś jej się stanie, porachuję ci kości nawet ułomkiem!

Mężczyzna odebrał laskę z rąk centuriona, nawet nie przystając, i poszedł dalej, trzymając ją odsuniętą, jakby mogła go ugryźć. Macro uśmiechnął się na ten widok, zaczerpnął głęboko tchu i ruszył w stronę optiona z pocztu sztandarowego pierwszej kohorty, który dzierżył w pogotowiu jego tarczę. Centurion złapał ją za uchwyt i jął się przeciskać między stojącymi blisko dwoma centuriami, wychodząc jakieś dziesięć kroków przed żołnierzy. Patrzył prosto przed siebie, obracając wolno głowę, by objąć wzrokiem szeroką linię Nubijczyków zmierzających w ich kierunku. Kurz wzbijany przez stopy ludzi i kopyta wierzchowców sprawił, że powietrze jakby zmętniało. Macro odwrócił się od tego widoku i obrzucił spojrzeniem podwładnych. Pierwsza kohorta składała się z doborowych żołnierzy, najlepszych w całym legionie, którzy jak zwykle mieli nawiązać walkę z przeciwnikiem. Macro wziął głęboki oddech i przemówił:

– To chyba dobra pora, żeby część z was pomyślała, czy

przypadkiem nie minęliście się z powołaniem.

Jego uwaga wywołała blade uśmiechy na paru spiętych zdenerwowaniem obliczach, które widział najwyraźniej w słabym świetle wstającego dnia. Kilku żołnierzy nawet się roześmiało. Jednakże byli i tacy, co nie zmienili wyrazu twarzy nawet na jotę.

– Obiecuję wam, że zaraz po bitwie rozpatrzę podania tych, którzy poproszą o zwolnienie ze służby. Choć po prawdzie bardzo wątpię, aby pod koniec tego dnia, mając na koncie pierwszą poważną walkę, w brzuchu amforę wina, a w sakwie łupy, ktoś z was nie czuł się prawdziwym bohaterem. Ha, jestem pewien, że zwolnienie ze służby nikomu nie postanie nawet w głowie! – Przerwał na krótko. – Samiście chcieli dołączyć do Szakali. Legionowi zawdzięczacie najlepsze szkolenie, o jakim może marzyć żołnierz. Macie najlepszy sprzęt, a teraz dostajecie nareszcie okazję, by się sprawdzić w boju. Rozkoszujcie się tą chwilą! To dla was wspaniała próba! Dzisiaj przekonacie się, co to znaczy być legionistą, i przystąpicie naprawdę do najświetniejszego bractwa wśród wojowników całego świata! – Obrócił się przez ramię, by wskazać Nubijczyków. – Ci tam myślą, że nas zjedzą na śniadanie. Są świadomi swej przewagi liczebnej i uważają, że całe to łubudu nas przestraszy. – Prychnął pogardliwie. Gdy odezwał się ponownie, w jego głosie pobrzmiewały stalowe nutki. – Możecie mi wierzyć, kiedy wam mówię, że nie ma potężniejszej broni od rzymskiego miecza i dobrze wyszkolonego żołnierza, który wie, jak go używać. – Dobył własnej broni i uniósł ją wysoko. – Dlatego pokażcie im, z kim naprawdę mają do czynienia. Pokażcie im, kto jest panem ich losu. Pokażcie tak, żeby ci, którzy zbiegną z pola walki przed zachodem słońca i rozpierzchną się po świecie, zanieśli wszędzie wieść o tych, co ich dzisiaj rozgromili! Do boju, Szakale! – ryknął,

wymachując mieczem. – Do boju!

Żołnierze podchwycili okrzyk – większość z autentycznym entuzjazmem, pozostali zaś do wtóru, lecz nawet oni bardzo szybko dali się porwać rozwrzeszczanemu chórowi i poczuli, jak przyśpiesza im puls z podniecenia.

Okrzyki objęły wkrótce cały XXII Legion, zaraz też przyłączyły się do nich głosy kohorty jednostek pomocniczych. Ryk dobywający się z tysięcy rzymskich gardeł rzucił wyzwanie rogom, bębnom, cymbałom i dzikiemu zawodzeniu Nubijczyków, którzy nieubłaganie nadciągali przez otwartą płaską przestrzeń. Macro obejrzał się jeszcze po raz ostatni na przeciwnika, po czym wrócił na swoje miejsce w poczcie sztandarowym.

Katon zerknął na przyjaciela, znajdując niejaką pociechę w tym, że nieodmiennie może na niego liczyć, gdy idzie o rozbudzenie entuzjazmu żołnierzy i świecenie przykładem. Kluczowe dla jego planu było to, aby pierwsza kohorta nie ugięła się pod naporem atakujących Nubijczyków. Zwycięstwo Rzymian zależało od zgrania w czasie decydującego manewru. Nawet nie samo zwycięstwo, poprawił się w myśli Katon, ale też nasze przeżycie i utrzymanie prowincji egipskiej w granicach cesarstwa. Horyzont po lewej stronie Katona zamienił się właśnie w rażący pożar nieba, na którym słońce przygotowywało się do wstąpienia na scenę i ogłoszenia narodzin kolejnego dnia. Dla niejednego żołnierza obu armii wstający dzień miał być ostatnim. Ta myśl sprawiła, że Katon poczuł na karku ciarki i natychmiast zmówił krótką modlitwę, błagając, aby wrażenie to nie było wróżbą jego własnej śmierci. Przed oczami momentalnie stanęła mu Julia, wywołując w nim pragnienie tak silne, jakiego nie doświadczył ani razu od czasu, gdy ostatnio dotykał jej ciała.

– Panie! – Najmłodszy trybun pokazywał na Nubijczyków, którzy znajdowali się już niecałe ćwierć mili od linii Rzymian. –

Chyba są już w zasięgu skorpionów! Mam kazać, żeby oddały próbny strzał?

Katon chciał już udzielić reprymendy młodzikowi za snucie rozważań, lecz zdał sobie sprawę, że to prawda. Oddział jadący na wielbłądach, uzbrojony we włócznie, wysforował się przed resztę nubijskiej armii i nacierał właśnie na jazdę czekającą po lewej stronie rzymskiej linii. Katon prędko ocenił odległość i skinął głową trybunowi.

– Dobrze, przekaż dowódcy baterii, aby oddał próbny strzał, zanim odpali pełną salwę. Po co marnować amunicję.

Młodzik zasalutował i pogalopował prosto ku centurionowi jednostek pomocniczych, którego Katon mianował dowódcą baterii skorpionów na tej flance. Wkrótce potem rozległ się głuchy łomot, gdy napinacze balisty uderzyły w ogranicznik. Chociaż do pełnego blasku dnia wciąż było daleko, Katon mógł z łatwością śledzić tor pocisku wystrzelonego płytkim łukiem w stronę wroga i lądującego w tumanie kurzu i piachu tuż przed pierwszym szeregiem wielbłądów. Jedno ze zwierząt stanęło jak wryte z przerażenia. Wtedy dowódca baterii wykrzyczał rozkaz do reszty swoich załóg, które natychmiast naciągnęły ramiona wszystkich machin i ułożyły bełty w leżach. Kiedy wszystko było już przyszykowane, centurion podniósł rękę i zawołał:

– Gotowi…!

Jego podwładni zamarli, każdy przy swoim skorpionie, trzymając dźwignie zwalniające napięte cięciwy. Dowódca odczekał, by nabrać pewności, że pierwsze szeregi nubijskich jeźdźców minęły miejsce, w którym wylądował próbny bełt. Widząc, że centurion wciąż trzyma rękę wysoko, pozwalając wrogowi podejść jeszcze bliżej, Katon dał się ponieść zniecierpliwieniu.

– No dalej, człowieku! – szepnął chrapliwie.

– Teraz! – ryknął centurion, opuszczając gwałtownie ramię.

Wszystkie skorpiony zagrzmiały niemal równocześnie, zupełnie jakby ktoś złamał garść patyków. Trzydzieści bełtów pomknęło w stronę oddziału jeźdźców na wielbłądach – pięciuset albo nawet sześciusetosobowego wedle oceny Katona. Centurion wyczekał na doskonały moment, dzięki czemu żaden zabójczy żelazny pocisk nie chybił piaskowych ciał zwierząt ani ciemnych szat ludzi. Trafione wielbłądy padały jak kupa szmat, gdy patykowate nogi im miękły wskutek zranienia, przez co jadący tuż za nimi musieli szaleńczo lawirować, potrącając boki swoich towarzyszy i uniemożliwiając im skuteczne natarcie na rzymskie pozycje. Na krótką chwilę atak powstrzymano, ale gdy Rzymianie zbroili machiny, Nubijczycy zdołali ominąć ofiary i znów ruszyli galopem. Druga salwa sięgnęła celu równie skutecznie jak pierwsza, powalając kolejnych rannych i zabitych. Część Nubijczyków straciła nagle ochotę na atak i zwolniwszy, została w tyle, bez wątpienia w nadziei, że dzięki temu zdoła uniknąć następnych śmiercionośnych pocisków. Kolejne dwie salwy powstrzymały natarcie wroga całkowicie – Nubijczycy stali przestraszeni, najwyraźniej chcąc przeczekać grad spadających im na głowy pocisków. W końcu jednak piąta z kolei salwa zmusiła przeciwnika do odwrotu. Dowódca jazdy skręcił i ruszył ku własnej flance, nakazując reszcie swoich ludzi jechać za sobą.

Wśród Rzymian rozległy się wiwaty; niektórzy żołnierze wyrzucali w górę włócznie i miecze, okazując w ten sposób radość ze zwycięstwa. Katon zdawał sobie sprawę, jakie ono jest żałosne w porównaniu z ogromem czekającej ich bitwy, ale pozwolił żołnierzom na ten moment satysfakcji. Coś takiego wspaniale podnosiło morale i raniło uczucia wroga. Jednakże legat, choć też zrobiło mu się cieplej na sercu, już widział kolejne,

znacznie większe zagrożenie. Chmura kurzu na flankach Nubijczyków rosła z każdą chwilą, zapowiadając zmasowane natarcie jazdy. I rzeczywiście, wkrótce jego oczom ukazał się zwarty szyk konnych, którzy rozpędzali się, kierując prosto na pozycje kohort jazdy rozmieszczonych po obu stronach rzymskiej piechoty. Katon miał świadomość, że to pierwsza poważna próba tego dnia. Jeżeli nie powstrzymają ataku, Nubijczycy otoczą zarówno legion, jak i jednostki pomocnicze, dobierając się do bezbronnych tyłów. W tym wypadku Katon i jego ludzie zginą rozsieczeni na kawałki. Szarpnąwszy wodze, dał znak swoim oficerom, aby pojechali za nim, sam zaś ruszył wzdłuż tylnej linii ku dowódcy kohorty syryjskiej jazdy na lewej flance.

Prefekt Herofilus powitał legata skinieniem głowy.

– Twoi ludzie niedługo wezmą udział w walce – poinformował go Katon, wskazując ścianę nadciągających jeźdźców, acz niepotrzebnie, gdyż tętent był słyszalny nawet ponad kakofonią nubijskich instrumentów. – Czy są na to gotowi?

Pytanie było retoryczne, ale prefekt skorzystał z okazji, aby zaświadczyć za swoich podwładnych.

– Moi chłopcy się nie ugną, panie. Możesz na nas liczyć.

– Wiem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyłączę się do ciebie i osobiście się przekonam, jak sobie radzą.

– Będzie to dla mnie zaszczyt, panie.

Herofilus skłonił głowę, po czym obydwaj zwrócili spojrzenia na nacierającego wroga.

Katon usiłował się doliczyć przeciwników, co jednak było niemożliwe z powodu chmury kurzu przesłaniającej wszystkie dalsze szeregi, nie licząc pierwszego.

– Muszą być ich tysiące – sapnął z wrażenia któryś

z dekurionów Herofilusa.

– Milczeć! – warknął prefekt.

Kiedy przeciwnik znajdował się niecałe pół mili od nich, Katon znów usłyszał trzaski skorpionów, gdy artyleria legionu zaczęła ostrzeliwać wroga. Część jeźdźców, zauroczona widowiskiem przed sobą, nie zwróciła uwagi, że ich wierzchowce drobią w miejscu, a nawet zmieniają pozycję, i dopiero ryk Herofilusa przywołał ich do porządku.

– Nie łamać mi tam szyku! – zagrzmiał prefekt, przyłożywszy obie dłonie do ust. – Dekurioni! Spisać nazwiska żołnierzy, którzy nie potrafią zapanować nad swoim koniem!

W powietrzu rozbrzmiał tętent, który Katon wyczuwał nawet na końskim grzbiecie – tak drżała od niego ziemia. Usłyszał, jak gdzieś po prawej dowódca łuczników każe swoim ludziom składać się do strzału. Na lewej flance dźwięczała cisza, podczas gdy stojący tam żołnierze zbierali się w sobie, szykując się do walki. W tym samym momencie słońce ostatecznie wynurzyło się zza wzgórz na wschodzie, zalewając blaskiem pole bitwy i odbijając się rażącymi rozbłyskami od wypolerowanych zbroi i mieczy.

Wtem ciepłą poświatę przecięły ciemne smugi pocisków wystrzeliwanych ze skorpionów, czemu towarzyszył szczęk napinaczy. Katon, który uważnie się przyglądał skutkom salwy, widział, jak kolejni jeźdźcy są strącani z siodła i padają na ziemię. Jednakże masa nubijskiej jazdy parła przed siebie nieprzerwanie, przesłaniając coraz to nowych rannych i zabitych. Rzymianie nie przestawali bombardować wroga bełtami i strzałami – łucznicy, którzy niedawno przyłączyli się do ataku, mierzyli w niebo wysoko i pod ostrym kątem, dzięki czemu pociski spadały coraz bliżej i gęściej. Nubijczycy, choć byli dziesiątkowani, nie tracili

ani na liczebności, ani na zapale.

W pewnej chwili Katon sięgnął po miecz, dając wzór reszcie oficerów. Herofilus wsunął lewą rękę za paski swojej tarczy, ujął wodze i głosem na tyle przenikliwym, by przebić się przez ogłuszający tętent, zaczął wykrzykiwać rozkazy do podwładnych:

– Zewrzeć szyki! Zasłonić się tarczami! Przyszykować włócznie i gotować się do odparcia ataku!

Powietrze zamigotało, kiedy długi rząd grotów włóczni pochylił się w stronę nacierających Nubijczyków. Jeźdźcy jednostek pomocniczych przyciągnęli tarcze do siebie, ażeby jak najszczelniej się osłonić. Ich wierzchowce zadrobiły pod nimi niespokojnie i zamarły znów w bezruchu dopiero na skutek silnego uścisku udami lub kojących słów. Wroga jazda znajdowała się już niecałe sto kroków przed linią Rzymian, dzięki czemu Katon rozróżniał najdrobniejsze szczegóły. Wierzchowce Nubijczyków szły ławą, aczkolwiek ich formacja straciła pierwotną gęstość z powodu tempa ataku oraz strat poniesionych po drodze za sprawą rzymskiego ostrzału. Łucznicy nie przestawali szyć do wroga, obierając zasięg na tyle daleki, by nie wyrządzić szkód we własnych szeregach, a zarazem na tyle bliski, by siać spustoszenie przynajmniej na tyłach nubijskiej kolumny.

– Nadchodzą! – zakrzyknął Herofilus, rozwierając szeroko oczy.

Moment później pierwsi Nubijczycy dosięgnęli linii rzymskiej obrony. Ich wierzchowce spłoszyły się na widok nie ustępujących pola jeźdźców i lasu nastawionych włóczni – impet szarży stracił nagle na sile, gdy masa atakujących rozciągnęła się wzdłuż linii Rzymian. Prefekt i jego oficerowie, dźgnąwszy piętami końskie boki, przecisnęli się wśród walczących podwładnych, aby włączyć się do bitwy; chorąży kohorty postąpił tuż za nimi, trzymając sztandar wysoko na widoku. Katon także zbliżył się do linii walki,

zatrzymał się dopiero za drugim rzędem własnych jeźdźców. Dalej rozpościerało się morze lśniących mieczy, wznoszących się do ciosu ludzkich ramion, końskich szpiczastych uszu i potrząsanych dziko grzyw. Starciu towarzyszył szczęk broni, łomot zderzających się zbroi i szalone rżenie przerażonych i cierpiących wierzchowców.

– Nie powstrzymamy szarży – stwierdził Juniusz w pewnej chwili. – Nie damy rady.

– Nie mamy wyjścia – odparł Katon. – Jeśli nie wygramy, zginiemy.

Gdy mówił te słowa, napastnicy parli nieubłaganie naprzód, wypierając Rzymian z zajętych pozycji. Widząc to, Katon rzucił:

– Za mną!

Skierował konia naprzód i wcisnął się między walczących. Żołnierze po lewej i prawej spojrzeli na niego zdziwieni, ale zaraz szybko poświęcili znów całą uwagę przeciwnikom. Katon tymczasem uniósł miecz, pewniej chwytając wodze lewą ręką. Miał świadomość, że bez tarczy jest odsłonięty, lecz było za późno, aby to zmienić. Musiał walczyć u boku swoich ludzi, w przeciwnym razie wyszedłby na tchórza. Kątem oka widział, że jadący po jego prawej Juniusz stara się trzymać blisko niego, zaraz wszakże pojawił się inny jeździec, spychając młodzika dalej, skąd nie mógł bronić legata.

Kiedy z przodu między dwoma żołnierzami jednostek pomocniczych zrobiła się szczelina, Katon tam skierował wierzchowca, skupiając spojrzenie na najbliższym Nubijczyku, smukłym mężczyźnie o hebanowej twarzy przeciętej oślepiającą bielą, ilekroć obnażył zęby. Przeciwnik także już go spostrzegł i ruszył ku niemu, unosząc ciężkie zakrzywione ostrze nad głowę. Katon wyrzucił ramię w górę, aby zablokować cios; odtrącony

miecz rąbnął o tarczę walczącego nieopodal żołnierza. Rzymianin okręcił się w siodle i natychmiast wraził włócznię w pierś Nubijczyka. Fałdy wierzchniej szaty wraz ze zbroją pod spodem uchroniły wroga przed zranieniem, jednakże impet samego uderzenia był na tyle silny, że nieomal wysadził go z siodła. Wykorzystując chwilę jego zawahania, Katon zamachnął się mieczem na prawe ramię Nubijczyka, tnąc go prosto w łokieć. Przez dłoń, dotąd trzymającą rękojeść mocno i pewnie, przeszedł spazm, a palce rozluźniły się nagle, wypuszczając broń, która spadła po końskim boku gdzieś na ziemię. Nubijczyk zawył na poły z bólu, na poły z gniewu, poprawił się w siodle i ściągnął wodze, chcąc wydostać się ze ścisku. Udało mu się tylko ustawić konia równolegle do linii walczących, co uczyniło zeń idealny cel dla drugiego włócznika. Grot przeszył mu bok tuż pod pachą, wchodząc naprawdę głęboko. Kiedy rzymski żołnierz wyszarpnął włócznię z ciała wroga, trysnęła fontanna krwi, a Nubijczyk zakołysał się w siodle i zaraz runął prosto pod kopyta wierzchowców.

Zyskawszy chwilę oddechu, Katon rozejrzał się dookoła siebie i zobaczył, że Juniusz rozprawia się właśnie z przeciwnikiem, rąbiąc go wściekle w głowę. Reszta Rzymian w dalszym ciągu nie oddawała pola, wygrywając indywidualne pojedynki dzięki lepszym zbrojom. Do tego Nubijczycy przestali wreszcie napierać. Z tego, co Katon zdążył zauważyć, natarcie zostało powstrzymane i wróg powoli zaczynał się wycofywać. Legat bardzo szybko zrozumiał powód. Ponad głowami walczących wciąż przelatywały strzały słane zza rzymskich linii w sam środek kotłującej się masy ciał. I chociaż Nubijczycy, w większości wyposażeni w małe okrągłe skórzane tarcze, osłaniali się jak mogli, nie mieli szans wobec poszarpanych ostrych grotów. Zdarzało się, że równocześnie padało ich kilku naraz, nierzadko razem z wierzchowcami, które w chwilach poprzedzających

agonię czasem stawały dęba, nie dając nad sobą w żaden sposób zapanować.

– Odepchnijcie ich jeszcze dalej! – wrzasnął Katon, prąc naprzód przed siebie.

Własnym wierzchowcem naparł na pozbawionego jeźdźca konia i usunął go z drogi, drugiego dźgnął czubkiem miecza w zad, ponieważ dosiadający go Nubijczyk znajdował się poza zasięgiem. Zwierzę zarżało przeraźliwie i wierzgnęło, omal nie miażdżąc kopytem nogi Katonowi, który prawie równocześnie usłyszał chrzęst kości pękającej pod lśniącą sierścią rumaka. Niespodziewanie oba wierzchowce stanęły dęba, przy czym Nubijczyk poleciał gwałtownie w bok na Katona, równocześnie szarpiąc się w przód i czepiając mocno wodzy, byle nie wypaść z siodła. Gdy przy wymachu jego ręka natrafiła na skraj tuniki Katona, palce zacisnęły się na niej odruchowo, a legat poczuł, jak przechyla się na jedną stronę, i zamarł ze strachu na myśl o upadku pod kopyta. Przeklął przeciwnika przez zęby, po czym uniósł miecz na tyle, na ile był w stanie, zamierzając ciąć przytrzymującą go dłoń. Niestety miał za mało miejsca, zamach okazał się nie dość mocny i ostrze tylko wcisnęło się w ciało, zamiast je rozorać. Czując to, Katon zaczął desperacko piłować mieczem, wykorzystując tę przestrzeń, którą miał do dyspozycji, i dopiero wtedy Nubijczyk, wyjąc z bólu, rozluźnił chwyt i w efekcie spadł prosto pod końskie kopyta. Rozpaczliwy krzyk skończył się jak ucięty nożem.

Katon poderwał głowę i spostrzegł przez wzbity kurz, że tylne rzędy wrogiej jazdy odstępują, wydostając się szybko poza zasięg bezlitośnie siekących strzał Rzymian. Panika wyraźnie zagościła w szeregach Nubijczyków, którzy pośpiesznie zawracali wierzchowce i kolejno puszczali się galopem. Legat powiódł wzrokiem po linii nagle przerwanej walki. Żołnierze jednostek

pomocniczych spoglądali za uciekającym przeciwnikiem bezmyślnie, wciąż zbyt oszołomieni przez krew tętniącą im w uszach, aby zrozumieć, że udało im się odeprzeć wroga. Dopiero po dłuższej chwili prefekt Herofilus wzniósł miecz i wydał okrzyk tryumfu, który natychmiast podchwyciła reszta żołnierzy ścigających Nubijczyków spojrzeniami. W dole, pośród powbijanych pod przeróżnymi kątami strzał i bełtów, leżały ciała ludzi i zwierząt – nieżywych i dogorywających.

Kiedy wiwaty zaczęły przygasać, Katon zdał sobie sprawę z odgłosów walki wciąż toczącej się na drugiej flance, gdzie wróg przypuścił powtórny atak w nadziei na przełamanie linii Rzymian. Zwrócił wzrok w tamtą stronę i zmrużył oczy, by lepiej widzieć we wszechobecnym kurzu i pyle. Wyglądało na to, że jazda aleksandryjska trzyma się dzielnie, a obsady skorpionów i łucznicy wciąż zbierają śmiertelne żniwo.

Katon schował miecz i zbliżył się do Herofilusa.

– Świetna robota! Możesz przekazać swoim ludziom, że dobrze się spisali. Ustaw ich z powrotem w szyku i gotuj się na następną szarżę.

– Tak jest, panie!

Katon już przyzywał gestem Juniusza i resztę oficerów, kierując się ku środkowej części linii. Stamtąd dokonał szybkiej oceny strat. W pierwszej potyczce zginęła może jedna dziesiąta jeźdźców, lecz należało się spodziewać kolejnego ataku Nubijczyków. I kolejnych strat w ludziach. Dlatego trzeba było rozgromić wroga, zanim stan osobowy rzymskiej armii spadnie poniżej niezbędnego poziomu.

Tymczasem z frontu nadjechała grupka oficerów, by ponownie zająć pozycje w centrum sił. Znajdujący się pomiędzy nimi Macro obrócił się przez ramię, obrzucił pobojowisko szybkim

spojrzeniem i skinął z ulgą głową, widząc Katona. Po chwili znów patrzył prosto przed siebie. Pobiegłszy spojrzeniem w tym samym kierunku, legat spostrzegł nad hełmami żołnierzy pierwszej kohorty, że trzon nubijskiej armii, odległy o jakieś pół mili, właśnie od nowa rusza na nich. Kolumnę tworzyła zwarta formacja piechoty, której centralną część stanowił oddział ciężkozbrojnych pod sztandarem księcia Talmisa. Katon zastanowił się przelotnie, czy jest tam gdzieś Ajaks z ostatnimi buntownikami z Krety, i przez moment miał gorącą nadzieję, że los pozwoli jemu względnie centurionowi po raz ostatni stanąć oko w oko z gladiatorem i zaspokoić wreszcie tę nienawiść, która sprowadziła ich trzech na pole bitwy hen, na rubieżach imperium.

Prędko wszakże zapomniał o Ajaksie i zwrócił się do jednego z podwładnych:

– Przekaż dowódcom obu baterii skorpionów, że mają zasypać Nubijczyków gradem pocisków, jak tylko znajdą się w naszym zasięgu. To samo dotyczy łuczników. Ruszaj!

Oficer skinął głową, zawrócił konia i pogalopował przed siebie. Katon nie spuszczał wzroku z nadchodzących wrogów. Nie sposób było określić ich dokładnej liczby przez to, że w powietrzu unosił się kurz wzbijany kopytami wierzchowców jadących w pierwszym rzędzie i osłaniający resztę kolumny. Ale jeśli mieli do czynienia z głównymi silami księcia Talmisa, można było mówić nawet o ponad dwudziestu tysiącach wojowników, co dawało Nubijczykom przewagę trzech do jednego w stosunku do rzymskiej armii. Sama różnica w liczebności przesądzała o tym, że Rzymianie zostaną wyparci ze swych pozycji, co Katon od początku zakładał, planując tę kampanię. W gruncie rzeczy liczył na taki obrót sprawy.

W miarę zbliżania się wrogiej armii przybierały na sile odgłosy

nubijskich bębnów, cymbałów i rogów. Tymczasem centurionowie upewniali się, że pozycje zajmowane przez ich oddziały prezentują się należycie. Dokonawszy inspekcji, wszyscy dowódcy zajęli miejsca po prawej stronie swoich ludzi i zamarli w oczekiwaniu. Przeciwnik był już na tyle blisko, że Katon bez trudu dostrzegał poszczególnych oficerów, którzy wykrzykiwali słowa zachęty pod adresem swoich podwładnych i zagrzewali ich do walki, wymachując mieczami. Przez jedną krótką chwilę Katon też miał ochotę zwrócić się do swoich ludzi i przekazać im jakieś słowa otuchy, lecz powstrzymał się, wiedząc doskonale, że drżący głos tylko by zdradził jego zdenerwowanie. Czuł się tak, jakby żołądek ściskało mu żelazne imadło. Uznał, że lepiej będzie zachować milczenie i sprawiać wrażenie kogoś, kto zachowuje spokój i niewzruszoność w obliczu nacierającego wroga.

Tymczasem na obu flankach obsady skorpionów zaczęły odciągać napinacze, czemu towarzyszył ostry metaliczny zgrzyt. Następnie załadowano broń ciężkimi, długimi jak męskie ramię pociskami o żelaznych grotach, po czym rozległ się wyczekiwany rozkaz:

– Teraz!

Chór trzasków zagłuszył nubijskie instrumenty. Chmara pocisków wzbiła się w powietrze, poszybowała nad przedpolem i wkrótce znikła pomiędzy szeregami nubijskiej piechoty. Katon dobrze wiedział, jak wielkie spustoszenie potrafi spowodować taka salwa, mimo to już za moment przekonał się na własne oczy i uszy, że w tym wypadku wróg prawie nie odczuł strat. Nacierająca kolumna nawet się nie zawahała, a wojenne okrzyki nie uległy osłabieniu. Zupełnie jakby piechota wchłonęła nadlatujące pociski, zamiast stracić dziesiątki wojowników – czy to przeszytych na wylot, czy to rzuconych z impetem na ciała towarzyszy. Gdy w stronę wroga pomknęła druga salwa, część

bełtów widocznie przerzedziła pierwszy szereg, w niejednym wypadku przebijając dwóch, a nawet trzech mężczyzn na raz. Ale ranni i polegli bardzo szybko przepadli w tłumie kompanów maszerujących nieprzerwanie na Rzymian.

Kiedy Nubijczycy znaleźli się w odległości jakichś dwustu kroków, do akcji wkroczyli rzymscy łucznicy, zwalniając cięciwy i zasypując wroga strzałami z szelestem przypominającym powiew wiatru w koronie wielkiego gęstego drzewa. Strzały pomknęły wysoko w niebo, po czym zaczęły spadać pionowo na głowy wojowników, którzy nadal nie złamali szyku ani nie zmienili tempa. Zaczęli za to podnosić tarcze i poprawiać uchwyt na rękojeści broni, szykując się do walki wręcz z Rzymianami.

– Pierwszy szereg! – zakrzyknął Macro. – Przygotować włócznie!

Zgodnie z rozkazem stojący na czele legioniści unieśli włócznie nad głowy, ustawiając się lekko bokiem do Nubijczyków i zarazem postępując dwa kroki do przodu. W tej pozycji zamarli, czekając, aż Macro każe im cisnąć je we wroga.

Znalazłszy się około stu kroków przed przeciwnikiem, nubijscy wojownicy w końcu się zatrzymali. Ale nie przestali wydawać okrzyków ani machać wyzywająco bronią.

– Na co oni czekają? – zapytał jeden z trybunów. – Dlaczego nie atakują?

Katon, który znal odpowiedź na to pytanie, zaczerpnął głęboki oddech.

– Przygotować się na ostrzał!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Po rozkazie powtórzonym wzdłuż szeregów nad głowami stojących na przedzie Nubijczyków zaczęły śmigać strzały i kamienie miotane z proc. Katon poczuł szybko ulgę, gdy zrozumiał, że wróg prowadzi ostrzał na ślepo. Mimo to niewielka część pocisków sięgała celu. Dlatego zwrócił się do towarzyszących mu oficerów:

– Lepiej zsiądźmy z koni i poszukajmy schronienia.

Zeskoczywszy z siodła, przywołał przybocznego i kazał podać sobie tarczę. Osłonił się nią sprawnie, zanim pierwsze kamienie spadły na piaszczysty grunt. Wszędzie wokół słychać było łomot pocisków wroga odbijających się od legionowych tarcz. Kilka strzał przebiło skóry, którymi obciągnięto grube deski, i utkwiło w laminowanym drewnie, kilka innych dosięgnęło kryjących się za osłonami żołnierzy. Głowa optiona stojącego w pobliżu legata odchyliła się nagle do tyłu, gdy kamień wystrzelony z procy odbił się od krawędzi tarczy i roztrzaskał mu czaszkę, posyłając nieszczęsnego żołnierza na ziemię. Takich jak on było więcej, przeważnie odnosili rany, ale zdarzało się także, że padali trupem. Kohorta Macro, najliczniejsza i znajdująca się najbliżej wroga, oberwała najbardziej. Katon, obserwujący dokładnie sytuację, nie krył radości, widząc, że żołnierze szybko zwierają szyki, zastępując poległych towarzyszy broni.

Wymiana ognia trwała znacznie krócej, niż wydawało się ostrzeliwanym. Katon zastanawiał się, ilu jeszcze jego ludzi musi

zginąć, zanim wróg uzna, że może przystąpić do właściwego szturmu. Przypuszczał, że stracił już co najmniej stu żołnierzy, a co chwilę padali następni. W końcu jednak ostrzał zaczął słabnąć. Wrogowi kończyła się amunicja. Znów zagrały rogi, na co Nubijczycy odpowiedzieli przeraźliwym wrzaskiem, a potem ruszyli do ataku, pokonując biegiem pas piaszczystej ziemi dzielącej ich od Rzymian.

– Włócznie! – zawołał Macro. Stojący w pierwszych szeregach legioniści wynurzyli się zza tarcz, unosząc broń nad głowę i odchylając ręce do tylu. Najszybsi Nubijczycy wbiegali właśnie w pole rażenia najlżejszych włóczni. Macro odczekał jeszcze moment i ryknął: – Rzuć!

Legioniści wykonali szybki wymach, wypuszczając drzewca z dłoni. Mimo że włócznie nie dolatywały tak daleko jak bełty wystrzeliwane ze skorpionów, były równie śmiercionośne jak one. Centurion z satysfakcją przyglądał się, jak pierwsza salwa przyszpila wielu Nubijczyków znajdujących się na czele atakującej formacji. Stojący w drugim szeregu żołnierze natychmiast podali swoim kolegom nowe włócznie i druga salwa poleciała w kierunku wroga. Ciężkie groty przebijały z łatwością tarcze, rozrywając ciało i krusząc kości. Zanim doszło do bezpośredniego starcia, Rzymianie zdążyli posiać w powietrze trzecią salwę, zasłonić się tarczami i sięgnąć po miecze.

Macro stanął pośrodku kohorty, w drugim szeregu, gotów przyłączyć się do walki, gdy tylko będzie trzeba. Nubijczycy, którzy ponieśli ciężkie straty podczas ostatniej fazy szturmu, stracili tempo, więc lekkozbrojni wojownicy docierali do ściany tarcz pojedynczo albo niewielkimi grupkami. Lata ciężkich szkoleń przygotowały legionistów do tej fazy bitwy, więc Nubijczycy padali pod ich mieczami jak skoszone zboże. Gdy próbowali angażować się w pojedynki, stojący tuż obok żołnierze

wykańczali ich bez trudu. To nie trwało jednak długo, ponieważ coraz więcej wrogów przyłączało się do walki. Naprzeciw wygiętej w łuk linii Rzymian stało mrowie ciemnoskórych wojowników. Macro, choć wytężał wzrok, nie był w stanie dostrzec tyłów tej tłuszczy, tak wiele pyłu wzniesiono tysiącami stóp.

– Nie cofajcie się, chłopcy! – wrzasnął ile sił w płucach. – Utrzymujcie szyk!

Legioniści odpychali wrogów tarczami i zadawali szybkie pchnięcia krótkimi mieczami, tak jak ich uczono. Ciężkie kolczugi, pancerze i grube hełmy dawały im o wiele lepszą osłonę niż lekkozbrojnemu wrogowi. Książę Talmis miał niewielu zawodowych żołnierzy, resztę jego armii stanowili najemnicy ze wschodnich krain i Arabowie. Ci ostatni nie mieli żadnego doświadczenia w walce. Walczyli całym wachlarzem rozmaitych broni, od włóczni przez miecze po maczugi. Osłaniali się co najwyżej cienkimi skórzanymi tarczami. Nie mogli więc przetrwać długo w starciu z legionistami pierwszej kohorty i wspierającymi ich żołnierzami jednostek pomocniczych.

Żołnierz stojący przed Macro zadał kolejne pchnięcie i zawył z bólu, cofając rękę. Czyjś miecz nieomal odjął mu dłoń, gladius natychmiast wypadł mu z pozbawionych czucia palców. Ranny przycisnął kikut do piersi, rosząc krwią pancerz i stojących obok towarzyszy broni. Centurion pociągnął wyjącego żołnierza za siebie i zajął jego miejsce. Stanął na lekko ugiętych nogach, rozstawiając szeroko stopy, by obniżyć środek ciężkości. Tarczę trzymał wysoko, aby chronić twarz, i zerkał znad jej krawędzi na wroga, nie opuszczając miecza.

Stojący naprzeciw niego wysoki wojownik w skórzanym napierśniku unosił właśnie wielki miecz nad głowę. Spojrzał w oczy Macro i uśmiechnął się dziko, prostując ręce jeszcze

bardziej, by włożyć w to cięcie maksimum sił. Mgnienie oka później opuścił klingę. Macro zrozumiał, że to cięcie rozpłata jego tarczę, pozbawiając go przy okazji lewej ręki. Skoczył więc do przodu, pod ostrze, waląc tarczą w szeroką pierś wroga. Ręce Nubijczyka uderzyły w górną krawędź osłony, ze zdrętwiałych dłoni wypadł miecz, wbijając się w piach za plecami centuriona, który wykonywał właśnie regulaminowe pchnięcie w odsłonięty bok przeciwnika. Wyrwał następnie gladiusa z rany i cofnął się zwinnie na swoje miejsce w szyku. Nubijczyk zachwiał się i zniknął natychmiast za furkoczącymi szatami dwóch Arabów, którzy zajęli jego miejsce. Zaatakowali z marszu, ale Macro bez trudu sparował ciosy lekkiej broni. Zrezygnował jednak z postąpienia o krok do przodu. Wolał przyjąć na tarczę kolejne cięcia i poczekać, aż napierające z tyłu szeregi zmuszą obu wrogów do podejścia.

Do takich właśnie starć stworzono broń, którą dysponowali legioniści. I do takiej walki ich szkolono. Nic więc dziwnego, że Nubijczycy trafili na nienaruszalny mur z tarcz – osłaniał on chronionych żelazem żołnierzy, którzy masakrowali lekkozbrojnych przeciwników pozbawionych w ścisku szans na obronę. Ranni i zabici Nubijczycy padali na ziemię przed rzymskimi liniami. Ich krzyki cichły po chwili, gdy konali tratowani przez kolejne szeregi zapaleńców pragnących zetrzeć się z Rzymianami. Większość tych ludzi pałała ogromną nienawiścią do imperium, ale byli też zwabieni obietnicami bogatych łupów, które zdobędą po podbiciu prowincji. Ci walczyli dzielnie, a tchórze, których pewnie też nie brakowało, nie mieli wyjścia w tym ścisku i podążali razem z innymi prosto na mur z tarcz. Ci, którzy stali w pewnym oddaleniu, padali pod nieustającym gradem wypuszczanych w niebo strzał. Oni także nie mieli jak unikać ząbkowanych grotów. Mogli się co najwyżej modlić do swoich bogów.

Oszczędzono im jedynie rażenia przez skorpiony, ponieważ Katon nakazał przerwać ostrzał, by nie wyczerpać przedwcześnie zapasów amunicji. Strzelanie na ślepo, w chmury pyłu wznoszone przez walczących, nie miało większego sensu. Obsady machin wykorzystały moment wytchnienia na zaprzęgnięcie mułów i przeciągnięcie balist na wyznaczone minionego wieczora pozycje drugiej linii.

Wrogów wszakże nie ubywało i w końcu zmusili pierwszą kohortę do odwrotu. Legioniści cofali się wolno, krok po kroku. Ludzie padali rażeni włóczniami, gdy tylko pojawiła się jakaś wyrwa w murze albo gdy któremuś z Nubijczyków udało się wyszarpnąć tarczę, by jego towarzysze zadali śmiertelny cios. Pomimo ogromnych strat zadawanych armii księcia Katon zauważył, że i jego oddziały kurczą się w zastraszającym tempie. Z czterech szeregów pierwszej kohorty zostały już niepełne trzy. Łukowata linia obrony stawała się prostsza z każdą chwilą, a potem zaczęła się wyginać w przeciwnym kierunku, ponieważ centurie na skrzydłach trzymały się mocniej od środka formacji. Kohorty jazdy na flankach odparły właśnie drugi zmasowany, ale niezbyt zdecydowany atak wroga. I wtedy do legata dotarło, że bitwa przebiega dokładnie po jego myśli, obiecał więc sobie w duchu, że złoży Fortunie sowitą ofiarę, jeśli nadal będzie sprzyjała Rzymowi, zwłaszcza w decydującej fazie tego starcia. Teraz wszystko zależało od postawy centuriona Macro i jego cofającej się wolno formacji.

– Panie?

Katon odwrócił się i zobaczył za sobą optiona.

– Tak?

– Wiadomość od prefekta Scyllusa, panie. Pragnie zameldować, że jego łucznikom kończą się strzały.

– Rozumiem. Przekaż mu, żeby przerwał ostrzał i wycofał swoich ludzi za linię rezerwy.

– Tak, panie. – Option zasalutował, odwrócił się i pobiegł w kierunku swojej jednostki.

Gdy strzały przestały nadlatywać, bębny odezwały się ze zdwojoną siłą, zagrzewając Nubijczyków do dalszej walki. Napierali mocniej, jeszcze bardziej spychając centrum rzymskiej formacji. Nie bacząc na ponoszone straty, wróg szedł po trupach, którymi zasłane było pole walki. Ciężkozbrojna piechota księcia Talmisa utorowała sobie w końcu drogę przez tłumy najemników i to ona nacierała teraz na żołnierzy pierwszej kohorty. Ci ludzie, dobrze wyszkoleni i jeszcze lepiej uzbrojeni, byli godnymi przeciwnikami, więc w starciu z nimi padło wielu podwładnych Macro. Szyk w tym miejscu stawał się przeraźliwie cienki, co nie uszło uwagi Katona. Mimo to nie odważył się wydać rozkazu zamknięcia pułapki, ponieważ nie nadszedł jeszcze właściwy moment.

– Panie! – zawołał Juniusz, wyciągając rękę. – Zaraz się przedrą!

Legat odwrócił się i natychmiast dostrzegł zagrożenie. Na prawej flance już tylko jeden szereg legionistów powstrzymywał napór wroga. Zapierali się podkutymi podeszwami, trzymając tarcze przed sobą, ale nie mieli szans na powstrzymanie takiej masy ludzi. Ktoś potknął się właśnie i przyklęknął. Dwaj Nubijczycy wyrwali mu tarczę i przewrócili go na ziemię. Został zadźgany włócznią, zanim zdołał podźwignąć się na łokciu. Przeciwnicy wpadli między szeregi Rzymian, atakując wszystkich wokół.

– Szlag!… – mruknął Katon.

Właśnie rozpoczęła się krytyczna faza bitwy. Znajdujący się najbliżej wyłomu Nubijczycy zaczęli wiwatować, czując zbliżające

się zwycięstwo. Pozostała mi już tylko jedna szansa, uznał Katon, obracając konia, by stanąć przed kohortą rezerwową. Legioniści stali spokojnie, tarcze oparli na ziemi, w prawicach trzymali włócznie.

– Los naszej armii spoczywa w waszych rękach! – zawołał legat, dobywając miecza. – Musicie uratować towarzyszy broni z pierwszej kohorty i zatkać wyłom! Za Szakali!

Żołnierze wzorem centurionów wydali z gardeł ogłuszający ryk, aczkolwiek widać było, że nie włożyli w niego całego serca. Katon nie mógł pozwolić, by ta jednostka go zawiodła, zeskoczył więc z siodła i stanął na czele formacji.

– Za mną!

Ruszył na Nubijczyków, przepychając się przez tyły pierwszej kohorty. Centurion dowodzący odwodami wydał rozkaz i jego posępni żołnierze przyspieszyli do truchtu, pokonując spaloną słońcem ziemię. Katon wyprzedzał ich wciąż o dwadzieścia kroków, gdy dotarł w pobliże wyłomu. Część Nubijczyków zatrzymała się w pół kroku, widząc nadciągającą formację. Legat także przyspieszył, kierując się na najbliższego wroga, uzbrojonego w maczugę mężczyznę o rozwianych włosach. Nacierał na niego nisko pochylony, z mieczem gotowym do zadania ciosu. Lewy bark, kontuzjowany podczas bitwy o świątynię, palił go wciąż żywym ogniem. Musiał zacisnąć zęby, by nie zawyć, gdy wykonywał unik przed niezdarnym uderzeniem wroga. Nie miał wyboru, w tej pozycji musiał użyć lewej ręki i zrobił to, powalając włochacza ciosem pięści w nos. Nie zatrzymał się jednak, by go dobić, tylko od razu skręcił i zmierzył się z uzbrojonym we włócznię Arabem, który próbował go dziabnąć, mierząc wysoko, w krtań. Legat zbił drzewce mieczem, potem pochwycił je wolną dłonią. Przeciwnik zaklął pod nosem, próbując wyrwać włócznię, lecz wtedy Katon

zamachnął się mieczem, tnąc go po ręce. To wystarczyło, by Arab odpuścił. Tymczasem kohorta rezerwowa zdążyła dotrzeć na miejsce. Żołnierze z pierwszego szeregu opuścili włócznie i naparli na wrogów, którzy próbowali przecisnąć się przez wyłom w pierwszej linii. Legioniści mijali Katona z obu stron. Jeden z nich uderzył Araba tarczą, posyłając go na ziemię. Szybkie pchnięcie wystarczyło. Legat podziękował wybawcy skinieniem głowy.

Nagłe pojawienie się czterystu ludzi zamknęło wyłom na dobre i wspomogło umordowanych żołnierzy pierwszej kohorty. Widząc, że niebezpieczeństwo zażegnano, Katon przecisnął się na tyły formacji i ponownie dosiadł konia. Juniusz spoglądał na niego jak na szaleńca, nie rozumiejąc, dlaczego dowódca ruszył do ataku w pierwszej linii. Legat zignorował go jednak i wrócił do obserwowania przebiegu bitwy. Główne siły armii księcia Talmisa zostały wciągnięte w sam środek rzymskiej formacji – zgodnie z planem Katona. Opłaciło się rozstawić oddziały tak, by Nubijczycy pomyśleli, że tu właśnie jest najsłabszy punkt linii obrony. Na obu flankach wciąż stały świeże centurie, których nie przetrzebił ostrzał wroga. Nadszedł właściwy moment, pomyślał legat. Trzeba zamknąć pułapkę, póki centrum się jeszcze trzyma.

Skinął głową na Juniusza.

– Wydaj rozkaz.

Trybun się zawahał.

– Panie, ja…

– Wydaj rozkaz!

Trębacze usłyszeli legata i nie czekając, zadęli w buciny. Trzytonowy sygnał przetoczył się nad polem bitwy. Gdy go powtórzyli, kolumny legionistów na obu skrzydłach ruszyły przed siebie, wbijając się w hordę wojowników wroga.

Znajdujące się jeszcze dalej kohorty jazdy także przesunęły się do przodu, chroniąc flanki atakujących oddziałów.

Z początku Nubijczycy zdawali się nie zwracać uwagi na otaczające ich formacje Rzymian. Walczący na środkowym odcinku frontu byli nadal przekonani o swoim nieuchronnym zwycięstwie. Walczyli więc jak lwy, by dokonać kolejnego wyłomu. W pewnym momencie Katon dostrzegł pośrodku mas wojowników chwiejący się błękitny jedwabny sztandar i zrozumiał, że sam książę przybył, by zagrzewać swoich ludzi do dalszej walki i przełamania oporu wroga w najsłabszym jego zdaniem punkcie.

Kolumny maszerujące na skrzydłach zatrzymały się, gdy ich tyły dotarły do linii frontu. Chwilę później legioniści odwrócili się twarzami do skłębionej masy wrogów. Po kolejnym rozkazie powtarzanym wzdłuż szyków obie formacje odgrodziły się od przeciwnika szczelnym murem tarcz. Na koniec żołnierze ruszyli przed siebie miarowym krokiem, spychając wroga i wyrzynając go bez litości.

Rzymska jazda ruszyła do ataku, gdy piechota zamknęła armię księcia w potrzasku. Wrzeszcząc jak opętani, żołnierze jednostek pomocniczych popędzili na jazdę wroga, która zaczęła się gromadzić na tyłach własnej piechoty. Jeśli przeciwnik nie zlęknie się tego wrzasku, o wiele mniej liczni Syryjczycy i Egipcjanie zostaną zmasakrowani. Katon wszakże był gotów na takie poświęcenie, ponieważ za cenę życia tych ludzi miał zyskać czas potrzebny do ostatecznego rozgromienia nubijskiej armii. Tymczasem wojownicy na koniach i wielbłądach zaczęli opuszczać szeregi swoich oddziałów. Z początku pojedynczo, potem już całymi grupami zmierzali prosto na południe.

– A niech mnie pioruny biją! – zakrzyknął z goryczą Juniusz. – Co te tchórzliwe psy wyprawiają?

Katon skinął głową. Tylko nieliczni Nubijczycy pozostali na pozycjach, ale dość szybko wyrżnęli ich żołnierze z jednostek pomocniczych. Ten niespodziewany sukces zamącił w głowach niektórym żołnierzom do tego stopnia, że pognali za uciekinierami, zanim oficerowie zdążyli ich powstrzymać. Zdecydowana większość jazdy zgromadziła się wszakże pod sztandarami i zawróciła, by spaść na tyły piechoty szturmującej środkową część linii obrony Rzymian.

Losy tej bitwy wydawały się przesądzone. Na flankach wróg, trafiwszy na świeże centurie, nie miał szans na przewagę i musiał cofać się w kierunku centrum, powiększając panujący tam chaos. Z tego młyna nie było ucieczki, a już chwilę później przerażeni Nubijczycy nie mogli się ruszyć, taki tam zapanował ścisk. Bicie w bębny urwało się jak nożem ucięte, tak samo jak dzikie zawołania bitewne, a gdy niepowstrzymani Rzymianie nie zwolnili, tu i ówdzie dało się słyszeć paniczne krzyki tych, którzy stojąc w przeraźliwym ścisku, nie wiedzieli, dlaczego są miażdżeni.

Gdy niepewność i strach sięgnęły tych, którzy nacierali na pierwszą kohortę, wróg zaczął odstępować, zerkając przez ramię, a gdy wojownicy znaleźli się poza zasięgiem mieczy i włóczni, po prostu odwracali się i próbowali uciekać. Legioniści z pierwszej i wspierający ich żołnierze kohorty pomocniczej opuścili broń, korzystając skwapliwie z chwili wytchnienia.

– A tu co się wyprawia do kurwy nędzy?! – wrzasnął Macro. – Na nich! Zabić parchów!

Nie czekając na podwładnych, ryknął jak opętany i ruszył przed siebie, dźgając i tnąc każdego, kto nawinął mu się pod rękę. Wtedy legioniści, widząc, że naprawdę mogą wygrać, poszli jego śladem, zabijając spanikowanych Nubijczyków bez cienia litości. Piach pod ich stopami był czarny od wsiąkającej w niego krwi.

Trup ścielił się tak gęsto, że walczący musieli stąpać po ciałach, by dopaść kolejnego wroga. Zawodzenie południowców było tak głośne, że niczego innego nie było słychać. Zdawać się też mogło, że nawet słońce stanęło po stronie Rzymian, zalewając żarem zamkniętych w pułapce Nubijczyków.

Katon zauważył, że sztandar księcia Talmisa wciąż unosi się nad samym środkiem ciżby wroga. Widział też krąg lśniących hełmów – gwardziści próbowali się przepchnąć przez skłębiony tłum i ocalić swojego pana przed zmasakrowaniem.

– Powinniśmy zaoferować im warunki kapitulacji – odezwał się Juniusz, a gdy legat zerknął przez ramię, zrozumiał, że młody trybun bliski jest zwymiotowania. – Panie, powinniśmy dać im szansę na poddanie. To rzeź…

Katon rozumiał jego reakcję, nie mógł jednak nic zrobić, by zakończyć tę krwawą łaźnię. Wróg miał przewagę liczebną. Jeśli Rzymianie zatrzymają się teraz, mogą utracić inicjatywę i w efekcie przegrać tę bitwę. Musieli więc zabijać dalej. Legat pokręcił głową.

– To jest wojna, trybunie. Tak wyglądają bitwy, więc lepiej się z tym pogódź.

Niektórzy Nubijczycy próbowali się poddać. Rzucali broń i wyciągając puste dłonie do legionistów, błagali o darowanie życia w swoim języku. Bez skutku. Ginęli tak samo szybko jak ich walczący towarzysze broni, którzy w takim ścisku nie mogli wyprowadzić jednego porządnego cięcia.

Przez kolejną godzinę kordon Rzymian wyrzynał zamkniętych w kotle przeciwników, zbliżając się do pozycji zajmowanej przez księcia. Kohorty pomocnicze jazdy odcinały wrogowi drogę ucieczki, siekąc każdego, kto próbował się wymknąć piechocie. Od czasu do czasu komuś udało się przemknąć pomiędzy

konnymi. Tych zbiegów nikt nie ścigał, więc z czasem okolica na południe od pola bitwy była upstrzona miniaturowymi postaciami ludzi, którzy pędzili przed siebie na złamanie karku, by ocalić życie. Dopiero gdy słońce stanęło w zenicie, zrobiło się nieco spokojniej. Rzymianom po prostu zabrakło sił do dalszego zabijania. Niektórzy Nubijczycy wykorzystali okazję i przemykali pomiędzy zdyszanymi legionistami, którzy nie robili nic, by ich powstrzymać. Wtedy dopiero Katon pojechał na pierwszą linię, ostrożnie prowadząc konia po zasłanej trupami ziemi.

– Baczność! Centurionowie, zwołajcie swoich ludzi pod sztandary!

Dostrzegł w oddali Macro całego umazanego krwią. Jego przyjaciel oparł się o własną tarczę, z trudem łapiąc oddech.

– Centurionie, pozwól wrogowi uciec. Nie przepuszczaj tylko księcia i jego przybocznych. No i gladiatorów. Oni nie mogą nam uciec. Zrozumiano?

Macro przytaknął, zamrugał też szybko, by strząsnąć z rzęs krople potu. Wyprostował się potem, podniósł tarczę i przemówił do swoich ludzi:

– Formować szyk!

Żołnierze pierwszej kohorty z trudem dowlekli się pod sztandar, pod którym mieli czekać na dalsze rozkazy. Katon poczuł wyrzuty sumienia, gdy zrozumiał, że bitwę przetrwała niespełna połowa z nich. Kohorta pomocnicza, którą rzucił do zamknięcia wyłomu, poniosła podobne straty. Macro odczekał, aż ostatni z jego ludzi zajmie swoje miejsce, po czym wydał rozkaz marszu w kierunku sztandaru księcia Talmisa.

Katon nie mógł jechać dalej, gdyż na drodze jego wierzchowca zalegały stosy zabitych wrogów. Zeskoczył więc z siodła i podszedł do centuriona.

– Twój plan zadziałał – przyznał Macro, uśmiechając się z wysiłkiem. – Nigdy bym nie przypuszczał, że dożyję dnia, w którym będę coś zawdzięczał Hannibalowi.

– To jeszcze nie koniec. – Legat wskazał krąg zbrojnych otaczających sztandar księcia.

Macro wzruszył ramionami.

– Już po nich bez względu na to, co się jeszcze wydarzy. Żywy bądź martwy, Talmis jest nasz.

Rzymianie rozstąpili się, pozwalając uciec ostatnim lekkozbrojnym Arabom i Nubijczykom, następnie zwarli na powrót szyki wokół pozostałej grupki obrońców. Przyboczni księcia byli chłopami na schwał. Każdy miał na sobie kolczugę i szpiczasty hełm. Stali naprzeciw maszerujących Rzymian, dzierżąc w rękach okrągłe tarcze i ciężkie włócznie.

Katon uniósł rękę, gdy jego żołnierze znaleźli się dwadzieścia kroków od sztandaru.

– Stać!

Żołnierze zatrzymali się, nie spuszczając wzroku z wroga. Legat wyszedł przed nich i odchrząknąwszy, zapytał:

– Czy książę Talmis żyje?

– Tak. – Okazały mężczyzna wyszedł zza przybocznych. Miał na sobie czarne szaty, na które nałożył kirys tej samej barwy. Z ramion zwisała mu wyprawiona skóra lwa. Minę miał ponurą, gdy przyglądał się otaczającym go stosom ciał. W końcu przeniósł wzrok na Katona. – Czego ode mnie chcesz, legacie? Mam się poddać?

– Tak.

– Abyś zawlókł mnie do Rzymu jak zwierza w klatce?

– Ta decyzja należy do cesarza – odparł Katon. – Moja oferta jest prosta: albo poddasz się sam, albo zarżniemy was tam, gdzie stoicie.

– W takim razie raczej się nie poddam – odparł Talmis, wolno cedząc słowa. Na jego ustach pojawił się cyniczny uśmiech. – Chyba że pozwolisz mi wrócić do Nubii.

Katon spojrzał na niego zdziwiony.

– Dlaczegóż miałbym ci na to pozwolić?

– Choćby dlatego, że mam kogoś, kogo chcesz dostać w swoje ręce. Mam Ajaksa. Wydam wam go w zamian za bezpieczne przejście do granic mojej ojczyzny.

Legat poczuł szybsze bicie serca.

– Ajaks tu jest? Z tobą?

– Nie. Kazałem go zamknąć w bezpiecznym miejscu, dopóki nie zdecyduję, jak go ukarać za ostatnią porażkę. Jego życie w zamian za moje. Taka jest moja oferta.

Katon odwrócił się do Macro, przez dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy. W końcu centurion przełknął ślinę, ale zdołał zachować kamienne oblicze, nie chcąc wpływać na decyzję młodszego przyjaciela. Nie da się ukryć, że puszczenie księcia wolno wywoła wściekłość w pałacu. Z drugiej jednak strony Nubijczycy zostali rozgromieni. Minie wiele lat, zanim znów będą mogli przeciwstawić się Rzymowi. Ajaks natomiast będzie stanowił znacznie poważniejsze zagrożenie dla cesarstwa, jeśli uda mu się zbiec z Egiptu. Już raz wywołał bunt, który mógł rzucić Rzym na kolana. Kto wie, do czego jeszcze będzie zdolny? Poza tym właśnie po niego przybyli tutaj Katon i Macro po wielu miesiącach bezowocnych poszukiwań. Musieli zakończyć sprawę, która dręczyła ich od chwili wybuchu powstania na Krecie.

Katon odwrócił się do księcia.

– Słucham. – Talmis podniósł dumnie głowę. – Jaka jest twoja decyzja?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Było późne popołudnie, gdy książę Talmis wysforował się przed niewielką kolumnę konnych jadących stępa brzegiem Nilu i zatrzymał na jej czele. Zarówno on, jak i jego gwardziści zostali wcześniej rozbrojeni i teraz byli eskortowani przez Katona, Macro oraz trybuna Juniusza ze szwadronem jazdy z kohorty pomocniczej. Talmis wskazał położoną około dwustu kroków od brzegu wysepkę, która – podobnie jak większość wysepek widzianych dotąd przez Katona – była płaska i porośnięta trzciną. Aczkolwiek na jednym jej krańcu, tym leżącym w górze rzeki, wznosiła się pokaźna skała, na której wzniesiono świątynię, pięć kolumn na cztery. U podnóża góry rosły rzadko palmy daktylowe, a kawałek dalej u brzegu wyspy widniała mała przystań. Poza tym nie było nic innego oprócz szuwarów. Przy przystani zacumowano łódź, a u wejścia do świątyni majaczyła samotna sylwetka człowieka, który wyraźnie ich obserwował.

– Trzymam ich pod strażą tam, w świątyni – powiedział Talmis.

– Ich? – Macro uniósł brew. – Ilu ludzi pozostało Ajaksowi?

– Przy życiu jest tylko Ajaks i jego kompan, niejaki Karim. Resztę kazałem zgładzić po tym, jak gladiator wrócił do mojego obozu z wieściami o klęsce. Jego zostawiłem sobie na później… no chyba że cesarz złożyłby za jego głowę stosowną ofertę.

– Cieszę się, że nigdy nie byliśmy sojusznikami – rzucił Macro.

– Ajaks też nim nie był. Zaproponował, że będzie mi służył.

Miał odwrócić waszą uwagę, a nie wdawać się w walkę. Okazało się jednak, że nade wszystko łaknie krwi Rzymian… bez względu na koszty. – Książę Talmis odwrócił się, by spojrzeć na Katona i Macro. – Jestem zdumiony, że człowiek może nienawidzić kogoś tak bardzo jak Ajaks was dwóch.

Macro wydął wargi.

– To uczucie jest odwzajemniane, Nubijczyku. I my mamy swoje powody, aby go nienawidzić.

– Naprawdę? – Talmis przegonił owada latającego mu przy twarzy. Następnie gestem poprosił, aby Macro kontynuował.

– Dość tego – wtrącił w tym momencie Katon. – Niedługo zrobi się ciemno. Chcę się rozprawić z Ajaksem przed nocą… – Urwał i zwrócił się do księcia z pytaniem: – Ilu masz swoich ludzi na wyspie?

– Sześciu najlepszych. Zaraz poślę do nich dowódcę, aby wyjaśnił im sytuację i odwołał ich z posterunku. Odtąd gladiator i ten drugi będzie wasz. W zamian uwolnicie mnie i moich ludzi.

– Dopiero gdy będziemy go mieli w swoich rękach – rzekł stanowczo Katon. – Niech twoi ludzie sprowadzą łódź. Popłynę z tym twoim dowódcą i paroma żołnierzami, aby przejąć jeńców. Później twoi ludzie będą mogli wrócić na brzeg. Od tej pory będziecie wolni.

– Rozumiem. – Talmis skinął głową i obdarzył Katona wyrachowanym spojrzeniem. – Legacie… Sądzisz, że twoje zwycięstwo złagodziło mój apetyt na górny Nil?

– Skądże. Wiem jednak, że trochę ci zejdzie, zanim znów zgromadzisz pokaźną armię. Do tego czasu Rzym zdąży przysłać do tej prowincji więcej wojska i umocnić miasta i forty wzdłuż Nilu. Twoje szanse będą jeszcze mniejsze niż tym razem. – Katon

zmierzył go pewnym siebie wzrokiem. – Nie wydaje mi się, aby cesarz musiał się specjalnie przejmować Nubijczykami. Dostaliście w kość. Ajaks to co innego. Dlatego przehandlowałem twoją wolność za jego życie.

Przez twarz księcia przemknął cień zwątpienia.

– Ach tak? Chyba jednak mnie nie doceniasz, legacie. Przekonamy się o tym niebawem, może nawet prędzej, niż ci się wydaje.

Talmis odwrócił się do dowódcy straży i zamienił z nim kilka niezrozumiałych słów, po czym wojownik zsiadł z konia i zszedł na brzeg rzeki. Tam przyłożył do ust mały róg i zadął czterokrotnie. Ze świątyni wybiegły dwie osoby, wsiadły na pokład łodzi i zaczęły walczyć z nurtem.

Tymczasem Katon gestem nakazał dowódcy eskorty, ażeby podszedł, i powiedział do niego szeptem:

– Dekurionie, nie ufam Talmisowi. Przydziel mi dwóch swoich najlepszych ludzi. Jeżeli uda mi się przejąć jeńców na wyspie, dam ci znak i wtedy uwolnisz księcia i jego kompanów.

– Tak jest, panie. Jaki to będzie sygnał?

Katon zastanawiał się przez chwilę.

– Uniosę miecz i zamacham nim na dwie strony. Powinieneś to bez trudu zobaczyć.

– Dobrze, panie.

Katon przeniósł spojrzenie na księcia i jego ludzi.

– Jeżeli spróbują ucieczki, zanim nadejdzie sygnał, zabij ich. Księcia postaraj się zachować przy życiu, jeśli zdołasz.

Macro podszedł bliżej Katona i mruknął:

– Czemu go nie zabijemy tak czy siak? Jak już będziemy mieli

Ajaksa?

Katon potrząsnął głową.

– Talmis stanowi małe zagrożenie dla Rzymu. Moim zdaniem ta porażka dodatkowo go osłabi. Będzie musiał się skupić na utrzymaniu przy sobie zwolenników. Gdybyśmy go zabili, dalibyśmy Nubijczykom powód do zemsty.

Macro wzruszył ramionami.

– Skoro tak twierdzisz… Jeśli o mnie chodzi, im więcej martwych Nubijczyków, tym lepiej.

Katon skinął głową dekurionowi.

– Znasz rozkazy.

Dowódca obrócił się w siodle i krzyknął do swoich żołnierzy:

– Kastor! Decjusz! Zsiadajcie z koni, pójdziecie z legatem!

Dwaj potężni mężczyźni zeskoczyli na ziemię, przekazali wodze swoich wierzchowców najbliższym kompanom, po czym zabrali się do odwiązywania tarcz. Uzbrojeni potruchtali ku oficerom. Katon także zsiadł z konia i gestem nakazał im iść za sobą. Rzucił jeszcze przez ramię:

– Macro, Juniusz! Wy też.

I poprowadził wszystkich czterech na brzeg rzeki, by przyłączyć się do dowódcy straży czekającego na łódź. Płynący nią mężczyźni mozolili się z wiosłami, walcząc z silnym prądem. W pewnym momencie Katon odszedł na stronę i przywołał do siebie centuriona.

Gdy już się oddalili poza zasięg słuchu tamtych, Katon przyjrzał się przyjacielowi badawczo.

– Zamierzam dowieźć Ajaksa do Rzymu żywego. Rozumiemy się? Macro nie odpowiedział od razu. Zrobił zaciętą minę i rzucił

przez zęby:

– Po tym wszystkim, co ten drań narobił? Chyba nie zapomniałeś Krety, co? No ale tak, nie ciebie trzymał w tej zasranej klatce, tylko mnie. I Julię.

– Wiem.

– Skoro wiesz, czemu go nie zabijemy i nie wrzucimy jego zwłok do Nilu? Mielibyśmy go z głowy raz na zawsze.

– Nie takie były rozkazy.

– Rozkazy? – Macro nachylił się do Katona, tak że nieomal stykali się nosami. – Pieprzyć rozkazy. Pieprzyć Semproniusza, Narcyza i cesarza. Pieprzyć ich wszystkich. Mam to w dupie. Ajaks mi podpadł i chcę mu się zrewanżować. – Urwał i zmienił ton głosu na nieco łagodniejszy. – Słuchaj, Katonie. Ta zemsta jest mi potrzebna, tak samo jak tobie. Choćby przez wzgląd na Julię.

– Nie mogę mówić w jej imieniu.

Macro dźgnął Katona palcem w pierś.

– Julia będzie twoją żoną. Naprawdę uważasz, że twoje nieskazitelne sumienie da ci spokój, jeśli pozwolisz żyć człowiekowi, który jej zrobił coś takiego?

– Ajaks umrze – odparł stanowczo Katon. – Zostanie skazany przez cesarza i ukrzyżowany. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Tak, zostanie skazany, ale co będzie, jeśli Klaudiusz w swej mądrości pośle go na arenę? Przecież wiesz, jak ten facet potrafi się bić. Jeśli ktoś potrafi zyskać przychylność motłochu, tym kimś jest właśnie Ajaks. I co wtedy? Co będzie, jak Klaudiusz go oszczędzi po walce, żeby przypodobać się plebsowi? Zresztą będzie bohaterem tłumu, nawet jeżeli zginie. Nieważne, czy z mieczem w dłoni, rzucając wyzwania, czy na krzyżu, opluwając Rzym. Tylko że z krzyża zejdzie męczennikiem, jak Spartakus.

– Tym będziemy się martwić, kiedy… czy też jeśli… okaże się to problemem. – Katon złapał przyjaciela za ramię. – Macro. Nie mamy wyboru. Otrzymaliśmy rozkazy i musimy je wypełnić. I ty, i ja. Daj mi słowo, w przeciwnym razie będę zmuszony odesłać cię do obozu.

Macro skrzywił się, starając się zapanować nad przepełniającym go gniewem, który Ajaks zasiał w jego sercu wiele miesięcy wcześniej. Po dłuższej chwili w końcu ze świstem wciągnął powietrze przez zęby.

– Jak sobie życzysz… panie.

– Dziękuję. – Katon skłonił lekko głowę w dowód wdzięczności i przeniósł spojrzenie na rzekę. – Są wreszcie. Możemy iść.

Zdążyli wrócić do pozostałych, zanim łódź przybiła do brzegu. Jeden z wioślarzy przeskoczył przez burtę i chlapiąc, wciągnął łódź na piasek. Dowódca straży wsiadł pierwszy, zajmując miejsce na rufie, po czym dopiero na pokład weszła reszta. Macro i Katon usiedli naprzeciwko dowódcy straży, a dwaj żołnierze jednostek pomocniczych i trybun Juniusz na trójkątnym pokładzie dziobowym. Nubijczyk zepchnął łódź z powrotem na wodę, a wioślarz wykonał ostry zwrot i jął płynąć przez gładki nurt w stronę wyspy i przystani. Gdy w pewnym momencie jeden z żołnierzy wychylił się za burtę, by spojrzeć w toń, i łódź przechyliła się nieco na bok, Macro warknął:

– Siedzieć prosto! Żeby mi to było ostatni raz!

– Wybacz, panie.

Z tyloma osobami na pokładzie łódź była mocno obciążona i mało sterowna; wioślarz musiał się napocić, żeby utrzymać kurs. Słońce zaczęło powoli przybierać brudną pomarańczową barwę i chylić się ku zachodniemu horyzontowi, nisko nad powierzchnią rzeki przemykały ptaki żerujące na chmarach

nadwodnych owadów. Nie tylko one się pożywiały. Gdy łódź zbliżała się do przystani, Katon zauważył w szuwarach po lewej jakiś ruch i kątem oka dostrzegł długi błyszczący pysk przez mgnienie wystający spomiędzy smukłych zielonych pędów. Zanim zdążył się dobrze przyjrzeć, krokodyl zniknął, wzburzając wodę i wywołując cichy szelest trzcin.

Łódź przybiła do kamiennej przystani wzniesionej w czasach, gdy kapłani przybywali do świątyni składać ofiary. Dziś kamień był zwietrzały i upstrzony ptasim łajnem. Wioślarz krzyknął coś i pokazał linę zwisającą w luźnym zwoju obok trybuna. Juniusz kiwnął potakująco głową, złapał linę i wyciągnął rękę do żelaznego kółka przymocowanego do przystani. Jeszcze jedno uderzenie wioseł i młody trybun mógł przycumować łódź. Już przy pierwszej próbie przewlekł linę przez metalowe kółko, przyciągając smukły kadłub bliżej kamiennego brzegu. Zadowolony z sukcesu pierwszy wyszedł na pomost, po czym pomógł wysiąść towarzyszom. Kiedy już wszyscy stali na lądzie, Macro zwrócił się do nubijskiego dowódcy straży:

– Mówisz po grecku?

– Trochę.

– Żadnych numerów, zrozumiano? – Macro plasnął dłonią o rękojeść miecza. – Inaczej popamiętasz.

Mężczyzna skinął głową i poprowadził ich pod górę kamienną ścieżką wysadzoną palmami. Po krótkiej wspinaczce dotarli w pobliże wejścia do świątyni. Katon odwrócił się jeszcze i posłał spojrzenie drobnym postaciom przyglądającym im się z brzegu, następnie za innymi skierował kroki ku wejściu, czując, jak serce mu wali w oczekiwaniu spotkania z Ajaksem. Idący obok niego Macro miał chmurną minę i zaciśnięte mocno szczęki. Dwaj żołnierze jednostek pomocniczych stąpali za nim, a Juniusz

zamykał stawkę. Wartownik przy drzwiach zasalutował na widok dowódcy i zamienił z nim parę zdań, zanim wszyscy weszli do środka.

Wnętrze otaczał wysoki na dziesięć stóp mur, na którym wyryto płaskorzeźby i hieroglify na tyle głęboko, by słońce mogło podkreślać ich kształty. Pod przeciwległą ścianą siedzieli dwaj mężczyźni pilnowani przez dwóch strażników z włóczniami stojących jakieś piętnaście stóp dalej. Na widok przybyłych Ajaks pierwszy podniósł głowę. Przez moment wyraz twarzy miał pusty, lecz gdy jego wzrok padł na uzbrojonych Rzymian, uśmiechnął się blado.

– Zatem książę Talmis przegrał. Tak sobie właśnie myślałem. To znaczy, że teraz jestem waszym jeńcem, nie jego.

Zobaczywszy gladiatora, Katon zagotował się w środku z nienawiści i musiał sam sobie przypomnieć o rozkazach, które otrzymał. Zarazem czuł coś jeszcze: niewyraźne rozczarowanie, że długie polowanie dobiegło końca.

– My iść – odezwał się nubijski dowódca straży.

– Co? – Katon odwrócił się do niego.

Nubijczyk pokazał na siebie i pozostałych strażników, po czym machnął ręką w stronę przystani i czekającej łodzi. Katon skinął przyzwalająco głową.

Dowódca straży powiedział coś do swoich podwładnych, którzy opuścili posterunki, schylili się po sakwy i dołączyli do niego. Wtedy Nubijczyk zdawkowo kiwnął głową Katonowi i poprowadził ich do wyjścia ze świątyni. Jeszcze przez chwilę było słychać oddalające się kroki, następnie zapadła cisza, w której jeńcy i Rzymianie wpatrywali się w siebie bez słowa.

Milczenie przerwał Ajaks.

– Co ze mną będzie?

– Zabieramy cię do Rzymu – odparł beznamiętnie Katon.

– Aha. Chcecie urządzić przedstawienie z mojej śmierci, tak? Mam być przestrogą dla innych niewolników, którzy by chcieli rzucić wyzwanie Rzymowi?

– Przypuszczam, że tego właśnie zażyczy sobie cesarz. Osobiście mam to gdzieś. Macro i ja chcemy tylko, abyś zapłacił za wszystkie cierpienia, których nam przysporzyłeś.

– A co z cierpieniami, których doznałem od was?

Macro parsknął.

– Twój ojciec był piratem. Zasłużył na taki koniec. Podobnie jak i ty.

Gladiator zerknął ponad głowami obu oficerów i uśmiechnął się przelotnie. Katon poczuł ciarki na plecach. Odwrócił się szybko, by sprawdzić, co takiego zobaczył Ajaks. Za sobą miał dwóch żołnierzy jednostek pomocniczych, dzierżących pewnie włócznie i nie spuszczających oka z jeńców. Ale dalej, za progiem świątyni, stał Juniusz i machał uniesionym mieczem na obie strony. Był to sygnał do uwolnienia księcia Talmisa. Katon poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Nie dałem polecenia, by…

Juniusz okręcił się i robiąc krok w przód, błyskawicznie zatopił ostrze miecza w karku bliższego z dwóch żołnierzy, przeszywając rdzeń kręgowy. Mężczyzna rozdziawił szeroko usta i padł na ziemię jak kupa szmat. Drugi żołnierz zdążył wykonać półobrót i spojrzeć na powalonego towarzysza, jednakże był zbytnio zaskoczony, aby ocalić życie. Juniusz dopadł do niego i poderżnął mu gardło.

– Co się dzie…? – Katon wpatrywał się w trybuna

z przerażeniem.

Macro pierwszy zrozumiał, w czym rzecz. Dobył miecz i natarł na Juniusza.

– Zdrajca! – ryknął. – To on nas zdradził!

– Zdrajca? – Katon zdrętwiał. Przed oczami stanął mu Hamedes z nożem wbitym w kark. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o okropnej pomyłce. – Juniusz? Nie, to niemożliwe…

Trybun wyszczerzył się w uśmiechu.

– Wątpię, abyś kiedykolwiek go jeszcze zobaczył. Szakale buszujące przy drodze do Memfis już się o to postarały. To tam złapaliśmy go, gdy zmierzał, by dołączyć do legionu.

Rzucił miecz ponad głową Katona, schylając się równocześnie po włócznię jednego z zabitych żołnierzy. Miecz spadł z brzękiem u stóp Ajaksa, który porwał go i skoczył na równe nogi, podobnie jak jego kompan. W świątyni rozbrzmiał dziki śmiech gladiatora.

– Dzięki, Kantusie. Ponownie zawdzięczam ci życie. – Ajaks wskazał mieczem na Katona. – Legat jest mój. Ty zajmij się centurionem.

– Kantus?…

Katon, choć czuł nieopanowane mdłości, miał dość przytomności umysłu, aby sięgnąć po broń. Tymczasem podający się dotąd za Juniusza mężczyzna pochylił włócznię i wyrzucił ją w stronę Macro. Uczynił to błyskawicznie, lecz centurion zrobił w porę unik i grot minął go o włos. Jego przeciwnik natychmiast przypuścił ponowny atak, wyraźnie chcąc wyprowadzić Rzymianina z równowagi. Jednakże Macro zdążył już przybrać pozycję kuczną i z łatwością sparował kolejny cios. Potem obydwaj wpili się w siebie spojrzeniami.

Plask bosych stóp na kamieniu wyrwał Katona z odrętwienia

na moment przed tym, zanim Ajaks zamachnął się na niego mieczem. Czubek ostrza przeciął powietrze tuż obok głowy legata, który zdążył do tej pory unieść własny miecz, dzięki czemu ranił gladiatora w bok. Cios był źle wymierzony, ale ostrze przecięło brudną tunikę jeńca i rozorało umięśnione ciało na żebrach. Ajaks syknął, obnażając zęby, i cofnął się o krok. Wolną ręką pomacał ranę. W tym czasie Katon powiódł wzrokiem za Karimem, w którym rozpoznał smagłego niewolnika z Krety i zausznika przywódcy tamtejszego buntu. Kompan Ajaksa właśnie przemykał pod przeciwległą ścianą, zachodząc od tyłu centuriona.

– Macro! Uważaj!

Kiedy Katon zakrzyknął, by ostrzec przyjaciela, Ajaks rzucił się do przodu, chcąc sięgnąć ostrzem jego oczu. Legat usiłował się cofnąć, lecz czubek miecza i tak ciął mu czoło, zjeżdżając po brwi i nosie aż na policzek. Poczuł się tak, jakby oberwał w twarz rozpalonym do czerwoności młotem. Natychmiast stracił ostrość widzenia, gdy straszliwy, przywodzący do obłędu ból zaatakował jego świadomość i wypełnił z umysłu wszelkie myśli. Katon zatoczył się i upadł, wypuszczając broń z dłoni. Impet uderzenia wydusił z niego całe powietrze, a do tego krew zalała mu oczy, całkowicie go oślepiając.

Macro usłyszał ostrzeżenie przyjaciela i dostrzegł biegnące w prawo spojrzenie pierwszego napastnika. Rzucił się więc do przodu i rąbnął mieczem w bliższą dłoń Kantusa. Ostrze poradziło sobie z kośćmi bez trudu – odcięte końce palców posypały się z drzewca włóczni na posadzkę. Szpieg zawył. Macro kontynuował natarcie. Wkładając w uderzenie całą swoją siłę, wyrżnął napastnika pięścią w twarz. Gdy Kantus zachwiał się oszołomiony, poprawił wściekłym ciosem miecza prosto w głowę, rozłupując czaszkę z głośnym chrupnięciem, i zanim wróg legł na

podłodze, okręcił się na pięcie, zaparł stopami o podłoże i wyciągnął przed siebie miecz. Karim nie miał szans zatrzymać się w porę. Ostrze weszło gładko w jego pierś, druzgocząc mostek i upuszczając z płuc powietrze, które Macro poczuł gorącym strumieniem na twarzy. Nawet wtedy jednak Karim nie wyhamował, tak że obydwaj polecieli na ziemię – Part z mieczem sterczącym na wylot z pleców. Leżący na górze niewolnik wpił się spojrzeniem w twarz Rzymianina i nie bacząc na krew cieknącą z ust, spróbował sięgnąć oboma rękami jego gardła. Czując, że palce zaczynają mu się zaciskać na szyi, Macro strącił napastnika na bok, równocześnie wyszarpując z jego trzewi miecz.

Kątem oka dostrzegł rozmazaną plamę odrywającą się od przeciwległej ściany świątyni. Widząc, że to Ajaks biegnie na niego, zamachnął się mieczem z poziomu posadzki, mierząc w kolano gladiatora. Ten jednak miał dobry refleks wyćwiczony na arenie – wybił się w górę jakby nigdy nic, unikając ciosu i przeskakując centuriona i Karima, po czym wyhamował w zaledwie dwóch krokach, zatrzymał się chwiejnie i odwrócił twarzą do Rzymianina. Macro tymczasem zdążył się już pozbierać z ziemi i teraz podnosił się do kucek, miecz trzymając wyciągnięty w bok i gotowy do zadania ciosu. Przez moment żaden z mężczyzn się nie ruszał. W świątyni słychać było tylko ich oddechy, coraz cichsze rzężenie umierającego Karima i jęki rannego Katona.

W końcu Ajaks oblizał wargi.

– Powinieneś był mnie zabić razem z ojcem.

– Powinienem był – przyznał mruknięciem Macro. – Popełniłem błąd, ale… zaraz go naprawię.

Rzucił się naprzód i zamachnął na gladiatora. Ajaks sparował cios i sam przypuścił atak, wyprowadzając serię pchnięć i cięć,

które wystawiły na ciężką próbę umiejętności szermiercze centuriona oraz jego odruchowe reakcje. Po pewnym czasie odstąpił i znów zapatrzyli się na siebie w gasnącym świetle dnia. Ajaks silnie krwawił z rany w boku, o czym mówiła mu ciepła strużka ściekająca aż na zewnętrzną stronę uda. Gladiator wiedział, że wkrótce zacznie tracić siły. Złowieszczy chłód powoli ogarniał już jego ciało. Niebawem straci ostrość widzenia. Jego lanista z czasów szkoły gladiatorów miał w zwyczaju opowiadać podopiecznym o objawach wiążących się z poszczególnymi rodzajami obrażeń. I wyrobił w nim nawyk ataku, zanim słabość ogarnie wszystkie członki. W przeciwnym razie człowiek mógł co najwyżej błagać widzów o łaskę i darowanie mu życia. Dlatego teraz Ajaks znów wyprowadził szereg ciosów, napełniając wnętrze świątyni przenikliwym dźwiękiem metalu uderzającego o metal. Mimo to nie udało mu się znaleźć słabego punktu przeciwnika. Dojrzał za to rodzącą się w jego oczach satysfakcję.

Macro również zauważył strugę krwi cieknącą po boku i nodze gladiatora. Chociaż byli godnymi siebie przeciwnikami, czas działał na niekorzyść Ajaksa. Upływ krwi będzie go stopniowo osłabiał, aż w końcu Macro zdoła odebrać mu życie. Jednak posmakuje upragnionej zemsty…

Ajaks skinął głową, gdy zdał sobie sprawę ze swojego położenia.

– Myślisz, że wygrałeś, Rzymianinie. Poważnie uważasz, że uda ci się mnie pokonać? Sądzisz, że ja, Ajaks, na to pozwolę? – Parsknął. – Póki żyję, ogień buntu będzie płonął w sercach wszystkich niewolników. A będę żył wiecznie, jeśli nie przywieziesz do Rzymu dowodu mojej śmierci. W tym sensie przegrałeś ze mną dzisiaj.

Zanim Macro pojął, o czym gladiator mówi, ten odwrócił się błyskawicznie i pognał na zewnątrz prosto w ciemność.

– A niech to!

Centurion zerknął na Katona, który potrzebował pomocy. Mimo to obrócił się i pognał za Ajaksem. Gladiator nie wybrał ścieżki prowadzącej na przystań, lecz pokonawszy popękane kamienne płyty przed wejściem, skręcił między wygładzone przez stulecia głazy i zniknął w zaroślach. Macro ruszył jego śladem, jednakże z każdą chwilą zostawał w tyle z powodu krótszych nóg. Gęsta roślinność szeleściła i siekła go po odsłoniętej skórze, gdy uparcie tropił zbiegłego niewolnika, który wysforował się już na jakieś pięćdziesiąt stóp i z każdym krokiem powiększał dzielącą ich odległość. Macro widział, że uciekiniera od zachodniego brzegu wyspy dzieli góra pięćdziesiąt stóp. Patrzył, jak Ajaks wbiega w szuwary, rozchlapując brudną płytką wodę. Zanim zdążył dobiec na brzeg, gladiator był już po pas w wodzie i wciąż parł dalej przed siebie. W pewnym momencie Ajaks obejrzał się przez ramię i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby, widząc, jaką ma przewagę nad Rzymianinem. Wreszcie wydostał się z szuwarów i rzucił na głęboką wodę, wypuszczając miecz z dłoni. Zaraz też jął zawzięcie pracować rękami, by jak najprędzej dostać się w główny nurt Nilu.

Macro zatrzymał się po kostki w wodzie opływającej szuwary i zaczął ściągać przez głowę pas z mieczem. W nerwach szarpał palcami oporne zapięcia zbroi. Gdy wreszcie się z tym uporał i cisnął wszystko na bok, usłyszał gdzieś nieopodal plusk, jakby coś wpadło do wody. Wkrótce spomiędzy szuwarów wychynął ciemny duży kształt, który skierował się pod łagodnym kątem ku Ajaksowi.

Gladiator odwrócił się w ostatniej chwili i zdążył jeszcze zobaczyć nieruchome krokodyle oczy osadzone w grubej, pokrytej gruzłami skórze. Pobiegłszy spojrzeniem do brzegu, dostrzegł jeszcze centuriona, który wszystkiemu spokojnie się

przyglądał.

– Nie! – wrzasnął Ajaks. – Nie!!!

Nagle szarpnął się do przodu. Zaczął bić rękami wodę, starając się pozbyć potwora, którzy już go trzymał w potężnych szczękach, zaciskając ostre zęby. Woda się zakotłowała, kiedy krokodyl wynurzył się i obrócił do góry nogami, pokazując jasno ubarwiony brzuch dobrze widoczny nawet w gasnących promieniach słońca. Moment później bestia zniknęła pod wodą. Powierzchnia przez chwilę wyglądała jeszcze na wzburzoną, lecz zaraz Nil się wygładził i jakby nigdy nic płynął dalej w mrok.

Macro patrzył w to samo miejsce przez dłuższy czas, aby się upewnić, że Ajaks przepadł na dobre. Całym sobą odczuwał szok z powodu okrutnej śmierci gladiatora. Wtem jednak gdzieś w głębi niego zrodziła się niepohamowana wściekłość, sięgająca serca i zalewająca mu goryczą usta. Zaczął przeklinać w duchu wszystkich bogów, sięgając do bogatego arsenału złorzeczeń. Ścigał Ajaksa tak wytrwale, tak długo – i po co? Zacisnął pięści i zatrząsł się cały.

– Kurwa… Kurwa!… Kurwa!!!

Jego słowa odbiły się słabym echem od przeciwległego brzegu, po czym nad Nilem znów zapadła cisza. Macro odwrócił się wolno od rzeki, podniósł zbroję i wyszedłszy na suchy ląd, pośpieszył do świątyni i swego przyjaciela Katona.

EPILOG

Dwa miesiące później Katon wspiął się ścieżką prowadzącą do cesarskiej willi usadowionej na szczycie klifu wieńczącego wschodni brzeg wyspy Capri. Z Aleksandrii popłynęli na pokładzie statku kurierskiego i znosząc dzielnie podróż po wzburzonych jesiennymi sztormami wodach, pokonali Morze Śródziemne, opływając Italię wzdłuż zachodniego wybrzeża, by skierować się do Ostii u ujścia Tybru. Kiedy dotarli do bazy floty w Puteoli, usłyszeli, że cesarz Klaudiusz wraz ze swym sekretarzem Narcyzem spędza zimę na Capri. Na to kapitan postawił znowu żagle i popłynął na tę niewielką skalistą wyspę leżącą w Zatoce Neapolitańskiej. Tam Katon zostawił Macro w gospodzie w małej wiosce rybackiej przytulonej do zatoki.

Wspinając się teraz na klif i mijając po drodze punkty kontrolne obsadzone czujnymi pretorianami, Katon zbierał myśli, aby przedstawić cesarzowi możliwie klarowny raport. Klęska Nubijczyków i śmierć Ajaksa zakończyła kampanię egipską. Jak tylko XXII Legion wrócił do bazy w Memfis, Katon i Macro opuścili jego szeregi i udali się do Aleksandrii. Popłynęli w dół Nilu barką – przy czym Katon spędził większość podróży, wypoczywając pod baldachimem i nabierając sił. Chirurg Szakali pozszywał go najlepiej jak potrafił, jednakże i tak minęło wiele dni, zanim ciało zabliźniło się w nierówną szramę biegnącą mu przez twarz.

W Aleksandrii zdali raport namiestnikowi, który z ponurą miną wysłuchał opowieści o losach kampanii i jej zakończeniu,

jak również o stratach poniesionych przez rzymską armię i pustoszoną prowincję rozciągającą się wzdłuż Nilu. Petroniusz rozgniewał się na wieść o tym, że Katon postanowił wymienić Talmisa na Ajaksa, szczególnie że nie było ciała, które można by wystawić na widok publiczny. Nie podjął jednak żadnych działań przeciwko legatowi. Zapowiedział tylko, że Katon musi poddać się osądowi urzędników w Rzymie i ponieść ewentualną karę z ich rąk. Następnie zaś w pośpiechu sporządził meldunek, który posłał przed Katonem, ażeby uprzedzić Narcyza, najbliższego doradcę cesarza.

Podczas podróży do domu Katon z każdym dniem coraz bardziej tracił humor. Tęsknił za Julią, która czekała na niego w ojcowskim domu w Rzymie; w chwilach słabości wyobrażał sobie ze wszystkimi szczegółami, jak przekracza jego próg i wpada w rozłożone szeroko ramiona Julii. Ale zaraz pochmurniał, przewidując reakcję dziewczyny na widok blizny szpecącej mu twarz.

Czuł się również przygnębiony z powodu błędnej oceny Hamedesa. Zawiodła go zdolność rozumowania, w wyniku czego śmierć poniósł niewinny człowiek. Macro niewiele mówił na ten temat, jednakże starał się w żołnierskich słowach pocieszyć przyjaciela, dowodząc, że pomyłka była zrozumiała pośród chaosu i rozlewu krwi towarzyszącego kampanii w Egipcie. Katon był dla siebie znacznie mniej wyrozumiały.

Doszedłszy do bram cesarskiej willi na krańcu szlaku, podał dyżurnemu optionowi swoje imię i stopień, po czym wyjaśnił, że przybywa, aby zobaczyć się z Narcyzem i złożyć mu raport.

– Zaczekaj tu, panie – polecił mu option i nieśpiesznie udał się po schodach do środka willi.

Nad wyspą dął silny zimny wiatr, a gromadzące się za jego

sprawą chmury zapowiadały rychły deszcz. Północne zbocze opadało stromo klifem aż do morza i Katon zapatrzył się na widoczną dobrze zatokę, na której brzegu gdzieś tam było Puteoli. Jakieś sto mil dalej wzdłuż wybrzeża leżała Ostia, z której już niedaleka droga wiodła do Rzymu – i do Julii.

– Prefekcie!

Katon obrócił się i zobaczył, że pretorianin przywołuje go ze szczytu schodów. Wartownicy pilnujący bramy rozstąpili się, aby go przepuścić, ale kolejny strażnik u podnóża schodów powstrzymał go uniesieniem ręki.

– Wybacz, panie. Zakładam, że zostawiłeś miecz i inną broń strażnikom w porcie?

– Tak.

Wartownik skinął głową.

– To dobrze. Niemniej czeka cię jeszcze jedna kontrola, zanim będziesz mógł wejść do środka. Podnieś ramiona i nie ruszaj się.

Katon postąpił zgodnie z instrukcją, a wartownik sprawnie obszukał jego płaszcz i tunikę, palcami sięgając nawet za pas. W końcu się cofnął.

– To wszystko, panie.

Katon ruszył po stopniach w górę, ku czekającemu na niego cierpliwie optionowi, który poprowadził go marmurowym portykiem do atrium. W pomieszczeniu dominował obszerny, lecz płytki basen wyłożony na dnie mozaiką przedstawiającą Neptuna i ławice ryb. Zza wielkich drzwi po prawej dobiegały czyjeś głosy: ktoś śmiał się tam i rozmawiał swobodnie. Po lewej w ścianie widniało skromniejsze przejście, wiodące do kwater niewolników i służących.

– Tędy, panie. – Option zaprosił gestem Katona, który ruszył za

nim przez atrium i dalej korytarzykiem prosto na taras.

Rozciągała się tam lita powierzchnia różowego marmuru, kończąca się raptownie dobre pięćdziesiąt kroków dalej. Rośliny w donicach pnące się po specjalnie postawionych kratach zdobiły cały taras, który oferował wspaniały widok na morze i ląd. Katon doskonale rozumiał, dlaczego ta wyspa cieszy się takim powodzeniem u rodziny cesarskiej, i to od wielu lat.

Na tarasie przebywał w tym momencie tylko jeden człowiek – siedział na ławie zwrócony do Katona plecami.

– Jesteśmy na miejscu, panie – odezwał się option, przystając i wskazując na siedzącą postać. – Będę czekał przy bramie. Aby cię wypuścić.

Option zasalutował, okręcił się na pięcie i wrócił do willi, podczas gdy Katon przeciął taras, podchodząc do gospodarza, którego spowijał prosty czerwony płaszcz. Włosy Narcyz miał po części siwe. Słysząc zbliżające się kroki, odwrócił się i obdarzył przybyłego uśmiechem pozbawionym wszelkich oznak ciepła.

– Katonie, dobrze cię znów widzieć, chłopcze. Siadaj. – Wskazał na drugą ławę, ustawioną pod pewnym kątem do tej, na której siedział sam.

Między ławami tkwił stół, a na jego blacie stał kielich z grzanym winem, które parowało w chłodnym powietrzu. Uwagi Katona nie uszedł fakt, że kielich jest tylko jeden. Było to typowe dla Narcyza, który lubił przypominać ludziom o ich podrzędnej pozycji, tym samym pokazując, gdzie ich miejsce.

Katon usiadł. Narcyz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie znów się odezwał:

– Widzę, że odniosłeś rany. Dorobiłeś się nie lada blizny.

Katon wzruszył ramionami.

– Dawno nie mieliśmy okazji rozmawiać – zauważył Narcyz.

– Dwa lata. Odkąd wysłałeś mnie i Macro, byśmy szpiegowali namiestnika Syrii.

– Świetnie się wtedy spisaliście. Nie mówiąc o tym, że odegraliście wiodącą rolę w ocaleniu Palmiry przed Partami. A potem jeszcze odwaliliście kawał dobrej roboty na Krecie. Z tego, co słyszałem od Semproniusza, ruszyliście śladem tego buntownika Ajaksa… – Narcyz sięgnął za połę płaszcza i wyciągnął zwój. – Teraz zaś namiestnik Egiptu, nasz stary przyjaciel Petroniusz, donosi mi, że i z tą sprawą poradziliście sobie. Brawo. Z drugiej strony chciałby, abyście odpowiedzieli za puszczenie wolno księcia Nubii. – Narcyz nie spuszczał spojrzenia z Katona. – Byłbyś uprzejmy wyjaśnić, co tobą kierowało?

– Uznałem, że wziąwszy wszystko pod uwagę, większe zagrożenie stanowi gladiator – odparł Katon bez wahania.

– Wziąwszy wszystko pod uwagę… – powtórzył Narcyz, uśmiechając się blado. – Chyba jednak miałem co do ciebie rację. Podejmując decyzje, używasz głowy i zastanawiasz się nad strategicznymi konsekwencjami. – Lekceważącym ruchem rzucił raport na stół. – Natomiast z Petroniusza jest głupiec. Postąpiłeś słusznie, młody człowieku, aczkolwiek nie da się ukryć, że przy tej okazji zraziłeś go do siebie. W Rzymie też znajdą się tacy, co nie dostrzegą wszystkich niuansów tego zagadnienia. W każdym razie mogę cię zapewnić, że masz moje poparcie, chociaż nie wyrażę go głośno ani w żaden inny sposób nie sprawię, abyś został nagrodzony za to, że pozbyłeś się przeklętego gladiatora. – W tym momencie doradca cesarza uśmiechnął się przepraszająco. – No i jest jeszcze ta sprawa awansu na prefekta… Jak rozumiem, senator Semproniusz mianował cię w imieniu cesarza, ale nie ulega kwestii, że przekroczył swoje uprawnienia.

Naturalnie sytuacja była dość niezwykła i wymagała wyjątkowych działań, toteż Semproniusz słusznie zajął się tłumieniem buntu niewolników na Krecie i bardzo dobrze zrobił, wysyłając ciebie i centuriona Macro w pogoń za przywódcami rewolty. – Wskazał gestem leżący na stole raport. – Jak widać, udało ci się zażegnać kłopoty. Jestem ci za to wdzięczny. Tobie i twojemu towarzyszowi, centurionowi Macro.

Katon skłonił lekko głowę, by okazać, że akceptuje podziękowanie.

– Mimo to – podjął Narcyz – równie błyskawiczna kariera może niejednego wzburzyć. A cesarz Klaudiusz woli nie antagonizować wojskowych, z których część nie jest tak lojalna, jak by wypadało, czego najlepszym dowodem niech będzie tragiczna śmierć jego poprzednika. Krótko mówiąc, postawiłeś Klaudiusza w bardzo niezręcznej sytuacji.

– To znaczy?

Narcyz przyglądał mu się przez chwilę, po czym się uśmiechnął.

– Inteligentny z ciebie człowiek, Katonie. Wiem, że nie trzeba ci wszystkiego wykładać prosto z mostu. Skoro jednak najwyraźniej sprawi ci to przyjemność, będę z tobą w pełni szczery.

– Bardzo to doceniam, panie.

– Nieroztropnością byłoby potwierdzić teraz twój awans, zwłaszcza że zamierzasz wrócić do Rzymu, by poślubić uroczą córkę Sempronisza. Twoje pojawienie się w stolicy z pewnością wzbudzi falę zazdrości. Wokół nie brakuje senatorów, którzy też chcą zapewnić swoim protegowanym jak najlepszy start.

Katon słuchał cesarskiego doradcy z rosnącym rozgoryczeniem. Oto jaka nagroda go spotkała za wszystkie poświęcenia dla dobra

cesarza i Rzymu – wyrazy wdzięczności oraz bez wątpienia degradacja do stopnia centuriona. Równało się to automatycznie przekreśleniu jego nadziei na dołączenie do grona ekwitów. Semproniusz nie będzie już tak chętny wydać za niego córkę. To prawda, że patrzył przychylnym okiem na tę znajomość od czasu oblężenia Palmiry, jednakże tamte warunki nie miały wiele wspólnego ze sztywną towarzyską i polityczną etykietą stolicy imperium, gdzie mezalians nie był mile widziany. W dodatku degradacja Katona zostanie odebrana przez ogół jako przejaw braku cesarskiej łaskawości, nawet jeśli sam Klaudiusz i Narcyz na osobności złożą mu wylewne podziękowania. Nagle wszystkie plany na przyszłość, które Katon snuł w myślach w związku z Julią, zaczęły się sypać w gruzy.

Nie chcąc, by głos go zawiódł, odchrząknął, zanim znów się odezwał.

– Czy protegowani, o których mowa, przysłużyli się Rzymowi równie dobrze jak ja?

– Nie, ale z drugiej strony Semproniuszowi daleko do potęgi innych senatorów. Chyba więc już rozumiesz, na czym polega trudność. Wierz mi, nie zamierzam utrudniać ci kariery ani odbierać szczęścia. – Mrugnął. – Trzeba jednak brać pod uwagę wszystkie polityczne subtelności. Na tym między innymi polega moja praca. Okazałbym się złym sługą cesarza, gdybym patrzył tylko na wąski wycinek rzeczywistości.

– Zatem mój awans nie zostanie publicznie ogłoszony.

– Na razie nie. Być może stanie się to dopiero wtedy, gdy znajdziesz się znów daleko od Rzymu i oczu zazdrośników.

– Chcesz powiedzieć, panie, że nie zabawię w stolicy długo?

Narcyz potaknął dopiero po dłuższej chwili.

Katon westchnął ze znużeniem.

– Dobrze. Wyślij mnie gdzieś, gdzie ci się przydam, tylko proszę, niech to miejsce nie odstraszy do końca Julii.

Narcyz uniósł brwi i odparł chłodnym tonem:

– Mnie się nie stawia żądań, młody człowieku. Zapamiętaj to sobie. Gdyby nie twoja nienaganna służba, ukarałbym cię za równie niestosowne zachowanie. Posłuchaj mnie teraz uważnie… Ogłoszę twój awans jeszcze w tym roku bez względu na to, czy będziesz akurat w Rzymie czy gdzieś na placówce. Masz moje słowo. Chcesz wiedzieć dlaczego? – Umilkł i rozejrzał się, jakby się upewniał, że nikt ich nie podsłuchuje, lecz Katon wiedział, że to tylko gra. Cesarska willa była pod doskonałą ochroną; żaden szpieg nie zdołałby się do niej zakraść przez stalowy pierścień pretorianów. Mimo to Narcyz zniżył głos. – Ty i Macro jesteście mi potrzebni. I to bardzo. Pamiętasz problemy, jakie mieliśmy z tak zwanymi Wyzwolicielami?

Katon pamiętał doskonale. Chodziło o mętny spisek patrycjuszy i ich zwolenników – chcieli położyć kres cesarstwu i przywrócić republikę, w której senatorzy sprawowaliby władzę.

– Tak, panie – potwierdził na głos.

– Znów się uaktywnili. Moi szpiedzy donoszą mi, że krążą słuchy o nowym spisku zawiązanym przeciwko cesarzowi.

– Wyzwoliciele zamierzają zamordować Klaudiusza?

– Nie znam jeszcze żadnych szczegółów, wiem tylko, że coś jest na rzeczy. Należysz do nielicznych, którym mogę powierzyć tę informację, Właśnie dlatego spotkaliśmy się tutaj w cztery oczy. Potrzebni mi zaufani ludzie, żeby zbadać tę sprawę dokładniej. Żeby wkraść się w łaski spiskowców.

Katon uśmiechnął się gorzko.

– Już rozumiem. Jeśli się nie zgodzę, cofniesz mój awans.

– Tak.

– A Macro? Co on na tym zyska?

– Po powrocie do czynnej służby będzie mógł sobie wybrać legion. Lub może stanie na czele kohorty jednostek pomocniczych.

– Jaką gwarancję mamy, że dotrzymasz umowy?

– Moje słowo.

Katon miał ochotę się roześmiać, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Z obrazy cesarskiego doradcy nic by mu nie przyszło. Za to odmawiając propozycji, mógł naprawdę wiele stracić. Spojrzał więc Narcyzowi prosto w oczy.

– Nie dam ci odpowiedzi od razu. Muszę najpierw rozmówić się z Macro.

– Gdzie on jest?

– Na dole, w porcie.

– Dobrze więc. Wracaj do niego. Będę cię oczekiwał przed wieczorem. Jeżeli się nie stawisz, uznam to za odmowę przyjęcia zadania i zacznę szukać kogoś lojalniejszego od ciebie. Bardziej wartego awansu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem. – Katon wstał gwałtownie. – A teraz już cię zostawię samego, panie.

Narcyz odprawił go skinieniem.

– Byle nie na długo. Będę czekał, Katonie.

Ton pewności pobrzmiewający w jego głosie towarzyszył Katonowi, kiedy przecinał taras i wychodził z willi, a następnie szedł długim szlakiem wiodącym do portu, gdzie miał nadzieję

odszukać przyjaciela.

– Narcyz to mała tłusta kupa cuchnącego łajna. – Macro pokręcił głową. – Pewnego dnia chętnie zabiorę go na spacer zaułkami i załatwię raz na zawsze.

– A ja będę ci kibicował – odparł Katon z uczuciem. Uniósł kielich, który napełnił mu Macro, i rozejrzał się po gospodzie. Kilku pretorianów po służbie grało w kości przy jednym ze stołów w głębi pomieszczenia słabo oświetlonego lampkami oliwnymi zwieszającymi się z belek u powały. Zniżając głos, zapytał: – No więc co o tym myślisz?

– O propozycji Narcyza? – Macro wzruszył ramionami. – Musimy ją przyjąć. Jakie inne wyjście mamy? Drań trzyma nas za jaja i dobrze o tym wie. Poza tym jeśli naprawdę może mi załatwić stałą posadę w wybranym legionie, zrobię to z miłą chęcią. Ty także powinieneś, jeśli masz choć odrobinę rozumu. Jak inaczej chcesz uzyskać potwierdzenie awansu na prefekta? Mówię ci, Katonie, jestem gotów na wszystko, byle wrócić do legionu na dobre. Nawet jeśli oznacza to odwalenie znowu jakiejś roboty dla Narcyza.

Katon kiwał w zamyśleniu głową. Macro miał rację. Nie mieli większego wyboru. Skoro chciał poślubić Julię, musiał robić to, co każe mu cesarski doradca, licząc, że w efekcie uzyska potwierdzenie awansu i nareszcie dołączy do ekwitów. Tylko wtedy Semproniusz potraktuje go poważnie jako kandydata do ręki córki. Katon sięgnął do twarzy i musnął palcami bliznę. Ponownie poczuł ukłucie niepokoju na myśl o tym, jak Julia zareaguje, zobaczywszy go oszpeconego.

Macro zauważył ten gest i roześmiał się cicho.

Katon zmarszczył czoło.

– Co?

– Możesz mi wierzyć, chłopcze – uśmiechnął się, sięgając nad stołem, by znów dolać Katonowi wina. – Kobiety nie mają nic przeciwko bliznom. Poharatany przypominasz prawdziwego mężczyznę, a nie jakiegoś wychuchanego pięknisia z tych, co kręcą się w Rzymie po forum. Wypijmy. Za śmierć spiskowców i za nasze nagrody, które należą nam się od tak dawna.

Katon skinął głową i stuknął kielichem o kielich przyjaciela.

– Za to mogę wypić, stary druhu.

NOTA AUTORA

Egipt stanowił jedną z najcenniejszych prowincji Cesarstwa Rzymskiego. Rzym miał na niego chrapkę na długo przed tym, zanim Oktawian (który potem przybrał tytuł Augusta) przyłączył go do imperium po samobójczej śmierci Kleopatry – ostatniej królowej z dynastii Ptolemeuszów, która objęła panowanie w wyniku podbojów Aleksandra Wielkiego. Dzięki regularnym wylewom Nilu zbiory egipskiego zboża były imponujące. Co więcej, Egipt leżał na skrzyżowaniu szlaków łączących cywilizacje śródziemnomorskie ze Wschodem. Aleksandria wzbogaciła się na rolnictwie i handlu, stając się drugim pod względem zamożności i ludności miastem ówczesnego świata.

Co zrozumiałe, kolejni rzymscy cesarze zazdrośnie strzegli tej perły w koronie imperium. W odróżnieniu od innych prowincji Egipt stanowił prywatną domenę panującego cesarza, który mianował namiestnika zarządzającego prowincją w jego imieniu. Senatorowie, a nawet co znaczniejsi ekwici mieli zakaz wstępu do Egiptu bez wyraźnej zgody cesarza. Aczkolwiek wybuchowa mieszanka narodowościowa w samej Aleksandrii bynajmniej nie potrzebowała osób z zewnątrz, by sypnąć iskrami. Motywem przewodnim historii tej prowincji Rzymu są regularne bunty i walki uliczne między Grekami, Żydami i Egipcjanami, którzy wspólnie wystawiali na próbę cierpliwość Rzymian.

Rzymskie panowanie w Egipcie zasadzało się na jednym nadrzędnym celu: wyciągnąć z prowincji jak najwięcej. W związku z tym system administracyjny był nastawiony na

zmaksymalizowanie przychodu z podatków i w efekcie mieszkańcy Egiptu płacili podatki praktycznie za wszystko. Znacząca część zobowiązań spoczywała na klasie średniej, będącej łatwym łupem urzędników podatkowych zarówno w starożytności, jak i współcześnie. Skończyło się na tym, że pechowi podatnicy zaczęli zaciągać długi, co doprowadziło do powolnego upadku Egiptu.

Rodowici Egipcjanie, którzy już wcześniej oparli się próbom hellenizacji podejmowanym przez Ptolemeuszów, w późniejszym czasie też nie przekonali się do rzymskiego stylu życia. Łacina była uważana za język najeźdźcy, a ludzie – nie licząc mieszkańców Aleksandrii i paru innych większych miast – żyli dalej po swojemu w sposób niewiele się różniący od tego z czasów faraonów. Nawet dziś część Egipcjan zamieszkujących ziemie położone nad górnym Nilem wciąż mieszka w chatach z cegły mułowej, takich samych, jakie wznosili ich przodkowie, i zbiera plony ręcznie.

Nie licząc ciężkiej ręki rzymskich panów, starożytni Egipcjanie doświadczyli również wielu napaści i pomniejszych ataków ze strony Nubijczyków i Etiopczyków zza granicy leżącej na południe od dzisiejszego Asuanu. Placówki Rzymian, rozmieszczone wzdłuż wąskiego pasa nadającej się do zamieszkania ziemi wzdłuż obu brzegów Nilu, dało się z łatwością pokonać lub ominąć, a to otwierało drogę łupieżcom. Na przestrzeni całych dziejów Rzymu legiony strzegły liczących tysiące mil granic imperium, aczkolwiek ich liczebność nie była zbytnio imponująca. Nie inaczej było w Egipcie. Pierwotne trzy legiony, stacjonujące tam za czasów Augusta, szybko stopniały do dwóch, z czego jeden został rozproszony równomiernie po całej prowincji. Namiestnik Egiptu, który miał do dyspozycji głównie kohorty jednostek pomocniczych, musiał pod czujnym okiem

cesarza pilnować, aby do Rzymu płynął nieprzerwany strumień zboża i pieniędzy. Było to bardzo niewdzięczne zadanie, zważywszy, że jego armia ledwie wystarczała do zachowania porządku i obrony granic.

Jak zwykle odwiedziłem miejsca, w których rozgrywa się akcja mojej powieści. Ręczę własnym słowem za niewygody służby w delcie Nilu oraz niewyobrażalny skwar górnego Nilu. Starożytne ruiny okazały się warte zobaczenia – mogłem jedynie czuć zachwyt w obliczu śladów cywilizacji, która wzniosła gigantyczne budowle na długo przed tym, zanim na brzegach Tybru pojawiły się prymitywne ludzkie siedziby. Czytelnikom pragnącym doświadczyć Egiptu na własnej skórze mogę polecić wycieczkę do Luksoru (Diospolis Magna). Zresztą większość miejsc wymienionych w książce nadal istnieje i przy odrobinie wyobraźni można je zobaczyć takimi, jakie były za czasów Katona i Macro.

O autorze

SIMON SCARROW (ur. 3 października 1962, Lagos, Nigeria) – Angielski pisarz urodzony w Nigerii, obecnie mieszka w Norfolk wraz z żoną Caroline.

Ukończył magisterium na Uniwersytecie Wschodniej Anglii, a po zakończeniu pracy w urzędzie skarbowym, rozpoczął pracę jako wykładowca, najpierw na East Norfolk Sixth Form College, a następnie w City College Norwich.

Najbardziej znany z serii powieści z czasów Imperium Rzymskiego, obejmującą drugą inwazję na Brytanię i późniejszą długotrwałą kampanię podjętą przez cesarzy z dynastii julijsko-klaudyjskiej.

Tego autora:

<u>Cykl: „Orły Imperium”</u>

Orły Imperium, 2011 *(Under the Eagle, 2000)*

Podbój, 2011 *(The Eagle’s Conquest, 2001)*

Polowanie, 2012 *(When the Eagle Hunts, 2002)*

Orły i wilki, 2012 *(The Eagle and the Wolves, 2003)*

Pościg, 2013 *(Eagle’s Prey, 2004)*

Przepowiednia, 2014 *(Eagle’s Prophecy, 2005)*

Rebelia, 2014 *(The Eagle in the Sand, 2006)*

Centurion, 2014 *(Moscow Rules, 2007)*

Gladiator, 2015 *(Gladiator, 2009)*

Legion, 2015 *(The Legion, 2010)*

Pretorianin, 2015 *(Pretorian, 2011)*

Kohorta, 2016 *(The Blood Crows, 2013)*

Bracia krwi, 2017 *(Brothers in Blood, 2014)*

Brytania, 2017 *(Britania, 2015)*

Invictus, 2017

Cykl: „Gladiator”

Walka o wolność, 2014 *(Fight for Freedom, 2011)*

W służbie Cezara, 2015 *(Street Fighter, 2012)*

Syn Spartakusa, 2015 *(Son of Spartacus, 2013)*

Zemsta, 2016 *(Vengeance, 2014)*

Spis treści

O książce

Strona tytułowa

Dedykacja

Podziękowania

Struktura dowodzenia rzymskiej armii

Struktura rzymskiego legionu

Krótka notka o rzymskiej flocie

Mapy

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piaty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Epilog

Nota autora

O autorze